

BESTSELLER „NEW YORK TIMES“

# OSTATNI MAG



LISA MAXWELL

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

LISA MAXWELL

OSTATNI  
MAG

Przełożył z angielskiego  
Łukasz Witczak



WROCŁAW 2018

Tytuł oryginału  
*The Last Magician*

Projekt okładki  
RUSSELL GORDON

Opracowanie ilustracji na froncie okładki oraz typografia  
Copyright © 2017 by Craig Howell

Opracowanie ilustracji na tyle okładki  
Copyright © 2017 by Cliff Nielsen

Autor fotografii na okładce  
Copyright © 2017 by Cameron Whitman Photography, LLC

Redakcja  
ANNA JACKOWSKA

Korekta  
BOGUSŁAWA OTFINOWSKA

Redakcja techniczna  
LOREM IPSUM

Original English language edition copyright © 2017 by Lisa Maxwell

Published by arrangement with Simon Pulse, An imprint of Simon & Schuster Children's Publishing Division.

All rights reserved. No part of this book may be reproduced or transmitted in any form or by any means, electronic or mechanical, including photocopying, recording or by any information storage and retrieval system, without permission in writing from the Publisher.

Polish translation © Łukasz Witczak MMXVIII

Polish edition © Publicat S.A. MMXVIII (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora,  
w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.  
All rights reserved.

Wydanie elektroniczne 2018

ISBN 978-83-271-5861-1



jest znakiem towarowym Publicat S.A.

**Publicat S.A.**

61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24

tel. 61 652 92 52, fax 61 652 92 00

e-mail: [office@publicat.pl](mailto:office@publicat.pl), [www.publicat.pl](http://www.publicat.pl)

Oddział we Wrocławiu  
50-010 Wrocław, ul. Podwale 62  
tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66  
e-mail: [wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl](mailto:wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl)

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



# SPIS TREŚCI

Dedykacja

Mag

Część pierwsza

Złodziejka

Na krawędzi

Przez warstwy czasu

Libero libro

Klucz Isztar

Sto diabłów

Pod efemeryczną terażniejszością

Część druga

Syreni śpiew

Niebo pełne gwiazd

Cięty język

Szkoda dobrych butów

Spotkanie

Wieczorową porą

Bridget Malone, jak mniemam

Nowy wiek

Bella Strega

Ambicja i chęć

Zły interes

Ukraść noc

Gruba linia

Jako na górze, tak i na dole

Waluta sekretów

Praca u podstaw  
Klasyczna zmyłka  
Pan zaświatów  
Starzy znajomi  
Wymiana piór  
Esencja magii  
Metropolitan  
Sprytna złodziejka  
Zmiana planów  
Diablo dobra sztuczka  
Taka skromna  
Iskry mocy  
Niebezpieczeństwo innego rodzaju  
Swój na swego  
Wiadomość  
Środek nie wytrzyma  
Co się wydarzyło na Fulton street  
Nowa sytuacja  
Ciężar nocy  
Pokój pełen strachu  
Swego rodzaju powrót

### Część trzecia

Zrujnowana  
Sen czy jawa  
Drzewo wiedzy  
Kocięta też mają pazury  
Zapach zdrady  
Pokusa przybiera różne kształty  
Szkłana trumna  
Improwizacja

Fałszywy krok

Nowe partnerstwo

Wbić haczyk

Déjà vu

Pułapka w pułapce

Zaginiony nóż

Nad rzeką

Odmiana

Sytuacja się zmienia

Grobowiec

Brzegi i kanty

Równowaga sił

Zaproszenie

Część czwarta

Historia terażniejszości

Gniazdo żmij

Złoty świt

Zamiana kart

Szach-mat

Bez tajemnic

Misterium

Chwila prawdy

Szaleństwo na ulicach

Ta ostatnia noc

Do dwóch razy sztuka

Ostateczna rozgrywka

Niebo bez gwiazd

Stary przyjaciel

Niemożliwy wybór

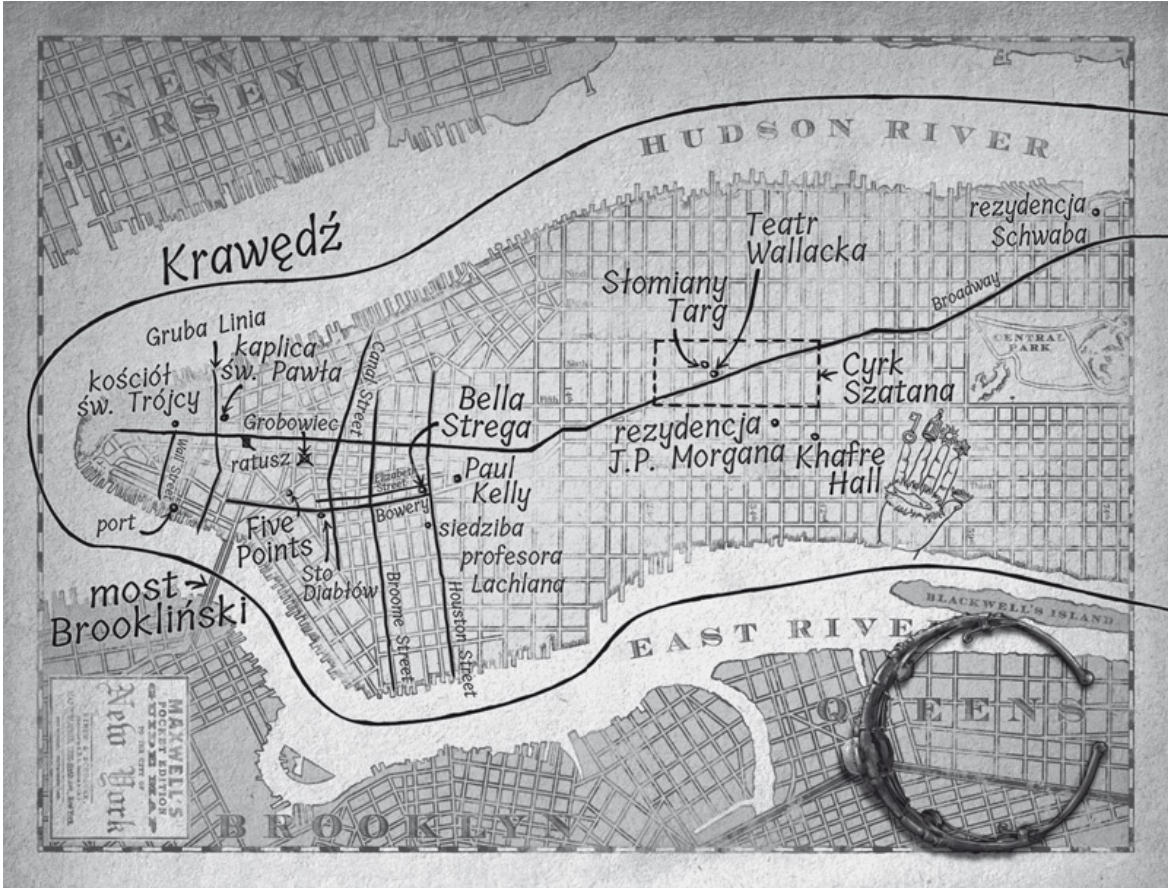
Ewentualności



Mag

Podziękowania

*Harry'emu,  
który jest żywym dowodem na istnienie magii*



## *Marzec 1902 roku – most Brookliński*

**M**ag stanął na skraju swojego świata i ostatni raz spojrzął w stronę miasta. Wieże kościołów wznosiły się niczym wyszczerbione zęby, niewidome okna stłoczonych budynków błyskały we wschodzącym słońcu. Kiedyś kochał to miejsce. Na tych ulicach, gdzie nie obowiązywało żadne prawo, chłopiec mógł stać się, kim zechciał – tak właśnie było w jego przypadku. Lecz ostatecznie to miasto było jednym wielkim więzieniem. Dało mu życie, wychowało go, a teraz miało go zabić.

O tej wczesnej porze most był pusty: bezludna połać spinająca dwa brzegi. Białe światło wstającego dnia rozjaśniało jego wysokie liny, wokół słychać było tylko plusk fal w dole i skrzypienie desek pod stopami. Przez chwilę wyobraził sobie narastający tłum. Prawie widział te twarze pełne napięcia, ludzi stojących w ciszy ciężkiej od szmerów, czekających, aż po raz kolejny spróbuje oszukać śmierć. Uniesieniem ręki pozdrowił niewidzialną publiczność, a ona, w jego wyobraźni, zaczęła wiwatować. Ułożył twarz w uśmiech, który zawsze nosił na scenie – i który trudno było nazwać inaczej niż kłamstwem.

Ale kłamcy są najlepszymi magikami, a on nie miał sobie równych.

Kiedy opuścił rękę, spowiła go cisza i znów skupił się na ponurej rzeczywistości. Może i zbudował życie na złudzeniach, ale śmierć będzie najwspanialszą ze wszystkich jego sztuczek. Bo tym razem nie zamierzał oszukiwać. Tym razem to będzie sama prawda. Ostateczna ucieczka.

Zadrzał na tę myśl. A może od lodowatego wiatru, który przeszywał cienki materiał jego eleganckiej marynarki. Jeszcze kilka tygodni i powietrze w ogóle nie byłoby zimne.

Tak jest lepiej. Wiosna była przyjemna, nie to co uliczny fetor i parna duchota wewnątrz w miesiącach letnich. Nieodłączne uczucie potu spływającego po karku. Lekki obłąd, w jaki popadało miasto pod wpływem upałów. Tego nie będzie mu brakowało ani trochę.

Oczywiście to również kłamstwo.

Jedno kłamstwo w tę czy w tę... Niech sami dojdą, co było, a co nie było prawdą, kiedy już go tu nie będzie.

Wciąż mógł się cofnąć, uświadomił to sobie w nagłej desperacji. Mógł pójść dalej mostem i zaryzykować przejście przez Krawędź.

Może zdołałby się przedostać na drugą stronę. W końcu niektórym to się udało. A może skończyłby jak matka, na co w sumie zasługiwał.

Istniała niewielka szansa, że by przeżył. Może wtedy mógłby zacząć od początku? Znał przecież tyle sztuczek. Nie byłaby to dla niego pierwsza zmiana nazwiska, zmiana życia. Mógłby spróbować.

Lecz wiedział z góry, że nic by z tego nie wyszło. Taka ucieczka to tylko inny rodzaj śmierci. A Zakon, nieskrępowany Krawędzią, ścigałby go do skutku. Zniszczenie Księgi też by nie pomogło. Gdyby go znaleźli – a znaleźliby go prędzej czy później – nie daliby mu spokoju. Używaliby go do swoich celów, aż nic by z niego nie zostało.

Lepiej już rzucić się do wody.

Wspiął się na balustradę; podmuchy wiatru były silne i musiał się mocno trzymać liny, żeby nie stracić równowagi. Od strony miasta dobiegło dalekie dudnienie dorożek i wściekłe okrzyki. Czas na wahanie się skończył.

Jeden krok to tak niewiele. Codziennie stawiał niezliczoną ilość kroków, w ogóle o tym nie myśląc, ale ten krok...

Hałas od strony brzegu zbliżał się i wzrastał. Już pora. Jeśli go złapią, nie pomogą żadne czary, sztuczki ani kłamstwa. I dlatego, nie czekając, aż go dopadną, puścił linę, zrobił ostatni krok i runął –  
r a z e m z K s i ę g ą – w jedyne miejsce, w którym nie musiał się obawiać pościgu.

Ostatnią rzeczą, jaką usłyszał, był głośny lament Księgi. A może to tylko dźwięk, jaki wydobył się z jego własnej krtani, kiedy skoczył w objęcia wiatru?

CZĘŚĆ

# PIERWSZA



# ZŁODZIEJKA

## *Grudzień 1926 – Upper West Side*

To nie dzięki magii Esta wymknęła się z przyjęcia niezauważona. Żwawe dźwięki fortepianu przycichły, kiedy opuściła salę balową. Jak świat światem nie zwracano uwagi na służących, toteż i tym razem nikt nie zauważył, że wyszła. Ani że bezkształtna czarna sukienka nieco wybrzusza się z boku, zdradzając obecność noża ukrytego w jej fałdach.

Cóż, ludzie zwykle nie widzą tego, co mają przed nosem.

Nawet spoza ciężkich drzwi wciąż słyszała przytłumione dźwięki kwartetu grającego ragtime. Duch tej zbyt wesołej melodii podążył za nią do holu, w którym rzeźbiona stolarka i polerowane marmury wznosiły się na wysokość trzech pięter. Nie czuła się jednak przytłoczona tym przepychem. Prawie nie robił na niej wrażenia, o onieśmieleniu nie było więc mowy. Sunęła naprzód pewna siebie – to też swego rodzaju magia, pomyślała. Człowiek pewny siebie budzi zaufanie. Nawet wtedy, kiedy nie powinien. A może zwłaszcza wtedy.

Olbrzymi kryształowy żyrandol rozrzucał po wielkim holu odłamki elektrycznego światła, lecz w dalekich kątach i wysoko pod kasetonowym sufitem panował mrok. Cienie czały się także wzdłuż ścian, pod wysokimi na dwa piętra palmami. Hol mógł się



wydawać opustoszały, ale Esta nie zwalniała kroku; zbyt wiele było w tym domu kryjówek, z których ktoś mógłby ją obserwować.

U stóp okazałych schodów spojrzała w górę, na półpiętro, gdzie stały ogromne organy. Piętro wyżej, w prywatnej części rezydencji, znajdowały się pokoje wypełnione dziełami sztuki, biżuterią, bezcennymi wazami, mnóstwem antyków – łatwe łupy w chwili, gdy w sali balowej trwało głośne, mocno zakrapiane przyjęcie. Ale Esta nie przysłała po te skarby, niechby najbardziej kuszące.

A kusiły ją, oj, kusiły.

Zawahała się przez chwilę, lecz raptem bicie zegara potwierdziło jej obawy: była spóźniona. Spojrzała czujnie przez ramię i minęła schody, zanurzając się w korytarz wiodący w głąb domu.

Panowała tam cisza. Bezruch. Odgłosy przyjęcia już jej nie ścigały, mogła wreszcie odetchnąć, trochę się zgarbić, rozluźnić mięśnie, które utrzymywały ją w nienagannej posturze służącej. Przechyliła głowę na bok, by rozciągnąć szyję, zanim jednak poczuła ulgę, ktoś chwycił ją za ramię i wciągnął do cienia.

Instynktownie się okręciła i ściskając mocno nadgarstek napastnika, pociągnęła go z całej siły do przodu i w dół, jakby chciała mu wyrwać rękę z łokcia. Mężczyzna wydał zduszony jęk.

– Psiakrew, Esta, to ja – zasyczał znajomy głos. Był o jedną lub dwie oktawy wyższy niż zwykle, pewnie dlatego, że ciągnęła go za rękę.

Wyszeptała przekleństwo, puściła Logana i odsunęła się ze wstrętem.

– Nie trzeba było mnie tak chwytać. – Serce jej waliło, wcale nie czuła się winna temu, że Logan rozciera sobie teraz obolałą rękę. – Co ci odbiło?

– Spóźniłaś się! – fuknął Logan, zbliżając do niej swoją zbyt przystojną twarz.

Logan Sullivan, chłopak o złotych włosach i niebieskich oczach, o jakich niemądre dziewczyny piszą wiersze, osiągnął mistrzostwo w graniu swoim wyglądem. Kobiety go pragnęły, mężczyźni pragnęli być jak on. Jednak Logan nie próbował uwieść Esty. Już nie.

– Ale jestem – odparła.

– Miałaś tu być dziesięć minut temu. Gdzie się podziewałaś?

Nie musiała odpowiadać. Bardziej by go wkurzyła, zachowując to dla siebie, nie mogła się jednak powstrzymać. Z uśmiechem satysfakcji uniosła brylantową szpilkę do krawata, ukradzioną na sali balowej pewnemu staruchowi, który nie potrafił utrzymać rąk przy sobie.

– Poważnie? – Logan spiorunował ją wzrokiem. – Dla tego ryzykowałaś powodzenie misji?

– Miałam do wyboru: ukraść szpilkę albo dać mu w twarz. – Spojrzała mu wymownie w oczy. – Nie lubię być obmacywana, Logan.

To nawet nie była świadoma decyzja. Widząc, że pewien mężczyzna przystawia się do młodej służącej, wpadła na niego, po czym, udając, że czyści mu oblany szampanem frak, wysunęła szpilkę z jedwabnego krawata. Może niepotrzebnie, ale to było silniejsze od niej.

Logan nadal wpijał się w nią srogim wzrokiem, lecz nie żałowała swojego postępowania. Żal był dobry dla ludzi, którzy taszczą swoją przeszłość przez całe życie; ona nie mogła sobie pozwolić na taki balast. Zresztą kto by żałował kradzieży takiego brylantu? Nawet w słabo oświetlonym korytarzu pięknie się prezentował – czysty ogień i lód. Dawał Eście poczucie bezpieczeństwa: nie tylko był wiele wart, ale jeszcze przypominał jej, że cokolwiek by się działo, zawsze sobie jakoś poradzi. Ta przyjemna świadomość nadal

szumiała jej w skroniach i nawet irytacja Logana nie była w stanie jej zagłuszyć.

– Masz robić wszystko, żeby wykonać zadanie. – Rzucił jej spojrzenie zza przymrużonych powiek.

– Zawsze tak robiłam – odparła z wielkim spokojem. – I zawsze będę. Profesor o tym wie. Dziwię się, że ty nie zauważyłeś. – Jeszcze przez chwilę patrzyła mu zuchwale w oczy, a potem, z przekory, kolejny raz spojrzała z satysfakcją na brylant. Miał chyba ze cztery karaty.

– Dziś nie możemy sobie pozwolić na niepotrzebne ryzyko – upierał się surowym tonem. Najwyraźniej wciąż uważał się za pana sytuacji.

Skwitowała jego zarzut wzruszeniem ramion.

– Bez przesady z tym ryzykiem – rzekła, chowając zdobycz do kieszeni. – Kiedy ten stary pryk zauważy, że nie ma szpilki, będziemy już daleko stąd. Przecież nic nie widział. Dobrze wiesz.

Posłała mu buńczuczne spojrzenie. Jej ofiary nigdy nie wiedziały, że są okradane.

Logan otworzył usta, jakby zamierzał się spierać, ale nie dopuściła go do głosu.

– Znalazłeś? – spytała.

Nie żeby nie znała odpowiedzi – oczywiście, że znalazł. Logan umiał znaleźć dowolną rzecz. Od tego był – przynajmniej w drużynie profesora. Esta pozwoliła mu zatriumfować, bo chciała odejść od tematu brylantu. Po pierwsze, nie było teraz czasu na jego fochy, a po drugie, choć wolałaby się do tego nie przyznawać, faktycznie spóźniła się na umówione z nim spotkanie.

Logan zacisnął usta w kreskę, jakby walczył ze sobą, żeby nie suszyć jej dłużej głowy o ten brylant. W końcu jego duma – jak zwykle – wzięła górę. Potaknął.

– W sali bilardowej. Tak jak przypuszczaliśmy.

– Prowadź – powiedziała Esta, siląc się na miły wyraz twarzy. Znała rozkład tej rezydencji nie gorzej niż on, ale znała też Logana. Niech się poczuje potrzebny, może nawet szefem. Przynajmniej nie będzie się czepiał o głupoty.

Logan po krótkim wahaniu dał jej znak ruchem głowy. Zadowolona z siebie Esta w milczeniu ruszyła za nim przez ciemny korytarz.

Mijali ściany obwieszane portretami ponurych arystokratów z różnych wyprzedanych europejskich majątków. Charles Schwab, właściciel rezydencji, miał w sobie mniej więcej tyle królewskiej krwi co Esta. Całe miasto wiedziało, że pochodzi z rodziny niemieckich imigrantów. W dodatku jego dom – cały uliczny kwartał pretensjonalnych złocień i kryształów – stał po złej stronie Central Parku. To, co się znajdowało w środku, może i było warte fortunę, ale w Nowym Jorku nawet fortuna nie otwierała drzwi do najbardziej ekskluzywnych kręgów.

Szkoda, że dni tej fortuny były policzone. Za kilka lat nadejdzie Czarny Czwartek i wszystkie te obrazy na ścianach, razem z całą resztą umeblowania, pójdą pod młotek, by pokryć długi Schwaba. Sam dom przez dziesięć lat będzie stał pusty, aż w końcu zostanie rozebrany, a na jego miejscu wyrośnie budynek mieszkalny, jakich wiele. Można by się zasmucić jego losem, gdyby nie był tak bezwstydnie kiczowaty.

Nie mówiąc o tym, że Esta nie miała ani chwili, by martwić się przyszłością potentatów przemysłu stalowego. Nie, teraz jej głównym zmartwieniem była misja, na którą zostało mniej czasu, niż sobie zaplanowała.

Kolejny korytarz, w który skręcili, kończył się ciężkimi drewnianymi drzwiami. Logan nasłuchiwał chwilę, zanim je

popchnął. Esta już się bała, że chce wejść do środka razem z nią.

Odetchnęła, gdy skinął głową i rzekł:

– Postoję na czatach.

Zadowolona, że nie będzie jej zaglądał przez ramię, zanurzyła się w zapach cygar i pasty do drewna. Wybitnie męska przestrzeń sali bilardowej nie była wypełniona, tak jak reszta domu, nadmiarem złocień i kryształowych ozdób. Stały tutaj w małych kręgach fotele z pikowanej skóry, a ogromny stół bilardowy pośrodku nasuwał skojarzenie z ołtarzem.

W pomieszczeniu było duszno od ognia w kominku. Esta odchyliła wysoki dekolt sukienki, zastanawiając się, czy rozpiąć kołnierz albo zakasać rękawy. W jej pracy liczyła się wygoda, a nie było tam nikogo prócz Logana...

– Pospiesz się – ponaglił ją. – Schwab niedługo zacznie aukcję. Musimy się uwinąć do tego czasu.

Rozejrzała się po sali, biorąc głęboki wdech, żeby go nie zabić.

– Wiesz, gdzie jest sejf? – spytała.

– Regał z książkami – odparł, po czym zamknął drzwi, odcinając dopływ powietrza do dusznej sali. Zaległa cisza przerywana jedynie tykaniem szafkowego zegara. To miarowe tik-tak, tik-tak, tik-tak... przypominało Eście, że każda upływająca sekunda przybliża chwilę, w której mogą zostać przyłapani. A jeśli ktoś ich tu zobaczy...

Odsunęła od siebie te myśli, koncentrując się na zadaniu. Ściana naprzeciw potężnego kominka była zastawiona aż po sufit książkami w identycznych skórzanych oprawach. Esta podeszła do regału. Z zachwytem przesuwiała opuszkami palców po nieskazitelnych grzbietach.

– Gdzie jesteś? – szepnęła.

Tytuły mieniły się łagodnie w mętnawym świetle, strzegły swoich sekretów, gdy Esta dotykała półek od spodu. Wkrótce

znalazła to, czego szukała: niewielki przycisk dyskretnie wpuszczony w drewno, tak by nikt ze służby nie wcisnął go przypadkiem; nikomu poza złodziejem nie przyszłoby do głowy, żeby tam zajrzeć. Kiedy go nacisnęła, z wnętrza regału dobyło się głośne, miłe dla ucha klik! i ćwierć regału wychyliło się wystarczająco, aby mogła pociągnąć ruchome półki do siebie.

Tak jak się spodziewała: sejf Herring-Hall-Marvin zamykany na szyfr. Lana stał gruba na szerokość dłoni, wewnątrz, które spokojnie zmieściłoby dorosłego człowieka. Najwyższej klasy skrytka, jaką można było kupić w 1923 roku. Nigdy wcześniej nie widziała takiego modelu. Ten konkretny egzemplarz, połyskujący lakierem w kolorze butelkowej zieleni, miał na powierzchni wygrawerowane ozdobnymi literami nazwisko Schwaba. Piękny sejf na rzeczy najdroższe sercu bogacza. Na szczęście Esta otwierała bardziej skomplikowane zamki, mając osiem lat.

Jej rozochoczone palce zaczęły tańczyć w powietrzu. Przez cały wieczór była jakby poza swoim ciałem; ubrana w sztywną sukienkę, spuszczać oczy, kiedy do niej mówiono, miała wrażenie grania roli, do której nie była stworzona. Dopiero teraz, stojąc przed sejfem, znów poczuła się dobrze we własnej skórze.

Przytknęła ucho do drzwiczek i zaczęła obracać pokrętło, nasłuchując tętna zamka. Jedno stuknięcie... drugie... metal ocierający się o metal w bębenkach sejfu.

Sekundy płynęły nieubłaganie, lecz im dłużej pracowała, tym bardziej czuła się odprężona. Umiała czytać zamki lepiej niż ludzi. Zamek nie zmienia się pod wpływem kaprysu lub pogody; nie powstał jeszcze taki, który potrafiłby ukryć przed nią swoje tajemnice. Po paru minutach miała już trzy z czterech liczb. Ponownie obróciła pokrętło, szukając czwartej...

– Esta? – syknął Logan, burząc jej koncentrację. – Skończyłaś?

Rzuciła mu przez ramię gniewne spojrzenie.

– Byłoby szybciej, gdybyś mi nie przeszkadzał.

– Streszczaj się – odburknął i wycofał się na korytarz, ponownie zamykając za sobą drzwi.

– Streszczaj się – wymamrotała, przedrzeźniając jego władczy ton. Jak gdyby złamanie szyfru można było przyspieszyć. Jak gdyby Logan miał o tym jakiegokolwiek pojęcie.

Kiedy ostatni bębenek zaskoczył, poczuła głęboką satysfakcję. Pozostało już tylko sprawdzić kombinacje. Jeszcze minuta i ujrzy zawartość sejfu. Dwie minuty – i znikną z Loganem. A Schwab nigdy się nie dowie.

– Esta?

Zakłęła pod nosem.

– Co znowu? – Tym razem się nie obejrzała, zaprzątnięta drugą kombinacją liczb, która okazała się niewłaściwa.

– Ktoś idzie. – Logan zerknął przez ramię. – Odwróć ich uwagę.

Dopiero teraz spojrzała za siebie i zobaczyła jego napiętą twarz.

– Logan...

Ale już wyszedł.

Zastanawiała się, czy mu pomóc, ale po sekundzie zabrała się z powrotem do roboty. Logan sobie poradzi. Na tym polegała praca w duecie. Każdy robi swoje.

Kolejne dwie nieprawidłowe kombinacje. Uczucie gorąca rozlewało się po jej skórze, zapach tytoniu i dymu z kominka palił ją w gardle. Przetarła czoło rękawem. Miała wrażenie, jakby sukienka chciała ją udusić.

Podjęła kolejną próbę, ignorując strużkę potu, która ściekła jej po karku między fałdy tkaniny. Osiem. Dwadzieścia jeden. Trzydzieści. Dwadzieścia pięć. Pociągnęła klamkę i, co za ulga, ciężkie drzwi sejfu się otworzyły.

Z korytarza dobiegły stłumione męskie głosy, lecz była zbyt zaprzątnięta przeglądaniem zawartości skrytki, by się nimi przejąć. Liczne półki i przegródki pełne były płóciennych kopert z papierami wartościowymi, teczek z dokumentami oraz starannie opasanych plików wielgachnych banknotów. Spojrzała łakomie na te dziwne pieniądze, żałując, że nie wolno jej zabrać ani dolara. Aby ich plan się udał, Schwab nie może się dowiedzieć, że ktoś tu był.

To, czego szukała, znalazła na jednej z dolnych półek.

– Cześć, piękny – mruknęła, sięgając po długi czarny futerał. Ledwie wzięła go do ręki, na korytarzu za ciężkimi drzwiami znów rozległy się głosy.

– To skandal! Mogę cię zrujnować jednym telegramem – unosił się Logan. – Niech tylko mój wuj, nie, mój d z i a d e k, dowie się, jak podle jestem tutaj traktowany, a gwarantuję ci, że nie dostaniesz już ani jednego kontraktu po tej stronie Missisipi. Zresztą po drugiej też nie. Nikt, kto się liczy, nie będzie z tobą rozmawiał, kiedy...

To na pewno Schwab, pomyślała Esta. Wyjęła z włosów szpilkę i zaczęła gmerać przy zamku futerału. Schwab od lat usiłował odcisnąć na mieście swoje piętno. Dom był ważną częścią tych starań, ale jeszcze ważniejszy był przedmiot znajdujący się w futerale. Ten, po który przyszła.

– Tylko spokojnie, Jack – rozległ się inny głos, zapewne Schwaba.  
– To na pewno zwykłe nieporozumienie...

Kiedy te słowa do niej dotarły, ciarki przeszły jej po plecach. „Jack”? A więc Schwab nie był sam.

Wierzyła w spryt Logana, lecz sytuacja stawała się coraz bardziej nieprzewidywalna. Szybko wejść i szybko wyjść, minimum kontaktu – oto zasada, która zapewniała im przeżycie.



Przez kilka sekund obracała szpilką w zamku, aż w końcu zapadka ustąpiła i futerał się otworzył.

– Zabieraj te brudne łapy! – krzyknął Logan tak głośno, by Esta go usłyszała. Był to znak, że sytuacja wymyka się spod kontroli.

Odłożyła futerał na półkę, by móc unieść dół sukni i wyjąć ukryty pod spodem nóż. Porównując go z wysadzonym klejnotami sztyletem na czarnej aksamitnej wyściółce futerału, Esta mimo awantury na korytarzu pozwoliła sobie na chwilę zachwytu nad rzemiosłem Mari. Jej przyjaciółka znów spisała się na medal. Nie była tym zdziwiona.

Mariana Cestero potrafiła skopiować wszystko, dowolny materiał z dowolnej epoki, włącznie z grawerowanym zaproszeniem Logana na przyjęcie tego wieczoru oraz piętnastocentymetrowym sztyletem, który Esta ukryła pod spódnicą sukni. Jedyną rzeczą, której Mari nie była w stanie powielić toczka w toczkę, okazał się kamień w rękojeści, zwany Sercem Faraona, albowiem był on czymś więcej, niż się wydawało na pierwszy rzut oka.

Ten nieoszlifowany granat, wykradziony, jak głosiła legenda, z jednego z grobowców w Dolinie Królów, miał zapewniać władzę nad ogniem, najbardziej nieokiełznanym ze wszystkich żywiołów. Ogień, woda, ziemia, powietrze i duch, pięć podstawowych elementów, które Zakon Ortus Aurea starał się za wszelką cenę zgłębić i wykorzystać do zbudowania swojej potęgi.

Członkowie Zakonu byli w błędzie, rzecz jasna. Magia elementarna była jedynie bajką wymyśloną przez tych, którzy nie władali prawdziwą magią – Osobnych – dla wyjaśnienia spraw, których nie rozumieli. Ale niezrozumienie magii nie czyniło Zakonu mniej groźnym. To, że Serce Faraona nie ma władzy nad ogniem, nie oznaczało, że kamień nie jest na swój sposób wyjątkowy.

W przeciwnym razie profesorowi Lachlanowi by na nim nie zależało.

Nawet w słabym blasku kominka granat prawie się jarzył, tak gładko był wypolerowany. Esta od razu poczuła moc jego oddziaływania, przyciągał ją nie jak brylantowa szpilka do krawata, lecz w jakiś głębszy, bardziej pierwotny sposób.

Tak, magia elementarna mogła być bajeczką, ale magii jako takiej nikt sobie nie zmyślił.

Organizacje w rodzaju Zakonu Ortus Aurea od wieków rościły sobie prawa do magii. Schwab nabył sztylet i zorganizował aukcję w nadziei, że zdoła się wkupić w jego łaski. Ale ponieważ Zakon opanował jedynie sztuczną i wypaczoną magię ceremonialną – pseudonaukowe praktyki w rodzaju alchemii czy teurgii – jego członkowie nie mieli takiego wyczucia jak Esta. To, że kamień Mari jest falsyfikatem, odkryją dopiero, gdy poddadzą go eksperymentom, aby okiełznać jego moc. Dojdą wtedy do wniosku, że to Schwab ich oszukał... albo że on sam dał się nabrać. Schwab z kolei uzna, że okantował go handlarz, który sprzedał mu sztylet. Nikomu nie przyjdzie do głowy, że prawdziwe Serce Faraona sprzątnięto im sprzed nosa.

Esta dokonała zamiany: podrobiony sztylet umieściła w aksamitnym wnętrzu futerału, a prawdziwy schowała do ukrytej kieszeni pod suknią. Był cięższy od tego, który nosiła przy sobie cały wieczór, jak gdyby za sprawą większej gęstości, której Mari nie przewidziała. Przez chwilę Esta martwiła się, że Schwab może się zorientować. Zaraz jednak pomyślała o tym wielkim domu – zbyt nachalnie wyrażającym stan jego konta bankowego – i odzyskała spokój. Schwab raczej nie należał do ludzi z wyczuciem detalu.

Na korytarzu rozległ się jakiś trzask, a po nim obco brzmiący głos. Esta w pośpiechu zamknęła futerał, odłożyła go z powrotem

na półkę, dokładnie w to samo miejsce, i zatrzasnęła sejf. Dopychała regał do ściany, kiedy do jej uszu dobiegł krzyk Logana – nieartykułowany, bolesny jęk.

Chwilę później wieczorną ciszę rozdarł huk wystrzału.

Nie! – pomyślała Esta, rzucając się biegiem w stronę drzwi. Huk wciąż dzwonił jej w uszach. Musiała ratować Logana. Może i był upierdliwy, ale tworzyli jeden zespół. A jej obowiązkiem było wydostanie ich obojga na zewnątrz.

Ujrzała Logana na drugim końcu korytarza: leżał na podłodze i próbował się podnieść, a tymczasem Schwab mocował się z tęgim łysiejącym blondynem w smokingu, usiłując odebrać mu rewolwer. W trakcie tej samotaniny blondyn ponownie wymierzył z broni do Logana.

Widząc, co się dzieje, Esta natychmiast wzięła głęboki, uspokajający oddech. Odcięła się od chaotycznej sceny, która się przed nią rozgrywała, i skupiła całą swoją uwagę na miarowym biciu własnego serca.

Bam. Ba-bam.

Regularnym jak stukot bębenków w zamku.

Bam. Ba-bam.

Przy następnym uderzeniu czas nagle zgęstniał i wszystko dookoła prawie znieruchomiało. Galaretowate policzki Schwaba zastygły. Pot kapiący wściekle ze skroni tęgiego blondyna jakby zawisł w powietrzu, powoli, bardzo powoli opadając ku posadzce.

Wyglądało to tak, jakby ktoś przesuwiał cały świat do przodu klatka po klatce. Tym kimś była Esta.

„Szukaj szczelin między tym, co jest, a tym, czego nie ma” – uczył ją profesor Lachlan.

Bo magia nie tkwiła w elementach. Magia zamieszkiwała przestrzenie, pustki między wszystkimi rzeczami, łącząc je ze sobą.

Tam czekała na tych, którzy umieli ją odnaleźć, na tych, którzy mieli wrodzony talent do wychwytywania tych połączeń – na Maginów.

Na takich jak ona.

Nie potrzebowała magii, aby wymknąć się z przyjęcia i złamać szyfr zamka, ale potrzebowała jej teraz i dlatego otworzyła się na jej moc. Odnajdywanie przestrzeni między sekundami, między uderzeniami serca, było dla niej czymś prawie tak naturalnym jak oddech. Ruszyła w stronę Logana, kradnąc czas, z impetem wkraczając między niemal całkiem zastygłe postacie.

Nie potrafiła jednak zatrzymać czasu w sposób absolutny. Ani go cofnąć, żeby blondas nie zdołał nacisnąć spustu.

Od Logana dzieliło ją już tylko parę kroków, gdy dźwięk wystrzału zburzył jej skupienie. Czas wyrwał się spod jej władzy, świat znów pognał do przodu. Dla Esty bieg od progu sali bilardowej do miejsca, w którym się znajdowała, trwał całą wieczność, ale tamci dwaj mieli wrażenie, jakby wyrosła spod ziemi. Członkowie Zakonu od razu by się domyślili, że mają do czynienia z magią.

Obaj mężczyźni na chwilę zastygli w bezruchu, robiąc przy tym tak wielkie oczy, że wyglądali niemal komicznie. Pierwszy ocknął się blondas. Wyrwał się Schwabowi i uniósł ciemny rewolwer do strzału.

# NA KRAWĘDZI

*Sierpień 1900 roku – róg East 36th Street i Madison Avenue*

**D**olph Saunders był dzieckiem nocy. Ciche godziny, kiedy miasto spowijał mrok, a dzienna hałastrza znikła z ulic, były jego ulubioną porą. Ci, którzy wychodzili po zmroku, przy świetle latarni, niechby nawet byli przestępcami, należeli do jego plemienia – ludzi marginesu, wykluczonych, pędzących nędzny żywot na obrzeżach społeczeństwa. Ludzi, którzy rozumieją, że liczy się tylko jedna zasada: nie dać się złapać.

Jednak tej nocy cień go nie uspokajał. Siedząc w kryjówce naprzeciwko rezydencji J.P. Morgana, przeklinał się za to, że nie jest w stanie nic więcej zdziałać. Jego ekipa się spóźniała, w powietrzu wisił jakiś niepokój – jakby coś się miało wydarzyć. Nie podobało się to Dolphowi. Nie po tych wszystkich zniknięciach, nie kiedy stawką było życie Leeny.

Zaginięcia w tej części miasta to nic niezwykłego. Przecinając niewłaściwą ulicę, łatwo było się natknąć na nieprzyjazny gang. Wystarczyło narazić się któremuś bossowi, by przepaść bez śladu na zawsze. Lecz adepci starej magii, zwłaszcza protegowani Dolpha, wiedzieli, jak unikać kłopotów. To, że w ciągu miesiąca zniknęło kilkoro jego ludzi, nie mogło być dziełem przypadku.

Dolph nie miał wątpliwości, że stoi za tym Zakon, ale ostatnimi czasy aktywność tej organizacji spadła. Od wielu tygodni nie słyszano o żadnych nalotach na Bowery, co samo w sobie było dziwne. Choć zbliżał się koniec roku, czyli pora konklawe, ludzie Dolpha nie mieli żadnych wieści o planach Zakonu. Nie ufał tej ciszy, a od swoich ludzi oczekiwał większej dociekliwości. Dlatego Leena, jego partnerka we wszystkim, zatrudniła się jako pokojówka u Morgana. Ponieważ Morgan był jednym z najwyższych funkcjonariuszy Zakonu, liczyli, że ktoś w jego domu puści parę z ust.

Przez kilka tygodni Leena wytrwale szorowała i pastowała podłogi, ale nie dowiedziała się absolutnie nic o zaginionych Maginach. Aż wreszcie dwa dni temu nie wróciła na noc do domu.

Powinien był sam się podjąć tego zadania. To byli jego ludzie, jego odpowiedzialność. Jeżeli coś jej się stało...

Wysiłkiem woli odtrącił od siebie tę myśl. Wszystko będzie dobrze. Leena była sprytna, silna i miała więcej determinacji niż ktokolwiek inny. Umiała sobie poradzić w każdej sytuacji. Ale jej magia działała tylko na dary innych Maginów. W starciu z Zakonem na nic by się nie zdała.

Jakby w odpowiedzi na jego ponure myśli obok domu zatrzymał się wynajęty powóz. O tej porze nie spodziewali się żadnych dostaw. Pojawienie się powozu tylko zwiększyło niepokój Dolpha. Na dodatek pojazd przesłaniał mu widok.

Zanim Dolph zdążył przenieść się w inne miejsce, ulica rozbrzmiała męskimi głosami pełnymi złości. Po chwili drzwi powozu zamknęły się z hukiem, a woźnica trzasnął batem i konie pognały przed siebie.

Dolph patrzył, jak znikają za rogiem. Na dźwięk szybko zbliżających się kroków wyteńczył zmysły. Zacisnął palce na swojej

lasce, gotowy na każdą ewentualność.

– Dolph?

To był Nibsy Lorcan. Wyrzutek z misji dla chłopców, który przed paroma laty zjawił się w jego barze. Drobnny, niepozorny, łatwo byłoby go przeoczyć, ale Dolph wyczuwał moc i barwę cudzej magii z odległości dziesięciu kroków. Uznał, że Nibsy ze swoim darem będzie wartościowym nabytkiem dla jego ekipy – i się nie pomylił. Łagodnym usposobieniem i bystrym umysłem chłopak zjednał sobie szacunek nawet najbardziej zatwardziałyh członków ekipy, a dzięki umiejętności przewidywania konsekwencji różnych decyzji szybko stał się prawą ręką Dolpha.

Teraz grube szkła okularów Nibsy'ego błysnęły w blasku księżyca.

– Dolph? Gdzie jesteś?

Dolph wyłonił się z cienia. Choć noc była gorąca, czuł mróz na skórze.

– Znalazłeś ją?

Zdyszany Nibs najpierw tylko skinął głową, nie mogąc złapać oddechu.

– To gdzie ona jest? – chciał jak najszybciej wiedzieć Dolph. Poczuł ściskanie w gardle i kolejny raz omiótł wzrokiem cały dom. – Co się stało?

– Zakon musiał się nas spodziewać – odparł Nibs, nadal zapiąc. – Najpierw dopadli Spota. Od razu nóż w brzuch, żadnych pytań. Potem Appo.

– Jianyu?

– Nie wiem – wysapał Nibsy. – Nie widziałem, dokąd poszedł. Ale znalazłem Leenę. Morgan zamknął ją w piwnicy, tylko że... Nie mogłem się do niej dostać. Stworzyli tam jakąś barierę. W powietrzu wisiła dziwna mgła. Kiedy się zbliżyłem, myślałem,

że umrę. – Nibsy otrząsnął się i wziął kolejny haust powietrza. – Leena jest słaba. Nie potrafiłem jej stamtąd wyciągnąć. Ale rzuciła mi to. – Uniósł niewielki przedmiot zawinięty w muślin. – Mówiła, żebym uciekał. A tamci już się zbliżali, więc... uciekłem. Przepraszam. Nie powinienem... – Głos mu się załamał. – Zabrali ją.

Dolph wziął od niego przedmiot. Pod skrawkiem tkaniny znajdował się mosiężny guzik – Dolph pamiętał, że Leena miała takie same przy swoim uniformie pokojówki. Skrawek ważył tyle co nic. Z jednej strony był postrzępiony. Widocznie został oderwany. Leena zapisała na nim dwa słowa po łacinie czymś, co wyglądało jak krew. Jej krew, pomyślał. Wiadomość była warta skaleczenia. A mimo to, patrząc na wyschnięte, pociemniałe plamy liter, poczuł, jak zimny strach przenika go do szpiku kości.

– Odbijemy ją. – Dolph nie dopuszczał innej możliwości. Trąc skrawek kciukiem, czuł jego miękkość, ale i echa dobrze mu znanej energii Leeny. Wsączał w tkaninę, w te ślady krwi własną magię, próbując doszukać się w nich czegoś więcej, zrozumieć, co się wydarzyło. Choć bezbłędnie wyczuwał dary w ludziach, a nawet, poprzez dotyk, mógł się do nich podłączać i czerpać z nich, czytanie przedmiotów nigdy nie było jego mocną stroną.

Tak czy inaczej, Nibs miał rację: Leena była słaba. Tyle zdołał wyczuć. Odrzucił guzik na bok, ale skrawek wetknął do wewnętrznej kieszeni płaszcza, tej przy sercu.

– Jeszcze nie jest za późno – oznajmił, ruszając w stronę miejsca, gdzie stał ich pojazd.

Jadąc pustymi ulicami, szybko dogonili drugi powóz. Lecz im dłużej podążali za nim na południe, tym gorsze miał przecucie; domyślał się, dokąd zmierzają. Kiedy powóz skręcił w Park Row, nie było już cienia wątpliwości.



Dolph kazał zatrzymać pojazd na skraju parku otaczającego ratusz. Za spowitymi nocą ogrodami wznosiła się zwałista stacja końcowa, przesłaniająca widok na most w kierunku Brooklynu. Stalowo-szklana konstrukcja na tle czarnego nieba miała w sobie coś z ostrzeżenia. Dalej stał pierwszy w swoim rodzaju most spinający dwa tak odległe brzegi. W połowie długości przecinała go Krawędź, niewidzialna bariera uniemożliwiająca Maginom opuszczenie miasta bez utraty magii, chroniąca położone dalej krainy przed tym, co Zakon – i większość zwykłych ludzi – uważał za dziką i groźną moc.

Leena, podobnie jak Dolph, urodziła się ze starą magią. To, że członkowie Zakonu wieźli ją na most, mogło oznaczać tylko jedno: odkryli jej prawdziwą naturę. Za pomocą Krawędzi zamierzali unicestwić jej dar. Unicestwić ją samą.

Dolph nie mógł do tego dopuścić.

Patrzył, jak wynajęty powóz skręca za stacją w stronę wjazdu na most.

– Pójdę pieszo – rzekł. – Ty zostań tutaj. Miej uszy i oczy otwarte.

– Na pewno? – spytał Nibs.

– Nie mogą się zorientować, że ktoś ich śledzi.

Podążając za nimi powozem, wystawiliby się na widok, natomiast idąc górą, chodnikiem, można było spróbować ich zaskoczyć, może nawet uratować Leenę.

– Będą musieli się zatrzymać, żeby opłacić przejazd. Dogonię ich bez trudu.

– Ale z twoją nogą... – przypomniał Nibs. – Mógłbym...

Dolph osadził go marsowym spojrzeniem.

– Moja noga jeszcze nigdy mnie nie powstrzymała. Zostaniesz tutaj. Jeśli powóz wróci, a mnie nadal nie będzie, jedź ostrzec

innych. Różnie to się może potoczyć. Zakon może zrobić obławę na wszystkich.

Utkwił wzrok w Nibsie, starając się uzmysłować mu powagę sytuacji.

Nibs rozszerzył oczy.

– Ale ty wrócisz – odparł. – Wrócisz razem z Leeną.

Dolph był mu wdzięczny za słowa otuchy, ale nie zamierzał się do nich przywiązywać. Nasunął czapkę nisko na czoło i ruszył w kierunku stacji, jak zwykle ignorując sztywność w chromej nodze. Po szerokich schodach wspiał się na most. Na górze omijał padające na chodnik wąskie słupy latarniowego światła. Korzystając z osłony cienia, poruszał się szybko mimo utykania – żył z tą ułomnością od tak dawna, że w ogóle już o niej nie myślał.

W dole powóz stanął tuż przed pierwszą wieżą mostu, kawałek od brzegu. Wysiadły z niego trzy osoby. Jedna z nich wyciągnęła ze środka czwartą. Nawet z tej odległości Dolph wiedział, że to Leena. Czuł jej dar – tak znajomy, tak ciepły, tak bardzo j e g o. Leena wisiała bezwładnie między dwoma porywaczami. Czuł słabość jej magii, a kiedy się zbliżył, zobaczył, co jej zrobili – dojrzał posiniaczoną twarz i krew na wardze. Widział, jak szarpnęła się z głośnym westchnieniem, gdy zaczęli ją ciągnąć w stronę wieży, ku Krawędzi.

Krew zagotowała mu się w żyłach.

Jak każdy Magin w tym mieście wiedział, co się stanie z posiadaczem starej magii, który przekroczy tę granicę. Krawędź wysysała z nich energię życiową. Osoba o słabym darze – bliższym talentowi niż prawdziwej mocy – przy odrobinie szczęścia mogła przeżyć, ale i tak była trwale okaleczona, pozbawiona ważnej części siebie, i do końca życia cierpiała z powodu poniesionej straty.

Dla większości jednak zetknięcie z Krawędzią kończyło się znacznie gorzej. Często śmiercią. Tego też należało się spodziewać w przypadku Leeny, jednej z najpotężniejszych posiadaczy magii, jakich znał.

Trzymając się cienia, kalkulował swoje szanse na odbicie jej z rąk porywaczy. Z jednym na pewno by sobie poradził mimo kulawej nogi, zatrute ostrze w lasce wyeliminowałoby drugiego, ale co z trzecim? Nie było czasu, żeby wracać po Nibsa, zresztą chłopak i tak niewiele by się przydał w bezpośrednim starciu.

– Podnieście ją, chłopcy – odezwał się przywódca. – Chcę zobaczyć strach w oczach tej flądry.

Dwaj oprawcy postawili Leenę na nogach, a trzeci wymierzył jej siarczasty policzek.

Dolphowi mocno zapulsowała krew. Ledwie trzymał gniew na wodzy. Pozostał jednak w ukryciu. Działając pochopnie, zaprzepaściłby jedyną szansę na to, by uwolnić Leenę.

Choć kiedy widział, jak inny mężczyzna jej dotyka, krzywdzi ją... Palce same boleśnie zaciskały mu się na lasce. Mniejsza o Krawędź. Pozabija ich wszystkich.

Przekradł się jeszcze kawałek cieniem i stanął prawie bezpośrednio nad nimi. Czuł już chłodną energię Krawędzi. W przeciwieństwie do ciepłej i żywej magii naturalnej tchnęła lodem. Tchnęła pustką i rozkładem. Była to magia wynaturzona, moc wypaczona przez rytuał, wzmocniona energią wyssaną z Maginów. I jak każda nienaturalna magia miała swoją cenę.

Będąc tak blisko niej, czuł, że każda cząstka w nim rwie się do ucieczki. Będąc tak blisko niej, czuł, jak niewiele trzeba, by stracił wszystko, co stanowiło o tym, kim jest. Nie mógł jednak pozwolić, by obchodzono się z Leeną w ten sposób.

Przywódca uniósł jej głowę za włosy.

– O, żyjesz – powiedział ze śmiechem, gdy otworzyła lewe oko, by na niego spojrzeć. Prawe miała zapuchnięte. – Wiesz, co się z tobą teraz stanie, gołąbeczko? Myślę, że wiesz. Czujesz to, prawda? – Znow się roześmiał. – Spotka cię to, na co zasługują takie robaki jak ty.

Leena zamknęła oko. Nie z bezsilności, pomyślał Dolph, tylko by zebrać siły. Zuch dziewczyna.

Wymamrotała jakieś okropne przekleństwo, po czym uniosła powiekę i splunęła swojemu oprawcy w twarz.

Mężczyzna zareagował błyskawicznie. Jego ręka wystrzeliła do przodu, głowa Leeny zatoczyła się od potężnego ciosu.

Dolph postanowił działać. Wskoczył na balustradę i końcem laski rozbił uliczną latarnię. Gdy zgasło światło, mężczyźni na dole, niczym zwierzęta, które wyczuły bliskość myśliwego, zastygli w nieruchomych pozach, nasłuchując.

– Na co czekacie? – przerwał ciszę przywódca. W jego głosie pobrzmiwała nerwowość, której wcześniej nie było. – Dawać ją tutaj.

Jego podkomendni zareagowali wahaniem. Dolph przełożył opaskę z lewego na prawe oko. Patrzył teraz okiem przyzwyczajonym do ciemności, z którą tamci musieli się dopiero oswoić. Bezszelestnie zeskoczył na dół i wylądował na przywódcy, powalając go na chodnik i zatapiając w jego łydce ostrze wysunięte z niegroźnie wyglądającej laski. Mężczyzna wrzasnął jak sparzony wrzątkiem.

Ta konkretna trucizna była jedną z bardziej piekących.

Dolph zostawił wyjącego z bólu przywódcę i zwrócił się ku drugiemu z wrogów, który jednak bronił się już przed innym, niewidzialnym napastnikiem; raptem znieruchomiał, oczy wyszły mu z orbit i osunął się na ziemię. Nad jego ciałem stał Jianyu, który

pojawił się dosłownie znikąd. Przywitał Dolpha skinieniem głowy i razem zwrócili się w stronę trzeciego mężczyzny.

Ostatni przeciwnik był tak sparaliżowany strachem, że nawet nie przyszło mu do głowy uciekać. Trzymał Leenę przed sobą jak tarczę.

– Zostawcie mnie albo ją zabiję – zagroził łamiącym się głosem, mrugając oczami wpatrzonymi w mrok.

Dolph powoli się do niego zbliżał, a Jianyu obchodził mężczyznę z boku.

– Wydałeś na siebie wyrok, kiedy jej dotknąłeś – wymamrotał Dolph, gdy dzieliła ich już tylko długość ramienia.

Mężczyzna cofnął się i potknął. Leena próbowała skorzystać z okazji, by się wyswobodzić, ale trzymał ją zbyt mocno. Zamiast puścić dziewczynę, pociągnął ją ze sobą i runął do tyłu, ku zimnej mocy Krawędzi.

Nie myśląc o własnym bezpieczeństwie, Dolph rzucił się za nimi, ale zdołał tylko chwycić mężczyznę za brzeg rękawa. Tkanina się przedarła i oboje – porywacz i Leena – wpadli w głąb Krawędzi.

Dolph wiedział, kiedy przekroczyła granicę, bo poczuł jej zaskoczenie, ból i rozpacz dotkliwie jak swoje własne. Magia, która w niej krążyła, a którą teraz wysysała Krawędź, rozświetliła noc. Leena wiła się i krzyczała, jej grzbiet wygiął się w nienaturalny łuk, zeszywniałe ręce i nogi trzęsły się od potężnej mocy, która ją pochwycała.

Porywacz też krzyczał, ale nie z powodu kontaktu z Krawędzią. Kiedy Leena dostała konwulsji, upuścił ją i uciekł na drugi brzeg, tam gdzie Dolph nie mógł za nim pobic.

Ale Dolpha interesowała już tylko Leena. Patrzył w bezsilnym przerażeniu, jak ból wstrząsa jej ciałem, z którego wydiera się magię. Zbliżył się do niej, przełamując własny głęboki strach przed

Krawędzią, lecz kiedy jego palce musnęły lodowatą energią, nie mógł się zmusić do zrobienia kolejnego kroku.

– Leena! – zawołał. – Patrz na mnie!

Osunęła się na ziemię, wyczerpana, lecz nadal żywa, i leżała tam, jęcząc, wstrząsana bolesnymi podrygami. Przestał czuć jej dar.

– Leena! – krzyczał na całe gardło z mieszaniną grozy i furii.

W końcu go usłyszała i choć grymas bólu wykrzywił jej twarz, próbowała odwrócić się w stronę głosu.

– Tak – powiedział, gdy ich spojrzenia wreszcie się spotkały.

Na jej zniekształconej twarzy ból mieszał się z niedowierzaniem, jakby nie sądziła, że moc Krawędzi okaże się tak druzgocąca. Leena wciąż jednak żyła. Dopóki bije serce, jest nadzieja, powtarzał sobie Dolph, odpychając od siebie prawdę.

Z Krawędzi się nie wracało.

Ale przecież Leena jest inna, przekonywał sam siebie, podczas gdy ona usiłowała skupić na nim wzrok. Przez chwilę zdawało mu się, że widzi gdzieś poza tym śmiertelnym grymasem swoją Leenę.

– Musisz do mnie wrócić, *Stregghina* – prosił ją. – Musisz spróbować.

I próbowała, gdyż była najsilniejszą osobą, jaką znał. Poruszyła się, poczołgała ku niemu na słabych, roztrzęsionych rękach.

– Brawo, kochana. Jeszcze trochę – dopingował ją, tłumiąc zwierzęcy ryk, który w nim narastał.

Pełzła ostatkiem sił, z twarzą ściągniętą bólem, ale się nie poddawała. Jego Leena. Jego serce.

– Dasz radę. Jeszcze tylko kawałek.

I wtedy podniosła na niego oczy, dawniej piękne, a teraz krwawoczerwone. Z wyrazem determinacji na twarzy próbowała coś wyszeptać, ale zanim skończyła, upadła bez czucia.

– Nie! – zawołał Dolph. – Nie możesz nas zostawić. Nie możesz się teraz poddać.

Uklęknął tuż przed Krawędzią, zachęcając dziewczynę do wysiłku.

Ale Leena tylko zamrugła, jej zdrowe oko patrzyło mętnie.

Nie, pomyślał dziko. On na to nie pozwoli. Nie może na to pozwolić. Nie Leena, która stała u jego boku od dzieciństwa. Nie kobieta, która była mu partnerką w każdym znaczeniu tego słowa, mimo wszystkich popełnionych przez niego błędów. Nie może jej tam zostawić. Nieważne, jaką cenę przyjdzie mu zapłacić.

Dolph zmusił się, żeby sięgnąć po Leenę. Kawałek po kawałku, ignorując przejmujący ból, zanurzał rękę w palącym zimnie. Przedzieranie się przez Krawędź było jak rozbijanie szyby ręką, rozpruwanie skóry i ścięgien o sterczące kawałki szkła. Albo jak kąpiel w płynnym metalu, o ile roztopiona stal mogła być zimniejsza niż lód.

Ale nawet ten ból był niczym w porównaniu z myślą, że mógłby ją stracić.

W końcu chwycił Leenę za dłoń. Mrugnęła powoli, nieprzytomnie, ale choć zacisnął palce na jej palcach, brakowało mu siły, żeby ją przyciągnąć. Krawędź spowiła jego nadgarstek lodowatą energią, wnikała mu coraz głębiej pod skórę, próbując przeniknąć jego istotę.

Nagle Dolph poczuł, że się przesuwają. To Jianyu złapał go za nogi i odciągał poza niewidzialną granicę, a razem z nim Leenę. Resztkami sił Dolph wziął ją w ramiona i ułożył na swoich kolanach, ledwie zdając sobie sprawę z uczucia pustki w piersi.

– Nie zdążyłem jej uwolnić – powiedział Jianyu. – Chciałem ich uprzędzić, ale...

Dolph nawet go nie słyszał.

– Nie – wyszeptał, przesuając palcami po jej twarzy.

Z płuc Leeny dobywało się cichutkie rżenie. Przycisnął ją do siebie, kołysał i błagał, żeby nie odchodziła.

– Bez ciebie nie dam rady.

Ale nie odpowiadała.

– Nie! – wykrzyknął, czując, jak wiotczeje w jego ramionach. – Nie! – Ten sam jęk protestu wyrywał mu się kilka razy, rozbrzmiewając wśród nocy.

Nienawiść i rozpacz z wolna zasklepiały go w twardej skorupie, jak skamielinę człowieka, którym był dawniej.



# PRZEZ WARSTWY CZASU

## *Grudzień 1926 roku – Upper West Side*

**G**dy blondas wymierzył do niej z rewolweru, Esta zamarła. Z wyrazem pogardy zmieszanej z podnieceniem kierował lufę to na nią, to na Logana.

– Mówiłem ci – warknął do Schwaba. – Ostrzegałem cię, że to się tak skończy.

– Jack! – Schwab znów chwycił go za ramię. – Odłóż broń!

Jack strząsnął go z siebie.

– Nie masz pojęcia, kim oni są, do czego są zdolni. – Zwrócił się do Esty i Logana: – Kto was przysłał? Mówcie!

Był purpurowy na twarzy i ciągle wymachiwał pistoletem.

Esta zerknęła na Logana i zobaczyła ciemną plamę rozlewającą się wolno po białej koszuli pod marynarką smokingu. Otworzył oczy i napotkał jej wzrok. Teraz już nie był takim chojrakiem.

– Nie dam się drugi raz zrujnować – oświadczył blondas, ponownie odciągając kurek i celując broń w Logana. – Po moim trupie.

„Nigdy nie ujawniaj swoich mocy”. To była jedna z najważniejszych zasad. Gdy Zakon dowie się, do czego jest zdolna, nigdy nie przestanie jej ścigać. Ale i tak już się zdemaskowała. A krwawa plama na koszuli Logana rosła w zastraszającym tempie. Trzeba go było ratować.

Wszystko wydarzyło się jakby w jednej sekundzie.

Jeszcze słyszała dźwięk odciąganego kurka w pistolecie, ale już chwyciła czas.

– Niiieeeeeeeee! – krzyknął Logan głosem ciężkim i powolnym jak ta chwila.

Huk wystrzału rozbrzmiał echem.

Esta pokonała ostatnie kilka metrów korytarza, wbiegając między pistolet a Logana.

Mocno objęła swojego towarzysza w pól i zanurkowała jak najdalej. Włożyła w ten skok całą swoją siłę i moc... i wciągnęła ich oboje do pustej wersji tego samego korytarza.

Przez nieumyte okna na drugim końcu sączyło się światło dnia, podświetlając drobiny kurzu wzbite w zatęchłym powietrzu opustoszałego domu.

Logan zsunął się z niej z jękiem.

– Coś ty zrobiła?

Esta, tłumiąc własny niepokój, rozejrzała się po zmienionym korytarzu.

– Uratowałam nas.

– Na ich oczach?! – Logan był blady i roztrzęsiony.

– I tak mnie widzieli.

– Nie trzeba było się wtrącać – wychrypiał, krzywiąc się przy zmianie pozycji. – Miałem to pod kontrolą.

Normalnie by ją złościło, że tak szybko wrócił do swojego czepialstwa, lecz teraz poczuła wielką ulgę. Najwyraźniej jego rana nie była śmiertelna. Przynajmniej na razie.

Wskazała ruchem brody zakrwawioną koszulę.

– Mhm. Świetnie sobie radziłeś.

– Tylko nie zwalaj teraz na mnie. Gdyby nie nasza cię ochota na brylanty, nie spóźniłabyś się i zdążylibyśmy się ulotnić, zanim

pojawił się Schwab. Nie byłoby tego wszystkiego.

Patrzyła mu hardo w oczy, nie ustępując. Wiedziała jednak – i bardzo była z tego niezadowolona – że Logan ma rację.

– Uratowałam cię, tak czy nie? A może wolałbyś zginąć?

– Przejrzą nas.

– Wiem – odparła przez zęby.

Z punktu widzenia Schwaba i jego towarzysza Esta i Logan zniknęli, a ludzie nie znikają tak po prostu. Nie bez pomocy magii – tej naturalnej. Starej magii. Tyle to nawet Schwab rozumiał.

– Zakon się o tym dowie – perorował Logan. – Kto wie, jakie będą skutki...

– Może nie będzie żadnych – powiedziała, siląc się na optymizm.

– Jeszcze nigdy nic się przez nas nie zmieniło.

– Jeszcze nigdy nikt nas nie zobaczył.

– Przecież nie żyjemy w latach dwudziestych. Nie będą chyba szukać pary nastolatków przez następne sto lat.

– Zakon ma długą pamięć. – Logan utkwił w niej spojrzenie, a właściwie próbował, ale wciąż miał problemy ze skupieniem wzroku; podróż w czasie jak zwykle przyprawiła go o lekkie zawroty głowy. Odchylił się do tyłu i wsparł na łokciach.

– Który to w ogóle rok?

Esta rozejrzała się po zakurzonej korytarzu. Nagle zaczęła wątpić w słuszność swoich decyzji.

– Nie jestem pewna – przyznała.

– Jak to nie jesteś pewna? – Logan mówił tonem zbyt aroganckim jak na kogoś, kto prawdopodobnie wykrwawiał się na śmierć. – Przecież sama nas tu przeniosłaś.

– Tak, ale nie jestem pewna, który dokładnie jest rok. Chciałam nas jak najszybciej stamtąd zabrać, a potem wystrzelił pistolet i...

Ostry ból w barku przypomniał jej, co się wydarzyło. Nieśmiało dotknęła wilgotnego rozdarcia.

Logan omiół ją mglistym spojrzeniem.

– Jesteś ranna?

– Nic mi nie jest – odparła. Była zła na siebie za tamtą chwilę wahania, przez którą nie zdążyła umknąć przed kulą. – To tylko draśnięcie. Czego nie da się powiedzieć o twojej ranie.

Dźwignęła się z podłogi i podała mu rękę.

Pozwolił się podnieść, ale zachwiał się i musiał na niej oprzeć cały swój ciężar.

– Na pewno jesteśmy przed czterdziestym dziewiątym. Pewnie w latach trzydziestych, sądząc po wyglądzie domu. Możesz w ogóle chodzić? – zmieniła temat, by nie dać mu okazji do kolejnych narzekań.

– Chyba tak. – Skrzywiony Logan chwycił się za bok. Od samego stania był blady z wysiłku.

– To dobrze. Nie wiem, który to rok, ale nie mogę nas stąd wydostać.

Ból pulsował jej w barku, ale kula rzeczywiście tylko ją drasnęła. Bardziej niż o siebie martwiła się o Logana. Trzeba go było jak najszybciej zabrać do profesora Lachlana, inaczej może nie przeżyć. Niestety, jej zdolność manipulowania czasem nie była nieograniczona, przede wszystkim dlatego, że czas był zawsze powiązany z miejscem. Różne miejsca nosiły ślady całej swojej historii, składały się z chwil ułożonych warstwami – przeszłość, teraźniejszość, przyszłość. Esta mogła się poruszać między nimi pod warunkiem, że dane miejsce istniało w czasie, do którego chciała się przenieść. Rezydencję Schwaba zburzono w 1948 roku. Nie istniała za jej życia i dlatego Esta nie mogła ich stamtąd wydostać. Ale już ulice Upper West Side były z grubsza tymi samymi ulicami.

Logan ledwie powłóczył nogami, ale udało im się jakoś przebrnąć przez puste korytarze. Dopiero gdy zbliżali się do frontowych drzwi, Esta usłyszała jakiś hałas dochodzący z głębi domu.

- Co to było? – Logan uniósł głowę.
- Nie wiem – odparła, ciągnąc go dalej ku wyjściu.
- Jeżeli to Zakon...
- Musimy się pospieszyć – ucieła.

Kiedy otwierała drzwi, pustymi korytarzami niesły się dwa niskie głosy. Wyciągnęła Logana na dwór, w lodowate objęcia dnia, i ruszyli w żółtym tempie ku bramie rezydencji.

Podróż przez warstwy czasu nie była tak prosta jak rozpychanie szczelin między chwilami, aby spowolnić bieg sekund. Pochłaniała dużo więcej energii, wymagała też czegoś, co skupi tę energię i wzmocni jej dar – kamienia, który zdobił srebrną bransoletkę ukrytą w rękawie uniformu służącej; kamienia pod wieloma względami podobnego do Serca Faraona.

Wciąż czuła na ręce jego ciepło, nie wystygł jeszcze po ostatniej podróży w czasie sprzed kilku minut. Bolesna, choć niegroźna rana i wszystko, co się wydarzyło, tak bardzo ją wyczerpały, że miała większe niż zwykle trudności z namierzeniem właściwej warstwy czasu. Im bardziej się starała, tym bardziej kamień się rozgrzewał, aż prawie zaczął ją parzyć.

Esta nigdy nie odbyła dwóch podróży jedna po drugiej. I ona, i kamień potrzebowali chyba więcej czasu na regenerację, ale czas, paradoksalnie, był tym, czego mieli coraz mniej, jeżeli nie chciała, by ponownie ją zobaczono.

Głosy odezwały się bliżej.

Ignorując pieczenie na skórze pod kamieniem, zbierając w sobie całą determinację, jaka w niej pozostała, Esta znalazła w końcu odpowiednią warstwę czasu i przeniosła ich oboje.

Śnieg zniknął i znów poczuła znajomą turbulencję, jak zawsze, kiedy przebywała poza normalną koleją czasu. Rezydencja Schwaba z wolna ustąpiła miejsca płaskiej fasadzie kamienicy z rudawej cegły, a dookoła pojawiło się inne miasto – jej miasto. Szybkie samochody, drzewa pokryte gąszczem liści, budynki wyrosłe znikąd. Był wczesny ranek, tylko parę chwil po tym, jak wyruszyli w przeszłość; na ulicach nikogo, cisza.

Śmiejąc się z ulgą, Esta upadła pod ciężarem Logana na ciepły chodnik.

– Udało się – powiedziała, rozglądając się za Dakarim, ochroniarzem profesora Lachlana i zarazem ich kierowcą.

Ale Logan nie odpowiedział. Biały jak kreda spod przymkniętych powiek patrzył nieprzytomnie na budzące się do życia nowoczesne miasto.

# LIBERO LIBRO

## *Listopad 1900 roku – Bowery*

Dolph Saunders siedział w swoim zaciemnionym gabinecie i gładził palcem strzęp materiału. Nawet po ciemku wiedział, co jest na nim napisane. Miał te słowa wyryte w pamięci, odkąd przeczytał je po raz pierwszy kilka miesięcy temu: *libero Libro*.

„Wolność od Księgi”

W każdym razie tak mu się wydawało. Litery były rozmazane. Może właściwsze było tłumaczenie: „W Księdze wolność”?

– Dolph?

Prązek światła rozciął mrok jego samotni.

– Zostaw mnie, Nibs – mruknął. Odłożył skrawek na biurko przed sobą i osuszył butelkę whisky, z której pił od rana.

Drzwi otworzyły się szerzej i światło wlało się do pokoju. Dolph uniósł rękę, jakby chciał odpędzić nieproszoną jasność.

– Nie możesz cały czas tu siedzieć. Musisz dbać o interes. – Nibs podszedł do okna i podniósł roletę. – O swoich ludzi.

Blask dnia przeszył głowę Dolpha ostrym bólem.

– Życie ci niemiłe, chłopcze? – odwarknął.

Nibs rzucił mu zadziorne spojrzenie.

– Mam prawie szesnaście lat, gdybyś zapomniał.

Dolph chrząknął niezadowolony, ale nawet nie podniósł wzroku.

– Lepiej pilnuj swego niewyparzonego jęzora, bo nie dożyjesz urodzin.

– Jeśli pozwolę ci zapić się na śmierć, wyjdzie na to samo – odparł spokojnie Nibs. – Wszyscy zginiemy. Paul Kelly ze swoim gangiem depczą nam po piętach. Chłopcy Monka Eastmana też ostatnio dokazują. Powinieneś wziąć się do roboty, pokazać im, że nadal jesteś silny i będziesz bronił swego, inaczej zaczną wojnę. Stracisz wszystko, co zbudowałeś.

Dolph z hukiem odstawił butelkę na blat.

– Niech przyjdą.

– A pomyślałeś, ile osób wtedy ucierpi?

– Nie mogę wszystkich uratować – odparł Dolph i poczuł ukłucie sumienia. Posłał już przecież do grobu Spota i Appa. Nie zdołał nawet uchronić Leeny, jedynej osoby, za którą oddałby wszystko. Dosłownie wszystko.

– Leena nie byłaby z ciebie dumna, gdyby cię teraz zobaczyła.

Nibs zaryzykował i zbliżył się do biurka.

– Nie waż się – ostrzegł Dolph, mając na myśli wiele różnych rzeczy. Nie waż się o niej mówić. Nie waż się przypominać mi, co straciłem. Nie waż się zmuszać mnie do bycia kimś, kim już nie jestem. Nie waż się...

Ale Nibs nawet okiem nie mrugnął.

– To ta wiadomość, którą mi wtedy zostawiła, prawda? Nadal próbujesz ją rozszyfrować?

Dolph odruchowo sięgnął po cenny strzęp tkaniny i zaczął przesuwać palcem po wyblakłych literach.

– Leena by tego chciała.

– Mogę zobaczyć?

Dolph podał mu go niechętnie. Nibs z wyrazem wielkiego skupienia przyglądał się zza grubych szkielec łacińskim słowom.



– Masz jakiś pomysł? – zagadnął. – Wiesz, o jaką księgę mogło jej chodzić?

– Nie jestem pewien, ale przypuszczam, że o tę najważniejszą. Chłopak spojrzał znad oprawek z błyskiem ciekawości w oku.

– Najważniejszą?

Dolph skinął głową.

– Ars Arcana.

Po twarzy Nibsza przemknął cień zaskoczenia.

– Księga Tajemnic? – Marszcząc brwi, oddał mu strzęp. – To tylko legenda.

– Być może – odparł Dolph, ostrożnie biorąc od niego skrawek – ale skoro tyle jest historii o księdze skrywającej sekrety magii, to musi być w nich ziarno prawdy.

– A tyle ich jest?

Dolph pokiwał twierdząco głową.

– Według niektórych przekazów Ars Arcana może być starożytną Księgą Thota, dziełem egipskiego boga mądrości i magii, które zaginęło po upadku tamtejszych dynastii. Inni twierdzą, że to zapis początków magii wykradzony z babilońskiej świątyni na krótko przed zniszczeniem miasta. Każda z tych historii kończy się zniknięciem Księgi. – Dolph wzruszył ramionami. – Skąd mamy wiedzieć, czy ktoś jej nie znalazł? Skąd mamy wiedzieć, czy któraś z tych opowieści nie jest prawdziwa? Jeżeli Ars Arcana istnieje, skąd mamy wiedzieć, czy nie wpadła w ręce Zakonu? Spójrz na spustoszenie, jakie sieje Krawędź...

– Ale Zakon...

– Moc Zakonu musiała się skądś wziąć – rzekł Dolph poirytowany. – Przecież to nie są Magini. Skoro nie mają naturalnych darów, jak to się stało, że posiadli tak wielką moc, choćby nawet wypaczoną?

Nibs pokręcił głową.

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

– A ja owszem. Skąd mamy wiedzieć, czy ta księga nie jest tą Księgą? Dla jakiej innej księgi Leena oddałaby własne życie?

Nibs się zawahał.

– Co zamierzasz?

– Jeszcze nie wiem. – Dolph odetchnął ciężko i położył strzęp na biurku. – Leena nie była żółtodziobem. Jeżeli ktoś miałby poradzić sobie w starciu z Zakonem, to najprędzej ona. Nawet ty nie przewidziałeś, jak fatalnie to się skończy.

– Przepraszam...

– Nie mam do ciebie pretensji. To był nasz wybór, jej i mój. Ale nie wiem, czy odważę się narazić kogoś jeszcze na coś podobnego.

– Ale ta wiadomość od niej... – Nibs zmarszczył brwi. – A może ta księga, Ars Arcana czy jakkolwiek ona się nazywa, kryje w sobie klucz do naszej wolności?

– Nie wiem, czy opierając się jedynie na przecuciach, mogę od kogokolwiek wymagać, żeby narażał się na tak wielkie niebezpieczeństwo.

– Magini już teraz są w niebezpieczeństwie – zauważył Nibs. – Codziennie przybywają nowi, myślą, że znaleźli w końcu schronienie, a tymczasem lądują w ogromnej klatce. Dzień po dniu coraz to nowi Magini trafiają do miejsca, z którego nie mogą się wydostać, bo Zakon otoczył ich Krawędzią.

– Myślisz, że tego nie wiem? – zachnął się Dolph. Znów podniósł butelkę do ust i zmarszczył brwi, widząc, że jest pusta.

Nibs zabrał mu ją.

– Potrzebują kogoś, kto stanie w ich obronie. Przywódcy.

Na pewno nie mnie, pomyślał Dolph. Potarł brodę i zdziwił się, jak bardzo mu zarosła. Leenie to by się nie spodobało. Lubiała, kiedy

miał gładką skórę; jej palce, gdy go dotykała, zostawiały na niej ślad ciepła.

Zostawiały, ale już nigdy nie zostawią. Leena nie żyła od kilku miesięcy, a Dolph od tamtej pory nie czuł w piersi nic poza bryłą lodu. I pustką, która wypełniała mu duszę.

– Ja ich nie poprowadzę, Nibs. Już nie potrafię.

Chłopak przechylił pytająco głowę, ale nie naciskał.

– Nic już we mnie nie zostało.

Zapadła niezręczna cisza. Dolph próbował sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek był tak młody jak Nibs. Jako szesnastolatek miał już własną ekipę. Był na początku tej niefortunnej drogi, która się dla nich tak ponuro zakończyła. Od Nibs'a dzieliło go tylko nieco ponad dziesięć lat, które jednak mocno go postarzyły. Nie mówiąc o kilku ostatnich miesiącach – stwardniał przez nie tak, jak inni twardnieją przez całe długie życie pełne rozczarowań.

– Nic? – spytał ostrożnie chłopak.

Dolph zwilżył wyschnięte usta.

– No, coś może zostało. Ale większość zabrała Krawędź, kiedy próbowałem ratować Leenę.

– Znaki?

– Już ich nie czuję. Nie będę w stanie nad nimi zapanować. – Napotkał pytające spojrzenie Nibs'a. – Nie będą się mnie bali, kiedy się dowiedzą.

– Nie muszą się dowiedzieć. – Nibs uporczywie, stanowczo patrzył mu w oczy. – Panowanie nie musi się opierać na strachu. Wystarczy, żeby ludzie myśleli, że podążają za tobą z własnej woli.

– Jeśli się dowiedzą, zmienią zdanie, a bez Leeny...

– Masz jeszcze Violę, ona cię ochroni. Nie jesteś bezbronny.

Nibs miał rację. Zdolność Leeny do neutralizowania darów każdego, kto znajdował się w pobliżu i żywił wrogie zamiary,

pomogła mu zbudować wpływy, ale Viola potrafiła zabijać na odległość. Wynajdywał sobie wymówki, tchórzył, a to nie w jego stylu.

– Zrób to dla niej – nalegał Nibs. – Skoro zostawiła ci tę wiadomość, widocznie tego właśnie chciała. Czy nie chodziło jej o to, żebyś poszukał Księgi, rzucił wyzwanie Zakonowi?

– Dobra. Weź do tego kilka osób, takich, którym ufamy. Tylko niech nikt się nie dowie, za czym wędzimy... Gdyby rozeszła się wiadomość, że Ars Arcana istnieje... – Nie dokończył, lecz obaj rozumieli, jak wielkie groziłoby im niebezpieczeństwo, gdyby wieść o tym, że Dolph jej szuka, dotarła do innych. Księga skrywająca sekrety magii? Ktokolwiek wszedłby w jej posiadanie, byłby nie do powstrzymania, jak Zakon.

I dlatego Dolph pierwszy musiał ją znaleźć.

– Zajmę się tym – rzekł Nibs. – Ale czy mogę mieć prośbę?

– Co znowu? – Dolph zmarszczył brwi zirytowany.

– Weź się wykąp. Ten rynszok na tyłach pachnie lepiej niż ty.

# KLUCZ ISZTAR

## *Współcześnie – Orchard Street*

Pierwszą oznaką, że coś jest nie tak, były zmiany w budynku profesora Lachlana przy Orchard Street. Z zewnątrz wyglądał po staremu, ale w środku wszystko się zmieniło. Wsiadłszy z samochodu, którym przywiózł ich Dakari, weszli do ultranowoczesnego holu z recepcją i ochroniarzem, którego Esta nigdy wcześniej nie widziała. Dodatkowe środki bezpieczeństwa rzucały się w oczy na każdym piętrze, przy każdych drzwiach.

Budynek ten zawsze przypominał bardziej twierdzę niż dom, teraz jednak przez jego surowy wygląd niewidzialne zagrożenia czyhające na zewnątrz zdawały się jeszcze bardziej złowrogie.

Ale nie to było najgorsze.

Jasno oświetlona pracownia w piwnicy, gdzie Mari dawniej produkowała wszystko, czego potrzebowali, zmieniła się w zakurzony magazyn. Wracająca z 1926 roku Esta odkryła, że Mari już nie ma.

I nie chodziło wcale o to, że przestała być częścią zespołu. Mari przestała i s t n i e ć.

Esta szukała przyjaciółki, korzystając z całej wiedzy, którą przez lata zdobyła u profesora Lachlana. Przeglądała archiwa urzędu imigracyjnego, lecz zamiast śladu Mari lub jej rodziny znalazła tylko więcej niepokojących dowodów na to, że jej świat się zmienił.

Nie chodziło jedynie o zniknięcie Mari. Różne drobiazgi, subtelne różnice wskazywały, że Zakon Ortus Aurea pod koniec lat dwudziestych i później poczuł się znacznie silniejszy. Fale deportacji. Rozruchy, których wcześniej nie było. Inne wyniki niektórych wyborów prezydenckich. Wyglądało na to, że Zakon był teraz potężniejszy niż przedtem, zanim Esta i Logan wyprawili się po Serce Faraona.

Drżącymi rękoma Esta szukała w archiwach informacji, których obawiała się najbardziej – o tamtym dniu, kiedy dokonali kradzieży. Musiała wiedzieć, czy to stąd wzięły się te wszystkie zmiany. Musiała mieć pewność.

Nie zdziwiła się, gdy natrafiła na wzmiankę o sobie w dokumentach, w których w ogóle nie powinno jej być. Nie wymieniono jej, oczywiście, z nazwiska. Tamtej nocy nikt ze świadków nie mógł znać jej tożsamości. Znalazła jednak notatkę o włamaniu i kradzieży Serca Faraona.

Wiedzieli, że zabrała prawdziwy sztylet.

I wiedzieli – wynikało to jednoznacznie z tych kilku zdań – że za kradzieżą stali Magini.

Zlekceważyła niebezpieczeństwo. Wychowano ją na bojowniczkę, od najmłodszych lat ćwiczyła umiejętności, które miały pomóc w pokonaniu Zakonu. Uczyła się historii, poznawała zgubne skutki, jakie przyniosła Maginom działalność Ortus Aurea. Codziennie trenowała z Dakarim, by móc się obronić przed każdym atakiem – a mimo to zlekceważyła zagrożenie. Może dlatego, że Zakon i jego dawne zbrodnie wydawały się bardziej legendą niż rzeczywistością. Historie o nich były potworne, ale sam Zakon jawił jej się tylko jako cień gdzieś na obrzeżach świadomości, straszycło z szafy, do której się nie zagląda. Tak łatwo było cofnąć się w czasie, kraść

im rzeczy sprzed nosa, że nigdy naprawdę nie zrozumiała... nie w pełni.

Owszem, to Zakon stworzył Krawędź, a co za tym idzie, skutecznie pozbawił kraj magii – i Maginów. Może był taki czas, kiedy wszyscy wiedzieli o istnieniu magii, na pewno był czas, gdy ludzie obawiali się tych, którzy nią władają, i prześladowali ich, ale u progu dwudziestego pierwszego wieku stara magia – magia naturalna – została w dużej mierze zapomniana. Włożono ją między bajki. Społeczeństwo zapomniało o niej, a więc przestało się jej obawiać. Zakon zszedł do podziemia. Nadal stanowił zagrożenie dla tych nielicznych Maginów, którzy pozostali, ale nie mając poparcia ogółu, działał potajemnie, atakował sporadycznie.

Zmiany w siedzibie profesora, drobne różnice w podręcznikach historii, wreszcie zniknięcie Mari, jakby nigdy nie istniała – to wszystko kazało Eście podejrzewać, że teraz jest inaczej.

I to ona była temu winna.

Dokonując takich a nie innych wyborów, bezwiednie wymieniła życie Mari na życie Logana, swój względnie bezpieczny świat na inną, nieznaną przyszłość. Nie przypuszczała, że to w ogóle możliwe.

Podróże w inne czasy wiążą się z pewnym ryzykiem, to wiedziała, ale profesor Lachlan nauczył ją, że czas przypomina książkę: można usunąć pojedynczą stronę, tu i ówdzie wymazać jakieś słowo, nie zmieniając opowieści. Zawsze sądziła, że zakończenie może się zmienić tylko pod wpływem doniosłych zdarzeń.

Ale najwyraźniej wystarczyło, że ratując Logana, użyła swojej mocy przy świadkach.

Trzy dni po powrocie siedziała w nogach łóżka Logana i obserwowała jego powolny, miarowy oddech. Stracił dużo krwi,

i nawet uzdrowicielska moc Dakariego nie zdołała zapobiec infekcji, z którą się teraz zmagał. Wciąż nie odzyskał przytomności.

Nie żeby Esta kiedykolwiek była z nim szczególnie blisko, ale bądź co bądź należał do zespołu profesora. Potrzebowali go. Widok jego twarzy, bladej i nieruchomej, poruszył ją bardziej, niż się spodziewała.

Słyszając za sobą miękkie kroki przerywane stukotem inwalidzkiej kuli, domyśliła się, że to profesor Lachlan. Nie odwróciła się w jego stronę, nawet gdy wszedł do środka i przystanął, tak jak miał w zwyczaju, kiedy chciał z nią o czymś porozmawiać.

– Niech pan tego nie mówi. Proszę.

– A może przyszedłem ci podziękować, że go uratowałaś?

– Akurat.

Dopiero teraz się odwróciła. Profesor Lachlan stał w progu. Wspierał się, jak zwykle, na srebrnej kuli.

Nie była pewna, ile dokładnie ma lat, ale mimo podeszłego wieku zachowywał dobrą kondycję. Nosił te same tweedowe spodnie i wygniecioną oksfordzką koszulę, w których prowadził wykłady dla tłumnie zebranych studentów na Columbii. Był niskiego wzrostu – niewiele wyższy od Esty, kiedy stał prosto – przez co większość ludzi nie zwracała na niego uwagi, bo kto by się przejmował jakimś staruszką.

Większość ludzi to idioci.

Zaćma, z którą od lat się zmagał, mąciła mu wzrok, lecz mimo to miał czujne i bystre oczy. Kiedy trzy dni wcześniej Esta wyjaśniła mu, co się stało, i próbowała opowiedzieć o Mari, słuchał jej z tym samym co zawsze beznamiętnym wyrazem twarzy, a potem oznajmił, że może odejść. Od tamtej pory ze sobą nie rozmawiali.

– Przyszedł pan mi powiedzieć, że złamałam najważniejszą zasadę. – Esta już trzeci dzień czekała na ten wykład. – Naraziłam



nas wszystkich, demaskując się przed Zakonem. Teraz już to wiem – dodała, z bólem wspominając utratę Mari.

– No cóż. Przynajmniej mam to z głowy – odparł bez uśmiechu. – Musimy porozmawiać – oznajmił po chwili. – Chodź ze mną.

Nie czekał, aż się zgodzi, więc chcąc nie chcąc zostawiła Logana i ruszyła za nim korytarzem w stronę windy. Jechali tym zabytkowym urządzeniem w milczeniu, kabina trzęsła się i łomotała w drodze na ostatnie piętro budynku, którego profesor był właścicielem. Dawniej mieściły się tu prywatne mieszkania, teraz wszystko należało do niego. Esta wychowała się na tych wąskich korytarzach, nie pamiętała innego domu. Dziwne to było dzieciństwo, pełne dorosłych i sekretów – przynajmniej do czasu pojawienia się Logana.

Z windy wyszli prosto do biblioteki profesora, od podłogi po sufit zastawionej książkami. Nie było tu jednak nieczytanych ksiąg o pozłacanych grzbietach jak u Schwaba. Regały profesora Lachlana uginały się od książek oprawnych w spłowiałą skórę lub wytarte płótno, nierzadko popękanych i rozpadających się wskutek długiego użytkowania.

Nikt nie mógł się pochwalić takim zbiorem. Większość tytułów do swojej prywatnej biblioteki profesor kupował pod fałszywym nazwiskiem. Niektóre Esta wykradała właścicielom, którzy nie chcieli się z nimi rozstać. Wielu jego kolegów wiedziało, że posiada okazałą bibliotekę, ale żaden nie miał pojęcia, jaka jest wielka, jak głębokie skrywa tajemnice – nie wiedzieli tego nawet członkowie jego zespołu. W istocie nikt spośród żyjących ani umarłych nie znał tytułu sekretów Nowego Jorku co James Lachlan. Esta spędzała w tym pomieszczeniu prawie każdy dzień swojego dzieciństwa, godzinami oddawała się lekturze, poznawała historię miasta, by móc się wtopić w otoczenie niezależnie od epoki.

Nienawidziła tych długich godzin. Wolałaby je spędzać na dalekich spacerach, podczas których profesor Lachlan objaśniał jej miasto, ulica po ulicy. Albo jeszcze lepiej, włączając się samotnie, ćwicząc wyjmowanie ludziom portfeli, ewentualnie trenując walkę z Dakarim. Ale tamte godziny w bibliotece wyszły jej na dobre. Zdobyła wiedzę, która nieraz pomogła jej wydostać siebie i Logana z ciężkich tarapatów.

Nie uchroniła jej tylko przed błędem w rezydencji Schwaba. Musi poszukać informacji o tym blondasie imieniem Jack. Jeżeli ich drogi znowu się przetną, będzie gotowa.

Profesor Lachlan powolnym krokiem wszedł do pokoju, wyrównując po drodze wysoką stertę książek i papierów. Najwyraźniej nie spieszyło mu się, żeby przejść do sedna.

To był sprawdzian, Esta o tym wiedziała. Sprawdzian, któremu poddawał ją wcześniej i którego nie potrafiła przejść pomyślnie.

– Mówił pan, że chce ze mną porozmawiać – odezwała się, nie mogąc dłużej znieść milczenia.

Profesor popatrzył na nią z wyrazem twarzy, jaki często przybierał, nieprzeniknionym nawet dla osób, które dobrze go znały. Byłby znakomitym pokerzystą, gdyby choć trochę interesował go hazard. Nie robił jednak nic, dopóki nie miał pewności, jaki to przyniesie skutek.

– Cierpliwości, moje dziewczę – przyhamował ją, tak jak miał w zwyczaju, kiedy uważał, że ponoszą ją nerwy, czyli, jego zdaniem, bardzo często.

Z grymasem wysiłku na pomarszczonej twarzy zrobił jeszcze parę mozolnych kroków w stronę biurka. Gdy wyślizgnęła mu się kula, Esta błyskawicznie stanęła u jego boku.

– Powinien pan usiąść – zasugerowała, lecz tylko machnął dłonią i posłał jej takie spojrzenie, że się cofnęła.

Nie cierpiał, kiedy wokół niego skakano. Nie chciał przyznać, że od czasu do czasu może tego potrzebować.

„Nigdy nie odstawiaj swoich słabości” – uczył ją. „Gdy tylko ktoś dojrzy twój słaby punkt, będzie mógł ci tam wbić nóż”

– Nie mam czasu siedzieć. – Utkwił w niej spojrzenie, z którego nie sposób było nic wyczytać. – Pozwoliłaś, aby członek Zakonu cię zobaczył. – Ton jego głosu nie pozostawiał wątpliwości: było to nie tyle stwierdzenie, ile reprimenda.

– Co miałam zrobić? – Esta zadarła brodę. – Zostawić Logana? Uratowałam mu życie. Zabrałam go z powrotem. Ocaliłam nasz zespół.

W twarzy profesora Lachlana nie drgnął ani jeden mięsień.

– Zapomniałaś o swojej misji.

– Wykradłam sztylet.

Profesor zacisnął usta.

– I nie tylko sztylet, prawda?

– Próbowалам panu oddać ten brylant.

– Nie wysłałem cię po brylanty. Gdybyś zjawiała się o umówionej porze, nie byłoby tego wszystkiego.

– Nie zamierzam za to przeproszać – odparła, zmuszając się, żeby spojrzeć mu w oczy. – Dostrzegłam okazję i z niej skorzystałam. Tak jak mnie pan uczył.

– No tak... – Przyglądał jej się uważnie. – Zawsze byłaś dobrą uczennicą, pewnie nawet lepszą niż Logan, choć niewątpliwie mniej zdyscyplinowaną. Jednak tym razem twoja impulsywność miała poważne konsekwencje.

Esta dawno nauczyła się nie ugiąć pod ciężarem jego spojrzenia i teraz też się nie ugięła. Lecz to wytknięcie błędów trafiło ją w czuły punkt.

– Co mam zrobić? – spytała ze ściśniętym gardłem. – Mogę tam wrócić i to naprawić.

– Ciekawe jak. Spróbowałabyś powstrzymać siebie samą? – Profesor Lachlan pokręcił głową. – Nie wiem, czy to w ogóle możliwe. A nie zamierzam bezsensownie narażać kamienia na uszkodzenie. – Przygwoździł ją swoim nieruchomym, cierpliwym spojrzeniem, tak jak to robił zawsze, od czasów jej dzieciństwa. – Co się stało, to się nie odstanie. Trzeba iść naprzód.

– Ale Zakon... – przypomniała. – Sam pan powiedział, że mnie widzieli. – Podniosła wzrok, zmuszając się do patrzenia mu w oczy, tak jak ją uczył od małego. – Przecież całe to wykradanie różnych rzeczy z przeszłości polegało na tym, że Zakon się mnie nie spodziewał. A teraz już wiedzą. Może nawet będą na mnie czekać.

Stałam się dla ciebie bezużyteczna, przemknęło jej przez myśl.

A jeśli tak, to jaką rolę mogła jeszcze odegrać w świecie profesora? Skoro nie nadawała się już do tego, do czego ją wyszkolił, gdzie było teraz jej miejsce?

– Widzieli cię w tysiąc dziewięćset dwudziestym szóstym roku, zgoda. To znaczy, że o d t e g o m o m e n t u wiedzą, kim jesteś. – Popatrzył na nią wzrokiem, który zdawał się dziwić, że sama na to nie wpadła.

Esta doznała olśnienia.

– Ale wcześniej nie – wyszeptała.

– Otóż to.

– Z wcześniejszych lat też na pewno jest co kraść.

Profesor Lachlan posłał jej kolejne nieodgadnione spojrzenie. Patrzyła w ciszy, jak mija stosy starych gazet i książek, zmierzając w stronę ogromnego sejfu w ścianie na drugim końcu gabinetu.

Przytknął dłoń do czujnika i kiedy zamek się otworzył, wyjął z wnętrza skrytki sporych rozmiarów pudełko. Esta nie pytała, czy

potrzebuje pomocy, choć było jasne, że by mu się przydała. W końcu profesor doczłapał się do wielkiego biurka pośrodku pokoju.

Ciężki dębowy blat był zarzucony stertami papierów i zastawiony wieżami z książek. Profesor oparł pudełko na jednej z mniejszych stert, usiadł na krześle z prostym oparciem i odstawił kulę. Dopiero wtedy przemówił.

– Kiedy cię spotkałem wałęsającą się samotnie po Seward Park, nie szukałem dziecka. Ale gdy odkryłem twoje predyspozycje – twój dar manipulowania czasem – zrozumiałem, że możesz stać się kluczem do realizacji moich planów – zaczął pochylony nad blatem.

– Dlatego przez ostatnie dwanaście lat uczyłem cię wszystkiego, co niezbędne do swobodnego poruszania się po mieście w różnych epokach jego dziejów. Nie przygarnąłem cię po to, żebyś kradła świecidełka i stare gazety – podkreślił tonem, w którym przebijało zniecierpliwienie. Przerwał na chwilę, jakby orientując się, że dał się ponieść emocjom, po czym zaczął na nowo, już spokojniej: – Tu nigdy nie chodziło o to, żeby się wzbogacić, moje dziewczę. Wszystkie zadania, które ci powierzałem, miały głębszy sens. – Otworzył pudełko. – Potrzebowałem informacji, a te informacje prowadziły mnie do różnych skarbów, które dla mnie zdobywałaś.

– Zaczął wyjmować z pudełka przedmioty, jeden po drugim. – Znasz już Serce Faraona – rzekł, unosząc w dłoni niedawno przez nią ukradziony sztylet. – Ale twoją pierwszą prawdziwą zdobyczą była Gwiazda Dżina.

Wyciągnął ciężki naszyjnik. Esta przypomniała sobie, że ukradła go jubilerowi z Upper East Side jakieś cztery lub pięć lat temu. W platynowej oprawie tkwił rzadki turkus, który zdawał się kryć w swej błękitnej głębi całą galaktykę.

– Na pewno pamiętasz też łąkę z Delf. – Pokazał jej pierścień z agatem tak przejrzystym, że wydawał się płynny.

Oczywiście, że pamiętała. Miała zaledwie trzynaście lat, kiedy zsunęła go z palca pewnej wytwornej damy w latach sześćdziesiątych. Była to pierwsza rzecz, którą zabrała z przeszłości, a zarazem pierwsza ukradzioną z pomocą Logana. Pojawił się u profesora Lachlana dość niespodziewanie i nie była to dla Esty miła niespodzianka. Wprowadzając go do zespołu, profesor powiedział, że chłopak jest siostrzeńcem znajomego. Odebrała to jako sygnał, że nie do końca jej ufa, że według niego nie jest gotowa do samodzielnych wypraw. Ku jej niezadowoleniu wyprawili się w przeszłość we troje; złapali ją za ręce i tak przenieśli się do Nowego Jorku z połowy dwudziestego wieku. Logan znalazł pierścień, a ona go ukradła. Była zła na Logana, że okazał się potrzebny.

Z czasem jednak przekonał ją do siebie – i to nawet za szybko. Była młoda i niedoświadczona, jej towarzystwo bardzo długo ograniczało się do wąskiego grona przyjaciół profesora, dlatego początkowo nie umiała się bronić przed jego urokiem. Uległa mu. Dopiero później zdała sobie sprawę, że dla Logana to była zabawa. Nie żeby był nieczuły albo bezduszny. Pracował dla zespołu – i dla profesora Lachlana – z takim samym oddaniem i poświęceniem jak ona. Po prostu, czy chodziło o błyszczący klejnot, czy o dziewczynę, która jeszcze z nikim się nie całowała, interesowały go tylko łowy. A gdy już osiągnął swój cel...

– A tu mamy Smocze Oko... – Profesor Lachlan przywołał ją z powrotem do teraźniejszości, wydobywając z pudełka lśniący diadem. Zdobiał go duży bursztyn tak gęsto zdobiony złotem, że aż świecił.

Znalazła ten diadem w Chinatown w latach czterdziestych. Miała czternaście lat i była to ich pierwsza duża misja bez udziału profesora Lachlana. Pogodziła się już wtedy z tym, kim jest dla Logana, i wybaczyła mu, że zrobił jej nadzieję na coś więcej. Zawiązała się nawet między nimi szorstka przyjaźń. Profesor Lachlan potrzebował Logana i mu ufał, a ona ufała profesorowi. Koniec kropka.

– No i Klucz Isztar. – Wyjął z pudełka skarb, który znała najlepiej ze wszystkich.

Dziwny kamień, ciemny, podobny do opalu, mieniący się tęczą głębokich kolorów. Wprawiony w bransoletkę na ramię, która idealnie leżała na bicepsie Esty, pozwalał jej wędrować w górę i w dół przez warstwy czasu. Rysa przecinająca zygzakiem jego gładką powierzchnię przypominała o jeszcze jednym popełnionym przez dziewczynę błędzie. Na sam widok Esta poczuła ścisnięcie w dołku.

Odkryła to pęknięcie dopiero po powrocie do budynku przy Orchard Street. Przyczyna mogła być tylko jedna: użyła kamienia zbyt wcześnie, zanim zdążył ostygnąć. Wciąż nie wiedziała, jak to wpłynie na jego moc, ale fakt, że znajome ciepło i energia kamienia wyrywały się do niej z daleka, uznała za dobry prognostyk.

Przyglądając się przedmiotom rozłożonym na biurku, miała wrażenie, że ogląda własną historię, wiedziała jednak, że nie o to tutaj chodzi. Patrząc na te pięć obiektów, dostrzegała prawidłowość, z której wcześniej nie zdawała sobie sprawy.

Profesor Lachlan przesunął palcem po rysie na Kluczu Isztar i rzekł po chwili namysłu:

– Te pięć kamieni znajdowało się kiedyś w posiadaniu Ortus Aurea. Kiedy Zakon był u szczytu swej potęgi, trzymał je w skarbcu zwanym Misterium, gdzieś w podziemiach swojej głównej siedziby

w Khafre Hall. Dostęp do nich miały tylko najwyższe kręgi. Istnienie tych kamieni było źródłem potęgi Zakonu, dopóki nie zostały skradzione.

Podniosła wzrok.

– Skradzione?

Profesor Lachlan otworzył jeden ze swoich zeszytów i przewracał w nim kartki, aż natrafił na wklejony pożółkły wycinek z gazety. Podsunął zeszyt Eście.

– W roku tysiąc dziewięćset drugim grupa Maginów podjęła próbę obalenia potęgi Zakonu – wyjaśnił. – Włamali się do Misterium i ukradli najcenniejsze skarby. Nie wszystko poszło jednak po ich myśli. Jeden z uczestników tej akcji wystawił resztę do wiatru. Grupa się rozproszyła i artefakty przepadły.

Esta przebiegła wzrokiem po spłowiałej kolumnie tekstu.

– To przecież informacja o pożarze – zauważyła. Nie było tam ani słowa o kradzieży.

– Oczywiście. Zakon nie mógł pozwolić, by ktokolwiek poznał prawdę. Gdyby się rozeszło, że okradziono ich z tak ważnych skarbów – i że uczynili to ludzie, nad którymi Zakon próbował zapanować – ucierpiałyby ich wizerunek. Mogłoby to ośmielić inne grupy. Zakon nie przyznał się do straty. Ukrywał swoje porażki. Udawał, że nic się nie stało, że wszystko jest po staremu. I to działało, przynajmniej przez jakiś czas. Uczyłem cię już o początkach poprzedniego wieku. Wiesz, jak niebezpieczne było to miasto dla każdego posiadacza starej magii – pożary, naloty pod pozorem ochrony porządku. No i oczywiście Krawędź. Pod tym względem kradzież artefaktów Zakonu niewiele zmieniła. Natomiast z upływem lat stara magia zaczęła zanikać i odchodzić w zapomnienie. Nowe pokolenia były coraz słabsze i miasto zaczęło zapominać o swoim strachu. Ale nie Zakon. Przez lata najwyżsi



rangą członkowie Zakonu usiłowali odnaleźć te przedmioty, umieścić je znowu w jednym miejscu, ale myśmy im to udaremнили. Od czasu do czasu gdzieś na aukcji, na przykład w rezydencji Schwaba, pojawiał się pojedynczy przedmiot, krążyły też plotki, ale od tamtej wielkiej kradzieży te przedmioty ani razu nie znalazły się obok siebie. – Profesor uśmiechnął się z błyskiem w starych oczach. – Aż do teraz.

Nie musiał jej tłumaczyć, że każdy z tych kamieni jest czymś więcej, niż się wydaje. Tak jak Klucz Isztar ją wołał, tak samo wszystkie artefakty razem wzięte wypełniały bibliotekę ciepłą, upojną energią.

– Widzisz – mówił dalej – to, co robiłem przez ostatnie lata, to była metodyczna praca. Jeden po drugim odkrywałem los tych kamieni, zdobywałem je i przechowywałem. Ale to nie wystarczy. Wszystko, co uczyniliśmy do tej pory, było jedynie wstępem do zdobycia najważniejszego z artefaktów. – Pochylił się lekko do przodu. – Byłem bardzo ostrożny, zauważyłaś? Z każdą kolejną misją cofałaś się trochę dalej w przeszłość, każda była nieco większym wyzwaniem od poprzedniej. Przygotowywałem cię do tej, od której wszystko zależy.

Esta lekko się wyprostowała. Profesor Lachlan wciąż był gotów jej zaufać. Wciąż jej potrzebował.

– Co to za przedmiot? – spytała tonem, w którym przebijała głęboka chęć dowiedzenia swojej wartości.

Uśmiechnął się.

– Ostatnia z rzeczy, które ukradziono wtedy ze skarbca. Księga.

Esta nie potrafiła ukryć rozczarowania. Ukradła już dla niego tyle książek.

– Jeszcze jedna? – spytała z niedowierzaniem.

– Nie, to nie będzie j e s z c z e j e d n a. – Oczywiście rozbłąsły. – To będzie najważniejsza ze wszystkich. Ars Arcana.

Mimo całego swojego wykształcenia i wielu, wielu godzin nauki o mieście i Zakonie Esta jeszcze nigdy nie zetknęła się z tą nazwą. Profesor najwyraźniej dostrzegł jej zmieszanie.

– To legendarna księga, ponoć tak stara jak sama magia – wyjaśnił z nutą zniecierpliwienia. – Przez lata była w rękach Zakonu. Wierzę, że znajdę w niej odpowiedź na pytanie, jak wykorzystać te kamienie do zniszczenia Ortus Aurea raz na zawsze. Wyobraź to sobie, moje dziecko: Magini nie musieliby się już ukrywać. Bylibyśmy wolni.

Wolni. Esta nie była nawet pewna, co to słowo oznacza. Kochała swoje miasto, nigdy tak naprawdę nie myślała o życiu poza nim, nie miała w sobie takiej tęsknoty. Jednak profesor Lachlan patrzył na nią z ciepłym uśmiechem i nadzieją.

– Niech mi pan powie, gdzie ona jest, a zdobędę ją dla pana – oznajmiła.

Profesor spochmurniał.

– Cóż, tutaj niestety zaczynają się schody. Księga zaginęła. Prawdopodobnie została zniszczona.

– Zniszczona?

Pokiwał twierdząco głową.

– Jeden z członków drużyny oszukał resztę. Zabrał Księgę i zniknął. Gdyby nadal istniała, już bym ją znalazł. Ja lub Logan. – Oczywiście znów mu zajaśniały. – Dlatego musisz powstrzymać zdrajcę, zanim się ulotni. Gdyby udało ci się uratować Księgę i wrócić z nią tutaj, wszystko by się zmieniło.

Esta poczuła zew przygody, zachowała jednak spokój.

– Kto to jest? Gdzie go znajdę?

Profesor Lachlan przez chwilę się jej przyglądał, a kąciki jego ust delikatnie się uniosły. Nie był to jeszcze uśmiech, ale zrozumiała, że powoli odzyskuje to, co straciła w jego oczach.

– Wiosną tysiąc dziewięćset drugiego roku, bo wtedy włamano się do skarbcza. – Profesor popukał palcem w żółty wycinek z prasy. – Będziesz musiała się cofnąć znacznie dalej niż do tej pory. W tamtych czasach to było zupełnie inne miasto.

– Poradzę sobie – zapewniła.

– Nie rozumiesz... M a g i a była wtedy inna. Teraz ludzie myślą, że magia to legenda. Ale w tamtych latach panowała zupełnie inna atmosfera. Ludzie wiedzieli o istnieniu starej magii i obawiali się tych, którzy nią władali. W powietrzu wisiało przecucie, że lada chwila coś się wydarzy. Każdy opowiadał się po jednej ze stron.

– Wiem – odparła. – Uczył mnie pan o tym.

– Być może.

Z westchnieniem podniósł z biurka jej bransoletkę i marszcząc brwi, oglądał pęknięcie.

– Nie wiem tylko – dodał – czy jesteś już gotowa. Twoja ostatnia misja dała mi do myślenia...

Esta chciała wyciągnąć rękę po bransoletkę, ale się powstrzymała. Bądź co bądź nie należała ona do niej – mogła ją zakładać, kiedy profesor potrzebował czegoś z przeszłości. Na co dzień trzymał ją zamkniętą w sejfie. A mimo to Esta nie mogła przestać myśleć o niej jak o swojej, odkąd tylko po raz pierwszy wsunęła ją na ramię przed sześcioma laty, w wieku jedenastu lat, i przekonała się, że ma przed sobą coś więcej niż wyjmowanie grubych portfeli z kieszeni gapowatych turystów.

– Więcej pana nie zawiodę – obiecała.

Lecz profesor nie podał jej bransoletki. To była kara, łagodna, ale jednak. Nęcił ją obietnicą kamienia i jednocześnie przypominał,

do kogo tak naprawdę należy Klucz Isztar i jego moc.

– Nie możemy czekać, aż Logan wyzdrowieje. Nie mamy czasu do stracenia. Udasz się po Księgę sama.

– Sama? – powtórzyła. – Ale jak mam ją znaleźć bez niego?

– Dołączysz do grupy, która ją ukradnie.

Esta zmarszczyła brwi. Zbiła ją z tropu ta zmiana wypracowanego przez lata sposobu działania.

– Ale gdybyśmy poczekali na Logana, moglibyśmy ich uprzedzić. Wpaść i wypaść, tak jak pan zawsze powtarza. Po co ryzykować, że Księga zniknie?

– Nie – odparł surowo profesor Lachlan. – To się nie uda.

– Ale z moim darem...

– To za mało – uciął. – Myślisz, że weszłabyś spacerkiem do twierdzy Zakonu i gwizdnęła im Księgę? Jesteś utalentowaną złodziejką, ale dostanie się do skarbcza i pokonanie wszystkich zabezpieczeń wymagało pracy zespołowej. I pomocy osoby, która okazała się zdrajcą.

– Na pewno jest jakiś inny, prostszy sposób – upierała się Esta.

– Nawet gdyby... – Profesor Lachlan pokręcił głową. – Każda z naszych misji była starannie przemyślana, aby Zakon w ogóle nie zdawał sobie sprawy, że ich okradamy. Planowałem wszystko tak, żeby nie zostawić żadnych śladów. Miałem po temu powody. No i spójrz, co się stało ostatnim razem – demaskując się, zmieniłaś bieg historii. Im głębiej będziesz ingerować w przeszłość, tym większy wywrze to wpływ na teraźniejszość.

Jeszcze raz stuknął palcem w wycinek z gazety.

– To włamanie musi przebiec tak samo jak wtedy. Nie wolno ci niczego zmieniać, to zbyt ryzykowne. Zastanów się: jeżeli nie dojdzie do włamania lub Zakon dowie się, kto za wszystkim stał, nie sposób przewidzieć, jakie to będzie miało konsekwencje dla

przyszłości. Dla naszej terażniejszości. Tylko jedno może się zmienić: to, kto ucieknie z Księgą. Inaczej strach pomyśleć, jakie będą reperkusje.

Esta wspomniała Mari. Tak, wiedziała aż za dobrze, jakie mogą być skutki.

– Poza tym – ciągnął profesor, przyglądając się wąskiej szczelinie w kamieniu – wcale nie jestem pewien, czy Klucz Isztar zdoła znów przenieść w czasie dwie osoby. Ostatnim razem go nadwyreżyłaś. Teraz musisz wyprawić się sama. – Wciąż się nie uśmiechał, kiedy wyciągnął srebrną bransoletkę przed siebie. – No chyba że nie czujesz się na siłach.

Esta chwilę się wahała, zanim po nią sięgnęła. Wyglądało to na kolejny sprawdzian. Jeżeli i tym razem zawiedzie, czym to się skończy? Ile ludzkich istnień narazi na niebezpieczeństwo?

Za to jeśli misja zakończy się sukcesem... Może dzięki odzyskaniu Księgi zdoła wszystko naprawić? Przywrócić życie Mari?

Pomyślała o tej rzeszy ludzi, którzy nadal żyją w mrokach miasta, o wszystkich, których dary słabną i marnieją, od lat nieużywane, pogrążone w zapomnieniu. Skoro jednak pomyłka w przeszłości mogła spowodować tyle zmian w terażniejszości, co by się stało, gdyby Zakon został wtedy pokonany? Gdyby jej misja się powiodła, Esta mogłaby nie tylko naprawić popełnione błędy i wyprostować terażniejszość. Może zdołałaby napisać przyszłość od nowa. Uratować magię.

Nie musieliby się dłużej ukrywać.

Wzięła bransoletkę. Srebro po wyjęciu z sejfów było jeszcze zimne, ale wsunęła je na ramię bez mrugnienia okiem. Znów poczuła zew kamienia, jakby coś ją rozgrzewało od środka. Coś jakby uczucie wielkiej szansy... Obietnica mocy.

– Proszę powiedzieć, kto ich zdradził – odezwała się z determinacją w głosie. – Kogo mam powstrzymać?

Usta profesora Lachlana wygięły się w uśmiechu, ale spojrzenie miał lodowate.

– Znajdź maga – odpowiedział. – Zatrzymaj go, zanim zniszczy naszą przyszłość.

# STO DIABLÓW

## *Sierpień 1901 roku – Bowery*

**H**arte Darrigan przeklinał się w myślach, brnąc przez Sto Diablów, zatłoczony i zadymiony klub bokserski na Lower East Side należący do gangu o tej samej nazwie. Chrzęst kości miażdżonej przez pięść, która dosięgła celu, wywołał entuzjazm wśród publiki, a jego przypawił o szybsze bicie serca i pozbawił resztek animuszu.

Melina pełna była ludzi, z którymi Harte przez całe życie chciał mieć jak najmniej wspólnego. Reprezentowali oni najgorszy element ludzkości – o ile w ogóle zasługiwali na to miano – na południe od Houston Street, szerokiej alei oddzielającej tych, którzy mieli pieniądze, od tych, którzy ich nie mieli i raczej nigdy mieć nie będą. Sam Harte mógł być kłamcą i oszustem, ale przynajmniej uczciwym. W każdym razie tak sobie powtarzał. Przed trzema laty postawił wszystko na jedną kartę i opuścił gang Paula Kelly’ego; od tamtej pory zdołał sobie jakoś ułożyć życie i wcale nie miał ochoty mieszać się w nieustanną wojnę między bandami rządzącymi na Dolnym Manhattanie.

A jednak przyszedł tutaj.

Nie powinien. Był idiotą, że się zgodził na to spotkanie. Skończonym idiotą, że dał się wciągnąć Dolphowi Saundersowi

z powrotem do tego świata, że uwierzył w mrzonkę, jaką była obietnica wolności. Tylko głupcy marzyli o wydostaniu się z miasta.

Musiał być głupcem, skoro zgodził się na spotkanie z Dolphem Saundersem, wiedząc, do czego tamten jest zdolny. Widział na własne oczy jego okrucieństwo. Gdyby był mądrzejszy, wzięłby nogi za pas, dopóki jeszcze mógł..

Nagle usłyszał znajomy głos wołający go po imieniu – i zrozumiał, że teraz już się nie wycofa.

Chłopak idący w jego stronę był chyba najchudszy i najniższy w całej knajpie. Na czubku prostego nosa miał okulary. W odróżnieniu od większości klienteli jego ubranie nie odznaczało się krzykliwymi kolorami charakterystycznymi dla elegantów z Bowery. W szelkach i prostej koszuli bez kołnierzyka trochę przypominał wyrośniętego gazeciarza. Inaczej niż wielcy jak dąb mężczyźni sączący alkohol po całym dniu ciężkiej pracy, Nibsy Lorcan sprawiał raczej wrażenie kogoś, kto większość czasu spędza nad książkami.

– Harte Darrigan – rzekł Nibsy, pozdrawiając go dziarskim skinieniem głowy. – Dobrze cię widzieć.

– Chciałbym móc powiedzieć to samo, Nibs.

Chłopak wetknął rękę do kieszeni.

– Już myśleliśmy, że nie przyjdiesz.

– Twój szef dał mi do zrozumienia, że byłbym idiotą, gdybym przynajmniej go nie wysłuchał.

Nibsy uśmiechnął się przyjaźnie.

– Nie sądzę, by ktokolwiek mógł cię wziąć za idiotę, Darrigan.

– Nie wiem, czy się z tobą zgadzam, Nibs, zważywszy, że przyjąłem to zaproszenie. A gdzie jest Dolph, tak w ogóle? Czyżby znowu wyręczył się tobą?



– Czekaj na zapleczu. – Spojrzenie Nibsza na chwilę powędrowało na drugi koniec sali. – Znasz go.

– Tak – odparł Harte. – Znam go dobrze. Tym bardziej nie powinienem być tu przychodzić.

Już się odwracał do wyjścia, gdy Nibs chwycił go za ramię.

– Ale skoro przyszedłeś, mógłbyś chociaż posłuchać, co ma ci do powiedzenia. – Wzruszył ramionami z udawaną niewinnością, na którą Harte nie dał się nabrać. – Przynajmniej strzel sobie jednego. Chyba nie odmówisz darmowego napitku?

Spojrzał zapraszająco w stronę drzwi na końcu sali.

Harte może i był idiotą, ale niepozbawionym ciekawości. Nie miał pojęcia, co mogło sprawić, że Dolph zwrócił się do niego o pomoc po tym, jak się poróżnili. Chciał wiedzieć, co w niego wstąpiło – w tego człowieka, który zazdrośnie strzegł swoich tajemnic – że roztoczył przed nim tak absurdalne obietnice.

– Posłucham, co ma do powiedzenia, ale dziękuję za poczęstunek.

Nibs poruszył się nerwowo, zaraz jednak przywołał na twarz swój sympatyczny uśmiech.

– Tędy. – Poprowadził Harte'a w kierunku zaplecza. Przeszli przez dwie pary wahadłowych drzwi do bardziej zaciszego pomieszczenia.

Choć od czasu ich ostatniego spotkania minęły lata, Dolph prawie się nie zmienił. Ta sama szczupła, stwardniała twarz z nosem ostrym jak nóż. Ta sama biała czupryna nad czołem, którą Harte pamiętał jeszcze z ich wspólnego dzieciństwa. Ten sam chytry błysk w zimnych oczach. A właściwie w jednym oku – drugie było zasłonięte czarną skórzaną przepaską.

W pomieszczeniu znajdowały się jeszcze cztery inne osoby. Harte rozpoznał Violę Vaccarelli i Jianyu Lee, czyli odpowiednio zabójczynię i szpiega na usługach Dolpha. Twarze dwóch

pozostałych mężczyzn nic mu nie mówiły. Sądząc po krzykliwych spodniach i przekrzywionych melonikach, były to najemne osiłki na wypadek, gdyby coś poszło nie tak. A zatem Dolph miał do Harte'a tyle zaufania, ile Harte do niego.

I dobrze. Może kiedyś się przyjaźnili, ale tak jest lepiej.

– Cieszę się, że cię widzę, Dare. – Dolph posłużył się starą ksywą, której Harte dawno już nie używał. Nie wyciągnął przy tym ręki na powitanie, a jedynie zacisnął mocniej palce na srebrnej głowie gorgony wieńczącej jego łaskę.

– Nie mogę powiedzieć, żebym podzielał twoją radość.

Barwne zbiry w rogu zrobiły krzywe miny, Violi zaś tylko drgnął kącik ust. Jak dotąd nie sięgnęła po noże, więc przynajmniej na razie nic mu nie groziło.

– Napijesz się czegoś? – spytał Dolph, sadowiąc się na swoim krześle, ale nie proponując Harte'owi, żeby usiadł.

– Darujmy sobie wstępy, Dolph. Dlaczego chciałeś się ze mną zobaczyć? Wiesz, że mam nowe życie.

– Ja słyszałem co innego. Możesz twierdzić, że jesteś wolnym człowiekiem, ale Paul Kelly nadal trzyma cię na pasku. Nie mam racji?

– Nie chodzę na niczym pasku – odparł Harte tonem, w którym pobrzmiwała przestroga. Nie dziwiło go jednak, że Dolph zna prawdę. Zawsze umiał się dowiedzieć rzeczy, które człowiek najbardziej starał się ukryć. – I wiem, że twoja obietnica jest nie do spełnienia. Ucieczka z miasta? Nie urodziłem się wczoraj.

– W takim razie co tu robisz?

– Żebym to ja wiedział – rzekł Harte. Zdał sobie sprawę, że gniecie brzeg kapelusza w zaciśniętej pięści. Rozluźnił palce.

W oku Dolpha pojawił się błysk.

– Zawsze lubiłeś wyzwania, prawda?

– Może chciałem się przekonać, czy plotki na twój temat są prawdziwe – odparł chłodno Harte. – Czy po śmierci Leeny rzeczywiście postradałeś rozum, tak jak mówią ludzie.

– Nie będziemy o tym rozmawiać. – Twarz Dolpha przybrała zacięty wyraz, choć jednocześnie lekko poszarzała. – Nikt, komu życie miłe, o tym nie rozmawia.

– Nie wątpię – zgodził się Harte. Pokręcił głową. – To był błąd.

Zawrócił do wyjścia, lecz Jianyu zastąpił mu drogę.

– Dolph, każ mu się odsunąć.

– Mam dla ciebie propozycję – rzucił Dolph.

– Nie jestem zainteresowany. – Harte zwrócił się w stronę Jianyu.

– Twój wuj pęka z dumy, co? Na pewno jest zachwycony, że zostałeś lokajem tego tutaj.

Wszyscy wiedzieli, że Jianyu Lee jest bratankiem Toma Lee, przywódcy On Leong Tong z Chinatown. Chłopak mógł mieć swój własny teren, może nawet przewodzić własnej ekipie, ale zdecydował inaczej. Dolph Saunders miał w sobie coś takiego, że przyciągał ludzi. Nawet tych, którzy powinni mieć więcej rozsądku.

Jianyu tylko uśmiechnął się ponuro, jakby chciał go przestrzec.

– Dolph, powiedziałem: każ mu się odsunąć – powtórzył Harte, starając się nie okazywać nerwów. Może i był idiotą, ale nie aż takim, żeby nie zdawać sobie sprawy z niebezpieczeństwa, w jakim się znalazł.

– Myślę, że zmieniłbyś zdanie, gdybyś poświęcił mi pięć minut – odrzekł Dolph. – Nie zmuszaj mnie, żebym kazał jednemu z moich chłopców użyć perswazji.

– Groźby? – Harte spojrział na dwóch zbirów stojących w głębi za Dolphem. – To nie w twoim stylu, staruszk.

Dolph miał może dwadzieścia pięć lat, jednak białe włosy i wrodzony autorytet od zawsze go postarzały. Kiedyś to „staruszkę” było pieszczotliwym zwrotem przyjaciela do przyjaciela. Ale to już minęło. Teraz Harte rzucił w niego tym słowem jak obelgą.

Dolph wykrzywił usta, lecz na tym poprzestał.

– No cóż – odrzekł. – Jak widać, można nauczyć starego psa nowych sztuczek. Usiądź – dodał beznamiętnie. – Daj mi pięć minut, zanim zrobisz coś głupiego. A może jeszcze nie wyrosłeś ze swojej zapalczywości?

Za plecami Dolpha jaskrawe pawie drgnęły, jakby czekając na rozkaz szefa. Zerkając podejrzliwie w ich stronę, Harte rozważał w duchu, czy woli wyjść szybciej, ale z podbitym okiem, czy później, ale ze zranioną dumą. Wyglądając jak oprych, miałby jednak problemy z czarowaniem publiczności. Zawrócił więc i usiadł przy stole.

– Pięć minut. Ale od razu ci mówię, że nie interesują mnie twoje intrygi. Nigdy mnie nie interesowały.

– Na to konkretne kłamstwo spuszczę zasłonę. A co do ucieczki z miasta, nie jest żadną intrygą – rzekł Dolph, dając znak Nibsy’emu, żeby nalał Harte’owi szklaneczkę whisky. – To realna możliwość.

Harte poczuł, że podnoszą mu się włosy na karku. Z miasta można się było wydostać tylko jedną drogą – przez Krawędź – i nie miał najmniejszej ochoty próbować. A już tym bardziej nie chciał być do tego zmuszany.

Przesunął się nerwowo na krześle.

– Kolejne groźby? – spytał ostrożnie.

– Skąd. Propozycja. Szansa.

– Nikt z nas nie jest w stanie opuścić miasta – oznajmił powoli Harte, zastanawiając się, co też Dolph kombinuje. – Każdy Magin wie, jaką cenę musiałby zapłacić.

Dolph upił duży niespieszny łyk ze swojej szklanki, skinął na Nibsa, żeby mu dolał, po czym rzekł:

– Krawędź nie istnieje od zarania świata, Darrigan. Kiedyś jej nie było. Nie przyszło ci nigdy do głowy, że skoro Zakon jakoś ją stworzył, to musi istnieć sposób na jej zniszczenie?

– Teraz już nie mam wątpliwości, że marnujesz mój czas. – Harte pokręcił głową. – Gdybyś wiedział, jak zrobić dziurę w tej pułapce na szczury, w której wszyscy tkwimy, już dawno byś to zrobił i zaczął pobierać opłaty za przejście. – Odsunął krzesło, żeby wstać, lecz Jianyu stanął za nim i oparł się na jego ramionach. Kciuk Chińczyka wpijał mu się w miękki punkt u nasady szyi. – Zabieraj swojego fagasa, Dolph. Mam ważniejsze rzeczy do roboty.

– Ortus Aurea nie włada prawdziwą magią – kontynuował Dolph. – Cała ich potęga opiera się na fałszywej magii. Ma to swoje konsekwencje. Krawędź nie jest prawdziwą magią, mimo że niszczy prawdziwą magię.

– Wydała mi się dość prawdziwa, kiedy wyssała wszystko z mojej matki, zostawiając tylko ludzki wrak.

– Nie twierdę, że Zakon nie jest potężny – odparł Dolph. – Próbuję tylko powiedzieć, że można go pokonać. Członkowie Zakonu traktują magię jak swego rodzaju boskie piętno. Nie mieści im się w głowach, że ubogie, wynędzniałe masy, które przybywają tu zza oceanu, mogą mieć silniejszą więź z tym, co boskie, niż oni sami. My z kolei wiemy, że magia nie ma nic wspólnego z aniołami czy demonami. Stara magia, którą obaj dobrze znamy, to więź ze światem. Nie można podzielić naszych darów na żadne jasno określone kategorie albo elementy, tak samo jak nie da się

rozdzielić ognia i powietrza. Jedno potrzebuje drugiego. Kiedy Zakon próbuje rozdzielić elementy i panować nad nimi za pomocą swoich rytuałów i tak zwanej nauki, płaci za to cenę. Takie działanie osłabia magię jako całość.

– Jesteś ostatnią osobą, od której spodziewałem się coś takiego usłyszeć – odparł Harte z kamienną twarzą. Poruszył barkiem na próbę, lecz Jianyu nadal trzymał go mocno.

Dolph zmarszczył brwi, ale nie odpowiedział na przemycony w tych słowach zarzut.

– Wiesz, że mam rację – stwierdził. – Ich moc, w przeciwieństwie do naszej, nie jest naturalną częścią świata. Uważam, że jeśli pozbawimy ich źródła tej mocy, będziemy mogli zniszczyć Krawędź.

– Chodzi ci o to, żeby pójść z nimi na otwartą wojnę – zauważył Harte. To już była przesada, nawet jak na Dolpha.

– Chodzi mi o to, żeby zniszczyć jedyne narzędzie, które daje im władzę nad nami.

– Bajki opowiadasz.

Dolph nawet nie mrugnął.

– Każdego dnia do tego kraju – do tego miasta – ściągają ludzie, którzy wierzą, że ich dzieci będą tu bezpieczniejsze niż tam, skąd przyплыnęli. Przybywają skuszeni obietnicą życia z dala od uprzedzeń i nienawiści, z jakimi spotykali się w swoich ojczyznach. Wszystko to kłamstwa. Każdy Magin, który się tu zjawia, jest jak ryba złapana w sieć. Po przybiciu do brzegu nie może opuścić tego miasta, nie wyrzekając się swojej istoty, a dopóki tkwi na tej wyspie, dopóty zdany jest na łaskę Zakonu. Ludzie sprawujący władzę nie pozwolą mu rozwinąć skrzydeł.

– Wszystko to już wiem, Dolph – powiedział Harte. Od tych banałów przewracało mu się w żołądku. – Ale nawet tutaj, w tym mieście, można sobie ułożyć życie.

Dolph spojrział drwiąco.

– Tak jak ty?

– Radzę sobie nie najgorzej.

– Pewnie. Masz nowe ubrania, bezpieczne mieszkanie w dobrej dzielnicy, forszę w kieszeni. Masz nawet paru znajomych z koneksjami. Ale jak myślisz, co by się z tobą stało, gdyby ci nowi znajomi dowiedzieli się, kim naprawdę jesteś? – Dolph nachylił się do przodu. – C z y m naprawdę jesteś.

Harte ani drgnął.

– Zamierzasz zrujnować mi życie, które sobie zbudowałem? Bywało już gorzej.

– Nie, Darrigan. Chciałbym wykorzystać twoje nowe życie dla naszej sprawy.

– Nie obchodzą mnie wasze sprawy.

Dolph puścił to mimo uszu.

– To dobrze, że udało ci się tyle osiągnąć, ale ty zawsze miałeś w sobie dużo wytrwałości. Nie wszyscy są tacy. Zresztą nawet człowiek z twoją wytrwałością ma w tym mieście ograniczone możliwości. Byliśmy kiedyś przyjaciółmi, więc potrafię sobie wyobrazić, jakie to dla ciebie irytujące, że musisz się kryć ze swoją prawdziwą naturą. Dopóki Zakon ma nad nami władzę, nasza natura zawsze będzie nam kulą u nogi. Gdybyśmy jednak zniszczyli główny instrument tej władzy, mógłbyś żyć inaczej. Krawędź można zlikwidować, jestem tego pewien.

– Niby skąd ta pewność? – zapytał Harte. – Zresztą moje obecne życie mi odpowiada. Nie dam się zabić za jedną z twoich obłąkańczych teorii.

– To nie jest teoria. – Dolph skinął głową na Jianyu i ucisk na ramiona Harte'a zelżał. Następnie wydobył z kieszeni skrawek

materiału i położył go na stole. – Leena poświęciła życie, żeby mi to przekazać.

Harte odczytał namazane krwią litery.

– Nie znam włoskiego – oznajmił.

– To łacina – poprawił go Dolph.

– Co to znaczy?

– *Libero Libro*. To znaczy, że Zakon ma księgę...

– Jestem pewien, że mają mnóstwo książek.

– Zapewne – odparł Dolph, nie dając się sprowokować. – Ale jednej strzegą jak oka w głowie. Gdybyśmy ją zdobyli, bylibyśmy wszyscy wolni.

Harte rzucił mu spojrzenie pełne niedowierzania.

– Wątpię, by wszystko dało się załatwić jedną książką.

– Chyba że ta książka to *Ars Arcana*.

Harte przez chwilę milczał.

– Twoim zdaniem Zakon ma *Ars Arcana*?

Dolph popukał palcem w skrawek z napisem.

– Owszem.

Harte pokręcił głową.

– Nawet jeśli masz rację, nawet jeśli Zakon odnalazł Księgę Tajemnic, nigdy nie uda nam się jej wykraść. Każdy wie, że Khafre Hall to twierdza. Nie zdołalibyśmy nawet dostać się do środka, a co dopiero wynieść stamtąd książkę, *Ars Arcana* czy jakąkolwiek inną.

– Myślę, że się mylisz – odparł Dolph. – Z odpowiednią drużyną można dostać się do środka o r a z wynieść Księgę. Pomyśl o tym, Dare... Wszystko mogłoby się zmienić. Koniec ze slumsami. Koniec z nędzą. Gdyby nie było Krawędzi, mógłbyś opuścić to miasto i być panem swojego losu. Żyć, jak chcesz i gdzie chcesz, zachowując swój dar.



Harte zignorował tę atrakcyjną wizję.

– Tylko członkowie Ortus Aurea mają wstęp do Khafre Hall – zauważył sucho.

– I dlatego wprowadzi nas do środka jeden z nich – wtrącił Nibs.

Harte przez chwilę patrzył na chłopaka oniemiałym wzrokiem.

– Ty też oszalałeś – oznajmił wreszcie. – Czy muszę wam przypominać, że oni nas nienawidzą? Żaden członek Zakonu nigdy nie pomoże jednemu z nas.

Dolph wbił w niego znaczące spojrzenie.

– W swoim nowym życiu poznałeś wielu ciekawych ludzi. Podobno widziano cię z Jackiem Grew, jednym z bratanków J.P. Morgana. Prawda to?

– A nawet jeśli? – spytał cicho Harte.

– Morgan to jeden z najwyższych postawionych przedstawicieli Zakonu.

– Nie. – Harte pokręcił głową, odsunął krzesło i wstał od stołu. – Nie ma mowy. Zapomnij.

Zaraz jednak silne ręce Jianyu posadziły go z powrotem.

– Sam przyznałeś, że udało ci się zbudować nowe życie. Masz nowy garnitur, nowy adres w dobrej dzielnicy. Jeszcze trochę się poobracasz w odpowiednim towarzystwie i będziesz mógł nam pomóc.

Harte zaśmiał się pustym śmiechem.

– Jeżeli szukacie kandydata na samobójcę, to źle trafiliście. Zresztą nawet gdyby ten plan był realny, nawet gdyby tobie i twoim ludziom udało się tam wślizgnąć i ukraść Księgę, Zakon nie puściłby nam tego płazem. Urządziliby obławę na wszystkich Maginów. Zginęłyby setki niewinnych ludzi. A może tysiące. Nikt, kto włada magią albo ma związki z tymi, którzy nią władają, nie byłby bezpieczny.

– A czy teraz jesteśmy bezpieczni? – spytał retorycznie Dolph. – Żyjemy jak szczury, walcząc między sobą o resztki rzucane nam przez Zakon. Wszyscy tak bardzo się skupiają na tym, aby wyrwać odrobinę więcej dla siebie, że nawet nie zdają sobie sprawy, że zabijają się nawzajem dla ochłapów. Zakonowi właśnie na tym zależy, Harte. Chcą, żebyśmy trwali w podziałach, trzymali się tego, co znamy, i nie próbowali sobie wyobrazić innej przyszłości. Ale ja sobie ją wyobraziłem. Spójrz na ludzi w tym pokoju: na Violę, na Jianyu. Zacząłem kompletować drużynę, która jest w stanie raz na zawsze położyć kres wszechwładzy Zakonu. Ale potrzebuję kogoś, kto nas wprowadzi. Kogoś utalentowanego. – Zacisnął usta. – Kogoś takiego jak ty.

Harte wiedział, ile musiało Dolpha kosztować wypowiedzenie tych słów, ale i to nie wystarczyło, żeby go przekonać. Zbyt dobrze zdawał sobie sprawę z tego, jak niebezpieczny jest Ortus Aurea i jak wiele on, Harte Darrigan, ma do stracenia.

– Pięć minut minęło.

Dolph długo patrzył mu w oczy, wreszcie niedbałym gestem dał znak Jianyu, żeby go puścić.

– Nie musisz odpowiadać w tej chwili – rzekł na pożegnanie. – Usłyszałeś, co miałem do powiedzenia, może się nad tym zastanowisz. Jeszcze porozmawiamy.

Harte wstał.

– Nie sądzę. Nie jestem zainteresowany teraz i nie będę zainteresowany za dziesięć dni, więc możesz sobie darować.

Przedzierając się do wyjścia przez wciąż zatłoczoną knajpę, znów przeklinał własną ciekawość i głupotę, która go tu przyprowadziła. Dolph, niech go szlag, miał niestety rację: już się zastanawiał nad tym, co usłyszał. Rozmyślał o szansach na wydostanie się z tego cholernego miasta. Uwolnienia się raz na zawsze.

Dolph Saunders go potrzebował, lecz on, Harte, z całą pewnością nie potrzebował Dolpha. Znajdzie sposób, żeby dokonać tego w pojedynkę.

Chwilę później wyszedł w mrok wieczornej ulicy. Ponieważ ani razu nie obejrzał się za siebie, nie widział, jak na wargi Dolpha Saundersa wypełza chytry uśmiech.

# POD EFEMERYCZNA TERAŹNIEJSZOŚCIĄ

## *Współcześnie – Orchard Street*

**W**ieczorem następnego dnia Esta siedziała na brzegu łóżka, na nowo czytając pożółkły wycinek z gazety, jakby ta notatka sprzed wieku mogła jej powiedzieć coś więcej o tym, co się wydarzyło w dniu wielkiego skoku. Raczej nie powinna była zabierać jej z gabinetu profesora Lachlana, lecz nie umiała się powstrzymać. Znowu zamierzał ją wysłać w przeszłość, tym razem samą i na dłużej niż kiedykolwiek przedtem. Wszystko działo się zbyt szybko. Czuła się mniej pewnie, niżby chciała.

Aż podskoczyła na dźwięk pukania do drzwi.

– Chwileczkę! – Drżącymi palcami schowała wycinek do niewielkiej koperty z woskowanego papieru, po czym wepchnęła ją głęboko pod gorset.

Pukanie się powtórzyło. Zza ciężkich drzwi doleciał przytłumiony głos:

– Esta?

Odetchnęła z ulgą, że to nie profesor Lachlan, i poszła otworzyć. Na korytarzu stał Dakari. Spojrzała w twarz, którą tak dobrze знаła.

– Już czas?

– Nie ma pośpiechu. Przyszedłem obejrzeć twoje ramię.

Żaden ze współpracowników profesora Lachlana nie towarzyszył mu tak długo jak Dakari. Profesor poznał go przed ponad dwudziestu laty w nielegalnym klubie boksterskim. Dakari najpierw zgarniał nagrody za wygrane pojedynki, a potem udzielał swoim przeciwnikom odpłatnej pomocy lekarskiej, aby mogli wrócić do codziennego życia bez siniaków, których był sprawcą.

Nie nazwałby tego pracą swoich marzeń, toteż gdy profesor zaoferował mu zatrudnienie, Dakari nie wahał się ani chwili. Był rostry i napakowany, ale kiedy się uśmiechał – a do Esty uśmiechał się często – wyglądał jak dobry człowiek, którym w istocie był.

– Nie trzeba, jest w porządku – odparła, nie wpuszczając go do pokoju. Zresztą oglądał ją rano.

– Pozwól spojrzeć.

Delikatnie popchnął drzwi i wszedł do środka.

Esta z teatralnym westchnieniem rozpięła nieco sukienkę, by obnażyć ramię. Dzień wcześniej zdjęła opatrunek i teraz rana po draśnięciu kuli była już tylko różową plamką nowej skóry.

Dakari chwycił ramię dziewczyny oburącz, nacisnął skórę kciukiem i uważnie się przyglądał. Esta bynajmniej nie miała bladawej cery, ale Dakari był od niej ciemniejszy. Dłonie mu stwardniały przez lata spędzone w ringu, lecz jego magia była delikatna i pulsowała ciepłem, w którym Esta spędziła większość dzieciństwa. Te ręce, umiejące zabić człowieka na pięćset trzydzieści dwa sposoby, leczyły też wszystkie jej siniaki i zadrapania, najczęściej po ciężkiej sesji treningowej z... Dakarim właśnie. Dzięki niemu potrafiła sama o siebie zadbać i jednocześnie czuła, że ma kogoś, kto zadba o nią w razie potrzeby.

Gdyby go straciła, tak jak straciła Mari...

– Nie wygląda źle – orzekł. – Zagoiło się na tyle, że nie ma ryzyka infekcji. Jesteś gotowa?

Skinęła głową.

– W takim razie skąd ta niepewna mina? – Dakari zmarszczył brwi. – To do ciebie niepodobne.

– Poradzę sobie – oznajmiła, odwracając się, lecz chwycił ją za rękę i uniósł jej podbródek, zmuszając, żeby spojrzała mu w oczy.

– Powiedz mi. Zanim twoje zmartwienia zaczną cię rozpraszać i przyplącisz to życiem.

Esta wahała się chwilę.

– Naprawdę nie pamiętasz Mari? – spytała w końcu.

Dakari uniósł brwi.

– To cię tak martwi?

Pokiwała głową.

– Mój błąd miał konsekwencje. Mari była moją przyjaciółką, a teraz w ogóle nie istnieje.

– Nie wiadomo, czy zniknęła przez ciebie.

– A jeśli przeze mnie? A jeśli popełnię kolejny błąd? Co będzie, jeżeli wrócę i okaże się, że więcej osób zniknęło? Że w ogóle się nie urodziły?

Po chwili namysłu Dakari sięgnął do buta i wydobył z niego nożyk sprężynowy z misternie rzeźbioną rękojeścią. Wręczył go Éście i spojrzał na nią poważnym wzrokiem.

– Należał do mojego ojca. Dał mi go, zanim opuściłem mój kraj. Nie powierzyłbym go nikomu, do kogo nie mam pełnego zaufania.

Nóż był ciepły od kontaktu z nogą Dakariego. Mały, ale przyjemnie ciężki.

– Dziękuję – powiedziała ze wzruszeniem, chowając nożyk do swojego buta. – Oddam ci go. Choćby nie wiem co.

– Wiem – odparł i mrugnął do niej. – Będę czekał.

Esta westchnęła głęboko.

– Dobrze, ruszajmy.

Kiedy usiadła na tylnym siedzeniu samochodu Dakariego i odjechali spod budynku, była już prawie czwarta nad ranem we wtorek. Większość barów dawno pozamykano. Ludzie powinni spać w swoich ciasnych mieszkaniach, lecz nawet o tej porze miasto się jarzyło. Ulice kipiały życiem, gdy pili się na północ wśród niskich kamienic East Village ku wieżowcom Środkowego Manhattanu.

Esta opuściła szybę w oknie, pozwalając, by gorący oddech lata z szumem owiewał jej twarz. Unosiły się w nim znajome miejskie zapachy, ciężka, metaliczna woń spalin, smród zbyt wielu osób stłoczonych na zbyt małej przestrzeni. A jednocześnie – upojny zapach przygody i możliwości. To miasto, przy całym swoim brudzie i zgiełku, było jej domem. Nigdy nie chciała żyć gdzie indziej.

Dakari skręcił w Dwudziestą Ósmą Ulicę, a chwilę później wjechał na wąski parking między dwiema przecznicami. Sto lat temu przebiegała tędy alejka. Było to jedno z niewielu miejsc, które nie zostały zabudowane, nie zmieniły się nie do poznania. Jedno z tych miejsc, gdzie można niepostrzeżenie przeskoczyć do przeszłości.

Dakari zatrzymał samochód i wyłączył silnik. Kładąc ogromne przedramię na oparciu fotela pasażera, odwrócił się do Esty.

– Gotowa?

Skinęła głową stanowczo – taką przynajmniej miała nadzieję – i oboje wysiedli. Dakari oparł się o tył auta.

– Do zobaczenia niedługo? – rzekł, nadając swojemu zwyczajowemu pożegnaniu formę pytania.

Mimo letniego upału i wielu warstw lnu i weluru Esta poczuła nagły chłód. Zaraz jednak otrząsnęła się z tego uczucia. To tylko

zadanie do wykonania, przypomniała sobie. Musi zrobić, co do niej należy.

– Jak zawsze – odparła z tradycyjnym mrugnięciem. Dopiero odwróciwszy się, pozwoliła, by wyraz pewności opuścił jej twarz.

Zza pleców dobiegł ją szept Dakariego:

– Uważaj na siebie, Es.

Zerknęła przez ramię.

– Wątpisz we mnie?

– Przenigdy. – Ze śmiertelnie poważną miną pozdrowił ją kiwnięciem brody.

Éście przemknęło przez myśl, żeby wsiąść z powrotem do auta i kazać mu jechać. Powiedzieć: „Po prostu jedź”. Dakari zawsze miał do niej słabość, pewnie zgodziłby się bez dyskusji.

To nie tak, że chciała uciec przed odpowiedzialnością powierzoną jej przez profesora. Potrzebowała tylko chwili... Jeszcze jednego kółka po okolicy dla uspokojenia nerwów. Jeszcze paru minut wśród jasnych światła i ruchliwych ulic tego miasta. Jej miasta.

Nie chciała jednak, aby Dakari zobaczył, że się denerwuje. Przyznanie się przed sobą było wystarczająco trudne. Ściskając mocniej gładki uchwyt torby podróżnej, ruszyła na środek parkingu, z dala od samochodu i kojącej obecności Dakariego.

Nie pozwoliła sobie więcej spoglądać przez ramię.

Parking był cichy, mieszające się tutaj wonie moczu, śmieci i spalin tworzyły jedyny w swoim rodzaju zapach Nowego Jorku latem. Coś przemknęło pod jednym z uśpionych samochodów, lecz Esta szła dalej, gubiąc po drodze swoje wątpliwości.

Albo raczej odpychając je od siebie.

Szukanie właściwej warstwy czasu było jak wertowanie książki. Czasem migąta jej zawartość poszczególnych warstw: tu błysk chromu, tam wir kolorowej sukni. Skupienie się na jednym obrazie,



jednym dniu, do którego można by się wemknąć, wymagało od niej ogromnej koncentracji. No i, rzecz jasna, wymagało użycia Klucza Isztar.

Gdy wyjrzała poza tu i teraz, kamień w bransoletce zaczął się rozgrzewać, prawie przy tym szumiąc. Śmieci rozwleczone pod ścianami budynków, trupi blask żółtej lampy nad wejściem do jednej z bram – wszystko się nagle zamgliło. Esta sięgała do coraz głębszych pokładów przeszłości, cofała się dalej i dalej... aż w końcu znalazła to, czego szukała.

Konkretny dzień. Konkretna chwila ukryta pod współczesnym światem, w którym żyła.

Przygotowała się na to dziwne uczucie wypadania ze swojego czasu. Widziała cel, był na wyciągnięcie ręki, ale gdy już czuła mrowienie magii na skórze, stopa zastygła jej w pół kroku; nagłe i dławiące oddech uczucie wielkiej trwogi przeszło jej pierś.

Obraz, który miała przed oczami, zgasł i znów ujrzała swój świat.  
– Cholera.

Upuściła torbę i zrobiła krok do tyłu, oddalając się od migotliwej przeszłości, od tego, co musiała zrobić. Palce w skórzanych rękawiczkach miała zimne i lepkie, za to kamień parzył skórę.

Jasno oświetlony czubek Empire State Building, którego nie zdołała wymazać z panoramy miasta, spoglądał kpiąco z góry.

Esta nie wiedziała, co to trema, lecz oto musiała uspokajać nerwy, szukać w sobie odwagi do zrobienia czegoś, co robiła już dziesiątki razy. Znała to miasto, jego ulice i tajemnice. Jego mieszkańców, a zwłaszcza jego przeszłość. Profesor Lachlan dopilnował, aby każda minuta jej dzieciństwa służyła przygotowaniu do tej roli. Niczego jej nie brakowało.

Dlaczego więc czuła się, jakby ją to przerastało?

– Wszystko w porządku? – zawołał Dakari.

Nabrała powietrza, żeby ochłonać, ale nie obejrzała się do tyłu.

– Tak – skłamała.

Musiała się skupić. To było to zadanie, dla którego profesor Lachlan ją przygarnął. Po to ją uratował, wyciągnął z trybów systemu, stworzył prawdziwy dom, jedyny, jaki znała. Jeśli nie zdoła spełnić jego najważniejszej prośby, co się z nią stanie? Gdzie się podzieje?

Podniosła torbę i zaciskając zęby, wydmuchnęła przez nos kolejny haust powietrza. Serce jej waliło, lecz poprawiła chwyt na gładkiej rączce torby i zaczęła od nowa.

Tam...

Czas, którego szukała, był tam, tuż pod efemeryczną terażniejszością. Znalazła datę, którą wskazał jej profesor Lachlan, schowaną pod warstwami lat i wspomnień. Strach nieco zelżał i ogarnęło ją krzepiące uczucie słuszności.

Unosząc stopę do kroku, poczuła znajome szarpanie, jak gdyby równocześnie rozpadała się i zapadała w głąb siebie. Potem jednak przeszył ją znowu ten dziwny lęk.

Coś jest nie tak, pomyślała.

Ale Esta nie zwykła panikować. Siłą woli przedarła się przez to uczucie ku przeszłości.

Każda komórka ciała paliła ją teraz ogniem, ceglane ściany po obu stronach rozmazały się, samochody znikwały. Światła miasta pociemniały, czubek Empire State Building zaczął się rozmywać. Dzień z przeszłości dmuchnął w nią zimowym powietrzem i dosłownie w tej samej chwili usłyszała krzyki od strony wjazdu, przy którym zaparkował Dakari.

Zawahała się. Wciągana przez przeszłość, z bolesnym wysiłkiem trzymała się terażniejszości. Rozjaśniło się jej przed oczami

i zobaczyła, że Dakari szamoce się zaciekle z trójką zakapturzonych napastników.

Muszę mu pomóc, przebiegło jej przez myśl.

– Dakari!

– Leć! – odkrzyknął, spoglądając w jej stronę z taką determinacją, że terażniejszość wymknęła jej się z rąk.

– Dakari! – zawołała ponownie, gdy rozległ się huk wystrzału.

Potężne ciało przyjaciela zadrżało i upadło na ziemię. Szok, jakiego doznała na ten widok, odrzucił ją do tyłu i runęła daleko poza brudny chodnik, który powinien był ją zatrzymać.

Nie miała już nad tym kontroli. Odczepiła się od swojego miasta, swojego czasu, i spadała w jasne światło, ledwie wyhamowując przed twardym lądowaniem w głębokiej śnieżnej zaspie.

CZĘŚĆ

# DRUGA



# SYRENI ŚPIEW

*Luty 1902 roku – Teatr Wallacka*

**H**arte Darrigan strzepnął sobie kłaczek z karmazynowej kamizelki i raz jeszcze przejrzał się w zamglonym lustrze garderoby. Uniósł podbródek, upewniając się, czy golarz nie pominął żadnego miejsca podczas codziennej popołudniowej sesji golenia, po czym pogładził palcami ciemne krótko przycięte włosy nad uszami. Nawet poza sceną czuł się jak na scenie. Całe jego życie było spektaklem, jednym wielkim oszustwem, najlepszą osiągalną namiastką wolności.

Ktoś zapukał do drzwi garderoby.

– Tak?

Otworzył je Shorty, inspicjent.

– Masz chwilkę?

– Zaraz wychodzę, jestem umówiony...

– Dobrze. – Shorty zamknął za sobą drzwi. W zębach trzymał resztkę grubego cygara i kiedy mówił, popiół z tłącego się czubka osypywał się na podłogę. – Chodzi o to, że kierownictwo odbyło naradę i...

– Znowu? – Harte westchnął niecierpliwie, by ukryć zdenerwowanie. Wiedział, co usłyszy, bo mieli podobną rozmowę tydzień temu. I dwa tygodnie temu. W mieście jest zbyt dużo

teatrów i nieważne, jak dobre ma się numery; ludzie szybko się nudzą.

– Tak, znowu. – Shorty wyjął cygaro z ust i zaczął nim gestykulować, rozrzucając jeszcze więcej popiołu. – Oni kierują te-a-trem, Darrigan – oznajmił z naciskiem na drugą sylabę. – To jest interes, a interes musi na siebie zarabiać.

– Zarabiają mnóstwo pieniędzy, wiesz dobrze – odparł zarzut Harte i zabrał się do wiązania fularu. – Po południu frekwencja była przyzwoita, a wieczorem całkiem dobra.

– Wiem, wiem. Ale „przyzwoita” i „całkiem dobra” już nie wystarcza. Właściciele dyskutują o pewnych zmianach... O odświeżeniu repertuaru. – Shorty posłał mu znaczące spojrzenie.

Palce Harte’a zastygły nieruchomo, jedwabna chusta na szyi zaczęła go nagle dusić.

– Co próbujesz powiedzieć?

– Nic nie p r ó b u j ę powiedzieć. M ó w i ę ci, że musisz coś wymyślić, żeby przyciągnąć więcej widzów. Coś nowego.

Harte odwrócił się w jego stronę.

– Przecież dodałem coś nowego. A może nie oglądali? Ta dzisiejsza sztuczka z trzema parami kajdanek i trzymetrowym łańcuchem była nowa.

– Tak, tak. Uwolniłeś się z zamkniętej skrzyni. Wielka mi rzecz. Houdini robi to od lat. Ludziom to spowszedniało. Chcesz być gwoździem programu? Potrzebujesz czegoś lepszego. Bardziej efektownego. – Shorty znów chwycił cygaro w zęby.

Harte zaciskał szczękę, żeby nie powiedzieć czegoś, czego by później żałował.

– To wszystko? – spytał.

– Tak, chłopcze. To chyba wszystko. Chciałem tylko, żebyś wiedział, jak się sprawy mają. Pomyślałem, że będziesz mi

wdzięczny.

Harte nie podziękował. Stał milcząco, z obojętnym wyrazem twarzy, dopóki Shorty nie wzruszył ramionami i nie wyszedł. Gdy drzwi się za nim zamknęły, Harte sprzątnął popiół z podłogi.

Wciąż podenerwowany stanął przed lustrem, wziął głęboki oddech, po czym uśmiechnął się do siebie, szarymi oczami przyglądając się swojemu odbiciu, szukając w nim śladów dawnego życia. W tej starannie pielęgnowanej fasadzie, którą pokazywał światu, nie było miejsca na żadną rysę, żaden fałsz. Zwłaszcza dziś wieczorem.

Uspokojony, pozwolił, by uśmiech opadł mu z twarzy, ciężko i pewnie jak teatralna kurtyna między jednym a drugim występem. Naciągnął rękawiczki, włożył płaszcz, ze stolika przed lustrem wziął kapelusz, wreszcie zgasił lampę i opuścił garderobę.

Było tuż po północy, teatr całkiem opustoszał i panowała w nim cisza. Jakże inaczej występowało się tutaj w porównaniu z ordynarnymi teatrami Bowery, w których pijana i wrzaskliwa publiczność przez całą noc domagała się więcej – więcej golizny, więcej śmiechu, więcej okruchów godności własnej, którą Harte wieczór za wieczorem próbował zatrzymać przy sobie.

Już od ponad roku nie pojawiał się na tamtych scenach zachlapanych piwem, lecz rozmowa z Shortym przypomniła mu, jak niewiele trzeba, żeby znów tam wylądował. Bez innych widoków na przyszłość niż dalsze staczanie się.

Nie zamierzał do tego dopuścić.

Z głębi przepastnego budynku niosły się teraz echem odgłosy świadczące o tym, że parę innych osób też się zasiedziało. Zapewne piły najtwardsze w garderobie tancerek, aby rozładować nadmiar energii po występie. Albo żeby uśmierzyć ból ukrywania przed światem swojej prawdziwej natury.

Świat teatru był pełen Maginów. Scena pozwalała ukryć się w blasku reflektorów, ale ci, którzy używali swoich darów podczas występów, sami rozbudzali w sobie apetyt na więcej. Gromki aplauz publiczności tylko wzmacniał w nich bolesną tęsknotę, by odpowiedzieć na wołanie starej magii, żyć w zgodzie z własną naturą. Wielu znieczulało się później najtwardszym trunkiem z dodatkiem opium. To zwykle wystarczało, żeby jakoś dotrwać do kolejnego przedstawienia.

Ale Harte miał inaczej – dla niego aplauz był jedynym skutecznym remedium na ból.

Zapraszali go wiele razy na te późnowieczorne nasiadówki, ale nie dziś. Właściwie, jeśli się nad tym zastanowić, przestali go zapraszać jakiś czas temu. Widocznie za którymś razem uznali, że nie ma co próbować na siłę włączać go do swojego grona.

I tak chyba jest najlepiej, pomyślał, strząsając z siebie cień żalu, jakby to był kłaczek na płaszczu. Miał zbyt wiele tajemnic, żeby ryzykować towarzyskie uwikłanie. Zwłaszcza teraz.

– Uciekasz bez pożegnania? – dobiegł z ciemności lekko zachrypnięty, ciepły głos.

Harte ścisnął brzeg nowego jedwabnego kapelusza. Był nieco wytrącony z równowagi po rozmowie z Shortym. Szybko jednak przywołał na usta swój czarujący uśmiech.

– Miałbym uciekać przed tobą, Evelyn?

– Zawsze przede mną uciekasz – zamruczała. – Nie potrafię zrozumieć dlaczego.

Zrobiła krok do przodu, wchodząc w krąg światła. Jej rubinowe usta układały się w nadąsany dzióbek, oczy miała szkliste od alkoholu. Nieważne, że co wieczór mijali się o centymetry, kiedy on schodził ze sceny, a ona szykowała się do wejścia. Długotrwała znajomość nie była w stanie zagłuszyć wrażenia, jakie wywierała



Evelyn DeMure, ponieważ cały jej powab był obmyślony, wyrachowany, a przede wszystkim – podszyty magią.

W swoim numerze ona i jej dwie „siostry” występowały w cielistych trykotach i greckich tunikach ledwie zakrywających najbardziej nieobyczajne części. Nie dość, że nogi były odsłonięte aż po udo, to jeszcze zdawało się, że suknie lada chwila całkiem się zsuną. W takich to strojach trójka wykonywała piosenki pełne sprośnych żartów i dwuznaczności, trzymając w napięciu rozochoczoną publiczność obojga płci.

Teraz Evelyn nie miała na sobie trykotu. Nie zmyła jeszcze proszku antymonowego, który podkreślał jej oczy, ani grubej warstwy szminki, ale bogato haftowana szmaragdowa szata zsunęła się, obnażając mleczone ramię i pochyłość obfitej piersi. Włosy barwione henną, zbyt ogniste, by mógł to być naturalny kolor, otaczały jej twarz burzą miękkich fal.

Bardzo efektownie, pomyślał. Mimo pewnych oznak starzenia się w okolicach oczu nadal potrafiła zniewolić każdego mężczyznę.

Jednak Harte nie był jednym z tych, którzy wypełniali teatry w nadziei na ujrzanie odsłoniętego skrawka uda lub czegoś więcej, a potem padali do stóp przed wyjściem dla aktorów. Wiedział, że jej czar nie bierze się wyłącznie z urody. Nawet teraz, kiedy była lekko pijana, szelest magii zdradzał jej zamiary.

Ignorując nerwowy skurcz w żołądku, ukłonił się jej oficjalnie. Nie, pomyślał, nie ulegnie sztuczkom tej syreny.

– Dokąd tak się spieszysz? – spytała przeciągle, robiąc jeszcze parę kroków w jego stronę. Bawiła się z nim jak kot z myszą.

Pragnienie wzbierało w nim coraz silniej, ale jak zwykle z uporem udawał obojętność na jej wdzięki.

– Pilna sprawa, obawiam się – oznajmił z szelmowskim uśmiechem, który zdawał się temu zaprzeczać.

Coś przemknęło po jej twarzy, jakby zza dumy, którą nosiła jak zbroję, wyjrzała na chwilę zraniona miłość. Domyślał się jednak, że to część przedstawienia, kolejny wybieg obliczony na konkretny cel, jakim było rzucenie go na kolana.

Mógł się oczywiście przekonać. Zdjął rękawiczkę, udawać, że wpada w jej słabo zamaskowane sidła. Wystarczyłoby tak niewiele... Cofnął się jednak, włożył kapelusz na bakier i dotknął milcząco róna w geście pożegnania.

– Naprawdę mi nie powiesz, dokąd idziesz? – Skrzyżowała ramiona i poprawiła opadającą szatę.

Nie zranił jej, tylko ją zdenerwował.

– Przykro mi, kochana. Nigdy nie chwale się swoimi podbojami. – Puścił do niej oko i wyszedł na zewnątrz, zostawiając ją na tyłach pustej sceny.

Pozwolił sobie teraz na chwilę odprężenia. Stojąc w cieniu wejścia dla aktorów, odetchnął głęboko i wyobraził sobie przyszłość, w której byłby kimś więcej niż tylko parą wykrochmalonych klap z nienagannie zawiązanym fularem. Kimś więcej niż maska, którą przywdziewał.

Ale kim? Tego na razie nie był pewien... Wiele zależało od wydarzeń tej nocy.

Poprawił kapelusz, wetknął laskę pod pachę i zerkając na kieszonkowy zegarek, sprawdził, jak bardzo jest spóźniony. Mogło być gorzej, pomyślał. Z ulgą zostawiał za sobą Evelyn z jej urzekającą magią i Shorty'ego z jego ponurą przestrogą.

Dziś wszystko zacznie się zmieniać. Dziś wreszcie uczyni pierwszy krok w kierunku prawdziwej wolności. Ruszył ku części miasta zwanej Cyrkiem Szatana – i ku swojemu nieuchronnemu przeznaczeniu.

# NIEBO PEŁNE GWIAZD

## *Dwudziesta Ósma Ulica przy Piątej Alei*

**E**sta prędko podniosła się na nogi. Paniczny strach wypełniał ją od stóp do głów, zagłuszając wszystko inne: zimny szok upadku w zaspę, piekący ból nad łokciem, gdzie srebrna bransoletka parzyła jej skórę. W uszach wciąż dzwonił huk wystrzału.

Dakari.

Odwróciła się w stronę wjazdu na parking, lecz teraz ujrzała tam ulicę oświetloną łagodnym światłem staroświeckiej latarni. Ruszyła przed siebie na chwiejnych nogach, otrzepując spódnicę z mokrego śniegu. Niebo w górze było puste, bez śladu drapacza chmur, który widziała przed sobą zaledwie parę sekund wcześniej.

Nie...

W śnieżnej kurzawie brnęła w stronę ulicy. Bolały ją mięśnie i kości, jak zwykle po skoku w przeszłość. Nie, pomyślała znowu, dochodząc do wylotu alejki.

Ale wiedziała, że zaprzeczanie nic nie da.

Weszła na szeroki brukowany chodnik i rozejrzała się po zmienionej okolicy. Jeszcze przed dwiema minutami wzdłuż ulicy stały rzędy nudnych wysokich budynków, płaskich jak pudełka. Teraz budowle były niższe, z szeregami okien przypominających ciekawskie oczy. Kilka kamienic niewiele się zmieniło, tyle że sklepy na parterze miały spłowiałe markizy,

zwinięte dla ochrony przed ciężkim śniegiem. W miejscu kanionu budynków pozostał już tylko płytki wąwóz sklepów, jakby życie miasta było odwrotnością procesów przyrodniczych, jakby tutaj czas budował, zamiast niszczyć.

Chłoneła wszystko dookoła, martwą ciszę ulic i gwieździstą połąć nieba – naprawdę było widać gwiazdy! Miasto wyglądało zarazem bardzo znajomo i całkiem inaczej. Tak się tym napawała, że ledwie usłyszała stłumiony stukot podków na bruku. W jej mieście był to dźwięk tak rzadki, że nie kojarzyła go z niebezpieczeństwem; odwróciła się i uskoczyła przed konną bryczką dosłownie w ostatniej chwili.

Woźnica machnął wściekle i głośno zaklął. Spódnica Esty wplątała się w szprychy wozu, pociągając dziewczynę do tyłu. Obcas jej buta poślizgnął się na lodzie i wpadła do zapchanego breją rynsztoka.

Drżąc od krążącej w żyłach adrenaliny, wstała i się otrzepała – znowu.

Gdzieś niedaleko rozległ się wysoki gwizd. Esta podniosła wzrok, spodziewając się niebezpieczeństwa. Ujrzała jednak starca o czerwonej twarzy, w brudnej rozchełstanej koszuli, spod której wystawało gęste owłosienie. Stał na schodach pożarowych na pierwszym piętrze i mrużył oczy, jakby niewyraźnie widział.

– *Süsse!* – Z ręką na krawędzi spodni bez paska wychylał się przez rozchwierutaną poręcz. – Nie wiesz, gdzie masz głowę, *ja, Süsse?* Pomogę ci szukać. – Mówił bełkotliwie, z osobliwym na jej ucho niemieckim akcentem.

Pewne rzeczy się nie zmieniają, pomyślała. Strach ustąpił miejsca obrzydzeniu. Pokazała mu niewybredny gest i zakląła po niemiecku. Mężczyzna zgiął się ze śmiechu i omal nie spadł. Zanim odzyskał równowagę, Esta schroniła się w alejce.

Jej torba zniknęła. Zostały po niej tylko ślady stóp wiodące na drugi koniec ulicy.

– Nie – szepnęła. Co za głupi, szczeniacki błąd. Na pewno by się go ustrzegła, gdyby nie była wstrząśnięta tym, co zobaczyła, na chwilę zanim cofnęła się w przeszłość. W torbie miała wszystkie potrzebne jej rzeczy...

A zresztą – teraz to i tak nieważne. Musi wrócić. Pomóc Dakariemu. Sprawdzić, czy on nie...

Nie mogła nawet pomyśleć tego słowa.

Mrugając od łez, odetchnęła głęboko i zaczęła szukać swojego czasu – warstw, które wyróżniały się większą ilością światła, trąbieniem klaksonów, łuną nad miastem.

Nie była jednak w stanie nic zobaczyć.

Żadnych mgnień przeszłości ani przyszłości. Tylko obecna chwila w obcym, pachnącym zimą mieście, spowitym przez noc i pogrążonym w ciszy, która działała jej na nerwy.

Czuła duszność w piersi, drżała na całym ciele, próbując rozpiąć malutkie guziczki u rękawa. Wreszcie uporała się z ostatnim i lodowate powietrze zmroziło jej skórę, gdy podwijała mankiet, by następnie sięgnąć do środka.

Wyciągając bransoletkę, syknęła z bólu. Wcześniej nie zdawała sobie sprawy, że jest ranna, teraz jednak ramię przeszył ostry ból, gdy wraz z metalem oderwała się od niego wierzchnia warstwa skóry. Ale nawet ten ból był niczym w porównaniu z szokiem, jakiego doznała na widok bransoletki.

Polerowane srebro doszczętnie szerniało, a opalizujący kamień pokrył się jakby sadzą. Kiedy zdumiona Esta dotknęła go delikatnie koniuszkiem palca, natychmiast rozsypał się w popiół. Została tylko pusta wypalona oprawa.

Klucz Isztar przestał istnieć.

Z początku nie przyjmowała tego do wiadomości. Jej kamień nie mógł się rozpaść.

Czy spaliła go, wahając się między terażniejszością a przeszłością? Czy pęknięty kamień nie wytrzymał obciążenia?

Kiedy wreszcie zaczęło do niej docierać, że go straciła, poczuła się tak, jakby pozbawiono ją kończyny. A może nawet czegoś ważniejszego, na przykład serca. Bez kamienia nie mogła przeglądać warstw czasu. Bez kamienia była tylko nadzwyczajnie utalentowaną złodziejką w obcym mieście.

Panika na moment odebrała jej dech.

Była uwięziona. W przeszłości.

Już nigdy nie pokłóci się z Loganem o to, kto dowodzi misją, Dakari już nigdy nie spojrzy na nią zaskoczony, kiedy pokona go na macie. Nigdy nie zobaczy miasta, które zna i kocha, jego zawrotnego tempa, pośpiechu, jasnych budynków przyćmiewających gwiazdy. Umrze tutaj, w tym innym mieście, samotna i wykorzeniona, i nie zostanie po niej nawet wzmianka w kronikach.

Kolana się pod nią ugięły i uklękła w śniegu, porażona realnością swojej sytuacji. Lecz gdy zimna wilgoć zaczęła przenikać jej spódnicę, zaświtała jej w głowie myśl: Tak, j e j kamień przestał istnieć. Ale gdzieś tam powinien być jeszcze drugi Klucz Isztar, razem z całą resztą artefaktów. Razem z Księżą, po którą ją przysłano.

Może to było wyjaśnienie? Czy profesor Lachlan miał rację co do właściwości tego kamienia? Twierdził, że jest wyjątkowy. Unikatowy. Może więc Klucz Isztar rozpadł się, ponieważ j u ż t u b y ł, czekał na nią w przeszłości.

Ale czy w takim razie profesor wiedział, co się stanie? Że utknie w przeszłości bez możliwości powrotu? A jeśli wiedział, dlaczego jej

nie uprzedził?

Wyglądało to na jeszcze jeden sprawdzian, jakby dostała od niego kolejną szansę, by się wykazać. Tyle że tym razem stawką było jej życie, jej własna przyszłość.

Ta świadomość tylko zwiększała jej determinację. Jeśli zdobędzie Księgę, zdobędzie też wcześniejszą wersję kamienia. A wtedy będzie mogła wrócić do swojego czasu. I przyjść z pomocą Dakariemu.

Kolejny wóz przetoczył się na końcu alejki, turkot drewnianych kół i przytłumione klip-klop-klip-klop podkutych kopyt zmąciło nocną ciszę. Teoretycznie Esta wiedziała wszystko, co potrzebne, by odnaleźć się w przeszłości, wtopić się w otoczenie i wykonać postawione przed nią zadanie. Lecz teoria i rzeczywistość wydawały się dwiema bardzo różnymi rzeczami, teraz gdy stała sama w ciemnej alejce, słuchając stukotu konnych zaprzęgów zamiast warkotu silników i trąbienia klaksonów.

Rozumiała jednak, że zamartwianie się do niczego nie prowadzi. Może i miasto zmieniło się dramatycznie, ale ona nie. Wciąż mogła wcielić plan w życie. Musiała się udać do Słomianego Targu i odnaleźć Bridget Malone, tak jak ją poinstruował profesor. Bridget Malone pomagała dziewczynom z magią znaleźć zatrudnienie poza burdelami. Jeżeli krążące o niej pogłoski były prawdziwe, pracowała dla samego Saundersa. Esta musiała tylko zwrócić na siebie uwagę.

Jedyna droga, jak zwykle, wiodła naprzód.

Rozejrzała się wokół, żeby się zorientować w terenie. Choć ulice wyglądały inaczej, to wciąż było jej miasto. Wołało ją tam, dokąd miała się udać, i gdzie, przy odrobinie szczęścia, czekała Bridget Malone.

# CIĘTY JĘZYK

## *Słomiany Targ*

Skręcając w Szóstą Aleję, Harte widział już blask Słomianego Targu. Mieścił się tam najbardziej znany – i okryty najgorszą sławą – dansing w Nowym Jorku. W tutejszych wnętrzach mieszkańcy ulic na północ od Houston Street spoufalali się z kelnerkami ze slumsów, muzyka grała do późnej nocy, a na piętrze klient za odpowiednią opłatą mógł się oddawać różnym uciechom w prywatnej kabinie.

Nie żeby Harte potrzebował tego typu rozrywek. Wiedział, co takie związki potrafią zrobić z człowiekiem; co zrobiły z jego matką. Przekonał się boleśnie, że pod wpływem miłosnego zauroczenia była gotowa porzucić wszystko, włącznie z nim.

Ale minęło wiele czasu i nie był już chłopcem. Jeżeli dziś wieczorem wszystko przebiegnie według planu, będzie mógł zostawić tamte wspomnienia i żale daleko w tyle.

Wyszedł z cienia kolejowej estakady górującej nad wejściem do dansingu, wspiął się po trzech stopniach i wszedł do środka wąskimi drzwiami. Już w progu osaczyły go żwawe dźwięki najnowszego ragtime'owego szlagieru i zgiełkliwy gwar.

Dziewczyna o jasnych, prawie białych włosach odebrała od niego płaszcz. Wyglądała bardzo młodo, nawet makijaż nie był w stanie tego zmienić. Była gorliwa, pewnie nowa. Lecz Harte wiedział, że ta



niewinność ukryta pod szminką i pudrem nie przetrwa długo. Nie w takim miejscu jak to.

Obciągnął rękawy koszuli.

– Jestem umówiony z panem Jackiem Grew – oznajmił, nadając swojemu łagodnemu głosowi przekonujący ton, ten sam, który sprawiał, że jego widzowie pochylali się w fotelach. Podał jej kapelusz, ale nie rękawiczki. Te schował do marynarki.

– Jeszcze go nie ma – odparła dziewczyna, oblewając się rumieńcem. Kolejny znak niewinności, której dni były już policzone.

– Kiedy się zjawi, proszę mu powiedzieć, że jestem przy barze, dobrze? – Wręczył dziewczynie kilka monet.

Przedzierając się przez tłum, zżymał się w duchu na wszędobylską woń mocnych perfum, ledwie przykrywającą kwaśny odór potu. Za bardzo mu ona przypominała, jak długą przeszedł drogę; te wszystkie poranki, kiedy jego matka wracała do domu, słaniając się na nogach, i pachniała tak samo.

Otrząsnął się ze wspomnień, znalazł wolne miejsce przy zatłoczonym barze, zamówił alkohol, po czym dał obsługującej go barmance wygórowany napiwek. Oczy się jej zaświeciły, lecz Harte odwrócił wzrok, dając jasno do zrozumienia, że nie jest zainteresowany.

Na parterze panował już spory tłok. Kobiety w jaskrawych sukniach z jedwabiu, z malowanymi uśmiechami, przywierały do mężczyzn, którzy prowadzili je w tańcu. Upływały kolejne minuty, Harte sączył drinka. Gdy skończył, nie zamówił drugiego. Jack Grew spóźniał się już pół godziny.

Do diabła z tym.

Lepiej wróci do domu. Pewnie w ogóle nie powinien był przychodzić. Odkąd Shorty udzielił mu przestrogi, Harte'owi

towarzyszyło złe przeczucie, a przecież gdyby nie jego intuicja, już dawno nie byłoby go wśród żywych. Wróci do siebie, weźmie gorącą kąpiel, w błogiej ciszy zmyje z siebie brud całego dnia. Z Jackiem rozmówi się kiedy indziej.

Odstawił pustą szklankę na ladę, ale kiedy zbierał się już do wyjścia, poczuł w pobliżu ciepło magii, nie do pomylenia z niczym innym.

Niemożliwe. Kto byłby tak głupi, żeby użyć swojego daru w Słomianym Targu, wśród tylu osób mających związki z Ortus Aurea? Pod czujnym okiem ochroniarzy Edwarda Coreya? Corey, właściciel Słomianego, grał na dwa fronty. Miał bliskie związki z Zakonem, ale mówiło się, że zatrudnia też jako ochroniarzy Maginów gotowych donosić na swoich w zamian za okazały cotygodniowy czek.

I znów to poczuł – szelest magii przyzywający jego i wszystkich jemu podobnych.

Harte omiótł wzrokiem tłum. Ludzie Coreya na krańcach sali też coś wyczuli, bo wyraźnie się ożywili. Rozpoczęli już poszukiwania osoby, która przemyciła do środka niedozwoloną moc.

Gdzieś z boku mignęło Harte'owi coś zielonego i raz jeszcze poczuł znajome ciepło. Obrócił głowę i wreszcie dostrzegł jego źródło: była to kobieta, uśmiechała się do znacznie starszego od siebie partnera w tańcu, jednocześnie wsuwając mu zwinne palce do kieszeni marynarki.

Harte dopiero w połowie parkietu zdał sobie sprawę, że wygląda inaczej niż pozostałe dziewczyny. Była młoda – jak wiele kobiet w tym zawodzie – ale z jakiegoś powodu nie nosiła makijażu, a jej oczy w niczym nie przypominały zmęczonych oczu kobiety, która się poddała. Suknia w butelkowym odcieniu zbyt dobrze leżała na jej szczupłej figurze, by pochodziła ze sklepu z gotową odzieżą.

Musiła to być osoba z bogatej rodziny, zarazem jednak, sądząc po zręczności, z jaką ukradkiem grzebała w kieszeni swojej ofiary, była doświadczoną złodziejką. Intrygujące połączenie.

Kiedy jej partner go zauważył, Harte już trzymał ją za nadgarstek, czym zmusił dziewczynę do wyciągnięcia dłoni z kieszeni mężczyzny i przerwał ich taniec.

– Mogę w czymś pomóc? – rzucił wzgardliwie tamten.

Harte uśmiechnął się grzecznie i pozwalając, by oczy nieco mu się zaszkliły, zwrócił się do dziewczyny. Próbowwała się uwolnić, ale trzymał ją mocno.

– Szukałem cię, skarbie – powiedział, rozwlekając bełkotliwie sylaby.

– Panie, ta jest już zajęta – oznajmił starszy mężczyzna, usiłując wyrwać mu dziewczynę. – Lepiej poszukaj pan sobie innej.

– Kiedy ja ją kocham – odparł Harte, nie zwalniając uścisku. Dla lepszego efektu zachwiał się lekko na nogach.

Mężczyzna nasrożył krzaczaste brwi.

– W takim razie może powinien pan jej lepiej pilnować.

– To prawda – przyznał Harte, zwracając się ponownie ku dziewczynie, która utkwiała w nim gniewne spojrzenie oczu w kolorze whisky i tak jak whisky ognistych. Posłał jej podchmielony uśmiech. – Nie wiem, czemu pozwoliłem ci odejść po tym, jak s k r a d ł a ś moje serce. – Z satysfakcją patrzył, jak oczy rozszerzają jej się ze zdziwienia.

– Nie przypominam sobie, żebyśmy się znali – odparła lekko drżącym głosem.

Wysławiała się starannie, tonem pełnym ogłady, ale przecież to samo można było powiedzieć o nim. To, że mówiła bez akcentu, niczego nie przesądzało. Jego skromne początki stanowiły tego najlepszy dowód. O wiele ciekawszym pytaniem było, gdzie

nauczyła się złodziejstwa. I dlaczego nauczyciel nie przestrzegł jej przed używaniem magii w Słomianym Targu.

– Niemożliwe, żebyś tak szybko mnie zapomniała. – Harte teatralnie chwycił się za pierś, jakby ugodzony w serce. – Dopiero co poznaliśmy się tutaj w zeszły piątek. Orkiestra grała tę samą melodię, kiedy twój wzrok napotkał mój na drugim końcu parkietu. Z początku się wahałem, ale byłaś... – tu zniżył głos do konspiracyjnego szeptu – taka p r z e k o n u j ą c a. – Mrugnął do niej figlarnie, po czym zwrócił się do jej partnera: – Dla takiego piękna człowiek jest gotów przymknąć oko na jej przypadłość. – Harte spojrzał lubieżnie na dziewczynę, która wciąż próbowała wyrwać się z jego uścisku. Na widok strachu przebijającego się w rozgniewanym spojrzeniu tych złotych oczu ogarnęły go wyrzuty sumienia, jednak ludzie Coreya byli zbyt blisko. Lepiej, żeby się go bała, niż gdyby miała wpaść w ich łapska.

Inna sprawa, że nie miał pojęcia, dlaczego właściwie postanowił jej pomóc. Żaden z niego rycerz w lśniącej zbroi, żaden obrońca uciśnionych.

– No cóż... – Starszy mężczyzna popatrzył na nią z pewnym zakłopotaniem. – Kim jestem, żeby stawać na drodze miłości dwojga młodych ludzi?

Harte przyciągnął ją do siebie, a tamten zniknął w tłumie.

– Spokojnie – szepnął jej prawie do ucha. Pachniała delikatnie kwiatami, a także czymś łagodnie piżmowym, jakby olejkiem sandałowym. Właśnie tak powinien pachnieć letni dzień, pomyślał, zamiast śmierdzieć rynsztokiem.

Nadal próbowała mu się wyrwać, ale wzmocnił swój chwyt niepozornym ruchem, który innym tancerzom musiał się wydać niewinnym objęciem.

– Daj się prowadzić i nie rób scen.

– Pokażę ci scenę – syknęła.

Nie była mała. Niewiele niższa od niego, rysy miała raczej ciekawe niż klasycznie ładne. Na innej twarzy szerokie usta w połączeniu z ostrym nosem mogłyby zgrzytać, ale u niej wyglądały uderzająco. Płomień furii w oczach jeszcze dodawał jej atrakcyjności.

A może to wszystko wina whisky...

Dziewczyna znów się szarpnęła, znieruchomiła na chwilę w jego ramionach, po czym wykonała nagły obrót, licząc, że Harte straci równowagę. Nie wiedziała, że stoczył w swoim życiu wiele walk. Z łatwością skontrował atak i zamykając ją ciasno w objęciach, powiódł na parkiet, w wir ciał obojga płci.

– No, no – wymamrotał z uznaniem, robiąc pierwszy obrót w walcu.

Złote oczy dziewczyny przyglądały mu się spod zmrużonych powiek, policzki rumieniły się od wysiłku, jaki wkładała w próby ucieczki. Nie pomylił się – skórę miała czystą, bez makijażu. Nie było na niej zmarszczek, wyglądała miękko i gładko jak płatek.

Powinienem ją puścić... – pomyślał.

Przez ramię dziewczyny spostrzegł jednego z ludzi Coreya, przeczesującego parkiet w poszukiwaniu źródła magii. Mężczyzna niemal w tej samej chwili spojrzał w ich stronę.

– Tańcz ze mną – powiedział Harte, prowadząc ją z dala od niego, na środek zatłoczonego parkietu.

Znów się szarpała, znów biła od niej ciepła energia.

– Nie zatańczyłabym z tobą, choćby...

Ludzie Coreya byli coraz bliżej. Niewiele myśląc, Harte zakrył jej usta własnymi i przygarnął ją do siebie.

Pocałunek odniósł zamierzony skutek – jej magia ostygła, dziewczyna zeszywniała, próbowała odpychać się dłońmi od jego

ramion. Widząc, że ludzie Coreya są tuż obok, Harte przeciągał pocałunek, przyciskał ją coraz mocniej.

Spod łagodnej woni mydła przebijał delikatny zapach czystego ciała. Dawno już nie był tak blisko z dziewczyną i ledwie panował nad zmysłami. Z najwyższym trudem śledził wzrokiem dwóch ochroniarzy, którzy na szczęście zaczęli się oddalać.

Kiedy ciało dziewczyny niespodziewanie zmiękło w jego ramionach, zareagował instynktownie. Gdyby chciał, mógłby się powstrzymać. Ale nie chciał. Odwzajemniła pocałunek, a on przygarnął ją bliżej, wpijając palce w gładki aksamit jej sukni.

Może się pomylił, przemknęło mu przez głowę, kiedy ich usta poruszały się w zgodnym rytmie. Może wcale nie była taka niewinna.

Mózg miał ciężki, otępiały, nie potrafił jej rozgryźć...

Ale nawet te myśli były gdzieś daleko, kiedy przesuwała wargami po jego wargach. Rozchylając usta, by jej skosztować, nie myślał o konsekwencjach. Kiedy ona otworzyła swoje, nie zastanawiał się, czy to dobry pomysł. Przepadł i już.

W tamtej chwili zagrożenie ze strony ludzi Coreya przestało dla niego istnieć. Podobnie jak tłum dookoła. Harte nie był w stanie myśleć o niczym poza dotykiem jej warg, jej zapachem, który wypełniał mu zmysły, dopóki... nie ugryzła go swoimi ostrymi zębami w język aż do krwi.

Puścił ją i chwycił się za usta. „Ugryzłaś mnie!” – chciał zawołać, ale kiedy otworzył oczy, dziewczyny już nie było. Została po niej tylko rozedrgana energia od nagłej eksplozji magii – i smak krwi na języku.

Nie dała nura między tańczących, o nie. Stała przed nim, a potem w jednej sekundzie – w mniej niż sekundę – po prostu zniknęła.

Harte, który przez lata ćwiczył sztukę iluzji, jeszcze nigdy nie widział czegoś podobnego.

Powinien się zmyć, zanim wrócą ludzie Coreya.

Tymczasem stał głupio, z piekącym językiem, wśród wirujących ciał, lekko odurzony wypitą whisky, zelektryzowany wspomnieniem jej ust. Pełen mimowolnego podziwu dla niej.

– Darrigan? – Głos dobiegł go jak zza mgły. – Harte Darrigan, to ty?

Nadal oszołomiony, odwrócił się i zobaczył idącego ku niemu przez parkiet Jacka Grew. Za późno na uciezkę. Przełknął krew, która zebrała mu się w ustach, i pomachał na powitanie. Ani trochę nie cieszył go widok Jacka. Nie mógł przestać myśleć o dziewczynie.

– Tak mi się wydawało, że to ty – powiedział Jack z uśmiechem człowieka, który trochę już wypił. – Chodź, mam stolik w rogu. – Wskazał na drugi koniec zatłoczonej sali.

– Prowadź – odparł łagodnym tonem Harte. Ostrożnie wybadał wciąż bolący język, starając się zapomnieć o dziewczynie i skupić na towarzyszu. Ona nie była już jego problemem, za to on mógł być rozwiązaniem.

# SZKODA DOBRYCH BUTÓW

Esta, schowana w obszernej wnęce na piętrze, oddychała głęboko. Rozpięła dwa górne guziki ciężkiej aksamitnej sukni, żeby pozbyć się uczucia gorąca, które rozlało jej się po szyi.

Pocałował ją.

Wciąż czuła dotyk jego ust, smak jego whisky. Nie wiedziała, kim był ani dlaczego się do niej przyczepił, ale nienawidziła go za to, co zrobił.

Najpierw przeszkodził jej w kradzieży portfela – a chciała w ten sposób zwrócić na siebie uwagę Bridget Malone – a potem jeszcze, nie do wiary, pocałował ją, jakby miał do tego prawo.

Kiedy się do niej nachylał, wszystko wkoło jakby pociemniało, czas zwolnił swój bieg i Esta skamieniała. Nie żeby ten człowiek potrafił naprawdę zatrzymać czas, nie tak jak ona. Po prostu – trenowana przez całe życie, jak odpierać ataki i wydostawać się z opresji – wiedziała, co się stanie, a mimo to nie zrobiła nic, żeby temu zapobiec.

Co gorsza, sama też go pocałowała. Jak skończona idiotka.

W chwili, kiedy ich wargi się złączyły, spodziewała się raczej ataku, tymczasem jego delikatność całkiem zbiła ją z tropu. Poczła ciepło jego ust, jego zapach – mydło, świeża pościel z cytrusową nutą – i coś się w niej otworzyło. Nie żeby to był pierwszy pocałunek w jej życiu. Oczywiście, że dawała się wcześniej całować. Loganowi, różnym mężczyznom, żeby odwrócić ich uwagę podczas misji. Do pewnego stopnia nawet sprawiała jej przyjemność ta wymiana oddechów, ten dreszczyk pożądania.



Nie zdawała sobie jednak dotąd sprawy, jak bardzo pragnie delikatności. Że wciąż jest podatna na tęsknotę za kontaktem z drugim człowiekiem, kontaktem nie tak czysto fizycznym jak sparingi z Dakarim. Na tęsknotę za c i e p ł e m.

To ciepło znalazła w jego pocałunku; pogrążyła się w nim z łatwością, z jaką się oddycha. Nie próbowała się nawet powstrzymywać. To było jak te wszystkie razy z Loganem, których zawsze później żałowała.

Prawdę mówiąc, martwiło ją to bardziej niż sam pocałunek.

Na szczęście nie miała teraz czasu na dociekanie prawdy o sobie, tak samo jak nie miała czasu na rozmyślania o tym pocałunku – o tym, jaka była głupia. Dzięki Bogu opamiętała się w końcu i odgryzła mu się pięknym za nadobne.

Choć nie mogła powiedzieć, że to jakoś bardzo poprawiło jej samopoczucie.

Z wnętrza miała teraz widok na całą salę, również na tego chłopaka. Na parkiecie był tak stanowczy, że wydał jej się dużo starszy, ale teraz, kiedy mu się przyjrzała, doszła do wniosku, że mógł mieć co najwyżej parę lat więcej niż ona.

Nie mogła oderwać od niego wzroku. Trzeba dobrze poznać wroga, tłumaczyła sobie. A skoro jest miły dla oka – tym lepiej. Garnitur leżał idealnie na jego szerokich ramionach. Zdążyła się już przekonać, że nie był watowany – czuła siłę mężczyzny, kiedy chwycił ją za nadgarstek, a potem trzymał w objęciach. Ale było w nim też coś niepokojącego. I nie chodziło wyłącznie o ten pocałunek.

Może po prostu sprawdzało się stare porzekadło, że oszust nie da się oszukać, ale po kilku minutach uważnej obserwacji stwierdziła, że cała ta jego przebojowość jest tylko pozą. Albo częścią jakiejś gry. Tak samo jak wdzięk Logana służył

do manipulowania ludźmi, a groźny wygląd Dakariego ukrywał jego wewnętrzną miękkość.

Im dłużej patrzyła, tym więcej znajdowała dowodów na to, że chłopak wcale nie czuje się tu jak ryba w wodzie. Wiercił się. Skubał sobie rękawy, dotykał skroni w taki sposób, jakby sprawdzał, czy każdy włos jest na swoim miejscu, poprawiał rękawiczki na stole, tak by stykały się palcami, raz po raz się rozglądał. Im dłużej patrzyła, tym bardziej nurtowało ją, co takiego ukrywa. Albo przed kim się ukrywa.

Nagle doznała olśnienia – mężczyzna po drugiej stronie stołu wyglądał znajomo. Potrzebowała chwili, żeby sobie przypomnieć, skąd go zna, lecz gdy wreszcie uświadomiła sobie, że ostatnim razem, kiedy go widziała, był starszy, z łatwością rozpoznała w nim blondyna, który postrzelił Logana w rezydencji Schwaba.

Zrobiła krok do tyłu. Serce Faraona ukradnie dopiero za dwadzieścia lat, teraz przebywała w przeszłości, w której nie mógł jej znać. Na razie mogła się czuć w miarę bezpieczna, ale dziwny to był zbieg okoliczności, że człowiek, który pokrzyżował jej szyki w domu Schwaba, był tu razem z nią.

Powinna czym prędzej odnaleźć Bridget Malone, zanim coś jeszcze się wydarzy...

– Hm, co my tu mamy? – usłyszała nagle zza pleców.

Podskoczyła wystraszona. Odwróciwszy się, ujrzała przed sobą ogromnego mężczyznę z kozią brodą i sterczącym brzuchem. Spoglądał na nią lubieżnie, roztaczając kwaśny odór, w którym piwo i pot mieszały się z nadmiarem wody kolońskiej.

– Corey powiedział, że dziś wieczór ma dla mnie kogoś wyjątkowego. – Niecierpliwie przebierał w powietrzu palcami, na których błyskał ciężki złoty sygnet. – Chyba się mnie spodziewałaś – dodał, wskazując gestem rozpięty kołnierz jej sukni.

Esta w pierwszej chwili pomyślała, że musiał ją z kimś pomylić, ale pełzał po niej wzrokiem, zatrzymując się na piersiach, na spiętej gorsetem talii oraz biodrach. Przypomniała sobie nagle, gdzie się znajduje – w jednej z alków, w których zatrudnione w klubie dziewczyny zabawiały swoich klientów. Ten człowiek najwyraźniej uznał, że czekała tu na niego. Zanim zdążyła wyprowadzić go z błędu, zbliżył się, zastawiając wyjście swoim szerokim cielskiem.

Gdy zrobił kolejny krok w jej stronę, pomyślała, że naprawdę nie chce dzisiaj nikomu więcej zrobić krzywdy. Przyparta do ściany w pośpiechu rozważała wszystkie swoje możliwości.

– No już – wymamrotał gruby kozioł, zataczając się ku niej. Gdy uniosła obronnie ręce, rozchylił wargi w krzywym uśmiechu, odsłaniając szereg żółtych zębów. – Tylko bez takich – dodał wyraźnie rozochocony.

Wyciągnął po nią rękę – był szybszy, zwinniejszy, niż się spodziewała. Ledwie zdążyła skoncentrować się na chwili, znaleźć przerwy między sekundami, by móc się przez nie wymknąć. Sala ucichła, hałaśliwe śmiechy i brzękliwe dźwięki orkiestry zlały się w monotony szum, a ruchy mężczyzny stały się komicznie powolne, jakby powietrze miało konsystencję piasku.

Esta poczuła ogromną ulgę. Prześlizgnięcie się obok jego cielska nie stanowiło teraz większego problemu. Uciekając, tłumila śmiech wzbierający w piersi na widok jego zdumionej miny. Kiedy puściła czas wolno, świat ożył na nowo, a mężczyzna upadł ciężko na podłogę z głośnym stęknięciem.

Nie doceniła jednak przytomności jego umysłu. Zanim zdążyła się oddalić na bezpieczną odległość, złapał ją za kostkę.

– Puszczaj! – warknęła pod nosem. Nie chciała zwracać na siebie uwagi, na pewno nie tutaj, pośrodku zatłoczonego klubu. Musiała

uciec i znaleźć Bridget. Skupić się na tym, co najważniejsze – na Księdze, kamieniu. Na swojej misji.

Ale mężczyzna dobrze się bawił.

– A więc tak ma być? – Śmiejąc się, trzymał jej nogę w żelaznym uścisku i wciągał dziewczynę z powrotem do alkowy.

Czego by w tamtej chwili nie oddała za dowolną inną moc – na przykład przywoływania wiatru albo rażenia prądem. Niestety, potrafiła tylko manipulować chwilą terażniejszą. Co w zupełności wystarczało, gdy trzeba było drapnąć komuś brylant, ale nie kiedy ktoś ją trzymał, bo wtedy mogła co najwyżej spowolnić czas dla nich obojga.

– Nie przyszedł tu dla ciebie – syknęła, próbując się wyrwać.

– Czekając na mnie – odparł z błyskiem podniecenia w oku.

– Nie przysłał mnie żaden Corey, nawet nie wiem, kto to.

Wierzącą kilka razy, ale mężczyzna tylko się roześmiał i jeszcze mocniej wpił palce w jej kostkę. Spojrzenie miał bystre, nie tak mętne jak przed kilkoma sekundami. Wtem szarpnął ją z niespodziewaną siłą, aż straciła równowagę i upadła na deski. Jacyś ludzie nieopodal zerkali przez ramię w ich stronę i zaraz odwracali wzrok.

Mężczyzna śmiał się i dalej włókł ją po podłodze, zadzierając jej dół sukni, odsłaniając nogi. Próbowwała się bronić, ale bezskutecznie. Trzymał ją mocno za kostkę i sięgał palcami jak serdelki coraz głębiej pod halki, szczypał ją w nagie udo, jeszcze dalej...

Nie dbając o to, czy ktoś patrzy, wymierzyła mu potężnego kopniaka prosto w twarz. Pod cienką podeszwą buta poczuła chrzęst łamanej kości. Z nosa mężczyzny chlusnęła krew. Ryknął jak ranny niedźwiedź, ale nie puścił jej kostki. Oczy płonęły mu chorobliwym podnieceniem, kiedy zacisnął palce i boleśnie wykręcił jej nogę. Esta czuła, że jej kości mogą tego nie wytrzymać.

Kopnęła go rozpaczliwie raz, drugi, trzeci. Tak jak ją nauczył Dakari. Obcasy jej wysokich butów pokryły się krwią. W końcu mężczyzna rozluźnił chwyt i opadł nieprzytomny na podłogę.

Esta prędko się od niego odsunęła, kątem oka zauważając grupkę zebranych wokół niej gapiów. Twarz mężczyzny była krwawą miazgą, leżał z rozrzuconymi rękami, ale oddychał. Przynajmniej na razie.

Gromadka widzów patrzyła w milczeniu. Esta napotkała wzrok dziewczyny o policzkach odcinających się różowo od spopieliałej twarzy.

– Nie chciałam... – zaczęła się tłumaczyć, ale słowa zamarły jej na ustach, bo w tej samej chwili dziewczyna wydała z siebie przeraźliwy wrzask, a dwóch mężczyzn ruszyło w jej stronę.

Widziała po ich minach, że rozmową nic nie wskóra.

Stała na trzęsących się nogach. Później poszuka Bridget. Teraz musiała uciec jak najdalej od tej zatłoczonej sali, od tych ochroniarzy o zadartych nosach. Nagle jednak zaczęła się dusić. Płuca odmówiły jej posłuszeństwa, czuła ucisk w piersi, jakby coś wysssało z atmosfery cały tlen. Ogarnięta paniką, rozglądała się gorączkowo za napastnikiem, ale wzrok zaczynał się jej rozmywać na obrzeżach. Rozpaczliwie chwytła ustami powietrze, którego nagle ubyło.

Zanim zdążyła skupić całą swoją uwagę na upływających sekundach, znaleźć między nimi przerwy i uciec, z tyłu głowy przeszył ją ostry ból. Potem zrobiło się czarno.

## SPOTKANIE

Jack tylko raz na chwilę podniósł wzrok na balkon, gdzie doszło do jakiegoś zamieszania. Ale Harte wyczuł obecność magii, charakterystyczną energię, która przemknęła po sali, a którą mógł rozpoznać tylko ktoś, kto sam władał starą magią. Zastanawiał się, co było jej źródłem i czy dziewczyną, na jej nieszczęście, zainteresowali się ochroniarze Coreya.

Jeżeli tak, to również jego wina. Niepotrzebnie ją spłoszył, nie powinien był jej całować. Mógł wymyślić jakiś lepszy sposób. Poczucie winy ścisnęło mu żołądek, ale teraz nie mógł już nic dla niej zrobić.

Skupił uwagę z powrotem na swoim rozmówcy, który właśnie zdejmował dwie szklaneczki whisky z tacy kelnerki. Jack Grew, marnotrawny bratanek J.P. Morgana, był jednym z synów tego miasta. Pochodził z rodziny mocno sprzężonej z machiną władzy, wielu jego krewnych należało do Zakonu Ortus Aurea, więc nie było dla Harte'a żadnym zaskoczeniem, kiedy parę miesięcy temu Jack zapukał do garderoby po jednym z występów, by entuzjastycznie pogratulować mu wspaniałego numeru i dowiedzieć się czegoś więcej o jego umiejętnościach.

Harte trzymał go na dystans... aż do tamtego wieczoru, kiedy Dolph Saunders w swoim klubie usiłował go namówić na udział w samobójczej misji. Od tamtej pory Harte zaczął inaczej patrzeć na Jacka i pielęgnować tę znajomość, jednocześnie kombinując, jak można by ją najlepiej wykorzystać. I jak sprawić, by Jack nie stał się narzędziem w rękach Dolpha.

– Będzie już parę tygodni, odkąd się widzieliśmy – zauważył, biorąc od niego jedną ze szklanek. – Zaskoczyła mnie wiadomość od ciebie.

– Wybacz. – Jack się skrzywił. – Ostatnio mam urwanie głowy – powiedział i powoli upił łyk whisky. – Stryj męczy mnie od tygodnia, pomagam mu zorganizować wernisaż wystawy w Metropolitanie. Ale otwarcie już w piątek, więc przynajmniej wkrótce będę miał to z głowy.

– Nic nie słyszałem... – Harte urwał, jakby to, że nie słyszał, obniżało rangę wydarzenia.

– Będzie jakaś zbiórka pieniędzy – rzucił kwaśno Jack do prawie pustej szklanki. – Kompletna strata czasu.

Harte uśmiechnął się figlarnie.

– Miło z twojej strony, że mimo wszystko pomagasz.

Jack prychnął.

– Nie robię tego z dobroci serca. Jakoś bym się wykpił, ale chciałem przy okazji przyjrzeć się paru rzeczom.

– Ach tak? – podchwycił od niechcienia Harte z dość znudzoną miną, bo jak przekonał się w ostatnich miesiącach, nic tak nie zachęcało Jacka do zwierzeń.

Z początku Jack w rozmowach z nim niechętnie poruszał tematy związane ze swoją rodziną i Zakonem, lecz Harte był mistrzem w manipulowaniu publicznością. Wkrótce Jack zaczął dzielić się z nim różnymi informacjami, żeby mu zaimponować i pokazać, jaki jest ważny.

– Stryj ma ogromną kolekcję sztuki osmańskiej, a niektóre z tych dzieł to prawdziwe unikaty. Raczej nie pokazuje ich światu, ale teraz, przed konklawe, nie mógł się powstrzymać.

– Jest tam coś, co mogłoby mnie zainteresować? – spytał nonszalancko Harte.

Jack skinął głową.

– Być może. Jest kilka tabliczek i pieczęci z Babilonu i przynajmniej jeden rękopis, którego właścicielem był sam Newton. – Uśmiechnął się. – Nie powiem, żeby to był wielki kłopot bliżej im się przyjrzeć. Zwłaszcza że nie mam dostępu do zbiorów w Khafre Hall.

– Nadal cię tam nie wpuszczają? – podchwycił Harte, kręcąc głową z dezaprobatą.

– Oczywiście, że nie. Tylko Wewnętrzny Krąg ma dostęp do archiwów, a stryj nie chce mnie do niego wprowadzić, dopóki się nie wykażę. Może to przyjęcie, jeśli będzie udane, mnie do tego przybliży. Nie mogą kazać mi czekać w nieskończoność. – Zerknął na Harte'a. – Sami dobrze wiedzą, że są niedzisiejsi. Nie chcą spojrzeć prawdzie w oczy, a prawda jest taka, że jeszcze trochę i staną się zupełnym przeżytkiem. Świat za szybko się zmienia, żeby tkwić w przeszłości.

– Wielka szkoda – wymamrotał Harte i udał, że bierze łyček whisky. – To muszą być straszni głupcy, skoro cię nie doceniają, Jack. Jesteś najlepszy z nich wszystkich. – Uniósł szklanekę do toastu. – Za szybkie zakończenie tej sprawy, żebyś mógł się skupić na ważniejszych przedsięwzięciach.

Jack uśmiechnął się i podniósł swoją szklanekę, ale nie zdążyli się stuknąć.

– À propos strasznych głupców – mruknął, widząc, że zbliża się do nich trzech młodych ludzi w dobrze skrojonych marynarkach.

Kiedy stanęli przy stole, trzy pary oczu zmierzyły Harte'a znudzonym i obojętnym wzrokiem, jakim spoglądają tylko ludzie naprawdę bogaci.

– Panowie – rzekł Jack z nutą niechęci w głosie, wstając, aby się przywitać.



Harte uczynił to samo. Bez trudu rozpoznał tych trzech. Nie mogło być inaczej, zważywszy na to, jak często rozpisywano się o nich w rubrykach towarzyskich. Jeden był to Vanderbilt, drugi – Robert Winthrop Chandler, kuzyn Astorów, a trzeci – młody J.P. Morgan, kuzyn Jacka. Wszyscy trzej byli synami miasta, władcami tego świata – w każdym razie mieli nimi zostać z chwilą, gdy ich ojcowie postanowią w końcu przekazać im stery swoich imperiów lub umrą.

– O, Jack, ty tutaj? – odezwał się Chandler z zimnym błyskiem w oku. – Twojego przyjaciela chyba nie znam.

Jack dokonał prezentacji, ale jeśli któryś z trójki kojarzył Harte'a z imienia i nazwiska, nie dali tego po sobie poznać. Żaden nie wyciągnął też do niego ręki.

– Jestem zaszczycony. – Harte zachował uprzejmy wyraz twarzy i odpowiedział na ich afront grzecznym skinieniem głowy.

– Nie zaproponujesz nam, żebyśmy się do was dosiedli? – spytał młody J.P. Morgan, unosząc brew.

Harte czuł bijącą od Jacka niechęć, ale nie było innego wyjścia.

– Proszę. – Jack wskazał gestem wolne krzesła. – Może usiądziecie z nami?

Tamci wymienili chłodne spojrzenia, po czym zgodnie i jakby lekko rozbawieni zajęli miejsca przy stole. Wszyscy trzej byli starsi od Jacka, bliżej trzydziestki niż dwudziestki. Harte szybko zrozumiał, że nie traktują Jacka poważnie, a jego uważają za intruza.

Nie żeby przyznali to wprost. Jack wprawdzie nie był najbogatszą ani najbardziej wpływową osobą przy stole, ale był jednym z nich – nieważne, że dopiero co upokorzonym przez własną rodzinę, która musiała go ściągać do domu z dalekich wojaży po tym, jak omal nie ożenił się z córką greckiego rybaka.

Mógł jednak liczyć tylko na ich pobłażanie i nic więcej.

Kelnerka dostawiła jeszcze jedno krzesło. Rzuciła pijany uśmiech Jackowi i zaczęła się na nim pokładać, szepcząc mu coś do ucha, tak że ryknął śmiechem. Jej wygląd przypomniał Harte'owi, jak wyjątkowa była tamta dziewczyna, przez którą teraz bolał go język. Ta, przez którą na moment postradał zmysły.

Przywołał się do porządku. Nie mógł sobie pozwolić na bujanie w obłokach. Nie w towarzystwie tych ludzi, członków Zakonu jeszcze bardziej wpływowych niż Jack.

Wszyscy czekali, aż Jack skończy się zabawiać z kelnerką, która siedziała mu teraz na kolanach. Naprzeciw Harte'a spoczął młody J.P. Morgan, spadkobierca fortuny Morgana i jego pozycji w Zakonie. Sądząc po lekko kpiącej minie, doskonale wiedział, jak nieswojo czuje się Harte w tym gronie.

Morgan uniósł starannie zwiniętego papierosa i mrużąc oczy, zaciągnął się głęboko, po czym wydmuchnął dym przez nos i rzekł:

– Jack o tobie wspominał. Podobno umiesz rozerwać publiczność.

Harte przechylił głowę, nie zwracając uwagi na szyderczy ton, z jakim kuzyn Jacka wypowiedział te słowa. Jakby chodziło o małąkę kataryniarza.

– Miło mi, że dobrze o mnie mówi.

Morgan, wciąż mrużąc oczy, wzruszył ramionami.

– Mówił głównie, że marnujesz się na scenie. Że szkoda twojego talentu.

Harte nieznacznie uniósł kąciki ust.

– Urodziłem się z talentem do sceny – odparł. – A scena dobrze mnie traktuje. – Obciągnął sobie lewy rękaw, aby dyskretnie zwrócić ich uwagę na połyskujący klejnot w spince do mankietu.

Vanderbilt pochylił się nad stołem.

– Jesteś prawdziwą zagadką, Darrigan – stwierdził. – Co to za nazwisko? Irlandzkie? A może to twój pseudonim sceniczny?

– Obawiam się, że to jedyne nazwisko, jakie mam – odparł Harte niebezpiecznie równym głosem.

– Lubisz być tajemniczy, co? – podjął kuzyn Jacka. – Trochę o tobie słyszałem. Historia stara jak Broadway: człowiek znikąd robi furorę. Nawet moja matka była na twoim przedstawieniu. Twierdzi, że dałeś niezwykły popis. – Zaśmiał się nieszczercze. – Że musisz posiadać jakiś rodzaj prawdziwej mocy.

– To bardzo miłe.

– Bo ja wiem? Matka była raczej podenerwowana – dodał Morgan z obojętnym wzruszeniem ramion. – Powiedziałem jej, oczywiście, że to niemożliwe. Wszyscy dobrze wiemy, że gdybyś faktycznie należał do tego motłochu, już by się tobą zajęto, prawda? – Groźba była czytelna. – Zakon by się dowiedział. A więc to muszą być zwykłe sztuczki, tak jej powiedziałem. Iluzje. A nie żadna prawdziwa magia.

Twarz Harte'a wciąż była uprzejmą maską, którą uTORował sobie drogę ze slumsów na estradę.

– Myślę, że gdybym stanowił zagrożenie, Zakon już dawno by mnie unieszkodliwił. Mam dla nich najwyższy szacunek za to, co robią. Chronią nas przed tymi, którzy zagrażają naszym wartościom. Zapewniam was jednak, że moje sztuczki wcale nie są proste – dodał lekkim tonem, choć miał gęsią skórkę. Wpadł do głębokiej wody. Było wiele czynników, których nie przewidział: najpierw ta dziewczyna, teraz rozmowa krążąca wokół magii.

Przeklęty Jack, on mnie w to wpakował, przemknęło mu przez myśl.

– Nie są? – rzucił Morgan z ledwie widocznym uśmiechem.

Harte nie dał się sprowokować.

– Skoro Jack wam o mnie opowiadał – przekrzywił głowę – na pewno wspominał, że studiowałem nauki hermetyczne.

Alchemię, astronomię, teurgię. Najważniejsze gałęzie okultyzmu. To, co robię, to nie są sztuki. – Miał ochotę spojrzeć znacząco na Jacka, żeby przyszedł mu z pomocą, lecz oparł się tej pokusie i dalej twardo patrzył w oczy jego kuzyna. – Demonstruję swoje umiejętności oraz wiedzę, którą posiadam przez lata nauki.

– Tak, rzeczywiście coś chyba wspominał – przyznał Morgan.

– Ale mu nie uwierzyłeś. – To nie było pytanie.

Pycha Morgana, jego poczucie wyższości malowały się wyraźnie w jego spojrzeniu. Podobnie jak niewiara w to, że ktokolwiek spoza ich kasty mógłby władać jakąkolwiek mocą. Harte musiał się powstrzymać, żeby się nie uśmiechnąć na myśl o paradoksie tej sytuacji.

– Lubię sobie wyrobić własne zdanie – odparł kuzyn Jacka, kolejny raz mrużąc oczy i głęboko zaciągając się papierosem, a potem nagłym ruchem gasząc go na marmurowym blacie. – Choć gdy idzie o irlandzką hołotę – tu przebiegł wzrokiem po nieskazitelnym, doskonale skrojonym ubraniu Harte'a – czy kim tam jesteś, raczej nie ma o czym dyskutować. – Pochylił się ze złośliwym błyskiem w oczach. – Co to za plotka krąży na twój temat? Ach, tak... nieślubny syn Chińczyka.

Pozostali dwaj poruszyli się niespokojnie na swoich miejscach. Może i Jack był zakałą rodziny, ale dobre wychowanie i maniere tkwiły w przedstawicielach tej kasty głęboko.

Na szczęście Harte nie był obciążony tym balastem. Jego usta wykrzywiły się złośliwie i już miał na końcu języka ciętą ripostę, gdy nagle poczuł znajomy powiew magii i wydało mu się, że jest obserwowany. Zapomniał o tym, co zamierzał powiedzieć, i wstał, tocząc wzrokiem dookoła.

Morgan się roześmiał.

– Wybierasz się gdzieś, Darrigan?

Dwaj koledzy Morgana także się zaśmiali. Jack był zbyt zajęty kelnerką, by zauważyć, że sprawy przy stole przybierają niepokojący obrót.

Harte na próżno wypatrywał zielonej aksamitnej sukienki lub oczu w kolorze whisky. Może to ochrona Coreya, pomyślał. Tym gorzej. I tak już było tu zbyt dużo magii, a Harte Darrigan nie mógł sobie pozwolić na to, by kojarzono go z magią. Nie wśród tych ludzi, członków Zakonu, którzy stanowili dla niego jeszcze większe zagrożenie niż tutejsi ochroniarze.

Morgan uśmiechnął się nieprzyjemnie znad kieliszka szampana.

– Czujesz się tutaj troszkę zagubiony, co?

Jack wreszcie podniósł wzrok znad jedwabiu i muślinu.

– Już sobie idziesz? – zawołał z niedowierzaniem. – Przecież... nie skończyłeś nawet whisky – dodał, jak gdyby to było najważniejsze.

Harte, ignorując Morgana, uśmiechnął się krzywo do Jacka.

– Nie chce mi się pić.

– Ale...

– Jack, panowie, jeśli lata występów czegoś mnie nauczyły, to tego, że trzeba wiedzieć, kiedy zejść ze sceny. – Pożegnał resztę skinieniem głowy, na chwilę zatrzymując lodowate spojrzenie na Morganie, by pokazać, że się go nie boi. – Na razie, Jack.

Prawda była taka, że docinki Morgana bolały o wiele mniej niż spuchnięty język.

Chwilę później, brnąc przez tłum w stronę wyjścia, a potem wychodząc w chłodne objęcia wieczoru, wciąż nie mógł się oprzeć wrażeniu, że ktoś na niego patrzy, śledzi każdy jego krok.

## WIECZOROWĄ PORĄ

**N**ie dotarł jeszcze do najbliższej przecznicy, kiedy usłyszał wśród ulicznego zgiełku wołanie Jacka. W pierwszej chwili w ogóle nie zareagował, dalej szedł żwawo chodnikiem, zostawiając w tyle Słomiany Targ i cały ten chaotyczny wieczór. Ale Jack się nie poddawał.

Harte westchnął i przystanął, pozwalając mu się dogonić. Przynajmniej będzie miał to z głowy...

Jack odznaczał się patrycjuszowską urodą charakterystyczną dla ludzi z jego klasy: prosty, wąski nos, jasne oczy, mocne, kwadratowe czoło. Nie był od Harte'a dużo starszy, ale upokarzająca przygoda w Grecji odcisnęła na nim piętno. Z dala od migotliwych świateł dansingu wydawał się zmęczony. Twarz miał czerwoną i mokrą od szybkiego biegu. Obrzmiła skóra i cienie pod oczami wyglądały teraz jeszcze gorzej.

– Co jest, Jack? Zapomniałeś dorzucić jakąś złośliwość od siebie?

– Wyszedłeś – stwierdził Jack, ignorując sarkazm Harte'a. W jego przekrwionych oczach widać było szczere zakłopotanie. Jakby nikt przedtem nie wyszedł ze spotkania z nim.

Pewnie tak właśnie było. Choć Jack miał obecnie w swojej rodzinie status czarnej owcy, niewielu odważyłoby się go urazić i zaryzykować gniew jego sławnego stryja. Harte też raczej nie mógł sobie na to pozwolić, zwłaszcza jeśli zależało mu na zaufaniu Jacka, lecz był zbyt zdenerwowany, żeby się tym przejmować. Młody Morgan i reszta niebezpiecznie zbliżyli się do prawdy. W tamtej

chwili Harte zobaczył oczyma wyobraźni, jak cały jego staranny plan może lec w gruzach.

– Posłuchaj, Jack, przyszedłem tylko dlatego, że mnie poprosiłeś. Nie spodziewałem się, że wystąpię w charakterze atrakcji wieczoru. Nie mam zwyczaju robić tego za darmo.

– To nie tak, Darrigan...

– Właśnie tak było, Jack.

– Ja też się ich nie spodziewałem, a potem... – Jack westchnął głęboko, jakby dla uspokojenia nerwów.

– A potem siedziałeś z ręką w sukience kelnerki i pozwalałeś mnie obrażać.

Jack miał w sobie dość przyzwoitości, by zrobić coś na kształt skruszonej miny.

– Przepraszam cię, Darrigan, ale...

– Ale co, Jack? Czy to nie są ci sami ludzie, na których wiecznie psioczysz? O n i nie poznają się na twoim geniuszu. O n i nie rozumieją zagrożeń, przed którymi stoimy – przedrzeźniał Harte. Potem przygwoździł Jacka szyderczym spojrzeniem. – Myślałem, że się rozumiemy...

– Bo tak jest! – zapewnił Jack.

– A tymczasem rzuciłeś mnie dzisiaj na pożarcie wilkom.

Harte nabrał tchu i zrobił krok do tyłu. Zbyt łatwo dochodziło w nim do głosu stare oburzenie, gorycz, z której, zdawałoby się, dawno się wyleczył. Zbyt łatwo pozwolił, by dotknęły go ich słowa. Tak być nie mogło, nie w tak delikatnej sytuacji jak ta.

Musiał zachować zimną krew i trzeźwy umysł. Panować nad sobą i nad swoimi emocjami. Długo zabiegał o zaufanie Jacka, nie wolno mu było wszystkiego spartaczyć.

– Słuchaj, usiądźmy gdzieś i porozmawiajmy – zaproponował Jack. – Postawię ci drinka, wynagrodzę ci to. Pogadamy. Bez nich.

– Nie wiem... – Harte ostentacyjnie spojrział na zegarek. Niech jemu zależy, pomyślał, robiąc mentalny krok w tył. Dobry oszust nie powinien się narzucać. Ofiara musi myśleć, że to był jej pomysł.

Jack już podchodził do krawężnika.

– Złapię nam dorożkę. Przy Czterdziestej jest taki zaciszny bar...

– Późno się robi, a jutro wcześnie zaczynam – przerwał mu Harte, nie ruszając się z miejsca.

Bo ostatnia rzecz, na jaką miał teraz ochotę, to kolejna zadymiona knajpa. Musiał się przejść, przewietrzyć umysł. Musiał odpocząć od Jacka Grew i natłoku wrażeń.

Zależało mu, żeby sam Jack tego chciał.

– Zresztą nie mam już siły na nic więcej. – Harte otulił się szczelniej płaszczem dla ochrony przed rzeźkim zimowym powietrzem.

Ręka Jacka opadła bezwładnie wzdłuż boku. Przez moment wyglądał, jakby nie wiedział, co robić. Nagle wyprostował plecy, oczy mu się powiększyły, jakby wstąpił w niego nowy zapach.

– Wiesz co? – powiedział. – Powinieneś wpaść.

– Wpaść? Gdzie? – spytał Harte, nie dając po sobie wcale poznać, jak podziałało na niego to zaproszenie, jak serce podskoczyło mu w piersi, jak na chwilę zabrakło mu tchu.

– Na otwarcie wystawy. Jako mój gość.

Jestem blisko. Bardzo blisko, pomyślał.

– Mam spektakl o ósmej... – zaczął.

– Aha – skwitował smutno Jack.

– Ale wchodzę na scenę dopiero po dziewiątej – dokończył Harte.

– Myślę, że mógłbym zajrzeć na chwilę.

– Koniecznie. – Jack się ucieszył.

– Jeszcze się zastanowię – rzekł Harte, delektując się w duszy swoim małym zwycięstwem. Zachował jednak pokerową twarz,



która niczego nie obiecywała.

– Na wszelki wypadek prześlę ci zaproszenie.

– Pewnie. Dziękuję. – Harte uczynił pożegnalny gest. – Do zobaczenia – rzucił na odchodnym, odwrócił się i zostawił Jacka wśród zgiełku Cyrku Szatana.

W górze na estakadzie zadudnił pociąg, sapiąc węglowym dymem w drodze do stacji końcowej. Potem zrobiło się cicho. Zatłoczone chodniki ustąpiły miejsca ulicom z pierzejami uśpionych domów, ale w tej ciszy było coś przeszywającego i Harte wiedział, że ktoś za nim podąża.

Nie zwalniając ani nie przyspieszając kroku, skręcił w prawo i doszedł do miejsca, gdzie ulica łączyła się z Madison Square. Zaszły się w tamtejszym parku i czekał.

Wkrótce ujrział swojego prześladowcę u parkowej bramy. Rozpoznał go natychmiast. Przez chwilę rozważał swoje opcje. W końcu zdecydował się na bezpośrednią konfrontację.

– Dlaczego za mną łazisz, Nibsy? – spytał, wychodząc z cienia.

Okulary chłopaka zaślniły w blasku księżyca.

– Harte Darrigan? To ty? – zawołał Nibs, jakby wcale nie śledził Harte'a od jakiegoś czasu. Jakby niespodziewanie późną nocą w opustoszałym parku spotkał starego znajomego.

– Dobrze wiesz, że ja. Idziesz za mną od kilku minut. – Stał przed chłopakiem, tak że prawie stykali się czubkami butów. – Ty też byłeś w Słomianym Targu?

Zaczął podejrzewać, że tamten niepokój, który kazał mu wstać od stołu, był spowodowany przez Nibsy'ego, a nie przez dziewczynę.

– Słomiany Targ? – powtórzył chłopak ze zdziwieniem, ale Harte nie zamierzał dać się nabrać. Ludzie często lekceważyli Nibsy'ego

Lorcana, bo nie miał daru, który rzucałby się w oczy, ale przecież to samo można było powiedzieć o nim.

Nibs strzegł swoich sekretów, lecz Harte wiedział, że ktoś, kto cieszy się tak wielkim zaufaniem Dolpha Saundersa, musi coś w sobie mieć. Niby żaden problem to sprawdzić, ale Nibs lubił zachowywać dystans. Ten mechanizm obronny wydawał się dobrze mu służyć.

Również teraz Nibsy zrobił krok do tyłu.

– Nie próbuj mi wmówić, że nie wiedziałeś, że byłem w Słomianym Targu – rzekł Harte. Nie miał siły użerać się z kolejną osobą.

Wzrok chłopaka za szklami był nieprzenikniony, ale Harte odnosił wrażenie, że nic tym oczom nie umyka.

– No dobra – przyznał Nibsy z pojednawczym półuśmiechem. – Bridget mi powiedziała, że spotykasz się z Jackiem Grew.

Nareszcie przechodzili do rzeczy. Nowy Jork mógł być jednym z największych miast świata, lecz Harte powinien był się domyślić, że nie zdoła niczego utrzymać w tajemnicy.

– Owszem, spotkałem się z nim. I jeszcze z Vanderbiltem, Chandlerem i paroma innymi. Co cię to obchodzi? I dlaczego w ogóle na mnie czekałeś?

– Chciałem z tobą porozmawiać. Za kulisy mnie już nie wpuszczają – dodał z lekkim wyrzutem w głosie.

– Nowe zarządzenie – odparł wymijająco Harte.

W istocie sam tak zarządził. Parę tygodni temu Nibsy zaczął go nachodzić w pracy, przypominać mu o propozycji Dolpha. Był tak namolny, że Harte w ogóle nie mógł się skupić ani tym bardziej przygotować do kolejnego występu.

Nie mówiąc o tym, że miał własne plany i nie chciał dopuścić do przypadkowego spotkania Nibsy'ego z Jackiem.

Chłopak zmarszczył brwi, jakby zrozumiał, że to niezupełnie kłamstwo, ale i nie do końca prawda. I to właśnie niepokoiło Harte'a: ten mały zawsze wiedział trochę za dużo, a nie powinien wiedzieć nic.

– Czy to, że się spotkałeś z Jackiem Grew, oznacza, że przemyślałeś propozycję Dolpha?

– Nie wygłupiaj się – odparł Harte, kręcąc głową.

W rzeczywistości jednak nie myślał o niczym innym. To dlatego zaprzyjaźnił się z Jackiem. Nie zamierzał dołączać do tej hałasty, którą zbierał Dolph Saunders. Dość się w życiu napracował dla innych. Przemyślał natomiast bardzo dobrze powód, dla którego Dolph kompletował ekipę – i doszedł do wniosku, że może zrobić to samo, i to nawet lepiej, w pojedynkę.

– Dolphowi nadal zależy na twoim udziale – powiedział Nibsy, rozcierając zmarznięte dłonie. – Bez ciebie to się nie uda.

Harte lubił teatr i aktorstwo, ale Nibs w roli łagodnego baranka ani trochę go nie przekonywał.

– Niby dlaczego? Z tego, co wiem, Dolphowi nie brakuje talentów. Ja potrafię tylko sprawić, że znikają króliki.

Nibs nie zareagował na to kłamstwo i Harte zaczął się zastanawiać, ile Dolph mówi Nibsowi.

– Dolph nadal uważa, że potrzebujemy twojej pomocy, żeby się tam dostać. Z tobą pójdzie jak po maśle. – Nibsy lekko opuścił głowę i spojrzał znad oprawek. – Powinieneś przynajmniej na spokojnie to rozważyć.

– To był długi dzień, Nibs. Miałem dzisiaj dwa występy, a jutro mam trzy. Jedyne, o czym teraz marzę, to moje wygodne łóżko. – Harte poklepał chłopaka po ramieniu i lekko je ścisnął. Trudno było mieć pretensje do dzieciaka, że wykonuje polecenia Dolpha, lecz Harte nie zamierzał go żałować, nie miał aż tak miękkiego serca. –

Uważaj na siebie i przestań za mną chodzić, jasne? – To rzekłszy, wyminął Nibsę i odszedł.

– To co mam powiedzieć Dolphowi? – zawołał za nim Nibs.

Harte zawrócił i zrobił parę kroków.

– Powiedz, że nadal nie jestem zainteresowany udziałem w jego samobójczej misji.

Miał swoje plany.

# BRIDGET MALONE, JAK MNIEMAM

## *Słomiany Targ*

Pierwsze, co Esta zauważyła, kiedy się ocknęła, to że nie jest sama. Głowa wciąż ją bolała od uderzenia. Siedziała pod wilgotną ścianą, zapewne w jakiejś piwnicy, sądząc po zapachu stęchlizny.

Oddychając równomiernie, powoli zjechała dłonią po nodze, aż natrafiła na krawędź buta, lecz noża Dakariego już tam nie było.

Zrobiło jej się nagle bardzo duszno. Rozpaczliwie nabierając powietrza w skurczone płuca, mimowolnie otworzyła oczy.

– A więc miałem rację – zachrypiał czyjś głos. – Nie śpisz.

Kiedy po chwili wzrok Esty oswoił się z nagłą jasnością, zobaczyła, że źródłem światła nie jest lampa, lecz tańczący płomyk w dłoniach jakiejś osoby.

– Wystarczy, Wernerze – powiedziała kobieta i skinęła głową na stojącego przy niej chłopca.

Spojrzał groźnie na Estę, ale po chwili odzyskała dech.

– Pewnie się zastanawiasz, gdzie jesteś – rzekła kobieta z chytrym uśmiechem. Była niewysoka i zaskakująco smukła jak na swój chrapliwy głos. Miedziane włosy, jasna cera – kiedyś mogła być ładna, teraz jednak sprawiała wrażenie zniszczonej przez życie.

Chłopak był mniej więcej w wieku Esty, oczy miał zwężone w szparki, usta wykrzywione w drwiący uśmieszek.

Estę średnio interesowało, gdzie się znajduje, ponieważ nie zamierzała tam długo zostać. Skupiła się na płynących sekundach, ale kręciło jej się w głowie, a kiedy spróbowała spowolnić bieg czasu, poczuła rozdzierający ból w oczodołach. Z jej gardła wydobył się jęk przerażenia.

– To pewnie opium – oznajmiła kobieta, patrząc, jak Esta próbuje wstać. – Baliśmy się, że opuścisz nas przedwcześnie. Dopóki w twoich żyłach krąży narkotyk, nie będziesz w stanie skorzystać ze swojego daru, dlatego lepiej pogódź się z tym, że spędzisz jeszcze trochę czasu w naszej gościnie. Dopóki nie zdecydujemy o twoim dalszym losie.

– Błagam – odezwała się Esta, starając się mówić cicho. Dopiero teraz wyczuła w powietrzu słodką, zawieszistą woń i uświadomiła sobie, że jest odurzona.

– Narobiłaś mi kłopotów, dziewczyno – przerwała jej ostro kobieta, a jej słowa były niewiele głośniejsze od szeptu. – Mężczyzna, którego tak brzydko potraktowałaś, to pan Murphy, jeden z najlepszych klientów pana Coreya i najbardziej wpływowych ludzi w mieście. Mało kto jest tak głupi, żeby z nim zadzierać. Murphy nie spocznie, dopóki nie odnajdzie dziewczyny, która uszkodziła mu jego szpetną facjatę. Nie odpuści, dopóki komuś nie odpłaci. A ja nie mam ochoty być tą osobą. To kawał drania. Jeden z tych, którzy się rozkoszują każdą sekundą cudzego cierpienia. Znasz ten typ?

Esta ani drgnęła, lecz kobieta mimo to posłała jej blady uśmiech.

– A więc znasz. – Uśmiech zniknął z jej twarzy, oczy zrobiły się lodowate. – W takim razie sama rozumiesz, że pozostało ci niewiele czasu, zanim pan Corey odda cię w jego ręce. No, chyba że mnie przekonasz, że nie powinien.

Esta wysłuchiwała tego bez mrugnięcia okiem, w jej twarzy nie zdrzął ani jeden mięsień. Nie chciała zdradzić wstrętu, jaki budziła w niej myśl o wydaniu na pastwę tego człowieka, ani trwogi, jaką czuła, nie mogąc korzystać ze swojej magii.

– Myślisz, że jesteś taka dzielna? Że zdołasz się sama obronić przed kimś takim jak on? – prychnęła kobieta. – Coś ci pokażę... – Tańczący płomień w jej wyciągniętej dłoni urósł, kiedy podniosła go bliżej twarzy. Drugą ręką pociągnęła w dół wysoki kołnierz sukni. Pod koronką ukazała się szpetna blizna.

Esta skrzywiła się mimo woli.

– Kiedyś też byłam ładna, tak jak ty. Możesz sobie paradować z uniesionym czołem, ale nawet najmocniejszy kręgosłup nie wytrzyma pod naporem ciężkiego buta. Murphy ma swoich szpiegów wszędzie. Bez protekcji przeżyjesz góra jeden dzień.

– Pani może mnie ochronić przed Murphym?

Kobieta skinęła głową.

– Jeśli mnie przekonasz, że warto. Narobiłaś panu Coreyowi kłopotu, a jego kłopoty koniec końców stają się moimi. Nie znoszę kłopotów, dlatego jeśli nie jesteś ich warta, bez wahania oddam cię Murphy'emu zawiniętą w koronkę i przewiązaną aksamitną wstążką. I nie będę się gryzła, czy kiedykolwiek ujrzysz jeszcze światło dnia.

Esta chciała zaprotestować, ale kobieta uciszyła ją gestem uniesionej dłoni. Na jej ciele, w miejscach, które miały kontakt z ogniem, nie było widać żadnych poparzeń. Esta znów poczuła na skórze mrowienie magii, która niby gęsta chmura zdawała się wypełniać pomieszczenie.

– Z drugiej jednak strony... Murphy nie jest jednym z nas. Nie uśmiecha mi się dostarczać mu satysfakcji za darmo. Jeśli okażesz się mądrą dziewczyną, b y ć m o ż e znajdę ci kogoś, kto zechciałby

się tobą zaopiekować... Oczywiście dopóty, dopóki będziesz użyteczna. – Kobieta podeszła bliżej. – Powiedz mi, co robiłaś w moim lokalu, skoro nie szukałaś męskiego towarzystwa?

– Szukałam Bridget Malone.

Kobieta nie zareagowała, tylko pod okiem drgnął jej mięsień. Przyglądała się przez chwilę Eście, potem wymieniła spojrzenia z Wernerem, który delikatnie wzruszył ramionami.

– Bridget Malone, powiadasz? – Głos kobiety, o ile to możliwe, stał się jeszcze bardziej szorstki.

– Powiedziano mi, że ona pomaga znaleźć zatrudnienie osobom o pewnych... zdolnościach – wyjaśniła Esta, przez cały czas patrząc jej w oczy. – Osobom takim jak my.

– A jakimi to zdolnościami możesz się pochwalić?

Esta znów spróbowała się skoncentrować. Chmura opium zaczynała się już rozwiewać, działanie narkotyku było coraz słabsze.

– Jestem złodziejką – odrzekła prosto, trzymając się jak najbliżej prawdy.

– Złodziejką? – Zwątpienie w głosie kobiety przebiło się wyraźnie przez matową chrypę. – W tym mieście jest już tyle złodziei, że można by nimi trzy razy zapełnić wszystkie więzienia. Dlaczego ktokolwiek miałby zatrudnić akurat ciebie?

– Bo jestem lepsza od innych. Potrafię ukraść wszystko, od brylantu po słońca. Nikt mnie nie powstrzyma – tu Esta pochyliła się, jakby zdradzała sekret – bo nikt mnie nie zobaczy.

Werner zaśmiał się, ale nieznajoma tylko się przyglądała, jakby szukając w twarzy Esty jakiejś oznaki fałszu.

Ułożyła wargi w niedowierzający dzióbek.

– Potrafisz tego dowieść?

Esta nabrała powietrza, zamknęła oczy i w ułamku sekundy, kiedy Werner i kobieta wymieniali powątpiewające spojrzenia,



zatrzymała czas. Przemierzyła pokój i odpięła broszkę z dekoltu tamtej. Gdy wzrok nieznajomej ponownie padł na miejsce, w którym siedziała, było już puste.

Werner wybiegł przez drzwi, a kobieta, z oczami wielkimi ze zdumienia, jego śladem. Esta ze znudzoną miną czekała w korytarzu oparta o ścianę. Zdołała użyć daru mimo resztek opiumowego zamroczenia, lecz kosztowało ją to mnóstwo sił. Nie byłaby już w stanie uciekać, nawet gdyby chciała.

Gdy Werner ją zobaczył, natychmiast poczuła duszność w piersi i ściskanie w gardle, tym razem jednak była przygotowana na te nieprzyjemności. Nigdy wcześniej nie zetknęła się z tak potężną magią, co samo w sobie było niepokojące. A co gorsza, sądząc po tym, jak wykonywał cudze rozkazy, Esta domyślała się, że Werner zapewne wcale nie jest taki potężny w porównaniu z innymi. Profesor Lachlan próbował ją przygotować, ale dopiero teraz poczuła to na własnej skórze: magia w tym świecie to naprawdę zupełnie inna magia niż ta, którą znała.

Chwilowo miała jednak na głowie poważniejsze zmartwienia. Gdyby tamci dwoje zauważyli, jak bardzo opadła z sił, straciłaby swoją przewagę, dlatego udawała spokojną i pewną siebie. Kobieta, widząc, że im nie uciekła – i nawet nie próbuje – trąciła Wenera w ramię. Nie minął moment, a Esta znów mogła odetchnąć pełną piersią.

– Ładna sztuczka – przyznała kobieta z miną, która nie zdradzała zaskoczenia, złości ani nawet zainteresowania. – Ale daleko byś nie uciekła. Nie przed Murphym.

– Kto powiedział, że chciałam uciec? – Esta uniosła broszkę, sztuczne kamienie mignęły odblaskiem ognistej kuli w ręku nieznajomej. – Chciałam tylko udowodnić, że mogę się przydać.

Poza tym po co miałabym uciekać od osoby, której szukam? Pani Malone, jak mniemam?

Kobieta lekko zbladła, lecz udało jej się zachować spokój na twarzy. Wyciągnęła rękę po swoją broszkę.

– Proszę – powiedziała Esta. – Potrzebuję dachu nad głową. Jestem pracowita i będę lojalna wobec moich dobroczyńców.

– W tym mieście jest już wystarczająco wielu złodziei.

– Mogę się odwdziżyć. – Esta przesunęła palcami po wewnętrznej stronie stanika, gdzie znajdowała się wszyta kieszonka. Odetchnąwszy z ulgą, że go nie znaleźli, tak jak to się stało z nożem, wyjęła z niej brylant ukradziony z rezydencji Schwaba. – Proszę – rzekła, podając kamień Bridget. – To wszystko, co mam.

Po długiej chwili Bridget wzięła od niej brylant, obejrzała go, raz jeszcze obrzuciła Estę uważnym wzrokiem i schowała kamień do własnej kieszeni.

– Może i znam kogoś, kto mógłby cię przyjąć... Gdzie twoja rodzina?

Esta poczuła falę ulgi, ale się jej nie poddała. Jeszcze za wcześnie na świętowanie.

– Nie żyją. Zginęli w pożarze... – urwała smutno i odwróciła wzrok.

Werner na dźwięk tego słowa poruszył się niespokojnie. On też pewnie miał doświadczenia z pożarami, które tak często wybuchały w tym mieście. Profesor Lachlan opowiadał jej o „przypadkowych” pożogach, które trawiły całe budynki pełne magicznych uchodźców, podczas gdy straż pożarna – kontrolowana przez Zakon i od niego zależna – nie robiła nic.

Bridget zmrużyła oczy.

– Nikt nie będzie cię szukał?

– Nikt poza panem Murphym – odparła Esta.

Następne chwile kosztowały ją wiele nerwów, mogły bowiem zdecydować o jej losie. Nie wiedziała, co by zrobiła, gdyby Bridget odmówiła jej teraz pomocy. Plan profesora opierał się na założeniu, że Esta ujawni swoją moc, a Bridget się nią zainteresuje; nie przewidywał sytuacji, w której Esta będzie miała w Bridget wroga. Zużyła resztkę sił, żeby się przed nią wykazać, i była teraz całkiem zdana na jej łaskę. Nie miała już nic w zanadrzu, nawet brylantu. Jeśli podadzą jej kolejną porcję narkotyku, będzie zgubiona.

– Skąd wiedziałaś, kim jestem? – spytała Bridget.

Esta wzruszyła ramionami.

– Jestem spostrzegawcza. Dobry złodziej potrafi czytać swoją ofiarę.

Wyraz twarzy Bridget świadczył o tym, że zrozumiała, kogo Esta nazywa ofiarą. Puściła jednak ten afront mimo uszu.

– Zawahała się pani, kiedy wypowiedziałam pani imię.

Bridget zmarszczyła brwi.

– Wcale nie...

– Tylko odrobinę. No i policzek pani zadrżał. Bardzo lekko. Gdybym się nie przyglądała, tobym nie zauważyła. – Esta przemilczała fakt, że zawsze się przygląda, zawsze jest czujna. Tak ją wyszkolił profesor Lachlan.

Bridget zacisnęła usta.

– Zabierz ją do Dolpha Saundersa – zwróciła się do Wenera. – O tej porze powinienes go znaleźć w Stredze.

Na dźwięk tego nazwiska Estę ogarnęło uczucie triumfu, ale stłumiła je w sobie. Jeszcze nie pora na przedwczesną radość...

– Czy mogę... – Esta zawahała się, widząc, że Bridget mruży oczy. – Czy mogę dostać z powrotem mój nóż?

– Jaki nóż? – spytała Bridget z kamiennym wyrazem twarzy.

– Ten, który miałam w bucie. Który mi zabraliście.

Bridget nawet nie mrugnęła.

– Po tym, jak cię uratowałam przed panem Coreym, po tym, jak zaofiarowałam ci pomoc, oskarżasz mnie o kradzież?

Patrząc jej w oczy, Esta rozważyła wszystkie opcje, jakie miała. Potrzebowała tego noża – poczucia bezpieczeństwa i związku z własną epoką, które jej dawał. Ale potrzebowała też Bridget Malone, żeby nawiązać kontakt z Dolphem Saundersem.

Dakari zrozumie, pomyślała.

Wróci po nóż później. Będzie miała dużo czasu, żeby go odzyskać.

Widząc, że Esta odpuszcza, Bridget posłała jej triumfalne spojrzenie, po czym odezwała się do Wenera:

– Jeśli jej zdolności nie zrobią na Saundersie wrażenia, przyprowadź ją z powrotem, oddamy ją wtedy panu Coreyowi. – Zerknęła na Estę wzrokiem, w którym kryła się przestroga. – Gdyby coś kombinowała, masz ją zabić.

# NOWY WIEK

## *Port*

Powóz terkotał po bruku. Jack Grew zamknął oczy, głowa pękała mu z bólu. Może ta ostatnia kolejka whisky nie była najlepszym pomysłem. Właściwie cały ten wieczór, od początku do końca, zakrawał na pomyłkę... Choć ta siksa, która opróżniła mu portfel, była tego warta, pomyślał z uśmiechem. Nie żeby wzięta nie wiadomo ile. Cokolwiek o nim sądziła reszta rodziny, miał dość rozumu, by nie chodzić w takie miejsca jak Słomiany Targ z wypchanym portfelem.

Jeszcze im kiedyś pokaże, jak bardzo się mylą. Sukces jego przedsięwzięcia był tylko kwestią czasu, a wtedy stryj, kuzyni i cała reszta zapomną o niesmacznym incydencie z dziewczyną w Grecji i docenią jego wizję. Odzyska przychylność Zakonu i chcąc nie chcąc będą musieli okazać mu zasłużony szacunek.

Przecież to nie było tak, że on by się z tą wieśniaczką ożenił. Zawróciła mu w głowie. Zniewoliła go swoim czarem.

A potem – uciekła z pierścieniem jego babki, potwierdzając obawy całej rodziny, włącznie z młodym Morganem. Właściwie tylko o to miał do niej prawdziwy żal.

Na co dzień starał się nie myśleć o niej ani o tym całym zamieszaniu, ale teraz, w powozie, nie mógł powstrzymać toku swoich myśli. Może to ta ostatnia kolejka whisky, a może

katastrofa, jaką był ten wieczór, ale dawne błędy nie dawały mu spokoju i mimo woli nurzał się w obrazach z przeszłości.

W tamtą podróż wyruszył taki naiwny i pełen oczekiwań. Wydawało mu się, że w znamienitych bibliotekach i pracowniach Europy odnajdzie wielkie sekrety, które wzmocnią Zakon, a tymczasem znalazł dziewczynę.

Uwierzył, że jest inna niż reszta. Urzeczony słonecznym uśmiechem, obiecującym spojrzeniem jej migotliwych oczu, zaczął podejrzewać, że może Zakon myli się co do Maginów i zagrożenia, jakie stanowią. Ostatecznie jednak okazała się taką samą łotrzyką i złodziejką jak wszyscy inni. Jej zdrada była dowodem na to, że Zakon jednak miał rację. Posiadacze starej magii, gdyby dać im szansę, wykorzystaliby dobrych ludzi, n o r m a l n y c h ludzi. Gdyby dać im taką możliwość, zniszczyliby wszystko na swej drodze.

Za to jaka była piękna! Zaokrąglona tam, gdzie trzeba, usta jak...

Powóz się zatrzymał i Jack musiał się chwycić ławki, żeby nie polecieć do przodu. Tak, ta ostatnia szklaneczka to był błąd, bez dwóch zdań.

– Czekał tu na mnie – rozkazał woźnicy, schodząc na dół. – Zaraz wrócę.

Mimo zimna powietrze pachniało rybami, poza tym unosiła się w nim ciężka metaliczna woń smarów i maszyn. Tu, nad wodą, wiatr był bardziej przenikliwy i Jack musiał dla ochrony przed chłodem postawić kołnierz podbity futrem. Zmierzał do niskiego podłużnego budynku, który prawie niczym nie różnił się od pozostałych. Otworzył ciężki zamek wyjętym z kieszeni kluczem i wszedł do środka.

Wewnątrz było niewiele cieplej, ale w kącie grzał piecyk, przy którym tyłem do wejścia siedział zgarbiony nad swoją robotą

starszy mężczyzna. Jego sylwetka na tle iskier ze spawarki przypominała ożywionego gargulca. Słyszając trzask zamykanych drzwi, wyłączył urządzenie i się odwrócił.

– Jak idzie? – spytał Jack.

Mężczyzna podniósł ciężką przyłbicę, odsłaniając pomarszczoną twarz, na której widniała szrama po jakimś wypadku.

– Jakoś idzie – odparł ze wzruszeniem ramion.

– Ile jeszcze?

Mężczyzna chwilę się zastanowił.

– Tydzień, może dłużej. Ale żeby działało prawidłowo, będzie pan musiał wymyślić jakiś sposób na stabilizowanie generowanej mocy.

Jack zrobił grymas. Tydzień to nawet niedługo, konklawe zaplanowano dopiero na koniec roku. Było sporo czasu, żeby wszystko dopracować. Jednak po frustrującym wieczorze ogarnęła go niecierpliwość.

– Zobaczmy, jak chodzi.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

– Nie podłączyłem jeszcze receptorów. Ładunek nie będzie zrównoważony...

– Trudno. Chcę zobaczyć efekty twojej pracy.

Jack podszedł do stojącego pośrodku pomieszczenia dużego obiektu okrytego płachtą. Chwytał róg narzuty i zsunął ją mocnym szarpnięciem, wyobrażając sobie, jak w nieodległej przyszłości powtarza ten sam ruch, aby pokazać swoje dzieło, swój największy triumf, członkom Zakonu. Ciekawe, czy wtedy też będą się z niego śmiać.

W migotliwym blasku lampy naftowej połyskiwała matowo wielka maszyna. Tkwiącą pośrodku kulę otaczały szerokie orbitujące pierścienie, jak w ogromnym żyroskopie. I tak jak żyroskop, miała ona przywrócić równowagę.

Korpus maszyny nie był jeszcze gotowy – w kilku miejscach z dziur między panelami wystawały niepodłączone kable i wtyczki – ale wkrótce wewnętrzny mechanizm miał zniknąć pod gładką polerowaną stalą. Piękne urządzenie na nowy wiek. Wiek nowoczesności, któremu nie zdoła zagrozić zwierzęca i nieokiełznana magia Maginów.

Jack zastanawiał się, czy nie przyprowadzić tu dziś Harte'a Darrigana, nie pokazać mu swojego cuda. Czuł, że Darrigan by zrozumiał, może nawet byłby pod wrażeniem tego, co udało mu się osiągnąć w tak krótkim czasie.

Ale to wciąż za mało. Jack nie miał jeszcze pomysłu, jak zapanować nad energią wygenerowaną przez maszynę. Krawędź jakoś to robiła, choć to przecież taka przestarzała magia. Gdyby tylko wiedział, jak Krawędź to robi, mógłby rozwiązać ten problem, ulepszyć swój nowy projekt, korzystając ze starych metod.

Lecz Zakon pilnie strzegł swych tajemnic, nawet przed własnymi członkami. Dopóki się nie wykaże, nie wpuszczą go do Misterium, nie będzie mógł tam poszukać niezbędnych mu odpowiedzi. Dlatego musi je odnaleźć samodzielnie.

Wiele wskazywało na to, że Darrigan może mu w tym pomóc. Zważywszy, jakich cudów dokonywał na scenie – a były to rzeczy, do jakich mógł być zdolny jedynie ktoś gruntownie obeznany z magią – na pewno miał wiedzę, która mogła się Jackowi przydać w rozwiązaniu tego ostatniego problemu.

Poza tym Darrigan doceniał znaczenie publiczności. Moc teatru. Właśnie tego potrzebował Ortus Aurea – działanie z ukrycia już nie wystarczało. Nie w sytuacji, kiedy do brzegów przybijały coraz liczniejsze hordy, wśród których chowali się Magini.

W nowym wieku potrzebny był pokaz siły, który sprawi, że miasto przestanie jawić się tym robakom jako bezpieczny azyl dla



ich dzikiej magii. Nie wystarczy już minimalizować zagrożenia. Nie wystarczy sprawdzać przybyszów. To jasne, że Ellis Island okazało się porażką. Mimo kontroli Magini przechodzili przez sito.

Nie. Trzeba ich zlikwidować.

Czuł, że Harte Darrigan i to by zrozumiał. Niestety, kuzyni go przepłoszyli.

Młody Morgan zawsze był zakutą pałą, pomyślał gorzko Jack. Zawsze uważał się za pępek świata.

– Śmiało – powiedział do mężczyzny. – Odpal ją.

Okrażył maszynę, podziwiając jej nowoczesność i metalową konstrukcję. Jeśli zadziała – a kiedyś zacznie, co do tego nie miał wątpliwości – wszystko się zmieni. Niedowiarkowie będą się mieli z pyszna, a on, Jack Grew, poprowadzi Zakon w nową przyszłość.

## BELLA STREGA

**W**erner prowadził ją na południe wśród ostrych jak noże podmuchów wiatru, lecz Esta prawie nie czuła zimna. Bridget kazała chłopakowi zabrać ją do Dolpha Saundersa, a to przybliżało ją do celu.

W archiwach niewiele było wzmianek o Saundersie – czasem tylko trafiał się wpis w księdze rachunkowej albo wycinek z gazety. Po dziesiątkach lat zachowała się głównie legenda powtarzana z ust do ust. Mówiono o nim: duch. Szaleniec. Geniusz. Któregoś dnia po prostu zniknął.

Inaczej niż pozostali szefowie gangów, którzy wykorzystując swoje związki z ojczyzną, werbowali przede wszystkim rodaków, Saunders zbierał u siebie Maginów, tak jak niektórzy zbierają stare monety. Trudno było dociec, jak zdołał połączyć pod swoim przywództwem tylu bardzo różnych ludzi – ludzi, którzy w każdych innych okolicznościach byliby raczej wrogami.

Krótko mówiąc, Dolph Saunders był równie potężny, jak zagadkowy. Ktokolwiek jednak krył się za tym nazwiskiem, Esta potrzebowała go, żeby wypełnić swoją misję. To on zmontował drużynę, która miała wykraść skarby Zakonu. Dzięki pośrednictwu Bridget Malone Esta mogła liczyć na pewien kredyt zaufania. Na miejsce w zespole będzie jednak musiała zapracować sama. Zamierzała dać z siebie wszystko.

Mijali roziskrzony szyldy teatrów, złote litery na oknach restauracji. Esta widziała echa przyszłości, która dopiero tu nastanie: siatkę ulic, niezmienioną przez dziesiątki lat, znajome kształty

budynków, które doczekają następnego stulecia – lecz nie miała już dostępu do tej przyszłości. Nie mogła sięgnąć przez warstwy czasu do swojego świata.

Werner szedł teraz inaczej. Już nie swobodnym, długim krokiem, jak po wyjściu ze Słomianego Targu, ale sztywno i ostrożnie, a gdy skręcili w Bowery, szeroką ulicę rozświetloną jeszcze bardziej niż Broadway, każdy jego ruch zdradzał wzmożoną czujność. Dla Esty był to sygnał, żeby samej mieć się na baczności.

Nawet w jej czasach na Bowery dominowała stosunkowo niska zabudowa charakterystyczna dla większości Dolnego Manhattanu. Teraz budynki były częściowo zastąpione przez estakady kolejowe, w których cieniu przemykały tłumy przechodniów. Kiedy brnęła z Wernerem przez to ludzkie mrowie, ogłuszający łoskot niedużej lokomotywy parowej wstrząsnął metalowymi dźwigarami, obsypując ludzi na chodniku deszczem sadzy i roztaczając wokoło chmurę gryzącego dymu.

Przecisnęli się przez ciżbę zgromadzoną wokół stolika z ułożonych jedna na drugiej skrzynek tuż pod elektryczną latarnią. Za stolikiem chłopak w grubym szaliku i rękawiczkach bez palców tasował karty z wprawą krupiera w Las Vegas. Gra w trzy karty, pomyślała Esta i uśmiechnęła się odruchowo na widok drugiego chłopca, który przepychając się przez tłum widzów, okradał ich z monet i zegarków, tak bardzo byli skupieni na frajerze, który akurat przegrywał pieniądze przy stoliku.

Palce ją zaświerzbiły. Ależ łatwo byłoby zarobić na życie w tym świecie bez kamer na każdym rogu, bez portfeli wypełnionych plastikowym pieniądzem, z którego nie dało się korzystać, nie zostawiając śladów. Gdyby utknęła tu na dobre, może nie byłoby tak źle...

Nie. Nie wolno jej nawet tak myśleć. Dołączy do ekipy Dolpha Saundersa, zdobędzie Księgę i Klucz Isztar i wróci do swojego miasta. Nie ulegnie pokusie wypchanego portfela. Los zbyt wielu osób zależał od niej.

W końcu dotarli do narożnej knajpy z efektownym szyldem. Nad ułożonym z czerwonych i białych żarówek napisem BELLA STREGA znajdował się wizerunek spowitej w czerń kobiety o talii osy i ciemnych włosach spływających kaskadą. Odwrócona tyłem do ulicy spoglądała przez ramię, jej oczy lśniły złoto, a szkarłatne usta wyginały się w uśmiechu.

– To tu – oznajmił Werner. Eście wydało się, że usłyszała w jego głosie lekkie drżenie.

Weszła za nim do środka przez podwójne drzwi i prawie westchnęła, czując na zmarzniętej twarzy ciepły podmuch. W powietrzu wisiał ciężki cygarowy dym, a zapach potu i starego piwa był tutaj silniejszy niż w Słomianym Targu.

Poza kłębamii dymu i kwaśną wonią zbyt wielu ciał unosiło się w tym klubie coś jeszcze – dreszcz szemrzącej energii, który przebiegał jej po skórze i ogrzewał ją co najmniej jak węglowy piecyk w narożniku sali. To samo czuła na chwilę przed tym, zanim Werner pozbawił ją tchu. Jeszcze jedno przypomnienie, że tu, w tej epoce, magia była inna. Esta w swoim mieście nigdy nie zetknęła się z czymś takim – z darami tak potężnymi, że dosłownie wprawiały powietrze w drżenie.

Ta elektryzująca energia była swoistym ostrzeżeniem, ale ciepło, jakie niosła, sprawiało też przyjemność. Esta, która nigdy do końca nie poczuła się integralną częścią zespołu profesora Lachlana, teraz, wkraczając do jaskini Dolpha Saundersa, doznała dziwnego wrażenia, że jest wśród swoich.

Werner popchnął ją przed siebie, w stronę drugiego końca sali. Siedzący tam jak na tronie mężczyzna to musiał być Dolph. Był młodszy, niż się spodziewała – nie mógł mieć dużo więcej niż dwadzieścia pięć lat, choć biała grzywa wśród czarnych włosów sprawiała, że na pierwszy rzut oka wyglądał nieco starzej.

A może to łatwość, z jaką roztaczał wokół siebie aurę autorytetu, łatwość, której brakowało otaczającym go wyeleganconym chłopakom. Dolph nosił się z prostotą, podwinięte rękawy koszuli odsłaniały silne przedramiona. Na jednym widniał wytatuowany wąż, który owijał się wokół jego nadgarstka i pełził w stronę łokcia. Włosy, niezczesane do tyłu jak u innych, wiły się dookoła jego szczupłej twarzy. Na oku nosił opaskę, w której wyglądał trochę jak pirat. Na stole przed nim leżała hebanowa laska zwieńczona jakby srebrną podobizną krzyczącej Meduzy.

Nie był przystojny. Nie miał tego wypielęgnowanego wdzięku, którym rozbrajał swoje ofiary Logan, ale nawet z daleka Esta widziała, że Dolph Saunders nie potrzebuje czegoś tak banalnego jak wdzięk, by mieć posłuch wśród ludzi.

– No idź – ponaglił Werner, pchając ją przez rozstępujący się tłum.

W jego głosie dało się słyszeć zdenerwowanie, ale Esta wcale mu się nie dziwiła. Dolph siedział co prawda w nonszalanckiej pozie, lecz widać było – po tym, jak wszyscy się na nim koncentrowali – że panuje tu niepodzielnie. Nawet ludzie z dala od jego stołu rzucali co pewien czas ukradkowe spojrzenia w tamtą stronę.

Saunders kątem oka spostrzegł, że ktoś się zbliża, i przerwał rozmowę z siedzącym obok jasnowłosym chłopakiem. Oko bez opaski było jasne i błękitne, ale kiedy podeszli, twarz nabrała surowego wyrazu. Instykt podpowiadał Eście, aby uciekać, wiedziała jednak, że drugiej szansy nie będzie, i dlatego zrobiła krok

naprzód. Ku niebezpieczeństwu, którego Dolph Saunders był ucieleśnieniem, i zarazem ku jedynej nadziei na powrót do domu.

## AMBICJA I CHEĆ

**D**olph Saunders nie lubił niespodzianek. Cenił sobie uszy i oczy rozszniewane po mieście i dobrze opłacał usta szepczące sekrety, o jakich wielu wolało milczeć. Toteż bynajmniej się nie ucieszył na widok Wenera Knopfa, jednego z nowych sługusów Edwarda Coreya, który wszedł do jego klubu bez jakiegokolwiek zapowiedzi.

Dolph zerknął na siedzącego obok Nibsa, lecz chłopak tylko pokręcił głową na znak, że nie zna powodu tej wizyty.

Ktoś słono zapłacił za to zaskoczenie. Tym bardziej że Werner nie przyszedł sam.

Dolph zmrużył oczy, by lepiej przyjrzeć się twarzy dziewczyny za mgłą dymu. Choć jego dar nie był już tak silny jak dawniej, wyczuwał w niej dużą moc. Kolejne niemiłe zaskoczenie. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebował. Zwłaszcza teraz, kiedy u jego boku zabrakło Leeny, która potrafiłaby zneutralizować niebezpieczną magię, a na ulicach szemrano, że Dolph nie zdołał jej uchronić przed potęgą Zakonu.

Oczywiście takie szemrania nie były niczym nowym. Przybysze z Europy przywozili ze sobą lęki swoich rodziców i dziadków, którzy przeżyli Odczarowanie – ponury okres w historii Starego Kontynentu, który upłynął pod znakiem inkwizytorskich prześladowań. W ciągu jednego wieku Magini z podziwianych uzdrowicieli i przywódców stali się w oczach ludzi bez magii kimś, kogo należy się bać. W ciągu jednego wieku nauka i poszukiwanie wiedzy uczyniły ze starej magii niebezpieczny przesąd, usuwając Maginów poza nawias społeczeństwa.

Spychani na margines uczyli swoje dzieci ukrywania swojej prawdziwej natury. Ich potomkowie, marzący o innym życiu, uwierzyli w historie opowiadane o tym mieście, w obietnicę krainy, w której chroni się magię. Wraz ze skromnym dobytkiem przywieźli tu swoje obawy – po czym okazało się, że są w pułapce bez wyjścia.

Dolph nie znał tej dziewczyny, a więc musiała tu przybyć niedawno, nie sprawiała jednak wrażenia załęcznionej. Nie wyczuwał w niej tego strachu i zmartwienia, co u większości nowo przybyłych. Ciekawe, pomyślał, szukając w powietrzu jakichś oznak jej zamiarów i znajdując tylko chęć i ambicję. Dwie chwalebne cechy – ale bywały też groźne, w zależności od człowieka.

Zacisnął palce na lasce i przywołując na twarz grymas niezadowolenia, pochylił się do przodu, by powitać Wenera i dziewczynę.

– Kto to? – spytał chłopca po niemiecku, w jego rodzimej mowie.

– Bridget ją znalazła – odparł Werner. – Pomyślała, że może pana zainteresuje.

Dziewczyna była wysoka, wyprostowane plecy świadczyły o wewnętrznej sile, która stanowiła pożądaną cechę u członków jego ekipy. Kasztanowe włosy okalały twarz w kształcie serca z prostym nosem, odrobinę za długim, by można go nazwać delikatnym, ale ładnie wkomponowanym. Miodowe oczy patrzyły spod ciemnych brwi w taki sposób, jakby wiedziały za dużo. A jednocześnie były niewinne. Przemawiało to na jej niekorzyść – w świecie Dolpha niewinność była kulą u nogi.

Kiwnął na Wenera i nadstawił ucho, pozwalając, by chłopak zbliżył się i opowiedział mu szeptem o dziewczynie – o tym, jak omal nie zabiła Charliego Murphy'ego, człowieka, który siedział tak głęboko w kieszeni rządzących miastem polityków, że nie zdołałby z niej wyjść, nawet gdyby chciał. I jak nie zdradziła swojego daru,



a potem ukradła Bridget Malone broszkę z dekoltu, tak że kobieta w ogóle się nie spostrzegła.

Wszystko to bardzo ciekawe, myślał Dolph. Ale i niebezpieczne, po tym, co mu się przydarzyło.

– Wiesz, kim jestem? – zwrócił się do niej, bacznie obserwując najmniejsze zmiany na jej twarzy.

Dziewczyna przez chwilę milczała, w końcu jednak przemówiła dźwięcznym, pełnym szacunku głosem.

– Pani Malone powiedziała, że jest pan kimś, kto może mnie ochronić.

Dawniej czytałby w niej jak w otwartej książce, ale nawet dziś, z osłabionym darem, wyczuł w jej słowach fałsz. Doskonale wiedziała, kogo ma przed sobą. Nie próbowała jednak zjednać go sobie pochlebstwem, jak wielu zrobiłoby na jej miejscu.

– Dlaczego miałbym zaprzętać sobie tobą głowę? – spytał zaintrygowany strachem, który pobrzmiwał w jej głosie, ale którego nie wyczuwał w niej samej. Albo była urodzoną aktorką, albo ktoś ją tego nauczył – i to nie byle jak.

– Jestem pracowita. Obiecuję, że będę lojalna.

– To jednak trochę za mało, biorąc pod uwagę, jakie miałbym kłopoty, gdybym cię przygarnął. Charlie Murphy nie byłby zadowolony, a ostatnie, czego mi teraz trzeba, to konflikt z Tammany Hall, z ludźmi trzymającymi władzę w mieście.

Prawda była taka, że Dolph miał gdzieś Charlesa Murphy'ego i jemu podobnych. Tym nadętym durniom z Tammany wydawało się, że trzęsą całym Nowym Jorkiem. „Niech tak sobie myślą” – powtarzał Dolph tym, którzy się martwili. „Prawda zawsze prędzej czy później wyjdzie na wierzch”. Ci z Tammany niech sobie gonią za pieniędzmi i fabrykują głosy – on miał inne plany.

– Postaram się, żeby dobrze pan na tym wyszedł – rzekła dziewczyna, prostując plecy. Była teraz prawie tak wysoka jak Werner.

– Mam już na pęczki złodziei – odparł po namyśle. Spojrzał na Wenera. – Odeślij ją z powrotem do Coreya.

– Nie. – Dziewczyna wyszarpnęła się chłopakowi. – Takiej złodziejki na pewno pan nie ma.

Dookoła zrobiło się cicho, wszyscy spoglądali w stronę zamieszania. Werner próbował ją chwycić, ale mu się wymknęła.

Dolph wstrzymał chłopaka gestem. Dziewczyna podeszła do stołu.

– Potrafię ukraść wszystko – oznajmiła. – Moje ofiary w ogóle mnie nie widzą. Nigdy mnie nie złapano. Nigdy.

Dolph bez pomocy magii wiedział, że tym razem w jej słowach nie ma fałszu.

Raz jeszcze spróbował wyczuć charakter jej daru. Przed tamtą feralną nocą na moście byłaby to dla niego bułka z masłem, ale nie teraz. W sali było zbyt dużo magii, nie potrafił oddzielić energii tej dziewczyny od energii pozostałych.

– Potrzebuję mnie pan – dodała, odgarniając kosmyk włosów z oczu.

Parsknął rozbawiony. Musiała sobie zdawać sprawę, że on, Dolph Saunders, może zgnieść w dłoni wszystko, co dla niej w życiu ważne, a mimo to nie miała w sobie strachu. Niełatwo było mu zaimponować, lecz charakter tej dziewczyny naprawdę robił wrażenie. Może gdyby czasy były spokojniejsze...

Nibs chrząknął.

Dolph rzucił mu poirytowane spojrzenie. Nikomu innemu nie puściłby tego płazem, ale Nibsy rzadko się mylił w swoich przecuciach. A teraz w zamyśleniu przyglądał się dziewczynie.

– Uważasz, że powinniśmy ją przyjąć? – spytał Dolph.

– Co nam szkodzi sprawdzić, co potrafi? – Chłopak spojrzał na szefa. – Może nam się do czegoś przydać.

Dolph zwrócił się do dziewczyny.

– Nie spodziewam się po tobie niczego nadzwyczajnego – oznajmił, co było wierutnym kłamstwem. Wolał jednak, aby nie wiedziała, że jest nią zaintrygowany. – Ale skoro Bridget uznała, że może być z ciebie pożytek...

Urwał w pół zdania, bo nagle lampy w sali rozbłysły z taką siłą, że wielu gości siedzących przy barze oraz przy stolikach zmrużyło oczy i osłoniło się rękoma. Dwa jasne błyski, trochę skwierczenia i migotania, wreszcie prąd całkiem wysiadł.

Takie skoki napięcia i przerwy w dostawach były codziennością tego miasta, ceną za nieustający rozwój sieci energetycznej, tym razem jednak to musiało być coś więcej. Gdy wewnątrz klubu pograżyło się w ciemnościach, Dolph poczuł, że opuściły go resztki jego magicznych mocy.

Jakby zrobił się pusty w środku. Jakby przeżył własną śmierć.

Wszystko trwało krócej niż minutę, ale groza, jakiej doświadczył, kiedy na moment wyrwano mu jego magię, przeszła go mrozem do szpiku kości. Nawet gdy w końcu zapalono światło, mimo panującego w klubie zaduchu Dolph Saunders wciąż czuł na skórze chłód.

## ZŁY INTERES

Viola Vaccarelli patrzyła, jak lampy na ścianach klubu znów się zapalają, rzucając światło na zaniepokojone twarze klientów. Rozumiała wymieniane przez nich nerwowe spojrzenia, bo sama czuła to samo. To nie była zwykła przerwa w dostawie prądu, do jakich zdążyli przywyknąć.

W głębi sali napotkała wzrok Dolpha. Szedł już do niej do baru wśród niespokojnego tłumu.

Oparł się na kontuarze i przemówił cicho, jakby nie chciał, żeby ktokolwiek usłyszał.

– Ty też to poczułaś?

Viola, nie przestając wycierać szklanki, skinęła delikatnie głową. Jej spojrzenie nadal wędrowało po sali, wypatrując oznak niebezpieczeństwa.

– Co to było? – szepnęła tak, by pytanie dotarło tylko do jego uszu.

Jakiś mężczyzna zamówił kolejnego drinka, lecz zignorowała go i naląła szklankę Dolphowi.

– Cholera wie.

Nie uszło jej uwadze to, jak Dolph zaciska palce na rączce laski. Od czasu tamtej nocy na moście, kiedy stracili Leenę, zaszła w nim duża zmiana. Wiedziała, że był to dla niego cios, ale nawet bolesna strata nie tłumaczyła takiej różnicy. Dawniej w ogóle nie okazywał zmartwienia, teraz często wyłaziło z niego zdenerwowanie.

Klient przy barze zaczął gwizdać na Violę, żeby zwróciła na niego uwagę. Huknął szklanką o blat.

– Halo! *Puttana*, słyszysz, co do ciebie mówię?

Dolph zerknął w tamtą stronę i już chciał do niego podejść, lecz Viola puknęła go w ramię i pokręciła głową. Nie potrzebowała obrony, nie przed jakimś pijanym, naprzykrzającym się dupkiem.

– *Scusa* – powiedziała, drugą ręką już sięgając po przyjemnie ciężki i chłodny nóż ukryty w fałdach sukni. – Zaraz wracam.

– Postaraj się nie zabić go na śmierć – rzekł Dolph. Znów oparł się o bar i uśmiechnął do swojej szklanki.

Viola nawiązała z mężczyzną kontakt wzrokowy i posłała mu długi uśmiech pełen ciepła. Delikwent, bardzo z siebie zadowolony, szturchnął sąsiada łokciem. Zbliżając się, udawała zainteresowaną, a nawet rozbawioną jego wybrykami. Z uśmiechem przyklejonym do twarzy dobyła noża i jednym szybkim ruchem nadgarstka wyrzuciła go przed siebie.

Ostrze z przyjemnym „dum” utkwiło w cynkowym blacie, wprawiając w lekkie drżenie cały kontuar. Zaśmiała się nonszalancko na widok przerażonego zdumienia na twarzy mężczyzny. Podeszła niespiesznie, wyjęła nóż, wreszcie pochyliła się i wyszeptła w ucho gościa ostrzeżenie.

Cofając się przed smrodem jego spoconego ciała i nasiąkłej piwem brody, zobaczyła, że zrobił się blady jak ściana. *Va bene*.

– Dziękuję, że go nie przedziurawiłaś – rzekł Dolph z domieszką humoru.

Viola chrząknęła ponuro.

– Sam kiedyś powiedziałeś, że dobry klient to żywy klient – odgryzła się. Kiedy była zła, mimo woli mówiła z silniejszym akcentem, a teraz usłyszała w swoim głosie własną matkę i wezbrała w niej nagła tęsknota.

– Doceniam troskę o mój przychód – powiedział w zamyśleniu Dolph. – Może byś tak jeszcze trochę bardziej troszczyła się o moją

własność? Naprawa baru będzie mnie kosztować. – Zmarszczył czoło. – O ile w ogóle da się załatać dziurę po twoim nożu.

Viola wzruszyła beztrosko ramionami.

– Niech zostanie jako ostrzeżenie – zasugerowała, sięgając po kolejną szklankę, by zająć czymś ręce.

– Może i tak – odparł po chwili.

Czuła jego wzrok na skórze, ten wzrok, którym ją mierzył, kiedy próbował ją nakłonić, żeby się przed nim otworzyła. Nie miała jednak nic do powiedzenia. Co się stało, to się stało. Dokonała wyboru, a jeśli miała jakieś wyrzuty sumienia, zachowa je dla ojca McGeana.

– Co to była za sztuczka z tym światłem?

Głos w pierwszej chwili zdał się dochodzić znikąd, zaraz jednak tuż przy Dolphie wyrósł jak spod ziemi Jianyu, oparty łokciami o ladę, jakby przez cały czas tam stał.

Pewnie zresztą tak było, pomyślała Viola z lekkim poirytowaniem. Ta jego umiejętność znikania bardzo się przydawała, gdy Dolph chciał się czegoś dowiedzieć, ale dla całej reszty była dość kłopotliwa. W gangu Dolpha prawie niczego nie dało się utrzymać w tajemnicy.

Jianyu był z nimi dopiero od nieco ponad roku. Może zdążył przez ten krótki czas zdobyć zaufanie Dolpha, lecz Viola wciąż nie czuła się przy nim swobodnie. Zwłaszcza gdy był bez humoru, tak jak teraz.

Dolph zniżył głos i przeszedł na kantoński, wykluczając Violę z rozmowy. Przez chwilę dyskutowali tylko we dwóch, cicho, ale tonem, w którym dało się słyszeć napięcie. Viola przysłuchiwała się temu z rosnącym zniecierpliwieniem, aż w końcu, chcąc zwrócić na siebie uwagę, odstawiła z hukiem szklankę. Nic to jednak nie dało, obaj byli zbyt pochłonięci sporem.

Już miała się wtrącić, gdy nagle Jianyu przybrał inną pozę.

– Naprawdę sądzisz, że to mógł być Zakon? – spytał z wyraźnym powątpiewaniem. – To do nich raczej niepodobne, atakować tak spektakularnie. Zbyt duże ryzyko, że nie tylko my ucierpimy.

Viola nie miała ochoty przyznawać mu racji, ale...

– To prawda – rzekła. – Zakon woli raczej uderzać skrycie.

– Nie wiem, co innego by to mogło być – stwierdził Dolph. – Na ulicy nic się nie mówi?

Jianyu zaprzeczył ruchem głowy.

– Nic a nic.

– Nie podoba mi się to – powiedziała Viola. – Kiedy wszystkie szczury chowają się pod ziemię, nie wróży to niczego dobrego.

– Otóż to. – Jianyu podziękował jej wzrokiem za wsparcie. Potem przekrzywił głowę i wskazał gestem na drugi koniec sali. – Co to za dziewczyna? Widziałem, jak wchodziła z Wernerem. Ma ruchy jak kot czający się do skoku.

Viola mimo woli uśmiechnęła się na to trafne porównanie.

– Bridget ją przysłała. – Dolph dopił resztkę piwa i oddał szklankę. – Podobno jest złodziejką.

– Jak gdybyś potrzebował jeszcze jednej – powiedziała Viola, odrzucając ten pomysł równie szybko, jak w pierwszej chwili Dolph.

– Bridget rzadko zawraca mi głowę bez powodu. Nibs twierdzi, że mała może się przydać.

– Wypróbujesz ją?

Dolph spojrzał spod zmrużonych powiek na Wenera i dziewczynę na drugim końcu sali.

– Chyba tak – odparł. – Spadły nam przychody, zwłaszcza po ostatnim nalocie. Gdyby się okazało, że potrafi kraść na Grubej Linii, mielibyśmy z niej pożytek.

Dziewczyna wyglądała niepozornie. Była wysoka, owszem, i na pewno bardziej opanowana niż Werner. Ale ubranie miała zbyt eleganckie, skórę zbyt świeżą i miękką. Czy jest wystarczająco silna, by przetrwać w świecie Dolpha Saundersa? Patrząc na nią z daleka, Viola mocno w to wątpiła.

– A jeśli nie potrafi? – spytała, prawie jej współczując.

– Wtedy to już nie będzie moje zmartwienie, prawda?

Istotnie, pomyślała Viola. Dolph był dobry dla swoich ludzi, robił, co mógł, żeby ich chronić. Na pewno by żałował, gdyby ją stracił, tak samo jak żałował Spota i Appa... A utratę Leeny przeżywał do dziś. Cenił jednak tych, którzy potrafili sami zatroszczyć się o siebie.

Pod tym względem nie różnił się bardzo od innych bossów. Świat Bowery nie był czarno-białym światem dobra i zła. Był to świat moralnych kompromisów, w którym dla przetrwania trzeba nieraz coś – lub kogoś – poświęcić. Viola sama zdążyła się o tym przekonać.

Dolph położył rękę na ramieniu Jianyu.

– Potrzebuję informacji. Jeżeli to Zakon, będą z siebie bardzo zadowoleni. Prędzej czy później ktoś coś chlapnie.

Jianyu dokończył swoje piwo.

– Zbadam temat.

Dolph nachylił głowę ku Violi. Przysunęła się.

– Ta dziewczyna – rzekł. – Miej na nią dzisiaj oko, co? Tutaj nie będzie mogła liczyć na drugą szansę.



# UKRAŚĆ NOC

Esta patrzyła, jak Dolph Saunders wraca przez wysypaną trocinami salę do miejsca, gdzie czekała z Wernerem. Szedł nierówno, podpierając się trzymaną w lewej dłoni laską, lecz wiedziała, że błędem byłoby upatrywać w tym dowodu słabości. Wystarczyło spojrzeć, jak wszyscy klienci bez słowa usuwają mu się z drogi.

Wystarczyło spojrzeć, jak tamtych dwoje przy barze śledzi każdy jego ruch, jakby cały wszechświat obracał się wokół niego. Dziewczyna za barem na pierwszy rzut oka była niewiele starsza od niej, mogła mieć siedemnaście lat. No i ten chłopak, który pojawił się znikąd. Dosłownie w ułamku sekundy.

Nosił swoje czarne włosy zaplecione w długi warkocz sięgający połowy pleców; to stara fryzura, którą widziała w Chinatown, gdy kradła Smocze Oko. Ubrany był według ówczesnej mody: miał na sobie ciasną kamizelkę i spodnie z wąskimi nogawkami oraz jedwabną czarną koszulę ze stójką. Podobnie jak dziewczynie, również jemu z pewnością nie brakowało talentów, ale nawet z tej odległości Esta była w stanie wyczytać z jego postury, że darzy Dolpha bojaźliwym szacunkiem.

– Przepraszam – powiedział Dolph, ponownie zajmując miejsce przy okrągłym stoliku i przygważdżając ich swoim jednookim spojrzeniem.

– Światło... – Werner przeszedł na pełen wahania niemiecki, jakby nie chciał, żeby Esta zrozumiała, o czym mówi.

– Zdarza się – uciął Dolph.

Jednak Esta przejrzała to kłamstwo. To nie zwykła przerwa w zasilaniu spowodowała, że lampy gwałtownie rozbłysły. Dolph był dobrym kłamcą – ani ton jego głosu, ani postawa nie zdradzały zdenerwowania – lecz wobec ogólnego niepokoju, jaki rozlał się po sali, jego kamienna poza wiele mówiła.

Zwrócił się do Esty i przeszedł z powrotem na język angielski, którym mówił bez śladu akcentu.

– Postanowiłem, że dam ci szansę wykazania się.

Skinęła głową w podziękowaniu, szczelnie maskując rozpierającą ją uczucie triumfu. Zrobiła kolejny krok do celu.

– Nie bądź taka zadowolona z siebie. Jeszcze na to za wcześnie – mruknął. – Mamy dzisiaj mały ruch w interesie, a po tym numerze ze światłem wyszło co najmniej piętnaście osób. Nikt już o tej porze nie przyjdzie, tym bardziej skoro są przerwy w zasilaniu. Jeśli chcesz dla mnie pracować, musisz wiedzieć, że nie cierpię być stratny i nie znoszę marnacji. Wiele wskazuje na to, że dzisiejszy wieczór zakończy się dla mnie utratą zysków i marnacją talentów moich pracowników. Zrób coś z tym. Spraw, żebym dzisiaj zarobił. Masz na to dwadzieścia minut. – Pochylił się ku niej z błyskiem w oku. – Ukradnij mi tę noc.

Esta tylko się uśmiechnęła. „Ukradnij mi noc” – jak gdyby to było coś niemożliwego. Jak gdyby nie była stworzona do takich zadań.

Wciąż czuła zmęczenie w rękach i nogach, a głowa bolała od uderzenia, którym pozbawiono ją przytomności, ale opium przestało już działać. Odwróciła się bez słowa i zanurzyła w tłum. Choć lampy elektryczne nadal nie świeciły, prawie nie dało się przejść, tyle tam było sennych kobiet i mężczyzn wpatrzonych posępnie w swoje szklanki. Łatwe łupy.

Lecz Esta nie była przyzwyczajona do takich ofiar. Widziała w tych ludziach jakąś desperację, połączenie zmęczenia, nadziei i żalu, a wszystko wymieszane z ciepłem ich magii. Pewnie tyrali od rana do wieczora, żeby móc sobie pozwolić na tę namiastkę relaksu, którą oferowała Strega. Nie mogła ich okraść. Nawet dla Dolpha Saundersa.

Zresztą przeczuwała, że to byłoby za mało. Samymi pieniędzmi nie zdobędzie jego szacunku i miejsca w jego świecie.

Dziewczyna za barem dyskretnie śledziła ją wzrokiem, choć ani razu nie spojrzała wprost na nią. Dolph musiał polecić, żeby miała ją na oku... I to podsunęło Eście pewien pomysł.

Wszystko trwało mniej niż dwadzieścia minut, mimo że opium osłabiło ją bardziej, niż sądziła, i musiała zużyć niemal całą swoją energię, krążąc po sali, wypatrując łupów, a potem wślizgując się niezauważenie między sekundy. Nie minęło nawet dwanaście minut, kiedy znów stanęła przed Dolphem Saundersem.

– Masz jeszcze czas – zauważył, prawie nie podnosząc na nią wzroku. – Mówiłem, że nie cierpię marnacji.

W odpowiedzi rzuciła na stół wypchany portfel; z niezapiętej kieszonki wysypały się monety. Mężczyzna stojący za Dolphem zrobił wielkie oczy i sięgnął do marynarki, szukając w niej portfela, który leżał przed nim.

Dolph patrzył, jak mężczyzna podnosi swoją zgubę i przelicza banknoty. Potem z obojętną miną zwrócił się do Esty.

– Gdybyś wykorzystała cały swój czas, przyniosłabyś mi dwa razy więcej.

– Mogę przynieść tylko to, co pańscy klienci mają przy sobie, a nie mają zbyt wiele – odparła gładko. – Gdybym zabrała wszystko, nie mieliby za co kupować alkoholu.

Dolph Saunders spojrział na Wenera spod złączonych brwi.

– Powiedz Bridget, że nic mi po tej dziewczynie.

Esta zignorowała ten werdykt. Wyjęła z kieszeni wypolerowany na błysk mosiężny krążek ukradziony chłopakowi, który pojawił się znikąd przy barze. Okazało się, że wcale nie jest niewidzialny. Kiedy spowolniła bieg czasu, przekonała się, że chłopak po prostu manipuluje światłem i cieniem w sali, zakrzywia je w taki sposób, aby wydawało się, że zniknął.

Dolph Saunders utkwiał wzrok w krążku.

– Pięknie. Ale można takie bez trudu kupić na Mott Street.

– Nie byłam dzisiaj na Mott Street. Czy to też można tam kupić? – Nie czekając na odpowiedź, rzuciła na stół lśniący srebrny sztylet. Sunął przez chwilę po wytartym drewnianym blacie i zatrzymał się tuż przed Saundersem, ostrzem wycelowanym w jego stronę. Na stalowym grzbiecie noża widniały w regularnych odstępach strzałki podobne do litery V.

Dolph Saunders dopiero teraz podniósł wzrok i przeszył Estę swoim nieruchomym spojrzeniem.

– Trzeba nie cenić własnego życia, żeby okradać Violę.

– Przeciwnie, cenię się zbyt wysoko, żeby okradać byle kogo. – Pochyliła się nad stołem i oparła rękoma o blat. – Mogę ukraść tyle pieniędzy, ile pan zechce. Nawet gdybym wybrała dzisiaj wszystko co do pensa z każdej kieszeni w tej knajpie, i tak mógłby pan zakwestionować moją przydatność. Ale ja mogę zrobić dla pana coś więcej, niż tylko zwinąć parę dolarów. Tak jak powiedziałam... – Sięgnęła po swoje ostatnie trofeum i uniosła je wysoko, aby każdy zobaczył. – Potrafię ukraść wszystko. Nikt mnie nie złapie. Ani pańscy ludzie... – Ostrożnie położyła przed Dolphem srebrną głowę gorgony. – Ani nawet pan.

Dolph Saunders podniósł ozdobę, która jeszcze przed chwilą tkwiła mocno na wierzchołku jego laski. Spojrzał teraz na laskę

z nieprzeniknionym wyrazem, przekonując się, że dziewczyna istotnie zdołała ukraść mu tę misternie rzeźbioną gałkę sprzed nosa. A nawet z ręki, mówiąc ściślej. Znów wbił w nią chłodne jednookie spojrzenie.

Esta przestąpiła nerwowo z nogi na nogę. Po raz pierwszy tego wieczoru pomyślała, że może posunęła się za daleko. Może należało poprzestać na sztylcie barmanki. Wokół stołu Dolpha Saundersa zaległa dziwna cisza, jakby wszyscy wyczuli zmianę w atmosferze – i nie była to zmiana na lepsze.

Potem jednak Dolph wydmuchnął powietrze z czymś w rodzaju rozbawienia. Jego surowe usta nieznacznie uniosły się w kącikach. Coś się zmieniło na jego twarzy. Nie żeby wyglądał przez to mniej groźnie. Uśmiech Dolpha Saundersa był jak uśmiech tygrysa: zaskakiwał, niepokoił, a przede wszystkim przypominał, że drapieżnik ma zęby.

Przez chwilę mocował gałkę z powrotem na czubku laski. Kiedy skończył, raz jeszcze pokręcił głową z niedowierzaniem. Potem spojrzał na chłopaka, który skinął prawie niezauważalnie.

– Podziękuj ode mnie Bridget – odezwał się wreszcie do Wenera.  
– Przyjmę tę dziewczynę. Przynajmniej na pewien czas.

Werner się wycofał. Ulga, jaką czuła Esta, szybko ustąpiła trzeźwiącej myśli, że jest sama z Dolphem Saundersem i jego zakapiorami. Wszyscy byli zbudowani jak bokserzy, kamizelki mieli skrojone tak, aby podkreślały ich wąskie talie i szerokie ramiona. Innym obowiązkowym elementem stroju tych chłopców była groteskowo jaskrawa koszula i przekrzywiony w lewo melonik na włosach zaczesanych do tyłu.

To nie są chłopcy, poprawiła się Esta. W tym mieście nawet piętnastolatek dawno nie był już dzieckiem. Chodził buńczucznym krokiem, bo przetrwał dzieciństwo, a potem zaczepił się w gangu

takim jak Sto Diabłów. Byłaby głupia, gdyby pomyliła ich młody wiek z niewinnością. Gdyby zapomniała, jacy są niebezpieczni.

– Jak ci na imię, dziewczyno? – spytał ją Dolph.

– Esta. Esta Filosik.

– Filosik? Pierwsze słyszę takie nazwisko. Z jakiego kraju pochodzisz?

– Nie wiem – odparła zgodnie z prawdą. – Nie znam swojej rodziny.

Dolph zacisnął usta i przyglądał jej się badawczo.

– Jeśli ściągniesz na mnie jakieś kłopoty...

– Nie ściągnę – wtrąciła.

Milczał jeszcze przez chwilę; cała sala jakby wstrzymała oddech, czekając na ostateczny werdykt.

Dolph skinął na jednego z chłopaków, rudzielca w czerwonej koszuli mocno kontrastującej z jego bladą, piegowatą cerą. Obcisła kamizelka uwydatniała szerokie, masywne barki, u szyi nosił osobliwy fular zawiązany w skomplikowany węzeł. Wyglądał, jakby pozował na dżentelmena, lecz temu wizerunkowi przeczył ledwie wystający zza kołnierza tatuaż. Przypominał część koła – szeroki, ozdobny łuk niewątpliwie będący fragmentem większej całości – ale w półmroku sali Esta nie mogła dojrzeć szczegółów.

– Mooch zaprowadzi cię do twojego pokoju – oznajmił Dolph, skończywszy rozmawiać z chłopakiem. – Jutro zaczniesz pracę na Grubej Linii. Lepiej zrób wszystko, żebym nie żałował swojej decyzji.

## GRUBA LINIA

**N**azajutrz rano Esta była już ubrana w tę samą aksamitną suknię co dzień wcześniej – innej nie miała – gdy rozległo się głucho uderzenie w drzwi. Po ich otwarciu zobaczyła tkwiący w deskach znajomy srebrny nóż. Barmanka o ciemnych włosach – i jeszcze ciemniejszym spojrzeniu – stała w korytarzu.

Podeszła bliżej i wydobyla sztylet z drzwi. Była od Esty niższa o głowę, zamiast wczorajszej sukni z głębokim wycięciem włożyła prostą spódnicę i bluzkę. Jej oczy miały uderzająco fioletowy odcień, a faliste włosy nosiła upięte w luźny kok. Szerokie, delikatne usta w kącikach opadały z dezaprobatą w dół.

– Jestem Viola – oznajmiła cichym, gardłowym głosem, w którym nadal pobrzmiwała ledwie słyszalna włoska nuta. Ostentacyjnie wytarła czubek ostrza. Mówiąc do Esty, w ogóle na nią nie spoglądała. – Nie podobasz mi się. Dolph powiedział, żebym cię nie zabijała za to, że ukradłaś mi nóż, więc tego nie zrobię. Nie tym razem. – W końcu podniosła fioletowe oczy i wskazała Estę ostrym jak brzytwa czubkiem sztyletu. – Ale lepiej nie wystawiaj mojej cierpliwości na próbę. *Capisce?*

Esta uniosła pojednawczo dłonie.

Viola wsunęła nóż do wąskiego otworu z boku spódnicy. Potem podała Eście znoszoną wełnianą pelerynę i skinęła głową.

– Chodź. Nakarmimy cię. Dzisiaj pracujesz na Grubej Linii.

Zabrała ją na dół do kuchni Stregi i przedstawiła Tilly Malkov, dziewczynie o mysich włosach, która poczęstowała Estę kawałkiem twardego, chrupiącego chleba, kubkiem przypalanej kawy

z mnóstwem śmietany oraz ciepłym uśmiechem, od którego marszczyła jej się skóra w kącikach łagodnych zielonych oczu.

Esta dała się posadzić przy dużym kuchennym stole, ale skubiąc chleb, bacznie obserwowała Violę.

Po kilku minutach Tilly niespodziewanie dotknęła jej dłoni.

– Nie przejmuj się – powiedziała i Esta poczuła rozchodzące się po skórze łaskoczące ciepło, jak promienie słońca w letni dzień. Tilly kiwnęła głową w stronę Violi. – Ona wcale nie jest taka zła. Ma ostry język, ale miękkie serce – dodała, mrugając porozumiewawczo.

Esta cofnęła dłoń. Choć trudno było to wytłumaczyć, poczuła jednocześnie większe odprężenie i większy niepokój.

– Nie słuchaj jej – włączyła się Viola. – Libitina też jest ostra. – Łypiąc groźnie, postawiła sztylet pionowo na blacie i zaczęła nim obracać.

– Dałaś imię swojemu nożowi – stwierdziła Esta z pewnym rozbawieniem mimo wrogiego spojrzenia Violi. – Oczywiście, że tak.

Dziewczyna o mysich włosach tylko się uśmiechnęła i pokręciła głową z pobłażaniem. Wytarła ręce w fartuch i zabrała się na nowo do pracy przy kuchennym piecu. Wciąż nachmurzona Viola polerowała ostrze, ale Esta widziała, że co chwila zerka w stronę Tilly, rumieniąc się w odpowiedzi na każdy jej serdeczny uśmiech.

Kiedy skończyły jeść, Viola wyprowadziła Estę tylnym wejściem na Elizabeth Street. Wczorajszy śnieg zaczął topnieć, na chodnikach i ulicach przybywało szarej brei, czuć było też smród łajna i śmieci ukrytych pod zaspami.

– A więc... – zaczęła Esta, chcąc jakoś przerwać niezręczną ciszę. Otuliła się szczerzej pożyczoną peleryną, tak przyjemnie ciepłą. – Ty i Tilly...?

Viola okręciła się na pięcie i rzuciła jej piorunujące spojrzenie.



– Przepraszam. – Esta zrozumiała swój błąd. – Po prostu... tak na nią patrzyłaś – zaczęła się tłumaczyć – że pomyślałam, że może...

– Przyjaźnimy się – ucięła Viola, różowiąc się na policzkach, a nie należała do dziewczyn, którym do twarzy było z rumieńcem.

– Oczywiście – przytaknęła Esta. – Pomyliłam się.

Targały nią sprzeczne uczucia. Dobrze wiedziała, że podczas misji nie powinna się obnosić ze swoimi nowoczesnymi poglądami. To było niemądre, niebezpieczne. Ale za tym karcącym spojrzeniem Violi krył się strach, a może nawet... smutek?

Viola bez słowa ruszyła dalej.

Esta z łatwością nadążała za jej krótszymi nogami, ale trudno jej było przestać myśleć o tym, co usłyszała. Przeszły cały kwartał ulic w ciszy zmęczonej jedynie skrzypieniem śniegu pod stopami. W końcu nie wytrzymała; nie mogła dłużej patrzeć na spięte plecy Violi.

– Wydaje się cudowna – powiedziała cicho, nie zwalniając kroku.

Viola zatrzymała się gwałtownie.

– Owszem – zgodziła się, rzucając jej nieufne spojrzenie. – Taka właśnie jest. – Odczekała chwilę, jakby sprawdzając, czy Esta odważy się drażnić temat, po czym odwróciła się i ruszyła dalej chodnikiem pełnym ludzi. Ale szła już spokojniej, a z jej twarzy zniknął wyraz podejrzliwości.

Elizabeth Street, w przeciwieństwie do szerokiego bulwaru Bowery, była wąską ulicą ciasno zabudowaną budynkami z czerwonej cegły. Sklepiarze właśnie otwierali swoje przybytki, wytaczali na zewnątrz wózki z towarem. Nad wystawami schody pożarowe pięły się po ścianach domów. Powiewające tam kalesony i koszule przypominały niewidzialnych ludzi, którzy postanowili wychylić się przez barierkę, żeby popatrzeć na ulicę.

– Pierwsza zasada – powiedziała surowo Viola, jakby cała rozmowa o Tilly w ogóle się nie wydarzyła. – Nie okradamy swoich. Interesują cię tramwaje i ulice na północ od Houston Street. Pracujesz na Linii, w okolicach banków, ale nie grzebiesz w kieszeniach chronionych przez Dolpha. Druga zasada: nie wchodzisz w paradę innym bossom. Dolph bardzo się stara, żeby Paul Kelly i Monk Eastman nie tykali jego ludzi. Uważaj, żeby nie narobić nam kłopotów.

– Skąd mam wiedzieć, kto jest kim?

Viola zrobiła zniecierpliwioną minę.

– Dasz radę. Sama do tego dojdiesz.

Przeszły jeszcze kilka przecznic i przecięły jeden kwartał, dochodząc do miejsca, gdzie właśnie zatrzymał się konny tramwaj. Viola otworzyła drzwi z tyłu pojazdu i gestem zaprosiła Estę do środka. Wrzuciła parę monet do zniszczonej metalowej puszki z przodu, po czym znalazły wolne miejsca na dwóch wąskich ławeczkach ciągnących się wzdłuż pomazanych okien. Ponieważ okna zamknięto z powodu zimna, w tramwaju śmierdziało tytoniowymi plwocinami, czuć było też gryzącą metaliczną woń maszynowych smarów.

Na zewnątrz jasne szyldy dansingów i witryny skrzące się tanią biżuterią ustąpiły miejsca bardziej stonowanym wystawom, na których piętrzyły się towary w puszkach i artykuły domowe. Potem tramwaj skręcił w Canal Street i minął słynne więzienie zbudowane na podobieństwo egipskiego grobowca.

– Długo pracujesz dla Dolpha? – spytała Esta.

Viola spojrzała na nią kątem oka.

– Wystarczająco długo – odparła i ponownie skierowała wzrok na ulicę za szybą.

– I jesteś zadowolona? – spróbowała znowu Esta.

W pierwszej chwili wydawało się, że jej pytanie zostało zignorowane, ale kiedy Esta straciła już nadzieję na odpowiedź, Viola odwróciła się do niej.

– Posłuchaj mnie. Raczej nie zostaniemy przyjaciółkami. Mam już tylu przyjaciół, ilu potrzebuję. Nie tęsknię za babskimi pogaduszkami o pogodzie i cenach mięsa. Pracuję dla Dolpha, bo chcę pracować, a on ma dla mnie pracę. Czy jestem zadowolona?

– Wzruszyła ramionami. – Przecież nie wyszłam za jakiegoś grubego idiotę i nie rodzę mu dzieci, prawda? Może i mam ciężką pracę, ale jestem dobra w tym, co robię. Tylko tyle i aż tyle. Z czego tu nie być zadowoloną?

– Z niczego – wymamrotała zgodnie Esta.

Wiedziała, jakie to ważne czuć się potrzebną. Gdyby nie znalazł jej profesor Lachlan, pewnie w ogóle by się nie dowiedziała, kim jest ani do czego jest zdolna. Nie wyobrażała sobie, jak by to było nigdy nie zaznać tej głębokiej satysfakcji z dobrze wykonanej roboty. Być kimś zwyczajnym, gorzej nawet – dziwadłem w świecie, w którym magia była jedynie bajeczką do poduszki, niczym więcej. Może i profesor Lachlan nigdy nie był dla niej tak zwanym czułym ojcem, ale przynajmniej tyle od niego dostała.

Po mniej więcej piętnastu minutach hałaśliwej jazdy tramwaj stanął przy chodniku i Viola pokazała Eście, że pora wysiadać.

– To ratusz – stwierdziła Esta, rozpoznając gmach.

Viola chrząknęła lekceważąco.

– Przejdziemy się kawałek dalej i tam cię zostawię.

– Zostawisz mnie? – Esta aż zamrugnęła z wrażenia. Myślała, że Viola będzie ją ochraniać.

– Powiedziałaś Dolphowi, że jesteś dobrą złodziejką, czy nie?

– Tak... – odparła powoli Esta. Nie podobał jej się kierunek, w jakim to zmierza.

– Twoje wczorajsze sztuczki niczego nie dowodzą. Chcesz, żeby Dolph cię chronił? Zapracuj sobie na to na Linii. – Viola wskazała w głąb ulicy. – Kiedyś Wall Street to był raj kieszonkowca. Tłum bankierów, grube portfele, mnóstwo złota i klejnotów. Łatwa robota. Ale parę lat temu inspektor Byrnes wytyczył Grubą Linię. Byrnese już nie ma, ale Linia została. Na południe od niej łapią każdego złodzieja, którego zobaczą. Dolph stracił w ten sposób wielu chłopaków. Ale ty jesteś nowa i podobno potrafisz ukraść wszystko. – Viola wzruszyła ramionami. – No to powodzenia. Może cię nie złapią.

– A jeśli złapią?

Viola rzuciła jej obojętne spojrzenie.

– Moja rada? Nie daj się złapać. Grobowiec to nie jest miejsce dla dziewczyny, nawet tak dużej jak ty. – Uniosła kpiąco brew.

Szły dalej ulicą Park Row, obok wysokiej, przypominającej zamek budowli z dwiema wieżyczkami, a potem wzdłuż smutnego cmentarza z nagrobkami jak połamane zęby sterczące wśród resztek śniegu. Za zakrętem ukazała się przed nimi szarobrazowa fasada kaplicy Świętego Pawła.

– Dalej nie idę – oznajmiła Viola, zatrzymując się przy głębokim portyku świątyni. – Znają mnie tutaj. Ale przejdiesz jeszcze trzy, może cztery przecznice i znajdziesz bankierów. Jeśli jesteś choć w połowie tak dobra, jak twierdzisz, nie powinnaś mieć problemu z wyrobieniem dniówki. Z powrotem na pewno trafisz sama. A jeśli nie wrócisz... – Wzruszyła ramionami. – Wtedy to już nie nasze zmartwienie.

# JAKO NA GÓRZE, TAK I NA DOLE

**V**iola miała rację. Dzielnica finansowa na południe od Fulton Street była rajem złodzieja. Bankierzy i prawnicy z grubymi portfelami i brylantowymi spinkami. Kobiety z torebkami ciężkimi od pieniędzy. Łatwizna.

I kompletna strata czasu.

Nawet bez używania daru bardzo szybko wyrobiła dzienną normę, i to z nawiązką. Po niespełna godzinie wsiadła do tramwaju jadącego na północ.

Pustą srebrną bransoletkę wciąż nosiła pod ubraniem, żeby jej przypominała, jak wiele zależy od powodzenia tej misji. Przez całą noc wierciła się w swoim wąskim zatęchłym łóżku – o ile w ogóle zasługiwało na miano łóżka – i rozmyślała o utraconym kamieniu. Planowała kolejne posunięcie.

Profesor Lachlan przestrzegał ją przed ingerowaniem w przebieg wielkiego skoku na skarbiec, nie wiedział jednak – albo nie uprzedził jej – że Klucz Isztar spłonie. Utknęła w przeszłości, a tego nie było w planie.

Na razie działała po omacku. Potrzebowała więcej informacji, więcej awaryjnych opcji na wypadek, gdyby coś poszło nie tak, bo nic nie mogło jej powstrzymać przed zdobyciem Klucza Isztar. Tym bardziej że w przyszłości Dakari leżał postrzelony, może umierający. Nikt go nie zacznie szukać, a kiedy w końcu zorientują się, że gdzieś przepadł, będzie już za późno na ratunek.

Według wycinka, który podebrała z zeszytu profesora Lachlana, Khafre Hall znajdowało się przy Park Avenue. W jej czasach ta część

Park Avenue była wiaduktem prowadzącym do Grand Central Station, ale w 1902 roku lśniąca biała fasada terminalu jeszcze nie istniała. O ile świat Dolnego Manhattanu wydał jej się tego ranka podskórnie znajomy, o tyle ulice Środkowego Manhattanu jawiły się całkiem innym światem. Nikomu nawet się jeszcze nie śniło o drapaczach chmur, które miały przestłonić pół nieba. Przy alei stały teraz niższe, bogato zdobione budynki – okazałe domy i wielkie hotele, a tuż za Czterdziestą Pierwszą Ulicą, patrząc na północ, dało się zauważyć ogromny gmach Khafre Hall.

Nazwa siedziby Zakonu nawiązywała do egipskiej piramidy Chefrena, lecz cztery kondygnacje białego marmuru czyniły ją bardziej podobną do willi wziętej żywcem z włoskiego renesansu. Esta nie miała jednak wątpliwości, że to jest to miejsce, którego szuka. Wysoko na dachu w promieniach zimowego słońca błyskały złote posągi rozmaitych bogów. Nad głównym wejściem wyryto słowa JAKO NA GÓRZE, TAK I NA DOLE, przypisywane Hermesowi Trismegistusowi, mitycznej postaci łączącej w sobie greckiego boga Hermesa i egipskiego Thota, w której Zakon upatrywał swego założyciela. Ciężkie drzwi z brązu miały wygrawerowany symbol, w którym Esta bez trudu rozpoznała Dłoń Filozofa – alchemiczny klucz do uwolnienia tajemnych mocy.

Wszystkiego tego nauczył ją profesor Lachlan. Pokazywał jej różne przedstawienia tej dłoni, kiedy opowiadał o teoriach alchemii, a także o tym, jak Zakon wypaczył istotę magii, usiłując podzielić istnienie na wyraźnie rozgraniczone części po to, aby móc je kontrolować.

Gmach robił wrażenie, był wyrazem przekonań Zakonu i demonstracją jego wpływów w mieście. To, że po kradzieży artefaktów nie został odbudowany, dowodziło, jak bardzo Zakon wtedy osłabł. Jednak w obecnym stanie Khafre Hall przypominało

Éście o skali wyzwania, z jakim przyjdzie jej się mierzyć. Nawet teraz, gdy na niego patrzyła, stojąc po drugiej stronie ulicy, wydawał się niezdo­byty.

Wokół było cicho, wyjęła więc wycinek prasowy z ukrytej kieszeni, by raz jeszcze poszukać w nim jakiejś wskazówki na temat tego, co się tutaj wydarzyło. Kiedy jednak rozwinęła delikatny papier, spostrzegła, że druk, wcześniej wyraźny, teraz jest rozmazany. Poszczególne litery wiły się, jakby chciały się przeobrazić w inne, stworzyć nowe słowa.

Esta zamrugwała kilka razy i potarła zmęczone oczy. Była przekonana, że jej się przywidziało, lecz gdy spojrzała ponownie, słowa wciąż były nieczytelne. Jak gdyby przyszłość, niegdyś przesądzona, teraz stanęła pod znakiem zapytania. Skok nie był już rzeczą pewną.

– Nie – szepnęła do siebie, zbliżając skrawek papieru do oczu. Jak gdyby nie miała doskonałego wzroku. Jak gdyby to mogło sprawić, że słowa przestaną się mieszać i przesuwac.

Przecież nie popełniła żadnego błędu... Czy jednak popełniła?

– Ty! – Głos dobiegł z tak bliska, że ledwie zdążyła się odwrócić, zanim mężczyzna z wczoraj chwycił ją za nadgarstek. Na jego mocno posiniaczonej twarzy jaśniał wyraz obrzydliwej radości. – Tak myślałem, że to ty!

Szarpiąc się z nim, zwinęła niepostrzeżenie wycinek z gazety i wsunęła go do rękawa.

– Puszczaj! – warknęła. – Nie chcę znowu zrobić ci krzywdy. – A już na pewno nie chciała zwracać na siebie uwagi pracowników Khafre Hall.

Charlie Murphy tylko się roześmiał i zaczął ją wlec na drugą stronę ulicy.

– Drugi raz ci się nie uda. Niech no tylko się z tobą rozprawię.

Znów się zaśmiał i ścisnął ją mocniej za nadgarstek, wykręcając jej boleśnie ramię i przyciągając do siebie, aż poczuła jego nieświeży oddech.

– Puszczaj – powtórzyła twardo.

– Wiem, kim jesteś – oznajmił. – Poznałem się na tobie w Słomianym Targu – dodał z błyskiem diabelskiej euforii w oczach. – Zamierzałem urządzić polowanie na ciebie. Nie mogłem się doczekać, aż cię dopadnę i zobaczę w twoich oczach strach.

– Przykro mi, że muszę pana rozczarować – wycedziła, po czym schwyciła rękę, która trzymała jej nadgarstek.

Przywołując wszystkie techniki, jakich uczył ją Dakari, z całej siły wykręciła mu ramię. Zaskoczony mężczyzna krzyknął z bólu i puścił ją.

Ale to go spowolniło tylko na moment. Wyraz niecierpliwego podniecenia na jego twarzy zmienił się w czystą nienawiść. Musiała uciekać, nim jednak zdążyła wyhamować czas, Murphy wybałuszył oczy. Zesztywniał całkiem, a potem runął ciężko na ziemię.

Tak ją to zbiło z tropu, że czas jej się wymknął. Nie zdążyła znów nad nim zapanować, bo ktoś przycisnął jej ręce do boków i owiał ją korzenny zapach, przywodzący na myśl olejek paczulowy. Łagodny, bezcielesny głos szepnął jej do ucha, by się nie ruszała, i dotarło do niej, że może jednak Dolph nie zostawił jej samej sobie.



## WALUTA SEKRETÓW

**D**olph słusznie był podejrzliwy wobec tej nowej. Jaki miała interes, żeby się zapuszczać pod Khafre Hall?

Trzymając ją w ramionach jak w imadle, Jianyu nieomal słyszał jej myśli. Całe ciało miała napięte, gotowe do walki. Nie był tak głupi, żeby ją zlekceważyć. Widział, jak sobie poradziła z Murphym, i nie wątpił, że dla niego szykuje równie przykrą niespodziankę. Żadne z niej niewiniątko, świeżo przybyła dziewczynka zagubiona w niebezpiecznym mieście. Zbyt dobrze ją wyszkolono.

– Jeśli nie chcesz, żeby Dolph się o tym dowiedział, nie ruszaj się – wyszeptał.

Dziewczyna zawahała się, lecz po chwili opuścił ją bojowy nastrój i dała mu się poprowadzić ulicą z dala od czujnych oczu Khafre Hall. Gdy skręcili za róg, przestał zakrzywiać światło i ukazał się jej.

Nadal jednak trzymał ją mocno za ramię.

– Śledziłeś mnie? – spytała, patrząc z ukosa.

– A co myślałaś? Że nikt za tobą nie pójdzie? Dolph Saunders jest mało ufny – i chyba nie bez powodu. Po co tu przyszłaś?

– Chciałam się przespacerować – odparła bez mrugnienia okiem. – Dzień jest piękny.

– I przespacerowałaś się do Khafre Hall? – spytał rozbawiony.

Zacisnęła usta, lecz nic nie odpowiedziała. Jej dobre wyszkolenie przejawiało się również tym, że umiała zachować spokój, gdy przyłapano ją na gorącym uczynku. Wiedziała, że dalsze brnięcie w kłamstwa miałyoby się z celem.

– Dlaczego już nie pracujesz? Dopiero południe.

– Skończyłam.

Nie zabrzmiało to jak kłamstwo, a przecież była w swoim rewirze za krótko, aby to mogła być prawda. Zwłaszcza że nie używała magii. Podążał za nią przez cały czas, starannie się kamuflując, i nie wyczuł ani cienia jej mocy.

– Miałaś ukraść trzydzieści pięć dolarów. To więcej, niż większość ludzi zarabia w miesiąc.

– Mogę ci pokazać swoją portmonetkę, jeśli mi nie wierzysz. Ale będziesz musiał mnie puścić, żebym mogła po nią sięgnąć. – Rzuciła mu chytre spojrzenie. – Noszę ją pod suknią.

Jianyu nie połknął haczyka.

– To nie tłumaczy, co robisz tutaj, pod siedzibą Zakonu.

Na jej twarzy nic się nie zmieniło.

– Chciałam ją zobaczyć na własne oczy.

– Po co? – naciskał, wciąż nie wyczuwając fałszu.

– To chyba normalne, że chce się poznać wroga.

– Zakon? Traktujesz ich jak wroga?

– A ty nie? – odparowała natychmiast.

Ale Jianyu zignorował to pytanie. Nie miał obowiązku opowiadać jej o sobie.

– Puszczę cię i wrócimy razem do Stregi.

Esta zmarszczyła brwi.

– Powiesz Dolphowi, co się stało, prawda?

– Nie, jeśli pójdziesz grzecznie. – Widząc po jej twarzy, że się tego nie spodziewała, wyjaśnił: – W tej chwili bardziej mi się opłaca, żebyś była moją dłużniczką.

– Nie wiem, czy chcę być twoją dłużniczką.

Przekrzywił głowę.

– Trafna uwaga. Cóż, zawsze możesz sama opowiedzieć Dolphowi o tym, jak oddaliłaś się od swojego rewiru i prawie zostałam schwytana przez członka Zakonu przed Khafre Hall.

Jej spojrzenie mówiło, że to bardzo mało prawdopodobne.

– Oczywiście możesz też spróbować uciec albo stawić mi czoło. Wtedy powiem wszystko Dolphowi. Nie będziesz moją dłużniczką, ale już nigdy nie poczujesz się bezpieczna w tym mieście. Dopóki Dolph Saunders i jego ludzie będą się za tobą rozglądać.

Zmarszczyła nos.

– Nie lubię, jak mi się grozi.

– Nikt nie lubi – odrzekł. – Ale jeśli rzeczywiście nie masz wobec nas złych zamiarów, możesz spać spokojnie.

Jej spojrzenie wciąż było uparte i pełne złości, ale również inteligentne. Rozumiała, że tak naprawdę nie ma wyboru.

– Dobrze – odparła kwaśno. – Swoją drogą, jestem Esta. Pomyślałam, że skoro zamierzasz mnie szantażować, powinieneś wiedzieć, jak mam na imię.

Puścił ją.

– Nazywam się Jianyu Lee. I wiem, jak masz na imię.

Esta zmarszczyła brwi, zerkając na przegub dłoni, jakby spodziewała się tam ujrzeć jakiś ślad.

– Świetnie. Dobrze, że to sobie wyjaśniliśmy – wymamrotała. Podniosła wzrok i machnęła znacząco ręką. – No, na co czekamy? Prowadź.

Kiedy zjawili się z powrotem w Stredze, Dolph Saunders siedział tam gdzie zwykle, na końcu zapełnionej sali barowej. Jianyu wiedział jednak, że ci wszyscy ludzie nie przyszli tutaj się napić.

Wyczuwał ciekawość dziewczyny, kiedy patrzyła, jak mężczyźni i kobiety kolejno podchodzą do stołu bossa.

W najbiedniejszych dzielnicach był to częsty obrazek. Wszyscy szefowie gangów świadczyli różne przysługi i utrzymywali swoich ludzi w posłuszeństwie za pomocą długów. Wuj Jianyu też tak przyjmował interesantów. Na Mott Street Tom Lee zbierał haracze za ochronę chińskich szulerów i kuglarzy przed policją. Był to jedynie mały wycinek życia Chinatown, lecz Jianyu znał go aż nazbyt dobrze. I szybko znienawidził.

Przybył do tego kraju, do tego miasta, ponieważ Lee obiecał mu przyszłość lepszą od tej, na którą mógł liczyć w ojczyźnie; na miejscu jednak okazało się, że wuj sprowadził go tutaj nie po to, żeby mu pomóc, ale żeby go wykorzystać. Dzięki swojemu darowi Jianyu potrafił być niewidzialny, a co za tym idzie, atakować znienacka. Nie porzucił jednak domu, matki i całego dotychczasowego życia, aby pracować jako najemnik u pospolitego przestępcy, jakim był Tom Lee.

Wciąż nie miał pewności, czy pochwała metody Dolpha Saundersa, lecz niewątpliwie był to inny człowiek niż Tom Lee. Ludzie, którzy zapełniali Stregę, nie przypominali tych wyzyskiwanych przez jego wuja. Przynosili swoje prośby, wszyscy jednakowo zgarbieni, jakby musieli nieustannie dźwigać jakiś niewidzialny ciężar. Każdy z nich zamieniał z Dolphem kilka słów, na ogół błagając o pomoc w odnalezieniu zaginionego syna, uregulowaniu czynszu lub rozwiązaniu innego palącego problemu.

Te długi naturalnie trzeba było potem spłacić, ale przynajmniej nikt nie wymagał od Jianyu ich egzekwowania.

Po minucie Dolph podniósł wzrok i dostrzegł ich stojących na drugim końcu sali. Szepnął coś Nibsowi, a ten wstał i ruszył do nich przez tłum. Powitał Jianyu milczącym skinieniem głowy, po czym zwrócił się do dziewczyny.

– Już skończyłaś? – spytał z niedowierzaniem w głosie.

Wsunęła dłoń do ukrytej kieszeni w fałdach sukni i wyciągnęła niewielkich rozmiarów portmonetkę. Nibs zajrzał do niej, z grubsza przeliczył zawartość, następnie spojrzął w stronę Dolpha i kiwnął potakująco głową.

– Przejmę ją – oznajmił, zwracając się do Jianyu.

Ten drugi lekko się najeżył, ale nie dyskutował. Niech sobie myślą, że jest uległy. Z taką łatką było mu łatwiej rozszyfrowywać, jakie stosunki łączą członków gangu Dolpha i którzy z nich są warci zaufania. A także gromadzić ich sekrety, bo nigdy nie wiadomo, kiedy mogą się przydać.

## PRACA U PODSTAW

Chłopak, który odprawił Jianyu, był młody, miał jasne włosy i grube okrągłe szkła, które nosił na czubku chudego nosa.

– Mówią na mnie Nibs – rzekł, wyciągając rękę. – Nibsy Lorcan.

Esta zmierzyła go wzrokiem, zanim uściśniła jego dłoń. Poplamione atramentem palce Nibsa miały w sobie stanowczość, ale nie były twardymi dłońmi wojownika, i trochę ją to uspokoiło.

Uśmiechnął się do niej chłopięcym uśmiechem, który nie pasował do tego miejsca.

– Od wczoraj wszyscy o tobie mówią. O tym, jak ukradłaś gorgonę z laski Dolpha. Dziwią się, że Viola nie próbowała cię ukatrupić po tym numerze z nożem. Nikomu nie wolno dotykać jej noży – no chyba że ostrza, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Cudownie – odparła Esta. Poczwała się nagle nieswojo, wiedząc, że jest w centrum uwagi tylu osób.

Chłopak zmrużył powieki.

– Nie będę cię pytał, jak tego dokonałaś. To twoja sprawa. Przynajmniej na razie. Ale muszę cię ostrzec: jeśli Dolph uzna, że jesteś zbyt dużym kłopotem, nic i nikt ci nie pomoże.

– Rozumiem – odparła, zastanawiając się, gdzie zniknął Jianyu. Była wciąż podenerwowana po szamotaninie z Murphym i rozmowie z Jianyu. Nie podobało się jej ani trochę, że Jianyu będzie mógł w każdej chwili wykorzystać jej spacer do Khafre Hall przeciwko niej. – Chcę tylko zapracować na swoje utrzymanie. Jeżeli mogę zrobić coś jeszcze, przydać się jakoś Dolphowi...

– Dam ci znać – przerwał jej Nibs z miłym uśmiechem.

Esta posłusznie zmieniła temat.

– Co tu się dzieje? – spytała, wskazując brodą.

– Cotygodniowy spęd – wyjaśnił Nibs. – Dłużnicy przychodzą spłacić dług albo prosić o więcej czasu. Reszta stara się o przysługi.

– Wygląda mi to na dochodowy interes – zauważyła.

– Dolph nie pobiera opłat – rzekł Nibs. Widząc jej zdziwione spojrzenie, uściślił: – On handluje sekretami. Co pewnie na swój sposób też jest dochodowe.

– Nie wątpię. – Zerknęła na niego. – A jaki twój sekret poznał?

Nibs nawet nie mrugnął.

– A kto powiedział, że nie może być odwrotnie?

Zaśmiała się rozbawiona. Nie spodziewała się po nim takiej zuchwałości.

W tej samej chwili drzwi do baru otworzyły się z hukiem i wszyscy obrócili głowy ku trzem sylwetkom ciemniejszym na tle jasnego popołudnia. Nibs zagwizdał pod nosem.

– Dolph Saunders! – zawołał mężczyzna pośrodku. – Oddaj mi tę dziewczynę!

W sali barowej zawisła ołowiana cisza. Wśród trzech przybyszów Esta rozpoznała stojącego po lewej Wenera. Na jego widok poruszyła się nerwowo, odwróciła twarz w kierunku ściany i spuściła głowę, by ukryć swój profil.

– Kto to? – szepnęła.

Twarz Nibs'a nie zdradzała żadnych emocji.

– Zdaje się, że Edward Corey, właściciel Słomianego Targu. Wygląda na to, że cię zna...

Esta poczuła ściśnięcie w dołku.

Dolph Saunders bez pośpiechu przejrzał jeszcze jedną umowę, złożył na niej podpis i dmuchnięciem osuszył atrament. Kiedy

wreszcie odpowiedział, nie podniósł nawet wzroku; sięgnął tylko po kolejny plik papierów.

– Co tu robisz, Corey? – Jego pytanie było zabarwione irytacją. – To nie twoja okolica.

– Słyszałeś, co powiedziałem, Saunders. Przyszedłem po dziewczynę. Wiem, że Bridget przysłała ją tutaj.

Wydawało się, że cała sala wstrzymuje oddech. Dolph spokojnie rozważył słowa Coreya.

– Nie bardzo wiem, o jakiej dziewczynie mowa. Ja nie robię w tej branży co ty.

– Chcesz mi powiedzieć, że nie ma jej tutaj? – Corey zrobił parę złowieszczych kroków naprzód. – Czy że ją chronisz?

Dolph dopiero teraz podniósł oczy znad stołu.

– Ktoś zna tę dziewczynę, której on szuka? – spytał beznamiętnie.

Esta powoli się poruszyła, gotowa spowolnić bieg czasu i uciec, lecz ręka Nibsa wysunęła się jak wąż i przytrzymała ją w miejscu. Esta była teraz w kropce. Nie mogła nic zrobić, nie zwracając na siebie uwagi, ani uciec w szczelinę między sekundami, nie zdradzając Nibsowi, do czego jest zdolna.

– Poczekaj chwilę – wyszeptał do niej, ledwie poruszając ustami.

Głośne zgrzytnięcie przecięło ciszę sali. To Dolph Saunders wstał od stołu, przewracając krzesło.

– Chyba się pomyliłeś, Corey. Nie ma tu żadnej twojej dziewczyny.

– Nie igraj ze mną, Saunders. Charlie Murphy chce ją dostać, a jeśli nie dostanie, będzie chciał się na mnie odegrać. Chyba nie myślisz, że do tego dopuszczę. Odeślę go prosto do ciebie. Wiesz, że ma przyjaciół, o których tobie się śniło. Odbiorą ci licencję, zamkną tę spelunę, zniszczą wszystko, co udało ci się zbudować, całe twoje życie. Wystarczy jedno moje słowo.



– I tu również się mylisz – odparł cicho Dolph.  
– Bzdura. Jak się dowiedzą, kim jesteś, odbiorą ci wszystko.  
– Może bym się tym przejął, gdybym miał do stracenia coś, na czym mi zależy – odparł Dolph. – Za to ty... Ty masz bardzo wiele do stracenia, Corey, zgodzisz się ze mną? Lubisz zgrywać waśniaka przed kolesiami z Tammany, co? – Dolph pokręcił głową. – Wiem, że podlizujesz się Zakonowi. Trzymasz zbyt wiele srok za ogon. Niech no tylko się zwiedzą, kim t y jesteś...

Corey na chwilę się zaciął.

– Ty nie wiesz...

– Wiem o tobie wszystko, Corey – przerwał mu Dolph tonem szorstkim jak papier ścierny. – Wiem o twojej schadzce z pewną kobietą przy Broome Street, a wątpię, by wiedział o tym jej mąż. Wiem, co jadłeś na obiad i co zamierzasz zjeść na kolację. Wiem, kim są twoi krewni. I ciekaw jestem, co by sobie pomyśleli twoi przyjaciele w Zakonie, gdyby poznali prawdę. – Dolph zamilkł na chwilę, pozwalając tym słowom wybrzmieć.

– Grozisz mi?

– Ależ skąd. Jesteś przecież wśród swoich. Przyjaciele nie donoszą na siebie nawzajem... No chyba że ty pierwszy wypowiesz nam wojnę. A jeśli nie chcesz, żeby całe miasto wiedziało to, co ja wiem, weźmiesz dupę w troki i wrócisz tam, skąd przyszedłeś. Sam załatwisz sprawę z Murphym i pomożesz mu szybko zapomnieć o tej dziewczynie.

Esta nieco się rozluźniła, widząc wahanie Coreya. Jego pociągła twarz zrobiła się niepokojąco czerwona.

– Ty... ty... – zaczął, ale zabrakło mu słów.

– Nareszcie do ciebie dotarło – stwierdził Dolph. Zerknął przelotnie na Wenera. – Chyba najlepiej będzie, jak nigdy więcej się tu nie pokażecie. Co wy na to?

Ponury Werner nieśmiało przytaknął. Dolph podniósł przewrócone krzesło i bez słowa usiadł przy stole. Nie spojrzał już ani razu w stronę nieproszonych gości, a czterech jego chłopców o byczych karkach wystąpiło naprzód, krzyżując potężne ramiona na szerokich piersiach. Po błysku w ich oczach widać było, że rwą się do bijatyki. Corey w mig zrozumiał ten komunikat. Kiwnął głową na swoich ludzi i wyszedł, a oni za nim.

Sala powoli odżyła. Esta odetchnęła z ulgą.

– Chodź – szepnął Nibs, który ani na moment nie puścił jej nadgarstka.

– Dokąd?

– Gdzie indziej. – Oddał portmonetkę jednemu z chłopaków i zaczął prowadzić Estę. – Gdziekolwiek. Zaufaj mi. Dolph będzie teraz w podłym humorze.

Wyszli na rześkie popołudniowe powietrze. Zostało jeszcze trochę dnia, lecz Bowery zaczynało się już budzić do wieczornego życia.

– Corey naprawdę namówi Murphy’ego, żeby odpuścił?

Nibs wzruszył ramionami.

– Ma teraz dobry powód. Gdyby Murphy się dowiedział, że okłamał jego i resztę Zakonu, straciłby wszystko. Ale ludzie nie zawsze postępują zgodnie z własnym interesem. – Nibs wpatrywał się w nią przez kilka sekund. – Wiesz co, może i jest coś, co mogłabyś dla mnie zrobić. I dla Dolpha. Jeśli chcesz mu podziękować za to, że cię chroni.

– Jasne. Zrobię wszystko.

– Chcę, żebyś poszła ze mną do teatru.

Esta spojrzała mu w oczy, jakby w pierwszej chwili nie zrozumiała tej dziwnej prośby. Kiedy wreszcie do niej dotarło, o co mu chodzi, poczuła wzbierającą frustrację.

– Słuchaj, miły z ciebie gość – powiedziała jak najdelikatniej – ale nie jestem zainteresowana.

Nibs uśmiechnął się łagodnie, jakby rozbawiony.

– Tak też myślałem. Ale mimo to chciałbym, żebyś ze mną poszła.

Powiedział to z taką szczerością w głosie, że prawie dała mu wiarę.

– Jestem tu tylko dla pracy.

– Zrób to dla mnie – rzekł, wsadzając ręce do kieszeni i kołyszając się na piętach. – Potraktuj to jako część swoich obowiązków.

Esta zmrużyła oczy. W gruncie rzeczy nie mogła mu odmówić, znała jego pozycję w gangu Dolpha. Nibs najwyraźniej zdawał sobie z tego sprawę.

Zachichotał wesoło.

– No dobrze. Chcę ci kogoś przedstawić. – Po jego twarzy przebiegł cień tajemnicy. – Ale nie żartuję, kiedy mówię, że to część twoich obowiązków. Dolph od miesiący próbuje zwerbować tego faceta. Rozmawiałem z nim wiele razy, ale czuję się, jakbym walił głową w mur. Może tobie się poszczęści.

– Nie bardzo rozumiem, dlaczego miałoby – odparła.

– Mam dobre przeczucie – wyjaśnił Nibs. – A nuż Darrigan ma słabość do ładnych twarzy.

# KLASYCZNA ZMYŁKA

## *Teatr Wallacka*

**M**amy dzisiaj wymagającą publiczność – rzuciła Evelyn przez ramię Harte'a, który patrzył, jak monolog Juliusa Tannena spotyka się z obojętnym przyjęciem.

Nie obejrzał się na nią. Był zbyt zajęty liczeniem pustych foteli na widowni. Shorty miał rację. Nie wyglądało to dobrze.

Początkowo na jego występy waliły tłumy. Cuda, których dokonywał na scenie, były na ustach całego miasta. Ale nieważne, jak niezwykle pokazywał sztuczki – po pewnym czasie wszyscy je znali. Potrzebował czegoś nowego.

Najlepiej nowego miasta.

– Jeszcze chwila i zaczną rzucać owocami – mruknął zniesmaczony.

– Pewnie ci się wydawało, że od tego uciekłeś, kiedy się przenieśliś do lepszej dzielnicy – powiedziała Evelyn tonem, w którym był uśmiech, ale nie było ciepła. – Co tylko dowodzi, że nawet polor wyższych sfer to tak naprawdę cienka warstewka pozorów. – Podeszła bliżej i zniżyła głos. – Brakowało nam ciebie wczoraj po spektaklu.

Harte mocno w to wątpił. Po dwudziestu minutach byli już pewnie zbyt ogłuszeni najtwardszym, by interesowało ich cokolwiek poza następną dolewką.

– To co, nie powiesz mi, do kogo tak ci było spieszno? – zamruczała, kładąc ręce na jego barkach i zadzierając głowę, by spojrzeć mu w oczy. Patrzyła miękko dużymi, zmąconymi źrenicami.

Harte zmarszczył brwi. Co też ją skłoniło do sięgnięcia po butelkę o tak wczesnej porze? Zaraz jednak przypomniał sobie, że to nie jego zmartwienie. Nic mu do tego. Wiedział, czym to się kończy, kiedy człowiek zaczyna się o kogoś martwić.

Strząsnął z siebie jej dłonie.

– Do nikogo ważnego.

Nie miał najmniejszej ochoty spowiadać się komukolwiek ze swojego spotkania z Jackiem Grew. Wystarczy, że Nibsy Lorcan znów go śledził. I jeszcze ta konfrontacja w parku... Źle to wróżyło. Gdyby Dolph Saunders wiedział, co on knuje...

Ale przecież nie mógł wiedzieć. Harte był zbyt ostrożny. Przynajmniej taką miał nadzieję.

Przekrzywił głowę i rozciągnął mięśnie szyi, aby pozbyć się napięcia. Ostatnio to miasto wydawało mu się bez mała klaustrofobiczne, a wydarzenia minionej nocy jeszcze wzmocniły to wrażenie. Na dodatek od czasu bliskiego spotkania z zębami tej dziewczyny nie mógł nawet zjeść normalnego posiłku. Tylko tego było mu jeszcze trzeba.

Inspicjent dał znak występującemu artyście, że jego czas dobiegł końca. Harte ostatni raz spojrzął w nieduże ścienne lustro i wśród wibrujących dźwięków orkiestry zapowiadających jego wejście poprawił rozmazany proszek antymonowy pod prawym okiem.

Gdy wkroczył na scenę, zza światła rampy dobiegał szmer niezadowolenia przeredzonej publiczności. Widzowie o twarzach zmarszczonych w zniecierpliwieniu czekali na coś, co okaże się warte pięćdziesięciu centów wydanych na bilet. Harte nie zaplanował

na dziś wieczór żadnych nowości, ale teraz nie mógł już nic z tym zrobić.

– Panie i panowie! – zawołał tubalnym głosem, gładko wchodząc w swoje doskonalone latami sceniczne wcielenie. – Zjeździłem szmat świata, zgłębiając sztuki tajemne i wiedzę hermetyczną. Dziś dowiodę przed wami, że my, zwyczajni ludzie, możemy rozmawiać z bóstwami. A bóstwa – dodał i zamaszystym gestem odpalił trzymaną w dłoni racę – mogą rozmawiać z nami.

Kula ognia na moment zawisła w powietrzu i zniknęła. Prosta sztuczka, ale robiła wrażenie. Przez widownię przetoczył się szmer zainteresowania. Teatralny maszynista wytoczył na scenę stół z rekwizytami.

– Nie bójcie się państwo – rzekł Harte, podnosząc parę stalowych obręczy o średnicy nieco większej od jego głowy. – To nie jest stara, dzika, nieujarzmiona magia, która uwodzi i niszczy. Nie grozi wam tutaj żadne niebezpieczeństwo – obiecał, manipulując obręczami, na przemian łącząc je ze sobą i rozdzielając. – Albowiem nie zawdzięczam swoich mocy przypadkowi urodzenia, lecz dociekliwym badaniom naukowym i wprawie okupionej mnóstwem ćwiczeń. Ponieważ poświęciłem życie opanowaniu tajemnych nauk, moce, które zademonstruję, nie mają nade mną władzy. – Zatoczył ręką koło i obręcze zniknęły. – Naginam je do swej woli – zakończył, wyciągając jedną obręcz dosłownie znikąd.

Widownia pogrążyła się teraz w milczeniu, wszystkie oczy patrzyły i czekały w napięciu. Bogaci czy biedni, każda publiczność była taka sama. Jedni traktowali opowieści o starej magii jak zwykłą legendę. Inni nadal obawiali się jej istnienia. Większość nauczono nienawidzić ludzi z darami. Tak jak Zakon pragnęli oni jednak, aby magia była czymś prawdziwym. Chcieli wierzyć,

że istnieje coś większego niż oni sami – pod warunkiem że odpowiedni ludzie umieją nad tym zapanować.

Harte nie miał problemu z tym, że wykorzystuje ich lęki i nadzieje, przesady i poczucie wyższości. Że odwraca ich uwagę od prawdy. Po prostu starał się przetrwać w świecie, który nienawidził takich jak on.

Zjednawszy sobie publiczność, mógł się wreszcie odprężyć i rozpocząć właściwą część przedstawienia. Zdjął marynarkę i podwinął rękawy, aby pokazać, że niczego pod nimi nie ukrywa, po czym wykonał szereg swoich typowych, na pozór niemożliwych sztuczek karcianych i zręcznościowych. Równocześnie czarował widzów historiami ze swoich dalekich podróży. Połykając tuzin igieł nawleczonych w równych odstępach na nitkę, opowiadał o swoim pobycie na dworze maharadży; twierdził, że to właśnie nadworny czarodziej nauczył go wyjmować połknięte igły za pomocą jedwabnej przędzy. Badał sekrety nauki oraz alchemii pod okiem najwybitniejszych europejskich uczonych i odkrył niejedną tajemnicę wszechświata w cieniu egipskich piramid.

Wszystko to, rzecz jasna, były kłamstwa. Nigdy w życiu nie opuścił wyspy Manhattan; nawet mu się to nie śniło, dopóki Dolph Saunders nie zaraził go swoim pomysłem.

– Panie i panowie – rzekł, przeciągając moment oczekiwania, by zbudować napięcie przed ostatnim numerem. – Zademonstruję wam teraz swoją władzę nad siłami życia i śmierci. Do tej demonstracji, najodważniejszej ze wszystkich do tej pory, będę potrzebował ochotnika. Śmiałka o silnej woli, który zdoła się oprzeć kuszeniom zaświatów i dzielnie stawia czoło temu, co wykracza poza ludzkie poznanie.

Zszedł ze sceny, aby móc dojrzeć publiczność ukrytą za światłami rampy, i zaczął się rozglądać po twarzach. Do tego numeru zwykle

wybierał mężczyznę, najlepiej dużego, z grymasem powątpiewania. Kogoś, w kim reszta widowni zobaczy sceptyka. Natrafił jednak wzrokiem na osobę, której się tutaj nie spodziewał – na dziewczynę ze Słomianego Targu.

W pierwszej chwili pomyślał, że przyszła dla niego. Poczł nerwowy skurcz w żołądku, zrobiło mu się gorąco i przez moment nie mógł się ruszyć. Wpatrywał się w nią, jakby to była zjawą powołana do życia przez jego wyobraźnię.

Potem spostrzegł, że obok niej siedzi Nibsy Lorcan, i wszystko w nim ostygło.

To nie mógł być przypadek, że oboje siedzieli na widowni, że widział oboje zeszłej nocy. Tylko że każdy człowiek Dolpha powinien wiedzieć, jakie to nierozsądne posługiwać się magią w Słomianym Targu. Czyżby to wszystko było ukartowane? Próbowali go osaczyć?

Zobaczmy.

Harte zszedł po schodkach, udając, że wciąż szuka odpowiedniego kandydata. Gdy zbliżył się do ich rzędu, dziewczyna zaczęła się przypatrywać szwom w rękawiczkach. Usta miała zaciśnięte, policzki rumiane.

Dobrze, pomyślał Harte. Niech się denerwuje. Język nadal go piekł, ale jednocześnie, do licha, przypominał o tamtym pocałunku. O tym, jak przez chwilę – kiedy wydawało mu się, że ona też go całuje – poczuł oszałamiającą wolność, za którą tęsknił w głębi duszy.

Co tylko dowodziło, jak bardzo ta dziewczyna była niebezpieczna.

– Może pani? – odezwał się, wyciągając w jej kierunku dłoń bez rękawiczki. – Czy byłaby pani tak miła?

Podniosła wzrok, w jej dziwnych jasnych oczach strach walczył z gwałtowną niechęcią.



– O, ja nie jestem miła. – Zbyła go machnięciem dłoni.

Lecz nie skończyła jeszcze mówić, a już Nibsy podniósł ją z fotela, popychając ku niemu.

– Zrobi to z rozkoszą – zapewnił Harte’a. W oczach chłopaka błyskały jakby iskierki podniecenia.

Takie zachowanie Nibsa powinno być dla niego sygnałem ostrzegawczym, lecz Harte jakoś nie potrafił się tym przejąć.

– Nie rób sceny – wymamrotał, gdy próbowała mu się wyrwać. Chwilę wcześniej zdążył ją odpowiednio mocno ująć za ramię. – Tylko wyjdiesz na idiotkę. – Trzymał ją przy swoim boku w sztywnym uścisku.

– Pewnie wiesz, co mówisz – wyszczerzyła zęby w uśmiechu – skoro zrobiłeś z tego swój zawód. – Jej spojrzenie było krwiożercze, ale nie wiedzieć czemu sprawiło, że intrygowała go jeszcze bardziej.

Dzięki odnoszonym sukcesom zawsze miał wokół siebie dziewczyny gotowe się do niego uśmiechać i przymilać, ale tak naprawdę lgnęły do jego nazwiska, żadnej z nich nie interesowała jego osobowość. Pragnęły wytrawnego magika i showmana, dzięki któremu wejdą na salony i spełnią własne marzenia o karierze scenicznej. Ta dziewczyna nie dbała o to wszystko. Nie dbała o niego – albo znakomicie to przed nim ukrywała.

Podobało mu się to.

Może jednak matka miała rację – ewidentnie coś z nim było nie tak.

– Co tu robisz? – szepnął, prowadząc ją między rzędami foteli w kierunku sceny.

– Powiedziano mi, że można się tu rozerwać – odparła, nie przejmując się, czy ktoś ją usłyszy. Potem nachyliła się, jakby zamierzała mu powierzyć jakąś tajemnicę, i odezwała się tak głośno,

że musiano ją usłyszeć w pierwszych rzędach. – Ale mój towarzysz chyba przereklamował to miejsce.

Widzowie zareagowali chichotem. Harte również był rozbawiony, ale nie dał tego po sobie poznać.

– Aha – rzekł, pomagając jej wejść po pierwszych stopniach, i ruszył jej śladem. Na górze pochylił się nieco i szepnął jej do ucha:  
– Preferujesz taką rozrywkę, jak zeszłej nocy?

Obróciła się z ogniem oburzenia w tych swoich miodowych oczach, lecz Harte tylko do niej mrugnął, po czym zwrócił się do publiczności.

– Panie i panowie, ta śliczna istota zechciała zaszczyścić nas dziś wieczór swoją pięknnością i odwagą. Jak pani na imię?

Dziewczyna odpowiedziała milczącym grymasem. Harte uniósł wyczekująco brew.

– Esta – odparła, uznawszy widocznie, że najszybszym sposobem na zejście ze sceny będzie współpraca.

– Nasza droga Esta, czyli inaczej gwiazda, uprzejmie zgłosiła się na ochotniczkę do pomocy w jednym z najniebezpieczniejszych pokazów moich pozaziemskich mocy. – Ignorując jej lekceważące prychnięcie, skinął ręką na maszynistę, który wtoczył na scenę wielką drewnianą skrzynię pomalowaną tak, by przypominała ozdobną szafę.

– Gdyby zechciała pani sprawdzić, czy nie ma w tej szafie niczego podejrzanego, żadnych fałszywych ścian... – Wskazał gestem na skrzynię. Ponieważ Esta nie ruszała się z miejsca, ponowił prośbę. – Bardzo prosimy, niech pani zdejmie rękawiczki i dokładnie ją obejrzy ze wszystkich stron. – Wyciągnął rękę.

Dziewczyna rzuciła mu kolejne cierpkie spojrzenie, ale zdjęła i oddała rękawiczki. Były zrobione ze skóry gładkiej jak płatek róży. Harte znów zadał sobie pytanie, skąd ona się wzięła i kim jest,

że ma takie wspaniałości, a jednocześnie, wszystko na to wskazywało, wykonuje rozkazy Nibsy'ego.

Zaczęła oglądać skrzynię, wciąż krzywiąc zadziornie usta, i Harte mimo woli przypomniał sobie nagle poprzedni wieczór, jej miękkie wargi, prawie gościnnie rozchylone...

– Ona jest podstawiona! – wykrzyknął pijany głos na widowni, przerywając na szczęście tok jego myśli.

– Nie jestem – zaprzeczyła głośno dziewczyna. Po czym, zanim zdążył ją powstrzymać, zawołała: – Wejdź na scenę i przekonaj się sam. – Spojrzała na Harte'a, wachlując rzęsami. – Może wejść, prawda? Nie ma pan chyba nic do ukrycia?

Wśród publiczności rozległ się chichot.

– Prawda? – powtórzyła pytanie z miną niewiniątka.

Zapędziła go w kozi róg. Dobrze. Niech jej będzie. Później się z nią policzy. Przywołał na usta swój najbardziej czarujący uśmiech, jakby wszystko miał pod kontrolą, i zwrócił się do widowni.

– Oczywiście.

Pijany krzykacz okazał się tęgim facetem w płaszczu ciasno opinającym brzuch. Kiedy oglądał szafę, podnieceni widzowie siedzieli jak na szpilkach. Lecz Harte Darrigan nie zwykł popełniać błędów. Nie ostatnimi czasy i nie tutaj, na swojej scenie, na której czuł się panem sytuacji jak nigdzie. Żadna dziewczyna tego nie zmieni, nieważne, jak bardzo jej pełne, drwiące usta cofały go w czasie do minionej nocy i tamtego pocałunku. Przycisnął obolały język do ostrej krawędzi zęba, by przypomnieć sobie, co się stało, kiedy na chwilę stracił dla niej głowę.

Gdy oględziny dobiegły końca, wyciągnął ku niej dłoń bez rękawiczki, by pomóc jej wejść do skrzyni, z niepokojem oczekując na ciepły dotyk jej palców.

– Jeżeli nie ma pani zastrzeżeń...

– Och, sama nie wiem... – W jej oczach pojawił się szyderczy błysk. – Nie jestem pewna, czy stanie pan na wysokości zadania – powiedziała tak, by usłyszeli ją widzowie.

Znów rozbawiony szmer, ktoś z tyłu zagwizdał.

Harte pochylił się ku niej, aż poczuł jej ciepło i lekki, słodki zapach włosów.

– Nikt się jeszcze nie skarżył – rzekł, ponownie oferując jej swoją dłoń. – A może pani się boi?

Widzowie myśleli pewnie, że dziewczyna tylko się z nim przekomarza, lecz Harte z bliska widział prawdziwy powód jej wahania. Dostrzegł w jej złotych oczach walkę, którą toczyła ze sobą, nie mogąc się zdecydować, czy przyjąć rzucone jej wyzwanie, czy przyznać, że jest zdenerwowana. Ostatecznie górę wzięła duma.

Posłała w stronę publiczności kolejny czarujący uśmiech, jeszcze przez moment przeciągając oczekiwanie. W końcu wsunęła długie, szczupłe palce w jego dłoń. Szok, jakim był dla niego jej ciepły dotyk, omal nie przestonił uczucia ulgi. Gdyby miał więcej zimnej krwi, pewnie zdołałby lepiej wykorzystać tę chwilę. Tymczasem przez parę sekund mógł tylko patrzeć na ich ręce złączone w blasku reflektorów – jej dłoń była miękka i zaskakująco mała w porównaniu z jego własną.

– To jak będzie? – Dziewczyna znów zerknęła na publiczność, którą miała teraz w garści. – Jestem spragniona przygody.

Krzykacz, który nadal stał z nimi na scenie, zarżał ze śmiechu, a widownia znów się rozszemrała. Tym razem jednak to rozbawienie było Harte'owi na rękę.

Unióśł dłoń dziewczyny, jakby przedstawiał ją widzom.

– Ta młoda dama zda się zaraz na moją łaskę. Na łaskę sił otaczającego nas wszechświata... Sił, nad którymi panuję – rzekł

dramatycznie, prowadząc ją ku otwartej skrzyni. – Na mój rozkaz Esta zniknie z tego świata, przeniesie się do zaświatów i pozostanie tam, dopóki nie przywołam jej z powrotem.

Spojrzał na dziewczynę; jej miodowe oczy wciąż się do niego śmiały. Kiedy jednak ścisnął ją delikatnie za rękę, przesyłając swoją moc przez jej gładką skórę, otworzyły się szeroko.

Popatrzyła na ich złączone dłonie i szepnęła jedno słowo. Było to przekleństwo, jakiego większość dobrze wychowanych panien nigdy w życiu nie słyszała, a już tym bardziej nie używała.

Harte ponownie ścisnął jej dłoń, wysyłając do jej palców kolejny impuls energii. Pomógł dziewczynie wejść do szafy, napawając się w duchu jej skonsternowaną miną.

– Miłej podróży – szepnął, tak by publiczność nie słyszała.

Zamykając drzwi i zasuwając zasuwkę, musiał się bardzo skupić, żeby nie spadła mu z twarzy maska wyćwiczonej scenicznej powagi. Przyjemne były te potyczki z nią. Zbyt przyjemne. Ale nie miał dla niej czasu, ani na scenie, ani w życiu. Chwytał narożnik szafy i mocnym pchnięciem wprowadził ją w ruch obrotowy. Kręciła się coraz szybciej, jakby z własnej woli, aż uniosła się w powietrze, najpierw na kilka centymetrów, wreszcie na ćwierć metra. Na widowni zrobiło się cicho.

Harte zatrzymał szafę dramatycznym uniesieniem rąk. Zaraz potem odpadły jednocześnie wszystkie ściany, pozostawiając jedynie gołą stalową ramę. W środku było pusto. Publiczność widziała wyraźnie kurtynę za szafą.

Kilka osób zaczęło nieśmiało bić brawo, lecz na większości twarzy malowało się znudzenie. To wszystko? – zdawały się pytać.

– Może podejrzewają państwo, że posłużyłem się lustrami, że to li tylko złudzenie optyczne? – Wyjął z marynarki mały rewolwer z krótką lufą. W oczach widzów nagle pojawiło się zaciekawienie. –

Czy zechce pan pomóc mi raz jeszcze? – Zaprosił gestem krzykacza i wręczył mu rewolwer oraz jeden nabój. – Czy byłby pan tak miły i naładował broń? – Po czym zwrócił się do publiczności: – Aby dowieść, że to nie jest żadna sztuczka z użyciem luster i że dziewczyna zniknęła naprawdę, oddam strzał z rewolweru – wyjaśnił, wskazując gestem ogromną poduszkę za pustą ramą szafy.

Odnalazł wzrokiem Nibsy'ego i spojrzął mu w oczy. Chłopak miał obojętną minę, jakby w ogóle nie martwił się o bezpieczeństwo dziewczyny.

Odebrawszy od mężczyzny naładowaną broń, Harte wyprostował ramię i wymierzył do celu. Z cicha rozległy się złowieszcze werble.

– Nie! – zawołał kobiecy głos z widowni.

Harte nie zareagował. Naprężył palec i pocisk wystrzelił z lufy, przeleciał przez pustą skrzynię i utkwiał w poduszce.

Tu i ówdzie rozległy się oklaski, lecz większość widzów czekała w milczeniu na dalszy ciąg. Tak jak lubił. Zniknięcie ochotniczki to za mało. Prawdziwą sztuką było przywołanie jej z powrotem.

– Bez obaw. – Donośny głos Harte'a niósł się po sali. – Choć pięknej Esty nie ma już w naszym świecie, sprawię, że do nas wróci. Spójrzcie! – Na jego skinienie ściany szafy uniosły się, podobne do zamykającego się kwiatu, i po chwili skrzynia znów się zakręciła, tym razem wolniej, opadając z powrotem na deski sceny.

Podszedł do niej, obrócił ją po raz ostatni, tak by stanęła drzwiami do publiczności, po czym otworzył teatralnym ruchem.

Na widowni zrobiło się cicho jak makiem zasiał, a po sekundzie ludzie zaczęli wybuchać śmiechem.

Harte zajrzał do środka: szafa była pusta. Dziewczyna nie wróciła.

Zaklął pod nosem, starając się ukryć panikę.

– Panie i panowie – zwrócił się znowu do widowni – pozwólcie, że...

– Szuka mnie pan? – odezwał się znajomy głos.

Harte'owi zrobiło się nagle bardzo gorąco. Tętno huczało mu w skroniach, cała jego kariera przemknęła przed oczami. Widzowie wierzili się w fotelach, wyciągali szyje, wypatrując właścicielki głosu.

– Tu jestem! – zawołała z jednego ze środkowych rzędów.

Ludzie siedzący wokół niej aż podskoczyli z wrażenia. Pojawiła się wśród nich niczym duch. Patrzyli z rozdziawionymi ustami, jak przeciska się do przejścia.

Przez parę chwil publiczność trwała w tak głębokim zdumieniu, że obszerną salę wypełniła ogłuszająca cisza. Nawet Harte zaniemówił. Jak to zrobiła, że usiadła niezauważona pośrodku rzędu? Wpatrywał się w nią osłupiały, nie mogąc uwierzyć, że po raz kolejny zdołała go przechytrzyć, a tymczasem podniósł się aplauz, najpierw cichy, ale z każdą chwilą coraz głośniejszy, aż ludzie zaczęli wstawać z miejsc, gwizdać i domagać się kolejnych cudów.

Kiedy Harte oprzytomniał, dziewczyna już wychodziła. Posłała mu jeszcze buziaka i pomachała z końca sali, po czym zniknęła w drzwiach prowadzących do holu. Harte spojrział w stronę Nibsę: siedział w trakcie owacji na stojąco. Uśmiechając się z satysfakcją, pożegnał się gestem i zaczął przeciskać śladem dziewczyny przez rozentuzjasmowany tłum.

## PAN ZAŚWIATÓW

**N**ogi same niosły Estę na zewnątrz – jak najdalej od teatru i Harte’a Darrigana. Prawie nie zauważyła, że nad miastem zapadła już noc; w ogóle nie czuła zimnego powietrza. Jedyne, na czym była w stanie się skupić, to szok po tym, jak zamiast w szafie na scenie znalazła się na widowni.

Przedzierała się przez tłum zgromadzony na chodniku przed kasami teatru, nie mówiąc „przepraszam” ani nie zwalniając kroku, nawet gdy wpadła na rosnącego mężczyznę, który pomagał wysiąść kobiecie z powozu. Musiała stamtąd uciec.

Musiała zrozumieć, co tam się, do cholery, wydarzyło.

Pamiętała, jak weszła do szafy, pamiętała gorące mrowienie jego magii na dłoni. Pamiętała, że do niej mrugnął – nie zapowiadało to niczego dobrego – zanim ją zamknął. Ale później...

Nic.

Absolutnie nic, do czasu, aż ujrzała Harte’a Darrigana z perspektywy widowni. Do czasu, aż wyrwał ją ze stuporu głośny śmiech publiki na widok pustej szafy.

Nie wiedziała, skąd się wzięła pośrodku widowni – i to na dodatek w samym środku rzędu – ale mogła się domyślać. Sądząc po tym, jaki był zdenerwowany, kiedy okazało się, że jest sam na scenie, Harte raczej też nie przewidział takiego finału. Wszystko wskazywało na to, że użyła swojej magii, by uciec niepostrzeżenie między widzów. Sęk w tym, że niczego takiego nie pamiętała.



Od momentu, gdy Nibsy wymówił przy niej imię i nazwisko Harte'a Darrigana, wiedziała, że idzie na spotkanie z człowiekiem, którego ma powstrzymać – magiem. Kiedy pojawił się na scenie, od razu rozpoznała w nim chłopaka ze Słomianego Targu. Trochę ją to speszyło, ale już po kilku minutach przedstawienia jej niepokój się rozwiął, a nawet odczuła ulgę. Oglądając ten kiczowaty teatr jarmarcznej magii, nie mogła uwierzyć, że to jest ów mag. Pomieszanie mu szyków to będzie bułka z masłem.

Dopiero gdy, ku swojemu ogromnemu zdumieniu, niewiadomym sposobem znalazła się na widowni, uzmysłowiła sobie, że dała się zwieść pozorom. Że mag będzie groźnym przeciwnikiem, którego nie wolno jej zlekceważyć.

Na szczęście w sekundę doszła do siebie i przejęła inicjatywę. Twarz Darrigana zniekształciło zdziwienie. Wyglądał tak bezbrinnie, prawie żałowała, że swoim zniknięciem wystawiła go na pośmiewisko. Prawie.

Potem jednak jego oblicze przybrało inny wyraz i Esta wiedziała, że musi uciekać – i to prędko.

– Esta!

Ledwie usłyszała swoje imię, brnąc w szaleńczym pośpiechu przez tłum, jakby próbując wyprzedzić własny strach. Mag musiał albo wymazać z jej pamięci wspomnienie tamtej chwili, albo jakoś inaczej zmanipulować jej umysł. Tak, to była niewątpliwie magia, nie żadne tanie sztuczki, z jakich składała się reszta jego numerów. Ale na czym polegał jego dar i jaki miał zasięg? Czy wciąż mógł na nią wpływać – kontrolować ją?

Przeszył ją dreszcz i nie miało to żadnego związku z temperaturą na dworze. Profesor Lachlan liczył, że uda jej się powstrzymać maga, tymczasem on już miał nad nią przewagę. Zmusił ją do ucieczki.

Esta stanęła zniechęcona, tak że idący za nią przechodnie prawie na siebie powpadali. Nie. Już więcej nie pozwoli mu się spłoszyć. Tak być nie może.

Odwróciła się, szukając znaku z nazwą ulicy, lecz ujrzała nad sobą, jakby wywołała go myślą, maga.

Nienaturalnie duży Harte Darrigan spoglądał na nią szarymi oczyma z ogromnego billboardu, który zakrywał znaczną część teatru.

– Esta! Czekaj! – Nibs w końcu ją dogonił. Ciężko dyszał, oczy mu świeciły. Chwyił ją za ramię. – To było doskonałe. Sam bym tego lepiej nie zaplanował. Jak to zrobiłaś?

– Nie wiem – wymamrotała, wyrywając mu się. Była coraz bardziej świadoma zimna, które przenikało przez aksamit jej sukienki. Potarła sobie ramiona, by się rozgrzać.

Nibs wręczył jej pelerynę, którą zostawiła w teatrze.

– Nie wiesz? – spytał zdziwiony.

Kręcąc przecząco głową, narzuciła pelerynę, ale niewiele to dało.

– Nie pamiętam, jak się wydostałam z tej szafy ani jak wylądowałam na widowni.

– Ciekawe. – Nibs spojrział na nią znad okularów.

– Mogłeś mnie ostrzec, do czego jest zdolny – powiedziała z wyraźnym wyrzutem.

Jej złość ani na moment nie pozbawiła go dobrego samopoczucia.

– Uznałem, że lepiej będzie, jeśli pójdziesz tam bez konkretnego nastawienia. Zresztą świetnie to rozegrałaś. Naprawdę zbiłaś go z tropu; mnie to się ani razu nie udało – podkreślił z uznaniem w głosie. – Dolph będzie zadowolony.

Jakoś jej to nie podbudowało. Nie mogło w tej chwili.

– Chciałem się przekonać, na co cię stać – mówił dalej Nibs. – Poza tym ani przez chwilę nie groziło ci prawdziwe

niebezpieczeństwo. Usiłowałem tylko zdobyć jego uwagę. – Spojrzenie oczu za grubymi szklami było pełne satysfakcji. – I to ci się udało. Dolph dobrze zrobił, że cię zatrzymał.

Spiorunowała go wzrokiem.

– Niby co to ma znaczyć?

– Dokładnie tyle i nic więcej. Mądrze postąpił, nie oddając cię Coreyowi. Jesteś pierwszorzędną złodziejką... ale to nie wszystko, prawda? – Przyglądał się jej spod zmrużonych powiek.

– Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać – odparła wyzywająco, patrząc mu w oczy. – Dajcie mi jakieś inne zadanie niż obrabianie przechodniów z portfeli.

Przez długą chwilę studiował uważnie jej twarz i Esta prawie słyszała kalkulacje, których dokonywał w myślach.

– Niewykluczone – odparł w końcu.

Szli jakiś czas w milczeniu, dopóki nie złapali tramwaju jadącego we właściwym kierunku. Esta mogłaby jednak przysiąc, że bez przerwy czuje na sobie podążające za nią spojrzenie maga.

# STARZY ZNAJOMI

**H**arte ledwie słyszał brawa. Ukłonił się prędko, nie bawiąc się w swoje zwyczajowe teatralne gesty. Wciąż był roztrzęsiony i pełen adrenaliny po tym, jak ujrzał dziewczynę – Estę, tak się przedstawiła – w głębi sali. W głowie już kłębiło mu się od pomysłów. Musiał ją odnaleźć. Musiał się dowiedzieć, jak to zrobiła.

Przecisnął się obok Shorty’ego, który krzyczał, żeby wracał na scenę dokończyć występ. Zamierzał tylko wskoczyć do garderoby po klucze i płaszcz, ale kiedy otworzył drzwi, okazało się, że ma towarzystwo.

– John – powiedział, ukrywając zaskoczenie na widok Johna Torrio, prawej ręki Paula Kelly’ego. Torrio miał około dziewiętnastu lat, a więc był niewiele starszy od Harte’a. Podobnie jak on miał śniadą cerę i surowy wygląd, ale brakowało mu sznytu i ogłady jego szefa, a dawniej również szefa Harte’a, przywódcy gangu z Five Points.

Pat Riley, w pewnych kręgach lepiej znany jako Brzytwa, oglądał parę kajdanek zwisających z lustra. Harte od miesiący – odkąd Dolph opowiedział mu o Księdze – unikał Kelly’ego i jego ferajny, a niezapowiedziana wizyta tych dwóch mogła oznaczać tylko jedno: ich szef stracił cierpliwość.

Z głębin swojego zakłopotania wydobył miły i, taką miał nadzieję, pewny siebie uśmiech.

– Panowie, czemu zawdzięczam tę przyjemność?

– Kelly nas przysłał – oznajmił Torrio, prostując ostre klapy marynarki. – Ale na pewno sam się domyśliłeś, biorąc pod uwagę to, jak nas unikasz. Szef znów potrzebuje twoich usług.

– Wycofałem się z tej gry – odparł Harte, łypiąc podejrzliwie w stronę Rileya. – Kelly to wie. Ostatni raz miał być ostatni. Umówiliśmy się.

Riley upuścił kajdanki – upadły z brzękiem na stół – i spojrzał Harte’owi prosto w oczy.

– Umowa się zmieniła.

Jak zwykle, pomyślał Harte, powstrzymując się, żeby nie krzyknąć z bezsilności.

John Torrio rozsiadł się wygodnie w fotelu przed lustrem; jego oczy emanowały leniwą pewnością człowieka, który wykonuje wolę Paula Kelly’ego.

– Dobrze wiesz, Darrigan, że Kelly wszędzie ma swoich obserwatorów. Naprawdę myślałeś, że możesz się zadawać z ludźmi J.P. Morgana i nikt się nie dowie?

– Przyszlście do mnie, bo napiłem się whisky z Jackiem Grew?

– I z synem Morgana.

– Nie znam syna Morgana. A on nie chce znać mnie. – Harte zerknął na swój płaszcz, wiszący nad ramieniem Torria. Niepotrzebnie po niego wrócił. Gdyby od razu wyszedł za dziewczyną, nie tylko by ją dogonił, ale jeszcze uniknął spotkania z tymi dwoma.

Choć z drugiej strony może jednak dobrze zrobił, pozwalając jej uciec. Wiązało ją coś z Nibsym, a więc także z Dolphem Saundersem. Taka dodatkowa komplikacja była ostatnią rzeczą, na jakiej mu zależało, zwłaszcza teraz, gdy naszli go ludzie Kelly’ego.

Chociaż ten numer z przeniesieniem się na widownię w ułamku sekundy, czyli czasie, jakiego potrzebowałyby na to każda inna osoba... Publiczność oszalała. Gdyby umiał to powtórzyć, długo nie musiałby się martwić o wpływy z biletów. Nawet jeśli straciła głowę dla Nibsy'ego Lorcana, i tak chciał wiedzieć, jak to zrobiła. Najpierw jednak musiał się pozbyć natrętów.

– Ale Jacka znasz? – drążył Brzytwa.

Torrio pokiwał głową.

– Szefowi to wystarczy.

– Jack to tylko wielbiciel mojej sztuki – odparował z łatwością Harte, gdyż było w tym dużo prawdy. – Myślał, że go nauczę wyciągać monety z ucha. Że stanie się dzięki temu bogaty jak stryj.

Torrio prychnął lekko rozbawiony.

– Nie wątpię. Ale tak jak powiedziałem, twoja nowa znajomość zainteresowała pana Kelly'ego. I to bardzo.

Harte ostentacyjnie rozwinął podkasane rękawy, ani przez chwilę jednak nie tracąc obu mężczyzn z pola widzenia.

– Spotykam mnóstwo ludzi – rzekł. – Nie wiedziałem, że muszę za każdym razem pytać o zgodę Kelly'ego.

– Uważaj na słowa, Darrigan – odwarknął Brzytwa Riley. – Pan Kelly kazał nam z tobą porozmawiać. Nie mówił, że mamy być mili.

Harte zignorował go, skupiając się na Johnie Torrio.

– Dlaczego Jack Grew miałby interesować Kelly'ego?

– Znasz szefa – odparł tamten ze wzruszeniem ramion. – Koneksji nigdy za wiele. A Jack Grew to nie byle kto.

Harte nie krył zaskoczenia.

– Jack jest nieudacznikiem – odrzekł zgodnie z prawdą. – Z tego, co wiem, o mało nie ożenił się w Grecji z córką rybaka, bo ma mózg nie tam, gdzie trzeba. Ten chłopak nie odróżnia dupy od pachy, dawno by już zginął bez tatusia, wszyscy w rodzinie o tym wiedzą.

Gdyby Kelly próbował go zwerbować, ludzie Morgana od razu by się zorientowali.

– Człowieku małej wiary. – Torrio westchnął przeciągle, wygrzebując bród spod paznokcia. Kiedy podniósł wzrok, ich spojrzenia się skrzyżowały. – Naprawdę myślisz, że pan Kelly nie wie, co robi?

– Kelly chce, żebyś popracował nad Jackiem Grew – wyjaśnił Brzytwa.

– Popracował? – Harte poczuł zimny skurcz w kiszkiach.

– Wiesz, o co mu chodzi – stwierdził Torrio, podnosząc kapelusz ze stolika przed lustrem.

Używać daru w stosunku do szemranych polityków z Tammany albo chłopaków z dzielnicy – to jedno, ale wchodzić w konflikt z Zakonem Ortus Aurea? Ryzyko było zbyt wielkie, w przeciwnym razie Harte dawno sam by to zrobił. Korzystając z magii, mógłby o wiele łatwiej owinąć sobie Jacka wokół palca. Gdyby jednak Zakon się o tym dowiedział, to byłby koniec. Albo coś jeszcze gorszego.

– Nie mam żadnego wpływu na Jacka Grew – odparł ostrożnie.

– Ja słyszałem co innego. Podobno masz talent do trudnych ludzi... – Usta Torria wykrzywiły się w czymś na kształt uśmiechu. – Pan Kelly chce, żebyś mu go przedstawił.

– Nie rozumiem dlaczego.

– To nie twoja sprawa, ale powiedzmy, że chodzą plotki o planowanym wkrótce ważnym zebraniu Zakonu. Mówi się, że mają tam być wszyscy wpływowi ludzie tego miasta. Kelly nie zamierza wiecznie tkwić w slumsach, Darrigan. Chce dostać zaproszenie na to zebranie. Zaproszenie do Zakonu. I wierzy, że możesz to załatwić... W końcu masz już doświadczenie.

– Jack Grew i jemu podobni to nie są ludzie z naszego świata – odparł Harte, wzruszając ramionami. – Bardzo im była nie w smak moja obecność i...

– Na pewno coś wykombinujesz – przerwał mu Torrio i klepnął go niezbyt delikatnie w policzek.

– A jeśli nie chcę kombinować? – spytał Harte.

– Wiesz, że Kelly potrafi być bardzo przekonujący. Niedobrze by było, gdyby wyszedł na jaw któryś z twoich sekrecików, co? Człowiek nigdy nie wie, co mu się przytrafi.

Paul Kelly wiedział o Harcie Darriganie wiele rzeczy, których nie wiedzieli inni, a które mogłyby go zrujnować, gdyby ujrzały światło dzienne.

– Rozumiem – odparł powoli Harte.

– Wiedziałem, że zrozumiesz – rzekł Torrio. Brzytwa Riley siedział za nim z kamienną twarzą.

– Potrzebuję czasu na zastanowienie. Muszę obmyślić plan.

– Pan Kelly spodziewał się takiej odpowiedzi. Wierzy głęboko, że dokonasz właściwego wyboru. Ja tam nie jestem taki pewien. Myślę, że możesz potrzebować dodatkowej zachęty. – Torrio wzruszył ramionami. – I służę pomocą.

– To była bardzo pouczająca rozmowa, chłopcy. – Harte wyciągnął rękę przed siebie w rozpaczliwej próbie zapanowania nad sytuacją. – Przekażcie Kelly’emu moje uszanowanie.

Torrio spojrział na jego wyciągniętą rękę, ale swojej nie podał.

– Jesteś niezłym aktorem, Darrigan, ale masz coraz mniej czasu.

Ruchem głowy wskazał drzwi i wyszedł pierwszy. Brzytwa na odchodnym rzucił Harte’owi spojrzenie, które mówiło, że wcale nie będzie smutny, jeśli Harte nawali, po czym ruszył śladem Torria i zamknął za sobą drzwi.



Harte zasunął rygiel i usiadł ciężko przed lustrem. Fotel był jeszcze ciepły po tym, jak siedział w nim Torrio. Paul Kelly członkiem Zakonu? Harte nie potrafił sobie tego wyobrazić. Lecz gdyby to się ziściło... Aż się wzdrygnął.

Wciąż dobrze pamiętał swoje pierwsze zetknięcie z Paulem Kellym sprzed pięciu, może sześciu lat. Jego wtedy dopiero co wziął pod swoje skrzydła Dolph Saunders i Harte czuł się młodym bogiem. Kiedy więc dowiedział się, że jego matka wróciła do miasta – ktoś ją widział w jednym z burdeli Kelly’ego – nie prosił o pomoc Dolpha, tylko sam poszedł jej szukać.

Wcześniej przeklął ją, że go porzuciła, lecz kiedy usłyszał, co się z nią stało, zrozumiał, do czego doprowadził swoim postępowaniem. Nie mógł jej tam zostawić. Samo wydostanie jej z burdelu było łatwe. Ale oczywiście Paul Kelly o wszystkim się dowiedział i nie zamierzał puścić mu tego płazem.

Wtedy Kelly dopiero wyrabiał sobie nazwisko. Jego gang składał się głównie z młodziutkich, groźnie wyglądających Włochów, na których nie trzeba było nawet krzywo spojrzeć, żeby dostać pięścią w twarz. Dopadli Harte’a, zanim Dolph w ogóle dowiedział się o sprawie. Kelly dostrzegł w nim jednak potencjał i, co było rzadkością, dał mu wybór: Harte mógł zacząć pracować dla gangu z Five Points albo zakończyć swój krótki żywot w rzece Hudson. Harte wybrał to pierwsze. Choć tyle już przeszedł, był zbyt naiwny, by wiedzieć, że fale Hudson mogą okazać się łaskawsze. Kiedy sprawa w końcu dotarła do uszu Dolpha, było za późno, żeby mu pomóc; Harte nosił już wtedy znak Five Points.

Kilka lat później, uzbierawszy dla Kelly’ego wystarczającą liczbę sekretów, dostał od szefa zgodę na opuszczenie gangu. Zmienił nazwisko, ułożył sobie życie od nowa, zaczął występować w teatrach i gabinetach osobliwości Bowery, ucząc się fachu

od starszych kolegów. Myślał, że udało mu się zerwać z tamtym światem, ale nie minęło pół roku, a Kelly poprosił go o „przysługę”. Dla starego znajomego. Raz, drugi, trzeci...

Starał się nie myśleć za dużo o tym, że przysługi, które wyświadczał Kelly’emu, często dziwnie zbiegały się w czasie z pomyślnymi zwrotami w karierze teatralnej. Powtarzał sobie, że to własnym umiejętnościom, a nie naciskom Kelly’ego zawdzięcza pierwszy angaż na północ od Houston Street albo pierwszy występ na Broadwayu. Lecz wizyta Torria i Brzytwy unaoczniała przykrą prawdę: Dolph Saunders miał rację, twierdząc, że Kelly trzyma Harte’a na smyczy. Jeśli chciał się raz na zawsze uwolnić od wpływu dawnego szefa, musiał się wydostać z tego przeklętego więzienia o nazwie Nowy Jork.

A żeby tego dokonać, musiał wykraść Księgę, zanim zrobi to ktoś inny.

Podniósł kajdanki, którymi chwilę wcześniej bawił się Brzytwa Riley. Pierwsze, z których się wyswobodził, będąc jeszcze głupim dzieciakiem z Mott Street zatrzymanym za kradzież nadgniętej pomarańczy ze straganu. Otwarcie tych kajdanek i ucieczka z policyjnej karetki wiozącej go do placówki dla chłopców dały mu posmak samodzielnego decydowania o własnym losie. Zachował je, żeby mu przypominały, jak długą przeszedł drogę i jak daleko miał jeszcze do celu.

Pewnie, że Dolph Saunders i Paul Kelly deptali mu po piętach, ale miał coś, czego oni nie mieli, choć wiele by za to dali – przyjaźnie nastawionego człowieka wewnątrz Ortus Aurea. Co wcale nie oznaczało, że namówienie Jacka, by mu zaufał i wprowadził go do Khafre Hall, będzie łatwym zadaniem. Chodziło przecież o Zakon, organizację, która z tropienia Maginów uczyniła

sport. Kajdanki przypominały mu jednak, że już nieraz dawał sobie radę w trudnych sytuacjach.

Odwiesił je z powrotem na haczyk, aby zawsze były w zasięgu wzroku. Całe jego życie było jedną wielką niemożliwą ucieczką. Teraz nadszedł czas na kolejną odsłonę tego spektaklu: ucieczkę z miasta więzienia.

## WYMIANA PIÓR

Esta przez następnych kilka dni bez słowa skargi pracowała na Grubej Linii – i trzymała się z daleka od Harte’a Darrigana. Litery i słowa w wycinku z gazety, który nosiła przy ciele, nie przestały się przesuwac. Przyszłość, a konkretnie skok na skarbiec, który musiał się wydarzyć, wciąż nie była przesądzona. Gryzło ją to i niepokoiło. Jeśli nie dojdzie do skoku, nigdy nie wróci do swoich czasów.

W srodę pracowała na Wall Street; wśród padającego deszczu ze śniegiem oskubywała niczego niepodjezwających bankierów. Przy tak paskudnej pogodzie wyrobienie dziennej normy zajęło jej więcej czasu niż poprzedniego dnia, tym bardziej że starała się w miarę możliwości nie używać magii. Miała świadomość, że w tym mieście magia jest nie tylko narzędziem, ale także balastem, znakiem szczególnym, dzięki któremu nieznanu wróg może ją łatwiej wysledzić.

Mimo deszczu wróciła do ciepłej kuchni Tilly, głodna i wyczerpana, o dość wczesnej porze. Na końcu długiego, ciężkiego stołu siedział Dolph w towarzystwie Violi, Jianyu i Nibsa. W ogóle nie zwrócili na nią uwagi, kiedy weszła, jedynie Tilly na dźwięk otwieranych drzwi oderwała się od swoich zajęć przy zlewozmywaku. Widząc, że to Esta, wytarła ręce w fartuch, który zakrywał jej sukienkę, i podeszła do niej z przykrytym talerzem.

– Wcześniej wróciłaś – zauważyła. Postawiła talerz na końcu blatu i zdjęła płócienną serwetkę, odsłaniając plastry żółtego sera, salami oraz mocno już przebrane winogrona.

Esta oparła się biodrem o blat i wybrała jedno winogrono.

– Na dworze jest strasznie – odparła. – Zrobiłam swoje na dziś, więc wróciłam. Nie chciało mi się wtapiać.

Tilly posłała jej pytające spojrzenie.

– Wtapiać?

– Nic, nic – rzekła Esta, zdając sobie sprawę ze swojego potknięcia.

– Kolejna nowa sukienka? – spytała figlarnie Tilly.

Esta wsadziła do ust winogrono i wzruszyła ramionami.

– Ptaka, który zmienia pióra, trudniej rozpoznać. – Słowa te same przysły jej na język, ale kiedy je wypowiedziała, winogrono nagle straciło całą słodycz. Były to słowa profesora Lachlana. On jej wpoił tę mądrość, a teraz Esta go zawodziła.

W ciepłku bijącym od pieca zdjęła wilgotną pelerynę. Kiwnęła głową w kierunku stołu, przy którym Dolph, Viola, Jianyu i Nibs, nachyleni ku sobie, rozmawiali ściszymi głosami.

– Co tam się dzieje?

Tilly wydeła usta.

– To co zwykle. Wielkie plany – odparła, podsuwając jej kubek mleka.

Dolph uderzył pięścią w stół, a Viola, żywo gestykulując, rzuciła soczystą wiązankę po włosku.

– Chyba nie idzie im zbyt dobrze.

– Chyba nie – potwierdziła Tilly, wracając do brudnych naczyń w zlewie.

Esta sięgnęła po ścierkę, a następnie po jeden z mokrych talerzy, które Tilly odstawiła na blat. Wycierając, łowiła uchem strzępy rozmowy przy stole.

– Co planują? – spytała półgłosem.

Tilly zerknęła w jej stronę kątem oka.

– Coś, co któreś z nich przypląci pewnie życiem – wymamrotała i pokręciła głową z jednoznaczną dezaprobatą.

– To niemożliwe – sarknęła Viola. – Chcesz, żebyśmy weszli do zatłoczonej sali, zgarnęli im wszystko sprzed nosa i wyszli, nie dając się złapać. I jeszcze przy okazji obrobili kieszenie gościom. *Sei pazzo!*

– Już to przerabialiśmy. Jianyu może się tam wkraść niezauważony – zaczął Dolph.

– I co dalej? – spytał ostrożnie Nibs. – Jianyu nie jest złodziejem.

– Wykradanie sekretów idzie mu całkiem dobrze – upierał się Dolph.

– Sekrety nic nie ważą – wtrąciła Viola, podkreślając słowa gestami. – To co innego. Miałby sam wynieść wszystko? Obrobić całą salę członków Zakonu w tym samym czasie, kiedy my ukradniemy eksponaty? To zbyt wiele dla jednej osoby.

– Może nie musimy brać wszystkiego? – zasugerował Jianyu. – Myślę, że wystarczy buchnąć parę rzeczy, na których najbardziej nam zależy.

– Nie! – Dolph znów huknął pięścią w stół. – Nie wystarczy. Trzeba wziąć wszystko, bo wtedy nie domyślą się, dlaczego ich okradziono.

– Co w takim razie proponujesz? – spytała Viola.

– Wyślemy ciebie.

– Pff. Bądź poważny. Nie jestem złodziejką. Chyba nie chodzi o to, żeby ich pozabijać?

Esta podniosła do ust kubek z mlekiem i zerknęła ukradkiem w ich kierunku, lecz prawie się zakrztusiła, napotkawszy spojrzenie Nibs'a.

– A ona? – powiedział Nibs, kiedy się odwracała.

– To znaczy? – rzucił Dolph.

– Esta, nowa złodziejka. To już prawie tydzień, jak pracuje na Dolnym Manhattanie bez wpadki. Wiesz, że jest zdolna. Nawet tobie nie udało się jej powstrzymać. – Wzruszył ramionami. – Może niech ona oskubie gości? Jianyu będzie mógł się skupić na dziełach sztuki.

Dolph obrócił głowę i zmierzył Estę swoim lodowatym wzrokiem. Wpatrywał się przez chwilę z napiętym wyrazem twarzy.

– Nie – rzekł w końcu.

– Trzeba przyznać, że ma zwinne palce – włączył się Jianyu, kierując w jej stronę zagadkowe spojrzenie, które przypomniało Éście, że ma na nią haka.

– Nie – powtórzył Dolph tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Zgadza się – dodała od siebie Viola, łypiąc ku niej groźnie. – Nie ona.

Z jakiegoś powodu to właśnie werdykt Violi dokuczył jej do żywego.

– Dlaczego „nie ona”? – spytała Esta. Zrobiła krok w ich stronę, nie odrywając oczu od Violi. – Potrzebujecie złodzieja, czyli mnie. Kto ci gwizdnął sztylet z kieszeni, tak że nawet nie zauważyłaś?

Oczy Violi zwęziły się w szparki.

– Udało ci się tylko raz – odparowała.

– Bo potem już nie próbowałam.

– Dość – wtrącił Dolph, uprzedzając ripostę Violi.

Esta spojrzała na szefa gangu.

– Wiesz, że bym sobie poradziła.

– Ale nie wiem, czy mogę ci zaufać.

– Jest tylko jeden sposób, aby się przekonać.

Dolph nic nie odpowiedział, utkwiał w niej tylko swoje zimne błękitne oko.

– Jesteście gorsi niż kocury szarpiące się o kubek śmieci – stwierdziła Tilly, podchodząc do stołu z półmiskiem jedzenia. – Esta jest w porządku, Dolph. Ja mam nosa do ludzi. Gdybyś był ze sobą szczerzy, tobyś przyznał, że jej ufasz.

– Skąd miałabyś to wiedzieć – odparł.

– Gdyby było inaczej, już dawno byś się jej pozbył. – Rzuciła mu surowe spojrzenie. – Wykorzystaj to, że ją masz. Może w ten sposób zmniejszysz ryzyko czyjejś śmierci.

– Tilly ma rację – odezwał się Nibs. – Można dziewczynę wykorzystać.

– Ta dziewczyna ma imię – mruknęła Esta.

– Dobrze. – Dolph sięgnął po jeden z herbatników przyniesionych przez Tilly. – Usiądź – zwrócił się do Esty. – Ale niech tylko przyjdzie ci do głowy, żeby z nami zdrzeć...

– Zginiesz, zanim się obejrzysz – dokończyła za niego Viola.

Milczący Jianyu nie dorzucił groźby od siebie, ale jego oczy patrzyły chłodno i bystro.

Na szczęście nie zamierzała z nimi zadzierać. Przynajmniej na razie.



## ESENCJA MAGII

Podwoje Stregi były już od wielu godzin zamknięte dla klientów, gdy Dolph w końcu wrócił do swojego pustego mieszkania. Kiedyś wypełniało je życie i ciepło, teraz panowała w nim cisza, którą traktował jako swoją pokutę. Usadził się przy stole obok kominka i zaczął przeglądać plany pięter Metropolitana, wycinki prasowe na temat wystawy oraz najnowszy meldunek Jianyu.

Jakiś czas później z samotnych rozmyślań wyrwało go nagłe pukanie do drzwi. Spojrzał na zegar: było już grubo po północy, o tej porze nikt nie ośmieliłby się nachodzić go bez ważnego powodu.

– Otwarte – warknął, stając przed stołem, by zasłonić papiery.

Weszła Viola. Dolph trochę się odprężył, usiadł z powrotem i wskazał, żeby zamknęła za sobą drzwi.

Bił od niej niepokój.

– O co chodzi? – spytał, gestem proponując jej puste krzesło naprzeciwko swojego.

Odmówiła ruchem głowy.

– Ja tylko na chwilę.

Wciąż jednak nie mówiła, co ją sprowadza.

– To był długi dzień – rzekł Dolph. – Jeśli masz mi coś do powiedzenia, słucham.

Opuściła wzrok na papiery na stole, ale zaraz podniosła oczy.

– Naprawdę uważasz, że to rozsądne, żeby ta dziewczyna wzięła w tym udział? – wyrzuciła z siebie wreszcie.

Dolph odchylił się na oparcie krzesła.

– Taki jest chyba konsensus – odparł.

Twarz Violi wykrzywił grymas.

– Nie ufam jej.

– Ty nikomu nie ufasz, Vi. Może co najwyżej Tilly, ale to... – Wzruszył ramionami w geście znużenia. Po co miał mówić o tym głośno, skoro sama Viola nie chciała?

Nie żeby go dziwiła jej ostrożność. Czyż nie zaufała swojej rodzinie? Wychowana na sumienną córkę, robiła wszystko, czego od niej żądano – stała się bronią swojego brata, gdy ten zbudował sobie pozycję i narobił wrogów. A kiedy doszły ich słuchy, że Viola zbyt mocno zżyła się z jedną z nauczycielek ze szkoły wieczorowej, postarali się, aby kobieta zniknęła, po czym próbowali sprzedać Violę temu, kto da najwięcej. Oczywiście dla jej własnego dobra.

Zważywszy na jej wiek i pochodzenie, wiele zaryzykowała, opuszczając dom, a potem chroniąc się pod skrzydła Dolpha. Nie żeby sama mu to wszystko opowiedziała; aż tak mu nie ufała. Dowiedział się swoimi sposobami.

Nigdy jednak nie zapomni dnia, w którym Viola po raz pierwszy zjawiała się w Stredze, ze strupem na rozciętej wardze i z fioletowym jak tęczęwka siniakiem wokół lewego oka. Wkroczyła do baru wyprostowana, z wysoko uniesioną brodą, i obiecała mu, że będzie na każde jego polecenie, jeżeli on nie pozwoli nikomu zawlec jej z powrotem do domu. Bo jeśli jej bliscy spróbują, chyba ich zabije, a nie wie, czy umiałyby później z tym żyć.

Od ponad trzech lat Viola dotrzymywała danego mu słowa i wiedział, że może na niej polegać. Nawet polubił jej krewką naturę, szanował jej nieustępliwość. Dziś jednak nie miał ochoty znosić jej humorów.

Viola przez chwilę milczała, potem usiadła naprzeciw niego. Po krótkim namyśle pochyliła się i zaczęła mówić cicho,

z wahaniem:

– Wiesz, moglibyśmy na razie się wstrzymać. Nie ma się co spieszyć. Albo możemy zrobić tak, jak mówi Jianyu, wynieść tylko dzieła sztuki. To by wystarczyło, żeby ośmieszyć Morgana. Nie musimy się zdawać na zieloną dziewczynę, której prawie nie znamy.

W każdym innych okolicznościach uznałby słuszność jej argumentu. Zazwyczaj przyglądał się ludziom długimi miesiącami, zanim w ogóle zaczął myśleć o włączeniu kogoś do grona zaufanych współpracowników. Lecz tym razem...

– Nie możemy czekać – oznajmił. Zbyt długo już szukał odpowiedzi na dręczące go pytania i wciąż brakowało mu ważnego elementu tej układanki.

Przesunął w jej stronę kartkę z listą nazwisk.

– Co to?

– Kolejni zaginieni.

Viola przyjrzała się wykazowi. Mrużąc oczy, poruszała bezgłośnie ustami, próbując odczytać nazwiska.

– Ludzie zawsze znik... – urwała w pół słowa i podniosła wzrok. – Krzysztof Zeranski?

Dolph pokiwał twierdząco głową. To, że miasto wchłaniało słabych, nie było niczym nowym, ale Magini o silnym darze, tacy jak Krzysztof, zwykle unikali podobnego losu. Ostatnio jednak można było odnieść wrażenie, że znów, tak jak w ubiegłym roku, zaczęli znikać ci najbardziej utalentowani – i najpotężniejsi.

– W zeszłym tygodniu pomagał przy gaszeniu ognia na Hester Street. Możliwe, że ktoś go przyuważył.

Viola oddała mu listę zaginionych.

– Co to ma wspólnego z robotą w Metropolitanie?

– Zakon coś knuje. Spójrz na tę listę. Krzysztof ma dar związany z wodą. Eidelman w swojej kwiaciarni przy Washington Square hoduje nieprawdopodobne okazy. A Frieda Weber to pierwsza osoba, do której zwracają się ludzie, gdy chcą, żeby w dniu ich ślubu świeciło słońce. Każde z nich można by wziąć za żywiołaka.

Viola pokręciła głową.

– Co nie znaczy, że nimi są. Woda, powietrze, ziemia – każdy z tych elementów wchodzi w skład pozostałych. Wzywać żywioły to wzywać samą esencję magii.

– Ja to wiem i ty to wiesz. Niech mnie, każdy Magin wysysa tę wiedzę z mlekiem matki, ale Zakon i tym podobni – ludzie, którzy nigdy nie słyszeli wołania otaczającego ich świata – wmawiają sobie, że można odseparować części składowe magii, aby uczynić ją łatwiejszą do okiełznania. Weźmy samą Krawędź – jak gdyby dało się oddzielić dar od Magina, nie uszkadzając jednego i drugiego! To niemożliwe. Żaden Magin po czymś takim nigdy nie odzyska pełni sił, a kiedy jeden z nas pada ofiarą Krawędzi, ogół magii ulega osłabieniu. Może się mylę, może doszukuję się prawidłowości tam, gdzie ich nie ma, ale prawdę mówiąc, nie sędzę. To już raz się wydarzyło, kiedy straciliśmy Leenę. Ta lista wskazuje, że czeka nas powtórka. Nie mogę tego ignorować, tak jak nie mogę zapomnieć, że każdy dzień zwłoki przybliża nas do konklawe. Oni coś planują, coś większego niż wszystko, co widzieliśmy do tej pory, i mamy coraz mniej czasu, żeby ich przejrzeć. Potrzebujemy Ars Arcana.

– Ty znowu o tej księdze? – spytała wyraźnie zirytowana.

– Tak.

– Naprawdę myślisz, że tyle może zależeć od zwykłej książki?

– Leena nie oddałaby życia dla z w y k ł e j książki. Musiała sobie zdawać sprawę z jej znaczenia. Ufałem jej, kiedy żyła, i zaufam również w tej sprawie. Jestem przekonany, że Zakon jest

w posiadaniu Ars Arcana i że potrzebujemy tej książki, żeby ich pokonać.

W fioletowych oczach Violi wciąż malowało się powątpiewanie.

– Gdybyśmy byli naprawdę odważni, stanęlibyśmy do walki z Zakonem, nie przejmując się jakąś głupią księgą. Jakie miałiby z nami szanse? *Conigli*, oto kim jesteśmy, skoro się ich boimy.

Dolph pokręcił głową.

– Może dawniej to była prawda, ale dziś? Magia umiera, i to już od jakiegoś czasu. Z dala od ojczyzn każde pokolenie zapomina trochę więcej. Sama to przecież widziałaś, nie mam racji? Każde pokolenie jest trochę słabsze od poprzedniego. Może sto albo nawet pięćdziesiąt lat temu miałibyśmy szanse, ale dzisiaj nie zaryzykowałbym powstania. Chyba nikt, kto ma choć trochę oleju w głowie, by nie zaryzykował.

– W takim razie poczekajmy, aż będziemy gotowi. Budujmy naszą siłę – przekonywała. – Możemy stopniowo nadszarpywać potęgę Zakonu, aż będą zbyt słabi, żeby się obronić.

– Nie rozumiesz... – Pochylił się lekko do przodu. – Mnie chodzi o coś więcej niż tylko zwycięstwo nad Zakonem. Jeżeli moje przecucie jest trafne, Ars Arcana zawiera najgłębsze tajemnice magii.

– Ale przecież my je znamy. – Popukała się w pierś. – Mamy je we krwi.

– Owszem, ale zapomnieliśmy o nich. Moglibyśmy być dużo potężniejsi. Zakon już nigdy nie zdołałby powstrzymać żadnego Magina przed wypełnieniem swojego przeznaczenia. Moglibyśmy uczynić ten kraj bezpiecznym schronieniem dla naszego rodzaju. – Widząc, że wciąż jej nie przekonał, dodał: – Tu nie chodzi tylko o mnie i mój żal po tym, jak Zakon zabrał mi Leenę.

– A jaki to wszystko ma związek z muzeum? Księga jest gdzie indziej.

– Na wystawie Morgana będą przedmioty, którym chcę się przyjrzeć. – Przesunął po blacie program wystawy. Jianyu zdołał wykraść jeden egzemplarz z drukarni, w której go powielano, dzięki czemu Dolph wiedział dokładnie, co znajduje się w kolekcji Morgana. Wiedział też dokładnie, czego potrzebuje. – Nie wystarczy dostać się do Khafre Hall. Samo Misterium będzie chronione przez coś więcej niż mocne drzwi. Spodziewam się czegoś w rodzaju tego, w czym zamknęli Leenę, zanim ją zabili; czegoś, co zrani każdego Magina, który się zbliży. Będziemy musieli się przez to jakoś przedrzeć – rzekł, odbierając od niej program i wskazując na opis jednego z eksponatów. – Myślę, że to może nam się przydać.

Przeczytała z miną pełną powątpiewania.

– Morgan nie wystawiłby na pokaz czegoś tak niebezpiecznego. Tak ważnego.

– Chyba że nie zdaje sobie sprawy, co to jest – zauważył Dolph.

– Ale nie wiesz tego na pewno.

Oczywiście, że nie miał pewności. Ale przecież nie mógł zwyczajnie wejść do muzeum i samemu obejrzeć eksponat, nie wzbudzając podejrzeń.

– Wiem wystarczająco dużo. A Nibs jest optymistą.

Viola zmrużyła oczy.

– Nie – powiedziała. – Musi być coś jeszcze. Czegoś nam nie mówisz.

– Jeżeli czegoś ci nie mówię, to znaczy, że to nie twoja sprawa – odparł Dolph tonem, w którym przebijało zniecierpliwienie.

Ale Viola jakby zignorowała ukrytą w jego słowach przestrozę.

– Kiedyś mi ufałeś.

Westchnął poirytowany.

– Nadal ci ufam, Vi.

– Masz przed nami sekrety. – Pokręciła głową. – To znaczy, zawsze jakieś miałeś, ale teraz to coś więcej. Jeśli nie będziesz ostrożny, wszystkich nas pozabijasz.

– Czy mam rozumieć, że się wycofujesz? – spytał z napięciem w głosie.

Przyglądała mu się wzrokiem ostrym jak noże pochowane w kieszeniach jej sukni. Zegar tykaniem odmierzał upływające sekundy, a każda zdawała się ich przybliżać do upadku całego przedsięwzięcia.

Leena potrafiłaby uspokoić Violę. A jemu podpowiedzieć, czy plan nie jest zbyt ryzykowny. Ale czy posłuchałby jej?

– Czy mam rozumieć, że dajesz mi wybór? – odpowiedziała pytaniem na pytanie, nie odrywając oczu od jego twarzy.

– Zawsze masz wybór – odparł ze spokojem. – Ale kiedy przyrzekłaś mi lojalność i dałaś mi się naznaczyć, wiedziałaś, co się z tym wiąże.

Na jej twarzy nie poruszył się ani jeden mięsień.

– Nie musisz mi grozić, Dolph. Dotrzymuję słowa, z piętnem czy bez.

– Wiem – odrzekł. – Jeśli nie chcesz tej roboty w Metropolitanie, nie zamierzam cię zmuszać. Zbyt wiele od niej zależy, żebyśmy brali kogoś, kto się waha. – Zamilkł na chwilę, po czym zniżył głos. – Ale na pewno byś się przydała.

– Dobrze – odparła po długim namyśle. – Ale jeśli ta dziewczyna wytnie numer...

– Nie sądzę.

– Naznaczysz ją wcześniej?

Powinien to zrobić. Każda osoba dopuszczona do tak ważnej misji powinna nosić na skórze jego znak, lecz teraz, gdy jego dar osłabł,

mijało się to z celem. Nie był pewien, co by się stało, gdyby ją naznaczył, będąc w takim stanie. Czy nie obnażyłby swojej słabości.

Viola zmarszczyła czoło.

– Jesteś wobec niej zbyt miękki.

– Nieprawda.

– Podziwiasz ją – upierała się.

– Jest zdolną złodziejką, ale...

– Domyślam się, dlaczego – mówiła dalej Viola, nie słuchając. – Jest uparta i zbyt odważna. Trochę jak Leena. Ale sentyment przesłania ci fakty. Martwię się, że ufasz jej z niewłaściwych powodów.

– A ja się martwię, że nie lubisz jej z niewłaściwych powodów – odparł cicho.

– A jakie powody są właściwe, Dolph?

Chciał odpowiedzieć, ale zdał sobie sprawę, że sam tego nie wie.



# METROPOLITAN

## *Central Park East*

Esta zerknęła na swoje odbicie w szybie osłaniającej osiemnastowieczną akwarelę. Napotykając wyniosłe spojrzenie sportretowanego na niej mężczyzny w peruce, doznała nagłego i nieprzyjemnego uczucia, jakby przejrzał ją na wylot. Oby tylko nie udało się to dzisiaj nikomu innemu.

Obróciła głowę z lewa do prawa, upewniając się, czy żaden niesforny włos nie wystaje spod jedwabnego fezu, który nosili tego wieczoru wszyscy służący. Ten fez był jej bardzo na rękę. Wzrostem dorównywała większości mężczyzn, a żeby ukryć kobiece krągłości, wystarczyło ciasno się opiąć, lecz bez nakrycia głowy trudno byłoby jej schować włosy i udawać jednego z młodzieńców serwujących napoje. Gdyby nie fez, Viola na pewno by zasugerowała, że trzeba ją ostrzyć.

Jedwabne spodnie i długie tuniki – nawiązujące do tematu wystawy – również bardzo jej odpowiadały. Nareszcie mogła odpocząć od długich sukni, w których chodziła tygodniami. Nie żeby stroje służących – albo którekolwiek dekoracje – miały w sobie cokolwiek autentycznego. Lśniący jedwab połyskujący mnóstwem ozdobnych paciorków nasuwał raczej skojarzenia z rewią w Las Vegas.

We własnej ocenie wciąż wyglądała zbyt kobieco. Nie dało się całkiem ukryć delikatnej cery ani gęstych ciemnych rzęs. Znała się jednak na ludziach i wiedziała, że widzą to, co chcą zobaczyć. O ile w ogóle spoglądali na służbę.

– Hej, ty! – zawołał ktoś z drugiego końca pomieszczenia. – Nie stój tam!

Esta odwróciła się wystraszona i ujrzała idącego w jej stronę barczystego mężczyznę w ciemnym garniturze. Był to jeden z muzealnych strażników. Odeszła od portretu i spuściła oczy.

– Nie masz przypadkiem czegoś do roboty?

– Tak, już idę, proszę pana – wydusiła z siebie głosem niższym od swojego naturalnego. Nie podnosząc głowy, minęła strażnika, starając się nadać swoim krokom zgoła niekobiecą sprężystość.

Spokojnie, powiedziała sobie w duchu. Już niedaleko...

Lecz kiedy przechodziła obok niego, musnęły ją macki niewidzialnej energii. Poczuła delikatne mrowienie na skórze i omal się nie potknęła z wrażenia.

On używa magii, pomyślała.

Nie spodziewała się w muzeum innych Maginów. Morgan należał do Zakonu, jego członkowie mieli się zjawić tłumnie na wernisażu... A jednak znów poczuła iskrę magii.

Odeszła jak najszybciej ze spuszczonym wzrokiem, ale odprężyła się dopiero po wyjściu z galerii w cichą pustkę szerokiego korytarza z mnóstwem rzeźb.

Zaklęła pod nosem i puściła się truchtem przed siebie. Skręciła za róg i zbiegła po schodach, przeskakując po dwa stopnie. Na dole weszła do większej galerii rzeźby.

Kiedy ją pospiesznie przemierzała, zza dużej urny wyłonił się cień.

– Już wychodzisz?

Esta stanęła jak wryta, serce podskoczyło jej do gardła. Obróciła się i ujrzała Nibsę.

– Co ty tu robisz? – spytała zdziwiona, bo miał czekać na zewnątrz i pomóc im w ucieczce.

– Mógłbym ci zadać to samo pytanie – odparł z chmurą na czole.

– Powinnaś być na górze z resztą służby. Poręczyłem za ciebie.

– Nie próbowałam uciec. Szłam do ciebie.

Patrzył z niedowierzaniem.

– Jest problem ze strażnikami – wyjaśniła. – To Magini.

Zmarszczył brwi nad okrągłymi szkłami okularów.

– Jesteś pewna? – spytał podejrzliwie.

– Oczywiście, że jestem pewna. Umieję wyczuć magię, a ten facet na górze jej używał. – Obejrzała się przez ramię, czy nikt za nią nie przyszedł. – Chyba mi się przyglądał.

Nibs nie wydawał się specjalnie przejęty tą informacją.

– Skoro musiał ci się przyglądać, to chyba jest za słaby, żeby wyczuć twój dar, kiedy go nie używasz.

– Skąd wiesz?

– Bo stoisz przede mną.

Miał rację, ale wcale nie poczuła się przez to lepiej.

– Myślałam, że Morgan jest członkiem Zakonu.

– Należy do Wewnętrzznego Kręgu, to ich najwyższa rada.

– W takim razie nie sądzisz, że Magini to ostatni ludzie, jakich należało się tu spodziewać?

– Ciebie i mnie też nikt się tu nie spodziewa.

– Ale my tu jesteśmy po to, żeby ukraść dzieła sztuki, a nie po to, żeby ich pilnować.

Nibs się zastanowił.

– Może to inna ekipa. – Znów zmarszczył brwi i zapatrzył się półprzytomnie w przestrzeń, jak to miał w zwyczaju, kiedy myślał.

– Ale coś mi nie gra.

– Pracują dla Morgana?

– Albo dla muzeum. Ale biorąc pod uwagę, że Morgan jest w zarządzie, na jedno wychodzi.

– Bez sensu – stwierdziła Esta. – Przecież Zakon nas nienawidzi.

– Tak, ale to nie byłby pierwszy raz, kiedy wykorzystują jednych Maginów przeciwko drugim. W tym mieście nie brakuje zdesperowanych ludzi gotowych prawie na wszystko, nawet na pracę dla Zakonu. Weźmy na przykład Słomiany Targ. Corey wprawdzie jeszcze nie należy do Zakonu, ale zabiega o to. Może i nie jest nie wiadomo jak potężny, ale to Magin, tak samo jak jego ochroniarze. Co z tego, że utrzymuje swoją tożsamość w tajemnicy? Jego ludzie wiedzą, z kim się zadaje, i myślą, że są bezpieczni, bo pracują dla niego. Bez wahania donoszą na innych Maginów, w ogóle się nie przejmują, że tamci nieszczęśnicy trafiają potem w ręce Zakonu.

Esta dopiero teraz w pełni uświadomiła sobie grożące jej niebezpieczeństwo.

– To straszne – wyszeptała.

– Owszem, ale trudno im się dziwić. Corey dobrze płaci. Można by pomyśleć, że Zakonowi wystarczy spychanie nas do najgorszych dzielnic miasta i nastawianie opinii publicznej przeciwko nam, ale nie, to dla nich za mało. Bo wciąż mają jeden słaby punkt: nie wyczuwają magii tak jak my. Ale kiedy napuszczają jednych Maginów na drugich, to rozwiązuje ich problem.

– Nie przewidzieliśmy tego – zauważyła Esta. – Musimy odwołać akcję i pryskać. Natychmiast. Wrócimy, jak wymyślimy inny sposób, żeby się...

Ale Nibs nie słuchał. Nieobecny wzrokiem spoglądał w głąb korytarza, gdzie zaczęli się już pojawiać pierwsi goście. Nagle jakby

podjął decyzję.

– Nie.

– Nie? – Esta otworzyła szeroko oczy.

– Jianyu jest już w środku.

Esta zamarła w bezruchu.

– Zamknęli galerię?

Nibs potwierdził ruchem głowy.

– A sala jest w połowie wypełniona gośćmi Morgana.

– Nie mamy jak go ostrzec – pomyślała na głos. Świadomość opałów, w jakich się znaleźli, przyprawiła ją o skurcz żołądka. – Jak tylko otworzą drzwi, będzie po nim.

Wcześniej na papierze wszystko wydawało się takie proste. W budynku bez kamer i czujników ruchu garstka strażników nie powinna stanowić większego zagrożenia. Morgan miał obejrzeć galerię i eksponaty na krótko przed wernisażem. Ustalili, że Jianyu wślizgnie się do środka razem z nim i poczeka na zamknięcie sali. Nie było w niej okien ani drugich drzwi – żadnej drogi ucieczki oprócz zamkniętego i strzeżonego przejścia do sąsiedniej galerii, w której miało się odbyć przyjęcie.

Punkt ósma Morgan wygłosi przemówienie, a potem drzwi do sali wystawowej zostaną otwarte dla gości. Do tego czasu Jianyu miał ogołocić galerię i ukryć się z łupami. Goście – nowojorska elita władzy oraz korespondenci gazet – jako pierwsi przekonali się, że szumna wielka wystawa Morgana to nic więcej niż kilka pustych ram i gablot. Potem Jianyu musiał jeszcze tylko wymknąć się wśród ogólnego zamieszania. Łatwizna.

Esta miała wykorzystać zamęt spowodowany kradzieżą i oskubać pozostałych gości z klejnotów i gotówki, żeby narobić Morganowi dodatkowego wstydu.

– Musimy go stamtąd wydostać – powiedziała Nibsowi.

Tyle tylko, że Jianyu znajdował się teraz w zamkniętej galerii, na domiar złego odgradzonej tłumem, w którym byli również Magini na usługach wroga, wypatrujący wszelkich oznak magii. Kiedy drzwi się otworzą i wszyscy ujrzą puste ściany, strażnicy prędko dopadną Jianyu maskującego się za pomocą daru. Ustalenie jego związku z gangiem Dolpha będzie tylko kwestią czasu.

– Nawet gdybyśmy mogli go wydostać, nie możemy odwołać akcji – odrzekł Nibs. – Dolph chce, żeby to było dzisiaj.

Musi być jakiś sposób, pomyślała Esta.

– W takim razie będziemy musieli to zrobić bez pomocy magii, a więc trzeba jakoś odwrócić ich uwagę – stwierdziła, obmyślając plan. Próbowwała sobie wyobrazić, co by na jej miejscu zrobił profesor Lachlan. Zawsze ją uczył korzystania z tego, co jest pod ręką. – Najlepsze, co możemy zrobić, to spróbować mylić tropy, żeby nie wpadli na ślad Jianyu i Dolpha. No i będziemy potrzebowali dodatkowego wsparcia, w razie gdyby wszystko poszło nie tak.

– Jaki masz pomysł? – spytał Nibs coraz bardziej zaciekawiony.

– Chyba potrzebujemy Violi – odparła.

Miała nadzieję, że plan, który naprędce skleciła w głowie, zadziała. I że Viola jej nie zabije, kiedy usłyszy, co ma zrobić.

## SPRYTNA ZŁODZIEJKA

Harte szedł przez pustą galerię w kierunku, z którego dobiegały głosy. Znał to muzeum, odwiedzał je niezliczoną ilość razy w dni, kiedy wstęp był wolny, i wpatrywał się w obrazy będące obietnicą innych światów niż ten wąski pas lądu, jego więzienie. Zwykle w takie dni sale były pełne roztrajkotanych kobiet, zainteresowanych raczej komentowaniem ubioru innych zwiedzających niż samymi dziełami sztuki. Dlatego cisza tego wieczoru była istnym darem. Przeobrażała całe to miejsce niby w jego prywatną galerię i mógł sobie wyobrazić – choć przez chwilę – że osiągnął życie, o jakim zawsze marzył.

Zatrzymał się przed pejzażem, dramatycznym widokiem połyskujących rzek i odległych gór z wierzchołkami w chmurach. Takie miejsca istniały. Czyste, otwarte, wolne od miejskiego smrodu, od zaśmieconych rynsztoków i węglowego dymu. Pozostawało mu wierzyć, że kiedyś przekona się o tym na własne oczy. Napawał się jeszcze chwilę tym krzepiącym obrazem, zanim ruszył dalej.

Gwar rozmów narastał, aż wreszcie Harte wszedł do przestronnej galerii, w której wystawiano kilka średniowiecznych ołtarzy. Obecnie służyła ona mniej wzniosłym celom – urządzono tu koktajl dla licznych gości J.P. Morgana. Kelnerzy w jaskrawych tunikach roznosili na tacach kieliszki szampana wśród gości lśniących jedwabiem i szlachetnymi kamieniami.

Harte podał swoje zaproszenie odźwiernemu, który tylko prześlizgnął się po nim wzrokiem, po czym wręczył mu program

i skinął głową, że może wejść. Ledwie jednak znalazł się w środku, od razu poczuł ciepłe mrowienie, nieomylny znak obecności magii. Czyjaś energia pełzała mu badawczo po skórze.

Strażnicy są Maginami, zrozumiał. Był to niespodziewany i niepokojący obrót wydarzeń, mówiąc najogólniej, lecz Harte szedł dalej, nie dając po sobie poznać, że cokolwiek poczuł. Ludzie bez daru rzadko wyczuwali magię, dlatego nie wolno mu było nawet zwolnić kroku. Zamiast tego zwarł się w sobie, spychając własną istotę jak najgłębiej, tłamsząc swoją moc tak szybko, że przeszedł mu po skórze zimny dreszcz.

Strażnicy nie byli jego jedynym zmartwieniem. Do galerii ściągnęła niemal cała towarzyska śmietanka Nowego Jorku: bankierzy z Wall Street, politycy z Tammany oraz wielu spośród milionerów, którzy pobudowali sobie domy przy Madison Avenue albo Piątej Ulicy. Pod ścianą czaiło się kilku znanych reporterów; krótkimi ołóweczkami robili zapiski w notesach wielkości dłoni, obserwując towarzystwo czujnym i byстрым wzrokiem. Harte rozpoznał Sama Watsona, dziennikarza „The Sun”, który zeszłego lata wysmażył artykuł o jego występach. Po tej publikacji sprzedaż biletów poszła w górę, ale Harte wcale nie był zachwycony, bo czuł się jak owad w gablotce.

Nie było mu też w smak, że zawdzięcza cokolwiek facetowi, który poczytywał za swoją misję straszenie na łamach gazet niebezpiecznymi Maginami, mogącymi się ukrywać wśród nowo przybyłych imigrantów. Obecność Watsona na wernisażu to żadna niespodzianka, jednak ostatnią rzeczą, jakiej Harte potrzebował, byłyby aluzje tego pismaka do rodowodu Darrigana – a właściwie jego braku – wygłaszane w obecności Jacka.

Zanim Harte zdążył odwrócić wzrok, Watson przechwycił jego spojrzenie i ruszył ku niemu.



– Harte Darrigan! – zawołał z nieszczerym uśmiechem, wyciągając rękę na powitanie. – Kogo jak kogo, ale ciebie się tutaj nie spodziewałem.

– Ach tak? – Harte podał mu dłoń. W innych okolicznościach z łatwością pozbyłby się dziennikarza, teraz jednak, ze względu na strażników, musiał znieść jego obecność.

– To chyba nie jest towarzystwo, w którym obracasz się na co dzień. – Watson wskazał brodą tłum gości. – A może będziesz nas zabawiał? – dodał z mało przyjaznym uśmiechem.

– Chyba pomyliłeś mnie z jedną z fordanserek, które tak lubisz – odparł Harte z pogodnym czołem, choć musiał się mocno trzymać za rękę, żeby nie przyłożyć durniowi w twarz. – A właśnie, masz pozdrowienia od Evelyn.

– Naprawdę? – odparł Watson nieco zbyt entuzjastycznie, ale kiedy się zorientował, że Harte sobie z niego dworuje, twarz mu pociemniała.

– Co tam słychać w świecie prasy? – spytał Harte, zanim Watson zdążył mu wbić kolejną szpilkę.

Kiedy dziennikarz nawijał o swoim najnowszym wstępniaku, uwagę Harte'a przykuło coś na drugim końcu galerii. Jeden z kelnerów potknął się i, próbując nie upuścić tacy z pustymi kieliszkami, omal nie wpadł na gościa we fraku. Mężczyzna wyciągnął rękę, żeby go podeprzeć, a wtedy kelner szybko zanurkował dłonią do jego kieszeni.

Harte patrzył z ciekawością, jak służący, korzystając z powstałego zamieszania, zwinnym ruchem chowa łup za tuniką.

Nie... Nie służący, ale s ł u ż ą c a.

Harte prawie roześmiał się na głos. W bezkształtnej tunice, z ciemnymi włosami wetkniętymi pod czapkę, dziewczyna całkiem nieźle wtopiła się w służbę. Nikt – włącznie z nim – nie zwracał

uwagi na ludzi krążących z tacami pełnymi drinków i tartinek. Aż do teraz.

– Czy mogę cię przeprosić? – spytał Watsona. Nie czekał jednak, aż ten mu odpowie.

Był już w połowie sali, gdy usłyszał wśród zgietku swoje nazwisko.

– Darrigan! – zawołał ponownie Jack i tym razem Harte nie miał już wątpliwości, czyj to głos.

Jack Grew przeciskał się przez tłum z dłonią uniesioną w geście powitania. Hart zrozumiał, że jeśli podejdzie teraz do dziewczyny, Jack niemal na pewno podąży za nim. Odpowiedział mu więc ruchem głowy i skinął na kelnera z szampanem. Wziąwszy jeden kieliszek dla siebie i drugi dla przyjaciela, wrócił na zatłoczony środek galerii.

– Zuch – powiedział Jack, biorąc od niego szampana.

– Dzięki za zaproszenie. – Harte uniósł kieliszek w milczącym toaście i rozejrzał się za dziewczyną. – To się nazywa przyjęcie.

Jack wychylił szampana do dna, odstawił puste szkło na tacę przechodzącego kelnera i od razu sięgnął po kolejny kieliszek.

– Takie samo jak wszystkie, ale stryj chyba jest zadowolony. Może nawet przez jakiś czas będę miał spokój.

– Trzymam kciuki – odparł Harte, ledwie sącząc alkohol. Znów szukał wzrokiem jakiegoś śladu dziewczyny. Nigdzie jej nie było, ale opanował nerwy i przybrał maskę, którą zawsze nosił w obecności Jacka. – Zdążyłeś już obejrzeć wystawę?

– Tak. – Jackowi zaświeciły się oczy. – Co najmniej jeden eksponat wydał mi się interesujący. Ze zbioru babilońskich pieczęci stryja.

– Pieczęć? – Harte próbował sobie wyobrazić ten przedmiot.

– Mała, walcowata, mniej więcej tej wielkości. – Jack rozchylił kciuk i palec wskazujący na szerokość pięciu centymetrów. –

Zanurza się ją w mokrej glinie albo smaruje atramentem. Stanowiły często rodzaj podpisów, ale stryja bardziej interesują te, których używano jako amuletów. Większość jest z gliny lub kamienia, ale ta, którą oglądałem, była chyba wyrzeźbiona z nieoszlifowanego rubinu. Coś niezwykłego, zważywszy na rozmiar. Ale nie zdążyłem się upewnić, bo stryj mi przerwał. – Jack się skrzywił. – Teraz przez dłuższy czas będzie za szybą.

Harte nie zdołał o nic więcej spytać, gdyż w sali rozbrzmiały werble zakończone nagłym trzaskiem. Rozległo się głośne „aiiiieeee!” i wszyscy naraz spojrzeli w stronę hałasu.

– To chyba początek widowiska. Jedyne jasny punkt tego nudnego wieczoru – wymamrotał Jack. – Podejźmy bliżej?

– Ty przodem – rzekł uprzejmie Harte i podążył za Jackiem przez ścisk ciał ku przestrzeni, na której rozstępujący się tłum zrobił miejsce dla artystów.

Przez łukowato sklepione wejście do galerii wkraczała procesja postaci. Na czele szli dwaj mężczyźni w identycznych bufiastych spodniach jak te noszone przez kelnerów, ale całe ich stroje były bardziej ekstrawaganckie, z mnóstwem haftowań i misternych ozdób na kamizelkach i butach. Nieśli na biodrach szerokie, płaskie bębny, a za nimi podążał inny muzykant, brzdąkając skoczną melodię w molowej tonacji na gruszkowatej gitarze.

W przejściu pojawiła się postać spowita w delikatne jedwabne woale; zrzucała je po kolei, wirując dookoła własnej osi, przesuwając się falistym krokiem w głąb sali, aż dotarła na sam środek. Krągłości jej brzucha i piersi błyskały obnażoną skórą i zaraz chowały się za cienką i zwiewną tkaniną. Wywijając wężowato biodrami, stukała blaszkami na palcach w rytmie bębnow.

– Niech mnie – powiedział wesoło Jack, szturchając Harte'a łokciem, tak że prawie rozlał mu szampana. – Przyznaj, że stary

dobrze zrobił, powierzając mi organizację widowiska. – Wychylił kieliszek do dna i oblizując wargi, przyglądał się tancerce.

Harte wcale mu się nie dziwił. Sam z trudem odrywał od niej wzrok. Ni to naga, ni to ubrana, nęciła widzów, poruszając biodrami w rytmie, który miał w sobie coś bardzo nieprzyzwoitego. Była ucieleśnieniem tajemniczości, a wrażenie to pogłębiała zakrywająca dolną część twarzy siateczka, znad której spoglądały dziwne fioletowe oczy...

Viola?

Harte przyjrzał jej się uważniej. Tak, to była Viola. Najpierw ta dziewczyna, a teraz ona? Wszystko to śmierdziało na kilometr Dolphem Saundersem. Cokolwiek uknuli, Harte nie chciał być w pobliżu, kiedy to się wydarzy.

Ale jak miał przedwcześnie wyjść, nie wzbudzając podejrzeń Jacka?

Viola wciąż tańczyła pośrodku sali. Harte zamierzał się ostrożnie wycofać, korzystając z tego, że Jack jest pochłonięty jej występem, ale kiedy muzyka się zmieniła, Viola opuściła palce z blaszkami i dramatycznym gestem sięgnęła za plecy po dwa cienkie srebrne noże, które zaśniły w jasnym elektrycznym świetle muzeum.

Harte zastygł nieruchomo i patrzył z duszą na ramieniu, jak Viola tańczy z nożami wetkniętymi między palce. Słyszał, co potrafi zrobić z nożem – że trafia do celu z każdej odległości. Ten, kogo dzisiaj sobie upatrzy, nie będzie miał żadnych szans. Chociaż to samo można było powiedzieć o niej. Gdy tylko użyje swojego daru, zostanie natychmiast zdemaskowana.

Bębniarz uderzył zniecacka o brzeg werbla i Viola, zamachnąwszy się, wypuściła nóż. Pofrunął ze świstem, zdjął czapkę z głowy jednego z kelnerów i przygwoździł ją do ściany. Sala wybuchła

szalonym aplauzem. Zachwycony widowiskiem Jack znów szturchnął Harte'a.

Ale temu popisowi umiejętności nie towarzyszył żaden skok energii, nie rozeszła się wokoło fala magicznego ciepła.

Może jej talent do noży to po prostu zręczność i nic więcej, pomyślał Harte, gdy żaden ze strażników nie ruszył w stronę Violi.

Obracała się w tańcu, wszystkie oczy były zwrócone ku niej w nerwowym oczekiwaniu, które Harte widywał przed walkami psów albo pojedynkami na pięści. To było pragnienie oglądania przemocy z bliskiej, ale bezpiecznej odległości, śledzenia śmiercionośnego ostrza bez ryzykowania własnego zdrowia.

Jego takie rzeczy dawno już przestały interesować. Dość się w życiu napatrzył na przemoc i niebezpieczeństwo. Ciekawiło go natomiast, co robi tamta dziewczyna. I nagle ją spostrzegł: jako jedyna, zamiast przyglądać się widowisku, brnęła przez tłum w stronę przejścia do następnej galerii.

A więc o to jej chodzi, pomyślał z nagłym niepokojem.

Viola tańczyła dalej, wiła się przez salę, a teraz porwała do tańca jednego z bardziej znudzonych strażników, zarzucając na niego swój zwiewny szal. Pozostali ochroniarze śmiali się i poklepywali, patrząc, jak tancerka zaciąga ich kolegę na środek. Z dala od drzwi, których miał pilnować.

Odwrócenie uwagi, pomyślał Harte. Podstawa każdej iluzji. Viola była w tym wyjątkowo dobra.

Ziuu! Kolejny nóż przekoziółkował w powietrzu, przyszpilając do ściany rękaw innego strażnika. Jego próby uwolnienia się wywołały ogólny śmiech.

Harte zaczął się zbliżać do zamkniętej galerii, do miejsca, gdzie tyłem do drzwi, trzymając ręce za sobą, stała dziewczyna. I tym

razem nie wyczuwał w powietrzu ani śladu energii, niczego, co by wskazywało na użycie daru.

Sprytna złodziejka. I utalentowana, jeżeli zdoła otworzyć ten zamek bez patrzenia i bez magii. Na szczęście była zbyt skupiona na swoim zadaniu, by go zauważyć. Dopiero gdy stanął obok niej, zamarła w bezruchu.

– Co za spotkanie – powiedział z nachyloną głową, tak by nikt inny nie usłyszał. Tym razem był przygotowany na wrażenie, jakie na nim robiła, na jej talent do rozpraszania jego uwagi w najmniej odpowiedniej chwili.

Oczy jej się rozszerzyły, lecz była to jedyna oznaka zaskoczenia.

– Odejdź – odparła, wciąż gmerając za plecami.

Trudno było nie podziwiać jej charakteru.

– Tu nie wolno używać magii. Zatrudniają Maginów jako strażników.

– Zdaję sobie z tego sprawę – oznajmiła, zerkając mu przelotnie w twarz.

Harte zmarszczył czoło.

– Jeśli robisz to, co mi się zdaje, nie wydobędziesz się stąd bez niej.

– To urocze, że chcesz mnie ratować, ale poradzę sobie. To znaczy, jeśli będziesz tak miły i zostawisz mnie w spokoju.

– Ratować ciebie? – Harte zrobił wielkie oczy. – Myślisz, że po to przyszedłem? – Nachylił się jeszcze bliżej. – Chcę tylko uratować siebie. Jeśli robisz to, co myślę, mogę oberwać rykoszetem.

– W takim razie może lepiej się odsuń.

Harte zniżył głos do szeptu.

– Myślę, że ci ludzie w ciemnych garniturach mogliby chcieć z tobą porozmawiać. Na pewno by ich zainteresowało, dlaczego się tak ubrałaś.

– Z chęcią odpowiedziałabym na wszystkie pytania – odparła niewinnie, trzepocząc powiekami. – Na pewno chętnie posłuchają o pewnym magiku, który jest bardziej magiczny, niż się wszystkim wydaje.

– Nie odważyłabyś się – rzekł z mimowolnym rozbawieniem.

– Czy ja wiem – odparła ze śmiechem w oczach. – Doszłam do wniosku, że trochę cię nienawidzę.

Znów uśmiechnął się wbrew sobie.

– Zapewniam cię, skarbie, że to uczucie jest odwzajemnione.

– Dobrze... a więc, skoro lepiej się teraz rozumiemy, może staniesz sobie gdzie indziej?

Uśmiech spętał mu z twarzy.

– Mo... – urwał w pół słowa, czując ruch powietrza. Srebrny nóż mignął mu przed nosem i Harte odruchowo się cofnął.

Potem zgasło światło.

## ZMIANA PLANÓW

Serce wciąż jej waliło po niespodziewanym spotkaniu z Harte'em Darriganem. Pojawił się znikąd; była tak zajęta wyczuwaniem zamka, wsłuchiwaniem się w drgania wytrycha, że w ogóle nie zauważyła, jak się zbliża.

Całe szczęście, że była Viola. Albo raczej: całe szczęście, że Viola tylko odwróciła jego uwagę, choć pewnie najchętniej ukatrupiłaby ich oboje. Na pewno chciała to zrobić wcześniej, kiedy Esta objaśniała jej swój plan, w którym Viola miała podszyć się pod tancerkę i odwrócić uwagę strażników. Coś jej podpowiadało, że Viola nieprędko zapomina o takich rzeczach.

Teraz jednak nie było czasu, żeby się tym przejmować. Ledwie światło zgasło, Esta błyskawicznie przemknęła do następnej galerii, zostawiając za sobą zdumiony, gwarny tłum.

– Jianyu? – szepnęła. – Jesteś tu?

– A gdzie mam być? – odpowiedział z ciemności. – Co się dzieje? Nie taki był plan.

– Plan się zmienił. – Esta zapaliła zapałkę i zaświeciła krótką świeczkę wyjętą z rękawa. Następnie uniosła tunikę i wydobyła ukryte pod nią ubranie. – Strażnicy są Maginami. Jeśli użyjesz daru, nie wyjdiesz stąd żywy. Masz. – Rzuciła mu leciutkie spodnie i szal. – Rozpuść włosy i włóż to. Tylko szybko.

Jianyu potarł jedwab palcem.

– To kobiecy strój.

– Tak. Pospiesz się. – Wzięła od niego stertę ukradzionych przedmiotów i zaczęła je wpychać pod ubranie. Zwinięte płótno



przewiązała wokół uda, a kilka małych rzeźbionych walców wcisnęła w tkaninę, która opasywała jej piersi.

Jianyu, zamiast się przebrać, rzucił jej ponure spojrzenie.

– Mam się przebrać za k o b i e t ę?

– Z grubsza rzecz biorąc, o to w tym chodzi – odparła, motając mniejsze płótno wokół kostki na drugiej nodze i unieruchamiając je podwiązką.

– Nie – rzekł Jianyu, rzucając szafirowy jedwab na stertę u swoich stóp.

Esta spojrzała mu wściekle w oczy.

– Mamy pewnie jakieś dwie minuty, zanim włączą światło. To znaczy, że mamy mniej niż dwie minuty, żeby cię stąd wydostać, zanim to będzie niemożliwe. Za półtorej minuty zamierzam być po drugiej stronie tych drzwi, w drodze do powozu, który czeka na tyłach, a ty zostaniesz sam. Możesz schować do kieszeni swoją zranioną męską dumę i włożyć na siebie te ciuchy albo samemu bronić się przed Zakonem.

Jianyu przez chwilę milczał jak głaz, w końcu jednak zaczął rozplatać warkocz, choć nie bez morderczego spojrzenia w oczach. Wyglądał, jakby chciał kogoś zabić – i pewnie byłby do tego zdolny, pomyślała Esta. Nie dyskutował jednak, tylko prędko się ubrał, przesłaniając głowę i twarz szalem z cienkiej siateczki. Trudno powiedzieć, żeby dobrze maskowała jego męski wygląd. Gdyby ktoś mu się uważnie przyjrzał, poznałby, że to chłopak w kobiecym przebraniu.

Teraz nie było jednak innego wyjścia. Esta mogła mieć tylko nadzieję, że ludzie zobaczą to, czego się spodziewają – albo że w ogóle na niego nie spojrzą.

– Bardzo ładnie – docięła mu, chowając za pas ostatni przedmiot.

– Gotowy?

Posłał jej lodowate spojrzenie.

– Może rozluźnij ramiona? – zasugerowała. – Jeśli chcesz się stąd wydostać, musisz się przynajmniej trochę postarać.

– Staram się – odparował, jeszcze bardziej usztywniając plecy.

Mamy przerąbane, pomyślała.

– To postaraj się bardziej – powiedziała, poprawiając mu szal, tak by zakryć groźnie zmarszczone brwi. – Jak stąd wyjdziemy, musisz udawać, że byłeś tam przez cały czas. Rób to, co Viola. – Zgasiła świeczkę opuszkami palców.

Za drzwiami panowało coraz większe rozgorączkowanie. Ten harmider był im bardzo na rękę, bo nikt nie usłyszał odgłosu otwieranych drzwi. Zamykając je, Esta upewniła się, że zamek zaskoczył, tak by nie było śladu włamania.

– Idź. – Popchnęła Jianyu w tłum w chwili, gdy rozbłyśły światła.

Nastała chwila zdumionej ciszy, a potem zrobił się jeszcze większy rozgwar. Mężczyźni utyskiwali, domagając się wyjaśnienia incydentu, a kobiety wzdychały i chwytaly się za biżuterię, sprawdzając, czy wszystko jest na swoim miejscu.

– Gdybym mógł prosić o uwagę... – Gdzieś na drugim końcu sali odezwał się niski męski głos, w którym pobrzmiwało przekonanie o własnej ważności. Musiał jednak powtórzyć swoją prośbę kilka razy, zanim nastąpiła względna cisza.

Nieopodal Harte Darrigan zmrużył oczy, na nowo przyzwyczajając je do jasnego światła. Esta, udająca zdezorientowaną jak wszyscy, oddaliła się od niego. Daleko w kącie sali J.P. Morgan znalazł jakieś prowizoryczne podwyższenie i apelował o spokój, tłumacząc, że doszło do przerwy w dopływie prądu, ale problem został rozwiązany i nie ma się czego obawiać. Reszta wieczoru przebiegnie według planu.

Nie całkiem według planu, pomyślała Esta, podnosząc tacę z pobliskiego wózka i ruszając z nią przez tłum. W trosce o przedmioty ukryte pod ubraniem szła ostrożnie.

W głębi sali Morgan polecił muzykom grać dalej; natychmiast zaczęli kolejną skoczną melodię na bębenkach i blaszkach. Estę obleciał strach, gdy zobaczyła, że Jianyu, zamiast próbować się wtopić, stoi sztywno z rękoma założonymi na piersiach. Na szczęście nikt nie zwracał na niego uwagi. Jeszcze parę minut – jedna rundka Violi z chłopcami wokół sali – i będą bezpieczni.

Zbliżała się równym krokiem do łukowato sklepionego wejścia, przyjmując puste kieliszki od ludzi, którzy wydawali się gotowi zapomnieć o chwilowej awarii. Viola, prowadząc trupę – w tym Jianyu – do wyjścia, złowiła jej spojrzenie i delikatnie skinęła głową. Parę chwil później zniknęli po drugiej stronie, muzyka dolatywała coraz ciszej, aż całkiem umilkła.

Udało im się.

Teraz Esta musiała jeszcze bezpiecznie wydostać z muzeum ich łupy – i siebie samą. Gdyby ją złapano, nie mogłaby już liczyć na niczyją pomoc.

Była w połowie drogi, tylko kilka metrów dzieliło ją od wolności, kiedy Morgan zaczął przemowę na temat swoich zbiorów. Dudniącym głosem, który odbijał się od ścian, zadeklarował głębokie przywiązanie do imperium osmańskiego, do jego wielkich odkryć i mistycznej sztuki.

Już prawie, pomyślała Esta, zbliżając się do wyjścia. Jeszcze kawałek...

Nagle ktoś ją chwycił za ramię. Podskoczyła wystraszona, o mało nie upuszczając tacy ze szkłem. Spojrzała przez ramię i zobaczyła świdrujące stalowe oczy Harte'a Darrigana. Z chwiejną tacą pełną kieliszków w drugiej ręce nie była w stanie mu się wyrwać. Gdyby

jego dłoń przesunęła się o kilka centymetrów w górę jej ramienia, z pewnością wyczułby pod ubraniem skradziony pergamin, a nie miała pojęcia, jak by się wtedy zachował, zwłaszcza po tym psikusie, którego mu spletała w teatrze.

– Puszczaj – szepnęła wściekle.

Wpatrywał się w nią przez chwilę oczyma, które wydawały się dużo starsze niż on. Potem odstawił kieliszek na tacę.

– Jeszcze ten – powiedział, nie puszczając jej ramienia.

Była w potrzasku.

Strach odebrał jej dech w piersi, miała wrażenie, że każde uderzenie serca zbliża ją do nieuchronnego końca. Morgan wciąż głądził, ale jego monotony głos wydawał się dochodzić z bardzo daleka – jakby z drugiego końca długiego tunelu. Esta czuła się tak, jak gdyby ugrzęzła w przestrzeni między sekundami, nie mogąc się cofnąć i zmienić decyzji. Nie mogąc zapobiec temu, co się miało wydarzyć, bez narażania siebie – i całej reszty – na jeszcze większe niebezpieczeństwo.

Doszła do siebie, gdy wokół zagrzmiały oklaski. Wszystko znów nabrało ostrych konturów, a po duszącym uczuciu paniki pozostał jedynie tępy ból. Jej umysł pracował na wysokich obrotach.

Uczestnicy przyjęcia mieli lada moment otworzyć drzwi do następnej galerii. Jeszcze chwila i zobaczą, że kolekcja zniknęła. Wtedy strażnicy zamkną wszystkie wyjścia i odetną jej drogę ucieczki. Zostanie w muzeum, obwiązana od stóp do głów bezcennymi dziełami sztuki. Musiała się wydostać w tej chwili.

Lecz Harte Darrigan trzymał ją mocno.

– Nie chcesz zobaczyć wystawy? – spytał najspokojniej w świecie.

On wie, pomyślała. Bawił się z nią.

Rzuciła mu wściekłe spojrzenie, znów próbując się wyszarpnąć, ale było za późno. Szczęk klucza w zamku rozniósł się echem po sali.

Wszystkie oczy zwróciły się wyczekująco ku otwartym drzwiom, za którymi powinna się znajdować unikatowa kolekcja Morgana.

Na widok ogołoczonej sali z gardeł gości wydobył się zbiorowy okrzyk zdumienia.

Wieść o kradzieży rozniosła się po tłumie lotem błyskawicy. Mag zerknął w tamtą stronę, a potem znów spojrzął na Estę. W jego oczach pojawiło się zaciekawienie, a nawet, jeśli jej wzrok nie mylił, pewien rodzaj uznania.

Nie mogła dać się złapać. Przynajmniej dopóki nie uratuje Księgi i nie odzyska swojego kamienia. I nie tutaj, w sali pełnej członków Zakonu.

Jednym szybkim ruchem rzuciła tacę w stronę Darrigana.

Sprężył się instynktownie, puścił Estę i skoczył, żeby ją złapać. Ale choć Esta była teraz wolna, brzęk tłukącego się szkła sprawił, że ludzie zaczęli się oglądać. Inny kelner już biegł na pomoc.

Do wyjścia miała tylko kilka kroków, lecz mężczyźni w czarnych garniturach już tam stali. Nie wydam się stąd, pomyślała, chyba że...

Zdawała sobie sprawę, jakie to ryzyko, ale nie mogła tutaj utknąć. Musiała wynieść z muzeum skradzione artefakty. Musiała wydostać siebie. Nie miała wyboru. Zawinęła czas i rzuciła się do wyjścia.

Kiedy przemykała obok strażników, nie interesowało jej, czy coś wyczuli. Pędziła ile sił w nogach, nie zwalniając ani na korytarzu, ani na krętych schodach, ani w galerii rzeźby, za którą znajdowało się wejście dla personelu. Minawszy na dole jeszcze jednego zastygłego w pół kroku strażnika, wybiegła z muzeum w cichy wieczór, ale nawet wtedy nie wypuściła czasu z rąk. Mknęła niezatrzymana przez cichy i nieruchomy świat. Palce gołych drzew, dużo mniejszych niż w jej czasach, rysowały się ciemno na tle

rozwieżdżonego nieba, kiedy mijała ostro zakończony obelisk zwany Igłą Kleopatry. Poganiały ją niecierpliwie w drodze do miejsca, gdzie czekał powóz.

Wiedziała, że reszta pewnie już uciekła. Jeśli wszystko poszło zgodnie z planem. Nie puściła czasu wolno, dopóki nie stanęła przed ciemną bryłą powozu. Konie cicho zarżały, kiedy zapukała umówioną liczbę razy. Ku jej uldze drzwi się otworzyły.

Zaraz jednak nabrała ostrożności, widząc, że Dolph siedzi schowany w cieniu.

– Masz wszystko? – spytał, gdy usiadła naprzeciwko.

Skinęła głową, a on dwukrotnym stuknięciem laską w sufit dał znak woźnicy. Powóz szarpnął i potoczył się z turkotem po bruku.

Ciemne wnętrze pojazdu było zbyt ciasne, długie kończyny Dolpha zajmowały większość wolnej przestrzeni. Esta siedziała z podkurczonymi nogami, próbując opanować nerwy. Dolph zaryzykował, dopuszczając ją do tej misji, a ich pierwotny plan zupełnie się rozsypał.

– A więc? – odezwał się cicho, z niecierpliwością.

Zaczęła odwiązywać łupy i wyjmować je z kryjówek pod ubraniem. Dolph odbierał jeden po drugim, ale twarz mu pojaśniała dopiero na widok małego rzeźbionego kamiennego walca. Schował go za pazuchę, jakby to było coś ważniejszego od reszty.

Po dłuższej ciszy przerywanej jedynie turkotem kół i skrzypieniem ławki, na której wierciła się Esta, przemówił:

– Nibs mi powiedział, co się stało.

– Tak? – Zrobiło się jej sucho w ustach.

– Podjęłaś duże ryzyko, wynosząc te rzeczy – zauważył. – Mogłaś uciec sama i zostawić Jianyu na pastwę losu.

Esta trochę się uspokoiła. Nie wspomniał, że użyła magii.

– To prawda – przyznała. – Mogłam.

– Rozważałaś to – zasugerował z nieprzeniknionym wyrazem twarzy w cętkowanych światłem ciemnościach powozu.

– Hm, nie. Kiedy zrozumiałam, że Jianyu jest w pułapce, nawet mi to nie przyszło do głowy.

– Trudno mi w to uwierzyć – odrzekł Dolph.

Esta pochyliła się do przodu, tak że migotliwe światło zza małego okna rozjaśniło jej twarz. Chciała, żeby dojrzał w jej oczach prawdziwość tych słów, szczerść jej zamiarów. Aby marzyć o dostaniu się do Khafre Hall, musiała zdobyć jego pełne zaufanie. Musiała stać się częścią tej ekipy, bo tylko w ten sposób mogła powstrzymać maga i przechwycić Księgę... oraz swój kamień. Jedyna droga wiodła przez gang Dolpha.

– Ani przez chwilę nie myślałam o samotnej ucieczce – odparła. – Nie mogłam zawieść twojego zaufania. Miałam tylko jeden cel: wydostać na zewnątrz w s z y s t k i c h. Wywiązałam się ze swojego zadania, tak jak obiecałam.

Zastanawiał się przez chwilę, ale wyraz jego twarzy się nie zmienił. Oparł się tylko leniwie, bębniąc palcami w srebrną Meduzę na uchwycie laski.

– Twoim zadaniem było obrobić gości – stwierdził ponuro.

– A kto powiedział, że tego nie zrobiłam? – Wyciągnęła naszyjnik wysadzany ogromnymi brylantami i szmaragdami. Zawisły na jej palcu, rozkołysane i lśniące. – Z pozdrowieniami od pani Morgan.

Dolph przestał bębnić.

– Doprawdy?

Esta uniosła kącki ust.

– Może gdyby wiedziała, że je ukradłam, toby cię pozdrowiła.

Kiedy Dolph z niechętną wdzięcznością wziął od niej naszyjnik, Esta nie triumfowała. Co prawda był z niej zadowolony, ale nie

mogła przestać myśleć o możliwych konsekwencjach spotkania z magiem. Harte Darrigan wiedział, że to Dolph Saunders stoi za skokiem. Co zrobi z tą wiedzą?

No i martwiła się, czy nie pożałuje tego, że użyła magii. Czy oni wszyscy tego nie pożałują.



## DIABLO DOBRA SZTUCZKA

To była diablo dobra sztuczka – sprawić, że w ciągu dwóch minut, bo mniej więcej tak długo było ciemno, wszystkie eksponaty wsiąkły bez śladu, i to nie uciekając się do magii. Inna sprawa, że dziewczyna narobiła niezłego bałaganu, i nie chodziło jedynie o resztki szampana, które Harte miał teraz na sobie, ani o potłuczone kryształowe kieliszki na podłodze.

Za każdym razem, kiedy się spotykali, znikąca sobie tylko znanym sposobem. Był pewien, że musi to mieć związek z jej darem. Powinien go irytować ten jej zwyczaj, bo zostawał z pustymi rękami i wychodził na idiotę, ale to również była diablo dobra sztuczka, która budziła jego mimowolny podziw. Choć tym razem znalazł się przez nią w mało komfortowej sytuacji.

Nie było szans na wymiganie się od rozmowy z przysadzistym kapitanem policji. Ociekając szampanem i śmierdząc jak gorzelnia, Harte przedstawił swoją wersję wydarzeń.

Mógł wydać dziewczynę, Dolpha i resztę, czym na pewno zyskałby sobie przychylność Jacka, lecz wiązało się z tym spore ryzyko. Zważywszy, jak wiele dziewczyna wiedziała na jego temat, miał wątpliwości, czy powiedzenie policjantom prawdy to najlepszy pomysł.

Bał się zaplątania we własną sieć. To już lepiej mieć haka na Dolpha Saundersa – i tę dziewczynę – na wszelki wypadek.

Gdyby był mądrzejszy, opuściłby muzeum, gdy tylko ją zobaczył. Wiedział, że coś się święci; trzeba było wiać, zamiast ulegać

ciekawości. Teraz utknął w muzeum i nie zdąży na swój występ, co raczej nie zostanie dobrze przyjęte, zwłaszcza w świetle rozmowy, jaką parę dni temu odbył z nim Shorty. Będzie się musiał gęsto tłumaczyć.

Podszedł do niego Jack.

– Dziennikarze będą mieli używanie – rzekł smętnie. – A cała rodzina oczywiście zwali to na mnie. A miało być tak pięknie.

– Strasznie to niesprawiedliwe – zgodził się Harte z udawanym współczuciem. – Dużo zrabowali?

– Prawie wszystko, co miało jakąś wartość. – Jack spojrzał w głąb sali, gdzie J.P. Morgan i jego syn prowadzili ożywioną dyskusję z szefem policji. – Wycięto z ram co najmniej trzy płótna. Nawet jeśli je odzyskamy, zostały nieodwracalnie zniszczone. Zniknęły też wszystkie pieczęcie. Ta, o której ci opowiadałem, też. – Jack dopiero teraz spostrzegł, w jakim stanie jest koszula i marynarka Darrigana.

– Rany boskie, co ci się stało?

Harte demonstracyjnie obejrzał swoje kłapy.

– Wypadek z udziałem kelnera.

– Wypadek, mówisz? – Jack zmarszczył brwi. – Który to był? Zajmę się tym, dopilnuję, żeby go ukarano.

– Daj spokój, nie trzeba. – Harte machnął lekceważąco dłonią. Ostatnia rzecz, na jakiej mu zależało, to ściągnąć na siebie uwagę Morgana – lub czyjąkolwiek. – To się stało, kiedy zgasło światło. Niczyja wina.

– Co za wstyd – wymamrotał Jack. Spojrzał na Harte'a i zniżył głos: – Szef ochrony powiedział mojemu stryjowi, że maczali w tym palce Magini.

– Naprawdę? – Harte starał się ukryć zaskoczenie pod maską znudzonej obojętności. – Czy to pewne?

Jack raz jeszcze zerknął w stronę stryja, po czym odciągnął Harte'a w cichszy kąt.

– Kierownik zrobił eksperyment. Zatrudnił ludzi z, jak by to powiedzieć, szczególnymi talentami. Mój stryj i Zakon się na to zgodzili, uwierzysz? Nikt mnie nawet nie uprzedził. A powiedziałbym im, że popełniają błąd. Przecież tamci nigdy w życiu nie wydadzą jednego ze swoich.

– Trzymają się razem – przyznał mu rację Harte, zerkając na strażników, którzy wciąż przeczesywali wzrokiem salę.

Przypomniał sobie, że ich dary nie mogą być bardzo silne – w przeciwnym razie złapałoby tę dziewczynę. Mimo wszystko nic tu po nim. Lepiej nie ryzykować.

– No – rzekł, poklepując Jacka serdecznie po ramieniu. – Muszę lecieć. I tak już opuściłem swój występ. Muszę się teraz wytłumaczyć.

– Przykro mi – odparł Jack z wyrazem szczerego zmartwienia.

– Myślę, że kiedy zobaczą jutrzejsze gazety, jakoś się z tego wykaraskam – odparł Darrigan z uśmiechem przyklejonym do ust.

Jack chwycił go za ramię.

– Nie wiesz, jak oni to zrobili?

Harte zastygł nieruchomo.

– Słucham?

– Złodzieje. Jak wynieśli wszystko z tej zamkniętej sali? Widziałem na własne oczy, jak ją zamykano. Nikogo nie było w środku i nikt nie mógł się tam dostać, zwłaszcza że tutaj był tłum. Światło zgasło może na dwie minuty. – Jack się zawahał. Patrzył Harte'owi w oczy. – To było trochę jak jedna z twoich sztuczek.

Darriganowi przeszły po plecach ciarki.

– Ja nie robię sztuczek – oświadczył.

– Wiesz, o czym mówię... W teatrze.

– To są efekty, Jack. Popisy umiejętności. Nie wiem, jakiej magii mogli użyć złodzieje, bo jest mi ona nieznana, sam padłem jej ofiarą jak wszyscy: w tym całym zamieszaniu dałem się okraść. – Uniósł pusty łańcuszek od kieszonkowego zegarka.

– Wiem, wiem. – Jack potarł usta dłonią. Wyglądał na zmęczonego i skacowanego, a nie wybiła jeszcze nawet północ. Wyglądał na b e z b r o n n e g o. – Przepraszam, że cię na to naraziłem.

– Wiesz co – rzekł ostrożnie Harte, wyczuwając sprzyjający moment. – Może i masz rację. Może zdołam ci jakoś pomóc.

Jack podniósł wzrok.

– Naprawdę?

– Oczywiście, Jack. Od tego są przyjaciele. Trzeba sobie pomagać. Co prawda nie znam się ani trochę na tej starej magii, ale... masz rację, znikające przedmioty to moja specjalność. Może uda mi się rozgryźć tę zagadkę. Niczego nie mogę obiecać, ale chętnie przyjrę się tej sprawie.

W oczach Jacka zatliła się rozpacзлиwa nadzieja.

– Bardzo byłbym ci wdzięczny, Darrigan. Bardzo.

– A gdyby nam się udało to rozwikłać, twój stryj też by to docenił, co?

– O, na pewno.

– Nie miałyby już powodu, żeby cię trzymać poza Wewnętrznym Kręgiem, nieprawdaż?

Jack gorliwie pokręcił głową.

– A kiedy już będziesz jednym z nich... wstawisz się za przyjacielem, prawda?

– Oczywiście – odparł Jack. Uśmiechnął się znacząco. – Od tego są przyjaciele.

Harte pokiwał głową.

– Daj mi trochę czasu, pogłótkuję i się odezwę.

– Dziękuję ci – odparł Jack, ściskając mu dłoń.

– Ale niech to na razie zostanie między nami, dobra? Nie chcę wzbudzać nie wiadomo jakich nadziei. – Ani podejrzeń, dodał w duchu Harte, ośmielając się wysłać Jackowi przez rękę delikatny impuls mocy.

Jack, puściwszy jego dłoń, przyglądał mu się przez chwilę w lekkim osłupieniu.

– No to do zobaczenia wkrótce – powiedział i odszedł w stronę obrabowanej galerii.

Harte odprowadził go wzrokiem, czując jednocześnie pulsowanie daru i szum adrenaliny. Był coraz bliżej złapania Jacka na haczyk, coraz bliżej wstępu do siedziby Zakonu, którego tak bardzo potrzebował, jeżeli chciał zdobyć Księgę i uciec z tego miasta. Pośpiech był jednak niewskazany. Harte nie mógł sobie pozwolić na żaden fałszywy krok. Dziewczyna zbyt dużo wiedziała. Dolph był zbyt potężny. Należało działać ostrożnie, inaczej marzenia Harte'a mogły prysnąć jak te kryształy na podłodze.

# TAKA SKROMNA

## *Bella Strega*

Esta siedziała po turecku na wąskim łóżku i gryzła wargę, znów czytając wycinek z gazety od profesora Lachlana. Poprzedniego wieczoru po powrocie do Stregi Dolph jeszcze raz jej podziękował i pozwolił odejść. Esta nie mogła jednak zasnąć, nie po tym, jak spojrzała na wycinek. Zerkąła na niego przez cały wieczór w nadziei, że coś się zmieni. I rzeczywiście, litery przestały się rozmazywać, a słowa wreszcie ułożyły się w czytelne zdania, lecz problem nie zniknął.

Zmieniła się bowiem treść.

Nie było pożaru. Ani zagłady Khafre Hall. W notce wspomniano tylko o przyjęciu wydanym przez Zakon na cześć nowego członka, Harte'a Darrigana, który schwytał organizatora skoku na muzeum Metropolitan, niejakiego Dolpha Saundersa, właściciela baru. Części zaginionych przedmiotów nie udało się odzyskać, a ponieważ Saunders zmarł w drodze do więzienia na Blackwell Island, władze przyznały, że szanse na ich odnalezienie są niewielkie, tym bardziej że gang Saundersa uległ rozproszeniu, a jego członkowie porzucili bar i resztę przybytków skonfiskowanych przez miasto.

Oczywiście, że umarł, pomyślała Esta i ścisnęło ją w dołku. Chcieli go zabrać na wyspę, a więc poza Manhattan... poza Krawędź. Dolph nie miałby szans. Żaden Magin by tego nie przeżył.

Z jakiegoś powodu przyszłość uległa zmianie. Najprawdopodobniej miało to związek z jej obecnością. Czyniło to zdradę maga jeszcze potworniejszą, a przecież mogło mieć także inne, nieznanne konsekwencje. Trzeba było jakoś to naprawić, lecz Esta nie miała pomysłu, jak się do tego zabrać.

Z zadumy wyrwało ją pukanie do drzwi.

– Idę! – zawołała, drżącymi palcami chowając wycinek z powrotem do małej koperty z woskowanego papieru, którą następnie wetknęła za gorset.

Otworzyła drzwi. Na korytarzu stał Jianyu.

– O co chodzi?

Z jego twarzy nie dało się nic wyczytać.

– Dolph chce cię widzieć – odparł beznamiętnie.

Zrobiło jej się duszno w piersi.

– Po co? – spytała z wysiłonym spokojem. Zeszłej nocy po powrocie do Bowery rozstała się z nim w poczuciu, że jest z niej zadowolony, ale teraz, odkrywając niepokojące zmiany w notatce prasowej, niczego nie była już pewna.

– To nie moja sprawa – odparł cicho Jianyu. – Czeka w mieszkaniu na dole.

– Dobra – powiedziała, wygładzając pogniecioną spódnicę. – Dasz mi chwilę?

Jianyu skinął głową i już miał odejść, lecz się zreflektował.

– Przebrałaś mnie za kobietę.

– Owszem – przyznała Esta, czując się coraz bardziej nieswojo pod jego baczny spojrzeniem.

– To było uwłaczające.

Zmarszczyła brwi.

– Tylko jeśli uważasz, że kobiety są z jakiegoś powodu gorsze od mężczyzn.

– A nie są? – spytał Jianyu szczerze zaskoczony i zmieszany.

Wezbrała w niej irytacja. Musiała sobie powtórzyć, że to są inne czasy. Lecz mimo to...

– Kobieta uratowała ci życie, więc sam sobie odpowiedz.

Jianyu przez moment jakby się nad tym zastanawiał.

– To prawda, że gdyby nie twoja pomoc, mógłbym się znaleźć w trudnej sytuacji.

Esta prychnęła.

– Chyba raczej w sytuacji bez wyjścia.

– W takim razie jestem twoim dłużnikiem.

– Albo po prostu jesteście kwita.

Długo spoglądał jej w oczy, delikatnie skinął głową i odszedł bez słowa.

Esta patrzyła za nim, próbując zrozumieć, co właściwie między nimi zaszło. Nie miała pewności, ale być może właśnie zdobyła kolejnego sojusznika. Pokrzepiona tą myślą zeszła na dół do mieszkania Dolpha Saundersa. Przed drzwiami zawahała się na moment i musiała zebrać się w sobie, zanim stuknęła w nie palcem.

– Proszę – odpowiedział znajomy głos.

Weszła ostrożnie. Powitał ją przyjemny podmuch ciepła. W rogu grzał węglowy piec, obok niego siedzący przy niewielkim biurku Dolph notował coś w księdze rachunkowej. Nie podniósł nawet wzroku, lecz na widok mężczyzny Esta, która dopiero co czytała o jego śmierci, doznała lekkiego wstrząsu. Oto miała przed sobą człowieka, którego dni – na tę chwilę – były policzone. Musiała coś zrobić.

– Jianyu mówił, że chciałeś ze mną rozmawiać.

Najwyraźniej nie zauważył, że powiedziała to łamiącym się głosem, bo ani na moment nie oderwał się od rachunków, zaprosił



ją tylko gestem, mówiąc:

– Daj mi chwilę.

– Oczywiście – odparła i dopiero teraz rozejrzała się po jego lokum.

Dolph był człowiekiem niewielu słów. Ubierał się tylko na czarno i ciemnoszaro, jakby wiecznie oczekiwał na rozpoczęcie pogrzebu. Nie spodziewała się po tym surowym człowieku tak przytulnie urządzonego mieszkania.

Znaczną część podłogi z gołych desek zakrywał wyblakły kwiciasty dywan; salon miał w sobie jakąś miękkość, której brakowało jej pokojowi. Meble były mocno wysłużone, ale rzeźbione krzesła pod ścianą i niedużą sofę z łagodnie uniesionym pośrodku oparciem musiał wybrać ktoś obdarzony zmysłem dekoratorskim. Ogólnie rzecz biorąc, czuć było tutaj kobiecą rękę, co podkreślały jeszcze zwiewne firanki na oknach w głębi pokoju dziennego.

Nad niedużą półką z książkami wisiał znajomy obraz. Był to jeden z większych olejnych obrazów zrabowanych poprzedniego wieczoru z kolekcji Morgana. Przedstawiał młodzieńca, który odpoczywa pod jabłonią, z psem u stóp i otwartą książką w ręku, zapatrzony w leżące na ziemi jabłko. Najwyraźniej Dolph zdążył już sobie przywłaszczyć to dzieło.

W jej wycinku z gazety była mowa o tym obrazie: stanowił jeden z dowodów winy Dolpha Saundersa, toteż widząc go teraz u niego na ścianie, znów pomyślała o jego zmienionych losach. Miała ochotę go przestrzec, żeby pozbył się tego i wszystkich innych obciążających go dowodów, ale nie byłaby w stanie się wytłumaczyć. Jeśli miała naprawić to, co zepsuła, nie wolno jej było utracić jego zaufania. Wskazała więc na świeżo oprawione płótno i spytała:

– Czy to Isaac Newton?

Sądząc po leżącym na ziemi jabłku, mogła to być chwila, kiedy Newton odkrył istnienie grawitacji. Wszystko inne na tym obrazie było jednak dziwne. Naprzeciw jasnego słońca wisiał półksiężyc, a książkę w rękach młodzieńca zapisano osobliwymi symbolami przypominającymi szeregi nachodzących na siebie okręgów i równoległoboków, z gwiazdą pośrodku. To nie była matematyka ani fizyka w znanym jej wydaniu.

Dolph przestał skrzypieć ołówkiem i przez długą chwilę mierzył Estę swoim bladym okiem.

– Tak.

– Ale w tym obrazie jest coś... mistycznego. A przecież on był naukowcem.

Dolph zmarszczył brwi.

– Nigdy nie istniała wyraźna granica między nauką i magią, zwłaszcza w dawniejszych czasach. Wczesne gałęzie nauki, na przykład alchemia lub teurgia, były próbą naśladowania mocy Maginów przez ludzi bez darów. Podobnie było w przypadku Newtona, choć akurat on jest najmniej ciekawą rzeczą w całym tym obrazie.

Po tych słowach Dolph ponownie skierował swoją uwagę ku księdze rachunkowej, dając do zrozumienia, że nie ma ochoty kontynuować rozmowy na ten temat.

Esta już chciała go spytać, co jest w tym obrazie najciekawsze, lecz usłyszała w myślach głos profesora Lachlana. „Cierpliwości, moja droga”. Ile to razy ją powściągał, odradzał jej działanie w pośpiechu, pod wpływem impulsu, namawiał do namysłu nad sytuacją i spokojnego rozważenia wszystkich możliwych konsekwencji?

Zbyt wiele razy. A teraz miała do stracenia więcej niż kiedykolwiek.

Ugryzła się więc w język i skupiła na czym innym, na jego skromnej biblioteczce: Wolter, Rousseau, Kierkegaard, wszyscy w oryginale. Jakoś jej to nie zdziwiło.

Dolph wreszcie skończył i zamknął zeszyt.

– Powiedz mi, co wiesz o Harcie Darriganie – odezwał się.

– O magu? – spytała ostrożnie. To niemożliwe, żeby wiedział, pomyślała uspokajająco. – Nie za wiele. Nibs zabrał mnie na jego spektakl.

– Wiem o tym. Mówił, że zrobiłaś na Darriganie duże wrażenie.

Esta zmarszczyła czoło.

– Nie wiem, czy tak bym to ujęła.

– Doprawdy? – Dolph odchylił się na oparcie krzesła, skrzyżował ramiona na piersi i utkwiał w niej swoje ciężkie spojrzenie. – A jak byś to ujęła?

Że mamy problem, pomyślała Esta, starając się nie okazywać zdenerwowania. Ty też, jeśli go nie powstrzymam.

Nie mogła jednak podzielić się z Dolphem swoją wiedzą o zmienionej przyszłości. Nie miał powodów, żeby jej wierzyć, a bez kamienia nie byłaby w stanie niczego udowodnić.

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Wydaje się zdolny, ale byłam z nim na scenie przez niecałe pięć minut.

– Potem jeszcze rozmawiałaś z nim w muzeum.

Znów poczuła nerwowy skurcz w żołądku.

– Nie planowałam tego...

– Nie twierdzą, że planowałaś – odrzekł Dolph. – Ale tak jak mówię, chyba jest pod wrażeniem twojej osoby.

– On mnie w ogóle nie interesuje, jeśli o to się martwisz.

– A gdybym chciał, żebyś się nim zainteresowała?

– Niczego by to nie zmieniło – odparła stanowczo.

Dolph w pierwszej chwili nic nie odpowiedział. Stała w milczeniu, coraz bardziej speszona.

– Zdaje się, że coś ode mnie chciałeś? – przerwała w końcu tę nieznośną ciszę. – Mam dniówkę do zrobienia. A okradanie ludzi, którzy zdążyli już wydać wszystko, co mieli w portfelu, trochę mija się z celem.

– Tym się dzisiaj nie zajmuj – odparł.

– Jak to? – spytała przez ściśnięte gardło. – Zrobiłam coś nie tak?

Dźwignął się z krzesła, nie odpowiadając na jej pytanie, i bez pośpiechu wypłukał filiżankę do herbaty oraz spodek w podłużnym emaliowanym zlewie w kącie kuchennym. Esta przestąpiła z nogi na nogę, usiłując zapanować nad zniecierpliwieniem. Dolph odstawił filiżankę do wyschnięcia, przeciął pokój i sięgnął po swój płaszcz. Odezwał się do niej, dopiero gdy ją ominął i otworzył drzwi.

– Chodź ze mną – rzekł jednoznacznie rozkazującym tonem.

Zaciekawiona i zarazem coraz bardziej niepewna swojej pozycji Esta nie dyskutowała. W milczeniu przemierzyli ciemnawy korytarz, zeszli po wąskich schodach i chwilę później byli już na Elizabeth Street.

– Czy mogę spytać, dokąd idziemy? – zagadnęła Esta przecznicę dalej.

Dolph spojrzał na nią.

– Jeśli powiem, że nie możesz, to zawrócisz?

– Raczej nie – przyznała.

– A jeśli nie chcę, żebyś wiedziała?

– Pewnie i tak pójdę z ciekawości.

– To wystarczy – rzekł Dolph. – Złożymy dzisiaj kilka wizyt.

– Komu?

Posłał jej zagadkowe spojrzenie i bez słowa ruszył w dalszą drogę.

Dwie ulice później dotarli pod budynek wyglądający jak wszystkie inne w tej okolicy: ta sama nadgryziona zębem czasu czerwona cegła, takie same zagracone schody pożarowe, taka sama dzieciarnia na chodniku, bawiąca się pod okiem zmęczonej kobiety z głową owiniętą szalem dla ochrony przed zimnem. Wnętrze pachniało węglowym dymem i czosnkiem, smażoną cebulą sprzed paru dni oraz natłokiem ludzkich ciał. Korytarze były wąskie, jak te nad Stregą, a bezokienne ściany pokrywał osad z mętnych lamp.

Na trzecim piętrze Dolph zapukał do drzwi. Starsza kobieta w bezkształtnej sukience z fartuchem wpuściła go do środka. Unosiła się tam ostra chemiczna woń. Wszystkie meble stały pod ścianami, a pośrodku na podłodze pięcioro dzieci – żadne nie miało więcej niż dziesięć, jedenaście lat – siedziało wokół sterty sztucznych kwiatów. Zerknęły tylko w stronę gościa i zaraz wróciły do swojej pracy, polegającej na przyklejaniu drobnych jedwabnych płatków do drucianych łądyg.

– Jak się masz, Golde? – spytał Dolph, a gdy kobieta odpowiedziała niejasnym wzruszeniem ramion, przeszedł na niemiecki: – Przychodzę w sprawie twojego męża.

Pokręciła głową.

– On się nie chce z nikim widywać.

Dolph przyjął to do wiadomości i nie naciskał.

– Jak się ma?

Gniotąc dłonie w fartuchu, kobieta usiadła przy stole, po czym sama zaczęła kleić kwiaty.

– Lekarze mówią, że wyzdrowieje.

– A co z jego pracą?

Jednym lekkim wzruszeniem ramion wyraziła cały swój strach i zmartwienie.

– Pewnie wzięli kogoś na jego miejsce. Poszuka innej. Jakoś sobie poradzimy.

Esta kucnęła przy dzieciach, przyglądając się ich pracy, podczas gdy Dolph rozmawiał z kobietą o ich sytuacji – o zaległym czynszu, o codziennych zakupach, na które ledwie starczało jej pieniędzy. Dzieci spoglądały na Estę zmęczonymi, nieufnymi oczyma swojej matki, ale najmłodsze ofiarowało jej w prezencie jeden z jedwabnych kwiatów.

Esta odebrała go delikatnie z czerwonych spracowanych palców dziewczynki i udała, że wacha. Mała uśmiechnęła się do niej. Esta poczuła nagle ciepłe pulsowanie magii, a płatki kwiatu zaczęły się na przemian otwierać i zamykać.

Twarz dziewczynki rozjaśnił uśmiech dumy. Esta wyjęła z kieszeni monetę i podała ją dziecku. Mała zrobiła wielkie oczy.

– Śmiało – szepnęła Esta, lecz dziewczynka najwyraźniej nie rozumiała. Esta umieściła więc monetę w małej rączce i zamknęła ją.

– Gdzie twój najstarszy, Josef? – spytał Dolph, wskazując głową na gromadkę dzieci.

– Wyszedł – odparła ponuro kobieta. – Czasem zbiera dla nas węgiel. Przynajmniej nie marzniemy.

– A kiedy nie zbiera węgla?

– Ma chorego ojca, więc szwenda się z chłopakami z ulicy. – Wzruszyła bezsilnie ramionami. – Nie podobają mi się, ale co ja mogę? Zaraz skończy czternaście lat. I tak dobrze, że się nie wyprowadza.

– Jak wróci, przyślij go do mnie. Znajdzie się dla niego jakaś praca.

– Widząc jej zmartwione spojrzenie, dodał uspokajająco: – Nic

niebezpiecznego. Potrzebuję kogoś na posyłki. Będzie mógł przy okazji zbierać dla was węgiel.

– Mój mąż nie zgodzi się na żadne umowy z tobą – rzekła ostrożnie.

– Na nic nie musimy się umawiać. I nie będę chciał od twojego syna żadnej przysięgi, jeśli tego się obawiasz. Jest na to jeszcze za młody. Ale na pewno potrzebuje zajęcia. Wierz mi, że Kelly czy Eastman będą dla niego mniej wyrozumiali. Josef może zostać u mnie nawet, kiedy twój mąż wyzdrowieje, byle tylko wracał do domu na noc.

Kobieta dłużej nie dyskutowała, skinęła głową i wróciła do pracy nad sztucznym kwiatem.

Dolph spojrział na Estę.

– Musimy jeszcze zajrzeć w parę miejsc.

W następnym budynku odwiedzili dziewczynę, która nie mogła mieć więcej lat niż Esta. Nosiła na biodrze popłakujące niemowlę, a pod nogami plątał jej się dwulatek. Dolph dał się poczęstować filiżanką kawy.

– Dzień dobry, Marto – powiedział. – Przychodzę, bo słyszałem o Krzysztofie... Żadnych wieści? – spytał po polsku.

Dziewczyna pokręciła głową i wstała, żeby zgasić butem papierową lalkę, którą jej malec właśnie podpalił, używając jedynie swojej woli i daru.

– Nie wolno! – Trzepnęła go w dłoń, aż się rozplakał, a niemowlę natychmiast wzięło z niego przykład.

Dolph pochylił się nad chłopczykiem i położył palec na jego ustach. Chłopiec, zaskoczony, że poświęca mu się uwagę, ucichł, choć nadal drżała mu warga i rwał się oddech. Dolph wyjął z kieszeni chusteczkę i wytarł małemu smarki spod nosa, potem

poczochnął mu włosy i wręczył zawiniętego w papieraek karmelowego cukierka.

Malec uspokoił się i żując karmel, patrzył, jak Dolph rozmawia z jego matką. W trakcie tej rozmowy Dolph obiecał, że ktoś ze Stregi przywiezie jej brudy do uprania. Uzgodnili szczodłą zapłatę, po czym Dolph zapewnił kobietę, że osobiście dołoży starań, aby się dowiedzieć, gdzie się podział jej mąż.

Przez całą tę rozmowę Estę prześladował obraz Dolpha Saundersa przykutego łańcuchem do więziennej łodzi zmierzającej w stronę Krawędzi.

Miała sześć lat, kiedy profesor Lachlan wyjaśnił jej, czym jest Krawędź. Wcześniej nie zdawała sobie sprawy, że są uwięzieni w Nowym Jorku. Profesor zabrał ją na most Brookliński i opowiedział o Zakonie. Im dłużej szli mostem, tym chłodniej robiło się w ten letni dzień. Nie doszli nawet do strzelistych łuków podwójnej wieży, kiedy ogarnął ją taki strach, że aż się rozplakała. Turyści zerkali podejrzliwie, gdy profesor Lachlan wziął ją na ręce i zaniósł z powrotem na brzeg. Skoro nawet przebywanie w pobliżu Krawędzi było tak strasznym doświadczeniem, bała się myśleć, co by oznaczała próba jej przekroczenia.

Dolph sobie na to nie zasłużył. Nikt nie zasługiwał na coś takiego.

Przez parę następnych godzin Esta udawała, że nie słucha rozmów, które Dolph toczył z odwiedzanymi rodzinami. Każde kolejne mieszkanie było ciaśniejsze od poprzedniego, każda rodzina – bardziej zdesperowana. Większość miała dzieci, które marzyły o zabawie na dworze, ale nie kontrolowały jeszcze swoich darów i dlatego musiały siedzieć w domach.

Okolo południa słońce wypaliło dziurę w nisko wiszących chmurach i roztoczyło przed nimi obietnicę wiosny.



– Głodna? – spytał Dolph.

– Mogłabym coś zjeść – przyznała i jednocześnie zaburczało jej w brzuchu. Nadal nie rozumiała, po co ją ciągał po tyłu domach, pokazując wszystko, co ma.

Ruszyli w drogę powrotną. Dolph szedł przodem, mimo laski poruszał się szybko po zatłoczonych ulicach. Potrafił nadać swojemu kuśtykaniu pozór dostojności. Patrząc na jego pewny chód, można było odnieść wrażenie, że nic mu nie dolega.

Na Houston Street Esta niespodziewanie rozpoznała miejsce, do którego zmierzali. W jej czasach piekarnia Schimmela znajdowała się po drugiej stronie ulicy, ale kiedy weszli do maleńkiego lokalu, aromat chleba i cebuli napełnił ją nostalgią. W jednej chwili znów była małą dziewczynką, przypomniała sobie, jak Dakari zabierał ją po treningach na przekąskę, która była nagrodą i przeprosinami w jednym. Często przychodzili właśnie do Schimmela na knysz.

Pławiła się jeszcze przez chwilę w tym wspomnieniu innego życia. Serdeczny krzywy uśmiech Dakariego. Zgryźliwe riposty Mari na każdą jej skargę. Nawet wyniosły sposób bycia Logana. I profesor Lachlan... który powierzył jej to zadanie, licząc, że sobie z nim poradzi, w taki lub inny sposób.

Wszyscy oni byli teraz dla niej niedostępni. A biorąc pod uwagę zmiany w notatce prasowej, którą cały czas nosiła przy sobie, mogła już nigdy się z nimi nie zobaczyć.

Nigdy, podczas żadnej wyprawy, żadnej misji, nie czuła się tak odseparowana od własnej historii. Mogła mieć tylko nadzieję, że ona wciąż tam jest, gdzieś w dalekiej przyszłości, chwilowo poza jej zasięgiem. Esta nie zwykła rozczulać się nad sobą, ale pozwoliła sobie teraz na chwilę tęsknoty – za kanalizacją, za pędem samochodów, za ulicami, które nie śmierdzą gównem. I za ludźmi, na których jej zależało.

– Na co masz ochotę? – spytał Dolph, spoglądając takim wzrokiem, jakby wiedział, że odpłynęła myślami gdzie indziej. Nie zadawał jednak żadnych pytań i była mu za to niezmiernie wdzięczna.

Wzięli jedzenie na wynos, przekładając gorące wypieki z ręki do ręki, żeby nie oparzyć sobie palców.

Smakują tak samo, pomyślała Esta. Cały wiek różnicy, a jednak gęste, idealnie słone, rozpływające się w ustach nadzienie knyszu przenosiło ją do czasów, kiedy miała dziesięć lat. Do tych jesiennych dni, w które siadała z Dakarim na przystanku autobusowym i próbowała zjeść wszystko, zanim wystygnie, podczas gdy on omawiał przebieg treningu, jej postępy i błędy.

Pierwszy raz zjadła sama cały knysz na krótko przed jedenastymi urodzinami. Teraz była głodna jak wilk i najchętniej pożarłaby dwa.

– To ile właściwie znasz języków? – spytał zniecierpliwiony Dolph.

Knysz w jej ustach w jednej chwili stracił cały swój smak. Esta przełknęła kęs i zepchnęła go do ściśniętego z nerwów żołądka. Spojrzała na Dolpha na pozór obojętnie.

– Nie bardzo rozumiem.

Dolph uniósł brew.

– Przyglądałem ci się dzisiaj w tych domach. Słuchałaś.

– Nieprawda... – zaczęła protestować, lecz urwała pod jego przenikliwym spojrzeniem. – Znam kilka – przyznała w końcu.

Nauka języków była ważną częścią jej szkolenia. Na szczęście miała do nich wrodzony talent.

Dolph ugryzł swój knysz.

– Nie przyszło ci do głowy, że może należałoby mnie o tym poinformować?

Wzruszyła ramionami, starannie dobierając słowa.

– Nie wszyscy to doceniają. Faktycznie dzisiaj słuchałam. Wiele osób uznaje to za wadę, a nie zaletę.

Zgodził się ruchem głowy.

– Na twoje szczęście nie jestem jedną z nich.

Spojrzała z ulgą.

– Nie?

Pokręcił głową.

– Ale nie myśl, że możesz przede mną ukrywać różne rzeczy bez utraty mojego zaufania.

Zwiesiła głowę.

– Nie popełnię drugi raz tego błędu – zapewniła, mając nadzieję, że Dolph nie przejrzy jej kłamstwa.

– Oby – rzekł.

Potem przez jakiś czas szli w milczeniu, dopóki nie zebrała się na odwagę, by zadać pytanie, które nurtowało ją od rana.

– Dlaczego wzięłeś mnie ze sobą do tych wszystkich domów?

– Między innymi po to, żeby zobaczyć, jak zareagujesz na ludzi, którzy są pod moją ochroną. Zbyt wiele osób uważa, że trzeba przestawać ze swoimi, nie wykraczać poza ustalone podziały. Są tacy, którzy nigdy nie rozmawiali z nikim spoza własnej dzielnicy. Wielu chroni tylko swoich. Zakonowi bardzo to odpowiada. Ortus Aurea nie chce, aby Magini zrozumieli, że więcej nas łączy, niż różni. Dopóki jesteśmy podzieleni, dopóty potęga Zakonu jest niezagrożona. Ale chciałem też, żebyś zobaczyła na własne oczy, co próbuję zdziałać i jakie mogą być konsekwencje naszej porażki.

Wepchnął do ust resztkę knyszu i milczał, dopóki nie skończył jeść.

– Córka Golde chyba cię polubiła. – Wskazał kwiat, który Esta nosiła teraz we włosach.

– Urocza dziewczynka – powiedziała ostrożnie Esta.

– Owszem. Ale czy wiesz, jakie życie ją czeka? Spędzi je całe w tamtym mieszkaniu, albo w jakimś podobnym, bez szansy na coś więcej. Tylko dlatego, że potrafi sprawić, że jedwabny kwiat rozkwita. Jeżeli tej małej się poszczęści, Zakon nigdy nie dotknie jej bezpośrednio, nie pozwoli, by budynek, w którym mieszka, spłonął na jej oczach, nie zabierze jej ojca ani męża za zmyślane przestępstwa. Ale takie szczęście to rzadkość. Marta go nie miała. Jej mąż zniknął tydzień temu z kawałkiem. Nie ma tu żadnych krewnych. Gdybym jej nie pomógł, co by się stało z nią i jej dziećmi?

– I to wszystko? – spytała, wciąż nie mogąc rozgryźć tego człowieka. Każdy miał swoje słabości, każdy próbował coś ugrać dla siebie. Nie chciało jej się wierzyć, że Dolph Saunders jest wyjątkiem. – Tak po prostu im pomagasz, nie stawiając warunków, nie oczekując niczego w zamian?

Namyślił się nad odpowiedzią, w końcu przemówił spokojnym tonem:

– Nie jestem święty, Esto. Prowadzę interesy w kilku miejscach, mam pracowników, którym daję chleb, jestem tutaj szanowany, bo sobie na to zapracowałem. Chciałbym nadal być tym człowiekiem. Zawsze byłem ambitny, może zbyt ambitny jak na miejsce, w którym się urodziłem. Jeśli Zakon upadnie, będzie to dobre dla mnie i moich interesów. I dla przyszłości tego miasta. Jeśli to ja złamię potęgę Zakonu, ludzie będą mi wdzięczni. Żle na tym nie wyjdę, bez dwóch zdań. Skłamałbym, gdybym twierdził co innego. Ale wiem też, co to znaczy przymierać głodem. Spałem na ulicach, uczyłem się wymykać prześladowcom. Wiem, ile trzeba mieć w sobie siły, żeby podjąć walkę, kiedy jest się na dnie, i wiem, że nie każdy ma tę siłę. A więc, owszem, mam swój interes,

ale nie jestem człowiekiem bez serca, wbrew temu, co się o mnie mówi.

Esta szukała na jego twarzy oznak fałszu. Profesor Lachlan przekazał jej ogromną wiedzę, wyszkolił ją do walki z Zakonem, który nie pozwalał im żyć pełnią życia. Nigdy jednak nie zaprzętał go świat poza ich małą drużyną. Walczyli o wolność dla siebie. I oto Dolph Saunders, człowiek, który miał wszelkie powody, aby troszczyć się o siebie i zagarniać jak największą władzę, mówił jej co innego.

– I ufasz im? – zapytała. – Ufasz tym wszystkim ludziom, którym pomagasz? Wierzysz, że nie wydadzą cię Zakonowi?

– A jaki mam wybór? Nikt nie jest w stanie przetrwać w pojedynkę. Nawet ja. Czy masz jeszcze jakieś pytania? – dodał, lecz jego ton wyraźnie wskazywał, że nie ma ochoty na nie odpowiadać.

Zaprzeczyła ruchem głowy. I tak miała już o czym rozmyślać.

– Dobrze się wczoraj spisałaś. Jianyu prawdopodobnie zawdzięcza ci życie.

– Robiłam, co do mnie należało.

– Taka jesteś skromna? – Dolph nieznacznie wykrzywił wargi. – Myślę, że jeszcze wiele przede mną ukrywasz, Esto Filosik. Nie wiem, czy mi się to podoba.

Zmarszczyła czoło, zaniepokojona oschłością jego tonu.

– Nigdy nie zrobiłabym niczego, co by mogło zagrozić tobie albo ludziom, których chronisz.

Było to kłamstwo, które jednak przeszło jej przez gardło nadspodziewanie łatwo. Cóż, lata treningu nie poszły na marne.

Ale nawet trening nie mógł jej uchronić przed wyrzutami sumienia, które czuła teraz, gdy lepiej poznała Dolpha i całą resztę. Nie mogła wypełnić zadania, jakie postawił przed nią profesor

Lachlan, bez narażania tych ludzi. A narażając Dolpha, narażała wszystkich, którym pomagał.

– Pytanie brzmi, jak wiele byłabyś w stanie dla nich poświęcić.

Esta nie od razu odpowiedziała. Czuła, że Dolph ocenia każdy jej ruch, każde wypowiedziane słowo. Zbyt skwapliwą odpowiedź mógłby wziąć za przejaw głupoty, jeśli nie za coś gorszego. W końcu odparła zgodnie z prawdą:

– Dla powstrzymania Zakonu? Zaryzykowałabym wszystko.

– Ja też – powiedział. Po krótkim wahaniu dodał: – Mam plany wobec Zakonu. Może pomożesz mi je dopracować. Nibs twierdzi, że się do tego nadajesz.

Esta zwilżyła wargi.

– Nie wiem, czy Nibs się nie myli – rzekła, ważąc słowa – ale zrobię, co w mojej mocy.

– Cieszę mnie to – oświadczył Dolph, ale wyraz jego twarzy nie złagodniał. – W takim razie mam dla ciebie zadanie. Nazwijmy to sprawdzianem twojego zaangażowania. Chcę się przekonać, w jakim stopniu mogę na tobie polegać. Żeby moje plany miały szanse powodzenia, musi do nas dołączyć pewna osoba. Ktoś, kto dotychczas bardzo się wzbraniał.

– Harte Darrigan – odgadła bez trudu.

– Widział cię w muzeum i wie, że dla mnie pracujesz. Może być przez to groźny.

– Dopilnuję, żeby nic nam nie groziło z jego strony – obiecała. Naprawi to, co zepsuła, i pokaże Harte’owi Darriganowi jego miejsce.

Dolph zaśmiał się pod nosem.

– Gdybym chciał go zabić, wysłałbym Violę – zażartował. – Mój plan zakłada, że Darrigan nam pomoże. Chcę, żebyś go namówiła.

# ISKRY MOCY

## *Port*

Ten stary dureń chyba nigdy tego nie skończy.

Jack chodził tam i z powrotem po klepisku magazynu; zgrzytanie metalu o metal i huk spawarki działały mu na nerwy. Od czasu kradzieży w muzeum podwoił majstrowi wynagrodzenie, oczekując, że będzie pracował nad ukończeniem maszyny dzień i noc. Powinna być już gotowa.

W końcu stary odsunął się od niej i ostatni raz rzucił okiem.

– To chyba wystarczy – oznajmił.

– A te poprawki, które ci przysłałem? – spytał Jack, unosząc w dłoni nierówno oszlifowany diament. Gdyby ojciec się dowiedział, ile na niego wydał, urządziłby mu piekło, ale jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, nie będzie to miało żadnego znaczenia. Zaczną go nosić na rękach jak bohatera.

Trudno powiedzieć, dlaczego nie wpadł na to wcześniej, ale coś w nim zaskoczyło, kiedy dowiedział się, że jego ciotka straciła w muzeum rodzinną pamiątkę – bezcenny naszyjnik wysadzany rzadkimi szmaragdami i brylantami. Były wyjątkowe, jedyne w swoim rodzaju... i podsunęły mu pewien pomysł.

Ma się rozumieć, że nie mógł tak po prostu generować mocy maszyną, choćby najbardziej skomplikowaną i nowoczesną. Potrzebował obiektu, na którym ta moc się skupi.

Czyż sam Zakon nie korzystał z artefaktów dla ochrony Misterium? Nigdy ich nie widział na własne oczy, ale słyszał o nich – o pięciu klejnotach pochodzących z pięciu przesiąkniętych magią starożytnych cywilizacji. Alchemik, który je zgromadził, jeden z najpotężniejszych w dziejach, znalazł sposób, aby za pomocą skomplikowanych rytuałów tchnąć w nie moc – z tej mocy Zakon czerpał po dziś dzień. Co prawda tylko członkowie Wewnętrznego Kręgu rozumieli tajniki tych artefaktów, ale Jack nie był przecież idiotą. Przez ostatni rok stale poszerzał swoją wiedzę – zgłębiał wszystkie sekrety, do których dopuszczali go stryj i reszta. Skoro tamte kamienie mogły przechowywać magiczną energię, dlaczego nie ten?

Musiał oddać wszystko, co posiadał – a nawet parę rzeczy, którymi nie miał prawa rozporządzać – żeby w końcu nakłonić handlarza antyków do rozstania się z tym kamieniem. Ale potrzebował czegoś więcej niż tylko zwykły klejnot. Był to diament z grobowca Totmesa Trzeciego, faraona, który wzniósł również obelisk stojący obecnie w Central Parku. Ta symetria utwierdzała Jacka w przekonaniu, że to się może udać.

– Wykonałem poprawki – odrzekł starzec, biorąc do ręki diament i przyglądając mu się z miną sceptyka. – Ale nie rozumiem, jak ten kamyczek miałby wchłonać energię wygenerowaną przez maszynę.

– Nie płacę ci za rozumienie. Masz tylko robić swoje – wycedził przez zęby Jack. – Zainstaluj klejnot w centralnej kuli i włącz maszynę. Przekonajmy się, czy znów się na tobie zawiodę.

Stary z pewnym zatroskaniem skinął głową i zaczął majstrować przy kablach. Gdy parę minut później podłączył zasilanie, w głębi maszyny rozległo się buczenie, a chwilę potem okrągłe ramiona zaczęły się obracać, najpierw powoli, potem szybciej, aż środkowa kula się zaświeciła.



– Nie wytrzyma – stwierdził starzec. Chowając się za wielką metalową skrzynią z narzędziami, zaczął ciągnąć kable.

Lecz Jack był pewny swego, a przynajmniej wystarczająco zdesperowany, żeby zaryzykować.

– Nie! – zawołał. – Poczekamy. Zobaczymy, na co ją stać.

Ach, co za piękność. Nowoczesna i potężna, obiecuje tak wiele. Szybko obracające się ramiona, niczym oszalałe pierścienie Saturna, rozmazywały się w oczach. Błyskawice magicznej energii przeskakiwały między biegunami kuli. Mały, zamknięty wszechświat. Kosmos pod jego kontrolą.

Mogą się śmiać z innych jego niepowodzeń. I tak na koniec będą musieli wszystko odszczekać. Dzięki tej maszynie dokona czegoś, o czym dotychczas tylko marzyli w snach. Postawi tamę narastającemu zagrożeniu ze strony Maginów. Skończy z nimi raz na zawsze. A kiedy wreszcie znikną z miasta, a wraz z nimi całe to zepsucie, kiedy wreszcie miasto – i cały kraj – wkroczy w nową przyszłość, odzyska swój dawny potencjał, wówczas Zakon doceni i nagrodzi jego geniusz.

– Panie Grew! – zawołał starzec.

– Powiedziałem: czekaj! – odkrzyknął wśród hałasu, ledwie słysząc własny głos. Patrzył szeroko rozwartymi oczami, włosy, rozwiane wiatrem z maszyny, smagały mu twarz. Czuł się tak, jakby stał na skraju przepaści, między przeszłością i przyszłością, a potężne wyładowania, które muskały mu skórę, sprawiały, że chciał stanąć jeszcze bliżej krawędzi.

Budowniczy maszyny schował się całkiem za skrzynię z narzędziami, ale Jack stał twardo w miejscu, rzucając wyzwanie losowi. Jeśli to cholerstwo eksploduje, niech zabierze go ze sobą. Tak będzie łatwiej, niż przyznać się do kolejnej porażki. Albo

wyjaśnić ojcu, gdzie się podziały pieniądze z jego konta powierniczego.

Ale maszyna nie wybuchła. Pracowała pełną parą, błyskawice tańczyły wokół środkowej kuli, schładzając powietrze w magazynie. Iskry życia, iskry mocy.

– Działa! – zawołał Jack, nie mogąc powstrzymać śmiechu, tak bardzo rozpierał go zachwyty i niebezpieczna nadzieja. – Działa!

Starzec wyrzwał ostrożnie zza metalowej skrzyni. Miał wielkie oczy.

Jack znów się zaśmiał, ulga i podniecenie tworzyły uderzający koktajl, od którego szumiało w uszach.

– To dopiero początek – powiedział bardziej do siebie niż do majstra.

To będzie j e g o początek. Tylko jego.

Podszedł do panelu sterowania i za pomocą dźwigni skierował energię maszyny w jedno konkretne miejsce, na część miasta, która w jego pojęciu była zwykłym siedliskiem szczurów, bo tak trzeba nazwać jej mieszkańców. Nadeszła pora, by odbić to miasto.

Uśmiechnął się szeroko.

– Daj mi znać, gdyby coś się zmieniło! – zawołał do starca, nasuwając kapelusz na głowę i wychodząc na zimne powietrze. Jego maszyna działała. Nie pomylił się co do tego diamentu. Wszystko się powiedzie. Ten sukces zasługiwał na uczczenie szklaneczką czegoś mocniejszego.

# NIEBEZPIECZEŃSTWO INNEGO RODZAJU

## *Teatr Wallacka*

Po takim tygodniu Harte potrzebował się porządnie wyspać. Udało mu się wytłumaczyć z nieobecności w teatrze po tym, jak utknął w Metropolitanie – pomogła mu w tym pierwsza strona „The Sun”. Ponieważ jednak w tekście wymieniono Harte’a z nazwiska, znów odwiedzili go chłopcy Paula Kelly’ego. Kelly nie tryskał radością. Dawny podopieczny wciąż nie włączał go do gry, choć ewidentnie był w coraz lepszej komitywie z Jackiem.

Harte’owi wydawało się, że przekonał Torria i Brzytwę, że potrzebuje więcej czasu do namysłu, ale przez resztę tygodnia czekał na ich nieuchronną wizytę. Oraz unikał Jacka, bo wciąż nie miał pomysłu, jak wyjaśnić sprawę kradzieży eksponatów bez narażania się na niebezpieczeństwo.

Na dodatek dzisiejsza publiczność była jak dotąd chłodna. Prestidigitatorskie sztuczki nie zrobiły na niej wielkiego wrażenia, a gdy zaczął dowodzić, że niemożliwe jest możliwe, widzowie byli zaledwie lekko rozbawieni. Na razie jednak nie buczano ani nie gwizdano. Wszyscy – a widownia była dziś wypełniona prawie w komplecie – niecierpliwie wyczekiwali premiery jego najnowszej, najbardziej nieprawdopodobnej ucieczki.

Mężczyzna poproszony o zapięcie kajdan i łańcuchów wrócił już na swoje miejsce w przeświadczeniu, że nie ma takiej siły, która uwolniłaby magika z tych więzów. Harte, w myśl zasady, że teatru nigdy za wiele, wił się i wiercił na pokaz, by zademonstrować, jak mocne są te okowy. Kiedy dwóch pomocników opuściło go, związanego, w samych kąpielówkach, na dno przezroczystego zbiornika pełnego letniej wody, na widowni zaległa satysfakcjonująca cisza.

Zanim zbiornik zniknął za parawanem, światła rampy rozbłysły i przez chwilę pulsowały jak serce, a potem zrobiło się zupełnie ciemno.

Nawet pod wodą Harte słyszał gorączkowy szmer publiki. Sam też się przestraszył. Choć wiedział, że to niemożliwe, mógłby przysiąc, że błysk światła, na chwilę przed tym, zanim zgasły, zachwiał jego darem, aż poczuł tępy ból, od którego pociemniało mu w oczach i zakręciło się w głowie.

Z wrażenia otworzył usta i dopiero łyk nabranej wody przypomniał mu, gdzie jest i co mu grozi. Opanował strach i postanowił wykorzystać to, co się stało, aby uczynić swój numer jeszcze bardziej dramatycznym.

W pośpiechu wysunął drucik schowany pod sztuczną opuszką palca i wyginając się na wszystkie strony, tak jak to robił setki razy podczas prób, wtykał go po kolei w każdy zamek kajdan. Kiedy parę minut później maszyniści zapalili lampy naftowe z przodu sceny, Harte stał już przed zbiornikiem, ociekający wodą, z ciężkimi łańcuchami w szeroko rozpostartych rękach.

Publiczność oszalała. Nawet w półmroku widział zdumienie i zachwyty na twarzach, na których dopiero co malował się strach. Nie dość, że wydostał się z wody, to jeszcze dokonał tego

w zupełnych ciemnościach, które zaniepokoiły największych cyników na widowni.

Uraczył publikę najbardziej czarującym ze swoich uśmiechów i ukłonił się nisko, pławiąc się w huraganowym aplauzie. Lecz nawet burza oklasków nie była w stanie uwolnić Harte'a od niepokoju, który go oblepił, zimny i przykry jak przemoknięte spodenki. Ostatni raz pozdrowił wiwatujących widzów, po czym zszedł ze sceny, robiąc miejsce dla Evelyn i jej tak zwanych sióstr.

Gdy pierwsza z trzech dziewczyn weszła, kołysząc biodrami, w krąg światła z reflektorów, publiczność znów wybuchła, tym razem rozochoconymi gwizdami i okrzykami. Para długich nóg wystarczyła, by widzowie momentalnie zapomnieli o tym, co widzieli przed chwilą. To spostrzeżenie osłabiło zastrzyk adrenaliny, jaki dawały Harte'owi występy na scenie. Znów był cały w nerwach, znów rozpieła go magia.

Wręczył rozkute łańcuchy jednemu z maszynistów i narzuciwszy szatę, ruszył do garderoby przez labirynt lin i bloczków za kulisami.

Widok dziewczyny jakoś wcale go nie zdziwił. Od kilku dni, odkąd prawie udaremnił jej ucieczkę z muzeum, spodziewał się, że ją spotka. Mimo to jej wygląd, ta eksplozja barw i ognia w jego skromnej przebieralni na chwilę zbiła go z pantałyku.

– Zgaduję, że przysłał cię Dolph – rzekł, zamykając za sobą drzwi.

Miała na sobie śliwkową spódnicę i kremową bluzkę, która spowijała jej kształty, nie ukrywając ich. Ciemne włosy związała luźno nad karkiem. Delikatne nefrytowe grzebienie podkreślały lśniący kasztan loków. W takim ubraniu mogłaby udawać damę na Park Avenue, ale szelmowski błysk w jej oczach kłócił się z elegancją stroju.

Nie tak dawno na tym samym fotelu siedział John Torrio. Harte'owi przyszło nagle do głowy, że wcale nie jest pewien, która

z tych dwóch osób stanowi większe zagrożenie dla jego bezpieczeństwa.

– Przyszłaś, żeby znów mnie zaatakować? – Wetknął rękę do kieszeni szaty.

Wolałby, żeby jej tu nie było. A przede wszystkim wolałby, żeby część jego duszy nie cieszyła się, że widzi ją ponownie, całą i zdrową. W jego garderobie.

– Niestety – odparła, pochylając się niemal konspiracyjnie. – Dostałam wyraźny rozkaz, żeby cię nie skrzywdzić. Przynajmniej tym razem.

– To musi być dla ciebie bardzo trudne – stwierdził nieco odprężony.

– Nie masz pojęcia. – Westchnęła teatralnie i oparła się na fotelu. Cienie rzucane przez lampę migotały na jej twarzy i dałby głowę, że się z niego śmieje, mimo poważnej miny. – Ale chciałam ci podziękować – dodała i widać było, że te słowa niemało ją kosztowały.

Mimowolnie rozbawiony Harte przeszedł w poprzek garderoby, do swoich ubrań, które czekały na kaloryferze.

– Za?

– Za niepowiedzenie nikomu, co widziałeś tamtego wieczoru.

Spojrzał jej w oczy.

– Skąd ta pewność, że nie powiedziałem?

Ściągnęła ciemne brwi.

– Morgan miał nietęgą minę na zdjęciu w gazecie. Gdyby wiedział, kto go okradł, pewnie bym tu nie siedziała.

– Faktycznie nie był w najlepszym humorze – przyznał Harte. – Ale twoje podziękowania są przedwczesne.

– Tak? – Przechyliła nieco głowę, prawie niezauważalnie, ale wyczytał z tego ruchu, że się zmartwiła.

I dobrze. Niech się martwi. Zawsze, kiedy ją widział, musiał mieć się na baczności, więc niech ona też wie, jak to jest. Inna sprawa, że te ich gry sprawiały mu coraz większą przyjemność.

– Nie wiadomo, czy nagle coś mi się nie przypomni. – Spojrzał znacząco. – Coś, co mogłoby zainteresować policję.

– Czy próbujesz mnie zaszantażować? – spytała.

– Nie próbuję, nie. W każdym razie jeszcze nie w tej chwili. – Uśmiechnął się miło, wyczuwając, że to ją dodatkowo zirytuje. – Ale myślę, że prędzej czy później znajdzie się coś takiego, czego bym chciał od ciebie.

Zaśmiała się drwiąco.

– W twoich snach.

Puścił do niej oko.

– Co noc, złotko.

– Słuchaj, świetnie się bawię, ale przyszedłam tylko dlatego, że Dolph chciałby cię prosić o przysługę.

– Dobrze wiem, czego Dolph ode mnie chce. I dałbym sobie głowę uciąć, że wyraziłem się już w tej sprawie wystarczająco jasno.

– Mam cię przekonać do zmiany zdania. – Zatrzepotała gęstymi rzęsami.

Harte roześmiał się głośno. Nie zamierzał dać się podejść.

– W mojej branży jest tyle pięknych kobiet, że nawet dziewczyna o twojej figurze raczej nie zdoła mnie przekabacić. – Z kpiarską miną zsunął szatę i przewiesił ją przez parawan. – Bez obrazy – dodał po chwili.

– Nie obraziłam się.

Jeśli chciał ją wprawić w zakłopotanie, to mu się nie udało. Nic sobie nie robiła z tego, że stoi przed nią w samych przemokniętych spodenkach. Ani że była z nim sam na sam w ciemnym

pomieszczeniu. Nawet nie odwróciła wzroku. Przeciwnie, zdawała się czerpać przyjemność z tej sytuacji. Jej mina, którą znał zbyt dobrze, wyrażała podekscytowanie grą. Co tylko jeszcze bardziej go zirytowało.

– Biorąc pod uwagę, że dysponuję wiedzą, która mogłaby Dolphowi mocno uprzykrzyć życie, to chyba ja powinienem oczekiwać przysług, a nie na odwrót.

– O jaką przysługę chciałbyś prosić? – spytała bez mrugnięcia okiem.

Choć zaledwie przed paroma chwilami stał nagi na scenie naprzeciw trzystu osób, teraz nagle poczuł się dziwnie obnażony. Jakby obróciła jego negliż przeciwko niemu.

– Musiałbym się zastanowić.

– Tylko nie zrób sobie krzywdy – rzuciła z wyrazem kpiącej troski.

Pokręcił głową na tę zuchwałość i wszedł za parawan, by przebrać się w suche spodnie – i dać sobie trochę czasu do namysłu.

Tracił zimną krew, kiedy tak śmiało na niego patrzyła, bez najmniejszego rumieńca czy śladu skrępowania. I jednocześnie podziwiał to w niej... Co nie znaczy, że da się znowu przechytryć.

– Na pewno jest coś, na czym ci zależy – odezwała się. – Coś, co Dolph mógłby dla ciebie zrobić, żeby cię przekonać.

– Dolph Saunders nie ma niczego, na czym by mi zależało – odparł szczerze, wciągając na nogi ciepłe spodnie. Do jego uszu doleciał metaliczny brzęk. Wyjrzał zza parawanu.

– Nie ma do nich kluczy – ostrzegł ją, widząc, że bawi się kajdankami zwisającymi z toaletki.

– Naprawdę? W takim razie chyba powinnam zachować ostrożność. – Jednym ruchem zatrzasnęła sobie żelazną obręcz na przegubie. – Ups! – Podniosła dłonie w rękawiczkach do ust,



przekierowując w ten sposób jego uwagę na swoje wargi. Na to, jakie były różowe i miękkie. Pamiętał, że są miękkie...

Ale pamiętał też ukryte za nimi twarde zęby. Niektóre przyjemności nie są warte swojej ceny.

– No to wpadłam jak śliwka – powiedziała, ani na sekundę nie odrywając wzroku od jego oczu. – Chyba będę musiała zabawić tu dłużej... dopóki cię nie przekonam.

– Tak jak powiedziałem, nie obchodzi mnie, czego Dolph ode mnie chce. – Co nie do końca było prawdą. Jeszcze nigdy tak bardzo nie pragnął wydostać się z miasta, zwłaszcza że miał na karku chłopaków Paula Kelly'ego. Jednak to wciąż było za mało, by dać się złapać w sieć Dolpha Saundersa. Nie znał jego planów, ale ten człowiek zawsze igrał z losem, a co dopiero teraz, kiedy nie było przy nim Leeny, która mogłaby go powściągnąć. – Nigdy nie miałem skłonności samobójczych.

– Twój występ wskazywałby na co innego – zauważyła leniwym głosem. Kajdanki wciąż wisiały jej u nadgarstka niczym bransoletka. – Prawie się utopiłeś.

– Bardzo śmieszne. – Rzucił jej ponure spojrzenie.

– Trochę to nieświeże, nie sądzisz? – Z wolna ruszyła wyzywająco w jego stronę. – Uciezki to domena Houdiniego. Potrzebujesz, jak by to powiedzieć – wykonała okrągły ruch dłonią, kołyszając kajdankami – szczypty pikanterii. Chętnie udzielę ci kilku wskazówek.

Gdyby nie była tak kiepską uwodzicielką, uwaga o Houdinim rozżłościłaby go bardziej. Lepiej by zrobiła, wykładając kawę na ławę, ale nie zamierzał jej tego mówić.

– Ty udzielisz mi wskazówek? – Chciało mu się śmiać, lecz pochyliła się ku niemu i jej zapach zniewolił jego zmysły, ścisnął go za gardło.

– Nie pamiętasz? – szepnęła mu do ucha. – Publiczność była nami zachwycona.

– Doprawdy? – Obrócił głowę, tak że ich twarze znalazły się na odległość oddechu. Maskowała zdenerwowanie, wyczuwał to.

Ciekawe. Nie chciała, żeby jej dotykał, i nie chciała, żeby o tym wiedział. Mógł to wykorzystać.

– No dobrze, byli zachwyceni mną – odparła z igrającym na ustach rozbawieniem. – Ciebie jedynie tolerowali.

Czuł bijące od niej ciepło, pachniała słońcem. Świeżym praniem i mydłem. Z bliska jej oczy jeszcze bardziej przypominały ciemny miód, ale miały też w sobie coś wyzywającego, a Harte Darrigan lubił wyzwania. Nachylił się bliżej, czerpiąc przyjemność z tego, jak ona sztywnieje, by się nie cofnąć. Chciał ją pokonać jej własną bronią.

– Tolerowali, mówisz? – Zatrzymał usta, gdy już prawie dotykały jej szyi.

– Mhm – mruknęła jakby bez tchu.

– A gdybym chciał ciebie?

– Powiedziałałabym, że nie możesz mnie mieć.

– Nie?

I Harte wpiął jej w kajdanki drugi nadgarstek.

Zrobiła wielkie oczy i cofnęła się o krok, lecz wbrew jego oczekiwaniom nie wpadła w popłoch ani nie zaczęła go przeklinać. W ogóle nie wydawała się skonfundowana, obejrzała tylko skrępowane nadgarstki, po czym zrobiła coś, czego najmniej się spodziewał: r o z e ś m i a ł a s i ę. Błyszczące oczy zaiskrzyły się wesoło.

– A więc nie ma do nich kluczyka? – Nie wyglądała na zmartwioną tym faktem.

– Zgubiłem go lata temu – odparł ze wzruszeniem ramion. Odwrócił się, by zdjąć koszulę z kaloryfera, i wsunął ręce w ciepłe rękawy, zadowolony z siebie, że tak sprytnie to rozegrał. Dopóki nie przypomniał sobie o zamku, który otworzyła w muzeum.

Kiedy odwrócił się z powrotem, obie ręce miała już uwolnione. Rozpięte kajdanki dyndały na jej wyciągniętym palcu.

# SWÓJ NA SWEGO

**O**bawiam się, że będziesz się musiał bardziej postarać, aby się mnie pozbyć – rzekła Esta, napawając się miną Harte’a Darrigana, jego bezbrzeżnym zdumieniem.

Nie jest to brzydka twarz, pomyślała. Szorstka, pochmurna uroda kłóciła się z jego wytworną sceniczną manierą; rozmazany proszek antymonowy w jakiś sposób podkreślał jedno i drugie. Wiedziała jednak z doświadczenia z Loganem, że uroda i wdzięk często niewiele mówią o wnętrzu człowieka. Darrigan był zbyt dobrym aktorem, by się przed nią odsłonić, a ona zbyt bystrą dziewczyną, by ulec jego czarowi – albo temu, co się pod nim kryło.

Mimo wszystko, musiała to przyznać przed samą sobą, podobało się jej, gdy zrzucił szatę i stanął przed nią w samych mokrych spodenkach. No bo jak mogło się nie podobać? Przywierały do jego muskularnych ud, świetnie uzupełniających płaski brzuch i szerokie, wyraźnie zarysowane barki. Na prawym ramieniu miał zaognioną kanciastą bliznę, a może piętno, kontrastującą z jego pretensjami do światowości. Pewnie jakaś pamiątka z poprzedniego życia. Poza tym jego ciało było prawie doskonałe – widać, że włożył w nie dużo ciężkiej pracy.

Budziło to jej podziw, nie tylko dlatego, że było na czym zawiesić oko. Człowiek o takim wyglądzie musiał wiedzieć, co to praca nad sobą i dążenie do perfekcji. Musiał się nauczyć polegać n i e t y l k o na magii.

Ona się tego nauczyła bardzo wcześnie. Kiedy profesor Lachlan zaczął ją szkolić na kieszonkowca, nie pozwalał jej używać daru. Dopiero gdy potrafiła już wyjąć niepostrzeżenie portfel z kieszeni ofiary, pokazał jej, jak może się wspomagać magią, by zrobić jeszcze lepszy użytek ze swoich złodziejskich umiejętności.

Ale bez względu na swój podziw zamierzała wykonać powierzone jej zadanie. Nie zawróci jej w głowie umięśnionymi ramionami ani łobuzerskim uśmiechem, który zresztą na pewno jest jeszcze jedną z wielu jego masek. Według wycinka z gazety skok na Khafre Hall nie był już faktem. Musiała zwerbować Darrigana i jednocześnie dopilnować, żeby nie wydał Dolpha. Nie miała czasu na zachwyty nad chłopakiem, nieważne, jak przystojnym.

Odebrał od niej kajdanki i oglądał je w ponurym zamyśleniu.

– Nie zepsułam ich, jeśli się zastanawiasz – powiedziała na widok jego ściągniętych brwi. Uniosła spinkę do włosów, którą się posłużyła. Był to jedyny praktyczny element misternej charakteryzacji, którą wykonał dla niej rano człowiek Dolpha.

Esta próbowała im uświadomić, że nowy strój czy fryzura to nie jest coś, co by zrobiło wrażenie na Darriganie, ale się uparli. „Uwiedź go” – mówili. Sęk w tym, że oszust może oszukać swoją ofiarę tylko, jeśli zdoła ją czymś zainteresować.

Chociaż sztuczka z kajdankami chyba zrobiła na nim wrażenie. Przynajmniej chwilowe.

Wystarczyło jednak parę sekund, by obojętnie wzruszył ramionami i odwiesił kajdanki na haczyk, z którego je wzięła.

– To nic trudnego przy odrobinie ćwiczeń. Nie jest żadną tajemnicą, że je tutaj trzymam.

– Spróbujmy z inną parą – zaproponowała. – Nie spotkałam jeszcze takiego zamka, który by mnie powstrzymał.

– Po tym, co widziałem w muzeum, jestem skłonny w to uwierzyć. Ale ja też znam się na wytrychach, złotko.

– Założę się, że jestem od ciebie szybsza.

Przyglądał się jej badawczo i widać było, że toczy wewnętrzną walkę z samym sobą. Korciło go, żeby ją sprawdzić, udowodnić jej, że to on jest lepszy. Ostatecznie jednak ostrożność wzięła górę.

– Powiedziałem już, że nie interesują mnie twoje gry, tak samo jak plany Dolpha Saundersa.

– A może powinny. – Zrobiła krok w jego stronę. – Jak sądzisz, jak długo jeszcze będziesz tu występował?

– Tak długo, jak zechcę. – Zadarł nos i zaczął zapinać guziki w koszuli.

– Te sztuczki kiedyś się zużywają.

– To nie są sztuczki – poprawił ją. – To efekty. Poza tym zawsze mogę wymyślić nowe.

– Ale publiczność pozostanie ta sama. W końcu zapragną czegoś innego. Kogoś innego.

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz – stwierdził, ale sądząc po jego minie, wcale nie był o tym przekonany.

– Gdyby Krawędź zniknęła – mówiła dalej, ignorując jego wybuch – mógłbyś uciec z tego miasta.

– A kto mówi, że chcę stąd uciec?

Mogła się tylko roześmiać. Tęskny wyraz jego oczu nie pozostawiał wątpliwości.

– Gdybyś opuścił Nowy Jork, mógłbyś wędrować z miasta do miasta. Co wieczór nowa publiczność, pomyśl tylko. Cały świat stałby przed tobą otworem.

Jakiś dziwny grymas przemknął szybko po jego twarzy, na ułamek sekundy zmieniając ją nie do poznania. Zaraz jednak zapanował nad sobą i znów przywdział maskę miłej obojętności.

– Kto powiedział, że potrzebuję do tego Dolpha Saundersa? – odparł, prostując kołnierzyk w lustrze, po czym zdjął z haka czarny jedwabny krawat.

Nie podobała się jej ta jego pewność siebie.

– Mógłby ci zapewnić bezpieczeństwo – spróbowała podejść go z innej strony. Postanowiła skorzystać z wiedzy, w którą ją uzbrojono. – Tobie i twojej matce.

Harte znieruchomiał.

– Bardzo nie lubię grózb.

– To nie miało zabrzmieć jak groźba – zapewniła go Esta, zaskoczona taką reakcją.

– Zważywszy, że mało kto wie o istnieniu mojej matki, nie rozumiem, jak inaczej miałbym potraktować te słowa – odparł, nadal wyraźnie spięty.

– Każdy ma matkę – zauważyła z mało przekonującym śmiechem, udając spokojniejszą, niż była naprawdę.

Coś się zmieniło, kiedy wspomniała o jego matce. Dolph i Nibs chyba nie powiedzieli jej wszystkiego. Jedną pochopną uwagą przekreśliła to, co osiągnęła dotąd w tej rozmowie.

Harte milczał przez długą chwilę, wpatrując się w nią intensywnie, jakby próbował przejrzeć jej grę. W tamtej chwili wyglądał dokładnie jak mag, którego się spodziewała. Zimny. Bezwzględny. Gotów wymanewrować absolutnie każdego.

– Rozważę propozycję Dolpha – odezwał się w końcu – jeśli odpowiesz mi na jedno pytanie.

– Jakie? – spytała podejrzliwie.

– Co dokładnie Dolph ma na ciebie? – Zrobił krok w jej kierunku, przekrzywiając pytająco głowę.

– Nic – skłamała. Stał zbyt blisko i garderoba wydała jej się nagle za ciasna. Zadarła podbródek. – Jestem przydatna.

– Przydatna? – Harte dalej świdrował ją wzrokiem. – I to wszystko? To takie... banalne.

Choć wcale tego nie chciała, mignął jej przed oczami Charlie Murphy, jego czerwona twarz na ulicy przed Khafre Hall. A zaraz potem, również mimo woli, Dolph w drodze do więzienia na wyspie Blackwell, bezbronny wobec Krawędzi.

– A więc jednak coś na ciebie ma – stwierdził Harte z satysfakcją w głosie. – Tak myślałem.

– Źle myślałeś – odparła rozpaczliwie, lecz teraz to Darrigan dyktował warunki gry. Z początku nieźle jej szło, zaskoczyła go nawet sztuczka z kajdankami, ale właśnie przechodził do ofensywy.

– Nie sądzę – rzekł, kręcąc głową. – Dolph nigdy nie był typem bezinteresownego filantropa. Cokolwiek ci obiecał, odbierze sobie z nawiązką. Tak działają wszyscy bossowie na Dolnym Manhattanie. Kto raz wdepnie w to bagno, już się z niego nie wyrwie.

– Nie wiesz, o czym mówisz – oznajmiła, znów unosząc podbródek. Czy nie widziała na własne oczy, jak Dolph pomaga najsłabszym wśród nich?

Harte puścił to mimo uszu.

– Powiedz mi, naznaczył cię już swoim znakiem?

– Jakim znakiem? – spytała, nie zdążywszy ugryźć się w język.

Przekląła się w duchu, widząc uśmiech Darrigana, bo zrozumiała, że obnażyła przed nim swoją niewiedzę na temat Dolpha Saundersa, przyznała, że są takie rzeczy, których o nim nie wie, a które Harte wie, co dawało mu przewagę.

– Na pewno widziałaś tatuaż, który noszą jego ludzie. To pierwsza cena, jaką musieli zapłacić za jego ochronę. – Odwrócił się i zdjął kamizelkę z haka w ścianie. – Ja tej ceny płacić nie zamierzam. – Utkwił w niej twarde spojrzenie chmurnych oczu. – Nigdy.



Była w gangu od niedawna, lecz zdążyła zauważyć, że niektórzy w Stredze noszą identyczne tatuaże. Nie wiedziała jednak, co one oznaczają.

– W tej sprawie Dolph może być skłonny do ustępstw – zablefowała.

Rzucił jej spojrzenie pełne niedowierzania.

– Trudno mi to sobie wyobrazić – odrzekł, zapinając kamizelkę. – Bez tego znaku nie mógłby mnie kontrolować.

Ledwie wypowiedział te słowa, drzwi garderoby otworzyły się i zajrzała przez nie do środka kobieta o wściekle rudych włosach, z grubą warstwą makijażu na twarzy.

– Harte, skarbie – zaczęła przywilnym głosem, lecz na widok Esty zmrużyła oczy. – Och. Najmocniej przepraszam – powiedziała tonem dalekim od przepraszającego. – Nie wiedziałam, że jesteś zajęty.

– Nie jestem – odparł Harte, podczas gdy kobieta weszła nieproszona. – Ona właśnie...

– Ucięłam sobie przemiłą pogawędkę ze starym przyjacielem – dokończyła za niego Esta, wykorzystując niespodziewane pojawienie się kobiety, aby przejąć inicjatywę. Wyciągnęła do niej rękę i mówiła dalej, zabarwiając swoją wymowę wschodnioeuropejskim akcentem. – Bardzo mi przyjemnie poznać przyjaciółeczkę Harte'a z teatru. – Uśmiechnęła się z jawną wyższością. – Jestem oczywiście Esta von Filosik.

Oczy kobiety stały się zimne.

– Jest pani jego przyjaciółką?

– Nie... – zaczął Harte, ale Esta była szybsza i głośniejsza.

– Naturalnie, że tak! – skłamała z łatwością. – Poznaliśmy się wieki temu w Rastenburgu. Harte pobierał tam nauki u mojego ojca. Byliśmy jeszcze dziećmi, ale połączyła nas... – zawiesiła głos

i zerknęła czule w stronę Harte'a – bliska zażyłość. Nieprawdaż, skarbie?

– A więc to do niej uciekasz? – Kobieta zacięła usta.

Ku wielkiemu zadowoleniu Esty Harte Darrigan, chyba po raz pierwszy, odkąd go poznała, zapomniał języka w gębie.

– Potem wyjechał kontynuować studia, lecz oto znów jesteśmy razem – zakończyła Esta, przysuwając się do Harte'a i biorąc go pod rękę, jakby należał do niej. – A pani kim jest?

– Evelyn DeMure – przedstawiła się tamta, bezceremonialnie taksując ją wzrokiem od stóp do głów.

Esta poczuła, jak owiewa ją ciepła energia jej magii – i zapagnęła nagle zbliżyć się do niej, a oddalić od Harte'a. Jej ręce same zaczęły się cofać...

– Evelyn – ostrzegł Harte.

Ciepło zaraz ustało, lecz Esta zdążyła przedtem puścić ramię Harte'a.

– Mogę ci w czymś pomóc? – rzekł wyraźnie poirytowanym głosem.

Evelyn wyszczerzyła się w uśmiechu do Esty, a potem zwróciła do Harte'a.

– Przeszedł list do ciebie – oznajmiła, wyciągając ku niemu zmiętą kopertę. – Na przyszłość znajdź sobie kogoś innego do odbierania korespondencji, dobrze? Nie jestem twoim chłopcem na posyłki.

– Trudno byłoby cię pomylić z chłopcem, Evelyn – odparł Harte z uśmiechem, który miał ją udobruchać, lecz nie zmiękała.

Z gasnącym uśmiechem odebrał od niej list. Przedarł brzeg koperty i wyjął z niej złożoną kartkę. Tymczasem Evelyn najwyraźniej nigdzie się nie spieszyło.

– Myślałam, że nie przyjmujesz gości na zapleczu – odezwała się ponownie, rzucając w stronę Esty spojrzenie ostre jak nóż Violi.

Harte jakby w ogóle jej nie usłyszał. Był zbyt pochłonięty lekturą listu, wczytywał się w niego, mrużąc oczy i marszcząc brwi. Potem w jednej chwili zgniótł papier w kulkę, a gdy podniósł wzrok, spoglądał z taką furją, że Esta prawie zrobiła krok w tył.

– Zwykle nie przyjmuję – odparł z kamienną, nieprzeniknioną twarzą. – Ale dla s t a r e j p r z y j a c i ó ł k i musiałem zrobić wyjątek.

Intuicja Esty biła na alarm. Cokolwiek było w tym liście, wywołało zmianę w Harcie Darrigane. Z jego twarzy zniknął wszelki ślad wesołości. Nie wiedziała, co to za nowa gra, i chyba wolą nie wiedzieć.

– Właśnie wychodziłam – zwróciła się do Evelyn. – Wspaniale było znów cię zobaczyć, Harte. Pomyślisz o mojej propozycji?

Wpatrywał się w nią, zaciskając usta.

– Może omówimy szczegóły? – spytał rzeczowym tonem. – Wkrótce.

Powinna to uznać za swoje zwycięstwo, ale nie mogła się oprzeć wrażeniu, że wydarzyło się coś jeszcze, czego nie rozumiała i nad czym nie miała żadnej kontroli.

– Na przykład jutro? – spytała z nadzieją wymieszaną z niepokojem.

Wwiercał się w nią szarymi oczyma.

– Nie wiem, czy dam radę jutro. Mam parę spraw na głowie. To może potrwać kilka dni – mówił z dziwną determinacją w głosie.

– Jak tylko będziesz mógł – odparła, starając się nie okazywać zdenerwowania. Przywołała uśmiech na wargi. – A więc do zobaczenia? Było mi bardzo miło – powiedziała do Evelyn i ruszyła ku drzwiom.

Kiedy je otwierała, Harte chwycił ją znenacka za nadgarstek i przyciągnął do siebie.

– Czy tak się żegnają starzy przyjaciele? – spytał z czułością, jakby się przekomarzał, ale wyraz jego twarzy przeczył tonowi głosu. – Sama powiedziałaś, że łączyła nas kiedyś... bliska zażyłość.

Musiła się powstrzymać, żeby mu się nie wyrwać. Chciała jednak, aby Evelyn, która wciąż przyglądała się wszystkiemu lodowatym wzrokiem, uwierzyła, że jest tym, za kogo się podała. Za godzinę cały teatr będzie już wiedział o dziwnej postaci, która odwiedziła Harte'a Darrigana w jego garderobie. Tak skutecznej plotki nie dało się zamówić nawet za pieniądze.

Tymczasem jednak uwięzła w jego ramionach. Jakby cofnęli się w czasie do Słomianego Targu. W oczach Harte'a nie było ciepła ani czaru, ale patrzyły z napięciem, od którego ścisnęło ją w żołądku.

Dał jej chwilę na odwrót, na powiedzenie „nie” jemu i temu, co się miało zaraz stać. Lecz gdyby to zrobiła, zniszczyłaby swoją przykrywkę. Podniosła więc wzrok i spojrzała mu prosto w oczy. Proszę bardzo, niech się odważy.

To tylko bluff, powiedziała sobie w duchu, kiedy jego szare oczy nagle trochę zmiękły i dojrzała w nich wesołe błyski. Profesor Lachlan przestrzegał ją przed magiem. „Nie daj mu się zwieść. Zdobądź Księgę jako pierwsza i zatrzymaj...”

I wtedy przycisnął usta do jej ust, i poczuła, jak ciepła energia jego daru rozlewa się dokoła, przenika jej skórę, narusza granice między nimi w sposób, na który nie zdążyła się przygotować, przed którym nie mogła się obronić. Jego energia była gorąca, elektryzująca, musiała jej ulec, choć dobrze wiedziała, że to pułapka.

Mimo temperatury tej magii sam pocałunek nie miał w sobie żadnego żaru. Skończył się, zanim na dobre się zaczął, a jednak coś się wydarzyło. Darrigan osiągnął więcej niż tylko jej zakłopotanie.

– A więc do zobaczenia, słonko? – zamamrotał, wypuszczając ją z objęć. W oczach igrały mu iskierki triumfu, ale minę miał

beznamiętną.

– Już nie mogę się doczekać – odparła, z ulgą odnotowując, że jej głos prawie nie zadrżał. To nie strach, lecz wściekłość szarpała jej wnętrzności – była wściekła na niego, że położył na niej rękę, i wściekła na siebie, że nie była na to przygotowana.

Wyszła z garderoby i zawinęła czas, by nikt nie zobaczył, jak opuszcza teatr cała roztrzęsiona.

# WIADOMOŚĆ

**H**arte wpatrywał się w otwarte drzwi, próbując zrozumieć to, co przed chwilą usłyszał i zobaczył. W obrazach i myślach przemykających przez głowę tej dziewczyny trudno było dostrzec jakikolwiek porządek.

– Hm – odezwała się Evelyn, sznurując wargi pokryte różową szminką. – To było pouczające.

– Tak – powiedział bardziej do siebie niż do niej. – Było. – A mimo to miał wrażenie, że wie teraz mniej niż przedtem.

– Starzy przyjaciele, tak? – Prychnęła grubiańsko. – A ja jestem Maryja Zawsze Dziewica.

Jej słowa wybiły go z rozmyślań i dopiero teraz uprzytomnił sobie, że Evelyn wciąż tam stoi i na niego patrzy. Jej ogniste włosy i ucharakteryzowana twarz wyglądały smutno i kiczowato w mętnym świetle garderobianej lampy. Nie chodziło jedynie o to, że padające na nią cienie mocno ją postarzały, tak że przypominała wrak osoby, którą może była dawniej. Po prostu patrzył na nią teraz przez pryzmat tamtej dziewczyny – *E s t y* – i dostrzegał głęboką różnicę.

Po tym pocałunku miał w głowie więcej pytań niż odpowiedzi. Chwila, kiedy ich usta się zetknęły, zburzyła jego spokój w sposób, którego wolał teraz nie analizować.

Sądząc po tym, jak wybiegła, dla niej to również było silne przeżycie. I nic dziwnego. Bądź co bądź, gdy udało mu się ją

speszyć i przedarł się przez jej gardę, wyczuł, że przyszła do niego nie tylko w imieniu Dolpha, ale także dla siebie samej.

– A ta wiadomość... To coś ważnego? – spytała Evelyn, wskazując brodą list.

– Taka tam sprawa do załatwienia – odparł. Wepchnął zmiętą kartkę do kieszeni i chwycił marynarkę. – Muszę lecieć.

Zostawił Evelyn w garderobie i wyszedł na zewnątrz z ponurym przecuciem, że może być już za późno.

Na papierze widniał znajomy symbol gangu z Five Points – krzyż z dodatkowym ramieniem wyobrażający legendarne skrzyżowanie Orange Street, Cross Street i Anthony Street, gdzie rządził teraz Paul Kelly ze swoją świtą. Ten sam znak wypalono mu na skórze ramienia, kiedy zgodził się przyjąć ofertę Kelly'ego. Sam widok krzyża wystarczyłby, żeby zmrozić mu krew, ale było coś jeszcze: adres, napisany pochyłym pismem charakterystycznym dla samego Kelly'ego, wskazywał miejsce oddalone zaledwie o jedną przecznicę od mieszkania, które Harte w maju zeszłego roku wynajął dla matki.

Natychmiast zrozumiał, że ta wiadomość jest w istocie przestrogą i przypomnieniem, jak bardzo jego los zależy w dalszym ciągu od Paula Kelly'ego. Nie tracąc czasu na wizytę w mieszkaniu matki, udał się od razu pod adres wskazany w liście.

Paniczykom z wyższych sfer, którzy zapuszczali się do slumsów na południe od Houston Street, mogło się wydawać, że nowojorskie palarnie opium znajdują się w Chinatown, ale w rzeczywistości były one rozsiane po całym mieście. Harte znał swoją matkę i wcale się nie zdziwił, że adres w liście zaprowadził go do jednego z najgorszych tego typu miejsc, jakie kiedykolwiek widział.

Gdy ją znalazł w obskurnej piwnicy przy Broome Street, była już prawie nieprzytomna. Leżała na niewielkim podwyższeniu z głową opartą o drewniany stołek, z długą fajką w luźno zaciśniętej dłoni. Na podłodze walały się trzy makówki, okrągłe miseczki z ciemnymi śladami jej ostatniej uczyty.

Miał swoje podejrzenia, skąd wzięła tyle słodkiego narkotyku, ale nie chciał wiedzieć. Wystarczyło, że musiał ją oglądać w takim stanie. I że najwyraźniej wciąż ją kochał, skoro tak go bolał ten widok.

Ale choć jej popękane usta poruszały się bezgłośnie, tocząc z kimś rozmowę w narkotycznym śnie, przynajmniej żyła i nie groziło jej prawdziwe niebezpieczeństwo. Bez względu na to, co mu zrobiła – do czego sam ją popchnął swoim zachowaniem – spoza długich lat rozczarowania i obłędu wciąż przezierała matka, jaką pamiętał z dawnych czasów. Cokolwiek by się z nią działo, zawsze będzie miała w sobie coś z baśniowej postaci, która opowiadała mu, kiedy był małym chłopcem, o dalekich krainach.

On sam był winien temu, że go porzuciła. On sam ją przepłoszył.

Włosy miała teraz siwe i musiał przemóc w sobie wstręt, by odgarnąć tłuste kosmyki z jej twarzy.

– Mamo – odezwał się łagodnym głosem. – Wstawaj. Idziemy.

Otworzyła senne oczy. Jasne tęczówki były szkliste, źrenice duże i błędne, ale uśmiechnęła się do niego, zanim powieki znów jej opadły.

– Nie, mamo – powiedział przez zaciśnięte zęby. – Musisz wstać. Idziemy. – Trzeba ją było zabrać w bezpieczniejsze miejsce, zanim Kelly i jego ludzie znów ją znajdą. Albo zanim zaciągnie jeszcze większy dług, który później on będzie musiał spłacić.

Odpowiedziała gardłowym gulgotem, ale mięśnie twarzy wciąż miała wiotkie i oddychała płytko. Wreszcie otworzyła oczy, a wzrok



na chwilę jej się wyostrzył.

– Nie – szepnęła. – Proszę, nie...

– Nie zrobię ci krzywdy, mamó – powiedział, cofając rękę.

– Zostaw mnie – jęknęła z mieszaniną lęku i odrazy. – Wyrodne dziecko. On przez ciebie odszedł. To ty mi go zabrałeś.

– Wiem – odparł szorstko, bo łatwiej było się zgodzić, niż dyskutować. – To wszystko moja wina. – To jedyna prawda, która się w tej chwili liczyła.

Był wtedy tylko chłopcem. Nie zdawał sobie sprawy ze swoich zdolności ani nie potrafił ich kontrolować. Kiedy się dowiedziała, że przegnał z domu ojca, pijaka, któremu ręce częściej służyły do bicia niż do pracy, była wściekła. Aby odnaleźć męża, zaryzykowała wszystko – podjęła próbę przejścia przez Krawędź.

Była to próba skazana na niepowodzenie. Nawet desperacja kobiety szukającej ukochanego mężczyzny nie wystarczyła, by przekroczyć tę straszną barierę. Ale spróbowała. Dotknęła jej mocy i to ją zmieniło. Czasem Harte zastanawiał się, czy śmierć nie byłaby dla niej łaskawszym wyrokiem. Kiedy odnalazł ją po latach, spotkał już innego człowieka. Jej życie było jednym wielkim poszukiwaniem ukojenia, zapełnianiem pustki, którą pozostawiła w niej Krawędź oraz tamten drań, jego ojciec.

Może Harte powinien jej nienawidzić za to, że go porzuciła. I może trochę faktycznie jej nienawidził. Ale prawdziwą nienawiść zachował dla ojca, który porzucił ich na długo przed tym, zanim na dobre zniknął z ich życia.

Dla ojca i dla siebie. Za to, że ją przepłoszył.

Uniosła powoli dłonie i wpatrywała się w nie mętym wzrokiem, jakby dopiero teraz je spostrzegła.

– One kiedyś dokonywały cudów. Kobiety przychodziły do mnie, kiedy jeszcze byłam dziewczynką – powiedziała głosem, w którym

pobrzmiwały łagodne nuty jego dzieciństwa. Zaraz potem cierpki grymas wykrzywił jej twarz. – A ty mnie tego pozbawiłeś.

Zaciął zęby.

– Później będziesz wszystko na mnie zwałać. Teraz trzeba cię zaprowadzić do domu.

Podniosła na niego bladozielone oczy, pogrążone w odmętach wspomnień.

– Mała Molly O’Doherty umie zrobić z kobiety taką piękność, że żaden mężczyzna nie zdoła się oprzeć. Tak się mówiło. Teraz już tego nie potrafię, czuję tylko ból... – Głos jej się załamał i znów zamknęła powieki. – Boli strasznie, chciałam, żeby przestało, choć na chwilę. Potrzebowałam...

– Nie musisz się przede mną tłumaczyć – wykrztusił przez gardło ściśnięte żalem i wstydem z powodu jej stanu. Stanu, do którego doprowadziła się z jego winy. – Dasz radę wstać?

Nie chciał znów jej dotykać. Nawet z tej odległości odór potu – albo czegoś gorszego – był nie do zniesienia. Przypominał mu, jak wyglądało jego życie, kiedy go porzuciła – zimne noce spędzane w śmieciach, fetor niemytych ciał, które go nękały, bo mogły.

Bo nie miał kto ich powstrzymać.

Bo w głębi duszy czuł, że sobie na to zasłużył.

Zaklął, widząc, że matka nie zamierza się podnieść. Przyszło mu do głowy, aby zapłacić człowiekowi przy wejściu, żeby ją przechował, dopóki nie otrzeźwieje. Mógłby ją potem odebrać – albo kogoś po nią przysłać.

Musiał iść. Starał się oddychać płytko, ale i tak zaczynał już czuć działanie spowijającej go makowej mgiełki, tłamszącej gorączkową energię, jaką wyzwoliła w nim dziewczyna i list od Kelly’ego. Nienawidził tego narkotyku, który zagłuszał w nim jego naturę.

I gardził sobą za to, że jakąś cząstką duszy pragnął tu zostać na dłużej, dać się wypełnić tej cichej pustce. Tylko na chwilę...

– Idę, mamó – oznajmił twardo, strząsnąwszy z siebie pokusę. – Wrócę rano, jak dojdiesz do siebie.

Wstając do wyjścia, spojrzął na nią ostatni raz, rozdarty między miłością a nienawiścią. Matka również wiązała go z tym miastem, synowska powinność krępowała jego wolę niczym kaftan bezpieczeństwa. Zamknięta skrzynia, z której nie mógł się wydostać.

Ledwie wyszedł na dwór, usłyszał gorączkowe okrzyki. Zobaczył, że na ulicy zebrał się spory tłum. W powietrzu wisiał zapach dymu z drewna i coś jeszcze, coś dużo bardziej chemicznego i przenikliwego. Pobliskie budynki stały w ogniu. Pożar szalał na obu krańcach przecznicy, przesuwając się w stronę jej środka – w stronę budynku, w którym zostawił matkę.

To nie mógł być przypadek – dwa równoczesne pożary tak blisko siebie, po dwóch stronach kamienicy, w której leżała jego półprzytomna matka. I jeszcze ten zmięty list w kieszeni.

Najwidoczniej Paul Kelly uznał, że sam list to za mało.

Złorzecząc pod nosem, Harte zbiegł z powrotem po schodach do piwnicy. Krzyknął na strażnika, żeby obudził pozostałych. Wziął matkę, skręcając się od smrodu jej brudnych włosów i ubrania. Sto razy bardziej od tego fetoru wolał gryzący dym, ale przemógł w sobie wstręt i wyniósł ją na górę, a następnie precyzyjnie przesunął się przez tłum do stojącej przy chodniku dorożki. Podał kierowcy adres matki, a kiedy ruszyli z turkotem po nierównym bruku, przytrzymał ją w pionie.

Gdy wychylił się przez okno, by odetchnąć świeżym powietrzem, jego spojrzenie padło na obserwujących go z cienia ludzi Paula Kelly'ego.

# ŚRODEK NIE WYTRZYMA

## *Bella Strega*

Gwar zatłoczonej sali barowej zazwyczaj wystarczał, by ukoić nerwy Dolpha nawet w najbardziej frustrujące dni. Siadał zawsze pod ścianą na końcu, trochę dlatego, że mógł się wtedy spodziewać ataku tylko z jednego kierunku, ale również po to, by przyglądać się wszystkiemu z pewnego oddalenia. Siedząc przy swoim ulubionym stoliku, obserwował wszystko, co do tej pory zbudował, śledził nastroje panujące w Bowery i w spokoju planował dalsze przedsięwzięcia.

Ale choć sala była wypełniona ludźmi, którzy śmiali się i pili, Dolph siedział jak na szpilkach. Docierały do niego informacje o pożarze na Broome Street. Wysłał tam swoich ludzi do walki z płomieniami i do ratowania niewinnych mieszkańców, ale tak naprawdę niewiele mogli wskórać, nie wzbudzając podejrzeń. Trzeba się było pogodzić z tym, że będą ofiary.

Tilly załatwiała jakieś sprawunki, inaczej dawno już poszedłby do kuchni szukać ukojenia w rozmowie z nią. Potrzeba mu było talerza jej zupy, tego mocnego złocistego bulionu z kulkami z macy, albo pajdy świeżo upieczonego przez nią chleba, który smakował jak samo życie.

Potrzeba mu było Księgi. Ale do jej zdobycia musiał zwerbować Harte'a Darrigana.

Ta dziewczyna może i nie była jego ostatnią szansą, ale na pewno jedną z ostatnich. I długo nie wracała.

Denerwowało go, że wciąż nie wie, do czego jest zdolna. Była złodziejką, to jasne. Po tym, co pokazała w muzeum, raczej mógł jej zaufać. Ale coś przed nim ukrywała, a ponieważ nie wiedział, na czym dokładnie polega jej dar, trudno było przewidzieć, w jaki sposób może mu zagrozić. Nie mógł też jej spytać, nie zdradzając się ze swoim utraconym darem. Jego ludzie dziwili się, że wciąż jej nie wyczuł.

Jeszcze nie tak dawno w ogóle nie miałby się czym przejmować. Leena, ze swoją spokojną siłą, byłaby w stanie unieszkodliwić dziewczynę, gdyby ta spróbowała użyć swojej magii przeciwko niemu. A i on sam, zanim osłabiła go Krawędź, umiałby w mgnieniu oka rozpoznać charakter tej magii.

Gdyby był tak silny jak dawniej, wszystko byłoby znacznie łatwiejsze. Jedno uściśnięcie jej dłoni pozwoliłoby mu przez pewien czas używać daru dziewczyny, tak jak to robił z darami innych Maginów. Kiedyś jego moc dawała mu poczucie nieograniczonych możliwości. Teraz musiał się zadowolić udawaniem, rozciągniętym w czasie oszustwem, którego ofiarami byli jego zaufani współpracownicy.

Był zbyt doświadczony, by się łudzić, że można tak oszukiwać w nieskończoność. Ktoś prędzej czy później odkryje jego słabość... i ją wykorzysta. Pytanie brzmiało, kto to będzie – i kiedy go zdradzi.

Jakby w odpowiedzi na te ponure rozmyślenia przed wejściem do budynku wybuchło jakieś zamieszanie. Dolph wyostrzył czujność, szykując się, by stawić czoło zagrożeniu. Podwójne barowe drzwi otworzyły się, uderzając z hukiem o ścianę. Wszystkie

spojrzenia zwróciły się w tamtą stronę i po barze rozniósł się szmer, ogarniając salę w tempie pożarów, które tak często siały zniszczenie w najbardziej zrujnowanych kamienicach Bowery. Tak jak dziś na Broome Street.

Dolph był już w połowie sali, gdy spostrzegł, że to żadni napastnicy, ale Jianyu. Na widok jego wystraszonej miny poczuł zimny dreszcz na karku, a kiedy zobaczył, kogo Jianyu trzyma na rękach, przyspieszył kroku.

– Zamknięte! – krzyknął. – Viola! Zamykamy. Mooch, Sean, wyproście wszystkich.

Jego ludzie byli dobrze wyszkoleni. Nie wahali się, nie zadawali zbędnych pytań, od razu wzięli się do pracy jak dobrze naoliwiona maszyna. Grzecznie kierowali klientów w kierunku wyjścia, lecz wszyscy wyciągali szyję, próbując dojrzeć przyczynę zamieszania.

– On ją zabija! – zawołał ktoś.

Dolph poczuł, że cały gniew i strach tłumu obraca się w jednej chwili przeciwko Jianyu. Nerwowy szmer przeszedł w gniewny wielojęzyczny harmider. Powietrze zrobiło się ciężkie od energii, wszyscy przyzywali swoje dary – trudno było stwierdzić, czy dla obrony, czy do ataku. Chwilę później nad głowami pofrunęła pierwsza obelga, wściekle gardłowa, zaprawiona nienawiścią. Nastrój wśród tłumu zmienił się momentalnie i Dolph poczuł, że sytuacja wymyka się spod kontroli.

Uniósł laskę i huknął srebrnym końcem w dzwonek ostatnich zamówień, tak że rozległ się ogłuszający brzęk.

– Powiedziałem: zamknięte! Żegnam wszystkich!

Zrobił krok do przodu, wymachując na oślep laską, by pomóc zagonić tłum do wyjścia. Zasuńawszy rygiel w drzwiach, wskazał na dwa niskie kwadratowe stoliki pod ścianą.

– Odsuńcie je. Połóżcie ją na podłodze, żeby nie zrobiła sobie krzywdy.

## CO SIĘ WYDARZYŁO NA FULTON STREET

Jianyu zaniósł jęczącą i wijącą się Tilly pod ścianę. Wokół nich zbierali się w kręgu ludzie Dolpha. Jianyu czuł na sobie ich podejrzliwe spojrzenia.

Nie zdążył jeszcze jej położyć, kiedy Viola przecisnęła się do przodu, wycierając dłonie w fartuch.

– *Che cos'è?* – zaczęła mówić, ale słowa zamarły jej na ustach, gdy zobaczyła, kogo przyniósł. Zastygła cała w złowieszczym bezruchu. – Coś ty jej zrobił? – wyrzuciła z siebie.

Jianyu poczuł jej magię, zanim zdążyła sięgnąć po noże. Gorąca i wściekła moc owiała go jak podmuch z pieca. Przeszywający ból pozbawił go tchu. Miał wrażenie, że krew w jego żyłach zmieniła się w ogień, a płuca wypełnił wyschnięty cement. Ledwie ustał na nogach i niewiele brakowało, a upuściłby wijącą się Tilly.

– Viola! Dosyć! – Dolph przytrzymał go za łokieć, żeby się nie przewrócił. – Chcesz, żeby ją upuścić? Zawołajcie Nibsa. Prędko!

Oczy Violi wciąż płonęły, lecz po chwili krew Jianyu odzyskała normalną temperaturę. Łapczywie odetchnął. Dopiero teraz dotarło do niego, że Dolph trzyma go za łokieć; wyrwał mu się i przeszedł ostatnie parę kroków o własnych siłach, po czym położył Tilly na podłodze.

– Potrzyj jej nogi, Vi – rozkazał Dolph, a sam chwycił Tilly za ramiona, by nie mogła się drapać po twarzy ani szyi. Zdążyła się już dotkliwie pokaleczyć własnymi paznokciami.



Nadal się miotła i jęczała w agonii, lecz podczas długiego powrotu z Jianyu prawie całkiem straciła rumieńce – była trupio blada.

– Co się stało? – spytał zimno Dolph.

Nuta podejrzliwości w tonie szefa zaniepokoiła Jianyu. Może głupio zrobił, że poczuł się zbyt pewnie wśród tych ludzi, z dala od swoich. Że uwierzył, iż będzie zaakceptowany poza Chinatown, choć nawet tam ledwie go tolerowano.

Oczywiście na ulicach słyszał już nieraz podobne wyzwiska pod swoim i cudzym adresem. Zdążył do nich przywyknąć. Ale t u t a j, w miejscu, które uważał za swój nowy dom, mimo wszystko były dla niego pewnym szokiem. Mniejsza o to, że bywalcy baru oskarżyli go o zabicie dziewczyny, którą próbował uratować. Tego jeszcze od biedy mógł się spodziewać. Ale potem rzuciła się na niego Viola. A teraz Dolph przeszywał go lodowatym spojrzeniem.

Już myślał, że lada chwila zacznie go piec tatuaż na plecach, lecz ku jego zaskoczeniu – i uldze – nic takiego nie nastąpiło. A więc Dolph wciąż mu ufał. To wystarczyło, by Jianyu odzyskał mowę. Nie był jednak wcale pewien, czy to wystarczy, żeby przełamać atmosferę podejrzliwości, która go teraz otaczała.

– Trudno powiedzieć na sto procent...

– Spróbuj – rozkazał gniewnie Dolph. – Co robiła koło Krawędzi?

– To się nie stało przy Krawędzi – odparł Jianyu – tylko na Fulton Street.

## NOWA SYTUACJA

**K**iedy Esta wróciła do Bowery, otrząsnęła się już dawno z szoku spowodowanego pocałunkiem Harte'a Darrigana, lecz jej sytuacja wciąż rysowała się ponuro. W tramwaju nie mogła się powstrzymać od zerkania na wycinek z gazety. Nic się tam nie zmieniło. Najwidoczniej na spotkaniu z Darriganem nie zdziałała tyle, ile powinna.

Zmartwienie, z którym wróciła do Stregi, urosło jeszcze bardziej, gdy przestąpiła próg baru. Coś było nie tak. **B a r d z o** nie tak. Zwykle o tej porze lokal pękał w szwach od Maginów topiących swoje smutki i frustracje w alkoholu, ale teraz świecił pustkami.

– Zamknięte! – burknął, zachodząc jej drogę, jeden z chłopaków w melonikach. Na imię mu było Sam albo Sean – w każdym razie jakoś na S; nie poznał jej, bo wciąż była stosunkowo nowa.

Na szczęście w samą porę zjawił się Nibs i wprowadził ją do środka.

– Co się dzieje? – spytała, omiatając wzrokiem gromadę postaci w drugim końcu sali. Powietrze było pełne gorącej, rozedrganej energii. Nawet z daleka widziała, że wszyscy jakby trzymali swoją magię w pogotowiu. Ich strach rozpełzał się po sali niczym żywe stworzenie.

– Dolph kazał zamknąć jakąś godzinę temu – odparł Nibs z niepewną miną, jakiej chyba jeszcze nigdy u niego nie widziała. – Chodzi o Tilly.

Kiedy przecisnęli się przez ludzi, zobaczyła Dolpha i Jianyu rozmawiających ściszonymi głosami. Viola przytrzymała nogi Tilly, żeby nie wierzgała. Dziewczyna o mysich włosach wiła się jak w ogniu. Wytrzeszczała oczy, a twarz i szyję miała czerwone od zadrapań.

– Co jej się stało? – spytała Esta, patrząc, jak Tilly jęczy i rozpaczliwie się wyrywa.

– Nie wiemy – odparł Nibs.

– Przynieście najtwajnu – powiedział Dolph do Jianyu. – Z podwójną porcją maku.

Jianyu skinął ponuro głową. Przecisnął się poza krąg, a po kilku minutach wrócił z butelką atramentowego trunku. Dolph kazał paru chłopakom pomóc Violi przytrzymać Tilly, a sam klęknął przy niej i wlał jej napój do ust.

Tilly piła z przerwami, najpierw się zakrztusiła, potem łykała zachłannie. Wiła się coraz słabiej, aż w końcu przestała, ręce opadły jej bezwładnie wzdłuż boków, a oczy stały się szkliste i nieobecne.

Dolph poczekał, aż całkiem się uspokoi, i dopiero wtedy podniósł się sztywno na nogach. Twarz miał różową, z lśniącą warstewką potu nad górną wargą. Przeciągnął dłonią po falistych włosach.

– Zabierzcie ją na górę – powiedział dwóm chłopakom w melonikach, a jeden z nich wziął dziewczynę na ręce. – Poczujaj przy niej – zwrócił się do Violi, wręczając jej butelkę najtwajnu. – Daj znać, gdyby jej się poprawiło lub pogorszyło.

Nibs rozmawiał z Estą półszepem, jakby nie chciał, by ktokolwiek poza nią go usłyszał.

– Dolph myślał, że to Krawędź, ale Jianyu powiedział, że to się stało na Fulton Street, koło Grubej Linii.

– Co ona robiła na Fulton Street? – spytała Esta.

– Próbowwała komuś pomóc. – Dolph podszedł do nich i włączył się do rozmowy. – Synowi Golde, Josefowi. Pamiętasz ją? – zwrócił się do Esty. – Dopiero co byliśmy u niej w domu. Josef poszedł gdzieś z gromadką chłopaków. Grali w jakąś grę, kto się zapuści dalej na południe, i coś poszło nie tak. Jeden z nich przybiegł tutaj prosić o pomoc. Wszyscy akurat byli na Broome Street, bo wybuchł tam pożar, więc poszła Tilly. Po drodze spotkała Jianyu.

– Czułem w powietrzu zimną energię, jakby przestrozę, żebyśmy tam nie szli – zaczął opowiadać Jianyu. – Ale Tilly bardzo chciała pomóc temu chłopakowi. Kiedy wyciągnęła do niego rękę, wyprostowała się nagle jak świeca i przewróciła do tyłu. – Zamknął oczy, jakby sobie przypominał, co tam zobaczył. – Potem zaczęła się trząść i jęczeć, jakby ją chłostało tysiąc batów. Wołałem do niej, ale mnie nie słyszała, więc odciągnąłem ją od ciała tego chłopaka. I przyniosłem tutaj.

– A co z chłopakiem? – chciał wiedzieć Nibs.

– Nie uniósłbym ich obojga, zresztą nie mogłem tak ryzykować, jeśli miałem ją uratować. Nadal oddychała, więc pomyślałem, że może...

– Dobrze się spisałeś – przerwał mu Dolph i poklepał go po ramieniu. – Mógłbyś ją tam zostawić, wielu na twoim miejscu tak by zrobiło. Jestem ci wdzięczny, że ją przyniosłeś, i cieszę się, że wróciłeś do nas cały i zdrow.

Jianyu zarumienił się, ale nie wyglądał, jakby podzielał jego zdanie. Z miny chłopaka dało się wyczytać, że to, co się stało, uważał za swoją porażkę.

Dolph zdawał się tego nie dostrzegać.

– Musimy kogoś tam wysłać, żeby sprawdził, czy Josef wciąż tam jest – powiedział do Nibs. – Jeżeli tak, to nie wolno się do niego zbliżać, nie chcę, żeby ktoś jeszcze skończył jak Tilly. Z tego,

co mówi Jianyu, wynika, że to przypomina Krawędź. Dopóki nie dowiemy się czegoś więcej, właśnie tak to musimy traktować. Koniecznie zabierz ze sobą kogoś, kto nie będzie narażony na niebezpieczeństwo.

– Co z jego matką? Golde? – spytał Nibs.

– Sam jej powiem.

Nibs zmarszczył brwi.

– Myślisz, że to może być cała Gruba Linia? – zwrócił się do Jianyu.

– Nie wiem – odparł tamten.

– Oby nie – odezwał się Dolph. – To by przecięło miasto na pół. Ale to grubsza sprawa... Ktoś musi coś wiedzieć. – Spojrzał na Jianyu. – Potrzebuję informacji. Ktoś na pewno puści parę.

Jianyu skinął poważnie głową.

– Sam pójdę – zaproponował.

– Dobrze – mruknął Dolph.

Gdy Jianyu, pożegnawszy się lekkim ukłonem, wyszedł w noc, Dolph zwrócił się do Nibs.

– Kiedy już się zajmiecie chłopakiem, trzeba ostrzec ludzi. Musimy być czujni, przynajmniej dopóki nie wyjaśnimy, co to za cholerstwo.

– Tak jest. – Nibs wziął ze sobą kilku chłopaków w melonikach i oddalili się prędko w kierunku Bowery.

Dolph odprowadził ich wzrokiem, po czym spojrzął na Estę.

– I co? – spytał bez niepotrzebnych wstępów.

– Chyba z nami porozmawia – odparła, żałując, że samo to nie wystarczy, by zmienić przyszłość i uchronić Dolpha przed losem. – Powiedział, że musi coś załatwić, ale wkrótce się odezwie.

– I co jeszcze? – drążył Dolph, patrząc takim wzrokiem, jakby wiedział, że to nie wszystko.

Zawahała się.

– Nie zgodzi się na tatuaż. – Po chwili ciszy dodała: – Powiedziałam, że to jest do negocjacji.

Dolph się zachmurzył.

– Nie ty będziesz o tym decydować.

– Musiałam tak powiedzieć, żeby go nie zrazić. Może gdybyś mnie uprzedził, gdybym w ogóle wiedziała, co to za tatuaż, wymyśliłabym coś lepszego. – Spojrzała na niego z lekkim wyrzutem, mimo całego strachu. – Teraz jest przynajmniej gotów nas wysłuchać. To chyba więcej, niż wskóraliście do tej pory.

Dolph spoglądał surowo, ale nie pociągnął tematu. Po długiej, napiętej ciszy odwrócił głowę, zerkając ku drzwiom, w których parę chwil wcześniej zniknęła Tilly, kiedy zanoszono ją na górę. Korytarz był pusty i cichy.

– Jak źle to wygląda? – spytała Esta, choć wcale nie musiała usłyszeć odpowiedzi. Wystarczyło spojrzeć na bolesny wyraz jego twarzy, na jego sztywną posturę.

– Dla Tilly bardzo źle – odparł. – A dla nas wszystkich? To nowa sytuacja, co dla naszego rodzaju zwykle nie wróży niczego dobrego.

## CIEŻAR NOCY

**D**olph odczekał, aż Strega całkiem opustoszeje, po czym zamknął drzwi na klucz i sam udał się na zwiad. Owinięty peleryną, z kaszkietem nasuniętym na czoło, ruszył na południe, w stronę Fulton Street i niesławnej Grubej Linii. Kiedy światła przygasty i na ulicach Bowery zrobiło się jeszcze ciemniej, przełożył opaskę na drugie oko, by lepiej widzieć i uniknąć wpadnięcia do jakiejś piwnicy albo w inną pułapkę zastawioną na niczego niepodjęzawające ofiary.

Szczury grasowały w rynsztokach, a wiatr przenikał przez jego grubą pelerynę, lecz chłodne marcowe podmuchy prawie się go nie imały. W końcu nie bez przyczyny mówiono, że w jego żyłach płynie lód.

Niech sobie mówią, pomyślał gorzko. Cokolwiek by się mówiło, jego metody uratowały tyle osób, że nie zamierzał za nie przeproszać. Czyż nie poradził sobie w życiu wbrew przeciwnościom? Jego własna rodzina wyrzuciła go na bruk po tym, jak w dzieciństwie uległ wypadkowi w fabryce i nie mógł tam dłużej pracować. Był dla nich ciężarem, jeszcze jedną gębą, której nie było czym wykarmić, więc pozbyli się go, żeby uratować pozostałych.

Właściwie to nie miał do nich pretensji. Strach i desperacja popychały ludzi do różnych rzeczy, a niekiedy pojedyncza ofiara pozwalała ocalić wiele istnień.

Wtedy jednak czuł wściekłość i rozgoryczenie. Z właściwym sobie uporem zbuntował się przeciwko śmierci lub życiu w przytułku dla chłopców, a ponieważ był bystry, nie zamierzał nikomu służyć. Kiedy inni ulicznicy żebrali o chleb albo kradli monety z wypchanych kieszeni, Dolph wykradał sekrety, które uczyniły go tym, kim teraz był. Te sekrety koniec końców miały go uratować lub zabić.

Niech inni wyszarpują sobie skrawki ziemi, która i tak nigdy nie będzie ich. On znał prawdę: przed nim i takimi jak on stał otworem cały szeroki kraj. W każdym razie stanie otworem, jeśli wszystko pójdzie po jego myśli. Kiedy zniknie Krawędź, Magini będą mogli zrobić ze swoim życiem, co tylko zechcą. Gdy stara magia odzyska dawną rangę, nikt ich nie powstrzyma. Wolni od prześladowań ze strony Zakonu Ortus Aurea uczynią z tej ziemi krainę magii. Ci, którzy nie mają czarodziejskich mocy, będą się mogli przekonać na własnej skórze, co znaczy żyć jak w klatce.

Zbliżali się do tego celu, jeszcze nigdy nie byli tak blisko. Wkrótce przeciągnie na swoją stronę Darrigana, potem Jacka Grew, i Zakon znajdzie się w jego zasięgu. Najpierw jednak należało się uporać z nowym zagrożeniem, które pojawiło się znikąd.

Szedł żwawo, nie zwracając uwagi na cienie w drzwiach kamienic, na ogniki papierosów podobne do świetlików wśród przenikliwej nocy. Już w odległości jednej przecznicy od Fulton Street wyczuł, że coś jest nie tak. W powietrzu skwierczała jakaś zimna energia, jakby żywy prąd ostrzegający posiadaczy magii, żeby się nie zbliżali.

Brnął dalej, dopóki był w stanie się do tego zmusić. Na rogu Fulton i Nassau skręcił na wschód i podążył za lodowatą energią skrajem Fulton Street. Czuł się prawie tak, jakby szedł wzdłuż



niewidocznego dla oka ogrodzenia pod napięciem. Jakby Gruba Linia stała się czymś namacalnym.

Podążając coraz dalej Fulton Street, doznawał dziwnej pokusy, z którą musiał walczyć: korciło go, żeby wyciągnąć rękę i zanurzyć palce w ścianie energii za krawężnikiem, wzburzyć jej moc.

Może to była jakaś nowa pułapka. A może, ponieważ wszedł już kiedyś w kontakt z Krawędzią, jej moc była teraz częścią niego.

Magia miała to do siebie. Zarówno w przypadku tej naturalnej, którą władali Magini, jak i wypaczonej, którą posługiwał się Zakon, podobne przyciągało podobne. Magia w każdej postaci potrafiła nęcić słabych obietnicą siły. Między innymi tego bali się Osobni – że magia to narkotyk, jak opium, które zniewoliło tak wielu. Ludzie bez daru obawiali się, że magia to nałóg. A ci, którzy poznali moc, wiedzieli, że ta obawa nie jest całkiem bezpodstawna.

W starych ojczyznach krążyły szalone historie o magii i Maginach. Winą za śmierć i zarazę obarczano tych, w których dawniej widziano uzdrowicieli i przewodników. Ale to było przed Odczarowaniem, zanim Ortus Aurea i zwykli Osobni zaczęli prześladować takich jak on, spychać ich do gett, a nawet, w swoim dążeniu do pełnej władzy, niszczyć wszelką pamięć o świecie przesiąkniętym starą magią.

Członkowie Zakonu uważali się za przedstawicieli rozumu. Nazywali się oświeconymi, lecz ostatecznie byli tylko ludźmi, pragnęli tego, czego nie mieli, i brali to, co nie było ich, tylko dlatego, że im wolno.

To najnowsze zagrożenie było niewątpliwie dziełem człowieka. Czymś nienaturalnym. Ta energia zdawała się pęknięta, jakby część świata oderwała się od reszty. Cokolwiek się stało z Grubą Linią, zamysł był podobny jak w przypadku Krawędzi: chodziło o to, by jedni mogli kontrolować drugich.

Nie miał pojęcia, co to właściwie było. Nie wiedział, czy to jedynie bariera, czy może ta moc objęła cały południowy kraniec Manhattanu; czy działała podobnie jak Krawędź – która pozwalała wejść do miasta, lecz nie pozwalała się z niego wydostać – czy może niszczyła każdego, kto ją przekroczył, obojętnie, w którym kierunku.

Jeżeli jednak ta nowa granica to była Krawędź, jeżeli oznaczała zawężenie ich terytorium, to kto powiedział, że nie przesunie się ponownie? Gdyby przesuwała się dalej na północ, nie mieliby dokąd uciec.

Jianyu wyłonił się z ciemności nocy i szedł w jego stronę.

– Czego się dowiedziałeś?

Pokręcił głową.

– Nikt nic nie mówi. W Khafre Hall jest ciemno. Jeżeli to robota Zakonu, to bardzo dyskretna.

– To musi być robota Zakonu – stwierdził Dolph. – Coś się wyraźnie zmienia i trudno to nazwać zmianą na lepsze. – Spojrzał na Jianyu, na jego spiętą sylwetkę, czujny wyraz oczu. – Jeśli chodzi o to, co się działo wcześniej... Przepraszam cię za zachowanie Violi.

Na twarzy Jianyu nie poruszył się żaden mięsień.

– Wystraszyła się. Ludzie pod wpływem strachu robią różne rzeczy.

– Mimo wszystko. Jesteś jednym z nas i nie chciałbym, żebyś miał co do tego jakiegokolwiek wątpliwości. Ci ludzie wygadujący głupoty w barze... Nie przejmuj się nimi. Nie będą już wpuszczani.

Jianyu przechylił głowę, ale nie odpowiedział. Dolph nie był w stanie stwierdzić, czy uwierzył w szczerą jego przeprosin.

Nie miał do niego pretensji. Po tym wszystkim, przez co Jianyu przeszedł, po tym, co to miasto i ten kraj zrobiły jego ludziom, dlaczego miałyby ufać komukolwiek, a zwłaszcza Dolphowi, który żył z sekretów i tajemnic?

– Porozglądasz się jeszcze? – spytał. – Dla Tilly? – dodał, wiedząc, że Jianyu, bez względu na swój stosunek do niego, jest gotów wiele zrobić dla tej dziewczyny.

– Oczywiście. – Chłopak pożegnał go skinieniem głowy i rozpułynał się w mroku.

Dźwigając na barkach ciężar nocy, Dolph zawrócił w stronę Bowery, do mieszkania Golde i pustego miejsca przy jej stole. Do swoich ulic, swojego domu i do tych wszystkich ludzi, których miał chronić, ale nie wiedział, czy zdoła.

## POKÓJ PEŁEN STRACHU

Niebo za oknem pokoju Violi zaczynało się rozjaśniać, gdy Esta przeciągnęła się i potarła oczy. Parę godzin wcześniej zdołała w końcu przekonać Violę, żeby dała Tilly więcej najtwajnu. Pierwsza osoba, która okazała jej życzliwość w tym mieście, leżała na boku, w koszuli mokrej od potu, a jej szkliste oczy patrzyły tępo w przestrzeń. Wyglądała, jakby od wrót śmierci dzieliły ją co najwyżej dwa kroki, ale przynajmniej nie krzyczała z bólu.

Esta ponownie zanurzyła szmatkę w wiadrze mętnej wody i raz jeszcze zrobiła Tilly okład na rozpalone czoło. Chora jęknęła pod chłodnym dotykiem.

Viola na chwilę zastygła nieruchomo, a gdy Tilly się uspokoiła, znów zaczęła chodzić od ściany do ściany.

– Możesz już usiąść – rzekła do niej Esta.

Co się stało z tą zimną morderczynią o stalowych nerwach? Viola przez większość nocy wydeptywała dziurę w podłodze.

– Wciąż mi się to nie podoba – odparła drżącym głosem. – Tilly nigdy nie piła najtwajnu. Nie byłaby szczęśliwa, widząc siebie w takim stanie. – Okrągłym gestem wskazała dziewczynę na łóżku.

– Zanim dostała najtwajn, też nie była jakoś przesadnie szczęśliwa – wymamrotała Esta. Byłaby bardziej współczująca, gdyby wiedziała, że Viola sobie tego życzy. A tak wołała ją sprowokować, żeby w złości choć na chwilę zapomniała o smutku.

– Coś ty powiedziała?

– Nic. Nieważne. – Esta ponownie zamoczyła szmatkę i położyła ją na gorącej twarzy Tilly.

Milczały przez dłuższą chwilę, ale kiedy Viola znów zaczęła chodzić w tę i w tę, pokój wypełnił się jej strachem.

– Czy ona wie o twoich uczuciach? – spytała łagodnie Esta, nie podnosząc wzroku.

Kroki Violi umilkły i nastąpiło długie, krępujące milczenie. Esta już myślała, że chyba posunęła się za daleko. Lecz wtedy...

– Nie – odpowiedziała Viola prawie bezgłośnie, ale zmieściła w tym jednym cichym słowie mnóstwo bólu.

Esta popatrzyła jej w oczy.

– Nigdy jej nie powiedziałaś?

Viola westchnęła ciężko i spojrzała w stronę łóżka. Pokręciła głową.

– To nieważne. Wystarczy mi jej przyjaźń.

Esta znowu wsadziła szmatkę do wody. Nie wiedziała, co powiedzieć, jak ją pocieszyć. Nie wiedziała, czy Tilly zdaje sobie sprawę z uczuć Violi, ale sądząc po serdecznych uśmiechach, jakie między sobą wymieniały, była skłonna wierzyć, że tak. Na pewno Tilly zależało na Violi, nawet jeśli nie do końca w taki sam sposób. Esta zachowała jednak te przemyślenia dla siebie, bo nie była pewna, jak Viola by na nie zareagowała.

Ale została u niej.

Ranek powoli przeszedł w popołudnie, ulice za oknem rozbrzmiewały codzienną krzątaniną, lecz wewnątrz pokoju wyglądało wciąż tak samo. Stan Tilly się nie poprawiał... Przeciwnie, za każdym razem, kiedy najtwardszemu przestawał działać, wydawała się jeszcze bladsza niż przedtem, krzyczała jeszcze żałośniej.

Od tych krzyków Viola napinała się jak struna – taka do duszenia – a kiedy jej puszczały nerwy, bo trzeba było podać Tilly więcej najtwardszego, Esta naprawdę mogła się niepokoić o swoje życie, zwłaszcza że wiedziała, jak niebezpieczna potrafi być Viola. Teraz Esta była cała spięta i czuła się, jakby ktoś jej nasypał piasku do oczu. Nie pamiętała, kiedy ostatnio coś jadła, i choć bardzo chciała pomóc Tilly, marzyła, żeby ktoś – ktokolwiek – przyszedł ją zmienić.

Jakby w odpowiedzi drzwi otworzyły się, skrzypiąc na krzywych zawiasach, i swoim kulawym krokiem wszedł do środka Dolph Saunders. Miał zmierzwioną czuprynę i ciemne obwódki wokół oczu. Viola natychmiast zastąpiła mu drogę do łóżka Tilly.

– Spokojnie, Vi, nie po to przyszedłem – powiedział zmęczonym głosem. – Zresztą dobrze wiesz, że nie zdołałabyś mnie powstrzymać, z całym szacunkiem dla twoich umiejętności.

Viola zacisnęła zęby, ale nie dyskutowała.

Dolph zwrócił się do Esty.

– Spałaś choć trochę? – spytał szorstko.

– Tyle co ty, sądząc po twoim wyglądzie – odparła.

– Siedzisz tu cały dzień? – Wydawał się zdziwiony.

– I prawie całą noc. Przy takim hałasie i tak nie dało się zmrużyć oka. – Wskazała Tilly ruchem głowy.

– Hałasie? – Dolph spojrzał pytająco na Violę.

– Przy jej krzykach – wyjaśniła Esta. Wzruszyła ramionami, walcząc z własnym wyczerpaniem. – Pomyślałam, że skoro i tak nie zasnę, to chociaż pomogę.

– Trzeba ją było znieczulić – stwierdził surowo Dolph, spoglądając na Violę, która skrzyżowała ramiona.

– Teraz jest znieczulona – rzekła. – Szczęśliwy?

– Niezmiernie – odparł przeciągle. Potem zwrócił się znów do Esty: – W jakim jest stanie?

– Trudno powiedzieć. Ale od jakiegoś czasu leży spokojnie.

Viola zrobiła krok do przodu.

– Wyjdzie z tego. Nic się nie martw.

Dolph rzucił jej zniecierpliwione spojrzenie.

– Będę się martwił, kiedy uznam, że należy, ani minuty wcześniej.

– Po chwili wyraz jego zmęczonej twarzy nieco zmiękł. – Damy jej jeszcze trochę czasu – oznajmił, opierając się na lasce. – Ale pilnuj, żeby była znieczulona.

– Byłaby bardzo niezadowolona – odparła cicho Viola, zapatrzona z troską w bladą dziewczynę na łożku.

– Trudno. Zapewnić jej spokój to wszystko, co możemy dla niej teraz zrobić. Nie straciła daru, ale został jakoś uszkodzony. Sama będzie musiała zdecydować, czy jest wystarczająco silna, by żyć bez niego.

– Oczywiście, że jest – powiedziała Viola z zaciętą miną. – Zawsze była.

– Nie przeczę, ale przetrwanie czegoś takiego wymaga innego rodzaju siły. Czas pokaże. – Dolph zwrócił się do Esty. – Chodź ze mną. – I odszedł, nie czekając.

Zanim Esta zdążyła wyjść za nim, Viola chwyciła ją za nadgarstek i utkwiła w niej głębokie spojrzenie fioletowych oczu.

– Dziękuję. Za to, co dla niej zrobiłaś – powiedziała łamiącym się głosem. – I dla mnie.

– Nie ma za co – odparła Esta całkiem szczerze.

Ale Viola tylko ścisnęła ją mocniej.

– Nikt inny nie przyszedł – rzekła wprost, zanim ją puściła.

Esta wyszła na korytarz. Dolph i Nibs już tam czekali.

– Czy to już? – spytał Nibs.

Dolph zaprzeczył ruchem głowy.

– Jeszcze nie. Wciąż jest niկła szansa, że dojdzie do siebie. Damy jej trochę czasu.

Nibs zmarszczył brwi.

– To utalentowana uzdrowicielka.

– Wiem o tym – odparł Dolph, ruszając przodem ku schodom na końcu wąskiego korytarza. – Ale Tilly zawsze była ponadprzeciętnie silna. Jej magia całkiem nie zniknęła. Była wobec mnie lojalna, więc damy jej – i Violi – trochę czasu, zanim podejmę decyzję.

– Decyzję o czym? – Esta nie mogła się powstrzymać.

– Nie pozwolę, żeby cierpiała – odparł krótko Dolph. – Nie mogę też pozwolić, żeby stała się dla nas obciążeniem.

Do Esty zaczęła docierać ponura prawda.

– Czyli zamierzasz...

– Zrobić to, co będę musiał, by chronić ludzi, których nie wolno mi zawieść – warknął, prostując się i unosząc wysoko czoło. Gdy zamilkła, mówił dalej: – Darrigan przysłał mi wiadomość, tak jak zapowiadałaś. Spotka się ze mną pojutrze. Ponieważ nie mogę liczyć na Violę ani Tilly, chciałbym, żebyś poszła ze mną. Być może mi się przydasz.

Esta skinęła głową.

– Coś jeszcze?

– Owszem. – Dolph omiótł ją wzrokiem. – Idź się wyspać. Wyglądasz jak wyjęta z rynsztoka.



# SWEGO RODZAJU POWRÓT

## *Teatr Wallacka*

**H**arte popatrzył na butelkę najtwajnu, którą ktoś zostawił na stoliku w jego garderobie, i rozważył swoje możliwości. Ani trochę nie uśmiechało mu się szukać ochrony u Dolpha Saundersa. A co dopiero być do tego zmuszonym przez sytuację.

Wziął butelkę i przechylił ją w powietrzu, patrząc, jak ciemny, gęsty trunek powleka zielone ścianki. Wyjął korek i niuchnął. Kwiaty, słodycz oraz gryząca woń taniego wina. Niczym bar i palarnia opium w jednym, obrzydliwa i zarazem ponętna mikstura.

Jak bardzo musiało być źle, skoro szukał zapomnienia, chcąc uciec od swoich problemów?

Nalał sobie kieliszek, usiadł i wpatrywał się w lustro. Miał podbródek po matce i podobne jak ona faliste włosy, ale widział też w swoim odbiciu twarz ojca, której wolałby nie oglądać.

Coraz mniej panując nad nerwami, uniósł pomału kieliszek.

Omdlewająco słodka, kwiatowa woń uderzyła go w nozdrza i naszło go wspomnienie z czasów, kiedy uratował matkę z burdelu Paula Kelly'ego. Nigdy nie wytrzymała długo w trzeźwości, a gdy zniknęła, musiał jej szukać po zadymionych piwnicach i wybawiać od coraz większych kłopotów. Odwracał wzrok i naciągał na nią ubranie, taszczył ją do jej domu, a nazajutrz tylko

jeszcze mocniej go za to nienawidziła. Za to, że ją widział w takim stanie. I że próbował jej odebrać jedyną miłość, jaką miała w życiu, odkąd straciła jego ojca.

Wyrodny chłopak.

Odstawił kieliszek i zakorkował butelkę. Odbicie w lustrze patrzyło mu w oczy z powątpiewaniem. Skończywszy remanent własnych przewin i żalów, sięgnął do kieszeni po zegarek, zanim sobie przypomniał, że mu go ukradziono.

Nie żeby się specjalnie przejmował tym, czy jest spóźniony.

W świecie na południe od Houston Street nienawidził wszystkiego – brudnych, zaśmieconych ulic, stłoczonych kamienic, z których wylewała się rozpaczliwa nędza. Nawet powietrza przesyconego smrodem z wychodków na podwórzach. Z tym większą więc przykrością myślał o tym, co go czeka.

Nie muszę tam wchodzić, pomyślał, gdy stanął przed klubem boksterskim Sto Diabłów. Parę miesięcy temu powinien był zawrócić – może wtedy wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej. Nic nie stało na przeszkodzie, żeby okręcił się na pięcie i wrócił na swoje miejsce, do eleganckiego teatru i schludnego mieszkania. Do porcelanowej wanny i gorącej kąpieli. Do życia, które zbudował sobie od zera. I które może mogłoby mu wystarczyć.

Ale tamten pożar temu przeczył.

Udało mu się nieco otrzeźwić matkę i zostawił ją w nowym mieszkaniu, ale ile czasu minie, zanim chłopcy Kelly'ego znowu ją znajdą? A znajdą na pewno, bo Harte nie zamierzał dopuszczać Paula Kelly'ego do Jacka. Nie miał pojęcia, czego Kelly chce od Zakonu Ortus Aurea, lecz gdyby udało mu się jakimś cudem wkupić w łaski tej organizacji, raczej nie oznaczałoby to niczego dobrego dla takich jak on, a już na pewno nie dla samego Harte'a.

Choć niechętnie to przyznawał, współpraca z Dolphem Saundersem była obecnie jedynym sposobem na uniknięcie takiego scenariusza. W końcu Dolph zasłynął jako obrońca wyrzutków uciekających przed gniewem innych nowojorskich bossów, przyjął nawet pod swoje skrzydła Violet, rodzoną siostrę Kelly'ego. Niech się biją między sobą, jemu to na rękę. Jeśli Dolph nie mylił się co do zawartości Księgi, on, Harte, czmychnie na drugą stronę Krawędzi, zanim którykolwiek z nich się połapie. Ucieknie tam, gdzie go nie dopadną, i będzie wolny.

Zignorował wyrzuty sumienia, które nim targnęły na myśl o innych Maginach. Owszem, w dalszym ciągu będą w niewoli, ale przecież i tak j u ż s ą u w i ę z i e n i. Zresztą kto wie, czy ich los się nie poprawi, gdy Zakon straci Księgę.

Przedstawił się chłopakowi po drugiej stronie drzwi i wpuszczono go do środka. Szedł teraz długim, dobrze mu znanym korytarzem na tyłach budynku. Im bliżej krańca, tym bardziej wzrastał się zapach potu i krwi, tym żywsze były jego wspomnienia.

Bywał regularnie w Stu Diabłach przez cały rok po tym, jak porzuciła go matka, jeszcze zanim wcielono go siłą do gangu Kelly'ego. Dolph był wtedy nieco tyczkowatym nastolatkiem. Dwunastoletniemu Harte'owi wydawał się trochę nierzeczywistą postacią. Choć kulał na jedną nogę, budził w Bowery respekt wszystkich, którzy go znali, nie mówiąc o tych, którzy ośmielili się z nim zadrzeć. Harte sam pragnął podobnego szacunku dla siebie, a Dolph stał się dla niego kimś w rodzaju starszego brata, opiekunem i nauczycielem, którym jego ojciec nigdy nie był. W klubie bokserskim odnalazł bezpieczną przestrzeń – w każdym razie bezpieczniejszą niż ulice, na których spędził tyle nocy. Tu nauczył się walczyć, bronić się sposobami, które nie miały nic

wspólnego z magią. Spędzał też niezliczone wieczory na kolacjach u Dolpha i Leeny w ich mieszkaniu nad Bella Stregą.

Potem trafił mimo woli do gangu Kelly'ego i odtąd omijał ich oboje szerokim łukiem. Z Leeną ostatni raz rozmawiał ponad trzy lata temu. Teraz nagle – i mocno poniewczasie – świadomość, że nie ma jej wśród żywych, uderzyła go z całą siłą. Była od niego tylko kilka lat starsza, ale nieraz wydawała mu się bardziej matczyzna od jego własnej matki. Mimo to nawet gdy się dowiedział, że straciła dziecko, nie zaryzykował gniewu Kelly'ego – ani Dolpha – i nie odwiedził jej. I dopiero w tej chwili, osaczony zniechęca przez wspomnienia, które przedtem skutecznie od siebie odsuwał, poczuł dotkliwie jej nieobecność. Leena była zbyt uparta, zbyt niezłomna, by robić cokolwiek wbrew sobie, ale Dolph nie powinien jej narażać na takie niebezpieczeństwo.

A skoro poświęcił Leenę, która była dla niego całym światem, Harte nie miał złudzeń co do tego, ile jest warte w oczach Dolpha jego własne życie. Nie miał też skrupułów w związku ze swoim planem. Na końcu Księga będzie jego, a Dolph Saunders niech idzie do diabła.

W głównej sali treningowej zastał Dolpha w tym samym miejscu, w którym dawniej widywał go tyle razy – siedział na taborecie, z brodą opartą o srebrną gałkę laski, obserwując pojedynek dwóch swoich pięściarzy na podwyższonym ringu. Nagie torsy obu walczących lśniły potem, a ich klatki piersiowe falowały od wysiłku. Mogli mieć piętnaście, góra szesnaście lat, lecz Dolph zdążył ich już naznaczyć tatuażem: podwójnym uroborosem, żywym wężem splecionym z wężowym szkieletem.

Życie i śmierć, powiedział mu raz Dolph, kiedy jeszcze się przyjaźnili. Przetrwanie wymaga znalezienia równowagi. Groźba śmierci może stać się motywacją do lepszego życia.

Kiedyś Harte bardzo chciał mieć tatuaż Dolpha, usłyszał jednak od niego, że jako dwunastolatek jest za młody na taką decyzję. Po raz drugi rozważał to, kiedy chciał się wyrwać z gangu Kelly'ego. Dolph mógłby mu z łatwością dostarczyć sekretów, którymi by się wykupił.

Uznał wtedy, że wymiana jednego znaku na drugi to cena, którą jest gotów zapłacić, i przyszedł do klubu dać się wytatuować. Ale ponieważ zjawił się trochę za wcześnie, zobaczył przypadkiem, co się dzieje z tymi, którzy rozgniewają Dolpha Saundersa. I zrozumiał, do czego zdolny jest ten znak; do czego zdolny jest Dolph.

Nigdy tego nie zapomni – tego, jak wyraźnie młodszy od Dolpha mężczyzna kulił się przed nim, błagając o jeszcze jedną szansę. Ani tego zimnego spojrzenia Saundersa, kiedy dał sygnał swoim chłopakom, żeby unieruchomili nieszczęśnika, po czym zwyczajnie dotknął go laską. W chwili gdy srebrna Meduza weszła w kontakt z tatuażem, znak ożył. Węże pod skórą zaczęły się poruszać i atrament przybrał kolor krwi.

A potem zmienił się w prawdziwą krew. Mężczyzna wył jak opętany, aż w końcu tamci dwaj puścili go i upadł bez czucia. Powietrze w sali zrobiło się zimne i trzaskało energią, lecz Dolph w ogóle nie zwracał na to uwagi. Skinął krótko głową i jego chłopcy wywlekli mężczyznę przez drzwi – nieprzytomnego, a może już martwego.

Harte się wtedy rozmyślił, wyszedł ukradkiem i przysiągł sobie, że już nigdy nie da się nikomu naznaczyć. Odtąd wszystko będzie robił sam, ufał tylko sobie. Nawet jeśli przez to nigdy całkiem nie uwolni się od macek Kelly'ego.

Ale teraz wymyślił inny sposób. Może i szalony, wręcz samobójczy, ale Harte był wystarczająco zdesperowany, aby się go

chwycić i podjąć próbę kradzieży Ars Arcana – nie dla Dolpha, lecz dla siebie.

– Spóźniłeś się – stwierdził Saunders z właściwą sobie szorstkością. Nawet się nie odwrócił, żeby na niego spojrzeć. – Nie lubię, gdy się mnie zmusza do czekania.

– Z tego, co pamiętam, nie jestem twoim pacholkiem.

– Jeszcze nie – odparł Dolph, w końcu zerkając przez ramię, by wbić w Harte’a wzrok.

– Nie bądź taki pewny siebie, staruszk.

Dolph jak zwykle puścił to przezwisko mimo uszu. Westchnął tylko ciężko i rzucił niegdysiejszemu przyjacielowi nieprzeniknione spojrzenie.

– Cieszę się, że przyszedłeś.

Harte zbliżył się, łypiąc podejrzliwie.

– Jestem tu tylko dlatego, że dałem się wystrychnąć tej twojej siksie. – Co nie było, rzecz jasna, prawdą, ale niech Dolph myśli, że wciąż musi o niego zabiegać.

Jeden z pięściarzy trafił drugiego potężnym prawym hakiem i trysnęła krew. Parę kropli wylądowało na lśniących czarnych butach Harte’a. Musiał się powstrzymać, żeby nie wytrzeć ich z obrzydzeniem.

– Wystarczy na dziś – rzekł Dolph do zakrwawionych bokserów. – Niedobrze z tobą, Darrigan, skoro straciłeś głowę dla ładnej twarzyczki.

– Co mogę powiedzieć? Była bardzo przekonująca. Ale nie jest w twoim typie – zauważył Harte, patrząc, jak pięściarze się oddalają.

– Chociaż trochę przypomina Leenę, nie daje sobą dyrygować... Więc może jednak jest w twoim typie. Cofam to, co powiedziałem.

– Przestań – warknął Dolph.

– Gdzie ją znalazłeś? – parł dalej Harte, nic sobie nie robiąc z napięcia, jakie wywołała wzmianka o Leenie. Zdawał sobie sprawę, że to cios poniżej pasa, za który dostałoby mu się od niej, ale postanowił grać ostro. Przypomnieć Dolphowi o jego odpowiedzialności za to, co ją spotkało.

– Nie przyszedłeś tu z jej powodu. – Dolph spojrzął z ukosa. – Myślisz, że nie wiem, że ludzie Kelly’ego depczą ci po piętach?

Harte zamarł.

– Nie wydurniaj się – dodał Saunders. – Mam swoją parę oczu w każdym zakątku tego miasta. Wiem o ostatnim pożarze i wiem nawet to, że maczał w tym palce Brzytwa Riley.

Harte uniósł dłonie.

– Wiesz co? Pomyliłem się. Jednak nie mogę w to wejść – oznajmił, robiąc krok w tył, jakby zbierał się do wyjścia. – Powiedziałbym, że miło było cię widzieć, Dolph, ale nie jesteś wart tego, żeby dla ciebie kłamać. – Odwrócił się i pozwolił, by nogi poniosły go ku drzwiom, ale zanim tam dotarł, Dolph przemówił:

– Wiesz, że mogę cię ochronić przed Paulem Kellym. Twoją matkę też. Gdybyś nie był tak cholernie dumny i uparty, już dawno bym to zrobił.

Harte stanął, choć teraz jeszcze bardziej nienawidził Dolpha za to, że wiedział, jak go zatrzymać.

– Cena za twoją pomoc wciąż jest dla mnie za wysoka. Nie dam ci się wytatuować – rzekł, spoglądając w przestrzeń.

– Nic takiego nie proponowałem – odparł napiętym głosem Dolph.

– Raz już proponowałeś, dawno temu. – Harte odwrócił się do byłego przyjaciela, żeby mu pokazać, że nie da się przekabacić. – Przyszedłem tutaj i widziałem, co zrobiłeś temu człowiekowi. Co twój tatuaż mu zrobił.

Darrigan musiał potem jeszcze przez dwa lata zbierać haki na Kelly'ego, zanim wynegocjował zgodę na opuszczenie gangu, ale w końcu poradził sobie bez niczyjej pomocy. Teraz też mógł to zrobić.

– Nie zdawałem sobie sprawy... – zaczął Dolph.

– Leena o tym wiedziała? – przerwał mu Harte. – Miała pojęcie, w co się bawisz?

Wtedy odszedł ze strachu; dziś miał dość wiedzy, aby rozumieć, że tamto zdarzenie śmierdziało na kilometr magią rytualną.

Dolph zacisnął zęby.

– To nie twoja...

– Leena by tego nie pochwaliła.

– Nie zdawała sobie sprawy z grożącego nam niebezpieczeństwa.

– Dolph nabrał powietrza, jakby próbując się uspokoić. – Leena miała zbyt dobre serce jak na ten świat – rzekł cicho.

– Twoja Leena? – zaśmiał się Harte. – Może i miała w sobie coś z anioła, inaczej by z tobą nie wytrzymała, ale była też twarda jak stal i nadzwyczajnie bystra. Idę o zakład, że nieźle się wściekła, jak się dowiedziała, że babrasz się w magii rytualnej. Kupiłbym bilety, żeby obejrzeć to starcie.

Sądząc po rumieńcach na twarzy Dolpha, trafił w dziesiątkę.

– Zrozumiała – odparł Saunders.

– Na pewno – rzucił kpiąco Harte i pokręcił głową.

– Tobie się wydaje, że jestem pierwszym Maginem, który spróbował się wzmocnić w ten sposób?

– Oczywiście, że nie. – Historie o Maginach próbujących dodać sobie mocy za sprawą ceremonii albo rytualnych przedmiotów były stare jak magia. To one dały początek legendom o wiedźmach i szamanach, czarodziejskich istotach, których bali się Osobni.



Nie, Dolph nie był ani pierwszym, ani ostatnim, któremu marzyła się moc większa od tej wrodzonej.

– Czy to nie ty mnie uczyłeś, jak bardzo Zakon szkodzi prawdziwej magii, próbując okiełznać żywioły i przywłaszczyć sobie cudzą moc?

Dolph wykrzywił twarz.

– Nie było cię wtedy z nami. Nie wiesz, jak to było. Nie wiedziałem, komu mogę zaufać, a komu nie. Tak, zrobiłem to, co musiałem, żeby chronić swoich ludzi. Jak inaczej miałem zwalczać Zakon?

– Nie wiem. – Harte pokręcił głową. Dolph zdawał się w ogóle nie dostrzegać, jak wiele łamie zasad, aby osiągnąć swoje cele. – Na pewno nie stając się jednym z nich.

– Nic mnie z nimi nie łączy – odparował Dolph.

– Nie? – podchwycił Harte. – Zakon też uważa, że postępuje słusznie, że tylko broni swojej ziemi, swoich ludzi, swojego kraju. A reszta widzi to podobnie. Całe miasto im uwierzyło, że Maginów trzeba się bać, a Zakon tylko chroni zwykłych ludzi. Twój znak potrafi zabijać – i zrobił to pewnie więcej niż raz. Czym to się różni od tego, co robi Zakon? Czym ty będziesz się różnił od nich, kiedy zdobędziesz tę Księgę?

Na twarzy Dolpha drgnął mięsień. Całe jego ciało było spięte.

– Jakoś trudno mi uwierzyć, że cię to obchodzi, zważywszy na twoją zażyłość z Jackiem Grew.

– Masz rację, nie obchodzi.

Zakon, Bowery, miasto były dla Harte'a jednym i tym samym. Więziły go i ograniczały. Zrzuci te pęta, jedno po drugim, i będzie wolny – lub umrze, próbując.

W oczach Dolpha błysnęła złość.

– Przeszedłeś tutaj, bo w końcu dojrzałeś do tego, żeby do nas dołączyć, czy tylko chciałeś mi przypomnieć o moich niedoskonałościach?

To był ten moment. Harte do końca nie wiedział, czy się przemoże. Dopóki nie usłyszał siebie mówiącego:

– Chcesz mojej pomocy. Jestem gotów ci jej udzielić w zamian za ochronę. Chcę, żeby Kelly zostawił mnie w spokoju, na dobre, i żeby moja matka była bezpieczna. Ale musi ci wystarczyć moje słowo. Nie dam ci się naznaczyć. Za żadne skarby.

Zaryzykował. Jeśli Dolph odrzuci jego propozycję, będzie musiał sam poradzić sobie z Kellym. Ale gdyby Dolph upierał się przy tatuażu, dla Harte'a oznaczałoby to taką samą niewolę jak wcześniej u Kelly'ego. Nie zamierzał się na to godzić.

Przez długą minutę milczeli jak głązy, czekając, który pierwszy pęknie.

– Dobrze – odparł Dolph. Ścisnął w rękę gałkę laski z taką siłą, że białą mu kłykcie. – Wystarczy mi twoje słowo. Ale jeśli go nie dotrzymasz, zniszczę ci twoje życie, które z takim mozołem sobie zbudowałeś. Dopilnuję, żeby całe miasto się dowiedziało, kim naprawdę jesteś. Jeżeli Zakon cię nie wykończy, zrobi to Viola.

– Zgoda – rzekł Harte. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, i tak nie będzie go już w mieście. A jeśli plan nie wypali, z czym należało się liczyć, szybka śmierć z rąk Violi będzie wybawieniem od katuszy, jakie z pewnością zadałby mu Paul Kelly albo Zakon. – Muszę przyznać, że się nie spodziewałem twojej zgody.

– Sytuacja się zmieniła – odparł Dolph. – Nie możemy dłużej czekać na kolejny ruch Zakonu.

Opowiedział Harte'owi, co się przydarzyło Tilly, jak wyszano z niej magię i że walczy teraz o życie.

– Myślisz, że Krawędź się przesunęła? – spytał Harte, zmrożony tą myślą.

– Nie wiem, ale ten ostatni atak utwierdził mnie w przekonaniu, że musimy obalić Zakon. Do tego potrzebuję Księgi. Żeby ją zdobyć, muszę się dostać do Khafre Hall, a potem jeszcze się stamtąd wydostać w taki sposób, żeby nas nie pozabijano.

Harte zaśmiał się głucho.

– To wszystko?

– Raczej nie, ale to minimum. Jack Grew zatańczy, jak mu zagrasz, to tylko kwestia czasu. Dużo o nim słyszałem: ma wysokie mniemanie o sobie, łatwo ulega emocjom i bardzo chce coś udowodnić. Jest wymarzoną ofiarą.

– W tym właśnie problem – stwierdził Harte. – On wie, że wszyscy o nim słyszeli. Jest rozchwiany. Nieobliczalny. Rodzina ma go na oku. A ja nigdy nie będę jednym z nich, choćbym nie wiem jak brylował. Jeżeli go ostrzegą, raczej ich posłucha, bo ma w tej chwili zbyt wiele do stracenia. – Popatrzył znacząco na Dolpha. – Zwłaszcza po tej awanturze w Metropolitanie.

– W takim razie przekonaj go, że nic nie ryzykuje – rzekł Dolph z niecierpliwym błyskiem w oku.

– Próbowałem, ale to nie takie proste. On chce, żebym się dowiedział, co się wydarzyło w muzeum. – Przerwał na chwilę, bez mrugnięcia dając Dolphowi do zrozumienia, że wie, kto stoi za tamtą kradzieżą. – Przypuszczam, że nie chciałbyś, żeby poznał prawdę.

– Daj mu coś lepszego.

– Co proponujesz?

– Użyj dziewczyny – rzekł Dolph. – Ona pomoże ci go złapać na haczyk. Ma już przykrywkę, prawda?

– Kochanka sprzed lat – powiedział Harte, dopiero teraz uświadamiając sobie, jak dalekowzrocza była jej wczorajsza gra.

– Córka jednego z twoich mistrzów. Na pewno zna jakieś tajemnice, które Jack Grew chciałby poznać – stwierdził Dolph z uśmiechem satysfakcji. – Sekrety, dzięki którym wreszcie stałby się kimś w Zakonie. Oto czego naprawdę pragnie ten człowiek.

Harte'owi bardzo było nie w smak, że Saunders ma rację.

– Powiedziałem jej, że pracuję sam.

– Już nie. O ile mam cię chronić – odparł Dolph. – Nie musisz się godzić na tatuaż, ale będziesz pracował z Estą. Chyba że wolisz szukać zrozumienia u Kelly'ego i jego ekipy. To moje ostatnie słowo.

Harte'a rozbolały skronie od zaciskania szczęki.

– Trudno to nazwać daniem wyboru.

Dolph wzruszył ramionami.

– Zawsze ma się wybór. Pytanie, co wolisz.

– Ciebie czy Kelly'ego – wycedził gorzko Harte. – Dlaczego mam wrażenie, że to wybór między dżumą a cholera?

– Lepszy taki niż żaden – stwierdził leniwie Dolph.

Harte pokręcił głową.

– Zawsze byłeś sukinsynem.

– Trafił swój na swego – odparł Dolph z ledwie zauważalnym rozbawieniem.

– Dobrze. Niech ci będzie. Ale kiedy to się skończy, o ile w ogóle przeżyjemy, dasz mi święty spokój. Nie będziesz się ze mną kontaktował ani mnie szukał. Jakbyś w ogóle mnie nie znał. Koniec kropka.

Twarz Dolpha znów spoważniała.

– Zgoda. Ale jeśli się dowiem, że knujesz coś przeciwko mnie lub moim ludziom, nie zawaham się z tobą skończyć. Z moim tatuażem

czy bez, stracisz wszystko, co dla ciebie ważne.

– Powinieneś występować na scenie – rzucił cierpko Harte. – Umiesz robić dobry teatr. Czy to wszystko?

– To wszystko. – Dolph skinął głową. – Naprawdę dobrze cię znów widzieć – dodał już łagodniejszym tonem.

– Nie mogę powiedzieć, żebym odwzajemniał to uczucie – odparł Harte, ale kąciki ust mimowolnie mu się uniosły. – Nie pozwól, aby mojej matce spadł włos z głowy, a możesz być pewien, że dotrzymam słowa. Dostaniesz to, czego potrzebujesz. – Harte wyciągnął rękę, aby przypieczętować umowę.

Dolph uściśnął ją.

– Nie urodziłem się wczoraj, Dare. Mam kilka spraw na głowie, ale lada dzień przyślę ci Estę.

– Jak to? – Harte opuścił rękę.

– Weźmiesz ją pod swój dach. Będzie ci dotrzymywać towarzystwa, tak na wszelki wypadek.

– Nie może mieszkać u mnie. – Harte pokręcił głową. – Nie chcę, żeby mi się plątała pod nogami.

Dolph się zaśmiał.

– Kłamiesz, ale mniejsza o to. Będziesz musiał ją przygarnąć.

– Przecież wiesz, że to zrujnuje jej reputację – upierał się Harte. Aż go skręcało ze złości na tę propozycję. – To się będzie za nią ciągnęło.

– Jeśli Zakon nas pozabija, nie będzie to miało żadnego znaczenia.

– Dolph wstał z taboretu. – Lepiej skup się na dotrzymaniu swojej części umowy. Esta będzie mnie informowała o wszelkich niepożądanych sytuacjach.

Harte stał jak wryty. Z narastającą frustracją patrzył, jak Dolph bez słowa pożegnania kuśtyka tam, gdzie wcześniej zniknęli dwaj bokserzy. Kwaśny smród zaschniętej miedzianej krwi ścisnął mu

gardło. Sam już nie był pewien, czy właśnie zawarł korzystną umowę, czy nałożył sobie pętlę na szyję.

– Ach tak? – zawołał. – Przyślesz mi dziewczynę i resztę mam wykombinować sam? Ja biorę na siebie całe ryzyko, a ty siedzisz sobie w swojej bezpiecznej twierdzy?

– Dałem ci już wszystko, czego ci trzeba. – Dolph zatrzymał się i spojrzał przez ramię. – Ale...

– Tak? – rzucił Harte, coraz bardziej wściekły.

– Pamiętaj, że ta dziewczyna znajduje się obecnie pod moją ochroną – rzekł spokojnie Dolph. – Miej to na uwadze, zanim zrujnujesz jej reputację.

CZĘŚĆ

# TRZECIA



# ZRUJNOWANA

## *Port*

**M**aszyna była zrujnowana. Metalowe fragmenty tkwiły w drewnianych ścianach oraz w piersi starego montera. Wielka kula pośrodku wyglądała, jakby się nadtopiła.

Jack trącił ciało stopą. Niech to szlag.

Cały jego trud poszedł na marne. Miesiące ciężkiej pracy. Miesiące oczekiwania. Wszystko na nic.

– Posprzątaj ten bałagan – powiedział chłopakowi, który przybiegł do niego z ponurą nowiną. Rzucił mu monetę. – A potem rozpuść wici, że szukam montera. Od zaraz.

– A co z tym starym? – spytał podrostek, zerkając nerwowo w stronę zwłok.

– Wrzuć go do rzeki.

Jack wyszedł, nie chciało mu się pilnować chłopaka. Magazyn, choć rozległy, przyprawiał o klaustrofobię. Jakby ściany na niego napierały, jakby chciały wycisnąć z niego całą krew. Zaryzykował, postawił wszystko na jedną kartę, był już tak blisko! Cholera.

Przewrócił kopniakiem beczkę, zza której pierzchły dwa szczury.

Czegoś zabrakło, żeby maszyna działała jak należy. Nie było innego wytłumaczenia. Bo przecież nie uwierzy, że o n i są potężniejsi.

Rozum i logika zwyciężą.



O n zwycięży.

Teoretycznie maszyna była w pełni sprawna. Problem z pewnością dałoby się łatwo rozwiązać, gdyby tylko Wysoki Princeps pozwolił mu zajrzeć do Ars Arcana. Nie miał żadnych wątpliwości, że w tym najświętszym ze wszystkich pism Zakonu znalazłby odpowiedzi na trapiące go pytania. Niestety, do niektórych miejsc w Khafre Hall mieli wstęp tylko członkowie Wewnętrznego Kręgu, a jednym z takich miejsc było Misterium ze wszystkimi swoimi tajemnicami. Dopóki nic się pod tym względem nie zmieni, Jack będzie zdany na siebie.

Szarpiąc kołnierz koszuli, ruszył z powrotem do powozu. Kiedy ojciec się dowie, co się stało z pieniędzmi z konta powierniczego... kiedy dowie się jego stryj i reszta Wewnętrznego Kręgu...

Jezu. Nigdy go tam nie wpuszczą. Mało tego, już nigdy nie będzie mógł się pokazać w towarzystwie.

Cholera.

Potrzebował więcej informacji. Musiał jakoś sprawić, żeby Zakon mu zaufał i otworzył przed nim wrota Misterium, bo wiedział, że właśnie tam znajdzie odpowiedź. Bardzo by mu pomogło rozwiązanie zagadki kradzieży w muzeum, ale Harte Darrigan od kilku dni go unikał. Jack cierpliwie czekał, chciał dać magowi czas na rozwikłanie tej sprawy, ale w tym tempie nie zdoła ukończyć maszyny przed konklawe.

Musi ustalić, czego zabrakło, i to prędko, inaczej będzie skończony.

A przede wszystkim – musi się napić.

# SEN CZY JAWA

## *Bella Strega*

Coś się stało – nagle i nieodwołalnie, tak jak fala przewraca łódkę na morzu – i teraz Viola szła na dno. Od trzech dni patrzyła, jak jej przyjaciółka, mimo laudanum w podawanym winie, cierpi, rzuca się i jęczy. Od trzech dni chodziła w kółko albo siedziała na brzegu wąskiego łóżka, trzymając ją za rękę i szepcząc do niej wszystko to, co dawno chciała jej powiedzieć.

Czuwała przy niej dzień i noc. Tilly jej nie słyszała, lecz Viola wciąż do niej szeptała w swoim rodzimym języku, który z jakiegoś powodu wydawał jej się teraz odpowiedniejszy. Miękki, melodyjny rytm ojczystego kraju lepiej wyrażał to, co chciała powiedzieć.

Ale jej słowa i modlitwy nie wystarczyły.

Podobnie jak jej moc.

Była zabójczynią, bo tak się ułożyło jej życie na tym świecie. Bo brat potrzebował śmiercionośnej ręki do karania swych wrogów, a rodzina jego życie ceniła najbardziej. Dla nich liczyły się tylko jego sukcesy. I dlatego została zabójczynią, co nie znaczy, że jej dar był w naturalny sposób związany ze śmiercią. Bo nie był.

Ale jej moc okazała się zbyt słaba. Ona, Viola, okazała się zbyt słaba.

Nawet teraz czuła tętniącą w przyjaciółce krew, bicie jej kruchego serca, energię znamionującą istnienie życia w ciele. Nawet teraz dawała z siebie wszystko, sączyła w nią całą swoją moc. Robiła to od kilku dni, lecz na próżno; to, co w niej pękło, nie chciało się zrosnąć.

Nie mogło, ponieważ Viola miała władzę tylko nad ciałem, a to, czego doświadczyła Tilly, sięgało głębiej.

Z nastaniem świtu coś się zmieniło. Fala przetoczyła się przez pokój, zimna jak morze, które Viola przebyła, żeby się tu dostać, i Tilly przestała walczyć. Iskierka energii będąca oznaką życia jakby przygasła i Viola po raz pierwszy, odkąd ujrzała przyjaciółkę w rękach Jianyu, zaczęła się martwić, że Tilly może nie przeżyć.

Od tamtej pory twarz chorej stała się jeszcze bardziej ziemista. Dziewczyna leżała teraz nieruchomo, klatka piersiowa podnosiła się i opadała w nierównym rytmie rwanego oddechu, który rzeźił w gardle. Viola dobrze знаła ten odgłos, lecz tym razem nie mogła, nie chciała uwierzyć w to, co zapowiadał.

Prawie nie zauważyła, kiedy Esta poszła po Dolpha, ani kiedy się zjawił. Nawet gdy do pokoju zaczęli się schodzić jego ludzie, którzy kochali Tilly, którzy nieraz przychodzili do kuchni Stregi, żeby udzielił im się jej głęboki spokój, Viola prawie ich nie dostrzegała, ona, której życie płynęło wśród szumiących potoków krwi, wśród głośnego dudnienia serc.

Tego ranka, kiedy odpychała prawdę, którą miała przed sobą, nie bacząc na to, że dłonie przyjaciółki stygną, a paznokcie i opuszki bledną, wszyscy ludzie zgromadzeni w małym pokoju mogliby równie dobrze być z kamienia.

Dolph, który czuwał u stóp łóżka, zbliżył się do niej.

– Wiesz, co trzeba zrobić, Vi. Wiesz, że już czas pozwolić jej odejść.

Viola potrząsnęła głową, zacięła usta w kreskę.

– Jutro poczuje się lepiej. Jestem pewna.

Dolph położył jej rękę na ramieniu.

– Rozumiem – powiedział cicho. – Wiem, jakie to uczucie, kiedy ktoś, na kim bardzo ci zależy, powoli się oddala. I gdy serce w tobie zamiera.

Viola przełknęła żal, który tkwił jej w gardle jak kamień.

– Ona nie umiera.

– Umarła w niej magia – powiedział Dolph. – Parę dni temu. Teraz ona też odchodzi. Musimy jej pozwolić. Ty też.

– Nie umrze – powtórzyła Viola półszepem. – Będzie walczyć. Wydobrzeje. Trzeba jej tylko dać więcej czasu.

– Wiesz, że to nieprawda – odparł łagodnie Dolph. – Walczyła długo, a ty pomagałaś jej, jak mogłaś. Ale to, co ją spotkało, było zbyt straszne. Żadne z nas by tego nie przetrwało. Pomyśl, jak by to było, gdybyś straciła swoją moc. Potrafisz to sobie wyobrazić? Że nie masz kontaktu z częścią własnej duszy? Jakby ci ją wyrwano?

– Głos mu się załamał i Dolph potrzebował chwili, żeby nad sobą zapanować. – I że miałabyś żyć bez niej.

Twarz Violi wykrzywił grymas.

– Nie – szepnęła. Nagle do niej dotarło, co musiał czuć, kiedy patrzył, jak umiera Leena. Nic dziwnego, że to go tak zmieniło.

– Tilly walczyła dzielnie. Pozwól jej odejść na zasłużony odpoczynek.

Fala słusznego gniewu zagłuszyła w niej ból. Nie pozwoli, żeby jej rozkazywano. Nie stanie się narzędziem śmierci. Nie tym razem. Mocą swojego daru sprawi, że serce Tilly będzie biło dalej, i odpokutuje w ten sposób za wszystkie serca, które zatrzymała. Nikt jej w tym nie przeszkodzi. Nie Dolph Saunders. Nawet z tym swoim tatuażem.

Viola, wypełniwszy pokój swoją energią, znalazła w ciele Dolpha wszystko to, co utrzymywało go przy życiu, i zaczęła szarpać mu wnętrzności. Powoli, żeby poczuł to, co ona. Dolph zachwiał się lekko na nogach, a jego szczupłą twarz wykrzywił ból. Viola była tak skoncentrowana, że nie widziała, jak inni odsuwają się wśród nerwowego szmeru.

– Wiesz, że mam rację – wykrztusił Dolph, ściskając mocno łaskę, żeby się nie przewrócić. – Zrób jej tę ostatnią przysługę.

Viola, z oczami zamglonymi od łez, pokręciła głową, jej energia trzaskała w powietrzu.

– Uwolnij ją – powtórzył Dolph, ledwie stojąc na nogach. Żyłki na policzkach mu pociemniały, były jak wąskie strumyki wypływające na powierzchnię skóry. – Zabij mnie, jeśli musisz, ale puść ją – wychrypiał.

Tak. Zabije go za to, że w ogóle śmiał coś takiego zasugerować. Zabijała już nieraz z bardziej błahych powodów. Ale wbrew temu, co wszyscy myśleli, rzadko zadawała śmierć w ten sposób. Przed laty nauczyła się rzucać nożami, bo wiedziała, że jej bóg potępia ją za używanie daru do odbierania życia, tak jak chce jej brat, zamiast do jego ratowania, tak jak by mogła. Teraz jednak zamierzała użyć całej swojej mocy. Zaryzykuje piekielne płomienie i wszystko, co się z tym wiąże, dla Tilly. Dla siebie.

Dolph upadł na kolana; gniotła go swoją energią, czuła jego puls, jego światło... i nagle ujrzała rozbite fragmenty, których nawet ona nie była w stanie uzdrowić.

Dopiero w tej chwili uświadomiła sobie, jaki ciężar dźwigał, odkąd stracili Leenę. Odkryła jego tajemnicę skrywaną przed wszystkimi.

Opuścił ją bojowy nastrój. Powściągnęła swój dar, puściła Dolpha i osunęła się na ledwie oddychającą pierś Tilly, nie panując nad

szloch, który wydierał się z jej gardła. Leżała tak długo, wylewając z siebie smutek i ból.

Aż nie zostało w niej nic.

Aż poczuła na ramieniu ciepłą, spokojną dłoń.

Strząsnęła ją i wytarła mokre policzki.

– Już czas – rzekł Dolph. – Pozwól jej odejść w pokoju.

Viola zwróciła w stronę reszty oczy piekące od łez. Kim byli ci ludzie? Nie rodziną, w której się wychowała, w której wierzono, że więzy krwi są najważniejsze. Nie, tamta rodzina odwróciła się od niej. Chcieli, żeby była kimś, kim nie mogła się stać, więc dokonała innego wyboru. Patrząc teraz na tę zbieraninę, poczuła, że dobrze wybrała. Podobnie jak Tilly.

– Ona by nie chciała, żeby przy tym byli – powiedziała Dolphowi. – Nie życzyłaby sobie, żeby to widzieli. – Ponieważ będzie to przykry widok, a Tilly nie chciałaby, żeby cierpieli. I nie chciałaby – Viola była tego dziwnie pewna – żeby zrozumieli, do czego ona, Viola, jest zdolna.

Tilly ją przejrzała, nie dała się nabrać na maskę zimnej zabójczyni. Ta jedna osoba znająca prawdę – to Violi wystarczało. Musiało wystarczyć, bo jej rola była jej tarczą. Umożliwiała przetrwanie w świecie, który najchętniej widziałby ją martwą. Tilly to rozumiała i ofiarowała Violi swoją przyjaźń; tylko tyle i aż tyle.

Dolph skinął głową i milczący obserwatorzy zaczęli jeden po drugim opuszczać pokój. Kilku śmiazków odważyło się najpierw zbliżyć do Violi i czule pogładzić jej plecy. Jako ostatnia podeszła nowa dziewczyna, Esta.

Dotknęła jej delikatnie, jak ptak siadający na gałęzi.

– Myślę, że wiedziała, co do niej czujesz – szepnęła.

Viola potrząsnęła głową, zastanawiając się po raz kolejny, jak ta dziwna dziewczyna to robi, że czyta w niej jak w otwartej książce.

– Gardziłaby mną – odpowiedziała szeptem.

– Nie sędę. Tilly rozumiała ludzi. – Esta lekko ścisnęła jej ramię. – Kochała cię. Každy to wiedział. Nawet jeśli to nie była taka miłość, na jaką liczyłaś.

Viola chciała w to uwierzyć, a kiedy podniosła wzrok, zobaczyła, że oczy Esty szklą się od łez, ale nie ma w nich kłamstwa. Nie było w nich też oceny, której się spodziewała.

– Wciąż nie wiem, czy cię lubię – powiedziała. – Ale Tilly cię polubiła. I masz rację. Rozumiała ludzi. Dużo lepiej niż ja. Zostaniesz?

– Tak – szepnęła Esta. – Oczywiście.

Viola ze ściśniętym gardłem mogła tylko podziękować skinieniem głowy. Potem zwróciła się znów w stronę Tilly. Bała się patrzeć gdzie indziej, bała się, że gdy zamruga lub na chwilę spuści ją z oczu, przegapi jej ostatni oddech. Albo że go przyspieszy.

W pokoju zaległa ciężka cisza, przerywana jedynie świszczącym, nierównym oddechem Tilly.

– Violu... – szepnął Dolph łagodnie. – Już czas.

Zignorowała go. Wzięła dłoń Tilly w swoją i pocierała kciukiem bladą skórę, dygocąc na całym ciele od wysiłku, z jakim tłumiła w sobie falę smutku. Uniosła bezwładną rękę do swojego policzka, zamknęła oczy i przez chwilę wyobrażała sobie, że ma dość siły, aby uratować przyjaciółkę. Że to wszystko to tylko straszny sen.

Ale Viola potrafiła odróżnić sen od jawy. Ciężki zapach w powietrzu, świst z gardła Tilly. Jeszcze nigdy nie przestraszyła się widoku śmierci. Teraz też nie odwróci wzroku.

Otworzyła oczy, wzięła długi, głęboki oddech i delikatnie odłożyła rękę Tilly na jej brzuch. Potem ostatni raz szepnęła jej coś do ucha.

Tilly mrugnęła, jej oczy lekko się uniosły, a spojrzenie nabrało ostrości, jakby wróciła do siebie – tylko na moment, ale zdążyła w tym czasie rozpoznać stojącą nad nią postać i ją pożegnać.

Viola ze łzami w oczach zabrała rękę, a razem z nią swoją moc, tę ciekłą nić łączącą Tilly ze światem.

Życie i śmierć, dwie strony jednego medalu. Jej rodzina chciała w niej widzieć zabójczynię, więc nią została. Wszyscy dookoła tak o niej myśleli, zapominając, że śmierć to nic innego jak rewers życia. Ale Viola nigdy o tym nie zapomniała. Nie mogła. Próbowła uratować przyjaciółkę i poniosła porażkę.

Ostatni wysiłony oddech uniósł pierś Tilly. Potem jej ciało znieruchomiło na łóżku, a puste zielone oczy zapatrzyły się niewidząco w sufit.



## DRZEWO WIEDZY

**W** pokoju zrobiło się zimno, magia ulotniła się z niego niczym powietrze wyssane z próżni. Zazwyczaj pewna ręka Violi drżała, gdy zabójczyni nachyliła się i delikatnie przesunęła opuszkami palców po twarzy Tilly, zamykając jej powieki. Potem Viola bez słowa, nie roniąc ani jednej łzy, wpatrywała się w zastygłe ciało.

Esta przypomniała sobie nagle bladego nieprzytomnego Logana, leżącego w łóżku po feralnej akcji w rezydencji Schwaba. Jak to możliwe, że przez kilka ostatnich dni nie pomyślała o nim ani razu? Czy życie w tym mieście tak ją pochłonęło, że straciła z oczu powód, dla którego się tu znalazła? Pomyślała o wycinku bezpiecznie ukrytym tuż przy ciele – jeżeli skok się nie odbędzie, jeżeli jej obecność tutaj zbyt wiele zmieni, co się stanie z tymi wszystkimi ludźmi, których zostawiła w przyszłości?

– Chodź – szepnął Dolph, ruchem głowy wskazując drzwi. – Pozwólmy jej opłakiwać Tilly w spokoju.

W korytarzu dał znak, żeby poszła za nim. Gdy znaleźli się przy jego mieszkaniu piętro niżej, otworzył drzwi i zaprosił ją gestem do środka. Wskazał krzesło obok regału z książkami, po czym nalał sobie whisky.

Esta niemal z ulgą przyjęła fakt, że wydawał się równie wstrząśnięty jak ona tym, czego przed chwilą byli świadkami. Po wypiciu pierwszej szklanki od razu nalał sobie kolejną i usiadł w fotelu naprzeciwko niej. Z początku się nie odzywał. Zakręcił

tylko alkoholem w wyszczerbionym szkle, trzymanym w szerokich, stwardniałych dłoniach, po czym upił jeszcze jeden duży łyk. W końcu podniósł wzrok.

– Dziękuję, że zostałeś – zaczął głosem na granicy szeptu. Zaciskał szczękę, z jego oczu wyzierał ból po stracie Tilly, a może również, takie miała wrażenie, jakiś jeszcze inny.

– Drobiazg – odparła, wciąż nieco roztrzęsiona od kontaktu z gwałtowną magią Violi.

– Niezupełnie. – Cienie pod jego oczami świadczyły o wielu nieprzespanych nocach i zmartwieniach. – Ludzie na ogół nie lubią być świadkami bólu, któremu nie da się zaradzić. Wielu w takiej sytuacji woli odwrócić wzrok. W imieniu Violi – i Tilly – dziękuję, że tego nie zrobiłeś.

Siedzieli tak przez dłuższą chwilę, jak na czuwaniu. Dolph co jakiś czas upijał trochę whisky, a Esta czekała, aż coś powie albo pozwoli jej odejść, uciec od tej ołowianej ciszy.

Odstawił szklankę na bok.

– Wczoraj odwiedził mnie Harte Darrigan. Doszliśmy do porozumienia. Za to również jestem ci winien podziękowanie.

– Cieszę się, że mogłam się przydać.

– Odsyłam cię do niego.

– Co? – Usiadła prosto.

– Musisz się spakować.

– Zaraz... Oddałeś mnie jemu? – spytała z niedowierzaniem.

– Oczywiście, że nie. Chcę, żeby ktoś, komu ufam, stale patrzył mu na ręce. Po tym, co zrobiłeś w muzeum dla Jianyu i reszty, po tym, co zrobiłeś dzisiaj dla Violi... Jesteś jedną z nas. Ufam, że zdołasz go upilnować.

Esta w pierwszym odruchu chciała z nim dyskutować. Nie miała ochoty opuszczać Stregi, nie uśmiechało jej się mieszkanie pod

jednym dachem z Harte'em Darriganem. Powstrzymała się jednak. Czyż nie o to jej chodziło od samego początku? Sprawy przybierały idealny dla niej obrót – Dolph stwarzał jej szansę na zbliżenie się do maga. Szansę na pomieszenie mu szyków, zanim zniszczy im przyszłość. Nie wolno jej było tego zmarnować.

– Czego od niego potrzebujesz?

– Darrigan nie zawsze był wyrafinowanym iluzjonistą. Kiedyś niczym się nie różnił od innych chłopców z Bowery. Ale zdołał sobie zbudować nowe życie i pozyskać bardzo wpływowych przyjaciół.

– Zna ludzi Zakonu?

Dolph skinął głową.

– A konkretnie zaprzyjaźnił się z niejakim Jackiem Grew, bratankiem samego J.P. Morgana. Nie muszę ci chyba tłumaczyć, jak cenny to jest kontakt, nie po tym, co się przydarzyło Tilly. Potrzebuję informacji, a Darrigan to nasze najbardziej obiecujące źródło. Liczę, że dzięki jego koneksjom zdołamy się włamać do Khafre Hall.

Esta udała zdziwienie.

– Chyba nie zamierzasz ich okraść?

Dolph potaknął ruchem głowy.

– To większe ryzyko niż skok na muzeum – zauważyła z wyolbrzymionym zatroskaniem.

– Owszem, ale jeśli nam się uda, więcej zyskamy. Chcę położyć kres ich panowaniu nad miastem i nad naszym rodzajem. – Dolph sięgnął po jedną z książek stojących na półce. – Chcę, żeby magia była w tym kraju bezpieczna.

Otworzył książkę – był to jakiś dziennik albo księga rachunkowa. Jej strony zapisano tym samym mocnym, równym charakterem

pisma. Wyjął spomiędzy nich niewielką kopertę i wyciągnął z niej wyświechtany skrawek materiału. Podał go Eście.

Przyjrzała się dokładnie wyblakłym, niewyraźnym literom.

– To krew.

Dolph skinął głową.

– Kobieta, której bezgranicznie ufałem, Leena Rahal, poświęciła życie, żeby przekazać mi tę wiadomość.

– Co tu jest napisane? – spytała Esta, udając głupszą, niż była. Dolph nie musiał wiedzieć, że znała biegle również łacinę. – Coś o jakiejś książce?

– Słyszałaś kiedyś o Ars Arcana?

Esta pokręciła głową, nie odrywając wzroku od krwawych słów, żeby nie dojrzał kłamstwa w jej oczach.

Dolph zaczął przewracać kartki dziennika. Znalazłszy stronę, której szukał, podał go Eście. Widniał tam obrazek; z łatwością rozpoznała na nim Drzewo Wiedzy, z którym zetknęła się nieraz na lekcjach u profesora Lachlana. Ten obrazek był jednak inny. Zazwyczaj na rozłożystych konarach drzewa umieszczano symbole odpowiadające prastarym tajemnicom, alchemiczne wzory będące próbą wyjaśnienia wzajemnych powiązań między niebem a ziemią. W tej wersji drzewo płonęło, a źródłem ognia była książka. Niczym krzew znaleziony przez Mojżesza, niczym ryba pośrodku Dłoni Filozofa, książka opierała się niszczącej sile płomieni.

– Stare podania wspominają o istnieniu księgi, w której zawarto sekrety starej magii. Nazwano ją Ars Arcana, Księgą Tajemnic. Niektórzy wierzą, że opowiada o początkach magii. Inni twierdzą, że to historia Maginów, ale według jednej z legend jej posiadacz dysponuje jej mocą. Oczywiście uważa się powszechnie, że ta księga, tak jak złote runo albo kamień filozoficzny, to tylko bajka,

mit. Ale ja wierzę, że Ars Arcana istnieje naprawdę. I że znajduje się w rękach Zakonu Ortus Aurea.

– Czy dlatego...? – spytała Esta, podnosząc skrawek tkaniny.

– Między innymi – przyznał Dolph. – Ale im dłużej zgłębiam temat, tym bardziej się w tym utwierdzam. To nie jest jakiś zwykły obrazek. To skomplikowany układ symboli – płonąca księga, dookoła księżyc i gwiazdy. Niczego ci to nie przypomina? – Wskazał gestem obraz wiszący nad półkami, ten sam, który pomogła ukraść.

– Newton trzyma tę samą książkę, z tymi samymi symbolami – stwierdziła na głos, porównując jeden z drugim.

– Ten okrągły znak nazywa się Sigil Ameth. Pieczęć Prawdy. Członkowie Zakonu wierzą, że wtajemniczony czarodziej mógłby za jej pomocą zyskać władzę nad wszystkimi ziemskimi stworzeniami, a nawet nad niektórymi niebiańskimi. Ars Arcana zawiera podobno jedyną prawdziwą pieczęć. Nie sądzę, aby to był przypadek, że obraz należał do J.P. Morgana, jednego z najwyższych postawionych członków Ortus Aurea. Sądzę, że Morgan nie mógł się powstrzymać, żeby się nie pochwalić swoją wiedzą. Zakon jest w posiadaniu Ars Arcana. Jestem tego pewien.

– Chcesz wykraść Księgę – powiedziała, nie kryjąc zaciekawienia.

– Moglibyśmy wykorzystać zawartą w niej wiedzę do zniszczenia Krawędzi. Bez Krawędzi i bez Księgi Zakon będzie skończony. Mało tego, myślę, że za naszą sprawą magia – stara magia, p r a w d z i w a magia – znów będzie mogła swobodnie się rozwijać. *Libero Libro*. Księga nas uwolni.

– Czy Harte wie o tym wszystkim?

– Wie, że chodzi mi o Księgę – przyznał Dolph – i że można przy jej użyciu zniszczyć Krawędź.

I dlatego ją zabrał, zrozumiała Esta. Chciał ją mieć dla siebie.

Tylko że... dlaczego potem zniknął? Dlaczego Księga zniknęła? To nie miało sensu. Czegoś w tej układance brakowało. Będzie musiała się wykazać sprytem – i większą niż zazwyczaj cierpliwością – żeby to rozgryźć. Inaczej tylko jeszcze bardziej namiesza w przyszłości.

– Dlaczego mówisz mi to wszystko teraz? – spytała.

– Bo chcę, żebyś zdawała sobie sprawę z wagi tego przedsięwzięcia. Zrealizowanie mojego planu nie będzie łatwe. Khafre Hall to forteca. Bez pomocy z wewnątrz nic nie zdołamy. Jack Grew to nasza przepustka do środka. A Harte Darrigan jest naszą furtką do Jacka. I dlatego pójdziesz do Harte'a i dopilnujesz, żeby urobił Jacka.

Esta nie zdążyła spytać o nic więcej, gdyż przerwało im głośne pukanie do drzwi.

– Proszę – rzekł Dolph, nie odrywając wzroku od jej oczu.

Do środka zajrzał Nibs.

– Mam wiadomość.

– To włącz i mów, na co czekasz – burknął Dolph.

Chłopak skinął głową, wszedł do pokoju i cicho zamknął za sobą drzwi.

– Cokolwiek to było na Grubej Linii, już tego nie ma – oznajmił.

Brwi Dolpha zeszły się pośrodku czoła.

– Jak to nie ma?

– Nasz patrol z Fulton Street donosi, że po prostu zniknęło. Było, a potem usłyszeli jakby trzask energii i przestali to czuć.

– Kiedy to się stało?

– Parę godzin temu – odparł Nibs. – Sam byłem sprawdzić, zanim przyszedłem do ciebie. Chciałem się upewnić. I rzeczywiście, ani śladu bariery.

– Tilly właśnie wtedy się pogorszyło – zauważyła Esta.

– To prawda – potaknął Dolph z kamienną twarzą. Dokończył swoją whisky, a potem rzekł do dziewczyny: – Spakuj swoje rzeczy i leć do Darrigana. Jack Grew ma nam chodzić na pasku, zanim zginą kolejne osoby.

# KOCIĘTA TEŻ MAJĄ PAZURY

## *Mieszkanie Harte'a*

Znając Dolpha Saundersa, Harte podejrzewał, że dziewczyna już czeka na niego w teatrze. Właściwie to był pewien, że ją tam spotka. Przez całą drogę ze Stu Diabłów myślał o tym, co jej powie – o zasadach, które jej zakomunikuje, żeby znała swoje miejsce. Gdy jej tam nie zastał, poczuł się lekko rozczarowany. A kiedy nie zjawiała się po drugim spektaklu tego wieczoru, zaczął się zastanawiać, w co gra Dolph i czy na pewno zamierza wywiązać się z umowy.

Przy całej swej czujności ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewał, kiedy bardzo późną porą wszedł do mieszkania, była ona, skulona jak wyrosnięte kocię na wąskiej kanapie w pokoju dziennym. Spała twardo z głową na ramieniu, oddychała cicho i równo. Harte w pierwszej chwili stanął jak wryty. We śnie miała trochę inne rysy – jakby łagodniejsze.

Nie żeby dał się zwieść i uwierzył, że jest niegroźna – w końcu kocięta też mają pazury. A on zdążył się już przekonać, że jej pazury są wyjątkowo ostre.

Zastanawiał się, kiedy przyszła. W tej pozycji, z nienaturalnie przekrzywioną szyją, raczej nie mogło być jej wygodnie. Sukienka w odcieniu błękitu kojarzyła się z wiosennym niebem, ale brzeg miała uwalany brudem zimowych ulic. Harte aż się wzdrygnął



na widok jej mokrych butów na czystym perkalu tapicerki. Jeżeli chciał uniknąć plam, nie mógł jej tak zostawić.

Westchnął i podszedł do kanapy.

– Esta – szepnął. – Wstań.

Chyba go nie słyszała, więc pochylił się i delikatnie potrząsnął jej ramieniem.

– Powiedziałem wsta...

Sekundę później leżał już na wznak na dywanie i patrzył w sufit. Nie miał pojęcia, jakim cudem tak prędko ocknęła się z głębokiego snu, ale w mgnieniu oka podcięła go stopą i przyszpiliła rękami do podłogi. Szeroko otwarte oczy błyskały wściekle, ale nie były całkiem przytomne; dopiero po chwili, strząsnąwszy kilkoma mrugnięciami sen z powiek, ujrzała go pod sobą, a po jej wytężonej twarzy przemknął cień konsternacji.

– Oj – jęknęła.

– Puść – wykrztusił.

– Przepraszam – wymamrotała sennie, schodząc z niego. – Ale nie trzeba było mnie obłapiać – dodała kwaśno, jakby sam był sobie winien, że omal nie złamała mu karku.

– Jeśli nie chcesz być obłapiana, nie powinnaś się włamywać do cudzych domów. – Harte dźwignął się z podłogi i poszedł włączyć jeszcze jedno światło. – Poza tym wcale cię nie obłapiałem. Próbowałem cię obudzić. A twoje buty niszczą mi kanapę.

Zamrugęła i spojrzała spod zmarszczonych brwi na swoje nogi.

– Są czyste – dała odpór, lecz schyliła się i zaczęła rozpinąć buty. Zdjąwszy oba, zostawiła je rozrzucone niedbale na podłodze. Nie zadała też sobie trudu, żeby jakoś zakryć swoje zgrabne kostki.

– Jak się w ogóle dostałaś do środka? – Harte usiłował pozbierać myśli. Miał jej coś powiedzieć, miał jej coś powiedzieć, ale co? – Spodziewałem się ciebie raczej w teatrze, a nie w moim

bezpiecznym i zamkniętym na cztery spusty domu. I to w środku nocy.

– Jak widać, wcale nie takim bezpiecznym – odparła. – Poza tym jest dopiero trochę po północy. Nie zamierzałam zasnąć – dodała, tłumiąc lekkie ziewnięcie.

Włosy miała potargane, częściowo rozpuszczone, ale Harte skupił się na tym, co ważne, tylko że... chwilowo nie mógł sobie przypomnieć, co to było.

W końcu nie zdołała powstrzymać ziewnięcia. Służyło ono chyba zwróceniu uwagi na jej usta, które przypominały mu o innych rzeczach, w tej chwili niekoniecznie pomocnych.

Popełnił błąd taktyczny. To nie może tak wyglądać. Jeżeli to ma się udać, będzie musiał się skoncentrować, przejąć inicjatywę.

– To co, mam spać na kanapie czy będziesz dżentelmenem i odstąpisz mi łóżko? – Esta niewinnie zatrzepotała powiekami.

– Musiałabyś chyba spać ze mną, bo nie zamierzam z niego rezygnować.

– Nie licz na to – odparła przeciągle.

– W takim razie zostaje ci kanapa. I lepiej zapamiętaj, że nie jestem dżentelmenem.

– Tyle to sama się domyśliłam.

Wstała z kanapy i rzucając mu poduszkę, ruszyła w głąb mieszkania.

– Dokąd idziesz? – spytał.

– Muszę skorzystać z toalety – powiedziała, po czym minęła otwarte drzwi do łazienki i weszła wprost do jego sypialni.

Zanim do niego dotarło, co się dzieje, zamknęła drzwi i przekręciła klucz w zamku, zostawiając go tak, jak stał, z poduszką w ręku.

Potrzebował chwili, żeby zrozumieć, co się stało, ale w końcu przemknął jak burza przez pokój i zaczął walić w drzwi.

– Esta, otwieraj.

– Nie, dziękuję – odpowiedział jej stłumiony głos. – Dobrze mi tutaj.

– Otwieraj. Wyważę drzwi, jeśli będę musiał.

Ze środka dobiegł szelest, któremu Harte wolał nie poświęcać zbyt dużej uwagi. Niemożliwe, żeby to był szmer zsuwanych halek albo rozsznurowywanej sukni. Nie, nie będzie myślał o tym, że ona się tam rozbiera. Niechby nawet się rozbierała, jego to nie obchodzi.

– Jak uważasz. To twój dom – odparła beztrąsko.

Harte rozgarnął włosy palcami.

– Co ty tam robisz?

– A jak myślisz?

W nagłym przebłysku wyobraźni ujrzał ją w swoim łóżku, z ciemnymi włosami rozrzuconymi na poduszce, ale zamknął ten obraz w mentalnej szufladzie i wyrzucił klucz.

– Myślę, że próbujesz zająć moje łóżko – odparł, jęcząc w duchu nad swoim pechem.

– Nie wiem, czy „próbujesz” to właściwe słowo na tym etapie. – Jej głos rozlegał się teraz bliżej drzwi.

Jeżeli dopnie swego, jego łóżko będzie nią pachniało i już nigdy nie zmruży w nim oka. Znów uderzył z całej siły, po czym spojrzął na drzwi. Prawdopodobnie zdołałby je wyważyć.

– Esta, oddawaj moje łóżko.

Drzwi się uchyliły i ujrzał w szparze jej twarz. Na ramionach nie miała niczego prócz koronkowych szelek koszuli, a rozpięte włosy opadały luźnymi falami wokół szyi.

– Potraktuj to jako szansę, żeby się poprawić – powiedziała, rzucając mu jakiś mały przedmiot.

Chwycił go instynktownie, co dało jej dość czasu na zatrzaśnięcie mu drzwi przed nosem i ponowne zamknięcie ich na klucz.

– Szansę, żeby się poprawić? – Spojrzał, co trzyma w ręku: był to kieszonkowy zegarek, który zniknął z jego marynarki na wernisażu w Metropolitanie. – Co przez to rozumiesz?

– Dokładnie to, co powiedziałam, Darrigan – zawołała zza drzwi.  
– Kiedy z tobą skończę, będziesz prawdziwym dżentelmenem.

Rano zbudził się z szyją zeszywniałą od spania na kanapie. Usiadł i potarł twarz, by szybciej dojść do siebie i uwolnić się od niespokojnych snów o ciemnych jedwabistych włosach i koronkowych koszulach. Wciąż miał na sobie wczorajsze ubranie, ponieważ nie mógł się dostać do swojego pokoju. Teraz jednak spostrzegł, że drzwi do sypialni są otwarte na oścież.

Zbliżył się ostrożnie i zobaczył niepościelone łóżko. Pośrodku materaca, obok skotłowanej kołdry, widniało lekkie wgniecenie po śpiącej osobie, ale dziewczyna zniknęła. Nie było jej też w maluteńkiej kuchni. Kiedy naciągał świeżą koszulę, przyszło mu naiwnie do głowy, że może wszystko, co się wydarzyło zeszłej nocy, było jednym wielkim sennym koszmarem. I wtedy właśnie usłyszał dobiegające z łazienki fałszowanie.

Zapukał.

– Esta?

Śpiew ucichł.

– Nie mówiłeś, że masz wannę! – zawołała.

– Ani nie pozwoliłem ci z niej korzystać – odparł, stanowczo odpychając od siebie obraz Esty moczącej się w białej porcelanowej wannie. Mniejsza o to, że wtargnęła do jego sanktuarium, do miejsca, w którym lubił sobie przypominać, jak bardzo jego nowe życie różni się od starego. Jeszcze tego brakowało, żeby sobie

zaczął wyobrażać jej oliwkowe nogi albo dowolną inną część jej nagiego ciała, zanurzone w ciepłej wodzie. Jego ciepłej wodzie.

Rozległ się chlupot, a chwilę później drzwi się otworzyły. Esta stała przed nim zawinięta w jeden z jego wielkich ręczników. Pojedyncze kosmyki spiętych u góry włosów opadały jej na ramiona, znów obnażone, i kleiły się do mokrej skóry. Krople wody ściekały po szyi i po nogach, tworząc kałużę na wykafelkowanej podłodze.

Przez chwilę nie był w stanie myśleć, a co dopiero się odezwać.

– Masz w a n n ę – powtórzyła tonem zachwytu. Twarz miała wypucowaną, różową od gorącej wody. Uśmiechała się do niego, jakby uratował jej życie. – Zostaję tu na zawsze.

A potem zamknęła mu drzwi przed nosem. Z n o w u.

Opuszczone dłonie same zacisnęły mu się w pięści. Musiał wziąć parę głębszych oddechów. Przypomnieć sobie, że koniec końców warto. Warto się pomęczyć, żeby później móc opuścić to miasto jako wolny człowiek i zostawić wszystko za sobą.

Odwrócił się bez słowa, wziął pomarańczę z miski na kuchennym blacie, chwycił kapelusz i płaszcz z wieszaka, po czym wyszedł, z trzaskiem zamykając drzwi. Pójdzie do teatru. Do ludzi, którzy wprawdzie połykali noże, tańczyli z niedźwiedziami albo pląsali półnago po scenie, ale przynajmniej nie doprowadzali go do szaleństwa.

# ZAPACH ZDRADY

## *U Paula Kelly'ego*

**W**raz z nadejściem cieplejszych dni najbardziej zdesperowanym nowojorczykom puszczały hamulce. Wiosna oznaczała więcej statków, więcej imigrantów marzących o wykrojeniu dla siebie kawałka zgniłego owocu, jakim było to miasto. A kiedy wiosna zaczynała roztaczać w powietrzu obietnicę lata, gorące głowy stawały się jeszcze gorętsze. Nowi chłopcy zawsze mieli coś do udowodnienia i często próbowali nożem lub rewolwerem wydrzeć jakiś ochłap terytorium. Skrzyżowania ulic. Boczne zaułki. Nic, za co warto umierać, ale to ich wcale nie zniechęcało.

Ze swoją laską i kuśtykaniem Dolph nie mógł nie zwracać na siebie uwagi potencjalnych straceńców. Łatwiej byłoby zrobić to, co miał do zrobienia, pod osłoną nocy, ale pewne sprawy wymagały światła dziennego – choćby dla wysłania mocnego sygnału, że nie boi się nikogo w tym mieście. Ani Zakonu Ortus Aurea, który od zawsze spychał takich jak on do rynsztoka, ani facetów z Tammany, którzy wspinali się na szczyty władzy i natychmiast zapominali, że pochodzą ze slumsów, ani Paula Kelly'ego, który – wszystko na to wskazywało – zamierzał wzmocnić swoją pozycję.

Kelly lubił zgrywać jaśniepana i gdyby nie krzywy nos, pamiątka po boksterskich czasach, może udałoby mu się wtopić w tłum

w operze. Na pewno nie załował pieniędzy na odpowiednie ubrania. Jednak w głębi duszy Kelly – wbrew temu, co mogłoby sugerować jego przybrane nazwisko – był chłopakiem z włoskiej prowincji. Stylowe ciuchy, rozrzutność – wszystko to stanowiło tylko przykrywkę pozwalającą udawać, że różni się od innych makaroniarzy, którzy dopiero co przybili do brzegu, a teraz paprzą się w błocie Nowego Jorku.

Gdy Dolph wszedł do środka, ludzie Kelly’ego wyprężyli się jak struny, sięgając po rewolwery schowane za pazuchą, lecz Kelly uspokoił ich ruchem dłoni.

– Dolph Saunders. *Quel est votre plaisir?* – spytał, przechodząc na płynną francuszczyznę.

A więc nie chce, żeby jego chłopcy słyszeli naszą rozmowę, pojął Dolph.

– *Il est temps de rappeler vos hommes.* Pora, żebyś odwołał swoich ludzi.

Szerokie usta Kelly’ego się wykrzywiły.

– Nie wiem, czy mogę to zrobić. Moi chłopcy mają dużo frajdy. – Wskazał ruchem głowy Johna Torrio, siedzącego przy stole w głębi pomieszczenia.

– Ten pożar to był o jeden krok za daleko – wycedził Dolph. – Zginęło sześć osób, w tym czworo dzieci.

Kelly nonszalancko wzruszył ramionami.

– Powiedziałeś, że mam wyrzucić presję na Darrigana.

– Na Darrigana, owszem – odparł Dolph. – Ale nie umawialiśmy się na zabijanie niewinnych ludzi.

– W tym mieście nikt nie jest niewinny – stwierdził Kelly. Wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki srebrne pudełko i nie spiesząc się, wybrał jednego z cienkich, idealnie zrolowanych papierosów.

Ma styl, przyznał mu w myślach Dolph i poczuł się nagle staro jak na swoje dwadzieścia sześć lat. Kelly był od niego tylko parę lat młodszy, ale miał w sobie jakąś świeżość, inny styl, który przyciągał tych chłopaków. I mógł stanowić poważne zagrożenie – jeśli dotrze do szerszego grona.

Nie czekając na zaproszenie, Dolph usiadł naprzeciwko Kelly'ego.

– Nawet jeśli – odrzekł – to nasza umowa przestaje obowiązywać. Złowiłem już Darrigana.

Kelly dwa razy zaciągał się długo papierosem i wypuszczał kłęby dymu szerokimi nozdrzami.

– Wiesz, tak się zastanawiałem... Do czego Dolphowi Saundersowi może być potrzebny Harte Darrigan? I po co Harte Darrigan węszyłby z pomocą Jacka Grew, członka Zakonu? Pomyślałem, że to nie może być zbieg okoliczności. – Zmrużył oczy i znów się zaciągnął. – I zadałem sobie pytanie: co oni wiedzą, czego ja nie wiem?

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – odparł gładko Dolph. – Harte od początku był mój, dlatego się o niego upomniałem.

– Ładna bajeczka. – Kelly uśmiechnął się, nie wyjmując papierosa z ust. – Ale ja w nią nie wierzę. Sam nieraz wyciągałeś rękę po cudze. A właśnie, jak się miewa moja kochana siostrzyczka?

Dolph uraczył go chłodnym uśmiechem.

– Przesyła gorące pozdrowienia. I wiązanek przekleństw, których nie mogę powtórzyć w tak szerokim gronie. Twoim chłopcom mogłyby od nich zwiędnąć uszy.

– Cała Viola. – Kelly rzucił Dolphowi wyzywające spojrzenie. – Prędzej czy później cię zdradzi i wróci do mnie. Ona wie, jak ważna w życiu jest rodzina. *Il sangue non é acqua.*

– Nie wiem, czy akurat ona jest o tym święcie przekonana.

– Przekona się – odparł Kelly. Była to czytelna groźba.



– Jest pod moją ochroną.

– Na razie – rzekł gładko Kelly, po czym zmienił temat. – Dużo się ostatnio słyszy o tym wielkim raucie, który chłopcy z Zakonu organizują pod koniec roku. O tym całym konklawe. Podobno będą tam wszyscy, którzy cokolwiek znaczą.

– Pod warunkiem że należą do Zakonu.

Kelly nawet nie mrugnął okiem.

– W takim razie może zostanę członkiem.

Dolph zaśmiał się, lecz po chwili zrozumiał, że to nie żart.

Kelly pochylił się z wyrazem determinacji w oczach.

– Nie jestem jak ty, Saunders. Ja chcę zostać kimś.

– Już jesteś kimś – zauważył Dolph. – Kontrolujesz połowę ulic na południe od Houston Street. Nie potrzebowałeś do tego pomocy Zakonu.

– Nie potrzebowałem, ale nic by się nie stało, gdybym miał taką potęgę po swojej stronie, prawda? – Wyszczrzył zęby w chytrym uśmiechu, który przepełnił Dolpha głębokim niepokojem.

– To mrzonka, Kelly. Zakon przyjmuje tylko swoich. Możesz być potężny, możesz nawet mieć pieniądze, ale dla tych błękitnokrwistych to zawsze będzie za mało...

Kelly zaciągnął się niespiesznie papierosem i zerkał na Dolpha, jakby rozważając, czy warto wyjawić wszystko. Potem, obracając niedopałek w mięsistych palcach, zgasił go w kryształowej popielniczce.

– Może masz rację. Ale tak jak mówię, zaciekało mnie to i zacząłem nadstawiać uszu. I wiesz, co usłyszałem? Że ostrzysz sobie zęby na jakąś książkę, którą ma Zakon.

Dolph zamarł. Ktoś się wygadał. Ktoś, komu zaufał, powiedział więcej, niż powinien. W jego gangu było słabe ogniwo, a może nawet zdrajca.

– I pomyślałem sobie: Dolph Saunders i ja, obaj jesteśmy inteligentni, czytani i tak dalej. Ale żadna książka nie jest warta tego, żeby założyć za skórę burmistrzowi i jego koleżkom. Chyba że to naprawdę potężna książka.

– Gdyby te pogłoski były prawdziwe, zasłużyłbym swoją głupotą na wszystko, co by mnie spotkało – odparł Dolph, z ostentacyjnym rozbawieniem odchylając się na oparcie.

Kelly uśmiechnął się, jakby przejrzał go na wylot.

– Struganie wariata do ciebie nie pasuje, Rudolpho.

Dolph przez chwilę milczał. Jego twarz ani drgnęła.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– A więc tak to ma wyglądać? – Kelly wzruszył ramionami i zapalił kolejnego papierosa. – Dobrze. To nie jest herbatka u cioci. Jeśli chcesz, żeby moi chłopcy zostawili Darrigana w spokoju, będziesz musiał dać mi coś więcej, coś, czego on sam nie może mi dać. A obaj wiemy, że Darrigan wiele potrafi... Ta Księga, z tego, co słyszę, też wiele potrafi... Może nawet więcej niż ty.

– Umowa to umowa, Kelly. – Dolph wstał z miejsca. – Dałem ci już wszystko, czego potrzebowałeś, na temat burmistrza. Poza tym Darrigan spuścił z tonu.

Paul Kelly roześmiał się, buchając dymem z nosa niczym jakaś demoniczna bestia.

– Nie jestem twoim psem, Saunders. Nie będziesz mi rozkazywał. Z mojego punktu widzenia Darrigan wciąż należy do mnie. Jeśli chcesz go mieć dla siebie, będzie cię to kosztować.

Kelly nie skończył jeszcze wypowiadać tych słów, a Dolph już się zastanawiał, jak sobie poradzi z tą nową sytuacją. Zacisnął palce na gałce laski.

– Czego chcesz?

– Żebyś oddał mi Stregę.

Dolph się roześmiał.

– Prędzej spotkamy się w piekle.

– Ty to powiedziałaś – odparł bez wahania Kelly.

– Pożałujesz dnia, w którym wszedłeś mi w drogę.

Paul Kelly wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Wątpię, Saunders. Bardzo w to wątpię.

Dolph odszedł bez słowa. Gdyby był ze sobą szczerzy, przyznałby, że już od wielu tygodni gęstniała wokół niego atmosfera zdrady – nerwowa energia kłamstwa, gorączkowe oczekiwanie, jakie towarzyszy rzutowi oszukaną kością do gry.

Ale Dolph nigdy nie był przesadnie szczerzy, a już na pewno nie teraz, kiedy tyle stracił. I kiedy tyle zależało od utrzymania tych strat w tajemnicy.

# POKUSA PRZYBIERA RÓŻNE KSZTAŁTY

## *Teatr Wallacka*

**W** garderobie Harte'a butelka najtwajnu nadal tkwiła na stoliku przed lustrem. Mógłby przysiąc, że go woła, odkąd jego niewielkie mieszkanie stało się również domem Esty.

Sama obecność dziewczyny burzyła jego schludne, uporządkowane życie – a to fałszywym śpiewem dobiegającym zza drzwi łazienki, za którymi moczyła się w porcelanowej wannie, a to jedwabnymi pończochami rzuconymi niedbale na meble w salonie. Subtelna woń używanego przez nią kwiatowego mydła miała się nijak do jej twardego uporu w każdej sprawie, a mimo to jakoś do niej pasowała. Całe mieszkanie było nią przesiąknięte i Harte podejrzewał, że ten zapach nie zniknie nawet po jej wyprowadzce.

Bo przecież Esta nie będzie u niego mieszkała w nieskończoność. Wyniesie się, gdy tylko ich wspólna misja dobiegnie końca. Zresztą on też planował się wtedy wynieść.

Krzyżyk na drogę.

Chciał, żeby się wyniosła.

Chciał odzyskać swoje życie.

Chciał się uwolnić z tej sieci, w którą się zaplątał. Sięgnął po butelkę najtwajnu i zakręcił ciemnym płynem w środku.

W otwartych drzwiach garderoby stanęła Evelyn.

– Wyglądasz okropnie – oznajmiła.

– Dzięki.

Nie kłamała. Miał mocno podkrążone oczy z niewyspania. Ale jak miał się wysypiać na tej niewygodnej kanapie, na której ledwie się mieścił, w dodatku wiedząc, że kilka kroków dalej leży ona? Może za długo nie był z kobietą. Tak, to musiało być to.

Zerknął na Evelyn.

– Co? – spytała z chytrym uśmiechem, jakby czytając w jego myślach.

– Nic – odparł prędko. To byłby błąd jeszcze większy niż kieliszek najtwajnu.

Lecz Evelyn najwyraźniej go przejrzała, bo już sunęła niespiesznym krokiem w jego stronę. Czuł pieśczoć jej magii. Powinien ją powstrzymać – już, teraz, na co czekał? – ale to muskające ciepło przynosiło ukojenie jego duszy. Tej części duszy, która miotała się jak pantera w klatce od czasu, kiedy pierwszego dnia Esta otworzyła drzwi do łazienki w samym ręczniku. W ręczniku, na litość boską. Czy można wymagać od mężczyzny, że oprze się takiemu widokowi?

Harte mimo wszystko się oparł. Tamtego dnia przed spektaklem musiał sobie zafundować długi spacer i dwa kieliszki czegoś mocniejszego, ale nie wrócił do mieszkania, dopóki nie miał pewności, że Esta położyła się już spać. Evelyn też go nie usidli. Najgorsze, co można zrobić, to wdać się we flirt z syreną.

– Potrzebujesz czegoś? – spytał ją, przeglądając się w lustrze. Sięgnął po pędzelek oraz słoiczek z proszkiem antymonowym i zaczął go sobie nakładać na skórę pod oczami, ale niechcący rozmazał proszek trzęsącymi się dłońmi. Zaklął cicho.

– Daj – powiedziała Evelyn i zabrała mu pędzelek. Usiadła Harte'owi na kolanach i zanim zdążył zaprotestować, zaczęła ścierać

rozmazany proszek czubkiem palca. Każdemu dotknięciu towarzyszyły niewidzialne, relaksujące iskierki ciepła.

Patrząc z bliska, uświadomił sobie, że jej oczy mają niezwykle błękitny odcień. Były jak otwarte morze. Kojarzyły się z wolnością i nieograniczonymi możliwościami.

Czerwone usta Evelyn zbliżyły się do niego, gdy delikatnie nakładała mu proszek pędzelkiem na obrzeża oczu. Nie pamiętał, kiedy ostatnio czuł się tak odprężony. Miękki ciężar jej ciała na kolanach był jak kotwica w porcie wśród morskiej burzy.

Kiedy skończyła, ostatni raz przesunawszy kciukiem pod jego lewym okiem, nie był już w stanie dłużej się powstrzymać. Ich usta splotły się ze sobą. Smakuje winem, przemknęło mu przez myśl, gdy przyciskał ją do siebie, z każdą chwilą pragnąc jej coraz bardziej. Ich wargi gniotły się z niecierpliwą pasją.

On tonął, a ona była powietrzem.

– Ależ piękny obrazek – odezwał się głos gdzieś na obrzeżach jego świadomości, lecz Harte go zignorował, zanurzając się cały w pocałunku.

Dopiero gdy Evelyn została od niego oderwana i zachłysnął się powietrzem, dotarło do niego, że to Esta weszła do garderoby. Trzymając Evelyn za włosy, wlekła ją w stronę drzwi. Osłupiały Harte przyglądał się temu bez słowa.

– Ty suko! – warknęła Esta, wyrzucając Evelyn za drzwi. – Jeszcze raz się do niego zbliżysz i będzie po tobie.

– Myślisz, że mnie powstrzymasz? – spytała szyderczo Evelyn.

– Zostawię to Dolphowi Saundersowi.

– Saundersowi? – Evelyn nagle zrzęła mina.

– A więc się rozumiemy – stwierdziła Esta, jeszcze bardziej podkreślając udawany akcent.

– Wszystko jasne – fuknęła Evelyn. – Pożałujesz tego.

Esta nie pofatygowała się, żeby odpowiedzieć, tylko zamknęła jej drzwi przed nosem. Kiedy zwróciła się do Harte'a, jej złote oczy pałały ogniem.

– Masz coś na twarzy – powiedziała, po czym wzięła ze stołu szklankę wody i bez ostrzeżenia chlusnęła mu nią w twarz.

Harte na chwilę zaniemówił.

– Co...?

– Och, daruj sobie. Masz szczęście, że się zjawiłam. – Założyła ręce.

– Nie mogę uwierzyć, że dałeś się tak omotać.

– Nie twoja sprawa. Jestem dorosły – odparował bardziej zaniepokojony niż wściekły. Co tu się właściwie wydarzyło?

– Po tym, co tu odstawiłeś, mam wątpliwości. Strach cię zostawić samego. – Pokręciła głową. – Tyle tu magii w powietrzu, że można się udusić.

– Magii? – spytał oszołomiony. Wciąż nie było dla niego jasne, co się dzieje... Co się stało.

Esta patrzyła mu w oczy, jakby czekała, aż sam do tego dojdzie.

I wtedy to poczuł – dar Evelyn wciąż krążył po garderobie, wił się wokół niego jak opiumowy dym. Wciąż do niego wołał. Cholera. Akurat kiedy powinien mieć się najbardziej na baczności, dał sobie całkiem zaćmić umysł.

Spojrzał w lustro i dopiero teraz spostrzegł, w jakim jest stanie – ciemne strużki pod oczami od wody, czerwona otoczka wokół ust, jak u klauna. Nic dziwnego, że Esta patrzyła na niego, jakby chciała go zabić. On sam chciał się zabić na myśl o tym, jaki był głupi, że pozwolił się dotknąć Evelyn.

– Nie ma za co – rzekła.

– Co ty tu w ogóle robisz? – spytał, wyładowując na niej swoją frustrację.

– Unikasz mnie – oznajmiła ze zmarszczką na czole. – Wczoraj nie wróciłeś na noc.

– Wróciłem, ale już spałaś. – Harte próbował zetrzeć szminkę z ust.

– Nie było cię rano.

– Wyszedłem wcześniej.

– Tak jak mówię, unikasz mnie. Obiecałeś Dolphowi, że pomożesz zwerbować Jacka. Zawarliście umowę.

Ale Harte miał dość kobiet jak na jeden dzień.

– Dolph niech idzie do diabła.

– Czy ty naprawdę nic nie rozumiesz? – zawołała. – Ludzie znikają. Tilly nie żyje. – Na tym ostatnim słowie załamał jej się głos.

– Nie żyje? – Harte nie wiedział. – Słyszałem, że jest ranna, ale...

– Umarła. – Esta zgarbiła ramiona, cały ogień nagle z niej uszedł.

– Kiedy?

– Parę dni temu. Zanim Dolph mnie tu przysłał.

– Przykro mi – rzekł cicho.

– Czy rzeczywiście? – spytała chłodnym tonem. Nie odpowiedział.

– To, co robimy – mówiła dalej – jest ważne. Tu nie chodzi tylko o Dolpha, o ciebie czy o mnie. Nie obchodzi mnie, co o mnie myślisz ani jak bardzo jesteś zły, że musisz znosić moje towarzystwo. Ja też nie robię tego dla przyjemności. Ale powinienes się wziąć w garść i zabrać do roboty, zanim stracisz Jacka Grew. Zanim znowu ktoś zginie – dodała łagodniejszym tonem.

Jej słowa były dla niego policzkiem, ale kiedy dostrzegł smutek wyzieraający z jej oczu, stłumił w sobie poczucie winy. Tylko zgrywała przed nim niewiniątko. Była tutaj, bo Dolph Saunders zapędził go w kozi róg, ale wiedział, że to niejedyne powód.



– Piękna mowa. Ale powiedz mi coś, Esto. Co tu robisz tak naprawdę?

W jej oczach błysnął niepokój.

– Nie wiem, o co ci chodzi. Dolph kazał mi cię pilnować. Co innego miałabym tu robić?

– Ty mi powiedz. Kim jest ten starzec? – spytał Harte, robiąc krok w jej kierunku.

– Co? – Eście krew odpłynęła z twarzy. – Nie mam pojęcia, o czym mówisz. – Odwróciła się, żeby odejść, ale chwycił ją za nadgarstek.

Pamiętał obrazy, które mignęły mu przed oczami, kiedy poprzednim razem pocałował ją w swojej garderobie.

– Ten stary człowiek chodzący o kuli. W pokoju z mnóstwem książek. Wiem, że jest ktoś taki.

– Skąd miałbyś to wiedzieć? – szepnęła, nie próbując zaprzeczać. Jej złote oczy zrobiły się wielkie z niedowierzania.

– Wiem, że Dolph nie jest jedynym powodem, dla którego się u mnie zjawiał – naciskał Harte, ignorując jej pytanie. – Masz swoje własne powody. Ten starzec kazał ci odnaleźć maga.

– Proszę, puść – odparła, próbując się uwolnić. – To boli.

Dopiero teraz uprzytomnił sobie, jak mocno ścisnął jej nadgarstek. Natychmiast ją puścił.

– Przepraszam – rzekł, przejęty zaczerwienieniem, jakie powstało na jej delikatnej skórze.

Zaczęła rozcierać nadgarstek, a Harte zrobił krok do tyłu, zawstydzony tym, jak łatwo stracił panowanie nad sobą. Jak łatwo stał się synem swego ojca.

Kiedy znów na nią spojrzął, mierzyła go chłodnym wzrokiem.

– Zajrzałeś mi do głowy. – Zrobiła krok naprzód, zmniejszając dystans między nimi. – To twoja specjalność? Wdzierasz się ludziom

do głów, włączysz z butami w ich najskrytsze myśli? Zdajesz sobie sprawę, jakie to jest złe?

Zignorował zalewającą go znajomą falę wstydu.

– Przyparłaś mnie do muru w mojej własnej garderobie, okłamałaś Evelyn w sprawie tego, kim jesteś. Jakie miałem inne wyjście? Musiałem się bronić. Musiałem zrozumieć, w co ze mną grasz.

– Dlatego mnie pocałowałaś – odgadła, unosząc palce do ust. – W takim razie masz już odpowiedzi na swoje pytania. – Zadarła brodę, spoglądając ze wstrętem. I, jeśli się nie mylił, ze strachem.

– To tak nie działa – odparł. Był wściekły na swoje ograniczenia. I wściekły, że to, co zrobił – kim j e s t – ją przeraziło... Tak jak kiedyś jego matkę.

Zaśmiała się niewesoło.

– Myślisz, że w to uwierzę? – spytała, lecz drżący głos zadawał kłam udawanej stanowczości.

– Kiedy to prawda. Doznaję tych przebłysków pod warunkiem, że jestem bardzo skupiony, a wtedy, przypomnij sobie, raczej trudno było mi się skoncentrować. – Schował dłonie do kieszeni. – Zobaczyłem tylko starca w bibliotece, mówił: „Znajdź maga”. To wszystko. Nic więcej nie wiem. – Nie odwrócił wzroku, wpatrywał się w nią nieustępliwie. – Kim on jest, Esto? Muszę wiedzieć, czego ode mnie chcesz. Po co naprawdę tu jesteś.

Esta zacisnęła wargi. Harte’owi przez chwilę wydawało się, że dalej będzie go okłamywać. W końcu przemówiła.

– To mój ojciec. – Głos jej drżał, ale spojrzenie miała stanowcze. – W każdym razie tak o nim myślę. Wychował mnie. Nauczył otwierać zamki i kraść portfele. To dzięki niemu jestem, kim jestem.

Przyglądał się jej badawczo, wypatrując oznak fałszu, ale znalazł tylko wyraz dojmującego bólu, który sam dobrze znał.

– Gdzie on teraz jest?

– Nie ma go – odparła rwącym się głosem. – Nie żyje.

Harte poczuł się jak skończony kretyn.

– Przepraszam. Nie wiedziałem...

– No cóż... – Zacisnęła usta. – Niezły ten twój dar, nie ma co.

Harte zignorował ten docinek.

– Skoro nie żyje, dlaczego dalej szukasz maga?

Esta oblizwała wargi.

– Bo mi kazał. Potrafił wejrzeć w przyszłość. Jego dar był darem przewidywania.

– A dlaczego musiałaś mnie znaleźć?

Nabrała tchu, wciąż mocując się wewnętrznie sama ze sobą, w końcu jednak spojrzała mu prosto w oczy.

– Powiedział, że znikniesz z tą Księżą, na której tak zależy Dolphowi. I że wtedy Księża przepadnie na zawsze. A my stracimy jedyną szansę na pokonanie Zakonu.

– I uwierzyłaś mu? – Ton Harte’a nagle się ochłodził.

– Nigdy nie powiedział nic, co by się nie potwierdziło – odparła. I to przynajmniej zabrzmiało jak szczerą prawdą.

– Wierz mi albo nie, ale wcale nie zamierzam zniszczyć Księżki.

– Wierz mi albo nie, ale bym ci na to nie pozwoliła.

Pokręciła głową i wyszła.

Po jej wyjściu garderoba wydała się Harte’owi dziwnie pusta, jakby Esta zabrała ze sobą coś ważnego. Jeszcze raz spojrzał w lustro, na smugi pod oczami, na czerwień wokół ust, która przypominała krew.

Kto wie, jak daleko posunęłaby się Evelyn, gdyby nie interwencja Esty? Był jej za to winien wdzięczność, nawet jeśli zrobiła to wyłącznie dlatego, że Dolph potrzebował jego pomocy. Nie miał jednak pomysłu, jak się jej odwdzińczyć inaczej niż zdradą.

## SZKLANA TRUMNA

Harte wciąż jej unikał. Do mieszkania wracał późno, długo po jej zaśnięciu, a kiedy budziła się rano, już go nie było. Może to i lepiej, po tym, jak odsłoniła się przed nim w teatrze. Przyparł ją do muru, musiała działać instynktownie. I tylko szkoda, że jej instynkt zazwyczaj wpędzał ją w kłopoty. Tak jak kiedyś z Loganem.

Ale z każdym kolejnym dniem wycinek z gazety uparcie głosił śmierć Dolpha.

Wystarczy. Miała zadanie do wykonania – potrzebowała tej Księgi i potrzebowała Klucza Isztar. A skoro Dolph był przekonany, że niczego nie wskórają bez Harte'a, potrzebowała również jego. Nie mógł jej unikać w nieskończoność.

Po śniadaniu skierowała swoje kroki prosto do teatru. Na miejscu zamiast Harte'a zastała jednak rudą jędzę.

– Wróciłaś – rzekła Evelyn tonem, który zdawał się mówić: „Idź precz”

– Oczywiście. I zamierzam tu bywać regularnie – odparła Esta ze swoim udawanym akcentem, ruszając w stronę garderoby Harte'a.

– Nie ma go tam – rzuciła za nią kobieta z nutą drwiny w głosie.  
– Jest na dole.

Esta wyprostowała ramiona, posłała Evelyn lodowaty uśmiech i zawróciła ku labiryntowi korytarzy za sceną. Odnalazłszy schody, zeszła po nich do wilgotnego pomieszczenia w piwnicy teatru.

Wydawało jej się, że słyszy wodę; czyżby teatr zbudowano nad jedną z podziemnych nowojorskich rzek? Idąc w stronę światła, usłyszała wypowiedaną znajomym głosem wiązaną przekleństw.

– Harte? – zawołała, brnąc przez zagracony magazyn, aż dotarła do miejsca, w którym pracował.

Mag znów popisał się sztuczką: chłopak, którego miała przed sobą, wyglądał jak typowy pracownik dowolnej fabryki w mieście. Znoszone brązowe spodnie, przytrzymywane jedynie szelkami, zsuwały mu się z wąskich bioder, mokra od potu koszulka bez rękawów odsłaniała nagie ramiona. Prezentował się w tym stroju swobodniej i bardziej ludzko niż kiedykolwiek wcześniej.

Potem podniósł przyłbicę maski spawalniczej i popsuł to wrażenie.

– Wskakuj – rzekł, wskazując stół, na którym leżało dziwne podłużne coś, ni to trumna, ni to akwarium. W spojrzeniu Harte'a było coś dzikiego.

Esta zrobiła krok do tyłu.

– Nie żartuję. Wskakuj. Muszę sprawdzić, czy się mieścisz.

– Po co? – spytała podejrzliwie. – Szukasz sprytnego sposobu na pozbycie się mojego ciała?

– Nie powiem, żeby nie przyszło mi to do głowy – odparł ironicznie.

Zagryzła wargę, żeby się nie zaśmiać.

– To miłe, że szarpnąłeś się na trumnę ze szkła. Drewno było modne w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym dziewiątym.

Łypnął na nią, drapiąc się w brodę.

– To nie jest trumna. To... A zresztą. Może i masz rację.

– Zwykle mam.

Choć jego spojrzenie było twarde, Esta wyczuwała w nim pewną euforię, a więc raczej nie mógł być naprawdę zły.

– Możemy to przedstawić jako numer o przechytrzeniu śmierci. „Szkłana trumna” nieźle brzmi, nie sądzisz?

Esta spojrzała z ukosa.

– „Możemy”?

– Ty i ja. Skoro już się przypałałaś, zamierzam cię wykorzystać.

– Myślałam, że postanowiłeś mnie unikać – odparła, splatając ramiona.

Harte zmarszczył czoło.

– Sama powiedziałaś, że trzeba się wziąć do roboty – przypomniał jej. – Nie próżnowałem. Niedługo wszystko będzie gotowe.

Zmrużyła oczy, nie do końca ufając jego podeksycytowanej minie.

– Gotowe do czego?

– Nabierzemy Jacka na zaginioną dziedziczkę.

– Czy powinnam wiedzieć, co to znaczy?

Ściągnął brwi.

– To rodzaj oszustwa. Jeżeli się uda, Jack uwierzy, że mamy coś, na czym bardzo mu zależy. Zrobi wszystko, żeby to zdobyć. Ty będziesz zaginioną spadkobierczynią.

– Spadkobierczynią czego dokładnie? – spytała, podchodząc bliżej i przesuwając palcami w rękawiczce po gładkim szkłe.

– Tak się składa, moja droga, że jesteś zaginioną nieślubną córką barona Franza von Filosika, o którym krążyły pogłoski, jakoby na krótko przed swoją przedwczesną śmiercią odkrył tajemnicę transmutacji podstawowych elementów.

– Czy taka osoba naprawdę istniała?

– Oczywiście – rzekł Harte. Po chwili dodał: – A nie taki był plan Dolpha? Myślałem, że nieprzypadkowo tak się przedstawiłaś Evelyn.

Podniosła wzrok znad szklanej trumny, starając się ukryć zaskoczenie. Tamtego dnia w jego garderobie zwyczajnie

improwizowała, zmyśliła swoją tożsamość na poczekaniu. Posłużyła się przy tym swoim prawdziwym nazwiskiem, a nie żadnym wymyślonym dla niej przez Dolpha. Ale Harte nie musiał o tym wiedzieć.

– Oczywiście, taki był plan – odparła prędko, by nie stracić kontroli nad sytuacją. – Kim był ten baron von Filosik? Czym się zajmował?

– Dolph ci nie opowiedział?

– Podał mi tylko nazwisko – skłamała.

Harte spojrzał znacząco.

– No tak, to bardzo w jego stylu.

Esta odprężyła się trochę, widząc, że Harte uwierzył w jej wyjaśnienie. Zastanawiało ją, czy profesor Lachlan mógł wiedzieć, że nazwisko, które dla niej wybrał po tym, jak znalazł ją w parku, kiedyś jej się przyda.

– A więc? – przycisnęła. – Jeśli to oszustwo ma się udać, muszę wiedzieć, kim był mój rzekomy ojciec.

– Dowiesz się w swoim czasie, a na razie wystarczy, żebyś wiedziała, że transmutacja elementów to taki Święty Graal większości alchemików. Poczciwy baron zginął wiele lat temu w pożarze, a razem z nim zginęły jego tajemnice. Tak przynajmniej sądzono. – Poruszył znacząco brwiami. – Lecz oto jego nieznana córka podejmuje dzieło ojca. A ponieważ jest samotna i wystraszona, przyda jej się protektor.

Esta przewróciła oczami.

– Że niby ta córka to ja? – spytała tonem pełnym powątpiewania.

– Owszem, o ile cię to nie przerasta – odparł. – Wersja dla Jacka Grew będzie taka, że przybyłaś niedawno do miasta, by szukać pomocy u starego przyjaciela, czyli u mnie. Trzeba go tylko przekonać, że byłoby z korzyścią dla niego, gdyby to on udzielił ci

wsparcia. W końcu będziesz niezmiernie wdzięczna swojemu dobroczyńcy, nieprawdaż? Kto wie, może nawet wyjawisz mu sekrety swojego ojca.

– Czyli Jack ma uwierzyć, że posiadam tajne zapiski mojego tak zwanego ojca?

– I że jesteś na tyle zdesperowana, żeby pokazać je komuś, kto cię do tego odpowiednio zachęci. Na przykład wprowadzając cię do Khafre Hall.

– Naprawdę myślisz, że ten plan może się udać?

– Innego nie mamy.

– Ach, to się nazywa mocny argument.

– Posłuchaj. Jack od miesiący interesuje się moimi numerami, ale jest taki jak oni wszyscy: uważa, że dzieli nas przepaść, bo jego rodzina ma pieniądze i wpływ. I tu go złapiemy na haczyk: on w ogóle nie będzie dopuszczał możliwości, że mając wybór między nim a mną, wybierzesz mnie.

– Wybawi mnie od ciebie – pomyślała na głos. Podobał jej się ten pomysł schwytania Jacka w pułapkę własnej chciwości i zadufania.

– O to z grubsza chodzi. Będzie się musiał przed tobą jakoś wykazać i to go zgubi.

– No dobrze, ale co ta szklana trumna ma wspólnego z moją rolą córki nieżyjącego barona?

Kąciki ust Harte'a uniosły się w chytrym uśmiešku.

– Musisz jakoś zapracować na swoje utrzymanie. Dlatego pomagasz mi w moich spektaklach.

– No nie wiem – odparła, zerkając na trumnę. – Jakoś nie wydaje mi się to konieczne.

– To element planu. – Przesunął dłońią po szklanej krawędzi. – Tamto twoje zniknięcie bardzo się wszystkim podobało. Pójdziemy



za ciosem i sprawimy, że Jack uwierzy w twoje sekrety, które mogą mu pomóc w jego eksperymentach.

– Jakich eksperymentach?

– Nie mam pojęcia – przyznał Harte. – Jeszcze nie udało mi się tego z niego wyciągnąć. Tak jak mówiłem, wciąż nie ufa mi w stu procentach. Traktuje mnie jako źródło informacji, ale zachowuje bezpieczny dystans. – Obejrzał się w stronę schodów, jakby chciał się upewnić, że nikt nie podsłuchuje. – A więc jak to zrobiłeś? – szepnął. – To zniknięcie. Muszę wiedzieć, jeśli mamy razem pracować.

– Chętnie ci powiem – rzekła Esta i nachyliła się ku niemu. – Jak tylko ty mi powiesz, co naprawdę zamierzasz zrobić z Księgą. Bo nie uwierzę, że chcesz ją oddać Dolphowi.

Cofnął się i obrzucił ją nieufnym spojrzeniem.

– Może jakoś obejdziemy ten problem.

Wzruszyła ramionami.

– Jak wolisz.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, żadne nie chciało pierwsze odwrócić wzroku, ustąpić pola. Ku uldze Esty jego niecierpliwość, by zademonstrować jej szklaną trumnę, zwyciężyła.

– No dobrze... Spójrz, co tu zmagajstrowałem. Chcę ci pokazać, jak to działa. – Zamknął i otworzył pokrywę na zawiasach, żeby pokazać, jak płynnie chodzi. Gdy nacisnął ukrytą dźwignię na końcu skrzyni, wierzch pokrywy bezgłośnie się rozsunął, jak opuszczana szyba w oknie samochodu. – Myślałem nad tym od jakiegoś czasu i w końcu wymyśliłem. – Mag uśmiechnął się szeroko.

Esta poczuła nagle mrowienie w żołądku, którego się nie spodziewała ani tym bardziej sobie nie życzyła. Kiedy Harte uśmiechał się w ten sposób, prawdziwym uśmiechem, a nie tym, który przyklejał sobie do twarzy podczas występów na scenie,

wyglądał niemalże chłopięco. Prawie jak ktoś, kogo chciałaby lepiej poznać, gdyby... nie była tym, kim była, a on tym, kim był. Gdyby nie to, że przed chwilą właściwie przyznał się do własnych planów.

Lecz oboje byli, kim byli, i nie mogła ani na chwilę zapomnieć, że to jego kazano jej powstrzymać. Jeżeli on, Harte Darrigan, zdradzi resztę drużyny, będzie to oznaczało coś więcej niż tylko utratę Księgi. Może to również kosztować życie Dolpha Saundersa. Co się wtedy stanie z jego ludźmi – ze wszystkimi, którym pomaga? Jakie będą mieli szanse na przetrwanie w tym okrutnym mieście pod panowaniem Zakonu, gdy zabraknie Dolpha, ich przywódcy i obrońcy?

– Sam to zrobiłeś? – spytała, obchodząc szklaną skrzynię i zatrzymując się po drugiej stronie.

– Tak. Wpadłem na ten pomysł dość dawno. Pierwotnie plan był taki, że sam z niej ucieknę, ale myślę, że dzięki twoim... cokolwiek to jest, efekt będzie jeszcze lepszy. – Zasunął szybę i zamknął pokrywę. – Większość magików wykorzystuje w takich numerach parawan albo zwykłą skrzynię, żeby publiczność nie widziała, co robi dziewczyna. Ale z tobą możemy spróbować czegoś nowego. – Zabębnił palcami w pokrywę. – Dziewczyna, czyli ty, zniknie na oczach widzów. Żadnych luster, parawanów, peleryn. Puf! Nie ma cię. – Spojrzał na nią bokiem. – Oczywiście pod warunkiem że czujesz się na siłach.

– Pewnie – odparła – ale nie sądzisz, że to trochę ryzykowne, takie zniknięcie? Ludzie będą się zastanawiać, jak to zrobiłam. Mogą zacząć mnie podejrzewać o prawdziwą magię.

– Bez obaw – rzekł z iskierkami wesołości w oczach. – To jest właśnie najpiękniejsze. Nikt nie pomyśli, że naprawdę zniknęłaś, bo nikomu nie przyjdzie do głowy, że masz magiczną moc.

Widzowie sądzą, że wszystko, co robię na scenie, to sztuczki, iluzja. Jedni będą zapewniać drugich, że wiedzą, jak to się stało.

Przeczuwała, że nadal coś knuje, ale to jego nowe oblicze było rozbijające. Ubranie miał pomięte, twarz umazaną, fale włosów sterczały niesfornie. Choć starał się udawać spokojnego, był dosłownie rozedrgany z przejęcia. I sto razy bardziej przekonujący niż na scenie. O tyle bardziej autentyczny. Jakby w końcu poznała prawdziwego Harte'a Darrigana.

To wszystko gra, przypomniała sobie. Jeszcze jedno oszustwo.

– To co, wejdiesz do środka?

Esta się wahała.

– Nie zamkniesz mnie tam?

– Niczego nie obiecuję – zażartował, a kiedy rzuciła mu podejrzliwe spojrzenie, westchnął zniecierpliwiony. – Przecież sama widziałas, jak to działa. – Wyciągnął do niej rękę i spojrzał wyzywająco.

Esta z chmurą na czole pozwoliła, by pomógł jej wejść na stół, a następnie do szklanej skrzyni. Obfita suknia wypełniła całą jej szerokość.

– Świetnie – powiedział Harte. – A teraz się połóż. Muszę mieć pewność, że nie jest za długa ani za krótka.

Ledwie wystarczyło jej miejsca, żeby położyć ręce wzdłuż ciała.

– Przy dużym palcu u prawej nogi masz malutką dźwignię. Pewnie będziesz musiała trochę poćwiczyć, zanim ją...

Esta nacisnęła dźwignię i Harte musiał doskoczyć do skrzyni, żeby przytrzymać zbyt szybko odsuwającą się taflę szkła.

– Co mówiłeś?

Wykrzywił twarz.

– A teraz zamykamy.

– Ale...

Zanim zdążyła zaprotestować, opuścił pokrywę i zamknął ją na brązową kłódkę. Para z wydychanego przez Estę powietrza zaczęła się zbierać na szkle kilka centymetrów przed jej nosem. Zrobiło się nagle duszno i gorąco.

– Nie ma żadnych otworów wentylacyjnych! – zawołał głosem stłumionym przez szkło. – Będziesz musiała się spieszyć.

Nie ma otworów? Chyba go zabiję, pomyślała.

Zaczęła macać stopą dźwignię, ale za pierwszym razem nie trafiła.

No chyba że on pierwszy mnie wykończy.

– Umówimy się na jakiś znak – krzyczał, wskazując palcem na dźwignię przy jej stopie. – Ruch albo gest, który...

Zawinęła czas, spowolniła bieg sekund i nacisnęła dźwignię. Odsunęła szybę znad twarzy i odetchnęła chłodnym piwnicznym powietrzem, aż zniknął strach i towarzysząca mu gęsia skórka. Potem wygramoliła się ze skrzyni. Wytarła spocone dłonie w dół sukienki, zasunęła szybę i rzuciła okiem na Harte'a. Zastygł niemal w pół słowa z błyskiem w oczach.

Chłopak był w swoim żywiole.

Bez względu na to, co knuł i jakie stwarzał pozory, widać było po nim, że jest szczerze podekscytowany tą nową sztuczką, nowym efektem – jak zwał, tak zwał. To właśnie jego żywioł, tak jak ona była w swoim żywiole, wyciągając z czyjejs kieszeni gruby portfel albo słysząc stuknięcie zapadki w zamku.

Znów poczuła to dziwne szarpnięcie w żołądku, które wcale a wcale jej się nie podobało. Puściła więc czas i patrzyła, jak Harte na chwilę odzyskuje głos, by zaraz go stracić.

– ...będzie ozna... – Uśmiech zaskoczenia przeciął mu twarz. Szare oczy załśniły i nawet nie zdawał sobie sprawy, że odsłania się przed nią jak nigdy wcześniej. – Tak! O to chodzi. – Dopiero po chwili uświadomił sobie, jak bardzo się odkrył. – Ale oczywiście będziesz

musiała poczekać na mój znak – zaznaczył, na nowo przybierając swój zwyczajny arogancki ton. – Nie chcemy, żebyś wyszła za wcześnie i wszystko zepsuła. Musimy...

– Zamknąłeś mnie w skrzyni bez dopływu powietrza – przerwała mu chłodno.

Zmarszczył brwi.

– O to przecież chodzi. Widzowie muszą się bać o twoje życie, inaczej nie będą się emocjonować.

– Zamknąłeś. Mnie. W skrzyni. Bez. Dopływu. Powietrza – wycedziła przez zęby.

– Może powinniśmy dodać coś jeszcze – stwierdził, nic sobie nie robiąc z jej oburzenia.

– Mogłeś mnie ostrzec, zanim mnie zamknąłeś. P o w i n i e n e ś był mnie ostrzec.

Przeciągnął dłońią po zmierzwionej czuprynie.

– Wydostałaś się – powiedział, spoglądając na nią takim wzrokiem, jakby nie rozumiał, o co jej chodzi.

– Mogłeś mnie zabić!

– Nie zabiłem... – zaczął, a gdy zrobiła krok w jego stronę, podniósł ręce w obronnym geście. – No dobra, masz rację, przepraszam. Powinienem być cię ostrzec.

– Dolph nie byłby zadowolony z mojej śmierci.

– Co do tego pewnie też masz rację. – Schylił się i otworzył brązową kłódkę. – A poza tym, że prawie umarłaś, jak ci się podobało?

Wzruszyła ramionami, nie mając ochoty prawić mu komplementów.

– Ujdzie.

– Ujdzie? – Harte się zaśmiał. – Nie, czegoś takiego świat jeszcze nie widział. Jeżeli to nie przekona Jacka, że masz coś, na czym mu

zależy, to nic go nie przekona. Ten plan musi się udać.

– Uda się – powiedziała, spoglądając na szklaną trumnę. – Razem się o to postaramy.

– Oby – rzekł, a wyraz jego twarzy się zmienił. – Za obalenie Zakonu. – Z namaszczeniem wyciągnął do niej rękę.

Esta pomyślała o wszystkich powodach, dla których nie powinna pozwolić mu się dotknąć, lecz w końcu podała mu dłoń w rękawiczce. Uścisnął ją lekko. Ciepło, które rozlało się po jej ciele, nie miało nic wspólnego ze szczególnym rodzajem energii, jaką zostawia po sobie magia.

Przez chwilę panowała gęsta, napięta atmosfera. Esta cofnęła rękę.

– Esto – zaczął Harte, ale się zawahał, jakby sam nie wiedział, co chce powiedzieć.

Zanim zdążył dojść w tej sprawie do porozumienia ze sobą, gdzieś niedaleko rozległ się znajomy głos.

– Harte? – wołała Evelyn, wchodząc w krąg światła jego lampy.

Nastrój prysł, Harte odsunął się od Esty, nagle zmieszany. A może skruszony.

– Tak? – Wytarł w spodnie dłoń, którą przed chwilą uścisnął jej rękę.

– Shorty prosił, abym ci powiedziała, że wchodzisz za dwadzieścia minut.

– Przysłał cię tutaj? – zdziwił się Harte, a kąciki jego ust lekko opadły.

Evelyn podparła się pod boki.

– Coś w tym złego?

– Nie, przepraszam. Dzięki, zaraz przyjdę.

– Do zobaczenia na górze – zaszczębiotała i spojrzawszy z wyrzutem w stronę Esty, zniknęła tam, skąd przyszła.

Esta patrzyła za nią, zastanawiając się, jak długo Evelyn stała w cieniu. I jak wiele usłyszała. Jeśli Harte'a też to martwiło, nie dał nic po sobie poznać.

– Słuchaj, muszę się szykować do występu, ale może zostaniesz?

Spojrzała zdziwiona. Nigdy przedtem nie proponował jej, żeby obejrzała go w akcji, ani nie prosił, żeby na niego poczekała.

– Moglibyśmy jeszcze poćwiczyć – dokończył, szarpiąc jedną szelkę. – Jak już dobrze się zgramy, będziemy mieli Jacka na widelcu. Myślę, że to nie potrwa długo.

– No dobra – powiedziała, nagle czując się głupio. Oczywiście, że tak. – Dolph byłby zadowolony. Za wolno nam to idzie.

– Czyli poczekasz?

– Tak – odparła z uśmiechem. – Oczywiście.

Kiedy zniknął na schodach, pozwoliła, by uśmiech spełzył jej z twarzy, i przesunęła dłońią po gładkim szkle trumny. Musiała przyznać, że to dobry pomysł, dobry efekt. Kto wie, czy faktycznie nie przekonałaby w ten sposób Jacka Grew, że ma coś, na czym mu zależy; ale nie wolno zostawiać niczego losowi. Ta sztuczka musi być więcej niż dobra – musi być spektakularna.

# IMPROWIZACJA

**H**arte jeszcze nigdy nie widział Esty tak zdenerwowanej. Po tym, jak wyjaśnił jej plan oszustwa na zaginioną dziedziczkę, weszli w ustalony – choć nie całkiem komfortowy – rytm przygotowań do piątkowego widowiska. Podołała wszystkiemu, co dla niej wymyślał – a było tego niemało – na dodatek z nieodłącznym uśmiechem, który wskazywał, że świetnie się przy tym bawi. Ale teraz, stojąc za kulisami w jasnozielonej sukni z jedwabiu, połyskującej światłem ze sceny, obserwując artystów, którzy występowali przed Darriganem, gryzła wargę, jakby chciała w niej zrobić dziurę.

– Nic się nie bój – powiedział, opierając dłonie na jej odkrytych ramionach.

Zesztywniała pod jego dotykiem, ale się nie odsunęła, nawet gdy potarł delikatnie kciukiem jej różową bliznę. Nie chciała mu powiedzieć, skąd ją ma, co tylko jeszcze bardziej go frapowało i niepokoiło.

– Zostaw – szepnęła, odwracając głowę, by skarcić go wzrokiem. W jej miodowych oczach ujrzał powagę i, jak mu się zdało, strach.

– Nie dotknąłem – odparł.

Prychnęła z niedowierzaniem, ale nie odsunęła się, a Harte zdał sobie sprawę, że lubi czuć jej skórę pod palcami. Tę miękkość, której przez długi czas w jego życiu było jak na lekarstwo. Wiedział jednak, że nie wolno mu się do niej przyzwyczajać, bo to nie potrwa długo. Zbyt wiele ich dzieliło. Musiał się wydostać z tego



miasta, a ona, nie wolno mu zapomnieć, była tylko jedną z wielu przeszkód na jego drodze.

Zdjął dłonie z jej ramion.

– Myślisz, że on tam jest? – spytała Esta, spoglądając w głąb sali poza sceną.

– Druga loża na prawo – odparł. – Nie ma się co denerwować. Wszystko się uda.

– Nie jestem zdenerwowana – zaznaczyła, przekrzywiając głowę w bok. – Tylko skoncentrowana.

– Wchodzisz na mój znak, tak jak na próbach.

– Wiem, wiem. Powtarzasz mi to setny raz. Albo dwusetny – powiedziała, lecz bez uszczypliwości, do jakiej go przyzwyczała.

– Nie zapomnij... – zaczął, ale przerwały mu organy zapowiadające jego wejście. Nie było już czasu na dalsze instrukcje.

– Rób wszystko jak na próbach, a będzie dobrze.

Skinęła głową, lecz jakiś błysk w jej oczach napełnił go zmartwieniem.

– Esto...

– Na co czekasz? – syknął z boku Shorty. – Wchodzisz!

Nie mogąc dłużej zwlekać, rzucił jej surowe, ale mobilizujące, taką miał nadzieję, spojrzenie, po czym wkroczył na scenę.

Wiść o premierze nowego numeru rozeszła się szybko i widownia była prawie wypełniona. Gdy stanął w kręgu światła, publiczność rozkosznie ucichła i dopiero kiedy uniósł ręce w powitalnym geście, przez teatr przetoczyła się fala burzliwych oklasków, które podziały kojąco na jego nerwy. Zaczął od zwyczajowych numerów, a widzowie śledzili je cierpliwie, wiedząc, że czeka ich coś większego, coś lepszego.

– Panie i panowie. – Słowa te przychodziły mu równie łatwo jak pacierz, którego w dzieciństwie nauczyła go matka, lecz tym razem

od jego występu zależało dużo więcej niż w każdy inny wieczór. – Mam dziś dla was coś wyjątkowego. Nową demonstrację i nową piękność, którą będziecie mogli nasycić oczy. – Wyciągnął rękę w bok, tak jak to ćwiczyli, i Esta posuwistym krokiem weszła na scenę.

Po jej nerwowości nie został nawet ślad. Ruszała się z gracją urodzonej aktorki. Może zresztą nią była. Przyglądając się jej przez kilka ostatnich dni, Harte doszedł do wniosku, że to jedna z najzdolniejszych oszustek, z jakimi miał w życiu do czynienia. Kto wie, czy nie lepsza od niego.

– Chciałbym państwu przedstawić pannę Estę von Filosik z Rastenburga. Pobierałem nauki u jej ojca, najznamienitszego eksperta od transmutacji elementów, przedwcześnie zmarłego autora przełomowych odkryć w dziedzinie nauk hermetycznych. Panna Filosik przybyła do naszego kraju, by uchylić nam rąbka sekretów swojego ojca. Dziś zademonstruje swoje panowanie nad siłami zaświatów i oszuka śmierć – tu Harte zawiesił głos, budując napięcie – w szklanej trumnie.

Przez widownię przemknął szmer podniecenia. Gdy pomocnik wtaczał skrzynię na scenę, Harte zerknął przelotnie w stronę łóża Jacka. Ku jego uldze Grew siedział pochylony do przodu, z łokciami na balkonowej balustradzie, wyraźnie zainteresowany tym, co miało nastąpić.

– Czy mogę panią prosić? – zwrócił się do Esty, wyciągając ku niej dłoń, tak jak to ćwiczyli.

Lecz ona zamiast podać mu rękę zgodnie z planem, zawahała się.

– Moja droga – rzekł, ponawiając gest.

– Och, sama nie wiem. – Pokręciła głową i zrobiła krok do tyłu.

Po raz trzeci wyciągnął zapraszająco rękę, pilnując, by uśmiech ani na chwilę nie odkleił mu się od ust. Nie wierzę, myślał. Tylko

nie to. Nie teraz.

– Zapraszam cię, moja droga. Nic ci nie grozi.

Kiedy jej wargi pomału wygięły się w uśmiechu, przeczuł, że stanie się zaraz coś, co mu się nie spodoba.

– Och, na pewno mówi pan tak wszystkim dziewczętom – powiedziała Esta gardłowo i z akcentem. Po czym, ignorując wyciągniętą w jej stronę dłoń, przemierzyła scenę, wywracając jego staranny plan do góry nogami.

Czuł zdziwienie i rozbawienie widzów, którzy szeptali między sobą, czekając, co zrobi dziewczyna, i zastanawiając się, czy Harte Darrigan zdoła wyjść z tego z twarzą.

Harte przeżył porzucenie przez matkę, tułaczę dzieciństwo, o którym chciałby zapomnieć, i pracę dla bossa wolącego zabijać ludzi, niż się z nimi dogadywać. Spokój w trudnych sytuacjach uczynił swoim sposobem na przetrwanie, ale nic go nie przygotowało na to, że stojąc w blasku reflektorów, z Jackiem Grew na widowni, będzie całkiem zdany na łaskę tej dziewczyny.

Bał się spojrzeć na Jacka, bał się zobaczyć jego reakcję. Cały podstęp opierał się na tym, że Jack ujrzy w nim prawdziwego rywala, którego zapragnie pokonać, żeby coś sobie udowodnić.

Ona wszystko zepsuje.

Wmówił sobie, że jest panem sytuacji, a tymczasem dał się wywieść w pole jak byle naiwniak, omamiły go te miodowe oczy, różowe usta i łagodny, czysty zapach kwiatów. Wiedział, że Esta coś kombinuje. Co gorsza, pozwolił sobie zapomnieć, że każdy, kto pracuje dla Dolpha Saundersa, musi być żmiją. A teraz, pomyślał, ta żmija go ugryzła.

Ale raptem nastrój na widowni się zmienił. Szmary ustały, jakby wszyscy byli ciekawi, co się wydarzy.

Jeszcze ich nie stracił. Jeszcze mógł to uratować.

– Proszę, czy mogłabyś zwyczajnie wejść do trumny, żebyśmy mogli kontynuować? – Wyciągnął rękę. – Według planu – dodał przez zaciśnięte zęby.

Esta westchnęła melodramatycznie i dotknęła dłonią biustu, bez wątpienia z premedytacją.

– No dobrze, złociutki – powiedziała, puszczając oko do widzów. – Chociaż istnieją łatwiejsze sposoby, żeby się mnie pozbyć.

Ktoś na widowni zachichotał.

– Ojciec zawsze mi powtarzał, że przystojny kawaler zawiedzie mnie do zguby – rzekła teatralnie. Potem wzruszyła ramionami. – Nie cierpię, kiedy ma rację. – Wreszcie wzięła dłoń Harte’a, weszła po schodkach i usiadła w szklanej trumnie.

– Co ty wyprawiasz? – szepnął do niej, udając, że poprawia jej skotłowaną suknię.

– Improwizuję – odparła z za uśmiechu.

Improwizuje? On jej zaraz pokaże improwizację.

Esta, kiedy do niej dotarło, co zamierza, zrobiła wielkie oczy, ale już nie zdążyła go powstrzymać; jednym szybkim ruchem zamknął pokrywę.

Wiedział, że postępuje źle, może nawet okrutnie. Wiedział, jak bardzo nienawidzi leżeć zamknięta w środku. Podczas wielu prób zrozumiał, że przebywanie w tej ciasnej, dusznej przestrzeni napędza jej stracha jak mało co. Rozwiązali to w ten sposób, że za każdym razem zamykał pokrywę w ostatniej chwili.

Ale to było, zanim Esta odeszła od ustalonego scenariusza. Nie mógł sobie pozwolić na jej kolejne „improwizacje”, dlatego domknął szczelnie wieko, zapiął kłódkę, a kluczyk wyrzucił zamaszystym gestem na widownię. Esta bardzo przekonująco grała przerażoną, waliła pięściami w szkło. W każdym razie miał nadzieję, że to gra.

Dał znak maszynistom, żeby spuścili na linie żelazny ciężar, tak by zawisł bezpośrednio nad szklaną trumną.

– Ogień. Najbardziej wybuchowy ze wszystkich żywiołów – oznajmił publiczności, odpalając w dłoni racę i podpalając nią świeczkę tuż pod liną. – Jeżeli nie zdołam zapanować nad siłami zaświatów, płomień przepali linę i ciężar runie, miażdżąc trumnę... wraz z panną Filosik.

Wszyscy widzowie siedzieli jak na szpilkach, popatrując to na linę coraz bardziej nadwyrężoną przez ogień, to na dziewczynę, która szamotała się za szkłem. Z okrutnym zachwytem czekali, jaki będzie jej los.

Harte podniósł szkarłatną pelerynę i zakręcił nią w powietrzu nad głową.

Raz...

I nad trumną, w której wiła się dziewczyna, uderzając dłońmi w szkło.

Dwa...

Zamknął oczy i posłał krótką modlitwę do boga, od którego dawno się odwrócił, prosząc, by nie pozwolił mu przeszarżować. Potem zakręcił peleryną przed sobą, na ułamek sekundy przesłaniając widok publiczności, dokładnie w tej samej chwili, kiedy płomień świecy przeżarł resztkę liny.

A ciężar spadł, miażdżąc szklaną skrzynię.

Trzy.

## FAŁSZYWY KROK

Przez krótką chwilę napawała się wyrazem osłupienia i ulgi na twarzy Harte'a, zanim uśmiechnęła się olśniewająco do zdumionej widowni.

– Papa chyba jednak się pomylił – rzekła.

Publiczność oszalała.

Esta powoli uniosła rękę do ukłonu, tak jak ją nauczył. Huraganowy aplauz przeniknął ją do głębi, rozgrzewając jakiś daleki zakątek duszy.

W tamtej chwili poczuła, że trochę lepiej rozumie Harte'a.

Patrzył na nią i jak rzadko kiedy nie umiał wydobyć z siebie ani słowa. Trudno mu się dziwić. Nie uprzedziła go o zmianie kostiumu. Parę dni wcześniej zapłaciła teatralnej krawcowej, Celi, za stworzenie skąpego kostiumu, który miała teraz na sobie, bo przyglądając się tyłu przedstawieniom zza kulis, czegoś się nauczyła: dobry numer to nie tylko zachwyty i podziwy. Odrobina gołego ciała też jest mile widziana.

Evelyn i jej siostry, o ile były nimi naprawdę, miały mniej więcej tyle talentu co trzy dachowe kocice w rui, ale wiedziały, kiedy błysnąć kawałkiem uda, zanęcić odrobiną golizny. A widzowie co wieczór wpatrywali się w nie z uwagą.

Twarz Harte'a przybrała niepokojąco czerwony odcień, gdy Esta, dygnąwszy po raz ostatni, opuściła scenę z lewej strony. Ledwie znalazła się w cieniu kulisy, dogonił ją i owinał peleryną wyrwaną z ręki maszynisty.

– Co to było, do cholery? I co ty na sobie masz?

– Podoba ci się? – Rozchyliła pelerynę, by mógł się lepiej przyjrzeć.

W jej czasach taki strój – gorset i bufiaste majtki do połowy ud – zostałyby uznany za przesadnie skromny. Wspaniały granatowy jedwab usiany był kryształkami, które w słabym świetle za kulisami lśniły jak rozgwieżdżone niebo. Mimo pewnej staroświeckości zachwycał Estę pięknem wykonania, poza tym czuła się w nim lżejsza niż w tych wszystkich wielowarstwowych sukniach, w których chodziła przez ostatnie kilka tygodni. Czuła się bardziej sobą.

Harte otworzył usta, lecz zdołał wydać z siebie tylko stłumiony dźwięk. Zakrył ją peleryną.

Postanowiła potraktować to jako komplement.

Wciąż nie odzyskał głosu, kiedy podeszła do nich Evelyn i czubkiem palca wytarła mu policzek.

– Masz coś na twarzy – oznajmiła ze śmiechem i odeszła.

Harte, nadal oniemiały, potarł dłonią miejsce, w które go dotknęła. Zmarszczył brwi, widząc na palcach czerwony ślad, a kiedy zerknął w lusterko na ścianie, jeszcze bardziej poczerwieniał.

– Pocałowałaś mnie?

Esta wzruszyła ramionami.

– Pomyślałam, że to będzie taka wisienka na torcie.

Wcale tego nie planowała, lecz gdy już spowolniła upływ czasu, nie mogła się powstrzymać, żeby nie zrobić czegoś więcej, niż tylko uwolnić się ze skrzyni i zrzucić z siebie zieloną sukienkę. Po tym, jak Harte przez całe popołudnie traktował ją z wyższością, miała ochotę zagrać mu trochę na nosie – odpłacić się pięknym za nadobne – i dlatego zanim puściła sekundy wolno, odcisnęła na jego policzku czerwony ślad swoich ust.

Z perspektywy widowni wszystko to – niesamowita ucieczka, metamorfoza stroju, ślad na policzku – wydarzyło się równocześnie. Esta w mgnieniu oka triumfalnie wymknęła się śmierci.

– Trzeba było to ze mną uzgodnić – powiedział Harte, próbując wytrzeć szminkę, ale udało mu się ją tylko rozmazać.

– Zabawne. To samo myślę za każdym razem, kiedy ty mnie całujesz. Poza tym chyba nieźle nam to wyszło, nie?

– Nieważne, jak wyszło – odwarknął, piorunując ją wzrokiem, aż się odruchowo cofnęła.

Esta owinęła się szczelniej peleryną i ruszyła w stronę garderoby. Nie oglądała się, czy idzie za nią. Nie musiała, bo właściwie czuła na karku jego oddech.

W garderobie zrzuciła pelerynę. Nie zdążyła się nawet odwrócić, kiedy Harte z trzaskiem zamknął drzwi, odcinając ich od wścibskich spojrzeń innych artystów. Esta splotła ramiona i stanęła oparta o stolik przed lustrem. Nie zamierzała dać się zastraszyć.

– O co ci chodzi? – spytała. – Przecież dobrze nam poszło. Dobrze to mało powiedziane. Byli zachwyceni.

– To mój numer – oznajmił, sunąc wolno ku niej. – To ja decyduję, co się wydarzy na scenie. Nie wolno ci nic zmieniać bez porozumienia ze mną.

Spodziewała się, że będzie trochę zirytowany, może nawet rozgoryczony tym, że nic mu nie powiedziała, lecz nie sądziła, że jej drobny autorski wkład aż tak go rozwścieczy. W ostatnich dniach ich współpraca przebiegała dość gładko i trochę ją poniosło, przeliczyła się, zapomniła, że w tej epoce stosunki damsko-męskie wyglądają zupełnie inaczej. Harte mógł się wydawać bardziej oświecony niż większość jemu współczesnych, ale nie zmieniało to faktu, że był wytworem swoich czasów. Oczywiście, że poczuł się



dotknięty zmianami, których dokonała w jego numerze. Powinna była to przewidzieć.

Nie żeby zamierzała go teraz przeproszać. Jej ryzyko się opłaciło i będzie musiał się z tym pogodzić. Odwróciła się do niego plecami, by skorzystać z lustra przy zmywaniu makijażu.

Za jej głową wyłoniło się odbicie jego twarzy.

– Myślałam, że po tym tygodniu...

– Darrigan! – To Shorty wetknął głowę do garderoby. – Dobra robota, chłopcze. Ładnieście to zmajstrowali we dwoje – rzekł, wchodząc do środka z cygarem w zębach. Zdzielił Harte'a po przyjacielsku w plecy, a następnie wręczył mu kartkę. – Wiadomość dla ciebie – oznajmił, znów klepiąc go mocno w ramię, po czym wycofał się i zamknął za sobą drzwi.

– Co to? – Esta próbowała rzucić okiem na list, ale Harte użył ramienia i wzrostu, żeby jej to uniemożliwić.

– Od Jacka – wyjaśnił. – Chce się z nami umówić na kolację jutro wieczorem.

Starła się nie chełpić – naprawdę się starała – ale nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Nie ma za co.

– Przestań – warknął z groźną miną. – To się nie stało dzięki temu, co zrobiłaś, tylko mimo tego. – Machnął kartką w jej stronę. – Mogłaś wszystko zepsuć.

– Ale... – Jej uśmiech zgasł.

– Przyszło ci w ogóle do głowy, że twoja improwizacja może się nie udać? Od miesięcy pracuję nad tym, żeby Jack uwierzył, że jestem tym, za kogo się podaję. To była nasza jedyna szansa, żeby mu ciebie zaprezentować. Jeden fałszywy krok mógł wszystko zaprzepaścić.

– Przepraszam – odparła, bo nagle dotarło do niej, jak bezmyślnie się zachowała.

– Ciesz się, że jeszcze się z tego wszystkiego nie wycofałem – utyskiwał dalej. – Mógłbym powiedzieć Jackowi, co wiem o tobie i kradzieży w muzeum. Umyć ręce, odciąć się od Dolpha Saundersa i całej tej awantury.

– Nie! – Podeszła bliżej i chwyciła go za ramię. – Proszę, nie.

– Dlaczego nie? Dlaczego właściwie miałbym nie zerwać z waszą zgrają?

Wstyd palił jej policzki. Równie dobrze mogłaby teraz stać w gabinecie profesora Lachlana i wysłuchiwać podobnej reprimendy z jego ust.

– Bo to nie ich wina – odparła cicho. – Nie karz ich za moją głupotę.

Harte przyglądał jej się badawczo. Czekwała z zapartym tchem na jego odpowiedź.

– Nie zapominaj, z kim mamy do czynienia, Esto. Jeśli Zakon dowie się, kim jesteśmy, jeśli Jack się dowie, nie skończy się to dla nas dobrze. Nie zamierzam być zakładnikiem twojej lekkomyślności. Jeżeli mamy pracować razem, muszę mieć pewność, że mogę na tobie polegać. Inaczej wypisuję się z tego interesu. Koniec kropka.

– Nie martw się, to się więcej nie powtórzy – obiecała.

Zmusiła się, aby spojrzeć mu w oczy, licząc, że nie dojrzy w nich kłamstwa.

– Na pewno?

– Tak – odparła, modląc się, by dał temu wiarę. – Możesz mi zaufać.

Do czasu, pomyślała.

# NOWE PARTNERSTWO

## *Słomiany Targ*

Odkąd ją zbeształ po ich występie, Esta jakby spokorniała. Nie żeby się go bała, co to, to nie, ale była ostrożna i czujna, jak gdyby na coś czekała. A teraz, kiedy dorożka zajechała pod wskazany adres, wyraźnie było po niej widać zdenerwowanie.

– Nie pójde tam – oznajmiła na widok tego miejsca. – Powinieneś był mnie uprzedzić. W ogóle bym z tobą nie pojechała.

– Myślałem, że docenisz niespodziankę – odparł zaskoczony jej reakcją. – W końcu tutaj się poznaliśmy.

– Nie rozumiesz – powiedziała, usiłując mu się wyślizgnąć. – Ci ludzie... – zaczęła z wahaniem, jakby szukając właściwego słowa. – Oni mogą mnie rozpoznać. Cały nasz plan runie.

Harte odsunął ją, zeszywniałą, na odległość ramienia i omiótł wzrokiem. Miała na sobie sukienkę wybraną przez niego spośród tych, które kupiła – albo ukradła. Z nią nigdy nie wiadomo. Była złotego koloru, z paciorkami odbijającymi światło, w którąkolwiek stronę się obróciła. Sznury takich paciorków były jedyną rzeczą, która zakrywała jej ramiona, a linia dekoltu opadała gwałtownie, eksponując delikatną krzywiznę piersi oraz naszyjnik z granatów. Wyglądała jak żywy płomień.

Sama Esta twierdziła, że lepsze byłoby coś mniej rzucającego się w oczy. W końcu jednak przekonał ją, że musi oczarować Jacka. Ale

co innego widzieć ją w tej sukience we własnym mieszkaniu, a co innego patrzeć na nią w blasku księżyca. A jeszcze co innego – wiedzieć, że wybrał ją dla niej, że włożyła ją dla niego. Sam nie był pewien, jak się z tym czuć, i wolał się nad tym za długo nie zastanawiać.

– Nie rozpoznają cię – rzekł z uwodzicielskim spojrzeniem, które miało jej dodać otuchy, ale i było trochę figlarne. – Nikt by cię teraz nie poznał.

Komplement odniósł zamierzony skutek: Esta prychnęła i splotła ręce na piersiach.

– Potrafię rozpoznać tani podryw, Darrigan.

Spojrzał jej w oczy.

– W takim razie powinnaś wiedzieć, że to nie był tani podryw.

Zareagowała tym samym co zawsze grymasem, ale trochę się rozluźniła i nie wyglądała już tak nieswojo.

Chwycił ją za dłoń i wziął pod ramię.

– Gotowa?

– Nie wydaje mi się, żeby...

– To się uda. Trzymaj się blisko mnie, a wszystko będzie dobrze. – Poprowadził ją w stronę Słomianego Targu, lecz kiedy byli już prawie u drzwi, zwolnił kroku, coś sobie przypomniawszy.

– Gdyby dziś wieczór cokolwiek się stało...

– Przed chwilą mówiłeś, że wszystko będzie dobrze.

– Bo będzie – zapewnił ją. – Ale cokolwiek by się działo, pamiętaj, żeby w środku nie używać magii. Ochrona Coreya jest specjalnie wyszkolona i jak tylko coś wyczują, będziemy mieli ich na karku. Poszczęściło ci się, że nie złapali cię ostatnim razem.

Esta stanęła jak wryta. Z lekko rozchylonymi ustami patrzyła na niego, jakby widziała go pierwszy raz w życiu.

– Próbowalesz mi wtedy pomóc. Tamtego wieczoru. Byłeś brutalny, ale miałeś powód, prawda?

– Nie wiem, o czym mówisz – odparł i nie dając jej czasu na drażnienie tematu, poprowadził ją ku wejściu do klubu.

W środku orkiestra grała balladę – Harte rozpoznał melodię piosenki, którą Evelyn co wieczór ryczała na scenie. Powiódł Estę przez tłum wzdłuż ściany.

– Chcę stolik na piętrze – wyjaśnił – żebyśmy mieli dobry widok z góry i nie przeoczyli Jacka.

Przywdziawszy niczym zbroję aurę wdzięku i bez troski, brnął przez salę, świadom, jak nieswojo Esta czuje się w tym towarzystwie, przedstawiana różnym napotykanym po drodze ludziom. Uśmiechała się i mówiła to, co trzeba, ale za każdym razem, kiedy się zatrzymywał, żeby uciąć z kimś krótką pogawędkę, przybierała sztywniejszą pozę, a jej uśmiech wyglądał sztucznie. Zdążył ją poznać na tyle, by wyczuwać drobne zmiany w jej nastroju. Co prawda lubiła udawać, że nic jej nie rusza, lecz dziś wieczorem oczy ją zdradzały. Wciąż była zdenerwowana.

W końcu znalazł na balkonie wolny stolik z dobrym widokiem na parter. W dole Słomiany Targ mienił się mnóstwem kolorów. Kobiety w jaskrawych sukniach wirowały na parkiecie, mężczyźni o różowych twarzach, oparci o bar, śmiali się zbyt głośno ze szklaneczkami whisky w ręku. Esta siedziała cicho i bacznie rozglądała się po sali.

Po kilku minutach milczenia nagle wyrwała Harte'a z rozmyślań.

– Pasuje ci to, co?

– Słucham? – Oderwał oczy od wejścia, żeby na nią spojrzeć.

Siedziała podparta łokciami o blat, z brodą na splecionych dłoniach, i spoglądała pytająco.

– Popularność. To, że tyle osób cię zna i chcą z tobą porozmawiać. Udajesz obojętność, ale w głębi duszy jesteś wniebowzięty.

Wzruszył ramionami, niezadowolony z tego, jak łatwo go przejrzała.

– Nie mogę narzekać – odparł. – Są gorsze sposoby na spędzenie wieczoru.

Na przykład przymieranie głodem w rynsztoku. Albo opędzanie się od ludzi, którzy chcą cię wykorzystać do swoich brudnych porachunków.

– O czym przed chwilą myślałeś? – zapytała, prostując nieco plecy i skupiając na nim wzrok. – Miałeś taki... niedostępny wyraz twarzy.

Ta dziewczyna była zbyt spostrzegawcza.

– O niczym – powiedział, udając, że nie wie, o co jej chodzi.

Nie uwierzyła. Nadal wpatrywała się w Harte'a takim wzrokiem, jakby tylko od jej cierpliwości zależało, czy wydobędzie z niego wszystkie sekrety. Cóż, będzie musiał ją rozczarować. Przywołał kelnera i zamówił butelkę szampana, unikając wzroku Esty, dopóki nie napełniono im kieliszków.

– Za nasze nowe partnerstwo – wzniósł toast z wyćwiczonym uśmiechem.

Esta tylko przyglądała mu się tymi swoimi poważnymi oczyma, nawet nie sięgając po kieliszek.

– Imponuje mi twoja maska – oznajmiła. – Nic przez nią nie widać, a przecież wiem, że ją nosisz.

Odstawił swój nietknięty kieliszek na stolik.

– Jestem tym, na kogo wyglądam.

– Myślę, że to stwierdzenie może być prawdziwsze, niż ci się wydaje.

Wciąż nie sięgając po szampana, obróciła głowę ku sali.

Po kilku minutach zatęsknił za jej uwagą i znów chciał, żeby na niego spojrzała, choćby po to, by ponownie mu dopiec. To przynajmniej było ciekawsze niż ta ponura cisza. Lecz uwaga Esty skupiała się na parterze. Jej palce uderzały cicho w podstawę kieliszka, jakby w oczekiwaniu na coś.

A może czeka na k o g o ś, pomyślał nagle i uczucie zazdrości przeszło go niemiłym prądem.

Wszystko to przypominało mu, że wcale nie są tu razem z wyboru. Esta nie była jego – nie była nawet po jego stronie. Siedzieli po przeciwnych stronach szachownicy, toczyli ze sobą grę, a stawką w niej było trofeum, na którym zależało im obojgu. Tyle że dla niego to dużo ważniejsza sprawa i dlatego, jak przyjdzie co do czego, nie pozwoli jej zwyciężyć.

Wstał i wyciągnął do niej rękę.

– Zatańcz ze mną – powiedział, wołąc się nie zastanawiać, co stało za tym nagłym impulsem.

Wyraz jej oczu zdradzał zaskoczenie, ale nawet nie drgnęła.

Stojąc tak przed nią z wyciągniętą ręką, poczuł się jak idiota.

– Chyba przyszedł nasz frajer – skłamał, bojąc się, że mu odmówi i będzie musiał usiąść jak niepyszny.

– Tak? – zainteresowała się, lecz wciąż nie podawała mu ręki.

Harte poczuł gorąco na karku. Ludzie przy sąsiednim stole śmiali się z czegoś – pewnie z niego – i musiał się powstrzymać, żeby nie poprawić sobie kołnierzyka i spinek przy mankietach.

– Powinniśmy mu się pokazać – naciskał.

– Oczywiście – wymamrotała, lecz kiedy w końcu podała mu dłoń i pozwoliła się zaprowadzić na parkiet, w jej oczach nie było ani śladu przyjemności czy radosnego podniecenia.

Harte szybko pojął swój błąd. Rzadko zdarzało mu się tańczyć, wolał trzymać się obrzeży parkietu albo siedzieć przy barze.

Zapomniał już, jakie to uczucie chwycić dziewczynę za talię, trzymać jej drobną dłoń w swojej dużej, przyciskać ją do siebie, wirując po sali. I jak kręciło mu się w głowie, gdy muzyka oplatała tańczących hipnotycznym rytmem, a cały świat zawężał się do jednej pary złotych oczu.

Poczuł się nagle pijany, mimo że w ogóle nie tknął szampana. Chwiejny. Owładnięty przez melodię, przez tę chwilę i – wbrew własnemu rozsądkowi – przez nią.

Jedno spojrzenie na jej twarz wystarczyło, by stwierdzić, że ona nie czuje tego samego. Poruszała się z gracją, pozwalając się prowadzić przez parkiet, ale tak naprawdę była gdzie indziej. Jej uwaga koncentrowała się na otoczeniu, nie na małym, prywatnym świecie, który sobie wyczarowali w obrębie swych ramion, w rytmie swych kroków. To spostrzeżenie podziało na niego jak wiadro zimnej wody. Kiedy piosenka dobiegła końca, Harte zdążył już otrzeźwieć. I bardzo dobrze, bo gdy Esta ostatni raz przed nim dygnęła, w oddali nad jej głową mignęła mu postać Jacka Grew.

Nadstawił ramię, żeby wzięła go pod rękę, a kiedy to zrobiła, nachylił się ku niej.

– Gotowa?

Spojrzała mu przelotnie w oczy i lekko skinęła głową. Nie był pewien, co zobaczył w tym spojrzeniu. Determinację? Zrezygnowanie? Martwiło go, że nie potrafi jej rozszyfrować, że nie wie, co ona sobie myśli. Mógłby użyć daru, jednak wtedy straciłby jedyne go sojusznika – niezbyt pewnego, ale zawsze. Tak czy owak, nie było już czasu, by zwlekać. Nadeszła pora działania.



## WBIĆ HACZYK

O rkiestra w Słomianym Targu właśnie skończyła grać ckliwego walca, który drażnił i tak już mocno skołatane nerwy Jacka. Był u kresu wytrzymałości. Włożył wszystko, co miał – i sporo cudzego – w odbudowanie maszyny. Nowi monterzy pracowali dzień i noc, by przywrócić tej kupie żelastwa i płątaninie kabli jej pierwotny kształt. Była już prawie gotowa do kolejnej próby. Ale żeby kolejna próba miała sens, musiał najpierw wymyślić sposób, jak uchronić ją przed wybuchem.

Czasu zostało niewiele – za tydzień statek jego ojca wypłynie z londyńskiego portu. Zaraz po przybyciu do Nowego Jorku ojciec dowie się od swoich współpracowników o opróżnionych kontach bankowych i Jack wyląduje w pociągu do Cleveland albo jakiegoś innego zadupia Midwestu z biletem w jedną stronę. Ominie go konklawe, nie mówiąc już o tym, że nie odzyska w spektakularnym stylu zaufania przywódców Zakonu.

Ale przynajmniej w Słomianym Targu serwują znośną whisky.

Uniósł szklankę do ust, aby znów poczuć palenie w gardle, ten smak dymu i ognia, lecz gdy ją przechylił, okazała się pusta. Zajrzał do środka, zastanawiając się, kiedy wszystko wypił. Potem wystrzelił nią w powietrze, dając znak barmance, by przyniosła mu kolejną, i dalej czekał, aż pojawi się Darrigan ze swoją hurysą.

Na myśl o nich wstąpiła w niego pewna otucha. Ta ich sztuczka poprzedniego wieczoru była niesamowita. To cud, że dziewczyna wyszła z tego cało. A jemu potrzebny był teraz cud.

W zgiełku głosów usłyszał swoje imię. Uniósł głowę i spostrzegł zbliżającego się Harte'a Darrigana. Dziewczyna szła u jego boku. Wysoka i szczupła, w poprzednim życiu mogłaby być Amazonką, teraz jednak przypominała boginię w sukni utkanej ze złota. Nie tylko ubranie, ale również naszyjnik z granatów przetykanych brylantami utwierdziły go w przekonaniu, że nie jest ona typową dziewczyną z teatru. Tancerki rewiowe nie miały takich klejnotów.

– Dziękuję za zaproszenie – powiedział Darrigan, podchodząc z nią do stolika i wyciągając rękę na powitanie.

– Cieszę się, że znaleźliście czas – odparł Jack, ściskając mu dłoń. Niech mnie, ależ to radość znów go widzieć, przemknęło mu przez głowę. Wszystko będzie dobrze.

– Przedstawiam ci Estę von Filosik – rzekł Harte, robiąc okrągły gest, po czym uśmiechnął się ciepło do dziewczyny. – Esto, to mój dobry przyjaciel. Bardzo ważny człowiek w naszym mieście. Jack Grew.

Połączony Jack uśmiechnął się z błogością.

– Miło mi panią poznać – oznajmił z delikatnym ukłonem. Teraz, kiedy widział ją z bliska, przekonał się, że jego pierwsze wrażenie było słuszne. Nie miała na twarzy ani grama pudru, a jej idealnie dopasowane ubranie musiało być szyte na miarę.

– Mówmy sobie po imieniu – zaproponowała, wyciągając rękę. Mówiła z lekkim cudzoziemskim zaśpiewem, lecz nie była to rynsztokowa mowa, jaką słyszało się w barach Dolnego Manhattanu. Nie, to była mowa osoby dobrze urodzonej i wychowanej. – Przyjaciele Harte'a są moimi przyjaciółmi.

– A zatem miło mi cię poznać, Esto. – Wziął jej dłoń i pochylił się nad nią, unosząc wzrok, by nasycić oczy widokiem ciasno spiętego suknią biustu oraz śmietankowego dekoltu.

Uśmiechnęła się powoli, zerkając na niego zza rzęs, by po chwili otworzyć szerzej oczy i rozchylić usta, z których wydobyło się ciche „och”

No, no, pomyślał rozochocony. Sądząc po jej spojrzeniu, podobało jej się to, co zobaczyła...

– Przyszliśmy trochę wcześniej, więc zatańczyliśmy. Na górze czeka na nas stolik – odezwał się Harte. – Może być?

Jack puścił rękę dziewczyny.

– Czemu nie.

– Wspaniale. – Dziewczyna posłała mu leniwy, zachęcający uśmiech. – Szampan powinien być jeszcze zimny.

– Szampan, powiadasz? – Jack zajrzał do pustej szklanki po whisky z nową wiarą w to, co przyniosą najbliższe dni. – Kuszące. Zupełnie jak ty, moja droga.

## DÉJÀ VU

Está wzdrygnęła się w duchu na te mało finezyjne zaloty. Sto lat później mężczyźni wciąż nie rozumieli, że takie teksty nie działają.

Z trudem robiła dobrą minę, gdy Harte prowadził ją z powrotem do stolika. Złe przecucie, które przeszło Estę, kiedy Jack podniósł na nią wzrok znad jej dłoni w rękawiczce, wciąż nie dawało spokoju. Wróciło do niej z wielką siłą wspomnienie tych samych oczu w ciemnym korytarzu i rewolweru wycelowanego najpierw w nią, a chwilę później w Logana.

Gdyby Harte nie podjął przerwanej rozmowy, pewnie nadal stałaby jak posąg. Przypomniała sobie jednak, że Jack nie może jej znać ani pamiętać: widział ją w roku 1926, a więc dwadzieścia cztery lata później. Nie ma się czego bać. Jakoś przez to przebrnie.

Lecz po dziesięciu minutach żałowała, że do nich dołączył. Przy nim Harte był innym człowiekiem, aroganckim i uważającym się za lepszego od innych – w tym również od niej. To tylko część planu, powtarzała sobie. Chciał sprowokować Jacka, wykorzystać ją – pomiataną kochankę – jako przynętę. A jednak cierpiała, musząc to znosić.

Jest jeszcze gorszy niż Logan, przyszło jej na myśl, kiedy zobaczyła całą tę bufonadę. Logan rozbrajał swoje ofiary za pomocą wrodzonego wdzięku, ale Harte miał w sobie coś więcej. Wyszlifował swój wrodzony czar z precyzją artysty. Jego moc była tak przemożna, że ofiara nie mogła się przed nią bronić.

Nawet ja prawie dałam się zaczarować, przyznała w duchu, wspominając ciepły dreszcz, który poczuła w brzuchu podczas tańca. Gdy wziął ją w ramiona, doznała dwóch sprzecznych wrażeń: bezpieczeństwa i bycia w potrzasku. Była zła na siebie, że prawie jej się to podobało. Że tańcząc, musiała uciekać wzrokiem w bok, bo dostawała wypieków od jego intensywnego spojrzenia.

Cała ta męcząca sytuacja budziła w niej uczucia, którym wolała się zbyt dobrze nie przyglądać. Niepokój. Rozchwianie. I chyba najgroźniejsze: niepewność.

To wszystko część planu, powtarzała sobie. Planu, który musi się udać.

Dzieląc uwagę po równo między rozmowę przy stoliku a parkiet na dole, uświadomiła sobie nagle, że nóż Dakariego wciąż może gdzieś tu być. Bolało ją, że jest złodziejką, która nie potrafi nawet odzyskać czegoś, co do niej należy. I że miałyby wrócić do swoich czasów bez tego namacalnego śladu dawnego życia. Kto wie, do jakiej przyszłości powróci, skoro wycinek z gazety zmienił treść?

Jack wypił już prawie połowę butelki szampana, gdy w tłumie na dole mignęły miedziane włosy. To Bridget Malone szła bokiem sali.

Esta instynktownie wstała z miejsca.

– Kochanie? – zwrócił się do niej Harte głosem, w którym czułość mieszała się z ostrzeżeniem.

Lecz Esta nie zamierzała dać się zatrzymać. Właściwie miał już Jacka w garści. Musiała spróbować.

– Mogę was, panowie, na chwilę przeprosić?

– Dokąd idziesz? – spytał Harte przez zaciśnięte zęby.

Ogniste włosy Bridget wciąż były w zasięgu jej wzroku.

– Przypudrować nosek, skarbie – odparła ze skromnym uśmiechem. – To mi zajmie tylko chwilkę... Czy któryś z was wie,

którędy do łazienki?

– Z tyłu za barem – powiedział Grew, znów sięgając po butelkę. Na twarzy miał już czerwone plamy z gorąca i od wypitego alkoholu.

Esta upредиła protesty Harte'a, obiecując, że zaraz wróci, po czym zanurzyła się w tłum. Początkowo szła w kierunku wskazanym przez Jacka, lecz gdy zniknęła im z oczu, przecięła nawis balkonu i ruszyła tam, dokąd przed chwilą zmierzała Bridget Malone.

Kiedy jednak dotarła do narożnika sali, okazało się, że Bridget zniknęła. Nie było tam żadnych drzwi ani przejścia, musiała się chyba rozpułnąć w powietrzu. Esta rozglądała się z niedowierzaniem, szukając jakiegoś rozwiązania tej zagadki.

I po chwili je znalazła: kawałek ściany wysunął się i wyszła z niej kelnerka, niosąc na tacy umyte szklanki. Zanim przejście z powrotem się zamknęło, Esta przyspieszyła kroku i wślizgnęła się prędko w mroczną ciszę pustego korytarza.

Na jego drugim końcu pełgał blask płomienia, który Bridget trzymała w dłoni. Sądząc po zapachu pieczonego mięsa, korytarz był jakoś połączony z kuchnią, lecz Estę bardziej ciekawiło, dokąd jeszcze może prowadzić i czy są tu gdzieś schody na dół. Pomieszczenie, w którym ją kiedyś przetrzymywano, znajdowało się w piwnicy.

Płomień zamigotał, a gdy kobieta skrečila za róg, korytarz pociemniał. Przez małe otworki w ścianie wpadały prążki światła. Esta podeszła do jednego z nich i zbliżyła oko. Po drugiej stronie znajdował się osobny salonik dla gości. Szybko spostrzegła, że takich wizjerów, umożliwiających kierownictwu podglądanie klientów, jest więcej.

Zajrzała przez kolejną parę otworów i jej oczom ukazało się inne pomieszczenie, w którym mężczyźni, paląc cygara, rozmawiali głosami wzmocnionymi przez alkohol i poczucie własnej nieomyślności. Był wśród nich człowiek, który kilka tygodni temu się do niej dobierał, Charlie Murphy. Nos miał trwale skrzywiony, ale po siniakach na twarzy nie było już śladu. Nie żeby to go czyniło bardziej urodziwym. Obserwowała tych mężczyzn, próbując śledzić przebieg ich rozmowy. Dyskutowali o jakimś wydarzeniu – z tego, co rozumiała, chodziło o uroczystą galę z okazji równonocy wiosennej. I wtedy doznała olśnienia: wszyscy oni byli członkami Zakonu.

– Tym razem nie wystarczyło na długo – przekonywał łysy jegomość i dla podkreślenia swych racji huknął pięścią w stół, aż kieliszki zadrżały.

– Prawie rok – zauważył ktoś inny.

– Dawniej wystarczyło na dziesięć. Kamienie umierają.

Kamienie?

– Nie umierają – zaprzeczył ten łysy. – Zgadzam się, że dzieje się coś złego, ale nie sądzę, aby problem tkwił w samych artefaktach. Może trzeba udoskonalić rytuał?

– Już widzę, jak mówisz to członkom Wewnętrznego Kręgu – zaśmiał się Murphy. – Problem tkwi raczej w tym robactwie, które udało nam się znaleźć. Mój ojciec zawsze psioczył na Irlandczyków, ale ci nowi przybysze? Brudni i ciemni jak tabaka. Nie pytajcie mnie nawet, co sądzę o żydach i katolikach.

– Pewnie masz rację. Jaką moc można wykrzesać z takiego motłochu? Powiem wam, co się musi wydarzyć...

Wszedł kelner z tacami pełnymi jedzenia. Dla uczestników rozmowy był to sygnał do zmiany tematu. Esta zastanawiała się,

czy to, o czym mówili, ma jakiś związek ze zniknięciami, o których słyszała od Dolpha.

Im dłużej kelner kroił pieczeń, tym bardziej wabił Estę koniec korytarza. W obecności kelnera mężczyźni trzymali się przyziemnych spraw. Sport, giełda i rosnący z każdym dniem tłok na drogach. Ani słowa o magii.

Esta zaczęła się niecierpliwić. Czas ją naglił. Jeżeli ma odzyskać nóż Dakariego, nie może się dłużej ociągać. Gdyby tylko wolno jej było użyć daru... Gdyby spowolniła upływ czasu, zajęłoby jej to sekundę. Ale nie mogła ryzykować. Musiała dokonać wyboru. Iść po nóż czy zostać i spróbować dowiedzieć się czegoś więcej? Dakari czy gang Dolpha? Jej przeszłość czy jej nowa teraźniejszość? Nie miała czasu na jedno i drugie.

Jej zadaniem było zdobyć Księgę i wrócić do przyszłości. Nic, włącznie z Dakarim, nie powinno jej przesłaniać tego celu. A ludzie za ścianą rozmawiali w taki sposób, jakby mieli jakiś problem, jakby Zakon miał słaby punkt. Takie odkrycie byłoby bardzo pomocne. I dla Dolpha, i dla profesora Lachlana – i dla wszystkich Maginów.

Dakari zrozumie.

Zajrzała przez dziurkę, znów nasłuchując, lecz zanim zdążyła się na nowo zorientować w rozmowie, tuż obok rozległ się znajomy głos.

– A ty co tu robisz?

Bridget Malone stała przed nią w mroku korytarza i raczej nie wyglądała na zadowoloną.



## PUŁAPKA W PUŁAPCE

**H**arte zerknął na dół, szukając wzrokiem Esty. Zbyt długo nie wracała. Czyżby wpakowała się w jakieś kłopoty? A może znów coś kombinuje?

– Powiedz mi, Darrigan, jak naprawdę poznałeś uroczą pannę Filosik? – Jack wlał sobie do kieliszka resztkę szampana z dna butelki. Spieniony alkohol przelał się przez krawędź i zmoczył biały obrus. – Czy ty i ona...? – Poruszył znacząco brwiami.

– Znamy się prawie od dziecka – odpowiedział Harte na tyle ogólnie, by Jack mógł sam wyciągnąć wnioski.

– Doprawdy? – Grew uśmiechnął się powątpiewająco.

– Tak. Wierz mi lub nie, ale historia, którą opowiedziałem na scenie, była prawdziwa. Poznałem Estę podczas swoich zagranicznych podróży. Jej ojciec był jednym z moich pierwszych nauczycieli. Może obito ci się o uszy jego nazwisko... Baron von Filosik?

Jack zmarszczył twarz, jego nasączony alkoholem umysł próbował sobie przypomnieć, skąd je zna. Zajął mu to chwilę, ale w końcu mętne oczy trochę się rozszerzyły.

– Chyba nie baron Franz von Filosik?

– Ten sam – rzekł gładko Harte, zadowolony, że Jack wreszcie uczynił krok w stronę zastawionych na niego sideł.

– Znałeś barona? – spytał Jack.

Harte udał, że nie dostrzega jego zaskoczenia.

– Miałem szczęście mieszkać u barona, kiedy byłem na początku swojej drogi do poznania tajemnic podstawowych elementów. Dostrzegł we mnie talent, zaimponował mu zapał, z jakim starałem się zgłębić sekrety tajemnych sztuk. To on wysłał mnie na Daleki Wschód i przedstawił ludziom, dzięki którym mogłem dokończyć swoje studia. To wszystko działo się oczywiście przed jego przedwczesną śmiercią.

Jack się zachmurzył.

– Nie wiedziałem, że miał rodzinę.

– Mało kto o tym wiedział. Franz nigdy nie poślubił matki Esty. Być może to ją uratowało, kiedy jego posiadłość doszczętnie spłonęła. Na pewno słyszałeś o tej strasznej tragedii. Wszystkie jego przełomowe odkrycia przepadły. Cała jego olbrzymia wiedza.

– To nas pewnie cofnęło o jakieś pięćdziesiąt lat, jeśli nie więcej – przytaknął Jack.

Harte pochylił się nad stolikiem i zniżył głos.

– Ale moim zdaniem nie wszystko uległo zniszczeniu.

Jack uniósł brwi. Choć spojrzenie miał zamglone, Harte dostrzegł w jego oczach błysk zainteresowania. Czuł, że Jack chce dać się przekonać. Dalej powinno być z górki.

– Esta ma kufer zamykany na klucz. Nie chce mi powiedzieć, co jest w środku, nie pozwala mi do niego zajrzeć. – Harte rozejrzał się na boki, żeby sprawić wrażenie, jakby bał się, że ktoś go podsłucha. – Myślę, że tam mogą być niektóre notatki jej ojca – dodał cicho.

– No coś ty?

Harte pokiwał głową.

– Wiesz, nad czym pracował tuż przed śmiercią, prawda?

Jack przez chwilę wydawał się zdezorientowany.

– Ach, tak. Czy nie chodziło mu o... – Zawahał się. – No, ten... – Pstryknął palcami, jakby miał to na końcu języka.

– Transmutacja elementów podstawowych – skwapliwie podpowiedział Harte.

– Oczywiście – przytaknął Jack, a po chwili zamrugał w alkoholowym otępieniu, jak człowiek, który właśnie budzi się ze snu. – Nie chcesz chyba powiedzieć, że stworzył kamień filozoficzny?

– Chodziły pogłoski, że jest bardzo blisko przełomu. – Harte pochylił się do przodu. – W swoich ostatnich listach do mnie dawał do zrozumienia, że udało mu się wyodrębnić kwintesencję...

– Eter? – szepnął Jack, wyraźnie podniecony mimo szklanego wzroku.

Harte skinął głową.

– Umarł, zanim zdążyłem dowiedzieć się od niego czegoś więcej.

– No tak – zgodził się Jack. – Okropna tragedia.

– Owszem. – Harte zawahał się, jakby nie był pewien, czy powinien zdradzać tajemnicę. – Zwłaszcza jeśli... to wcale nie był wypadek. Tak uważa Esta.

Jack zamrugał.

– Podejrzewa, że ktoś maczał w tym palce?

Harte nachylił się jeszcze bliżej.

– Podejrzewa, że ktoś się dowiedział, nad czym pracuje baron i jak blisko jest odkrycia sekretów boskiej mocy. Pomyśl, co by można zdziałać z taką wiedzą. Można by podporządkować sobie żywioły.

– Tak. – Jack oblizał wargi. – Wyobraź to sobie... Ale komu by zależało, żeby powstrzymać tak wielkie odkrycie?

– Kiedy byłem jego uczniem, baron podejrzewał, że jest obserwowany. Zwierzył mi się, że niektórzy mieszkańcy pobliskiego miasteczka – Magini – nie życzą mu dobrze. Podobno zadbał o to,

aby jego dzieło nie przypadło w razie, gdyby coś mu się stało. Jeżeli w tym jej kufrze jest to, o czym myślę, Jack, to byłoby to odkrycie niezwyklej wagi.

– Myślisz, że da się namówić na wyjawienie nam tego sekretu? – spytał Jack z niepoohamowanym głodem w oczach.

– Tutaj dochodzimy do mojego problemu – przyznał Harte, marszcząc brwi. – Jesteśmy, ona i ja, starymi przyjaciółmi. Właściwie to więcej niż przyjaciółmi – dodał z lubieżną nutą w głosie – ale jak dotąd nie pozwoliła mi zajrzeć do tego kufra. Myślę, że nadal mnie sprawdza, próbuje się przekonać, czy będę w stanie jej pomóc. Ma dość życia na marginesie. Jest córką barona i dopóki nie umarł, żyła jak baronówna. Ale po jego śmierci straciła przychód i pozycję w miasteczku. Przybyła do tego kraju, jak wielu innych, by zacząć od nowa. Chce żyć jak dawniej, tak jak powinna żyć córka barona, a to, co jest w tym kufrze, traktuje jako swój bilet do wyższych sfer. – Znow się rozejrzył, zanim rzekł ściszym głosem: – Daje do zrozumienia, że chciałaby zwrócić na siebie uwagę Zakonu. Oczywiście od razu pomyślałem o tobie. Z twoją pomocą, z twoimi koneksjami, może uda się ją przekonać, żeby wyjawiała nam dzieło swojego ojca.

– No chyba że tak naprawdę niczego tam nie ma – zauważył Jack.  
– Może tylko cię podpuszcza. Kobiety są z natury podstępne i zwodnicze.

– Możliwe, że kłamie – przyznał Harte – ale to ona jest autorką efektu, który widziałeś wczoraj wieczorem w teatrze. To niesamowite, do czego jest zdolna.

– Sama to przygotowała?

– Przyznaję to z bólem, ale wciąż mi nie powiedziała, jak to zrobiła. Wydaje mi się, że droczy się ze mną, traktuje to jako kartę przetargową, żeby dostać to, na czym jej zależy.

– Hm, trzeba coś z tym zrobić, prawda? – odparł Jack z szelmowskim uśmiechem.

– Masz jakiś pomysł?

– Może stosując odpowiednie zachęty, zdołam ją zmiękczyć, dowiem się, czy mówi prawdę.

– Zrobiłbyś to dla mnie? – podchwycił Harte, tłumiąc w sobie niespodziewany przypływ zazdrości.

– Oczywiście. Jesteśmy przyjaciółmi, czyż nie, Darrigan? – Jack pociągnął duży łyk z kieliszka. – Zresztą przełamanie jej oporu nie wydaje mi się najprzykrzejszą robotą.

Dłonie Harte'a pod stołem zacisnęły się w pięści, ale twarz pozostała maską skwapliwej wdzięczności.

– Byłoby wspaniale. Nie chcę dać z siebie zrobić głupca, ale jeśli ona naprawdę przechowuje sekrety swojego ojca, mogłaby mi się bardzo przydać.

– Nam obu. Panna Filosik i jej sekrety są na straconej pozycji – rzekł Jack, unosząc kieliszek.

– Absolutnie – przytaknął mu Harte, patrząc, jak Jack dopija resztkę szampana.

Lepiej tego wieczoru nie dało się wyreżyserować. Jack połknął haczyk zgodnie z planem, lecz Harte nie mógł się pozbyć wrażenia, że popełnił jakiś błąd. Nie wiedział tylko, co to było ani jak może się to na nim zemścić.

Tymczasem jednak należało uczcić sukces, przywołał więc na usta swój czarujący uśmiech i już miał zamówić kolejną butelkę, gdy czyjś cień padł na ich stolik. Podniósł wzrok i ujrzał nad sobą Paula Kelly'ego.

– Siemasz, Darrigan! – zagaił Kelly serdecznym tonem. Jak zwykle miał na sobie szykowny, nienagannie wyprasowany garnitur, ale

w jego oczach kryło się ostrzeżenie. – Nie sądziłem, że cię tu spotkam.

Nastała chwila milczenia; Harte, całkiem zbity z tropu pojawieniem się Kelly’ego, nie mógł z siebie nic wydusić. Czuł się tak, jakby właśnie się obudził i dotarło do niego, że wszystkie te miesiące wolności tylko mu się przyśniły. Znow miał trzynaście lat i patrzył śmierci w oczy.

– Nie przedstawisz nas sobie? – spytał Kelly, wyrywając go z osłupienia.

Jack spojrzał na Kelly’ego, a potem na Harte’a.

– Znasz tego jegomościa?

W jego zapuchniętych oczach widać było konfuzję, jakby nie wiedział, co myśleć o tym dziwnym człowieku w elegancko skrojonym ubraniu, któremu ewidentnie złamano kiedyś nos.

Harte był w potrzasku. Nazwisko Kelly’ego było na tyle głośne, że Jack mógł je skojarzyć, a to z kolei mogłoby zaprzepaścić cały trud włożony przez Harte’a w budowanie swojego wizerunku osoby szacownej. Nie mógł jednak odmówić prośbie Kelly’ego, bo wtedy ten niechybnie zrobiłby scenę.

– To mój stary znajomy. Paul Kelly, Jack Grew. Jack, pozwól, że przedstawię cię panu Kelly’emu.

Jack, który na szczęście zdawał się w ogóle nie kojarzyć tego nazwiska, uścisnął dłoń Kelly’ego, po czym, ku przerażeniu Harte’a, zaprosił go do stolika.

– Właśnie opijaliśmy pewną korzystną dla nas obu okoliczność, która nam się nadarzyła – oznajmił.

– Naprawdę? – zaciekał się Kelly, siadając na krześle zwolnionym przez Estę. Kątem oka zerknął na porzucony kieliszek szampana. – Sam jestem do pewnego stopnia człowiekiem interesu.

Jack zaczął się trochę plątać, wymawiając się od zdradzenia szczegółów. Paul Kelly mierzył go swoim zwyczajnym zimnym wzrokiem.

Harte'owi zaczęło brakować tchu. Zaryzykował wszystko – włącznie z życiem własnej matki – żeby utrzymać Kelly'ego z dala od Jacka, i co? Oto siedzieli we trzech przy jednym stoliku. Muszę stąd wiać, pomyślał, zerkając ponownie na dół w nadziei, że dojrzy tam wracającą Estę.

– Jesteś z kimś umówiony? – zagadnął Kelly, wyjmując wąskiego papierosa ze srebrnej papierošnicy.

– Nie – skłamał Harte. – Skąd.

Zanim Kelly zdążył go przycisnąć, na dole rozległ się gwizdek. Harte obrócił głowę i zobaczył wkraczający do środka oddział policjantów w hełmach – początek nalotu na prostytutki oraz hazardzistów, którzy często zbierali się w salach z tyłu klubu.

Kelly nie wydawał się w najmniejszym stopniu zaskoczony.

– No, panowie – rzekł – chyba nic tu po nas.

## ZAGINIONY NÓŻ

Choć twarz Bridget była spowita cieniem, Esta dostrzegła purpurowy ślad po siniaku biegnący w poprzek jej policzka.

– Przyszłam po swój nóż – powiedziała i dopiero wtedy do niej dotarło, jak idiotycznie to brzmi.

– Jaki nóż? – Bridget wydawała się jednocześnie znękana i zdezorientowana.

– Ten, który wyjął mi z buta.

– Niczego nie wyjmowałam – odparła Bridget, spoglądając ponad ramieniem Esty ku wejściu do korytarza. – Chyba oszalałaś, jeśli mnie o to podejrzewasz i przychodzisz tutaj po tym, co dla ciebie zrobiłam.

– Miałam nóż – oznajmiła Esta, czując mróz w żyłach.

Musiała go mieć. Bo jeśli nie było noża, to równie dobrze może nie być Dakariego. Lecz Bridget nie wyglądała, jakby kłamała.

– Nie jestem złodziejką... w przeciwieństwie do niektórych – odparowała. – Lepiej stąd uciekaj. Masz pojęcie, co się z tobą stanie, jeśli Corey cię tu zobaczy?

Chwyliła Estę za nadgarstek i pociągnęła w stronę sali. Ledwie jednak uchyliła fragment ściany, w sali po drugiej stronie powstał wielki zamęt. Kobiety krzyczały, mężczyźni wpadali na siebie, uciekając przed pałkami policjantów, którzy próbowali ich zatrzymać.

– Prędko – rzuciła Bridget. – Jak nas zobaczą bez partnerów, wezmą nas za prostytutki. Po to robią te naloty. Aresztują nas jak



nic.

Esta miała partnera. Podniosła oczy w stronę balkonu, lecz wśród ogólnej szarpaniny nie była w stanie dojrzeć, czy Harte wciąż tam jest.

– Co ty robisz? – zawołała Bridget, gdy Esta wyrwała się jej i zaczęła się przepychać przez tłum napierający w przeciwnym kierunku.

Tak bardzo była skupiona na odnalezieniu Harte'a, że nie spostrzegła policjanta za plecami, dopóki nie rozległ się jego świdrujący gwizdek. Nie zauważyła też pałki w jego ręku, dopóki nie spadła jej na głowę.

## NAD RZEKĄ

Sala pogrążyła się w chaosie. Na dźwięk gwizdka zalała Harte'a fala wspomnień. Przez chwilę znów był jedenastolatkiem i nie miał dokąd uciec, przyparty do muru w bocznej uliczce, w której umościł się na noc.

– Darrigan! – Jack ciągnął go za rękaw i coś do niego mówił.

Ale hałas gwizdków i okrzyków zagłuszał wszystko prócz wspomnienia sprzed lat: wyrwano go ze snu i wepchnięto do czarnej policyjnej karetki, w której panował już taki ścisk, że nie mógł się ruszyć. Nie mógł uciec przed smrodem tych obcych kobiet i mężczyzn. Nie mógł uciec od natrętnych, szarpiących go rąk...

Nie mógł oddychać.

Głos Jacka dobiegł jakby z daleka.

– Darrigan, tędy.

Harte dał mu się prowadzić; umysł wciąż miał zaćmiony paniką i nie docierało do niego, co się dzieje, póki nie wyszli na ulicę cuchnącą moczem i zgniłym mięsem, zapachami jego dzieciństwa. Z trudem powstrzymał torsje.

Kiedy chłodne wieczorne powietrze uderzyło go w twarz, odetchnął nim gwałtownie. Ledwie odnotował, że Jack ściska dłoń Kelly'emu, dziękując mu za pomoc w wydostaniu się z klubu.

– Miło cię było widzieć, Darrigan! – Kelly klepnął go mocno w plecy, po czym zatrzymał przejeżdżającą dorożkę i odjechał w ciemną noc.

Harte w końcu doszedł do siebie i dopiero teraz zrozumiał, że nie są już w Słomianym Targu.

– Co my tu robimy, Jack?

– Nie dajemy się złapać policyjnej obławie – odparł tamten. Miał potargane włosy i rozdarty rękaw marynarki, ale wyglądał na zadowolonego z siebie. Ucieczka wprawiła go w euforię. – Cholernie miły gość z tego Kelly’ego, że pomógł nam się tak ładnie wykaraskać.

– Nie możemy zostawić Esty – oznajmił Harte, zawracając.

Jack chwycił go za ramię.

– Oszalałeś? Nic jej nie będzie. Jak zobaczą te jej klejnoty, odcepią się od niej. Albo nawet odwiozą ją do domu. Chodź. Nie mogę dać się w to wmieszać. Ty chyba też nie chciałbyś spędzić tej nocy w Grobowcu.

Zabrał rękę, ale Harte się nie ruszył. Nie może znowu wylądować w Grobowcu, pomyślał z narastającą paniką. Tylko nie to.

– Idziesz czy nie? – ponaglił go Jack.

Harte obejrzał się na tylne wyjście ze Słomianego.

– Ale Esta...

– Nic jej się nie stanie.

– Nie wiemy tego na pewno.

Jack wzruszył ramionami.

– Masz rację, nie wiemy. Ale pomyśl w ten sposób: jeśli ona się z tego nie wygrzebie, przynajmniej nie będzie nam bronić dostępu do dzienników swojego ojca. – Szturchnął Harte’a, śmiejąc się z własnego żartu.

Palce Harte’a zacisnęły się w pięść i musiał się bardzo powstrzymać, żeby nie wybić mu tych bielutkich zębów. Cena byłaby jednak wysoka: cały plan wzięłby w łeb, a razem z nim szanse na zdobycie Księgi.

– Chodź – nalegał Jack. – Chcę ci coś pokazać.

Harte nie mógł zostawić Esty, ale nie mógł też wypuścić Jacka z garści. Był już przecież tak blisko celu.

– To jak? – spytał niecierpliwie Jack.

Pewnie dawno już wydostała się na zewnątrz i była w drodze do ich mieszkania – do j e g o mieszkania, poprawił się. Nic jej nie będzie. W odwrotnej sytuacji ona pewnie zachowałaby się podobnie. Czyż nie lubiła i m p r o w i z o w a ć? Była w tym dobra.

– Dobrze – powiedział, ostatni raz oglądając się na drzwi. – Chodźmy.

Przeszli jedną przecznicę na zachód, unikając hałasu dobiegającego od strony Szóstej Alei, gdzie część klientów i kelnerki ze Słomianego Targu, próbując wymknąć się policjantom, wpadła prosto w ich ręce. Jeśli Esta uciekła w tamtą stronę...

To sobie poradzi. Cokolwiek to było, co pozwalało jej poruszać się z prędkością błyskawicy, pojawiać się i znikać w mgnieniu oka, włos jej z głowy nie spadnie. On, Harte, musi pójść z Jackiem. Byli zbyt blisko celu, żeby teraz im się wyślizgnął.

W dorożce, którą złapali, śmierdziało, jakby ktoś w niej zwymiotował, ale Jack zdawał się tego nie dostrzegać. Gdy tylko ruszyła z miejsca, rozparł się wygodnie na siedzeniu i przymknął oczy.

Wkrótce stało się jasne, że wbrew oczekiwaniom Harte'a wcale nie jadą w kierunku eleganckich domów przy Piątej Alei. Na widok wież kościoła Świętej Trójcy, położonego daleko na południe od bezpiecznej Canal Street, zaczął się niepokoić.

– Dokąd jedziemy? – spytał wśród turkotu kół.

Jack nieznacznie uchylił powieki.

– Zobaczysz – odparł z uśmiechem samozadowolenia, po czym z powrotem zamknął oczy, a kilka sekund później cicho chrapnął.

Jechali dalej, Jack pogrążony w pijackiej półdrzemce, Harte – w niespokojnych rozmyślaniach. Rozwazał różne pomysły, lecz bryczka ani razu się nie zatrzymała, wjeżdżali coraz głębiej w niedoświetlone ulice dzielnicy biedy, a każda kolejna była cichsza i ciemniejsza od poprzedniej.

Kiedy zbliżali się do wschodniego skraju wyspy, Jack chrząknął i poderwał się ze snu. Spostrzegłszy, gdzie są, wydawał się podekscytowany i nagle jakby otrzeźwiał. Za to Harte w miarę zbliżania się do wielkiego mostu coraz bardziej się denerwował.

Nie mógł przekroczyć rzeki, ale nie mógł też zatrzymać dorożki, nie wzbudzając podejrzeń Jacka, czym naraziłby na szwank cały swój misterny plan. Przede wszystkim jednak nie mógł dopuścić, żeby Jack zdał sobie sprawę z prawdziwego powodu, dla którego nie wolno mu było przejechać mostem na drugi brzeg.

Most ogromniał przed nimi z każdą mijaną przecnicą. Harte zerknął na nadgarstek Jacka i dostrzegł wąski pasek odstłoniętej skóry między mankietem a rękawiczką. Dla pewności zamierzał poczekać, dopóki nie skręcą na most. Dopóki niebezpieczeństwo, jakie stanowiła dla niego Krawędź, nie przeważy szali ryzyka...

Lecz wtedy Jack zabębnił palcami w okienko woźnicy i pojazd wyhamował.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił, a jego oczy, pomimo wypitego alkoholu, zaśniły radosnym podnieceniem.

Harte odetchnął z ulgą, ale zachował czujność.

Port ciągnący się wzdłuż rzeki w tej części miasta był lasem okrętowych masztów i labiryntem magazynów przycupniętych tuż przy ziemi. Harte nie znał tej okolicy. Nadbrzeże było królestwem dokerów oraz szczurów rzecznych, ludzi żyjących z obrabiania

transportów. Robotnicy portowi nieraz odwracali wzrok, gdy wrzucano ciało do rzeki, a większość rozsądnych ludzi omijała to miejsce z daleka. Również Magini rzadko zapuszczali się w pobliże Krawędzi, otaczającej wyspę w niewielkiej odległości od brzegu. Nawet teraz, nie będąc nad samą wodą, Harte mógłby przysiąc, że czuje zimne tchnienie bariery.

Jack kazał dorożkarzowi czekać, a sam poprowadził Harte'a przez skąpaną w księżycowym blasku chaotyczną zabudowę; szedł, wymachując rękoma i od czasu do czasu pogwizdując fałszywie jakąś melodię, jakby to był Central Park, a nie jedna z najbardziej szemranych okolic w mieście. Harte zawsze był podejrzliwy wobec takiej ślepej pewności siebie. Zwykle kryła się pod nią głupota. Doświadczenie uczyło, że obie te cechy są niebezpieczne.

Wszędzie ukazywały mu się ludzkie cienie, przyczajone w przejściach, skulone pod ścianami. Co jakiś czas któryś z nich wzniewał w palcach ogień. Migotliwy płomień na moment rozświetlał twarz osnutą dymem, a potem znów robiło się mroczno.

To nie magia, przypominał sobie Harte. To tylko błysk zapałki, zwykły ognek papierosa ćmiący się wśród ciemności.

Zbliżyli się do rzeki na tyle, że prawie czuć było zapach wody. Po jej drugiej stronie znajdowało się to wszystko, do czego nie miał dostępu, cały szeroki kraj, a nie tylko cuchnące ulice i gorączkowa miejska codzienność. Świat, w którym on, Harte Darrigan, mógłby być kimś więcej niż szczurem w pułapce.

Ale gdy zrobił kolejny wdech, zapach wody zagłuszyła ciężka woń maszynowego smaru, odór kilkudniowych ryb i muszli ostryg. Przypomniały mu one, że czeka go jeszcze długa droga, zanim będzie mógł układać sobie inną przyszłość.

Wreszcie dotarli do niepozornego, podłużnego magazynu. Jack wyjął zza pazuchy pęk kluczy i raz-dwa uporał się z masywnymi

kłódkami na drewnianych drzwiach. Odwrócił się do Harte'a, zanim szczęknął ostatni zamek.

– Ty pewnie obyłbyś się bez klucza, co? – rzekł, przekrzywiając głowę. Twarz miał spowitą cieniem, ale jego ruchy stały się sztywne, jak gdyby dopiero teraz, nieco wytrzeźwawszy, zdał sobie sprawę z tego, co robi. Jakby dopadły go wątpliwości.

– Nie jestem złodziejem, Jack.

– Wiem. – Jack poruszył się niespokojnie. – Ale i tak wiele ryzykuję, przyprowadzając cię tutaj. Myślę, że zrozumiesz, i wierzę, że będziesz wystarczająco zaniepokojony, żebym nie musiał się martwić.

– Możesz mi zaufać bez względu na to, czy będę zaniepokojony. Nie szukam kłopotów.

Jack zmarszczył brwi, jakby łamał sobie nad czymś głowę. Harte'owi przez moment zdawało się, że w ostatniej chwili zmieni zdanie, przybrał więc znudzoną i lekko zniecierpliwioną minę.

– Słuchaj, wcale nie prosiłem, żebyś mnie tu przywiózł, ale skoro już tu jesteśmy, czy możemy nie tracić czasu? Muszę wrócić do Esty, sprawdzić, czy wszystko w porządku, więc jeśli nie wchodzimy do środka...

– Nie, nie. – Jack energicznie potrząsnął głową. – Skoro już przejechałeś taki kawał, musisz to zobaczyć. Chcę ci coś pokazać. – Popchnął drzwi. Wnętrze tonęło w nieprzenikniętych ciemnościach, ale Jack prędko zapalił lampę naftową przy wejściu. – Ty pierwszy.

Pośrodku pomieszczenia stało coś wielkiego, jakiś obiekt o dziwnym kształcie zakryty płachtą. Z uśmiechem, który rozjaśniał mu twarz na równi z blaskiem lampy, Jack ściągnął brezent, odsłaniając maszynę jakby wziętą wprost z książek Juliusza Verne'a. Nie była jeszcze skończona, lecz Harte wyłowił wzrokiem jej trzon:

wielką szklaną kulę otoczoną trzema koncentrycznymi okręgami, które błyszczały w świetle.

Gdy tak stała milcząca i nieruchoma, wydawała się niegroźna, lecz było w niej coś, co napawało Harte'a niepokojem.

– Wspaniała, prawda? – Jack popchnął jedno z wielkich orbitujących ramion i wszystkie trzy zaczęły posuwać się po swoich trajektoriach.

– Co to jest, do licha? – spytał Harte, próbując się otrząsnąć z niepokoju, którego doznał na widok tej maszyny.

– To jest przyszłość, Darrigan – oznajmił z dumą Jack.

– Przyszłość? – Harte uniósł brew.

– Spójrz tutaj. – Jack ominął Harte'a i podszedł do długiego stołu po lewej. Walały się tam mapy i projekty przyciśnięte do blatu przyborami kreślarskimi. Przywołał Harte'a gestem.

Nie mając ochoty zbliżyć się do dziwnej maszyny, Harte obszedł ją szerokim łukiem. Na końcu stołu, przy którym stał Jack, znajdowała się makietka niedużej prostokątnej budowli z pojedynczą wieżą pośrodku. Wieńczyła ją dziwna cebulasta kopuła, przywodząca Harte'owi na myśl rosyjską cerkiew, którą widział kiedyś na zdjęciu.

– O co tu chodzi? – spytał.

Jack wskazał na makietę.

– Mój wuj buduje coś takiego na Long Island. Bezprzewodowy przekaźnik według projektu Tesli. Za jego pomocą będzie można przesyłać drogą powietrzną telegramy, a może nawet zdjęcia. Wuj twierdzi, że to zrewolucjonizuje świat biznesu.

– Ale ty w to nie wierzysz? – spytał Harte, wyczuwając nutę sceptycyzmu w głosie Jacka.

– Moim zdaniem to nie dość ambitny projekt i ucieczka od sedna problemu. – Jack zaczął wertować stertę papierów. – Popatrz.



Wyprostował zmiętą kartkę i podsunął ją Harte'owi.

– Dłoń Filozofa – stwierdził Harte, zerkając na Jacka znad kartki. Znał ten obrazek – wystarczająco długo studiował alchemię, by poznać ten symbol i jego znaczenie.

– Otóż to. Wiedziałem, że zrozumiesz – zachwyił się Jack. – Pięć palców, pięć odrębnych elementów, podstawa całej naszej wiedzy na temat nadzwyczajnych mocy. Każdy, kto zgłębia sztukę tajemną, wie, że są kluczem do odkrycia sekretów magii. Wyodrębniając poszczególne elementy, można okiełznać ich energię i sprawić, że będą nam posłuszne. Ale spójrz, co je zespala.

Rysunek przedstawiał dłoń z rozcapierzonymi palcami, na końcu każdego z nich znajdował się inny symbol: klucz, latarnia, słońce, gwiazda i korona. Pośrodku dłoni widniały ryba i płomień, symbolizujące...

– Rtęć – powiedział Harte, stukając palcem w obrazek. – Element, który przenika wszystkie pozostałe. Czasem nazywany żywym srebrem.

– Albo eterem – dodał Jack. – Ta sama substancja, którą, jeśli masz rację, udało się wyodrębnić baronowi.

– Do czego zmierzasz? – spytał Harte z ciarkami na plecach. Może rozegrał to wszystko z b y t dobrze: Jack nie tylko połknął haczyk, ale ciągnął go w morze. – Jaki to ma związek z tą maszyną? Albo z przyszłością?

– Ogromny – odparł dobitnie Jack. – To ma ogromny związek z przyszłością. Każdego dnia świat wysyła ku naszym brzegom coraz więcej motłochu. Do naszego miasta przenikają brudni, nieokrzesani i g r o ź n i Magini. Ich istnienie zagraża naszej cywilizacji oraz, jak się przekonaliśmy na własne oczy, bezpieczeństwu naszych majątków i obywateli. Ale ten wynalazek

wszystko zmieni, Darrigan. – Musnął palcem dach wieży. – Raz na zawsze położy kres temu zagrożeniu.

– Już teraz Krawędź nie pozwala Maginom się przemieszczać.

– Może tak było w prostszych czasach – odparł Jack. – W chwili stworzenia Krawędzi nie mieliśmy do czynienia z takim napływem. Wystarczyło zamknąć ich na wyspie jak w klatce. Ale ich liczebność stale wzrasta. Oczywiście próbowano na różne sposoby sprostać temu zagrożeniu. Stacja na Ellis Island miała być sitem, dzięki któremu żaden Magin nie postawi stopy na naszej ziemi, ale to nie wystarczyło. To chytre robactwo codziennie prześlizguje się przez kontrole. Słyszałem nawet o doniesieniach, że niektórzy zdołali przedostać się dalej, na kontynent. Tak być nie może. Zakon wie, że trzeba coś z tym zrobić. Pracują nad zwiększeniem zasięgu Krawędzi, ale to im się nie uda.

– Nie? – Harte nie odrywał wzroku od makiety, pokrywając strach udawanym zainteresowaniem.

– Nie, dopóki używają przestarzałych pojęć, staroświeckiej magii zamiast nowoczesnej nauki. I dopóki nie zaczną myśleć w większej skali.

– Krawędź jest mała? – zdziwił się Harte, usiłując zachować spokój w głosie.

Grew pokiwał głową.

– W porównaniu z tym, czego dokona moja maszyna. Pomyśl o tym, Darrigan. Wieża Tesli zrewolucjonizuje komunikację bezprzewodową, zgoda, ale to dopiero początek nowych możliwości. Przekaznik o takiej mocy może sprawić, że Krawędź stanie się przeżytkiem. – Raz jeszcze wygładził kartkę z rysunkiem Dłoni Filozofa. – Krawędź powstała przed ponad wiekiem dzięki rytualnej manipulacji elementami z wykorzystaniem eteru. To alchemia w starym stylu: pięć artefaktów, każdy przepełniony mocą

jednego z podstawowych elementów, posłużyło do przeprowadzenia rytuału. Tak jak na tej dłoni, wszystkie elementy są połączone za pomocą eteru. Tworzą swoisty obwód. Kiedy Magini go przekraczają, ich moc zaburza obwód i cała magia, jaką posiadają, zostaje wchłonięta przez elementarną energię Krawędzi, która próbuje w ten sposób odzyskać równowagę. Cały ten system sam się utrwała, zasila go dzika magia, którą wchłania, i dlatego istnieje tak długo, bo prawie nic nie trzeba przy nim robić. Ale kluczem jest eter – ciągnął z zapałem Jack. – Są jednak dwa problemy z Krawędzią. Po pierwsze, moc odebrana Maginom, którzy próbowali przedostać się na drugą stronę, staje się częścią obwodu, ale nie możemy jej w żaden sposób wykorzystać. Jest praktycznie stracona. To marnotrawstwo, nie uważasz?

– Tak – wyduśił z siebie Harte, ignorując nieprzyjemny skurcz w żołądku. – Zdecydowanie.

– Ta maszyna położyłaby temu kres. Zamiast rozprzewadzać zebraną energię, gromadzi ją i magazynuje.

– A drugi problem?

– Krawędź jest ograniczona swoimi rozmiarami. Kiedy ją stworzono, nikt jeszcze nie wiedział, jak szybko miasto się rozrośnie, jak bardzo zmienią się choćby pustkowia Brooklynu. Nikt sobie nie wyobrażał, ile ludzi przypływnie do naszych brzegów. Ani że będą napływać pomimo Krawędzi.

– Desperacja robi swoje – wymamrotał Harte.

Ci ludzie ryzykowali przeprawę przez Krawędź i decydowali się na życie w mieście pułapce, ponieważ i tak woleli to miejsce od swoich ojczyzn, gdzie wciąż szalała nienawiść rozpętana w dobie Odczarowania. Tak potężna była ich nadzieja na inną przyszłość.

– To nie desperacja, Darrigan. To całkowity brak poszanowania dla naszych wartości. Zakon oczywiście zdaje sobie sprawę

z problemu. Nowy plan działania miał być ogłoszony na zbliżającym się konklawe, w obecności wszystkich członków, ale pojawiły się problemy. Pierwotne artefakty nie są wystarczająco potężne, by poszerzyć Krawędź bez ryzyka poważnych zakłóceń. Teraz kierownictwo Zakonu próbuje stworzyć kopię Krawędzi, licząc na to, że może uda się ją postawić w innych miejscach, otoczyć nią Maginów, którym udaje się ominąć Nowy Jork. To jak na razie też się nie udało. – Pokręcił głową z drwiącym wyrazem twarzy. – Ale czy Wewnętrzny Krąg mnie posłucha?

– Nie? – zgadł Harte, dobrze maskując nadzieję w głosie.

– Oczywiście, że nie. Oni nadal tkwią w przeszłości, jej ciężar ciągnie ich w dół. Pociągnie nas wszystkich. – Jack gwałtownym ruchem zmiotł papiery ze stołu, aż wzbiły się w powietrze, a potem opadły na ziemię u stóp Harte'a. – Są tak zafiksowani na zatrzymaniu Maginów, że nie dociera do nich, że to się nigdy nie udawało. Magini mnożą się jak szczury. I tak jak szczury trzeba ich wytępić. Moja maszyna właśnie tego dokona, kiedy zacznie działać. – Podeszedł do niej i pogłaskał lśniący metal jednego z orbitalnych ramion. – Po zainstalowaniu w wieży Tesli będzie miała dość energii, żeby oczyścić z dzikiej magii teren w promieniu stu mil. To dużo wydajniejsza metoda niż stare rytuały. Wyobraź sobie po jednej takiej wieży w każdym dużym mieście. To byłby czytelny sygnał, przestroga dla tych, którzy chcą przybyć do naszego kraju i zawrócić nas z przeznaczonej nam drogi.

– Sto mil? – Harte'owi prawie zrobiło się słabo. – Jesteś pewien?

– Podczas ostatniej próby wygenerowaliśmy pole sięgające aż do Fulton Street, a nie wykorzystaliśmy nawet połowy mocy. – Jack uśmiechnął się chytrze.

– Imponujące – rzekł Harte, ale mówiąc to, myślał o Tilly i robiło mu się niedobrze. Nie zdawał sobie sprawy, do czego Jack jest

zdolny. Podpuszczał go, zachęcał, a powinien być ostrożniejszy.

– Prawda? – zgodził się Jack. – Kiedy zwielokrotnię moc tej maszyny za pomocą przekaźnika Tesli, będziemy w stanie z łatwością oczyścić z dzikiej magii cały Manhattan, a kto wie, może nawet Filadelfię i Boston. A uzyskaną w ten sposób energię, inaczej niż w przypadku Krawędzi, będzie można wykorzystać. Wyobraź to sobie: dzika magia wytępiona i zmieniona w cywilizowaną moc, która pomoże nam kształtować przyszłość w nowym wieku. Albo... będzie można zrobić z niej broń, jakiej świat dotąd nie widział. Nasz kraj mógłby stać się jeszcze większą potęgą niż mocarstwa europejskie po epoce Odczarowania.

Harte nie miał pomysłu, jak odpowiedzieć, nie ujawniając swoich prawdziwych uczuć. Nie wiedział, że Krawędź przechowuje moc odebraną Maginom, ale scenariusz kreślony przez Jacka był dużo bardziej niebezpieczny.

Gdyby mu się udało, gdyby Zakon kiedykolwiek wszedł w posiadanie takiej maszyny, magia byłaby skazana na wymarcie w s z ę d z i e, a razem z nią wszyscy jej posiadacze. Jeśli Jack nie mylił się co do potencjału swojego wynalazku, wszelkie plany ucieczki z miasta mijały się z celem. Harte musiał znaleźć sposób, żeby go powstrzymać i zniszczyć maszynę, w przeciwnym razie nie będzie miał dokąd uciec.

– Powiedziałeś, że maszyna nie działa? – spytał.

– Niestety. – Jack podrapał się po głowie z wyrazem frustracji. – Przynajmniej na razie. Nie wymyśliłem jeszcze sposobu na to, jak stabilizować zebraną przez nią energię. Dzika magia jest mało stabilna. Poprzedni model, który zbudowałem, po tygodniu eksplodował i zabił operatora. – Gorączkowym spojrzeniem ślizgał się po milczącej metalowej konstrukcji, jakby licząc na to,

że maszyna prędzej czy później wyszepcze mu swoje sekrety. – Cała wygenerowana moc przepadła.

Tak jak Tilly. Istnienie maszyny tłumaczyło dziwną barierę na Fulton Street, ale jeśli Tilly umarła w chwili wybuchu maszyny... co to oznaczało dla Dolpha i jego planu zniszczenia Krawędzi?

– To nie wina maszyny – mówił dalej Jack, nie dostrzegając ponurej miny Harte'a. – Nie ma żadnych wad konstrukcyjnych, sam ją zaprojektowałem. Mechanizm działa bezbłędnie. Ale po spotkaniu z panną Filosik zrozumiałem, czego mi brakuje.

– Tak? – Harte'owi nie podobało się to ani trochę.

– Zapomniałem o eterze.

– O eterze? – Z trudem wymówił to słowo.

– Oczywiście! Nie wiem, dlaczego wcześniej na to nie wpadłem. – Jack znów przesunął drżącą dłoń po głowie, jeszcze bardziej targając sobie włosy, przez co wyglądał jak szaleniec. – Bez wyodrębnienia eteru moc była niestabilna, nieobliczalna. W Dłoni Filozofa to właśnie eter stabilizuje elementy, a więc mógłby również stabilizować energię zbieraną przez maszynę. Sęk w tym, że nikt od czasu ostatniego maga nie zdołał go wyodrębnić ani wyprodukować.

– Ostatniego maga? – Harte miał nogi jak z waty. – Obawiam się, że nie słyszałem o nim.

– Nie? – Jack zmarszczył brwi w zdziwieniu, a po jego twarzy przemknął cień podejrzliwości.

– W każdym razie nie pod tym imieniem – poprawił się Harte. Wszystko nagle wymykało mu się spod kontroli.

Jack przypatrywał mu się przez chwilę.

– Ostatni mag żył wiele wieków temu i był kimś takim jak my, studiował wiedzę hermetyczną. Mówi się, że osiągnął w tej

dziedzinie więcej niż wszyscy jego następcy. Niektóre z jego przełomowych odkryć przyczyniły się do utworzenia Krawędzi.

– Należał do Zakonu?

– Niezupełnie, ale Zakon czerpał z jego dorobku. Mamy jego dziennik, zapis wszystkich jego ustaleń i dokonań. Nazywa się Ars Arcana. Arcanum to oczywiście inne określenie na kamień filozoficzny.

– To nie może być przypadek – rzekł Harte, świadom, że Księga nigdy, przenigdy nie powinna trafić w ręce Jacka. – Sądziś, że ta księga pomoże ci wyodrębnić eter?

– Tak myślę, ale Zakon trzyma ją pod kluczem. Tylko najwyżej postawieni członkowie mają do niej dostęp. Od miesiący zabiegam o możliwość zajrzenia do niej, ale nie należę do Wewnętrznego Kręgu. Nieważne. Teraz to już nieistotne. – Szatański uśmiech rozjaśnił jego twarz. – Jeśli masz rację co do panny Filosik, nie będę potrzebował tych zapisków. Wystarczy, że namówimy ją, aby wyjawiała nam sekrety ojca.

Umysł Harte'a pracował na zdwojonych obrotach. Ta maszyna wszystko zmieniała...

Nagle przypomniał sobie przepowiednię starca – że doprowadzi jakoś do zniszczenia Księgi. Wcześniej nie do końca wierzył Eście ani tej wróżbie. Dopiero teraz zrozumiał, co musi zrobić.

Potrzebował Księgi bardziej niż kiedykolwiek.

– Będziesz musiał zdobyć jej zaufanie – podpowiedział, obmyślając naprędce nowy plan działania: skoro Jack był zainteresowany Estą, skoro nadal mieli go na haczyku, mogli dalej grać z nim w swoją grę. Jeśli zdołają spowołnić Jacka o r a z wykraść Księgę, może uda mu się jednak wydostać z miasta. Potem zniszczy Księgę, a tym samym pozbawi Jacka i Zakon szans na ukończenie maszyny.

Esta dowie się dopiero po wszystkim. Nie rozumiała, jak wielkie jest zagrożenie – jeśli nie teraz ze strony Jacka, to kiedyś ze strony kogoś innego. Poza tym za bardzo ufała słowom starca. Harte nie zdoła jej przekonać, że Księga jest zbyt niebezpieczna, by mogła dalej istnieć.

Ale to nie oznaczało, że nie przyda mu się pomoc Esty.

Kiedy już wszystko się skończy i będą bezpieczni, może zdoła jej to wyjaśnić. Może nawet Esta mu wybaczy.

A jeśli nie wybaczy?

Spotykały go już w życiu gorsze rzeczy.

– Jestem pewien, że nie będzie z tym problemu – odparł Jack, uśmiechając się diabelsko. – Być może zdążę uruchomić maszynę jeszcze przed konklawe, tak jak zamierzałem.

– Zakon będzie zmuszony uznać twój geniusz – powiedział Harte, ukrywając prawdziwe uczucia za najbardziej promiennym z uśmiechów. Wewnątrz dławił go jednak wielki niepokój.

– A magiczne robactwo nie będzie miało żadnych szans.

Harte skinął głową i poklepał Jacka po plecach, lecz w duchu postanowił uczynić wszystko, żeby ta wizja nigdy się nie ziściła.



## ODMIANA

**K**iedy Harte wreszcie uwolnił się od Jacka i ruszył w stronę domu, dochodziła już trzecia nad ranem. Wchodząc do swojego mieszkania, spodziewał się zastać Estę zamkniętą na klucz w jego pokoju. Albo raczej wściekłą i gotową go udusić za to, że ją zostawił. Lecz dla tego, co zobaczył w porcie, warto było narazić się na jej złość. Nogi same go niosły z dala od tej piekielnej maszyny. Gdy jednak zapalił światło, okazało się, że Esty nie ma – i nic nie wskazywało na to, że była w domu.

Powiedział sobie, że poczeka godzinę, i siedział jak na szpilkach wpatrzony w tykający zegar na stoliku. Po trzydziestu siedmiu minutach nie wytrzymał. Chwyciwszy płaszcz i kapelusz, wyszedł z powrotem na dwór, by jej szukać.

Okolica Słomianego Targu, kiedy tam wrócił, była już pusta. Policja zostawiła barierki, a wejście do klubu zabito deskami. W powietrzu wciąż wisiał zapach dymu. Na chodnikach nie było żywej duszy, ale w pobliskich drzwiach spał chłopak zwinięty w kłębek. Harte obudził go delikatnym pukaniem w ramię, a gdy tamten, wyraźnie niezadowolony, zamrugał wreszcie, podsunął mu przed nos banknot dolarowy. Oczy chłopaka otworzyły się szeroko.

– Widziałeś tu dzisiaj kobietę w złotej sukni?

– Widziałem mnóstwo kobiet – odparł bezdomny, poprawiając czapkę na głowie i sięgając po pieniądze.

Harte cofnął rękę.

– Miała naszyjnik z granatami i brylantami przypominający obrożę. I czarne pióra we włosach.

– Być może ją widziałem.

– Gdzie?

– Chyba zabrali ją do Grobowca z całą resztą. – Chłopak wyrwał Harte'owi banknot z ręki. – Ale one wszystkie wyglądały podobnie, więc nie dam głowy, że to była ona. – Wetknął pieniądz za koszulę i odwrócił się z powrotem na drugi bok.

Grobowiec? Wspomnienie wilgotnej posadzki i celi pełnej szorstkich rąk na moment ścisnęło mu płuca. To jego wina. Był na nią zły za ten numer, który mu wycięła na scenie, i dlatego chciał jej dokuczyć. Pozwolił jej się oddalić. A potem ją zostawił.

Musi powiedzieć Dolphowi. Trzeba wydostać Estę z więzienia, zanim coś jej się stanie. A istniało wiele rodzajów śmierci, które nie były równoznaczne z pójściem do piachu. Kto jak kto, ale on to wiedział.

Kiedy dotarł do Bowery, Strega prawie całkiem już opustoszała. Viola właśnie zmywała barowy blat.

– Zamykamy – rzuciła, gdy wszedł do środka. – A, to ty. – Łypnęła srogo. – Gdzie Esta?

Harte przywołał ją ruchem dłoni, rozglądając się po sali.

– Muszę porozmawiać z Dolphem.

– Nie ma go.

– A gdzie jest?

Viola wzruszyła ramionami.

– Czasem o tej porze lubi się powłóczyć.

– A kiedy wróci? Muszę z nim pogadać.

– Kto to wie? Ostatnio jest w dziwnym humorze. – Viola zmrużyła oczy. – Gdzie nasza dziewczyna?

Harte skrzywił twarz.

– Właśnie o tym chciałem z nim pomówić.

Nóż Violi w mgnieniu oka znalazł się przy jego szyi. Czuł, jak ostry czubek wpija mu się w skórę.

– Co jej zrobiłeś?

– Nic jej nie zrobiłem – odparł, patrząc jej prosto w oczy, żeby wiedziała, że nie kłamie. – Ale wieczorem policja zrobiła nalot na Słomiany Targ. Mogli ją zatrzymać.

Czubek noża wpił się jeszcze głębiej.

– Jak to?

– Rozdzieliliśmy się w tym zamieszaniu i Esta nie wróciła do mnie do domu. Mogli ją zabrać do Grobowca. Musimy się upewnić i w razie czego ją stamtąd wydostać.

– Od początku nie podobała mi się ta twoja ładna buźka.

Harte poczuł ukłucie noża i ciepło kropli własnej krwi, która ściekła mu po szyi.

Trwał w bezruchu, nie chcąc, żeby Viola wiedziała, jak bardzo jest zdenerwowany. Ani żeby nóż wbił się głębiej.

– Jeśli chcesz mnie zabić, miejmy to z głowy – odparł z fałszywą brawurą. – A jeśli nie, powiedz mi, gdzie poszedł Dolph, bo chciałbym ją uwolnić.

Przyglądała mu się jeszcze chwilę ze złością.

– Naprawdę nie wiem – oznajmiła w końcu, cofając ostrze i wycierając zakrwawiony czubek w spódnicę. – Może chłoptaş coś wie. Dolph nieraz mówi mu różne rzeczy. – Spojrzała spod zmarszczonych brwi w stronę Nibsy’ego. Potem znów utkwiała wzrok w Harcie. – Uwolnisz ją. – To nie było pytanie.

– Taki mam zamiar – odparł, ruszając w kierunku stolika, przy którym Nibs gryzmolił coś w zeszycie.

– Muszę znaleźć Dolpha – rzucił bez powitania. – Pilnie.

– Wyszedł. – Chłopak nawet na niego nie spojrział. – Wróci za parę godzin.

– Nie mam paru godzin.

Nibs podniósł wzrok, ale nie wydawał się zbyt zaniepokojony. Co najwyżej zaniepokojony.

– Chodzi o Estę – wyjaśnił Harte. – Chyba zgarnęła ją policja. Przypuszczam, że zawieźli ją do Grobowca.

Chłopak przekrzywił głowę, spoglądając zza grubych szkielec.

– Dolph coś wspominał, że spotykacie się dzisiaj z Jackiem Grew. Połknął przynętę?

Harte przeczesał włosy dłonią.

– Tak, prawie.

– Prawie?

– Nieważne – uciął Harte. – Jack może poczekać.

– Zawróciła ci w głowie, co? – Nibs wydawał się zadowolony z siebie. – Tak przewidywałem.

– Nie o to chodzi – zaprzeczył odruchowo Harte, lecz natychmiast zrozumiał, że to kłamstwo.

– Nie? – dopytywał Nibs.

– Nie – powtórzył Harte, nie chcąc mu przyznać racji. – Potrzebujemy jej i tyle. Bez niej nie wykradniemy Księgi.

– Jasne, że wykradniemy – stwierdził Nibs ze wzruszeniem ramion. – Kieszonkowców i złodziei mamy na pęczki.

– Nie takich jak ona – odrzekł Harte i dopiero wymówiwszy te słowa, zdał sobie sprawę, że naprawdę tak uważa. – Musimy ją wydostać, zanim coś jej się stanie. – Bo jej potrzebował, przyznał sam przed sobą. I tylko dlatego.

– Nie zgrywaj rycerza w lśniącej zbroi, Darrigan. Jesteś mało przekonujący w tej roli – drwił z niego Nibs. – Zapomnij o tej

dziewczynie. Masz się teraz skupić na Jacku Grew. Esta wyjdzie, jak wyjdzie. Chyba że nie wyjdzie. Teraz to nieistotne.

– Oczywiście, że istotne – warknął Harte.

Nibs pokręcił głową.

– Zrobiła, co do niej należało. – Charakterystyczną dla niego niewinną, wręcz naiwną minę zastąpił kpiarski uśmieszek. Nagle zupełnie inaczej patrzyło mu z oczu. – Wpadłeś po uszy, co?

Harte przez cały czas wiedział, że daje się rozgrywać, ale kiedy usłyszał to wprost od Nibs'a i pojął, że Esta była dla Dolpha tylko pionkiem w grze, coś w nim pękło. W jednej chwili poderwał chłopaka z krzesła i przyparł go do ściany. Czuł na sobie wzrok Violi z drugiego końca sali, lecz nic sobie z niego nie robił.

Nibs nawet nie mrugnął.

– Nie jestem byle frajerem – warknął Harte.

– Oto właśnie twoja największa słabość, Darrigan. Wydaje ci się, że nie można cię ograć. Ale Esta udowodniła, że to nieprawda, czyż nie? Wiedziałem, że jej się to uda, jak tylko ją zobaczyłem. Cudownie cię ograła.

Harte poczuł, że krew go zalewa. Niczego w tej chwili nie pragnął bardziej, niż sprawić, by Nibs pożałował swoich słów. Huknął go pięścią w twarz, aż poczuł straszny gruchot łamanej kości. Równocześnie jego wzbudzona magia oplotła Nibs'a, wnikając głęboko poza tę niewinną powierzchowność.

Szok, jakim było to, co tam zobaczył, uderzył Harte'a jak bokserski cios. Od zawsze wiedział, że ten jego niewinny uśmiech i łagodne usposobienie to tylko pozory, ale tego się nie spodziewał. Dolph był zbyt przebiegły, zbyt potężny – czyżby chłopak go zwiódł? Jego i całą resztę?

Wstrząśnięty swoim odkryciem Harte upuścił Nibs'y'ego na podłogę. Chwilę później poczuł całkiem inny wstrząs – to magia

Violi uderzyła w niego z wielkim impetem. Bez tchu zatoczył się ku ścianie.

– Wszystko w porządku – zawołał Nibs, stając na nogach. – Puść go, Vi. To było zwykłe nieporozumienie.

Harte ledwie widział na oczy i nie dostrzegł reakcji Violi, ale po sekundzie gorąca energia, którą go przeszła, zelżała i znów mógł oddychać. Przez chwilę podpierał się jeszcze ręką o ścianę, tak silnie drżały mu nogi. Viola bacznie mu się przyglądała z daleka.

– Gdyby nie to, że jesteś mi potrzebny, pozwoliłbym Violi cię zabić – wyjaśnił Nibs. – Zapamiętaj to sobie. Kiedy przestaniesz mieć dla mnie wartość, będziesz martwy.

Harte zignorował groźbę i odezwał się ściszym głosem, tak by Viola nie słyszała:

– Chyba nie myślisz, że twój plan zadziała?

Nibs otarł wierzchem dłoni zakrwawiony nos.

– Myślę, że już działa.

– Zdradzisz swoich? W imię czego? – Głowa Harte'a była kłębowiskiem myśli. – Przecież Dolph by cię uwolnił. On sobie wymyślił, że uwolni wszystkich.

– Sam w to nie wierzysz. – Nibs pokręcił głową, a po jego twarzy przemknął cień zniesmaczenia. – Dolph nie jest święty, dobrze to wiesz. Widziałeś, do czego jest zdolny. Widziałeś, co potrafi zrobić dla władzy. Nikogo tak nie kochał jak Leeny, a mimo to wykorzystał ją i doprowadził do zguby.

– To, co jej zrobił Zakon, nie było jego winą – odparł Harte, wreszcie godząc się z prawdą. Chciałby móc wszystko na niego zwalić, ale to nie Dolph stworzył Krawędź. To nie on wepchnął tam Leenę.

– A tatuaże? – powiedział Nibs. – Skąd twoim zdaniem brała się ich moc, Darrigan?

– Magia rytualna. Nie dowiaduję się od ciebie niczego nowego. – Harte uśmiechnął się z wyższością. Nie zamierzał dać się sprowokować do kolejnego ataku. Nie tutaj, w obecności Violi.

– Czyli wiesz, że stworzył je, używając daru Leeny? – W oczach Nibsy’ego igrał uśmiech. – Oczywiście, że tego nie wiedziałeś. Nikt o tym nie wiedział.

– Dolph nie zrobiłby tego Leenie – odrzekł Harte tonem pewności, której wcale nie miał.

– Przestań się oszukiwać. Leena zawsze go chroniła. Przy niej Dolph i jego ludzie mogli czuć się bezpieczni, bo potrafiła uniemożliwić Maginom w zasięgu jej wzroku korzystanie z ich darów. Ale to wszystko, co razem zbudowali, jemu nie wystarczało. Dlatego odprawił rytuał, który stworzył tatuaże, wykorzystując do tego jej dar. To też ją rozzłościło. Powiedziała, że mu wybaczają, ale nie wiem, czy to była do końca prawda. – Przechylił głowę w zamyśleniu. – Może gdyby jej nie osłabił, zdołałaby się obronić przed Zakonem. Może Krawędź by jej nie zabiła.

– Krawędź zabija każdego – odparł Harte, nie dając się podejść.

Nibs spojrział z ukosa.

– To ciekawe dlaczego w takim razie chcesz, żeby dalej istniała.

Harte poczuł ciarki na plecach. To niemożliwe, żeby on wiedział.

– Przecież zgodziłem się pomóc Dolphowi – odparł. – Umówiłem się z nim. Wiesz o tym.

– Wiem, co mu powiedziałeś. Ale wiem też, że jesteś bardzo przekonującym kłamcą, Darrigan. – Nibs pokręcił głową. – Wiem mnóstwo rzeczy. O tobie. O Dolphie. O metodach różnych osób, o wyborach, jakich dokonują. Można powiedzieć, że mam do tego dar.

A więc to jest jego moc? Pewność siebie, z jaką ten chłopak to mówił, przyprawiała Harte’a o gęsią skórkę.

– Gównu wiesz.

– Wiem, że Dolph jest zaślepiiony pragnieniem pomszczenia Leeny. Ale obalenie Zakonu nie będzie oznaczało końca nienawiści i podejrzliwości, z której Zakon czerpie swoją siłę. To będzie tylko pierwszy wystrzał na wojnie, na którą Dolph nie jest przygotowany. Naprawdę myślisz, że on tak po prostu podzieli się mocą Księgi, kiedy już zda sobie sprawę ze skali zagrożenia, przed jakim stoimy? Nie potrafił nawet zostawić Leenie tego, co było jej.

Harte poruszył się nerwowo. Nie ufał Nibsowi – nie po tym, co dojrzał w jego duszy i umyśle – ale jego słowa miały pewien upiorny sens. Tyle że poznał jego zamiary...

– A więc chcesz go podkopać? Zagarnąć Księgę dla siebie? I za jej pomocą rządzić tymi Maginami, którzy pozostaną?

– Zobaczyłeś to, hm?

– Zobaczyłem wszystko, Nibs.

– W takim razie wiesz, że wcale aż tak bardzo się nie różnimy, ty i ja. Obaj gramy przeciwko Dolphowi. Żaden z nas nie chce zniszczyć Krawędzi. I dlatego będziemy współpracować. W zamian dam ci to, czego pragniesz: pomogę ci uciec z miasta.

– Chyba zapominasz, że przysiągłeś Dolphowi lojalność. Kiedy się dowie, co knujesz, będzie po tobie.

– Masz na myśli tatuaż? – spytał chłopak, odsuwając rękaw, by odsłonić znak pod zgięciem łokcia. – Zdradzę ci pewien sekret, Darrigan. Kiedy Dolph próbował ratować Leenę, Krawędź pozbawiła go władzy, którą miał nad nami. Te znaki nie mają już żadnej mocy.

Harte'owi nie chciało się w to wierzyć, a jednak... Dolph zaskakująco łatwo ustąpił, gdy Harte odmówił przyjęcia jego znaku.

– Nawet jeśli to prawda, myślę, że go nie doceniasz.



– Bynajmniej, moja dotychczasowa ocena była prawidłowa. Moje oceny zawsze są prawidłowe. – Wzruszył ramionami z fałszywą skromnością.

– Ciekawe, czy przewidziałeś też, że położysz się dzisiaj do łóżka ze złamanym nosem.

Nibs skrzywił twarz, ale nie dyskutował.

– Liczy się to, że Dolph jak dotąd zrobił wszystko, czego się po nim spodziewałem. I ty również.

– Ale na tym koniec. Wycofuję się – oznajmił Harte. – Nie wciągniesz mnie w swoje plany. Może i jestem ci potrzebny, ale ty mnie nie.

Nibs się roześmiał. Gdy mówił, krew ciekła mu po ustach i po brodzie, ale nic sobie z tego nie robił.

– Ty nic nie rozumiesz, prawda? Nie możesz się wycofać, Darrigan. Już się nie wyplądziesz.

– Brednie.

Nibs zrobił krok naprzód.

– Ciekawe, co zamierzasz teraz zrobić. Wiem, jaki miałeś plan od samego początku. Myślisz, że capniesz Księgę i zwiejesz? Zostawisz nas w tej klatce, a sam odzyskasz wolność? Jedno proste pytanie: wiesz, gdzie teraz jest twoja matka?

Harte zamarł.

– Jakie to ma znaczenie?

– Ty mi powiedz.

– Po tym, jak mnie potraktowała, jest mi wszystko jedno, co się z nią stanie – odparł sztywno Harte, ale żołądek przewracał mu się ze strachu.

– Ach, wspaniale. – Nibs powoli klasnął w dłonie. – Co za popis aktorski. Gdyby nie to, że poprosiłeś Dolpha, żeby ją ukrył przed Kellym, może bym ci uwierzył. Ale wiem, że matka to twój słaby

punkt, Darrigan. Zawsze nim była. Dolph zdawał sobie z tego sprawę. On sam nasłał na ciebie Kelly'ego.

– Dolph nie paktowałby z Kellym.

– Zależy w jakiej sprawie. Bardzo mu na tobie zależało. To był mój pomysł i sprawdził się znakomicie. Dobili ze sobą targu – sekrety Dolpha w zamian za fagasa Kelly'ego. Zareagowałeś zgodnie z oczekiwaniami. – Nibs oblizał wargi. – Dolph wciąż użera się z Kellym, więc nie mam się czego obawiać, ale faktem jest, że wlałeś prosto w jego sidła. Wcale nie jest ci obojętne, co się stanie z twoją matką, i dopóki tego nie zmienisz, ten sznurek, na którym ona cię trzyma, będzie twoim stryczkiem.

– Nie wiesz, o czym mówisz – wyrzucił z siebie Harte. Gdyby tak zdołał się zbliżyć do Nibsza niezauważony przez Violę...

Lecz ona wciąż ich obserwowała i miał przeczucie, że jeśli znów spróbuje zrobić chłopakowi krzywdę, nie dostanie od niej drugiej szansy.

– Wiesz, tak się składa, że to właśnie mnie Dolph powierzył opiekę nad twoją matką. Ona chyba lubi opium, nieprawdaż? – Nibs podszedł bliżej i obnażył w uśmiechu zakrwawione zęby. – Nie wycofasz się. I nie piśniesz nikomu ani słowa o naszej rozmowie. Chyba że mam się jeszcze lepiej zająć twoją matką. Mogę jej dostarczyć tyle opium, ile dusza zapagnie. Nie po to, żeby ją zabić. Przynajmniej nie od razu. Ale są przecież gorsze rzeczy niż śmierć, prawda?

Harte znów chciał go złapać za kołnierz, ale tym razem chłopak w porę odskoczył.

– Nie, Darrigan. Wiem, że potrafisz więcej, niż czytać w myślach. Nie chcę, żebyś znów mnie dotykał.

– Chyba tylko po to, żeby cię zabić.

– Możesz spróbować. Nikomu to się jeszcze nie udało. Zawsze jestem o trzy kroki do przodu i zawsze będę. – Nibs łypnął groźnie.  
– Idź do tego bratanka Morgana. Jeśli nie dostanę Księgi, dopilnuję, żebyś stracił wszystko, na czym ci zależy. Nazwisko. Matkę. Nawet dziewczynę.

– Mam to gdzieś.

– Nie traćmy czasu na kłamstwa, Darrigan. Zmykaj, zanim powiem Violi, że trzeba cię wyprowadzić siłą. – Uśmiechnął się zadowolony. – Ona uwierzy mnie. I wszyscy inni też, bo jestem jednym z nich. W przeciwieństwie do ciebie.

Harte zrobił krok w tył. W jego duszy toczyła się wojna. Cały misterny plan obracał się wniwecz. Pomyślał jednak o Eście, zamkniętej w zatęchłym więzieniu pełnym szczurów. O Eście, która potrafiła ukraść dowolną rzecz. Nie mógł jej wyjawić wszystkich swoich zamiarów, ale z jej pomocą może potrafiłby jeszcze dopiąć swego.

– Przeliczysz się, Nibs.

– Tak ci się tylko wydaje – odparł tamten z krwawym uśmiechem.

## SYTUACJA SIĘ ZMIENIA

Viola myła jeszcze szklanki, kiedy Dolph wrócił, zmęczony i sfrustrowany. Podszedł do baru, a ona bez pytania nalała mu dwa palce whisky.

– Gdy wychodziłeś, wyglądałeś lepiej.

Dolph utkwiał wzrok w szklance, ale nie sięgnął po nią.

– To nie był spacer dla zdrowia. Kelly coś knuje. Jego chłopcy poranili dzisiaj trzech naszych.

Viola zmarszczyła brwi.

– Myślałam, że doszedłeś z nim do jakiegoś porozumienia.

Zignorował ukryte w tym stwierdzeniu pytanie.

– Tu się kroi coś większego. Nawet Jianyu nie może ustalić, o co w tym chodzi. – Wziął szklankę do ręki i potarł szkło kciukiem.

– Może ja spróbuję się czegoś dowiedzieć?

– Nie – odparł, a kiedy Viola się skrzywiła, wyjaśnił: – Nie chodzi o to, że ci nie ufam, po prostu nie chcę, by Kelly wiedział, że jesteśmy zaniepokojeni.

Viola nieprzekonana spoglądała na blat, gdzie leżały jej noże. Była zła na Dolpha, ale nie dyskutowała.

To milczenie martwiło go chyba jeszcze bardziej. Od czasu śmierci Tilly robiła się małomówna. Powtarzał sobie, że to naturalne i zrozumiałe, ale potem zaczął się zastanawiać, czy nie chodzi o coś innego.

– Jianyu jeszcze nie wrócił? – zapytał.

– Nie, ale jakiś czas temu był tu Darrigan. Powiedział, że Estę zatrzymano w Słomianym Targu. Chciał rozmawiać z tobą, ale zamienił parę słów z Nibsem i wybiegł jak oparzony.

– Naprawdę? – Dolph zerknął na chłopaka w głębi sali. – O czym mówili?

– O to musisz pytać Nibsa.

Chłopak siedział tam gdzie zawsze, zgarbiony nad nocnymi rachunkami. Miał spuchnięty nos, a prawe oko zrobiło się już fioletowo-zielone.

– Nie wiedziałem, że ćwiczysz boks – rzekł Dolph, siadając na swoim krześle.

– Nie z własnej woli – odparł Nibs, podnosząc wzrok. – Darrigan mnie tak urządził.

– Hę?

– Puściły mu nerwy, kiedy przypomniałem, że Księża jest ważniejsza niż dziewczyna.

– Viola coś wspominała, że Esta wpadła w ręce policji. Trzeba kogoś po nią wysłać?

– Darrigan ją wyciągnie – powiedział Nibs. – Widać zawróciła mu w głowie jeszcze bardziej, niż to było w planie.

– To chyba dobrze? – rzekł Dolph. – Właśnie o to mi chodziło. Może dzięki temu nie zrobi niczego głupiego.

– Jeśli nie zadurzył się z wzajemnością. – Nibs zanotował coś w zeszycie.

– To by coś zmieniało?

– Mogłoby zmienić, gdyby zaczęli knuć we dwoje. Nie chcielibyśmy, żeby akcja wymknęła się spod naszej kontroli.

Ten chłopak zawsze kombinował, zawsze planował kilka ruchów do przodu. Dolph bardzo w nim cenił tę umiejętność, kiedy jeszcze miał nad nim władzę. Kiedy naznaczenie jego tatuażem było

równoznaczne z przysięgą lojalności. Teraz jednak tatuaże były bezużyteczne i Nibsy o tym wiedział. Dolph zastanawiał się, na ile może ufać temu chłopakowi, który nigdy nie mylił się w swoich rachubach.

Ale patrząc na jego złamany nos i podbite oko, natychmiast odrzucił od siebie tę myśl. Nie można popadać w paranoję. Bądź co bądź chłopak wziął na siebie cios Darrigana – i to całkiem dosłownie. To chyba coś znaczy.

Porozmawia z dziewczyną, upewni się, że wszystko zmierza we właściwym kierunku. Nie zaszkodzi też przypomnieć jej, ile ma do stracenia.

– Wiadomo coś o tym nalocie? Jaki mógł być powód? – spytał Dolph. – To dziwne, że po tylu miesiącach ciszy akurat dzisiaj policja postanowiła urządzić obławę.

Nibs zerknął znad ksiąg.

– Bridget jeszcze się nie odezwała, jeśli o to pytasz. W sumie to dziwne. Niepodobne do niej. Myślisz, że to ona dała cynk?

Dolph zmarszczył czoło.

– Wątpię. Bridget nienawidzi Zakonu, jak prawie wszystkich zresztą. Nie wiem, co by miała w ten sposób zyskać.

– W takim razie gdzie się podziewa?

– Nie wiem – odparł ponuro Dolph.

Rozumiał sugestię Nibsą, lecz Bridget Malone zbyt wiele mu zawdzięczała, by z nim zadzierać. W końcu to Dolph uwolnił ją od męża pijaka, który się nad nią znęcał. Dał Bridget szansę na nowe życie, a ona odwdzięczała się, podsyłając mu nowe talenty, zanim odkryli je inni bossowie. Większość Maginów słyszała o tym układzie, toteż gdy jakaś dziewczyna znalazła się w trudnej sytuacji, wiedziała, do kogo pójść. Dolph nie rozumiał, co Bridget mogłaby zyskać na policyjnej akcji.

– A jak twoje sprawy? – spytał Nibs, wracając do rachunków. – Myślałem, że zjawisz się wcześniej.

– Były dzisiaj problemy z Kellym. Jego banda zaatakowała trzech naszych. Zbili ich na miazgę. Nie wiem, czy Higgins kiedykolwiek będzie mógł chodzić.

Nibs spojrzął znad drucianych oprawek okularów.

– Weszli na teren Kelly’ego?

– Oczywiście, że nie – zachnął się Dolph. Jego ludzie byli nauczeni ostrożności. – To się stało na Elizabeth Street, raptem dwie ulice stąd. Chłopców Kelly’ego w ogóle nie powinno tam być.

– A mamy pewność, że to byli oni?

Dolph skinął twierdząco głową.

– Wycięli naszym na policzkach swoje znaki. Nawet jeśli wyliżą się z ran, zostaną im blizny na całe życie.

– Wydawało mi się, że wszystko jest pod kontrolą. Tak mówiłeś – rzekł Nibs.

Dolph zmarszczył czoło. Sytuacja się zmienia, pomyślał. Zmienia się zbyt szybko. Pierwszy raz, odkąd wstąpił na tę drogę, naszła go wątpliwość, czy zdoła nad wszystkim zapanować.

– Wyślę Violę. Ona się zajmie tymi, którzy to zrobili. Nie zostawi śladów.

Nibsy uniósł brwi.

– A nie lepiej, żeby Kelly się dowiedział? Niech zna swoje miejsce.

– Nie. Będzie miał się nad czym głowić. Niech się zastanawia, jakie ma słabości i kim mogą być jego wrogowie. Im więcej ma zmartwień, tym łatwiejszym jest przeciwnikiem – stwierdził Dolph. Jednak mówiąc te słowa, nie mógł się oprzeć wrażeniu, że w równym stopniu odnoszą się one do niego samego.

# GROBOWIEC

## *Więzienie Miejskie*

**W**ięzienie Miejskie, znane powszechnie jako Grobowiec, było jednym wielkim tortem zepsucia. Na górnych kondygnacjach trzymano drobnych przestępców – kieszonkowców, szulerów i różnych innych mniej groźnych osobników. Im niżej, tym gorsi zbrodniarze. Pierwsze piętro mieściło bandytów i morderców, a parter – najgorszych z najgorszych, czyli lokalnych macherów, nieuczciwych prawników, szemranych maklerów i, oczywiście, miejskich policjantów, tak głęboko uwikłanych w układziki z Tammany Hall, że sprawiedliwość była dla nich jedynie frazesem, którym przierzucano się jak najnowszym sprośnym żartem.

Harte spędził w tym budynku jedną noc niedługo po tym, jak opuściła go matka. Zamknięty w celi z dorosłymi mężczyznami, mógł tylko próbować przetrwać, skulony w kącie, opędzając się od niechcianych zalotów jedynym sposobem, jaki znał, czyli za pomocą magii. Musiał jednak najpierw dać się dotknąć.

Jakoś wtedy przetrwał, ale wyszedł z więzienia zmieniony. Tamtej nocy przekonał się, do czego ludzie są zdolni.

Nawet teraz, patrząc z bezpiecznej odległości na misternie rzeźbione kolumny i okienne nadproża inspirowane jakąś komorą grobową w starożytnym Egipcie, czuł się zbrukany jak biała



niegdyś fasada tej budowli. Mógł sobie tylko wyobrazić, co spotyka Estę w tych murach.

Moja wina, pomyślał. Nakłonił ją do wizyty w klubie mimo jej obaw. Uraził ją swoim zachowaniem przy stoliku – zrobił to na pokaz przed Jackiem, ale nie bez pewnej przyjemności, po tym, co mu zgotowała na scenie teatru. A potem ją tam zostawił. Teraz przez niego siedziała w więzieniu, które wciąż śniło mu się w koszmarach. I nie miał pomysłu, jak ją uwolnić.

Ale musiał ją uwolnić. Jeżeli miał przeszkodzić Jackowi w ukończeniu maszyny, pokrzyżować plany Nibsa i do tego jeszcze przechytryć Dolpha, potrzebował jej pomocy.

Tamtej nocy w Grobowcu przysiągł sobie, że nigdy więcej nie znajdzie się w sytuacji, w której byłby tak bezradny. I całkiem nieźle mu szło. Aż do teraz. Jak to się stało, że w ciągu jednego wieczoru wszystko się pochrzaniło?

Rzucił pod nosem wiązką przekleństw, która zawstydziłaby niejednego więziennego strażnika.

– Wiedziałam, że wcale nie jesteś taki dystyngowany, na jakiego pozujesz – dobiegł go zza pleców rozbawiony głos.

Odwrócił się i ujrzał Estę w złachmanionym płaszczu zakrywającym elegancką suknię. Włosy miała rozpuszczone, a czarne pióra, które kilka godzin temu zdobiły jej fryzurę, połamały się i powykrzywiały. Widząc ją przed sobą, całą i zdrową, Harte doznał tak wstrząsającej ulgi, że niewiele myśląc, objął ją mocno i przycisnął do siebie, prawie nie czując, że jest odpychany.

Dopiero zapach jej płaszcza sprowadził go z powrotem na ziemię. Cuchnęła potem, cebulą i tytoniem. Kiedy ją puścił, robiąc krok do tyłu, by nabrać świeżego powietrza, uprzytomnił sobie, jak spontanicznie zareagował na jej widok. I jak wielkie grozi mu niebezpieczeństwo, jeżeli zapomni, co jest stawką w tej grze.

– Co ty tu robisz? – spytała.

– Ratuje cię – odparł ze świadomością, jak absurdalnie to brzmi. Oto stała przed nim, na ulicy. A teraz jeszcze się uśmiechała. Nie wyglądała na kogoś, kogo trzeba ratować. – Jak stamtąd uciekłaś?

– Pamiętasz, jak próbowałeś mnie skrepować tymi swoimi śmiesznymi kajdankami? Już wtedy ci powiedziałam, że nie ma takiego zamka, z którym sobie nie poradzę.

Harte zmarszczył brwi, rozpaczliwie próbując odzyskać godność.

– To było ryzykowne – używać daru w więzieniu. Ktoś mógł się zorientować – powiedział, krzywiąc się w duchu na głupoty, które wygaduje.

– Nie użyłam daru. Radzę sobie bez niego. Jak tylko wyszłam z celi, prehandlowałam naszyjnik za ten płaszcz, a potem ukradłam to. – Uniosła przepustkę dla odwiedzających. – Oni tam nie są jacyś szczególnie bystry.

– Zdesperowanych ludzi łatwo oszukać.

Marszcząc lekko nos, Esta otuliła się szczelniej śmierzącym płaszczem i całkiem zakryła sukienkę.

– Jak ci poszło z Jackiem?

To wszystko, co ma mi do powiedzenia? – kołatało mu w głowie.

– Nie zapytasz, dlaczego cię zostawiłem?

Mrugnęła i ściągnęła brwi.

– A zostawiłeś mnie?

– No tak. – Harte wyprostował ramiona, jakby lekko oburzony, że nie ma do niego żadnych pretensji. – Kiedy zjawiła się policja, wyszedłem z Jackiem. Udało mi się go zainteresować, nie chciałem, żeby mi się wymknął. Zostawiłem cię – upierał się przy swoim.

Zmarszczyła delikatnie czoło.

– Jeżeli coś z niego wyciągnąłeś, to chyba dobrze.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwał.

– Doprawdy?

Powinna mieć do niego żal. Powinna być wściekła, że porzucił ją na pastwę losu. On na jej miejscu byłby wściekły.

Ale Esta nigdy nie reagowała w przewidywalny sposób. Można było zwariować.

Teraz przewróciła oczami.

– Nie rób ze mnie mimozy, którą nie jestem, Harte. Chyba zdążyłeś mnie już trochę poznać. W odwrotnej sytuacji pewnie zachowałabym się tak samo.

– Jakoś mnie to nie dziwi – odparł, przypominając sobie wszystkie powody, dla których nie powinien jej ufać.

– Słucham? – spytała, patrząc krzywo.

– Gdzie poszłaś wczoraj wieczorem? Po tym, jak mnie zostawiłaś z Jackiem.

– Mówiłam: przypudrować nos.

„Cudownie cię ogrzała”. Tak powiedział Nibs. Czy robiła to nadal?

– Nie było cię tyle czasu, że zdążyłabyś się upudrować od stóp do głów – zauważył, krzyżując ramiona. – Spróbuj jeszcze raz. Ale teraz nie zmyślaj.

– Nie ufasz mi? Myślałam, że mamy to już za sobą.

Westchnął gwałtownie.

– Ty też mi nie ufasz, inaczej powiedziałaabyś mi, co tak naprawdę zajęło ci tyle czasu. Spotkałaś się z kimś?

– Nie wiem, o czym mówisz – odparła Esta i odwróciła się, żeby odejść, ale chwycił ją za nadgarstek.

– Zbyt wiele od nas zależy, żebyśmy się nawzajem okłamywali. Przyszedłem tutaj, żeby cię uratować – powiedział cicho, zmieniając taktykę.

Jej spojrzenie było wyniosłe i niedostępne.

– Nie potrzebowałam ratunku.

Harte mimo rosnącej frustracji zapanował nad sobą. Nie wolno mu popełnić błędu pod wpływem zranionej miłości własnej. Sytuacja była zbyt poważna.

– To nie ma nic do rzeczy. P r z y s z e d ł e m.

– Ale dlaczego? Odkąd Dolph mnie przysłał, próbowałeś się mnie pozbyć. Teraz miałaś doskonałą okazję.

– Bez ciebie to się nie uda. Potrzebuję cię, żeby złowić Jacka, ale muszę wiedzieć, po czyjej stronie jesteś.

– Po stronie Dolpha – odparła, strosząc brwi. – I ty też powinienes.

– A może jednak trzymasz z Nibsym? – spytał ją.

Zmarszczyła czoło.

– Nibs pracuje dla Dolpha. To na jedno wychodzi.

– No tak. – Harte potarł dłonią swędzącą szczecinę zarostu. – Masz rację.

– Wszystko w porządku?

– Jeżeli chcemy, żeby nam się udało, musimy sobie ufać.

Esta przekrzywiła głowę, a pojedynczy kosmyk włosów opadł jej na czoło i oczy.

– Naprawdę przyszedłeś tu po mnie? – spytała.

– Tak – przyznał, trzymając ręce w kieszeniach, żeby nie sięgnąć po ten kosmyk, nie odgarnąć z twarzy, tak bardzo chciał go wziąć w palce i poczuć jego gładkość.

Wciąż miał swoje obawy. Ale jeśli chce zdobyć Księgę, zanim to zrobią Jack lub Nibsy, potrzebuje Esty. Zwłaszcza teraz, gdy nie może już polegać na nikim innym. Musi tylko zachować zimną krew.

# BRZEGI I KANTY

## *Mieszkanie Harte'a*

Esty siedziała na brzegu porcelanowej wanny Harte'a wpatrzona w swój wycinek z gazety. Coś się zmieniło, a przynajmniej zaczęło się zmieniać. Informacja o aresztowaniu i śmierci Dolpha nadal tam była, lecz słowa się rozmazywały, jakby nie mogły się zdecydować, jaką przyszłość wybrać. Przez chwilę wydawało się jej nawet, że pod wierzchnią warstwą papieru dostrzega jakąś inną relację, jakby inny czas, do którego mogłaby się przenieść. Ale kiedy mrugnęła, wrażenie prysło.

Tak naprawdę odwlekała tylko nieuchronny moment ponownego spojrzenia w oczy Harte'owi. Wrócił po nią, żeby ją ratować, i nie wiedziała, co z tym zrobić.

Może od początku źle podeszła do tematu. Profesor Lachlan kazał jej powstrzymać maga, uznała więc, że musi traktować Harte'a jako rywala. Ale w gruncie rzeczy jej zadaniem było zdobyć Księgę. Może łatwiej byłoby osiągnąć ten cel we współpracy z nim? Może wcale nie musieli być wrogami?

Tyle że na końcu i tak by go zdradziła – jego i całą resztę.

Nie było jednak innego wyjścia. Żadnej alternatywy. Aby dokończyć misję, musiała zdobyć Księgę. A jeśli ją zabierze, dla pozostałych będzie to porażka. I nie miało, n i e m o g ł o m i e ć znaczenia, że coraz częściej myślała o tych ludziach jak

o swoich przyjaciółach. Miała już przyjaciół: Dakariego, Mari, nawet Logana. Ale Mari zniknęła wskutek jej błędu. A jeśli nie zrobi tego, po co ją tu przysłano, być może przypłaci to nie tylko własną przyszłością, lecz również przyszłością Dakariego i Logana. Nie można uratować wszystkich.

Zresztą nie to było jej zadaniem, przypominała sobie, choć żal ścisnął jej gardło. Miała przyszłość, do której chciała wrócić, i choć polubiła te czasy, choć nabrała szacunku i podziwu dla żyjących tu ludzi, nie mogła sobie pozwolić na wyrzuty sumienia wobec nich.

Wyciągnęła korek i patrzyła, jak brud z całej nocy spływa do rur, a wraz z nim większość pewności siebie, którą zdołała wykrzesać. Weź się w garść, pomyślała, owijając się w szlafrok Harte'a. Co się stało, to się nie odstanie. Za późno na rozterki.

Kiedy wyszła z parnej łazienki, Harte z pochmurną miną czekał na kanapie. Obok na stoliku, na chusteczce, leżała schludna kupka obierek z pomarańczy. Patrząc, jak tak siedzi zapatrzony w przestrzeń, drapiący się po jednodniowym zaroście, Esta nieomal słyszała jego myśli.

Zauważył ją dopiero, kiedy usiadła przy nim.

– Lepiej? – spytał.

– O tak. Dużo lepiej. – Podwinęła nogi pod siebie.

– Nie chcesz się ubrać? – Zakłopotanym, wręcz bojaźliwym wzrokiem prześlizgnął się po szlafroku, który miała na sobie.

I bardzo dobrze, pomyślała. Lepiej mieć przewagę, niż jej nie mieć.

– Nie, tak mi dobrze. – Oparła się wygodnie. – To cudowne uczucie móc się uwolnić od tego gorsetu.

Rzucił jej kolejne onieśmiałe spojrzenie, ale nic więcej nie powiedział. Esta miała wrażenie, że jest o krok od podjęcia jakiejś

decyzji, ale nie wie, czy skoczyć na głęboką wodę, czy się powstrzymać.

Może w takim razie trzeba go lekko popchnąć.

– Dziękuję, że po mnie wróciłeś – powiedziała cicho i dotknęła jego dłoni.

Harte w pierwszej sekundzie wydawał się zaskoczony, ale zaraz się odsunął, a jego twarz przybrała obojętny wyraz.

– Tylko sobie nie pomyśl nie wiadomo czego – odparł, po czym sięgnął po gazetę i udawał, że przegląda pierwszą stronę. Ale zachowywał się sztywno, a jego wzrok nie zatrzymał się na żadnym z nagłówków. – Potrzebuję cię, żeby udało się z Jackiem. Inaczej bym się nie fatygował.

– W takim razie to chyba dobrze, że nie skorzystałam z twojej pomocy – stwierdziła rozwlekłym głosem, trochę już sfrustrowana jego humorami. Widząc, że nic w ten sposób nie wskóra, podniosła się z kanapy. Trzeba obmyślić inny plan.

Harte złapał ją za rękę, tym razem delikatnie. Mogła mu się wyrwać, ale tego nie zrobiła. Obróciła głowę i utkwiała wzrok w jego nieprzeniknionej twarzy.

– Nie chcę, żebyś miała co do mnie jakieś złudzenia – rzekł. – Żaden ze mnie rycerz w lśniącej zbroi.

– Nigdy tak o tobie nie myślałam.

– Nie mam złotego serca, które chowam przed światem. Jestem draniem w każdym znaczeniu tego słowa.

Miała wrażenie, że próbuje przekonać nie tylko ją, ale również siebie.

– Nigdy nie sądziłam, że jest inaczej.

– Wiem, jakie są kobiety – wymamrotał.

Popatrzyła na niego i ujrzała go w innym świetle. Ten smutek w jego oczach. To ułożenie ciała, jakby szykował się na policzek.

– Wiesz dużo mniej, niż ci się zdaje – odparła cicho.

– Ale więcej, niż sądzisz. Widziałem, co naiwna wiara w mężczyznę zrobiła z moją matką. – Zaciśnięła usta.

– Przykro mi...

– Niepotrzebnie. Powiniennem szczeznąć w rynsztoku, mając jedenaście lat. Po tym, co zrobiłem, byłaby to zasłużona kara.

Odruchowo zrobiła krok w jego stronę.

– Co takiego mógł zrobić nastolatek, żeby sobie zasłużyć na śmierć?

– Kazałem mu odejść. – Harte uniósł podbródek, jakby czekał na jej osąd.

Pokręciła głową w niezrozumieniu.

– Byłeś przecież dzieckiem. Jak mogłeś zmusić do odejścia dorosłego mężczyznę?

Jego szare oczy pociemniały od jakiegoś niewypowiedzianego wzruszenia.

– Potrafię więcej, niż tylko zaglądać ludziom do głów. Pamiętasz tamten pierwszy dzień w teatrze? Kiedy Nibsy cię przyprowadził? Podrzuciłem ci pomysł do głowy. Powiedziałem ci, co masz zrobić, żeby się udało. Wydałem ci polecenie, a ty je wykonałaś.

Skrzywiła się.

– Jakoś inaczej to zapamiętałam.

– No dobrze, na końcu nie byłaś w szafie, ale wszystko inne zrobiłaś tak, jak chciałem. I zapomniałaś o tym, gdy tylko drzwi szafy się otworzyły, bo ci kazałem.

To by miało sens, pomyślała. To była satysfakcjonująca odpowiedź na jedno z nurtujących ją pytań. Od razu jednak nasuwały się inne.

– Naprawdę kazałeś ojcu zostawić matkę?

Skinął głową.



– Całymi dniami tylko pił albo nas bił. Miałem tego dość. Chciałem, żeby znów była szczęśliwa, więc kazałem mu odejść. I odszedł.

– Próbowaleś ją uratować.

– Już nie wrócił. Opuścił miasto. To znaczy, zamierzał. Ale zatrzymała go Krawędź.

Jego spojrzenie ziało pustką.

– Byłeś tylko dzieckiem. Skąd miałeś wiedzieć? – Esta przypomniawszy sobie własne kłopoty z panowaniem nad swoim darem w podobnym wieku. Zawsze była impulsywna, lecz dawniej zupełnie traciła nad sobą kontrolę. Na przykład wtedy, gdy poszła z Dakarim do Central Parku i zobaczyła turystę z otwartym plecakiem. Nieraz ją przed tym przestrzegał, ale wmówiła sobie, że zdoła wyjąć portfel tak, by nikt nie zauważył. Ponieważ jednak nie umiała jeszcze wstrzymać czasu na dłużej niż chwilę, przyłapano ją na gorącym uczynku. Uratował ją wtedy refleks i opanowanie Dakariego, ale działo się to w mieście, w którym policja nie patyczkuje się z czarnoskórymi. Skończyło się na tym, że Dakari wyładował na chodniku z rękoma wykręconymi do tyłu, a ona mogła tylko przyglądać się temu przez łązy.

Nigdy tego nie zapomni. Tamtą noc Dakari spędził w areszcie. Ale przeżył i jej wybaczył; ojciec Harte'a nie miał tyle szczęścia.

– Mojej matki to nie obchodziło. Kiedy się dowiedziała, co zrobiłem, do czego jestem zdolny, przeraziła się. Ruszyła za nim w pościg. Znienawidziła mnie. Tak bardzo chciała go odzyskać, że sama zbliżyła się do Krawędzi...

– O nie...

– Nie zaszła daleko, ale wystarczyło, żeby przestała być sobą – dodał spokojnym, prawie beznamiętnym głosem, jakby opowiadał jej cudzą historię, a nie swoją własną.

– Tak mi przykro.

– Niepotrzebnie – powtórzył. – To mnie wzmocniło. Uczyniło tym, kim jestem.

Wcale się tak bardzo nie różnili. Oboje zostali porzuceni przez rodziców, lecz ona przynajmniej miała profesora, który dostrzegł w niej coś wartego uratowania. Harte tego nie doświadczył. Nie ufała mu nadal, ale go rozumiała. Determinacja, dzięki której stał się tym, kim jest, chęć wykazania się przed sobą i światem, głęboka potrzeba znalezienia swojego miejsca – wszystko to znała bardzo dobrze.

Rozumiała też jego ból. Strach kogoś, kto się boi, że coś z nim jest nie tak i że to coś odpycha ludzi, którzy powinni go kochać. Strach, który albo człowieka wzmacnia, albo go niszczy. W jej przypadku stał się rodzajem pancerza, jeszcze jedną bronią w jej arsenale. Przypuszczała, że podobnie było z Harte'em.

– Nie patrz tak na mnie – powiedział, mrużąc oczy.

– Jak?

– Jakbyś coś o mnie wiedziała. Będzie łatwiej dla nas obojga, jeśli od razu wbijesz sobie do głowy, że nie potrzebuję dziewczyny, która wyleczy moje serce. Nie mam już w sobie żadnej miękkości, życie mnie jej pozbawiło, zostały tylko twarde brzegi. Inny nie będę. Nie chcę.

Przyjrzała mu się – jego sztywnym ramionom, zaciśniętej szczęce, oczom szarym jak burzowe chmury, zdającym się mówić: „Nie obchodzi mnie, co sobie o mnie myślisz”, i naszła ją nagła ochota, by rozczochrać mu włosy. Chciała znów ujrzeć tamtego chłopaka, którego widziała w piwnicy teatru, potarganego, z błyskiem zachwyty w oczach zamiast desperacji. Chciała go czymś zaskoczyć, żeby choć na chwilę się rozpogodził. Chciała sprawdzić, czy jej się uda.

– Nie chcę cię ratować. – Ponownie usiadła koło niego, a kiedy zmarszczył brwi, ogarnęło ją zadowolenie.

– Nie? – spytał z nad wyraz zagadkową miną.

– Nie – odparła zgodnie z prawdą, muskając dłonią jego włosy. – W ogóle nie przyszło mi to do głowy.

– Nie? – Spoglądał teraz podejrzliwie, ale się nie odsunął. Zastygł jak w hipnozie.

– Kto powiedział, że chcę, żebyś się zmieniał? Lubię twoje twarde brzegi i kanty – wyznała, modląc się, by usłyszał w jej słowach prawdę, która tam była. – Sama takie mam.

– Wiem – odparł cicho, z nutą rozpaczliwej nadziei.

Uśmiechnęła się, widząc jego zdenerwowane spojrzenie.

– Gdybyś był miększy, bałabym się, że cię pokaleczę.

Patrzył jej w oczy przez chwilę, która zdawała się wiecznością, jakby bał się poruszyć. Jakby bał się nie poruszyć.

– Prawda? – skwitował.

Skinęła twierdząco głową. Pachniał pomarańczami. Wyobraziła sobie, jak by teraz smakowały jego usta. Umysłne pocałowanie Harte'a miałoby coś z pojedynku woli, jaki charakteryzował całą ich znajomość. Zderzenie temperamentów. Milczące porozumienie: ty się nie wycofasz i ja też nie.

A potem co?

Ta myśl była jak zimny prysznic. Na koniec i tak będzie musiała ukraść mu Księgę sprzed nosa – jemu i Dolphowi. Zostawić ich tutaj, w przeszłości, na pastwę ich losów.

– To fatalny pomysł – wymamrotała.

– Wiem – powiedział, nachylając się bliżej.

„Najważniejsza jest misja”. Słowa profesora Lachlana rozbrzmiały jej w myślach, przypominając, jak się dla niej skończyła ostatnia chwila rozprężenia. Przypominając o innym życiu, innych

zobowiązaniach, które na nią czekały. Może i nie musiała traktować Harte'a jak przeciwnika, lecz nie mogła sobie pozwolić na cień wiary w to, że istnieje dla nich jakaś wspólna przyszłość. Z wyjątkiem tej, którą zakończy zdrada.

Cofnęła się, ignorując uczucie ściskania w krtani, uczucie, które miało w sobie coś z tęsknoty. Za czym jednak tęskniła – za nim, za odpoczynkiem od nieustannej czujności, za własnym miejscem? Nie była pewna.

– Zbyt wiele mamy do stracenia, żeby teraz jedną chwilą wszystko zepsuć. – Zrobiła okrągły gest dłonią.

Intensywność jego spojrzenia osłabła, znów się odsunął, twarz miał znowu nieprzeniknioną. Odległość między nimi, nie większa niż długość ramienia, wydała się nagle nie do przebycia.

– Masz rację.

– Przepraszam, Harte. Ja...

– Nie – przerwał jej. – Nie przepraszaj. Nie masz za co. Daliśmy się ponieść tej chwili. To ja powinienem przeprosić. Ale to się nie może powtórzyć. – Wstał z kanapy i ruszył do kuchni.

Wciąż lekko roztrzęsiona, podążyła za nim.

– A więc mówisz, że wczoraj z Jackiem poszło nieźle? – spytała nienaturalnie wysokim głosem, usilnie próbując wrócić do normalności.

– Tak. – Harte nalał sobie wody do szklanki.

Odniosła wrażenie, że specjalnie stanął w taki sposób, żeby rozdzielał ich stół. Nie żeby uważała to za zły pomysł.

– I?

Zanim odpowiedział, upił kilka dużych łyków.

– Dobra wiadomość jest taka, że wczoraj spisałaś się na medal. Jack święcie wierzy w to, że jesteś zaginioną dziedziczką. Będziesz musiała teraz pójść za ciosem, ale to nie powinno być trudne. On

tak bardzo chce się wykazać, że zacznie popełniać błąd za błędem. Dziś wieczorem znów przyjdzie obejrzyć spektakl. Jesteśmy umówieni. Musisz tylko udawać, że się nim interesujesz, kiedy wejdzie za kulisy. Połechtaj go trochę, niech sam ukręci sobie sznur. Chcemy, żeby nas wprowadził do Khafre Hall. Z tym że będziemy potrzebowali jakiegoś pretekstu.

Esta przypomniała sobie rozmowę mężczyzny za ścianą w Słomianym Targu.

– Chyba mam pewien pomysł.

– Tak?

Skinęła głową.

– W Słomianym Targu podsłuchałam coś, co może nam się przydać.

Harte spojrzał zdziwiony, ale zignorowała pytanie zawarte w tym spojrzeniu.

– Zakon szykuje dużą imprezę z okazji równonocy. Byłoby szkoda, gdyby artyści, których zamówili, odwołali swój występ, nie sądzisz? Jego twarz zmieniła wyraz.

– To nie powinno być trudne. Pogadam z Dolphem. Myślę, że go to ucieszy. – Coś na kształt ulgi błysnęło w jego zazwyczaj pochmurnych oczach, nadając im łagodniejszy wyraz. Nagle znów przypominał tamtego chłopaka z piwnicy teatru, chłopaka, którego chciałyby bliżej poznać.

Chłopaka, którego prędzej czy później zdradzi.

Serce aż podskoczyło jej w piersi, ale nic nie dała po sobie poznać. Jak powtarzał jej wiele razy profesor Lachlan: emocje to pułapka. Nic nie było ważniejsze od misji.

## RÓWNOWAGA SIĘ

Niecały tydzień później Dolph Saunders patrzył z okna mieszkania Harte'a Darrigana, jak Jack Grew pomaga Eście wysiąść z niepozornego powozu. Dziewczyna uśmiechnęła się do Jacka i pozwoliła się odprowadzić do drzwi. Po chwili zniknęli Dolphowi z oczu.

– Wrócili? – spytał Nibs z progu kuchni.

– Esta wróciła. Zaraz wejdzie na górę.

Mieszkanie było przestronne i widne, czyste i dobrze wyposażone. Chłopak nieźle sobie radził, w dodatku zawdzięczał wszystko własnej pracy. Dolph nigdy nie miał okazji zbudować sobie takiego życia, lecz teraz przez chwilę rozmarzył się, jak by ono mogło wyglądać, gdyby na początku obrał inną drogę. Gdyby Leena za niego wyszła, też mogliby zbudować sobie życie na kłamstwach, zamieszkać w lepszej okolicy, udawać normalną parę, zwyczajną rodzinę.

Ale razem wstąpili na inną drogę, z której nie zamierzał teraz schodzić.

Parę minut później dziewczyna weszła do środka. Na ich widok zareagowała lekkim zaskoczeniem.

Bez pośpiechu zdjęła kapelusz i pelerynę, po czym odłożyła je starannie na wieszak przy wejściu.

– Co wy tu robicie? – zapytała.

– Czekamy, aż któreś z was wróci – odparł Dolph rzeczowym tonem. – Wpadliśmy sprawdzić, czy wszystko w porządku.

– Nie wiedziałam, że mam ochroniarzy – rzekła sucho. W jej głosie dało się słyszeć jakieś delikatne drżenie, ale twarz miała jak z granitu.

Dolph nie mógł się oprzeć niepokojącemu wrażeniu, że coś się w niej zmieniło, choć nie umiał nazwać tych obaw. Zbyt wiele jednak zawdzięczał swojej intuicji, by teraz się nią nie kierować.

– Lubię służyć pomocą, kiedy wyczuwam, że ktoś coś przede mną ukrywa.

– Niczego nie ukrywam. Odkąd mnie tu zakwaterowałeś, mówię mu wszystko. – Wskazała ruchem głowy na Nibsę. – Swoją drogą, mógłbyś przysyłać go rzadziej. Nie musi zaglądać każdego dnia. Wystarczyłoby co drugi.

Nibs uśmiechnął się cierpko.

– A już myślałem, że zaczynasz mnie lubić.

– Dość – wtrącił Dolph, zanim Esta zdążyła odpowiedzieć. Widział już stół w kuchni zarzucony kartkami i mapami, rysunkami i schematami. Sprawy były posunięte dalej, niż sądził. – Jesteś pewna, że powiedziałaś mu wszystko? – zapytał, spoglądając z ukosa.

– Oczywiście, że tak. – Esta ze spokojem patrzyła mu w oczy.

Czekał na kłamstwo, ale się nie doczekał. A może po prostu była lepsza niż inni w kryciu się ze swoimi myślami. Stała przed nim wyprostowana, pewna swoich umiejętności, zupełnie jak tamtego pierwszego wieczoru, i wciąż biły od niej ambicja i chęć. Dolphowi podobało się w niej to i zarazem trochę go martwiło.

– A więc? – Skończył z uprzejmościami. – Pokaż.

– Wszystko jest w kuchni.

Weszli za dziewczyną do niewielkiego pomieszczenia. Nibs poczęstował się pomarańczą z miski na stole. Esta pochyliła się nad planem Khafre Hall i zanotowała coś po zachodniej stronie

budynku. Potem opowiedziała im wszystko po kolei: o czterech kolacjach z Jackiem, o tym, jak ochoczo chwalił się przed nią wiedzą o Zakonie. Ewidentnie próbował zaimponować jej swoją pozycją, żeby dała mu się wykorzystać – dokładnie tak, jak się tego spodziewali.

– Przechwalał się Harte’owi, jak łatwo ulegam jego urodzie i głębokiej kieszeni – mówiła. – Jak gdybym nie wiedziała, że to pieniądze jego rodziny. Byłoby mi go nawet żal, gdyby nie był taki nieznośny.

– Dobrze się spisałaś – przyznał Dolph i zerknął na Nibsa, który najwyraźniej pominął w swoich meldunkach wiele drobiazgów. Ktoś tutaj kłamał, ale ku swemu niezadowoleniu Dolph nie był w stanie stwierdzić kto. Nibsa znał o wiele dłużej, lecz dziewczyna także zdawała się mówić prawdę.

– Misterium musi się znajdować pod tym pomieszczeniem – powiedziała, wskazując punkt na mapie.

– Myślałem, że tam jest kotłownia – rzekł Nibs, obracając arkusz, by lepiej widzieć.

– Owszem. Ale Jack wspominał dzisiaj o czymś, co może nam się przydać. – Esta była wyraźnie podekscytowana. – Budynek w tym miejscu sięga głębiej, niż myśleliśmy. – Wskazała na punkt poniżej głównej sali zebrań.

– Czy to pewne? – spytał Dolph.

– Raczej tak. Wygląda na to, że nieprzypadkowo wybrali to miejsce na swoją siedzibę. To ma jakiś związek z harmonią elementów. – Podniosła wzrok znad mapy. – Połowa tego, co mówił Jack, była dla mnie niezrozumiała, ale z grubsza chodzi o to, że cały ten gmach został wybudowany nad jedną z zapomnianych miejskich rzek. Mówił coś o właściwej równowadze elementarnych mocy.



– Jesteś pewna? – Dolph zaczął patrzeć na dziewczynę przychylniejszym okiem.

– Tak. Jackowi bardzo zależało, żeby mi pokazać, że rozumie, na czym to wszystko polega. Praktycznie narysował mi mapę. – Uśmiechnęła się i przez moment Dolph widział przed sobą Leenę.

Absurd. Esta w ogóle jej nie przypominała. Lecz w sposobie, w jaki się nosiła, w jej pewności siebie było coś, co budziło wspomnienia, których nie powinien odgrzebywać. Może Viola miała rację – może miał słabość do tej dziewczyny. Oby tylko nie przyszło mu tego żałować.

– Czy to cokolwiek zmienia? – zwrócił się do Nibsza.

Chłopak się zamyślił.

– Jeśli pod spodem jest rzeka, to by oznaczało, że mamy alternatywną drogę wejścia. Albo ucieczki. Trzeba to uwzględnić.

– Powiedziałaś o tym Darriganowi? – spytał Estę Dolph.

– No właśnie – odezwał się głos zza pleców. – Czy powiedziałaś o tym Darriganowi?

# ZAPROSZENIE

**H**arte... – Przez twarz Esty przemknął wyraz zaskoczenia, a może nawet pewnej skruchy, gdy odwróciwszy się, zobaczyła go w drzwiach.

I właśnie ta skrucha wzbudziła w nim lekki niepokój.

– Jak milutko – rzekł, wchodząc do swojej kuchni. Nie sądził, że Esta o tej porze wróci już ze spotkania z Jackiem. Z wieczoru na wieczór spędzała z nim coraz więcej czasu, a Harte miał nadzieję, że w końcu będzie mu dane pobycć trochę samemu we własnym domu. Nie spodziewał się zastać jej pochylonej nad papierami w towarzystwie Dolpha. I Nibsa. Zwłaszcza na widok tego drugiego Harte'owi poczerwieniało w oczach. Zdołał jednak zapanować nad złością. – Dobrze się bawicie beze mnie?

Brwi Esty spotkały się pośrodku czoła.

– Tylko dlatego, że cię nie było, kiedy wróciłam – odparła z cieniem wyrzutu.

Może mówiła prawdę. Może powinien jej zaufać – w końcu był też Dolph. Choć już od pewnego czasu niepokoiło go to, jak po trochu odsuwała go na bok. A teraz była tutaj z Nibsem...

– Nie pamiętam, kiedy ostatnio widziałem cię w domu o tej porze – oznajmił. – Co mam robić, siedzieć i czekać? Miałem coś do załatwienia w teatrze – wycedził.

Prychnęła.

– Nie wątpię.

– Co próbujesz powiedzieć? – obruszył się.

– Nic – odparła, łypiąc gniewnie. – Ale to nie ty musisz się bronić przed Jackiem i jego natrętnymi łapskami. Czasem mam wrażenie, że spotykam się z ośmiornicą.

– Nie musiałybyś się bronić, gdybyś zabierała mnie ze sobą – odparł.

Esta przez ostatnie dwa dni upierała się, że Jack chce ją widzieć na osobności. Uważała, że więcej ugrają, jeśli Jack uwierzy, że pokonał Harte'a, wykradając mu dziewczynę. Harte przystał na to, bez entuzjazmu, ale martwił się, że teraz Esta ma nad nim przewagę. Co prawda zawarli rozejm, ale nie wolno mu było zapomnieć, że nie może jej w pełni zaufać. Nieważne, jak bardzo tego pragnął.

Uśmiechnął się kwaśno.

– Na co mu dzisiaj pozwoliłaś?

– Ty idioto – rzuciła z wypiekami na policzkach.

– Skończyliście? – spytał zniecierpliwiony Dolph.

– Dopiero zaczynam – odparł Harte, nie odrywając oczu od Esty. – A zresztą czego tu w ogóle szukasz?

– Przyszedłem sprawdzić, jak wam idzie – oznajmił Dolph z nutą, jakiej Harte nigdy przedtem u niego nie słyszał. Jak gdyby pewność siebie, do której Dolph wszystkich przyzwyczał, wisiała na cienkim włosku.

Spojrzał na bossa.

– Nie ma takiej potrzeby – oznajmił. Zdjął płaszcz i przewiesił go przez oparcie krzesła. – Wywiązuję się z naszej umowy. – Rozmyślnie ignorował obecność Nibsa. Inaczej nie byłby w stanie robić dobrej miny do tej gry.

– Czy na pewno? – spytał Dolph, patrząc lodowato.

– Tak. – Harte poluzował fular i wyprostował kołnierzyk wykrochmalonej koszuli.

– Jianyu powiedział mi, że widziano Paula Kelly’ego przy jednym stoliku z Jackiem Grew. Nie miałeś z tym nic wspólnego?

Nibs poruszył się, jakby zaniepokojony.

Harte poczuł na gardle zimne palce strachu.

– Trzymam się naszej umowy – oznajmił, odpowiadając na pytanie ukryte w pytaniu. A ponieważ Dolph milczał, tylko wpatrując się w niego znacząco, dodał: – Kelly zdołał spotkać się z Jackiem bez mojej pomocy.

– Kiedy?

– W dniu nalotu na Słomiany Targ. Chciałem ci o tym powiedzieć, ale nie było cię w Stredze.

– Tak – rzekł Dolph. – Za to „porozmawiałeś” z Nibsem.

– Nie mam sobie nic do zarzucenia.

– A ja nie mam do ciebie żalu, Darrigan – odezwał się Nibs. – Byłeś zdenerwowany aresztowaniem Esty. Nie powinienem cię prowokować. – Nibs posłał dziewczynie blady, prawie zawstydzony uśmiech.

Harte miał ochotę znów mu przyłożyć.

– Denerwowałeś się z mojego powodu? – zdziwiła się Esta.

– Nabił mi niezłe limo – wyjaśnił skwapliwie Nibs.

– Uderzyłeś go?

– Nikt mi nie powiedział o spotkaniu z Kellym – odezwał się ponuro Dolph.

Harte zwrócił się do niego, ignorując pozostałych dwoje.

– Widocznie wyleciało mi z głowy. Musiałem wydostać twoją dziewczynę z więzienia, bo na tego tutaj nie mam co liczyć.

Była to ryzykowna uwaga. Nibs mógł się odegrać za ten przytyk. Harte żałował, że nie udało mu się odnaleźć matki. Gdyby miał pewność, że nic jej nie grozi, mógłby bez obaw powiedzieć Dolphowi, co zobaczył tamtej nocy, kiedy rozkwasił Nibsy’emu nos.

Dopóki jednak była w rękach Nibsa, musiał trzymać język za zębami.

– A potem? – spytał Dolph z groźną miną. – Miałeś mnóstwo czasu, żeby mi powiedzieć.

– Miałem inne rzeczy na głowie. – Harte wskazał gestem dowody w postaci papierów na stole. – A zresztą twierdziłeś, że Paul Kelly już nie będzie robił problemów.

Dolph tylko zacisnął szczękę.

Zły prognostyk. Harte skorzystał z okazji, by zmienić temat.

– Czego mi nie powiedziałaś? – zwrócił się do Esty.

– Poza tym, czego dowiedziałam się dopiero dzisiaj, wiesz wszystko.

– A kiedy zamierzałaś mi powiedzieć?

– Jak tylko cię zobaczę, rzecz jasna. Ale ty zaczęłaś się boczyć na widok Dolpha i Nibsa i...

– A co miałem sobie pomyśleć? – To, że rozmawiała z Dolphem pod jego nieobecność, przypomniało mu, w jak niepewnej znalazł się sytuacji. Próbował ich wygrywać przeciwko sobie, ale jeśli nie będzie wystarczająco ostrożny, sam nie zdoła się w porę wyplątać.

Esta rzuciła mu gniewne spojrzenie.

– Miałeś na chwilę się zamknąć i przestać się dąsać, żebyś mogła ci opowiedzieć o dzisiejszym spotkaniu.

– Dobrze. – Miała rację, choć nie zamierzał jej tego przyznać, a już na pewno nie przed Dolphem, który zdawał się rozbawiony tą wymianą. – Słucham.

– No więc jak mówiłam im – i tobie też bym powiedziała, gdybyś dał mi szansę – pamiętasz o tym przyjęciu, które Zakon wyprawia z okazji wiosennej równonocy? To już za tydzień, a wygląda na to, że ich ulubiona trupa jednak nie będzie mogła wystąpić.

– Co za pech – wtrącił Dolph z teatralnym westchnieniem.

– Prawda? W każdym razie muszą szybko znaleźć kogoś na zastępstwo. Oczywiście zaproponowałam cię – zwróciła się do Harte'a i zawiesiła głos dla większego efektu, zadowolona, że ma teraz jego pełną uwagę.

– I?

Wyciągnęła z wiszącej u nadgarstka torebki tłoczoną kartkę.

– Zaproszono nas, żebyśmy wystąpili w Khafre Hall.

CZĘŚĆ

# CZWARTA



# HISTORIA TERAŹNIEJSZOŚCI

**W** mroku powozu Esta czuła na sobie wzrok Harte'a. Za oknem mokre od deszczu miasto przesuwano się w równym, niespiesznym tempie. Będzie mi tego brakowało, pomyślała z nagłą przesywającą tęsknotą. To nie był jej Nowy Jork, a jednak stał się dla niej domem. Lubiła w nim to przecucie nadchodzącej sławy, jakby miasto nie mogło się doczekać, aż kolejne lata odkryją jego przyszłą wielkość. Po tylu tygodniach wydeptywania tutejszego bruku miała pewność, że już zawsze będzie je widzieć, już zawsze będzie wзираło spoza jej miasta. Zwłaszcza w nocy będzie czuła ten czas, to miejsce, ukryte tuż pod terażniejszością, i to bez pomocy Klucza Isztar.

Nie żeby mogła tu jeszcze kiedyś wrócić. Teoretycznie, odzyskawszy swój kamień, byłaby w stanie, ale wiedziała, że nigdy tego nie zrobi. Nie będzie miała żadnego powodu. Może co najwyżej przejrzy czasem stare gazety i relacje, jak ten wycinek, który nosiła schowany w gorsecie, lecz ludzie, których tutaj poznała i nauczyła się cenić, byli w większości niewidzialni i nieistotni dla tych, którzy spisywali historię przy biurkach.

Nie mogła jednak dać się rozproszyć tego rodzaju myślom. Noszona przy skórze woskowana koperta z wycinkiem przypominała jej o innych obowiązkach, innym domu. Przypominała jej – przy całej sympatii do tego czasu, do tego miasta – że ma zobowiązanie wobec przyszłości. Musi pozostawić



przeszłość w odpowiednim kształcie. Inaczej kto wie, co napotka, kiedy wróci do swojej epoki.

A żeby to zrobić, będzie musiała pokrzyżować szyki Harte'owi. Zdradzić go. Zdradzić ich wszystkich.

– Gotowa? – spytał cicho.

– Oczywiście – odparła, choć wcale nie była taka pewna.

Ale to nie miało teraz żadnego znaczenia. Zanim nastanie świt, Księga i kamień znajdą się w jej rękach – a ona stąd zniknie.

– Będzie dobrze – powiedział ze spokojem w oczach. – Tak jak na próbach. – Położył dłoń na jej barku i lekko rozmasował jej spięty kark.

Przez moment czuła tylko dziwną, gwałtowną ulgę, jakby całe napięcie między nimi, cała złość i podejrzliwość zniknęły wraz z rozluźnieniem mięśni. I przez moment pozwoliła sobie na szczery żal z powodu tego, co miała niebawem uczynić. Ledwie jednak odprężyła się pod ciepłym dotykiem jego palców, poczuła na skórze gorąco jego magii.

Wyszarpnęła się. Serce waliło jej jak młotem.

Ale ze mnie idiotka, pomyślała.

– Nie zagłądaj mi do głowy, Harte.

Wpatrywał się w nią z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, aż się odwróciła. Co zdążył zobaczyć? Co to oznaczało dla jej misternego planu?

Reszta drogi upłynęła im w złowrogim milczeniu. Esta cały czas patrzyła za okno, nie zwracając na niego żadnej uwagi i starając się pozbierać myśli. Czuła na sobie jego spojrzenie, ale nie odwracała się z obawy, że odstłoni się przed nim jeszcze bardziej. Zbyt wiele zależało od tego wieczoru. Zbyt wiele mógł odkryć tamtym jednym dotknięciem.

Powóz się zatrzymał.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział Harte, jakby nie było to dla niej oczywiste.

Wysiadł pierwszy, otworzył duży czarny parasol i pomógł jej zejść na chodnik. Esta zerknęła w stronę woźnicy, którym był Nibsy, zmoknięty i niewesoły w siąpiącym deszczu. Pożegnała go skinieniem głowy, najspokojniejszym, na jakie było ją stać. Żałowała, że nie może go przeprosić. W końcu za dwie godziny zdradzi również jego.

– Już czas – rzekł Harte.

Wyprostowała plecy i umocniła się w powziętym zamiarze. Wszystko, co jej się w życiu przydarzyło, wszystko, co ją definiowało, leżało na szali tego wieczoru. Wiedziała, że i Dolph, i Harte chcą Księgi dla siebie. Obaj będą próbowali ją zagarnąć.

I obaj przegrają.

# GNIAZDO ŻMIJ

## *Khafre Hall*

Już czas – rzekł Harte, czując, że Jack obserwuje ich z portyku, lecz Esta tylko popatrzyła na niego zagadkowo. Wolałby ujrzeć w jej oczach złość niż to nieokreślone uczucie, którego nie był w stanie nazwać.

Może niepotrzebnie znów użył wobec niej daru, ale musiał wiedzieć, co go czeka. Od czasu niespodziewanej wizyty Dolpha była bardzo skryta, robiła wszystko według planu, ale chowała przed nim swoje myśli. Nie cierpiał tego chodzenia wokół siebie na palcach. Zawsze istniało między nimi pewne napięcie, świadomość, że toczą między sobą partię szachów, ale czuł, że wymyka mu się zwycięstwo. A teraz poznał prawdę.

Żałował, że... Właściwie to nie wiedział, czego żałuje. Czy tego, że dojrzał zamiary ukryte za tymi oczami w kolorze miodu? Czy tego, że tak łatwo przewidział jej obłudę? A może, jakkolwiek to głupie, żałował, że nie może uniknąć skrzywdzenia jej? Ale żale były dobre dla dzieci, a on już dawno z nich wyrósł. Tylko jedna osoba mogła wygrać i tym kimś będzie on.

– Prędzej czy później będziesz musiała się do mnie odezwać – zauważył. – Inaczej Jack zacznie coś podejrzewać.

– Mną się nie zajmuj. – Na jej twarzy nie było ani śladu emocji.  
– Zrobię swoje. A ty rób swoje.

Harte obejrzał się na Nibsy'ego. Chłopak wyglądał jak zmokła kura, lecz wzrok miał spokojny, a jego mina zdawała się ostrzegać: nie próbuj wejść mi w drogę. Harte pożegnał go skinieniem głowy i chwycił Estę pod rękę. Była sztywna, wyraźnie niechętna jego dotykowi. Przypominała kogoś, kto się boi, a nie kogoś, kto zamierza go wymanewrować.

Pozory mylą, pomyślał Harte, ignorując ukłucie żalu. Igrzyska czas zacząć.

Jack drżał z nerwów, w ręku trzymał już szklaneczkę, zapewne ze swoją ulubioną whisky. Wychylił ją i wyszedł im naprzeciw.

– Ależ wieczór, co? – zawołał z kropelkami potu na skroniach.

Harte wyciągnął dłoń.

– Jesteśmy ci wdzięczni za zaproszenie, Jack.

U jego boku Esta przeszła szybką metamorfozę.

– Jack, skarbie... – Odczepiła się od Harte'a i wyciągnęła obie ręce, witając Jacka ze swoim zamorskim akcentem. – Nie mogę się doczekać poznania twoich przyjaciół.

Jack uśmiechnął się do niej lubieżnie. Harte, widząc to, mimowolnie zacisnął dłonie w pięści. Ona nie jest dla mnie, przypomniał sobie.

– Oni też nie mogą się doczekać spotkania z tobą – odparł Jack z jakąś sprośną nutą w głosie. Esta tylko się uśmiechnęła.

Harte odchrząknął.

– Czy nasze wyposażenie dotarło?

Jack ani na chwilę nie oderwał oczu od Esty.

– Po południu. Wszystko już gotowe.

– Świetnie, świetnie – rzekł Harte. Poklepał Jacka po ramieniu i delikatnie nim potrząsnął. – Wchodzimy?

Jacka na moment jakby opuściła pewność siebie, zaraz jednak skinął głową i wprowadził ich do środka przez krótki przedpokój

oświetlony kinkietami w kształcie pochodni. Podał nazwiska gości mężczyźni w okratowanym pokoiku, przypominającym Harte'owi kasę biletową teatru. Mężczyzna odnalazł ich na liście. Chwilę później rozbrzmiał echem szcęk zamka i ściana przed nimi zaczęła się rozsuwać, wlewając do przedpokoju złoty blask z następnego pomieszczenia.

Po drugiej stronie tej ściany budynek prezentował zupełnie inne oblicze. Nie było tam już ściennej boazerii ani marmurowych posadzek rodem z typowego klubu dla mężczyzn. Wchodząc do środka, można się było poczuć jak w starożytnym egipskim grobowcu. Połyskujące na ścianach złoto podkreślało brzegi błękitnych i turkusowych symboli wyrytych w kolumnach z piaskowca. Mimo ogromu tej budowli Harte nie spodziewał się czegoś takiego. Sala, której się przyglądał, bez wątpienia miała onieśmielać – i musiał niechętnie przyznać, że tak właśnie było.

– Imponujące, prawda? – zwrócił się Jack do Esty, która pokiwała twierdząco głową. Na niej to wewnątrz również robiło wrażenie.

Uśmiechnęła się do Jacka ukradkowym uśmiechem, od którego Harte'owi robiło się niedobrze.

– Tak pięknie, jak obiecywałeś – wymamrotała w zachwycie.

– Tędy. Wasz pokaz odbędzie się w audytorium.

Podążyli za nim do kolejnej sali. To wysokie pomieszczenie z sufitem przybrany jedwabiami w szlachetnych kolorach przywodziło na myśl Arabię. Na ścianach widniały palmy, a środkiem sali sunęła w zmysłowym tańcu, kręcąc biodrami, kobieta w skrzącej sukni z woalem. Kiedy się mijali, Harte napotkał spojrzenie jej fioletowych oczu.

Dobrze, pomyślał. Przynajmniej tyle szło zgodnie z planem.

Następna godzina była niekończącą się paradą najbogatszych ludzi w mieście. Po kolei obrzucali Harte'a wzrokiem, witając się

z Estą. Brnąc w głąb sali, Harte miał świadomość, że wszyscy na niego patrzą, że czekają, aż popełni jakąś gafę, która zdradzi jego niskie pochodzenie. Nie zamierzał dać im tej satysfakcji. Dzisiejszy wieczór należał w całości do niego.

– No, no – rozległ się znajomy głos za plecami. – Harte Darrigan. Ależ ty się ostatnio udzielasz towarzysko!

Harte zatrzymał się w pół kroku, zamykając na chwilę oczy, by ochłonać, i układając usta w uśmiech.

– Sam Watson – rzekł rażno, odwracając się do dziennikarza, lecz zdębiał na widok kobiety u jego boku. – Evelyn?

Spowita w czarny jedwab, spoglądała z błyskiem zadowolenia w oczach.

– Harte. Co za miła niespodzianka.

Coś w jej uśmiechu kazało mu mieć się na baczności. Zaskoczenie Evelyn wydało mu się równie sztuczne jak rudość jej włosów.

– A ty co tu robisz? – spytał ją. Sala na moment zawirowała mu w oczach. Evelyn i Esta. Evelyn tutaj, z Samem Watsonem. W Khafre Hall. W dniu, w którym wszystko musiało chodzić jak w zegarku.

– Mogłabym cię spytać o to samo – odparła, mierząc go wzrokiem od stóp do głów.

– Zaprosiłem ją – wyjaśnił Sam, obejmując jej nagie ramię. – Mam napisać relację z przyjęcia dla „Suna”

– Doprawdy? – zdziwił się Harte. – Najpierw gala w muzeum, a teraz to? No, no, Watson... czyżbyś zajmował się już tylko pisaniem do rubryki towarzyskiej?

W oczach dziennikarza mignęła wściekłość, ale zdołał nad sobą zapanować.

– Czy ja wiem, Darrigan... Coś mi mówi, że tak jak przedtem w muzeum, będzie z tego lepszy materiał, niż przypuszczają moi

przełożeni. Jak sądzisz?

– Nie mam pojęcia, skąd mógłbym to wiedzieć – odparł drętwo Harte, nie podejmując rzuconego mu wyzwania. – Ja tylko zapewniam rozrywkę. Zresztą chyba już pora, żebyśmy poszli się szykować. Wybaczcie.

– Oczywiście – odrzekł uprzejmie Sam. – Bardzo jestem ciekaw, co nam dzisiaj wyczarujesz. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – Do zobaczenia później?

Harte skinął niezobowiązująco głową i poprowadził Estę ku drzwiom audytorium.

– Co ona tutaj robi? – szepnęła Esta, gdy trochę się oddalili.

– Nie wiem.

Ale cokolwiek robiła Evelyn, nie wróżyło to dobrze.

– Musimy stąd wiać.

– Esto, daj spokój. To znajoma. Nie zrobiłaby nic...

Esta chwyciła go za ramię – pierwszy raz od czasu wyjścia z powozu dotknęła go z własnej woli.

– Ona wie, Harte.

– Co? – Pokręcił głową.

– Pamiętasz, jak pokazywałeś mi szklaną trumnę w piwnicy teatru i przyszła do ciebie? Idę o zakład, że słyszała, jak mówiłeś o zaginionej dziedzicze, o naszym planie z Jackiem w roli głównej.

Zrobiło mu się nagle sucho w ustach.

– Nie mamy pewności. Poza tym ona jest jedną z nas. Co by miała zyskać, pomagając Jackowi?

Esta z niecierpliwym błyskiem w oku zacisnęła mocno usta.

– Nie wiem, ale co ona tutaj robi? Dlaczego właśnie dziś? Chyba widziałeś, jaka była zadowolona z siebie. A powinna być zdenerwowana wśród tyłu członków Zakonu. My się denerwujemy,

a przecież mamy wsparcie. Nie... Ona coś knuje. Co to był za mężczyzna?

– Sam Watson z „New York Sun”

– Sam Watson? – Esta pobladła.

– Znają się długo – wyjaśnił Harte, uśmiechając się do mijanych osób, które mu się przyglądały. – Może sobie o niej przypomniał, bo mu dokuczyłem w muzeum.

Ale jego intuicja głośno przyznawała jej rację. Evelyn coś kombinowała. A jeśli faktycznie wiedziała o zaginionej dziedzicze... Po tych wszystkich kosztach, które od niego dostała, i po upokorzeniu, jakie ją spotkało ze strony Esty tamtego dnia w garderobie, miała powody, żeby źle im życzyć. Zwłaszcza jeśli mogła przy okazji ugrać coś dla siebie.

– Sam w to nie wierzysz, prawda?

– Nie – przyznał. – Ale musi być szalona, że tu dzisiaj przyszła.

– Widocznie uznała, że może jej się to opłacić. Nie byłaby pierwszym Maginem, który zdradził swoich w pogoni za lepszym życiem – dodała z nieobecny spojrzeniem, jakby te rozmyślenia przeniosły ją na chwilę gdzieś bardzo daleko.

– Wszystko w porządku?

Zamrugła, złączyła usta i pewnie skinęła głową.

– Powinniśmy się wycofać. Mogę udawać, że źle się poczułam. Będziemy dalej wodzić Jacka za nos i spróbujemy szczęścia kiedy indziej. Teraz to byłoby zbyt duże ryzyko, zwłaszcza jeśli Evelyn wie.

Zapewne zdołaliby się jakoś wytłumaczyć z odwołania spektaklu, lecz Zakon nie był jedynym zmartwieniem Harte’a. Nie miał wątpliwości, że jeśli nie wykonają dziś planu, Nibs uzna to za pretekst do odwetu. Harte może jakoś przetrwać ten wieczór, ale straci w ten sposób matkę. Nie po raz pierwszy...



– Kości zostały rzucone – odparł obojętnie. – Zobaczymy, co wypadnie.

– Ale...

– Chodź. – Wziął ją pewnie pod rękę i wprowadził do przepastnego audytorium, nie mogąc się pozbyć wrażenia, że kroczy ku pewnej zgubie.

## ZŁOTY ŚWIT

Audytoryum przywodziło na myśl pałace, jakie Esta widywała głównie w starych filmach, a jakie w jej czasach otaczano troskliwą opieką. Była to sala zaprojektowana na wzór rzymskiego amfiteatru. Wśród marmurowych balustrad i wyniosłych kolumn przewijały się posągi nagich kobiet i mężczyzn o długich kończynach. W górze, zamiast sufitu, strzępy czarodziejskich chmur płynęły ustalonym torem po gwieździstym niebie.

Jack z niewyraźną miną pomachał do nich spod sceny.

– Gotowa? – szepnął Harte.

– Wcale a wcale.

Evelyn знаła ich plany – Esta dałaby za to głowę – a to nie oznaczało niczego dobrego. Zwłaszcza po tym, jak Esta ją potraktowała.

Wciąż jeszcze mogła zacząć udawać niedyspozycję albo wymyślić jakiś inny sposób na wydostanie się z Khafre Hall. Nie musieli kurczowo trzymać się planu. Można było się wycofać. Spróbować innym razem, w bezpieczniejszych okolicznościach... Czuła jednak instynktownie, że jest już na to za późno. Wycinek prasowy przy skórze – z nazwiskiem Sama Watsona u góry – przypominał jej, o co toczy się gra. Gdyby teraz uciekła, kto wie, czy jeszcze kiedykolwiek miałaby szansę wykraść kamień – i dlatego dała się prowadzić dalej, przez tłum, w stronę miejsca, gdzie czekał Jack.

Przynajmniej wszyscy wkoło byli w doskonałych nastrojach. Członkowie Zakonu oraz ich obwieszane klejnotami małżonki

toczyli gwarne rozmowy przetykane wybuchami śmiechu, a szampan lał się strugami.

To dobry znak, powiedziała sobie w duchu. To musi być dobry znak.

Nie mogła się otrząsnąć z dziwnego wrażenia, że oto już tylko godziny, minuty dzielą ją od przekonania się ostatecznie, czy wszystkie jej dotychczasowe wysiłki były wystarczające. Albo jej się powiedzie i jeszcze przed świtem wróci do swojego miasta, albo...

Nie. Nie wolno jej o tym nawet myśleć.

Jack nieco się odprężył, aczkolwiek mogło to mieć związek ze szklaneczką bursztynowego trunku, którą trzymał w dłoni. Zaprowadził ich za kulisy, gdzie mieli czekać na znak do wejścia na scenę, a sam wrócił na widownię.

Esta i Harte patrzyli teraz, jak cała publiczność zajmuje miejsca i zwraca swoje blade twarze ku gospodarzowi wieczoru.

Zgromadzeni na widowni mężczyźni i kobiety nie wyglądali wcale jak potwory. Nie było wśród nich wyrostków, którzy w bandach patrolowali Bowery w poszukiwaniu Maginów. Kobiety w jedwabiach, mężczyźni w smokingach... Esta była gotowa się założyć, że nikt spośród nich nigdy nie ubrudził sobie rąk czymś takim. Może nie wiedzieli, jakie są skutki wszechwładzy Zakonu. Może nie zdawali sobie sprawy z krzywdy i cierpienia, jakie Ortus Aurea powodował na ulicach Dolnego Manhattanu.

Lecz kiedy Wysoki Princeps – jeden z najwyższych rangą funkcjonariuszy Zakonu – zrobił krok naprzód i przemówił, wszelkie ciepłe uczucia, jakie była skłonna żywić wobec tych ludzi, natychmiast prysły.

– Jako na górze... – zawołał.

– ...tak i na dole – dokończyła unisono widownia.

– Zebraliśmy się dzisiaj, by świętować ekwinokcjum, czas równowagi, odrodzenia, przypominający o naszym solennym obowiązku wobec naszych ludzi, naszych wartości.

– Zaraz zwymiotuję – szepnęła Esta.

Harte uciszył ją, lecz sam zaciskał zęby, a dłonie miał zwarte w pięści, jakby czuł to co ona.

– Zebraliśmy się w ten wieczór, bracia wierni zasadom rozumu i dziełu zapoczątkowanemu przez naszych przodków, ojców Oświecenia – perorował monotonię Wysoki Princeps, jakby wygłaszał tę mowę po raz setny. – Stoimy na barkach gigantów, kontynuujemy dzieło założycieli tego wspaniałego kraju. Jak uczy nas wielki myśliciel John Locke, wszelka ludzka wiedza pochodzi z doświadczenia, i dlatego postanowiliśmy zanurzyć się w doświadczeniu, by poszerzyć granice naszej wiedzy o wielkim łańcuchu istot, poznać jego sekrety dzięki wytężonej pracy.

Sala rozbrzmiała głośnym aplauzem. Mówca z uśmiechem igrającym w kącikach ust poczekał, aż oklaski ucichną. W audytorium panowała elektryzująca atmosfera, która jednak nie miała w sobie nic z ciepła naturalnej magii. Nie, to był prąd, jaki przepływa przez tłum na chwilę przed wybuchem: skwierczenie elektronów, ostry zapach ozonu, uderzające do głowy poczucie słuszności, jakie może zrodzić tylko wiara w cel, choćby najobłudniejszy. I nieważne, że stanowi on pożywkę dla nienawiści.

Niesiony entuzjazmem słuchaczy Princeps mówił dalej:

– Od ponad wieku pracujemy nieustraszenie nad pomnażaniem wiedzy dla dobra naszego kraju, który ma wobec Zakonu ogromny dług wdzięczności. Od swego zarania Ortus Aurea kontynuuje na tej ziemi dzieło Oświecenia. Stoimy jednak w obliczu rosnącego zagrożenia. Wśród tych, którzy przybywają do naszych brzegów

ze szczerego pragnienia, by stać się częścią naszego wielkiego narodu, skrywa się element niepożądany.

Ktoś na widowni krzyknął obelżywie i podniósł się szmer. Wysoki Princeps uśmiechnął się wyrozumiale.

– Tak. Magini nie przybywają do nas z otwartymi sercami, gotowi wyzbyć się swoich przesądów, ale z wrogim zamiarem. Kryjąc się w ciemnych zakamarkach naszego społeczeństwa, oszukując niewinnych ludzi za pomocą swej magii, chcą obniżyć nasz standard życia, osłabić ducha naszych obywateli. Walczymy niestrudzenie z tym żywiołem, albowiem nie ma ważniejszej sprawy niż duch naszego społeczeństwa, niż standard życia naszego narodu. I dlatego musimy wspólnie umacniać się w naszej determinacji, w naszej służbie temu wielkiemu krajowi. Witajmy z otwartymi ramionami tych wszystkich, którzy przypływają do naszych brzegów, aby wraz z nami nieść kaganek demokracji i rozumu. Nie zapominajmy jednak ani na chwilę, że są i tacy, którzy stanowią zagrożenie dla naszych fundamentalnych wartości. Albowiem ich moc, nieokiełznana, nieoparta na wiedzy i rozumie, ale wypływająca z prymitywnych impulsów, jest zaprzeczeniem fundamentów naszej demokracji. Jeśli pozwolimy, aby ta moc zapaściła korzenie w naszym kraju, żyzna gleba tego narodu zmieni się w ziemię jałową. Dlatego odnowmy dzisiaj śluby wierności naszemu boskiemu powołaniu i szykujmy się, aby powitać nową erę, złoty świt rozumu i nauki, który będzie naszą odpowiedzią na wewnętrzne zagrożenie.

– Naprawdę zwymiotuję – szepnęła Esta, gdy Wysoki Princeps zakończył swoje przemówienie wśród huraganowych oklasków. Wiedziała, oczywiście, czym jest Zakon i co reprezentuje, ale musieć tego słuchać, udając, że to nie o niej ani o bliskich jej ludziach?

– Skup się na zadaniu – powiedział Harte. – Nic innego się nie liczy. Ignoruj to wszystko. Nie możesz dać się sprowokować, zwłaszcza teraz.

Wysoki Princeps uniósł ręce i wypełniony po brzegi amfiteatru ucichł.

– W ramach obchodów dzisiejszego święta obejrzymy teraz demonstrację siły rozumu... Siły, której nasza uświęcona organizacja jest orędownikiem. Oto przed wami pan Harte Darrigan, który zdobył rozgłos dzięki studiowaniu tajemnych nauk, oraz jego asystentka, panna Esta von Filosik, córka zmarłego barona, który położył wielkie zasługi dla rozwoju alchemii.

Teraz nie było już odwrotu. Harte wyciągnął do niej rękę, a Esta podała mu dłoń w rękawiczce i przywołując na usta promienny uśmiech, dała się wyprowadzić w blask reflektorów.

## ZAMIANA KART

Gdyby nie dłużej wprawa w trudnej sztuce udawania, Harte mógłby się zawahać. Nienawistna mowa Princepsa i gniewne wrzenie na widowni mogłyby go wytrącić z równowagi. Ale ponieważ całe jego życie było walką o przetrwanie, zaufał swoim umiejętnościom, które dawno już weszły mu w krew, i wkroczył na scenę z właściwym sobie fasonem. Esta, wyczuwał to, była zdenerwowana. Widział napięcie w jej sylwetce, strach w jej spojrzeniu. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że widownia tego nie dostrzeże w rzęśistym blasku reflektorów.

Zaczął od kilku popisowych numerów – sztuczka z połykaniem igieł, odważna zabawa ogniem. Wreszcie dramatycznym gestem wywołał zza kulis maszynistów pchających ogromny lśniący sejf.

Esta popatrzyła na niego oczami wielkimi ze zdumienia.

Wiedział, co sobie myśli. Cały tydzień przygotowywali się do numeru ze szklaną trumną. Ustalili, że to Esta wykradnie Księgę i artefakty. Lecz po tym, czego się dowiedział od Nibszy'ego, Harte nie miał pewności, czy Esta nie da się nabrać, tak jak wszyscy inni, na niewinną pozę tego chłopaka. Dlatego równocześnie przygotowywał własny plan – swoistą zamianę kart, ale na znacznie większą skalę. Z początku zamierzał chronić Estę, żeby Dolph ani Nibs, gdy się dowiedzą, co zrobił, nie podejrzewali jej o współudział. Lecz teraz, kiedy przejrzał jej plany, cieszył się, że niczego jej nie wyjawiał.

Mrugnął do niej, co dla widzów musiało wyglądać jak figlarne puszczenie oka, lecz Esta z pewnością rozumiała. Jestem o krok przed tobą, tyle to znaczyło. Zbyt długo na to pracował, zbyt daleko zaszedł, żeby na końcu tej drogi popełnić błąd z powodu – ach, co za banał – jakiejś ładnej buźki. Nie, nie mógł sobie pozwolić na ryzyko, zwłaszcza w obliczu niebezpieczeństwa, jakim była machina Jacka.

Harte zbliżył się do widowni, unosząc rękę w przyjaznym geście. Jeszcze nigdy od jednego występu nie zależało aż tyle. Jeszcze nigdy nie miał przed sobą tak groźnej publiczności. Ale też nigdy nie dał się onieśmielić przeciwnościom – i tym razem będzie tak samo.

– Panowie? – Zwrócił się do Princepsa i drugiej ważnej osobistości u jego boku. – Czy zechcą panowie wejść na scenę i dokładnie obejrzeć sejf? Niech jego solidność nie budzi żadnych wątpliwości.

– Tak się składa – odparł Princeps – że przygotowaliśmy dla pana małą niespodziankę. – Skinął na kogoś za sceną i po chwili zjawił się Sam Watson z naręczem łańcuchów i kajdan. Obok niego, chłonąc łapczywie blask reflektorów, szła Evelyn.

Na widok rekiniego uśmiechu dziennikarza Harte poczuł ściskanie w gardle. Na zewnątrz zachowywał jednak obojętny spokój, mimo że w głowie kotłowało mu się tysiąc myśli, tysiąc czarnych scenariuszy.

– Wszyscy słyszeliśmy, do czego jest pan zdolny, panie Darrigan, mamy więc nadzieję, że podejmie pan małe wyzwanie. Proponuję, aby zamiast korzystać z własnych łańcuchów, sprawdził pan swoje umiejętności na kajdanach dostarczonych przez nas. Przyjechały prosto z miejskiego więzienia i do tej chwili znajdowały się pod moim dozorem, a więc nie ma obaw, że ktoś przy nich majstrował. Ufam, że nie będzie pan miał nic przeciwko?



– Oczywiście, że nie. – Harte posłał Samowi uśmiech pełen ulgi. Łańcuchy i kajdany nie były dla niego niczym nowym. Sztukę ucieczki z okowów uczynił całym swoim życiem. Jeżeli to było wszystko, co dla niego przygotowali, da sobie radę.

Lecz Esta chyba nie była tego taka pewna.

Podczas gdy jemu zakładano kajdany i owijano go łańcuchem, Princeps długo oglądał sejf, dopóki nie uznał, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, o czym poinformował widzów.

Potem związany Harte zwrócił się do publiczności.

– Sejf jest zrobiony ze stali grubej na szerokość dłoni i posiada zamek z dwiema zasuwami – oznajmił. – Osoba uwięziona w jego wnętrzu ma dziesięć minut na ucieczkę, zanim zacznie jej się robić duszno. Po dwudziestu minutach dostaje zawrotów głowy i przestaje logicznie myśleć. Po trzydziestu zaczyna tracić przytomność. Po czterdziestu nie ma już tlenu. – Zrobił dramatyczną pauzę, pozwalając, by na widowni zaległa cisza. – Tak długi pobyt w środku oznacza pewną śmierć... no, chyba że wcześniej więzień zdoła zapanować nad materią i wydostać się na zewnątrz. Lub zdoła zmusić powietrze, żeby utrzymało go przy życiu.

Po sali przeszedł szmer zaintrygowania.

Nie bacząc na ciężar kajdan, większy od tego, do jakiego był przyzwyczajony, Harte zwrócił się do mężczyzn, którzy przed chwilą go skrupowali:

– Czy będą panowie uprzejmi zamknąć mnie w środku?

## SZACH-MAT

Z hałaśliwego wnętrza Stu Diabłów Dolph Saunders wyszedł w błogą ciszę wieczoru. Nie tracąc czasu, ruszył żwawo pustą ulicą; trzymał się cienia. Musiał zajrzeć jeszcze w jedno miejsce, zanim uda się do Stregi i będzie tam wyczekiwał wieści.

Cmentarz był skąpany w bladej księżycowej poświacie. Mimo swoich zaledwie dwudziestu sześciu lat Dolph odczuwał bólaczki znacznie starszego wieku. Był wyczerpany. Zmęczony wiecznymi rozgrywkami. Wieczną koniecznością bycia o dwa kroki przed zagrożeniem.

Jeśli dzisiaj wszystko pójdzie dobrze, te gry się skończą. W taki czy inny sposób.

– To już koniec, *Streghina*. Dziś jest ten wieczór. Z o s t a n i e s z p o m s z c z o n a – dodał cicho, sam nie wiedząc, dlaczego zniży głos, bo przecież umarli i tak słyszeli każdy szmer dobiegający z najgłębszych zakamarków jego zmęczonego, pękniętego serca.

Uklęknął przed grobem, który Leena dzieliła ze swoim dzieckiem, utraconym z jego winy, i modlił się do niej o przebaczenie. Modlił się, żeby to, co robi teraz – wysiłki na rzecz zdobycia Księgi, zniszczenia raz na zawsze Krawędzi i Zakonu – zadośćuczyniło za wszystkie jego wcześniejsze uczynki, lecz musiał przerwać, bo wyczuł, że nie jest na cmentarzu sam.

Intruz czekał w cieniu koło bramy, szanując intymny charakter tych odwiedzin, ale Dolph wyczuwał jego zniecierpliwienie.

– O co chodzi, Nibsy? – rzucił w noc. Nie oderwał oczu od mogiły, nawet gdy chłopak podszedł bliżej. – Wątpię, żeby już się z tym uwinęli – rzucił, nie licząc na dobre wieści o tak wczesnej porze.

– Nie, jeszcze nie – odparł Nibsy.

Huk wystrzału rozdarł cmentarną ciszę, zanim Dolph w ogóle się zorientował, że chłopak trzyma w ręku broń. Zanim dane mu było podjąć z nim walkę.

– Ale ty już nie musisz się o nic martwić.

Kiedy Dolph osuwał się na grób Leeny, wszystko nagle ułożyło się w logiczną całość.

W tej sekundzie dotarło do niego to, co już dawno powinien był zrozumieć, a czego wolał nie dostrzegać. Oczywiście, że to Nibs, ten sam Nibs, którego opinią Dolph kierował się przy podejmowaniu wszystkich decyzji od czasu śmierci Leeny. Ten sam, który wiedział, co mu zrobiła Krawędź, i który wpadł na pomysł wywarcia presji na Harte'a przy pomocy Paula Kelly'ego.

A jeszcze wcześniej? To Nibs zapewniał go, że Leena nie ma się czego obawiać. Od jak dawna kopał pod nim dołki? Trzeba być ślepy, by tak uparcie trwać w ufności.

Chciał mieć w kieszeni asa, lecz wyhodował w niej żmiję.

Niestety, ta świadomość przyszła poniewczasie. Jego serce zabiło jeszcze raz i drugi, a potem wszystko pociemniało i zimna noc zniknęła razem z całym światem.

# BEZ TAJEMNIC

## *Khafre Hall*

Ciężkie drzwi sejfu otworzyły się ze szcękaniem, który rozniósł się echem po audytorium. Esta mogła tylko patrzeć, jak mężczyźni umieszczają Harte'a w trzech masywnych ścianach. Odbyli wiele prób, ale za każdym razem to ona wchodziła do szklanej trumny. To ona włamywała się do Misterium. To ona miała odnaleźć Księgę i kamień, a potem przeniknąć z nimi przez warstwy czasu i oddać je w ręce profesora Lachlana, tam gdzie ich miejsce.

Pluła sobie teraz w brodę, że nie przygotowała się na taki manewr z jego strony, ale wcale nie zamierzała się poddawać.

– Chwila! – zawołała. – Buziak na szczęście?

Mężczyźni wymienili spojrzenia i wzruszywszy ramionami, rozstąpili się przed nią.

– Ona może mieć przy sobie klucz – powiedziała Evelyn. – Lepiej sprawdźcie.

Ale jeśli miała nadzieję, że ją w ten sposób zdemaskuje, srogo się zawiodła. Esta musiała tylko otworzyć usta, demonstrując, że nie schowała w nich klucza ani wytrycha.

Kiedy podeszła do Harte'a, jego twarz była jak z kamienia.

– Powodzenia, skarbie – powiedziała głośno, obejmując go za szyję. Zbliżając ku niemu wargi, zobaczyła w jego oczach pytanie, a może bardziej przestrozę.

I wtedy wstrzymała czas.

Harte, widząc, że wszystko dookoła zwalnia, na moment stracił dech. Oczy miał wielkie ze zdziwienia.

– To twój dar?

– Nie gadaj, tylko skup się – ucięła. – Mamy mało czasu.

– Wygląda na to, że mamy mnóstwo czasu – odparł z przekąsem, wskazując ruchem głowy salę zastygłą niemal w zupełnym bezruchu.

– Czas tylko zwolnił, nie zatrzymał się całkiem. Nie mogę go wstrzymać w nieskończoność. – Potrząsnęła Harte'em. – Co ty wyprawiasz?

– Mógłbym cię spytać o to samo – rzekł chłodno. – Ale nie muszę, bo już wszystko wiem.

Zrobiło jej się słabo na myśl o tym, co się wydarzyło w powozie.

– To nie ja robię wszystko inaczej, niż było zaplanowane – broniła się, ale bez przekonania.

– Nie? – spytał. – I nie zamierzałaś uciec? Wystawić nas wszystkich do wiatru?

– Nie rozumiesz...

– Mówiłaś, że ten starzec, twój ojciec, nie żyje, ale to nieprawda, co? Chciałaś ukraść Księgę dla niego – rzekł, potwierdzając jej najgorsze obawy. – A już ci zaczynałem ufać. Wszyscy ci zaufali.

– Może nie powinni – odparła, lecz jej głos zabrzmiał słabo i matowo.

Nagle zdała sobie sprawę z padającego ukośnie światła, z drobinek kurzu wiszących nieruchomo dookoła nich w blasku reflektorów, podobnych do gwiazd. Chciała mu wszystko wytłumaczyć, wyjaśnić, dlaczego Księga jest jej potrzebna, lecz... Harte miał rację. Zamierzała zabrać Księgę z powrotem do profesora Lachlana, tak jak ją prosił, ale nie mogła udawać, że nie zdaje sobie

sprawy z konsekwencji, jakie to będzie miało dla ludzi żyjących tutaj.

– Nic nie jest ważniejsze od mojej misji – wyszeptała, pragnąc z całej siły, żeby ją zrozumiał.

– Mam nadzieję. – Rysy Harte’a stężały. – Bo Dolph będzie miał ich teraz na karku. On i wszyscy twoi przyjaciele.

– Zakon i tak nie dałby im spokoju. Muszę zabrać Księgę. Żeby ją chronić. Żeby i c h chronić. Inaczej zginą. Dolph. Nibsy. I kto wie, ilu jeszcze.

Przeszył ją lodowatym spojrzeniem.

– To wszystko, na co Nibsy może liczyć?

– To nie ma żadnego związku z nim.

Harte zaśmiał się sucho – było w tym śmiechu mniej więcej tyle wesołości, ile pozostało między nimi zaufania.

– To ma ogromny związek z nim.

Gadał od rzeczy, ale musiała jakoś do niego dotrzeć. Musiała go przekonać.

– Jeśli ty weźmiesz Księgę, wszyscy Magini w tym mieście będą zgubieni.

– Będą zgubieni, jeśli jej nie wezmę – odparł, po czym opowiedział jej o maszynie wybudowanej przez Jacka.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej?

– Pewnie z tego samego powodu, dla którego ty nie powiedziałaś mi prawdy o człowieku, którego nazwałaś swoim ojcem. Nigdy mi nie ufałaś.

– I miałam rację. Popatrz, co ty robisz! Chcesz mnie zostawić w rękach Zakonu, a samemu zwać z Księgą.

– Ty nic nie rozumiesz, prawda? Nie robię niczego na twoją szkodę – powiedział z przejęciem. – Chciałem tylko odwrócić od ciebie podejrzenia. Zamierzałem po ciebie wrócić. Razem

ucieklibyśmy z miasta. Razem zniszczylibyśmy Księgę... Ale potem zobaczyłem to, co zobaczyłem. I zrozumiałem, jaki masz plan.

Zrobiło jej się duszno w piersi.

– Teraz łatwo ci to mówić.

– Nieprawda. To najtrudniejsza rzecz na świecie – przyznać się do tego, czym wzgardziłaś. – Pochylił głowę, aż się zetknęli czołami.

– Chyba że zmieniłaś zdanie? Chodź ze mną. Pomóż mi zniszczyć Księgę. To jedyny sposób, żeby Maginom nic nie groziło ze strony Jacka i jemu podobnych.

– Ne mogę – odparła, nienawidząc siebie za to, jak bardzo pragnie powiedzieć „tak”. – Nawet gdybym chciała, to by się nie udało.

Harte zrobił krok do tyłu. Jego twarz zastygła w grymasie rozczarowania.

Esta zignorowała wyraz krzywdy w jego oczach, cień gniewu w jego rysach.

– Tu nie chodzi o mnie – szepnęła. – Tu chodzi o coś znacznie większego niż ja i ty. Twoje życie nic nie będzie znaczyło, jeśli postawisz na swoim. Zabierając Księgę, może i powstrzymasz Jacka, ale jednocześnie skażesz nasz rodzaj na kolejny wiek tyranii Zakonu. Skażesz magię, a razem z nią wszystkich Maginów, na beznadziejną wegetację. I tak już będzie zawsze. Nie podniesiemy się z tego upadku.

– Nie wiesz tego.

– Właśnie że wiem! Bo widziałam to na własne oczy. Sama to przeżyłam. Wiem z własnego doświadczenia, jaki będzie wpływ twoich wyborów na świat, w którym żyjemy. Chyba że się cofniesz. Możemy spróbować to jeszcze naprawić. Może uda się wszystko zmienić.

Chmurne szare oczy Harte'a sondowały jej prawdomówność. Wiedziała, że jej słowa brzmią niewiarygodnie, ale to była jej

ostatnia szansa, by dokończyć to, co zaczęła, przybywając tutaj.

– Musisz mi uwierzyć. – Esta objęła dłońmi jego twarz, muskała palcami ciepłą skórę gładko ogolonych policzków. – Wiesz, jak sprawdzić, czy nie kłamię.

Może kiedyś będzie jej dany prawdziwy pocałunek, a nie tylko wybieg, fortel. Może kiedyś przywrze ustami do czyichś ust tylko dlatego, że mocno tego zapragnie. Może.

Ale nie dziś.

Dotknęła wargami jego warg i równocześnie puściła czas wolno. Dookoła wszystko ruszyło z miejsca. Włożyła w pocałunek całą siebie, przyciągając Harte'a, miętosząc jego usta, otwierając mu szeroko drzwi do swojego umysłu. Bo jeśli to on zdobędzie kamień, jeśli weźmie Księgę i ją zniszczy, to będzie koniec.

Na początku jego usta były obojętne i Esta ze skurczem żołądka uświadomiła sobie, że Harte nie chce przyjąć tego, co mu ofiarowuje. Lecz zaraz potem poczuła pulsowanie jego magii, ciepłe i, choć nie powinno takie być, znajome. Tym razem nie oderwała się od niego. Dała mu wszystko, co był gotów wziąć. Rozchylił wargi, oplatając ją swoją magią, a Esta odsłoniła się przed nim cała, postawiła wszystko na jedną kartę, aby odwieść go od jego zamiaru.

Dopiero zdawkowe oklaski publiczności przypomniały jej, gdzie się znajdują. Zrobiła krok do tyłu, rumieniąc się po uszy, ale Harte spoglądał bez emocji. Z jego twarzy nie dało się wyczytać nic.

Nieważne, czy mi wierzy, powiedziała sobie w duchu. Wystarczy, że spowolnię czas i...

– Moja droga, może staniesz obok mnie? – Sam Watson niespodziewanie wziął ją pod rękę i odciągnął od sejfu. Trzymając ją pewnie, puścił do niej oko. – Lepiej, aby nie było żadnych wątpliwości, że Darrigan może liczyć na twoją pomoc.



– Oczywiście – przytaknęła, zerkając na ramię splecione z jej ręką.

Dopóki jej dotykał, nie mogła użyć daru. Nie miała żadnego wpływu na to, co Harte zrobi z Księgą. Mogła tylko patrzeć, jak zamykają go w sejfie, i czekać. I łudzić się, że to, co mu powiedziała, wystarczy.

# MISTERIUM

**W**ciąż oszołomiony tym, co mu pokazała Esta, Harte instynktownie napał plecami na tylną ścianę sejfu, aby poluzować mocowania. Poruszał rękoma, by wyslizgnąć się z łańcuchów, i jednocześnie usiłował zrozumieć to, co przed chwilą zobaczył.

A zobaczył coś nieprawdopodobnego. Niczym z ksiązek Herberta George'a Wellsa. Musiała kłamać, stwierdził.

Tylko że Harte, choć bardzo się starał, nie wykrył w jej myślach nawet cienia fałszu, a przecież widział wszystko wyraźnie jak na dłoni. W głowie roiło mu się od dziwnych obrazów, kiedy wymykał się z sejfu przez uchyloną tylną ścianę. Jianyu już tam na niego czekał, by osłonić go przed wzrokiem ludzi na scenie i na widowni. Razem przemknęli za kulisy. Mając już wolną drogę na korytarz, Harte dał znak Jianyu, że dalej poradzi sobie sam.

To, co zobaczył w umyśle Esty, niczego nie zmieniało.

Zmieniało wszystko.

Skręcając za róg, omal nie wpadł na ukrytą w cieniu Violę. Ubrana na czarno, wyglądała teraz jak typowa zabójczyni.

– Gdzie Esta?

– Na scenie.

– Nie tak się umawialiśmy.

Pałaca energia jej magii wypełniła powietrze i sekundę później Harte poczuł się tak, jakby ściskano mu głowę imadłem. Obraz przed oczami zaczął się rozmazywać i ciemnieć, jak tuż przed utratą

przytomności. Musiał się powstrzymać, żeby nie krzyknąć z bólu, który rozsadzał mu zatoki.

– Dolph nie powiedział ci wszystkiego – wyjęczał.

Viola uniosła brew, a Harte poczuł w piersi dżgnięcie.

– Dolph mi ufa.

– W tej chwili nie ufa nikomu – wydyszał. – Tylko ja i on znamy całość planu. – Kolejna igła bólu przebiła mu klatkę piersiową, aż prawie ugięły się pod nim nogi. – Wierz mi, że tak jest lepiej. Dopóki Esta stoi na scenie, jest poza podejrzeniem. A to znaczy, że trudno będzie powiązać kradzież z Dolphem. – Po tych słowach ból nieco zelżał. – Poza tym nie jest sama. Został z nią Jianyu. Pomoże jej się wydostać.

Viola przytknęła mu do gardła jeden ze swoich noży.

– Nie podoba mi się to.

Wytrzymał jej spojrzenie, walcząc z bólem, który wciąż mu zadawała.

– Możemy się teraz kłócić albo dokończyć to, co mamy do zrobienia, i uciec.

Jeszcze przez chwilę wpatrywała się w niego groźnie, potem ucisk w głowie całkiem ustał. Ulga była tak wielka, że Harte prawie osunął się na podłogę.

– Jeżeli mnie okłamujesz, nie wyjdiesz stąd żywy.

Kiwnęła na niego głową i ruszył za nią do sali egipskiej. Szli przy ścianie, pod osłoną cieni rzucanych przez posągi wielkich egipskich bogów, aż dotarli na drugi koniec.

Do Misterium prowadziły pozłacane wrota z kunsztownie rzeźbionym drzewem życia. Jeżeli Jack miał rację, wstęp mieli tam jedynie członkowie Wewnętrznego Kręgu, ścisła elita Zakonu. Sam Jack nigdy nie widział zawartości tego skarbca – i Harte miał zamiar dopilnować, by tak zostało.

Strażnika po drugiej stronie drzwi Viola wysłała na tamten świat, zanim zdołał pomyśleć o wszczęciu alarmu. Mieli teraz przed sobą szeroki korytarz opadający w dół jak rampa. Posadzka z wypolerowanego czarnego granitu odbijała światła zielonkawych lamp; te ostatnie znajdowały się na ścianach ozdobionych wyrytymi w kamieniu połączanymi symbolami alchemicznymi. Koniec korytarza ginął w oddali. Schodząc coraz niżej pod ziemię, dotarli wreszcie do miejsca, gdzie korytarz skręcał ostro w prawo, a następnie kończył się mosiężną kabiną.

– Chodź – rzekł Harte, odsuwając kratę windy.

Viola się wahała.

– Mam do tego wejść?

– Chyba że wolisz poczekać. – Harte wszedł do środka.

Viola z chmurą na czole przestąpiła próg ciasnej kabiny.

Harte zamknął kratę i uruchomił windę za pomocą dźwigni. Powoli, z łoskotem ruszyła w dół. Gładki granit szybu najpierw ustąpił miejsca betonowi, a później skałom. Zjeżdżali w głąb budynku, w głąb samej wyspy.

– Musimy być przygotowani na wszystko – powiedział, lecz gdy się obejrzał, okazało się, że Viola trzyma już sztylety w pogotowiu.

Kiedy w końcu winda, łomocząc, zatrzymała się na dole, do uszu Harte'a dobiegł szmer wody. Powietrze było tutaj chłodne i wilgotne. Nikt na nich nie czekał, za to po wyjściu z windy ujrzeli kolejne podwójne drzwi, tym razem żeliwne, z lustrzanymi przedstawieniami Dłoni Filozofa.

Im bardziej się do nich zbliżali, tym wyraźniej Harte czuł przenikającą przez nie lodowatą energię. Jack nic nie wspominał o zabezpieczeniach w samym Misterium, ale teraz, gdy mieli wejść do środka, Harte nagle zwątpił.

– Nie przejdziemy tędy – powiedział z przytłaczającą świadomością, że całe ryzyko, które podjął tego wieczoru, pójdzie na marne. – To się nie uda. Muszę wracać na scenę, zanim...

Ale Viola nie podzielała jego obaw. Wyjęła z kieszeni mały przedmiot i wskazała gestem drzwi.

– Dolph przewidział, że możemy napotkać taką przeszkodę.

– Co to jest? – zainteresował się Harte.

Viola trzymała w ręku różowy kamień. Na jego powierzchni wyryto jakiś napis, którego nie potrafił odczytać.

– Amulet w kształcie pieczęci ukradziony z muzeum. Według Dolpha ta inskrypcja przełamie zabezpieczenia.

Puszczając ją przodem, Harte zastanawiał się, czy to ta sama pieczęć, która zwróciła uwagę Jacka. Viola chwyciła kamień w dwa palce i zaczęła toczyć nim po drzwiach.

– Żeby odczynić fałszywą magię – powiedziała – trzeba użyć fałszywej magii. – Rysowała na drzwiach zawiły wzór z okręgów i koncentrycznych figur, a pieczęć zostawiała świecący ślad. Po chwili ślady nabrzmiały, jakby wylewało się z nich światło, aż całe wrota zapłonęły energią. Potem nagle zgasły, a lodowaty chłód zniknął.

Jakie to szczęście, pomyślał Harte, że nie wydał Dolpha policji po kradzieży w muzeum. Bez pieczęci nie zdołaliby pokonać tych drzwi.

Kiwnął milcząco głową i ostrożnie weszli razem do Misterium. Skarbiec wyglądał jak wnętrze katedry z wielką kopułą. Całą przestrzeń oświetlały takie same niesamowite płomienie jak w korytarzu na górze. Harte przypuszczał, że to jakaś reakcja chemiczna.

Weszli głębiej i zbliżyli się do wysokiego kwadratowego stołu pośrodku komnaty. Jego cztery nogi stały na srebrnych dyskach.

Na stole znajdowała się złota miska z krystaliczną substancją, ni to płynną, ni to stałą, świecąca jakby własnym światłem. Obok leżał naszyjnik z ogromnym turkusowym kamieniem i srebrna bransoletka o znajomym wyglądzie – widział ją w obrazach, które Esta przedstawiła mu przed kilkoma minutami, całując go na scenie.

Był to kolejny znak, że nie mógł tak po prostu zignorować tego, co mu pokazała. Gdyby to była nieprawda, skąd by wiedziała, jak wygląda bransoletka?

Dookoła pięć zielonych lamp rozjaśniało upiornym światłem zakrzywione skalne ściany. W mdłym blasku trzech z nich wisiały w powietrzu, jakby na niewidzialnych stołach, trzy ciała.

– *Madonna* – szepnęła Viola, robiąc znak krzyża. – Znam ich. – Podeszła do najbliższego ciała siwiejącego mężczyzny o gęstej brodzie. Ubrany był w białą szatę, ręce miał skrzyżowane na piersi, a na palcu lewej dłoni tkwił pierścień z ogromnym kamieniem, tak przejrzystym, że wydawał się płynny. – To Krzysztof Zeranski. Zaginął parę tygodni temu. – Podeszła do kolejnego ciała, kobiety w złotej koronie nasuniętej na jasne włosy. Ona także miała na sobie białą szatę i była nieprzytomna. – Frieda Weber.

Ostatnie ciało było na drugim końcu komnaty, lecz nawet z daleka i przy słabym świetle rozpoznali miedziane loki Bridget Malone. Viola ruszyła w jej stronę z wyciągniętą ręką, jakby mogła zapobiec temu, co już się stało.

– Nie – szepnęła, oglądając się na Harte'a. – Zniknęła w dniu nalotu na Słomiany Targ.

Bridget w przeciwieństwie do pozostałej dwójki nie miała żadnego klejnotu. W jej brzuchu tkwił sztylet.

– Jeszcze oddycha – stwierdził Harte, choć było dla niego zupełnie oczywiste, że ktoś przebity w ten sposób nożem nie ma prawa żyć.

– Ale nie krwawi.

– Może powinniśmy im pomóc? – zastanawiał się na głos Harte.  
Viola pokręciła głową.

– Nie sądzę, żeby dało się coś dla nich zrobić. Musimy znaleźć Księgę i uciekać. – Podeszła do stołu. – Już gdzieś widziałam te znaki – rzekła, wskazując cztery dyski, na których spoczywały stołowe nogi.

Harte przyjrzał im się spod zmarszczonych brwi. Były to skomplikowane geometryczne wzory: pentagram wpisany w inne figury otoczone koncentrycznymi kręgami.

– Ja nie.

– Ten symbol jest na obrazie, który Dolph ukradł z muzeum. – Spojrzała Harte'owi w oczy. – To jest to.

Rozglądając się za Księgą, zauważył, że cała posadzka skarbcza jest utrzymaną w żywych barwach mozaiką z cennych kamieni przedstawiającą drzewo życia. Na krańcach pięciu gałęzi wyrastających z pnia znajdowało się pięć pustych wgłębień. Przywodziło to na myśl układankę, ogromny zamek z pięcioczęściowym kluczem.

– Chyba musimy go otworzyć – stwierdził.

– Otworzyć co?

– Ten obraz. Drzewo życia to receptura alchemiczna. W alchemii te obrazki symbolizują elementy albo reakcje chemiczne. Myślę, że jeśli chcemy znaleźć Księgę, musimy uzupełnić tę formułę o brakujące części. – Rozejrzał się dookoła i nagle doznał olśnienia. – Bransoletka i naszyjnik. Podaj mi je.

Położył najpierw jedno, a potem drugie we wgłębieniu, ale nie pasowały, spróbował więc gdzie indziej, aż w końcu znalazł wgłębienie pasujące do naszyjnika. Kiedy umieścił w nim turkusowy kamień, cała gałąź zajaśniała, jak gdyby tworzące ją

klejnoty podświetlono od spodu. Wtedy Harte zaczął szukać właściwego otworu dla bransoletki.

Kiedy i jej kamień znalazł się na swoim miejscu, Harte zwrócił się do Violi, która przyglądała się temu z bruzdą między brwiami.

– Będziemy potrzebować tamtych dwóch – oznajmił, mając na myśli kamienie na lewitujących ciałach.

Nie była zachwycona, lecz skinęła twierdząco głową.

Najpierw podeszli do Krzysztofa. Viola wyciągnęła rękę po pierścień i natychmiast ją cofnęła.

– Poczulałam powiew śmierci. Jak mamy je zdjąć?

– Jak najprędzej – odparł. – Masz jeszcze tamtą pieczęć?

Potaknęła ruchem głowy, a następnie przesunęła kamieniem po nieruchomych palcach Krzysztofa.

– Spróbujmy – rzekł Harte, gdy ślady pozostawione przez pieczęć rozświetliły całą dłoń.

Przydałaby się teraz Esta ze swoim złodziejskim talentem, ona potrafiła zwinąć dowolną rzecz w mgnieniu oka. Przez chwilę pożałował, że zostawił ją na scenie. Otrząsnął się jednak i skupił na zadaniu.

W momencie gdy jego palce dotknęły pierścienia, poczuł ukłucie zimnej energii, ale zsunął go czym prędzej. Ledwie to zrobił, ciało mężczyzny upadło bez życia na podłogę. Viola zakłęta i znów się przeżegnała, lecz Harte nie rozproszył się ani na sekundę. I tak już mieli mało czasu.

– Zajmij się Friedą – rzucił do niej, a sam odłożył pierścień na właściwe miejsce w podłodze.

Potem razem odnaleźli wgłębienie, do którego pasowała korona. Na koniec zwrócili się w stronę Bridget.

– Musimy wyjąć nóż – stwierdził Harte. Na samą myśl zrobiło mu się niedobrze. – Ty masz w tym więcej wprawy.



Viola tylko popatrzyła na niego krzywo. Wziął więc pieczęć i powiódł nią dookoła miejsca, z którego sterczał nóż, a potem, nie mogąc dłużej zwlekać, chwycił za wysadzaną granatami rękojeść i mocno pociągnął. Ciało stawiało pewien opór, lecz ostrze wyszło z młaśnięciem. Bridget runęła ciężko na ziemię, a rana zaczęła krwawić.

Harte szybko odwrócił wzrok. Pozostało jeszcze jedno wgłębienie. Sztylet należało włożyć pionowo w lśniącą posadzkę. Gdy to zrobił, rozświetliła się ostatnia gałąź i cała podłoga najpierw się zatrzęsła, a chwilę później zaczęła się przesuwać.

Ołtarz pośrodku wzniósł się w powietrze na srebrnych dyskach, a razem z nim uniosła się część podłogi. Pod nią znajdowała się wielka szafa. W jej wnętrzu była książka.

Podeszli ostrożnie, w razie gdyby wiszący nad nimi stół okazał się pułapką. Księga wyglądała niepozornie – była nie większa od tych, w których Shorty podliczał wpływy z biletów. Na spękanej i pociemniałej ze starości okładce widniały te same geometryczne wzory co na srebrnych dyskach. Niektóre strony wystawały poza jej obręb, jakby dodawano je na przestrzeni lat.

– To jest to? – spytała Viola z niesmakiem. – Wszystkie te ofiary dla czegoś takiego?

Harte powoli wyciągnął rękę, spodziewając się kolejnych pułapek. Gdy tylko opuszki jego palców zetknęły się z okładką, zielone płomienie na ścianach rozbłysły jasno wielobarwną eksplozją. Cofnęli się oboje. Komnatę wypełnił dym – słodki, mdlący, dobrze mu znany.

Opium.

– Musimy uciekać – powiedziała Viola, sięgając po Księgę.

Ale Harte nie po to zaszedł tak daleko, żeby dać ją sobie zgarnąć sprzed nosa. Uprzedził Violę i chwycił ją pierwszy.

W chwili gdy zacisnął palce na grzbiecie tomu, gorąca energia przemknęła po jego ramieniu do klatki piersiowej, a głowa rozbrzmiała mu setkami głosów. Tysiącami głosów. Trwało to tylko parę sekund, lecz Harte odczuł to jako niekończącą się lawinę krzyków i szeptów w językach, których nie potrafił opisać. Kiedy to się działo, czas jak gdyby stał w miejscu. Potem głosy ucichły równie gwałtownie, jak się pojawiły.

Ucichły, ale nie zamilkły całkiem. Nadal czuł je w sobie. Czuł, że są głodne.

Otrząsnął się, by uciszyć ostatnie szepty gdzieś na obrzeżach umysłu. Nie powinien rozumieć tych dziwnych języków, a jednak wiedział, co głosy próbują mu powiedzieć. Dotknięcie Księgi było jak czytanie w człowieku – mnóstwo wrażeń i obrazów – tylko że wszystko mocniejsze, wyrazistsze.

Nagle zrozumiał, jak bardzo się mylił. Jacy oni wszyscy byli krótkowzroczni. W mig pojął, co musi zrobić.

– Co się dzieje? – spytała Viola, widząc, że zastygł nieruchomo z Księgą w rękach.

– Nic. – Włożył ją do torby i zrobił rundę po komnacie, zbierając pozostałe artefakty. – Chodźmy – rzekł, chowając torbę pod marynarką, kiedy stół zaczął opadać. – Muszę wracać do sejfu, zanim odkryją, że mnie tam nie ma.

– Najpierw mi to oddaj. – Viola wyciągnęła w jego stronę nóż.

Harte poczuł bolesne gniesienie w czaszce. Ostrzegła go w ten sposób, żeby spełnił jej prośbę po dobroci.

Wahał się przez chwilę. Nie mógł jednak zignorować głosów, które wciąż odzywały się w jego myślach.

W komnacie zrobiło się gęsto od opiumowego dymu, lecz Harte nie miał pewności, jak to wpłynęło na Violę. Czy osłabiło ją na tyle, żeby mógł się wymknąć? Musiał zaryzykować. Nie

czekając, aż ból w zatokach stanie się nie do zniesienia, podrzucił torbę w powietrze, a kiedy Viola podążyła za nią wzrokiem, zaatakował.

# CHWILA PRAWDY

**M**inuty płynęły.  
Dziesięć.

Piętnaście.

Dlaczego to tyle trwa? Esta nie wątpiła, że Harte wydostał się z sejfu. Już nie takie ucieczki widziała w jego wykonaniu – w sejfie przynajmniej nie było wody – ale Harte nie był złodziejem. Nie wiedziała, czy poradzi sobie w pojedynkę z resztą zadania, zanim członkowie Zakonu połapią się w sytuacji.

Dwadzieścia minut.

Na widowni rósł szmer. Esta, czując, że wszystkie oczy zwrócone są teraz na nią, stała z przyklejonym do twarzy pogodnym, beztroskim uśmiechem.

– Trochę to trwa – zauważył Wysoki Princeps z niepewną miną.

Wiedziała, że się niepokoi. Czym innym było spłatać magikowi niewinnego figla, a czym innym beczynn timer patrzeć, jak ten człowiek być może umiera na scenie.

Sam Watson miał trochę zbyt wesołą minę. Pochylił się, jakby chciał jej coś szepnąć na ucho, ale odezwał się głośno, tak że słyszeli go wszyscy w pobliżu.

– Może wielki Harte Darrigan wcale nie jest aż takim władcą elementów, za jakiego się uważa?

Stojąca naprzeciwko Evelyn uśmiechnęła się drwiąco.

– Myli się pan – odparła Esta, bezskutecznie próbując uwolnić się z jego uchwytu. – Jestem przekonana, że mu się uda. On ma władzę

nad siłami, jakie się panu nie śniły.

Ale z biegiem czasu to przekonanie zaczęło w niej słabnąć.

Po półgodzinie publiczność zaczęła się głośno domagać otwarcia sejfu i wypuszczenia magika, lecz Esta poprosiła widzów o cierpliwość. Jeżeli istniał cień szansy, że wyjawiając mu wszystkie swoje tajemnice, skłoniła go do zmiany zdania, musiała dać mu czas – na zdobycie Księgi oraz artefaktów i na powrót do sejfu, aby mogli następnie razem uciec.

Wysoki Princeps wyglądał na coraz bardziej podenerwowanego. Evelyn, z czerwonymi wargami wygiętymi w uśmiešku, przyglądała się wszystkiemu z błyskiem chorobliwego podniecenia w oczach. Po chwili dotknęła ramienia Wysokiego Princepsa i nachyliła się, by szepnąć mu coś do ucha.

Spojrzenie starca nagle straciło wyraz i choć wydawał się całkiem spokojny, kazał otworzyć sejf.

To sprawka Evelyn, pomyślała Esta.

Widownia zamilkła, gdy podano kombinację cyfr i mężczyźni zaczęli ostrożnie obracać wielkie pokrętło na drzwiach sejfu. Esta próbowała się wyrwać Samowi Watsonowi, ten jednak miał żelazny chwyt. Gdyby tylko jej się udało, mogłaby zwolnić bieg czasu i poszukać Harte'a. Może nawet wsadzić go z powrotem do sejfu, zanim ktokolwiek by się zorientował.

Lecz było już na to za późno, gdyż drzwi sejfu otworzyły się na oścież.

Zbiorowy okrzyk zdumienia przetoczył się po audytorium.

Sejf był pusty.

– To ona! – zawołała Evelyn, wskazując oskarżycielsko na Estę i zbliżając się do niej. – A nie mówiłam? Ostrzegałam, że oni coś knują!

– Istotnie – przyznał Sam Watson. Ścisnąwszy ramię Esty jeszcze mocniej, odwrócił ją w stronę Wysokiego Princepsa.

– To wszystko część pokazu... część efektu – zaczęła się tłumaczyć, ale nie mogła zapanować nad drżącym głosem. – Musicie zamknąć sejf, a wtedy znów się w nim pojawi.

– Kłamie – orzekła Evelyn. – Harte Darrigan sprawia, że inni znikają. Sam z własnej woli nigdy nie opuszcza sceny. Coś uknuł, a ona mu pomaga, tak jak mówiłam. Nie jest żadną baronówną. To wszystko blaga. Słyszałam na własne uszy. „Za obalenie Zakonu” Dobrze zapamiętałam?

Esta zaprzeczyła ruchem głowy, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu.

– Gdzie jest mag? – warknął jej w twarz Wysoki Princeps, aż poczuła od niego alkohol. – Gdzie jest Darrigan?

– Nie wiem – odparła zgodnie z prawdą. Co nie zmieniało faktu, że Princeps jej nie uwierzył. Nikt jej nie wierzył.

– Zamknąć cały budynek! – zawołał Princeps, czerwieniejąc na sędziwej twarzy. – Przeszukać wszystkie kąty. Musimy go znaleźć. A ty... – Wskazał palcem na Jacka Grew, który siedział blady jak ściana w pierwszym rzędzie. – To twoja wina. Nie zapomnę, że to ty ich tutaj wprowadziłeś. – Potem zwrócił się do Sama Watsona: – Zabierz ją do schronu i nie pozwól, żeby uciekła, inaczej możesz zapomnieć o pełnym członkostwie.

Princeps zbiegł po schodach między niespokojny tłum, zostawiając Estę w żelaznym uścisku Sama Watsona. W amfiteatrze zapanował chaos.

Próbowała się uwolnić, ale Watson z łatwością kontrował jej ruchy i dość szybko ją obezwładnił.

– Proszę... To jakieś nieporozumienie. Nie miałam nic wspólnego z jego zniknięciem.

– Łzesz – warknął Watson, boleśnie wykręcając jej rękę do tyłu. – Myślisz, że nie wiem? Jesteś jedną z nich... – Ale nie zdążył dokończyć, bo nagle zeszywniał i puścił ją. Głowa poleciała mu do tyłu, a potem zgiął się wpół i runął na podłogę.

Esta zrobiła wielkie oczy.

– Jianyu?

Zmaterializował się tuż przed nią.

– Chodź – rzucił, wskazując gestem tył sceny.

Drogę za kulisy blokował rosły mężczyzna. Jianyu już unosił rękę do walki, lecz Esta złapała go za dłoń i chwyciła czas. Wszystko wokoło zwolniło. Rozgorączkowany tłum zastygł nieruchomo. Panowie w smokingach, przepychający się jeden przez drugiego, zatrzymali się w pół kroku, znieruchomiały ich rysy wykrzywione wściekłością i strachem. Wypacykowana twarz Evelyn, pochylonej nad Samem Watsonem, stężała w wyrazie przerażenia.

Jianyu uśmiechnął się do Esty spod uniesionych brwi.

– Aha – stwierdził z uznaniem. – Chodź. Pójdziemy razem. – Poruszył dyskami w ręku i spowił ich cień. – Tak będzie bezpieczniej. – Zaczął ją prowadzić za kulisy.

– Musimy powstrzymać Harte'a – powiedziała, ciągnąc w przeciwnym kierunku. – Zrobił inaczej, niż się umawialiśmy. Chce sam zdobyć Księgę.

– Wiem – odparł Jianyu, nie ustępując.

– Wiesz?

– Wszystko było zaplanowane. – Znów ją pociągnął i skołowana Esta dała się poprowadzić w stronę sali stylizowanej na egipski grobowiec.

Kiedy się w niej znaleźli, zatrzymała go. W niczym niezmałconej ciszy oczy olbrzymich posągów zdawały się im przyglądać.

– Nie rozumiem. Wiedziałaś, że on zamierza sam się zamknąć?

Jianyu skinął głową.

– Parę dni temu przyszedł z tym pomysłem do Dolpha. Powiedział, że nie chce, żeby podejrzenie padło na ciebie.

– Nie wierzę. Próbuje nas wywieść w pole – stwierdziła, wietrząc kolejny fortel.

– Jeżeli tak, to Viola się z nim rozprawi. Chodź.

Nie ufała Harte'owi, ale wiedziała, do czego jest zdolna Viola, pozwoliła więc wyprowadzić się z pogrążonego w chaosie gmachu na ulicę.

Na zewnątrz również panowało zamieszanie. Z daleka dobiegały już odgłosy nadjeżdżających wozów strażackich. Wschodnią część budynku rozświetlały płomienie, z rozbitych okien wydobywał się czarny dym. Korzystając z panującego zamętu, czmychnęli do miejsca, gdzie czekał powóz Dolpha. Nibs siedział na koźle.

– Gdzie Darrigan?

– Jeszcze nie wyszedł? – zdziwił się Jianyu.

Nibs zaprzeczył ruchem głowy.

Esta poczuła, że brak jej tchu. Czyżby cała nauka poszła na marne?

Słyszając zbliżające się kroki, wszyscy troje obrócili głowy. W sercu Esty na moment zamigotała nadzieja. Przez sekundę spodziewała się zobaczyć Harte'a.

Ujrzała jednak Violę. Ubrana od stóp do głów na czarno biegła ku nim, wołając:

– Ruszajcie!

Za nią wypadła z budynku gromada mężczyzn. Viola zdążyła jeszcze rzucić w jednego z nich nożem; ugodzony w szyję osunął się na chodnik.

– A Darrigan... – zaczął Nibs, kiedy wskoczyła na dorożkę.

– Chrzanić go. Mam Księgę – powiedziała.

– Na pewno? – spytał, spoglądając w stronę gmachu.



– Załatwiłam go.

– Co to znaczy? – spytała Esta, nie chcąc wiedzieć. Ale już wiedziała.

– Jest trupem, *capisce?* – Uniosła torbę. – Mamy to, po co przyszliśmy. – Zatrzasnęła drzwi powozu.

Nibsy smagnął konie batem i Khafre Hall zostało w tyle, podobnie jak Harte Darrigan.

– Przykro mi – rzekła Viola do Esty z autentycznym żalem i smutkiem w oczach. – Wiem, że się ze sobą zżyliście, ale nie mogłam pozwolić, żeby to zabrał. – Viola wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła kolana Esty. – Gdybym miała inne wyjście...

– Rozumiem – odparła Esta zgodnie z prawdą. Nie mogła jednak żadną siłą zaradzić piekącym łzom, które zbierały jej się w oczach.

– Naprawdę go zabiłaś? – spytał Jianyu.

– On pierwszy mnie zaatakował.

Jianyu zmarszczył brwi.

– Dolph mu zaufał.

– I źle zrobił – odparła Viola.

Esta odwróciła głowę, udając, że patrzy przez okno. Tak naprawdę jednak wyciągnęła wycinek zza stanika sukni. Mimo wszystko poczuła pewną ulgę, widząc, że notatka prasowa odzyskała pierwotne brzmienie.

Tak, Dolph nie powinien był ufać Harte'owi, ale przynajmniej zdołali go powstrzymać. Przeszłość wróciła na właściwe tory, a ponieważ Księga trafiła w ręce Violi, Esta wciąż miała szansę na dokończenie swojej misji.

Skoro już raz okradła Violę i Dolpha, mogła to zrobić ponownie.

Powinna być zadowolona z takiego rozwoju wydarzeń, a jednak z jakiegoś powodu na myśl o śmierci Harte'a kłuło ją w sercu i miała wrażenie, że nocne ciemności ją pochłoną.

# SZALEŃSTWO NA ULICACH

*Bella Strega*

**W**rócili do Stregi, ale Dolpha nigdzie nie było.  
– Poczekajmy na niego – zaproponowała Viola, gdy Nibs próbował zabrać torbę, którą wyniosła z Khafre Hall. Szarpnął trochę mocniej, ale Viola nie ustąpiła. – Oddam to tylko Dolphowi, nikomu innemu.

Nibs zmarszczył brwi.

– W takim razie trzeba kogoś po niego wysłać.

Nikt się nie spodziewał, że chłopcy w melonikach zamiast Dolpha przyniosą jego zwłoki.

Znaleźli go martwego, z dziurą w plecach, na grobie Leeny. Uroczysta powaga, z jaką nieśli ciało, kłóciła się z krzykliwymi koszulami i kamizelkami. Ułożyli zabitego na cynkowym blacie baru. Dolph nawet po śmierci, biały jak pasmo włosów nad jego czołem, roztaczał wokół siebie aurę autorytetu.

Zbieranina kobiet i mężczyzn, których zjednoczył pod swoim znakiem, stała w ciężkiej ciszy. Tym razem w sali nie czuło się charakterystycznego ciepła magii. Zniknęła bez śladu, jakby Dolph zabrał ją ze sobą, wydając ostatnie tchnienie, jakby wszyscy zrozumieli, że jedyna rzecz, która ich łączyła, przestała istnieć, i że teraz, gdy nie ma już Dolpha, a jego znak stracił moc, trzeba będzie wypracować nowy konsensus.

– On by sobie życzył, żebyśmy dokończyli to, co zaczął – stwierdził z namaszczeniem Nibs.

Najbliżsi współpracownicy Dolpha – Viola, Jianyu i Nibs – zgromadzili się wokół jego stolika. Esta w pierwszej chwili została z boku, ale Viola wzięła ją pod rękę i zaprowadziła do reszty. Jianyu spojrzął znacząco na Nibs, ten otworzył torbę i zajrzał do środka.

Esta domyśliła się z jego miny, że coś jest nie tak. Drżącymi rękoma wysypał zawartość na stół. Kilka bezkształtnych kamieni. Zeszyt z emblematem teatru. I wyschnięta skórka z pomarańczy.

Wszyscy wpatrywali się w te przedmioty w niemym przerażeniu.

– Nie... – Nibsy, kręcąc głową, zaczął je rozgrzebywać, obracać, oglądać. – Nie! – Zamaszystym ruchem zepchnął wszystkie z blatu. – To twoja wina! – krzyknął na Violę, wymachując jej palcem przed nosem. – Ty do tego dopuściłaś!

Viola stała ze wzrokiem utkwionym w pusty teraz stół i kręciła głową, jakby zaprzeczając temu, co wszyscy widzieli.

– Nie. To jego torba. Odebrałam mu ją. Zabiłam go.

– Jesteś pewna? – Nibs ściągnął brwi.

– *Certo!* Chyba wiem, kiedy kogoś zabiłam – sarknęła, patrząc na Nibs, jakby miał być jej kolejną ofiarą.

– Dotknął cię?

– Co? O czym ty mówisz?

– Dotknął cię?! – krzyknął Nibs. Był purpurowy na twarzy i stał tak blisko niej, że mogłaby go z łatwością ugryźć.

Viola odepchnęła go i wytarła z twarzy jego ślinę.

– Walczyliśmy o Księżę, więc tak, dotknął mnie. Ale zaraz potem już nie żył.

– Jeżeli cię dotknął, mógł ci namieszać w głowie.

– O czym ty mówisz? Zabiłam go.

– Darrigan to potrafi. – Nibs pokręcił głową z grymasem pogardy.  
– Czyta w myślach i potrafi zasugerować różne rzeczy. Wystarczy mu jedno dotknięcie, skóra do skóry. Pewnie nawet nie zauważyłaś.

– On ma rację – powiedziała oszołomiona Esta.

Viola potrząsnęła głową.

– Nie. To niemożliwe. Tam było opium albo coś w tym rodzaju, wielka chmura w komnacie, z której zabraliśmy Księżę. Darrigan nie mógł nic zrobić. Nie zdążyłby. A moje noże nie potrzebują magii.

– Gdzie jest nóż, którego użyłaś? – chciał wiedzieć Nibs.

Viola wyjęła swój ulubiony sztylet, Libitinę, i uniosła go do światła.

– Gdzie krew?

– Powinna tu być – szepnęła Viola.

– Darrigan to iluzjonista, kretynko. Potrafi wytrzymać na jednym oddechu dłużej niż ktokolwiek z nas. Opium na niego nie podziałało, bo go nie wdychał.

– Nie... – szepnęła Viola, kręcąc głową. Jakby nie dopuszczała do siebie myśli, że tak łatwo ją oszukał, że pozwoliła mu wszystko zniszczyć.

Dolph nie żył, Zakon będzie ich ścigał, a oni nie mają Księgi.

Nibs wpijał się w nią wściekłym wzrokiem.

– W takim razie gdzie jest Księga? Gdzie są artefakty?

Viola nie знаła odpowiedzi.

Ale dla Esty ta wiadomość była jeszcze bardziej druzgocąca. Przegrała. Harte Darrigan – mag – zdobył Księżę i zniknął.

Zniknęły też artefakty. I jej kamień.

A razem z nim wszelkie szanse na to, że kiedykolwiek wróci do siebie.

Niedługo potem wszystko zaczęło się walić.

Jeszcze przed świtem cały kwartał kamienic stanął w ogniu. Straż pożarna nie przyjechała, wśród tłumu widziano za to gapiów ze znakiem gangu z Five Points. Przyglądali się z bezpiecznej odległości, przeszkadzali tym, którzy chcieli gasić ogień albo ratować swój dobytek. Ich sojusz z burmistrzem – i Zakonem – najwyraźniej się cementował.

Chronieni przez Tammany Hall członkowie gangu Kelly'ego zuchwale atakowali każdego, kto ich zdaniem mógłby im jakoś zagrozić. Dochodziło do bójek o to, że ktoś na kogoś spojrział. Częste były też uliczne strzelaniny, w których ginęły przypadkowe osoby.

Dopóki Zakon pałał żądzą odwetu, nikt w Bowery nie mógł czuć się bezpieczny.

Oczywiście wszystkie te niepokoje przedstawiano jako dowód na rosnące zagrożenie ze strony masowo napływających imigrantów. Sam Watson, opisawszy pożar w Khafre Hall, zaczął w swojej codziennej rubryce szcuć na Maginów. Twierdził, że niebezpieczni przestępcy, degeneraci i złodzieje wdzierają się do miasta i nic się z tym nie robi. A przecież skoro zdołali podnieść rękę na tak starą i zasłużoną instytucję jak Khafre Hall, mogli także zagrozić tutejszym wartościom.

Koło Herald Square panie w kapeluszach z piórami oraz panowie w białych rękawiczkach cmokali i kręcili głowami, współczując burmistrzowi, który musi stawić czoło temu zagrożeniu. Na północ od Houston mieszkańcy Manhattanu żyli normalnie, ignorując szaleństwo, które zapanowało na południu.

Lecz mieszkańcy okolic Five Points i Bowery budzili się i zasypiali w ciągłym strachu o własne życie. Wiedzieli, że to nie oni są winni tego szaleństwa. Niepokój udzielał się wszystkim.

Wszystkim z wyjątkiem Nibsy'ego Lorcana, który zdołał zająć miejsce Dolpha Saundersa z łatwością, jakiej Esta się po nim nie

spodziewała. Zaczął wydawać polecenia, kiedy ciało Dolpha wciąż jeszcze stygło na barze. Nikt mu się wtedy nie sprzeciwił. Podczas gdy reszta, przybita śmiercią bossa, zamknęła się w sobie, Nibs w ciągu jednej nocy urósł o głowę. Rozsiadał się na krześle Dolpha, jakby zawsze należało się jemu.

Zbyt szybko, pomyślała Esta. Nie mogła też przestać myśleć o słowach Harte'a – „to ma ogromny związek z nim”

Wyglądało jednak na to, że nikt inny nie odmawia Nibsy'emu prawa do schedy po szefie. Albo wszyscy byli nadal zbyt oszołomieni, żeby dać temu wyraz.

Tydzień później Nibs, Viola, Jianyu i Esta siedzieli w kuchni Stregi, z dala od pozostałych członków gangu, kiedy w drzwiach stanęło trzech chłopaków w melonikach. Esta i reszta, szykując się na coś złego, zgodnie spojrzeli w ich stronę. Najwyższy z chłopaków podszedł do Nibs'a i ruchem głowy dał mu znać, że chciałby pomówić na osobności.

Nibs odszedł z nim na bok i słuchał uważnie, z natężonym wyrazem twarzy, od czasu do czasu rozdymając gniewnie nozdrza.

– Jak to jego matka zniknęła? – fuknął na tyle głośno, że reszta obróciła głowy.

– No mówię. Powiedzieli, że ty zarządziłeś, że trzeba ją przenieść.

– Dokąd? – spytał wściekle Nibs.

– Powiedzieli, że nie wiedzą – odparł chłopak i wzruszył ramionami.

– A kto ją zabrał?

Chłopak się zawahał.

– Powiedzieli, że ty – rzekł z wyraźnym zakłopotaniem.

Viola spojrzała pytająco na Estę, która zaprzeczyła ruchem głowy. Nie wiedziała, o czym rozmawiają. Zerknęła na Jianyu, on jednak

był zbyt zajęty obserwowaniem rozmowy Nibsy'ego z chłopakiem w meloniku.

– Nic podobnego! – zakipiał z gniewu Nibs, bezwiednie podnosząc głos.

– Jeszcze jedno – powiedział tamten. Stał w takiej pozie, jakby szykował się do zrobienia uniku.

– Co? – Nibs ciężko dyszał.

Chłopak wyjął złożoną kartkę.

– Powiedzieli, że mam ci to dać.

Nibs wyrwał mu kartkę gwałtownym ruchem, aż chłopak odskoczył.

– Precz! – rzucił.

Począł, aż tamci trzej wyjdą, i dopiero wtedy ją rozłożył.

Jianyu i Viola wyprostowali się na krzesłach.

– Co to? – spytała Viola, zaniepokojona miną Nibsy'ego.

Bez słowa podał jej kartkę.

Była to ulotka reklamowa. Obwieszczano w niej tłustymi drukowanymi literami, że wspaniała Harte Darrigan spróbuje dokonać niemożliwego, czyli oszukać śmierć, skacząc z brooklińskiego mostu. Na rysunku przedstawiającym most widniała odręczna wiadomość skreślona znajomo wyglądającym pismem: „Jeśli chcecie Księgę, przyprowadźcie mi dziewczynę”

– Wygląda na to, że Harte Darrigan wcale nie jest martwy. Przynajmniej na razie – oznajmił Nibs, krzyżując wzrok z Violą, gdy ta podniosła oczy znad ulotki. – Ale czegoś tu nie rozumiem – dodał zapatrzonego w przestrzeń. Myślał. Łączył fakty. Potem przeniósł wzrok na Estę. – Nie mogę uwierzyć, że nie uprzedził cię o swoich planach.

Esta wzmogła czujność. Nibs od dwóch dni jej się przyglądał. Jak gdyby dostrzegł w niej coś, co mu się nie podobało. Dziwnie się

czuła, kiedy go na tym przyłapywała.

– Wykorzystał mnie tak jak wszystkich – odparła ostrożnie. – Ta niby zażyłość między nami to też była gra z jego strony.

– Nie... – Nibs wpatrywał się w nią z nieprzeniknionym wyrazem w oczach. – Nie wydaje mi się. Coś dla niego znaczyłaś.

Zaśmiała się zimno, wkładając w ten chłodny wybuch całą swoją pogardę.

– Zapewniam cię, że nic dla niego nie znaczyłam. Zapomniałeś już, jak bez ostrzeżenia zostawił mnie samą na scenie?

– To twoja wersja – odrzekł cicho Nibs.

– Bo tak było – zaznaczyła. – Zostawił mnie na sali pełnej członków Zakonu. Gdyby nie Jianyu, nie wyszłabym stamtąd do dziś.

Nibs prychnął.

– Ona mówi prawdę – wstawił się za nią Jianyu. – Darrigan zostawił ją bezbronną. Nie mógł wiedzieć, że tam będę. To był pomysł Dolpha.

To kłamstwo, tak gładko przez niego wypowiedziane, tylko na sekundę odebrało jej mowę.

– Widzisz? – podchwyciła zaraz. Musiała się powstrzymać, żeby nie zerknąć na Jianyu. – Jeżeli o mnie chodzi, Harte Darrigan może iść do diabła.

To akurat było prawdą.

Zostawił ją. Zdradził ich wszystkich, ale ją zostawił. Nienawidziła siebie za to, że się tym przejęła, za to, że zapomniała – choćby na moment – po co przybyła do tego miasta. Ale to nie koniec. Będzie miała jeszcze jedną szansę, żeby zapobiec zniszczeniu Księgi. Jeszcze jedną szansę, żeby uratować ich wszystkich.

I tym razem nie przegra.



# TA OSTATNIA NOC

## *Port*

**G**dy noc spowiła już miasto, Harte patrzył, jak statek z artefaktami Zakonu wypływa z wyłączonymi silnikami na wody portu. Dopiero w pewnej odległości od brzegu w ogromnych kotłach zapłonął ogień i przysadzista sylweta przyspieszyła, torując sobie drogę wśród gwiazd odbitych w ciemnej wodzie. Harte poczekał, aż statek stanie się zaledwie kropką na horyzoncie. Teraz wiedział już na pewno, że jemu nigdy nie będzie dana podobna podróż, nigdy się nie przekona, co kryją inne lądy.

Ostrzegając go, Nibs Lorcan popełnił błąd. Choć kosztowało to Harte'a trochę wysiłku – musiał się z tym ukrywać przed Estą – to jednak w dniach poprzedzających skok udało mu się za pomocą szeleszczących argumentów ustalić miejsce pobytu matki. Zawsze to łatwiej, kiedy ma się przekonujący uścisk dłoni.

Później, kiedy już wiedział, że jest trzymana w zatęchłej piwnicy burdelu obok portu, czekanie było męką, ale zdawał sobie sprawę z jednego – nie może tak po prostu jej stamtąd zabrać. Nibs, gdyby się dowiedział, że nie ma już czym go szantażować, nie dopuściłby Harte'a w pobliże Khafre Hall ani Księgi. Co innego po skoku, kiedy stracił nad nim wszelką władzę.

Lecz gdy Harte wreszcie przyszedł uratować matkę, była już tak ciężko uzależniona od opium, że zważył, czy kiedykolwiek wyjdzie z nałogu. Mimo to wyciągnął ją stamtąd, zgodnie z obietnicą. Wręczając prowadzącej burdel starszej parze plik banknotów, musiał tylko musnąć ich dłonie. Pewnie nawet nie zauważyli, tak bardzo byli skupieni na pieniądzu, w każdym razie chwilę później w ogóle go już nie pamiętali.

A teraz, kiedy matka była względnie bezpieczna, musiał się zająć paroma innymi rzeczami.

Przez dwa dni obserwował magazyn Jacka. Ponieważ w tym czasie nie pojawił się tam ani Jack, ani nikt inny, Harte w końcu stwierdził, że może zaryzykować włamanie. Nie mógł doprowadzić swojego planu do końca, dopóki nie zniszczy maszyny i projektu kolejnej. Może i okazał się dwulicowym draniem, może i wiódł życie pełne obłudy, ale nie był aż tak podły, żeby machnąć ręką na ten upiorny wynalazek. Zbyt dobrze zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie ta machina stanowiła dla setek, jeśli nie tysięcy niewinnych ludzi.

Wiedział, że nie zdoła w ten sposób powstrzymać Jacka na zawsze, ale przynajmniej go spowolni. A kto wie, czy dla reszty to nie będzie szansa, by nawiązać walkę. Zwłaszcza po zniknięciu jego i Księgi.

Najpierw maszyna.

Klucz francuski, który ciążył mu w kieszeni, powinien wystarczyć. Harte zniszczy wynalazek Jacka i puści całe to miejsce z dymem.

A potem Esta. Wszystko jej wytłumaczy.

Gdzieś za nim, koło jednego z niskich budynków, poruszył się cień. Harte zeszywniał. Niemożliwe, żeby ktoś wiedział, że tu jest. Zachował najwyższą ostrożność, starannie zacierał wszystkie ślady. A jednak. Ktoś go śledził.

– Kto tam? – zawołał, lecz odpowiedział mu tylko chlupot wody o nabrzeże. – Wiem, że ktoś tam jest.

Czekał, nasłuchując. Nadal czuł się obserwowany.

– Jeśli zamierzasz mnie zabić, odradzam. Jak zginę, nigdy się nie dowiecie, gdzie schowałem rzeczy, na których wam zależy – powiedział w ciemność, nie wiedząc, czy ma do czynienia z kimś od Dolpha, czy z wysłannikiem Zakonu, i niespecjalnie o to dbając.

Niech robią, co chcą. Mówił prawdę – bez jego pomocy nigdy nie odnajdą Księgi ani tych dziwnych artefaktów. Zbyt dobrze je ukrył.

– Pokaż się! – zawołał z dłońią zaciśniętą na kluczu w kieszeni. Jakby mógł się z nim czuć bezpieczny.

W snopie księżycowego światła stanął Jianyu. Może należało się cieszyć, że nie Viola, lecz Harte i tak dostał gęsiej skórki.

Wszystko wyjaśnię, chciał powiedzieć. Ale tego nie zrobił. Te ciemności nad brzegiem rzeki to nie było miejsce na prośby ani tłumaczenia. Wyprostował tylko nieco plecy.

– Dolph cię przysłał? – spytał z udawaną pewnością siebie.

– Dolph nie żyje – odparł Jianyu ponurym tonem, który zaświadczał o prawdziwości jego słów.

– Tak słyszałem – przyznał Harte. Nie chciał w to jednak uwierzyć.

– Dostał kulę w plecy nad grobem Leeny – dodał Jianyu niepytany. W jego zazwyczaj spokojnym głosie prawie słyszało się ból i gniew. – Tamtego wieczoru, kiedy nas zdradziłeś.

– Nie zdradziłem Dolpha – odparł Harte. – Mielśmy umowę i dotrzymałem słowa. – Lecz wiedział, że odkąd rozeszła się wieść o śmierci Saundersa, wszystko zmierzało w złym kierunku.

– To gdzie jest Księga?

– W bezpiecznym miejscu.

Kąciki ust Jianyu opadły.

– U mnie byłaby bezpieczniejsza.

– Gdyby była u ciebie, trafiłaby w ręce Nibsa i wszyscy mielibyśmy przechlapane.

Jianyu nic nie odpowiedział, tylko dalej przyglądał mu się z niewielkiej odległości.

– Nie zabiłem Dolpha – rzekł w końcu Harte.

– Gdybym uważał inaczej, już byś nie żył.

Spokój Jianyu wydał się Harte'owi podejrzany.

– Skoro nie przyszedłeś mnie zabić, to co tu robisz?

– Jestem tutaj, bo Dolph nie żyje. – Obrzucił Harte'a nieprzeniknionym spojrzeniem i zrobił krok naprzód. – A co będzie dalej... to już od ciebie zależy.

# DO DWÓCH RAZY SZTUKA

## *Mieszkanie Jacka*

**W**iadomość zastała Jacka Grew, kiedy pakował ostatnie walizki. Godzinę później miał być już w pociągu do Cleveland, gdzie czekała na niego trzeciorzędna posada w rafinerii nad jeziorem Erie. Ale wiadomość wszystko zmieniła. A przynajmniej wstrzymała na pewien czas.

Jack trzymał się tego złożonego karteluszką jak tonący liny.

Nie żeby ufał Darriganowi. Nie, drugi raz nie da się oszukać temu szarlatanowi.

Córka barona von Filosik? Dobre sobie. Kiedy ona i Darrigan występowali w Khafre Hall, jego ludzie przeszukali mieszkanie Darrigana i nie znaleźli tam ani kufra, ani niczego, co by wskazywało, że dziewczyna faktycznie jest tym, za kogo się podaje. Ta ruda miała rację. Dał im się ograć, ale teraz Darrigan mu za to zapłaci.

„Mam dla Ciebie Księżę. Przyjdź sam” – brzmiała wiadomość.

Niedoczekanie.

Kiedy nazajutrz wczesnym rankiem powóz Jacka zatrzymał się u podnóża mostu, w tym samym kierunku zmierzał strumień ludzi. Wyglądało na to, że przeprawa została zamknięta dla ruchu kołowego, więc Jack zatrzymał przechodnia i spytał, dokąd wszyscy

idą. Mężczyzna zdawał się nie rozumieć pytania, lecz wręczył mu zmiętą ulotkę.

Wśród zagieć i tłustych plam Jack dojrzał rysunek mostu i uśmiechniętą twarz Harte'a Darrigana.

Nie powinien go dziwić ten cyrk, zważywszy na to, z kim miał do czynienia. Ale jeśli Darrigan sądził, że zbije go w ten sposób z tropu, to się grubo mylił. Jack wyciągnął naukę ze swoich błędów i teraz to Darrigan dostanie od niego lekcję.

Powiedział o wiadomości stryjowi, a ten oczywiście powiadomił Wysokiego Princepsa. Od tamtej chwili sprawę przejął Zakon.

Jack spojrział przez ramię na rząd budynków przy nabrzeżu. W oknie na trzecim piętrze pobłyskiwał niewyraźnie celownik snajpera. Jeżeli cokolwiek pójdzie nie tak, Zakon nie pozwoli Darriganowi uciec. Jeśli spróbuje wrócić do miasta, zginie. Jeśli spróbuje przedrzeć się na dziki Brooklyn, patrole Zakonu będą tam na niego czekały. A jeśli sam Jack znajdzie się na linii ognia... Wysoki Princeps dał mu do zrozumienia, że nikt nie będzie po nim płakał.

Stłumił przenikający go dreszcz.

Nic takiego się nie wydarzy. Jeżeli ktoś zabije tego żalosego magika, tym kimś będzie on.

Jack wszedł z tłumem na most i piął się w górę, ponad linią brzegu, w stronę wyniosłych wieżyc. Szedł prawą stroną, tam gdzie zwykle jeździły tramwaje. Im dłużej maszerował, tym bardziej tłum gęstniał, lecz nie było to wytworne towarzystwo, jakie znał z Broadwayu. Zewsząd atakował go wielojęzyczny zgiełk. Ordynarne, gardłowe głosy zlewały się w nieznośny gwar, w którym to on, Jack Grew, czuł się jak obcy.

To jeszcze bardziej podsycalo w nim złość. W końcu jego rodzina praktycznie zbudowała to miasto.

Przede wszystkim jednak w takim tłumie trudniej będzie Zakonowi rozprawić się z Darriganem. Jack nasunął rondo kapelusza nisko na czoło i ruszył ku wysokim łukom pierwszej wieży. Gawieź się tam zatrzymała, zbieranina ludzi odzianych w krzykliwe satyny i tafty, obnoszących się ze swoim złym gustem, ludzi kupujących gotowe ubrania, które były modne trzy sezony temu. A pośrodku tego ludzkiego żywiołu, nieruchomy jak skała wśród bystrego nurtu, stał mag.

# OSTATECZNA ROZGRYWKA

## *Most Brookliński*

Trudno udawać spokój z przystawioną do pleców lufą, lecz Esta starała się, jak mogła. Nie była w stanie użyć daru, przynajmniej dopóki wielki chłopak trzymał ją mocno za ramię, ale mogła wykorzystać inną magię, której nauczył ją profesor Lachlan, kiedy była jeszcze dzieckiem. „Kluczem do sukcesu każdego oszusta jest pewność siebie. Jak ludzie zobaczą, że pocisz się z nerwów, będzie po tobie”

Poranny wiatr przybrał na sile, gdy zbliżali się do łuków pierwszej wieży, która trzymała w górze olbrzymie liny mostu. Z każdym krokiem Esta czuła rosnące zdenerwowanie członków byłej ekipy Dolpha. I nic dziwnego. Dzień był wprawdzie ciepły, ale w powietrzu wyczuwało się chłód. Zimną złowieszczą energią, która nie wróżyła nic dobrego. Tam, dokąd szli, kończył się ich świat.

Esta ostatni raz była na tym moście jako dziecko.

Teraz, w miarę zbliżania się do wieży, coraz bardziej czuła się znowu tamtą dziewczynką. Tym razem jednak nie mogła liczyć na pomoc profesora Lachlana. Uświadomiła sobie ponuro, że jeśli ktoś ją dzisiaj weźmie na ręce, to tylko martwą.

Wyprostowała plecy, ignorując dotyk lufy. Zdobędzie Księgę i kamień – lub umrze, próbując.



Chłopak przepychał się przez tłum, ciągnąc ją za sobą, a Nibs podążał ich śladem. Viola też była gdzieś w pobliżu, gotowa w razie potrzeby wkroczyć do akcji, podobnie jak Jianyu i jeszcze paru innych ludzi Dolpha. Razem zamierzali dopilnować, by wszystko poszło po ich myśli, a Harte Darrigan nie wrócił do miasta.

Przeciskali się do przodu. Każdy krok przybliżał ich do zimnych prądów energii, wieszczących śmierć i katastrofę. W końcu dotarli do miejsca, z którego widziała Harte'a. Rozgrzewał już publikę prostymi sztuczkami zręcznościowymi. Gdy spostrzegł Estę, w jego oczach mignęła jakaś emocja, której nie potrafiła odczytać – i nad którą wolała się nie zastanawiać.

– Panie i panowie – rzekł. – Widzę, że zjawiała się już moja asystentka. – Wyciągnął rękę w jej stronę, jak gdyby nigdy nic. Jakby wcale jej nie zdradził, nie porzucił w sali wypełnionej po brzegi członkami Zakonu Ortus Aurea. – Esta, skarbie? – Widząc, że stoi w miejscu, poprosił widzów, żeby zachęcili ją brawami.

Dookoła podniosły się oklaski. Esta spojrzała pytająco na Nibsa i zobaczyła na jego twarzy wahanie. Mrużył oczy, usiłując przejrzeć grę Harte'a, w końcu jednak skinął potakująco głową.

– Tylko nie próbuj żadnych numerów, jeśli ci życie miłe.

Esta miała już po uszy tych gróźb. Z ciężkim westchnieniem podeszła do Harte'a.

– Brakowało mi ciebie, kochana – oznajmił, ujmując jej rękę, po czym z teatralną przesadą złożył na niej pocałunek.

– Naprawdę? – odparła z oczami szczypiącymi od łez, które nie miały nic wspólnego z wiatrem. – Bo ja całkiem o tobie zapomniałam.

Stojący blisko widzowie na te słowa wybuchli pełnym aprobaty śmiechem.

Harte zdjął już pelerynę. Podał ją Eście, a następnie zaczął rozpinąć kamizelkę. Zanim jednak zdążył ją zdjąć, gdzieś w głębi tłumu zapanowało zamieszanie. Wśród nerwowego szmeru ktoś przeciskał się do przodu z bronią w ręku.

Harte nie stracił rezonu. Przywitał Jacka Grew swoim najbardziej promiennym uśmiechem.

– Jack! Tak się cieszę, że udało ci się przyjść.

– Oddaj mi Księgę, Darrigan! – zawołał tamten, mierząc z rewolweru prosto w jego pierś. – I artefakty.

– Dostaniesz je niebawem...

– Oddawaj Księgę! – wykrzyknął Jack, odciągając kurek. – Drugi raz nie dam ci się okpić!

Harte spoważniał na twarzy.

– Musisz się uzbroić w cierpliwość, Jack. Jeśli mnie zastrzelisz, nie dostaniesz tego, po co przyszedłeś. Proponuję, żebyś opuścił broń i...

Esta miała wrażenie, jakby to się działo jednocześnie. Stała na moście i stała w korytarzu domu Schwaba. Widziała broń wycelowaną w Harte'a i patrzyła, jak Logan wykrwawia się na podłodze. Dwa miejsca, dwa punkty w czasie, jeden zabójca. Jedna śmiertelna broń.

Chwyliła Harte'a i spowolniła czas dokładnie w chwili, w której rewolwer wystrzelił, a pocisk rozpoczął wędrówkę po zabójczym torze. Podnosząc wzrok, zobaczyła, jak przelatuje tuż obok nich, tak blisko, że poczuli jego ciepło.

– A podobno się nie stęskniłaś? – powiedział Harte tuż przy jej uchu.

Zdała sobie sprawę, że przywarła do niego mocniej, niż to było konieczne.

– Gdzie jest Księga? – spytała, cofając się przed wonią pomarańczy i mydła, ale go nie puszczając.

– Tam. – Wskazał swoją pelerynę, którą trzymała w ręku. – Twoja bransoletka też.

– Moja bransoletka... – Estę zatkało.

– Ta, którą mi pokazałaś. Na której tak ci zależało.

Dookoła panowała cisza.

– A cała reszta?

– Daleko – odparł, odgarniając jej kosmyk włosów z oka. – Wczoraj wieczorem wysłałem je w długą podróż. Teraz różne pociągi wiozą je do miejsc, których nigdy nie odwiedzę.

Zacisnęła palce na jedwabiu peleryny.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Nie mogłem pozwolić, żeby trafiły w ręce Zakonu. Albo Nibsa.

– Nibsas? – zdziwiła się. Gadał bez sensu.

– On wszystko zaplanował. Śmierć Leeny, starania Dolpha o Księgę, nawet ciebie... – Harte zacisnął usta. – To on zabił Dolpha.

– Niemożliwe. – Pokręciła głową. – Dolph zginął wieczorem w dniu skoku. Nibs był wtedy z nami.

– Czyżby? – odparł sucho Harte. – Skąd wiesz, że przez cały czas na was czekał?

– Nie mogę uwierzyć w to, że... – Esta przerwała w pół zdania.

To by tłumaczyło, dlaczego ostatnie dni w Stredze były tak napięte, dlaczego Nibs uparł się, żeby prowadzić ją pod lufą.

– Ale ty byłeś z nami w środku – zauważyła. – Skąd miałbyś wiedzieć...

– Wiem, co zamierzał – wtrącił Harte nagłym tonem. Unikał jednak jej wzroku. – Ma talent do przewidywania, co się wydarzy, ale nie przewidział, że tamtego wieczoru, kiedy policja zabrała cię do Grobowca, dostanie ode mnie fangę w nos.

Obejrzała się na Nibsas, na jego twarz zastygłą jakby w wyrazie tłumionej wściekłości, i zobaczyła go nagle w innym świetle. Była

głupia, że się nie zorientowała.

– Przez cały czas kierował Dolphem – stwierdził Harte. – A Dolph nie miał o tym pojęcia.

Esta znów pokręciła głową, jakby nie dopuszczała tego do siebie. Może kolejny raz ją okłamuje?

– Trzeba było ostrzec Dolpha – powiedziała.

– Nie mogłem – odparł Harte, spoglądając gdzieś w bok. – Nibs porwał moją matkę. Dość już się w życiu przeze mnie nacierpiła. Nie mogłem znowu jej skrzywdzić. Myślałem, że uda mi się ograć Nibsa. I wrócić po ciebie. Ale tamtego wieczoru nie wszystko ułożyło się po mojej myśli.

– Trzeba było mnie uprzedzić.

– Nie chciałem ryzykować, że Nibs się czegoś dowie. Dlatego nie mogłem cię wtajemniczyć. Zbyt wiele od tego zależało.

– Na przykład życie Dolpha?

– Nigdy nie życzyłem mu śmierci, ale stawką w tej grze było coś więcej niż życie Dolpha. I on to wiedział. Nibs nie może dostać tej Księgi. Rozumiesz, co mówię? On wcale nie chce uwolnić Maginów. On chce nimi rządzić. Wykorzystać ich – nas – przeciwko Osobnym. – Zacisnął szczękę. – Ta Księga jest niebezpieczna. To nie tak, jak myślisz. Nie tak, jak wszyscy myśleliśmy. W złych rękach stałaby się śmiercionośnym narzędziem. Nibs mógłby dzięki niej zostać najpotężniejszym Maginem w historii. Boję się myśleć, jakie by to miało konsekwencje. Nikt nie byłby bezpieczny.

– Nie mogę... – To, co przed nią odmalował, było tak przytłaczające, że aż niewiarygodne. – Dlaczego teraz? Dlaczego mówisz mi o tym, kiedy nie można już nic zrobić?

– Bo dla ciebie jeszcze nie jest za późno – odrzekł. – Oferuję ci możliwość ucieczki.

Wziął jej dłoń i umieścił w niej coś ciężkiego i gładkiego. Bransoletka z jej kamieniem. Natychmiast poczuła jego ciepło. Niezachwianą moc, która ją wołała.

– Zrób, co musisz, bylebyś uciekła i zabrała Księgę. Nie pozwól, żeby wpadła w ręce Nibsa lub Jacka. Od tego zależy wszystko. Rozumiesz? Zabierz ją tam, gdzie nie będą mogli cię ścigać.

– Ale...

– Rozumiesz? – powtórzył.

– A co z tobą? – spytała, wciąż nie pojmując, co nim kieruje, zachodząc w głowę, czy to nie część jakiejś większej gry.

– Ja i tak jestem już trupem. Ta Księga to nie jest zwykła książka. Ona jest jak żywa istota. – Wykrzywił twarz i wreszcie spojrzał Eście w oczy. Szare tęczęwki, tak dobrze jej znane, wyglądały teraz inaczej. Zdawało się jej, że widzi w nich coś więcej niż tylko własne odbicie, że w ich odmętach migoczą kolory, których nie potrafiła nazwać. – Kiedy jej dotknąłem – mówił dalej – czytałem w niej z jeszcze większą łatwością niż w człowieku. Zobaczyłem wszystko, co tam jest, i teraz noszę to w sobie. Nawet gdy uciekniesz z Księgą gdzieś, gdzie Zakon jej nie znajdzie, i tak będą mnie ścigać. – Pokręcił głową. – Wolę nie ryzykować. Kiedy zobaczą, że skoczyłem z mostu i zginąłem, nie będą mieli żadnego powodu, żeby ścigać ciebie... ani kogokolwiek. Chcesz ochronić ludzi, których chronił Dolph? To jedyny sposób. – Uśmiechnął się do niej rozdzierająco. – Cokolwiek się będzie działo, po dzisiejszym dniu wielki Harte Darrigan nieprędko zostanie zapomniany.

Estę zakłuło serce. Wiedziała, że to nieprawda. Jeśli skoczy z tego mostu, nikt nie będzie o nim pamiętał za tydzień, za miesiąc, a co dopiero po latach.

– Przynajmniej zniszczmy Krawędź – powiedziała. – Uwolnijmy wszystkich teraz, odbierzmy Zakonowi jego władzę. – Co prawda

nie na tym polegała jej misja, lecz doszła do wniosku, że profesor Lachlan by sobie tego życzył.

– Nie rozumiesz. Nikt z nas nie rozumie. Krawędź to coś więcej niż więzienie. Powstała, by c h r o n i ć magię. Jeśli zniknie, Magini nie staną się wolni. Pomyśl o Tilly: umarła w chwili, kiedy maszyna Jacka wybuchła. Zniszczenie Krawędzi miałoby podobny skutek. Cała magia przez nią wchłonięta również zostałaby zniszczona. Ucierpią wszyscy związani z tą magią. Ja, ty i każdy żyjący Magin mamy niewidzialną więź ze starą magią. Kiedy umiera jej część, w nas też coś umiera. A bez naszej magii... – Harte urwał w połowie zdania.

Zabrakło jej słów, żeby mu odpowiedzieć. Nie mogła uwierzyć w tak niedorzeczne, piramidalne kłamstwo. Krawędź nie chroniła Maginów, tylko ich zabijała.

– Chyba nie oczekujesz, że w to uwierzę.

– W takim razie powiedz mi, co ja tutaj robię? – Harte ciężko przełknął ślinę. – Gdybym dzięki Księdze mógł uciec z miasta, nie sądził, że dawno bym z tego skorzystał? Myślisz, że wolałbym być tutaj, pośrodku tego cyrku? Mogłem użyć Księgi, żeby przedostać się przez Krawędź, ale magia Księgi jest zbyt silna. Krawędź mogłaby tego nie wytrzymać. Jack wyjaśnił mi, jak powstała: metodą połączenia elementów za pomocą eteru. Zakon szukał sposobu, żeby ją powiększyć, ale powiązania z udziałem eteru są zbyt niestabilne. Może i zdołałbym się przedrzeć na drugą stronę, ale taka ilość magii pewnie spowodowałaby przeładowanie obwodu. To byłaby awaria, jakiej to miasto jeszcze nie widziało.

– Bo magia by zgasła – dopowiedziała sobie na głos Esta. Wszystko powoli układało się w sensowną całość.

– Właśnie. Gdybym wiedział, że mogę uciec, tobym uciekł. I zabrałbym cię ze sobą. Ale nie mogę ryzykować zniszczenia całego

obwodu. I dlatego nadal tu jestem: bo zniszczenie Krawędzi zagroziłoby wszelkiej magii. I wszystkim Maginom. Nie ma dla mnie ucieczki, więc liczę na ciebie, ufam, że pomożesz mi doprowadzić sprawę do końca.

Przyglądała się jego twarzy, wypatrując na tej masce jakiejś rysy, dowodu kłamstwa. Lecz w jednej kwestii mu wierzyła: gdyby istniał jakiś sposób na wydostanie się z miasta, Harte Darrigan już dawno by z niego skorzystał.

A tak się nie stało.

W dodatku teraz oddawał jej Księgę, rezygnował z jedynej rzeczy, na której od początku mu zależało. Może to ją przekonało, a może strach w jego stalowoszarych oczach.

– Gotowa?

– Nie – odparła, bo miała do niego jeszcze milion pytań. Musiał istnieć jakiś inny sposób. – Nie mogę...

Zamknął jej usta palcem.

– Miejmy to za sobą.

Wyrwał się z jej uścisku, a Esta puściła czas i świat znów pognał do przodu.

Widząc, że Harte nie upada, Jack stanął jak wryty, co pozwoliło widzom wyszarpnąć mu rewolwer z ręki. Parę minut później został aresztowany i wywleczono go, krzyczącego, z tłumu.

Gdy zrobiło się spokojnie, Harte bez pośpiechu zdjął koszulę. Mięśnie jego ramion zdradzały, jak bardzo jest spięty, a zimne powietrze pokryło mu barki gęsią skórką, lecz wzrok miał chłodny i opanowany.

– Buziak na szczęście, skarbie? – rzekł z wyrazem determinacji w szarych oczach.

Widzowie zaczęli ochoczo gwizdać i Esta nie mogła odmówić. Pozwoliła mu przylgnąć ustami do swoich ust, ale nie był to

pocałunek, jakiego pragnęła tamtego wieczoru u niego w mieszkaniu. Wargi miał zimne, jakby woda pod mostem już go pochłonęła. Musnęły ją obojętnie, z rezygnacją.

Nie była pewna, czy mu ufa, ale czy mogła pozwolić mu zginąć?

Mogę go zabrać ze sobą, przemknęło jej przez myśl. Do diabła z wszystkimi, którzy zobaczą ich wspólne zniknięcie.

Lecz odsunął się od niej za szybko i okazja przepadła.

Wspiął się z animuszem na barierkę. Powiódł oczami po tłumie, a potem spojrzał ku miastu i Esta miała wrażenie, że widzi na jego twarzy cień żalu.

Spomiędzy gapiów wypadł Nibs.

– Zatrzymać go! – zawołał.

Paru chłopaków Dolpha zbliżyło się do balustrady, ale zanim zdążyli podejść do Harte'a, zjawiała się policja. W tłumie powstało zamieszanie, ludzie pierzchali na wszystkie strony, uciekając jak najdalej od uniesionych pałek i wściekłych gwizdków. Estę odepchnięto od barierki i od Harte'a.

Nie mogła go już powstrzymać. Uratowała Księgę, ale nie jego.

Harte spojrzał w jej stronę. „Idź!” – zawołał bezgłośnie, a powietrze wokół niego jakby zadrżało, kiedy w oślepiającym błysku słońca puścił linę i spadł.

Serce na moment jej stanęło.

Za późno.

Dopadła do barierki i spojrzała w dół. Zniknął bez śladu. Wypatrywała go na powierzchni wody, ale choć za jej plecami zrobiło się kotłowisko, rzeka płynęła spokojnie, chłodna i skryta jak mogiła.

Esta nie widziała nadchodzącego Nibs'a. Była w szoku, z trudem oddychała. Kiedy jednak przycisnęła do siebie pelerynę Harte'a, poczuła twarde kant Księgi. Dłoń miała ciepłą od bransoletki.



Ostatecznie jednak jej nie zdradził. Dał jej wszystko, czego potrzebowała.

Ale zanim w pełni dotarło do niej, co się z nim stało, ktoś chwycił ją za ramię.

– I co? – spytał Nibs z bladą twarzą blisko jej twarzy. – Wiem, że ci powiedział, gdzie ją schował.

– Co? – Próbowała się uwolnić, ale jego palce wpijały się w nią boleśnie.

– Mów – zażądał Nibs, przystawiając jej do brody wyciągnięty z marynarki krótki rewolwer. – Mów albo do niego dołączysz.

Nie mogła oddychać. Nie wiedziała, co się dzieje.

– Mów, co zrobił z Księgą! – krzyknął Nibs, zionąc jej w twarz gorącym, kwaśnym oddechem i naciskając zimną lufą na jej skórę.

– Ja... – Esta uświadomiła sobie, że Harte miał rację. Nie mogła oddać Księgi temu człowiekowi. Zrozumiała, że Nibs nigdy nie będzie zasługiwał na to, by posiadać tak wielką moc. Szukała gorączkowo jakiejś wymówki, jednocześnie przyciskając pelerynę do brzucha, żeby nie poczuł ukrytej w niej Księgi.

Odciągnął kurek broni, ale nie zdążył pociągnąć za spust. Zesztywniał na całym ciele i wydał z siebie jęk bólu. Upuścił rewolwer i uwolniwszy z uścisku Estę, złapał się za nogę.

Cofając się, Esta spostrzegła stojącą z boku Violę, która patrzyła z ponurym grymasem, jak Nibs wyciąga sobie z uda srebrne ostrze. Potem spojrzała na Estę, skinęła powoli głową, po czym zniknęła, rozpluwając się w tłumie, jakby nigdy jej tam nie było.

Bransoletka, którą Esta trzymała w dłoni, ciepła i nagła, sprowadziła ją na ziemię. Poddała się wpływowi Klucza Iszar, pozwoliła, by jego energia rozlała się po całym jej ciele, i znów ujrzała warstwy czasu i historii – wszystkie przyszłe chwile, w których nie będzie Harte'a Darrigana.

Nibs popatrzył na nią z nienawistnym grymasem. Podniósł rewolwer, ale za późno. Esta znalazła już warstwę, której szukała. Chwilę potem zniknęła.

# NIEBO BEZ GWIAZD

## *Teraźniejszość – most Brookliński*

**W** ostatniej chwili uskoczyła przed nadjeżdżającą ciężarówką. Zdyszana odsunęła się na brzeg jezdni. Podmuchy pędzących pojazdów rozwiewały jej włosy i podwiewały suknię. Była noc, ale blask miasta – jej miasta – rozpraszał ciemności. Zamiast turkotu drewnianych kół o bruk słyszała teraz szum samochodów, a na niebie nie widać było ani jednej gwiazdy.

Wszystko działało się tak szybko. Po wielu tygodniach spędzonych w mieście, w którym życie toczyło się w tempie dorożki, lawina aut i ludzi była prawie nie do zniesienia.

Esta wciąż miała w rękach pelerynę Harte'a, ciężką od Księgi ukrytej w jej fałdach. Gdyby nie to, że pachniała jak on, mydłem z nutą pomarańczy, wszystko byłoby w jak najlepszym porządku.

Musi się otrząsnąć. To jeszcze nie koniec jej misji.

Trzymając głowę nisko, ruszyła pieszo w długą drogę na Środkowy Manhattan, w stronę parkingu, z którego wyprawiła się w przeszłość, nieopodal Empire State Building. Dla niej minęło wiele tygodni, ale miasto wyglądało zupełnie tak samo. Letnia noc okazała się cieplejsza niż marcowy dzień, który zostawiła za sobą, i kiedy dotarła do celu, była już lekko spocona od szybkiego marszu w grubej sukni.

Skręciła za róg i stanęła jak wryta. Prędko się cofnęła. Ulica, przy której rozstała się z Dakarim, była teraz ogrodzona policyjną taśmą i obserwowana przez tłumek gapiów. Czerwone odbłyски świateł radiowozów migotały w ciemnych oknach sąsiednich budynków. Z punktu, w którym stała, Esta nie widziała miejsca, gdzie upadł Dakari. Nie mogła stwierdzić, czy nadal tam jest.

Starła się wrócić do terażniejszości kilka minut po tym, jak ją opuściła – tak uczył profesor Lachlan. Musiała jednak pokonać szmat drogi z mostu. Najwyraźniej przybyła za późno. Jeżeli dopadli Dakariego... Jeżeli był ranny albo gorzej...

Musiała to naprawić. Musiała się cofnąć, żeby go uratować.

Ignorując dźwięki policyjnych syren i migoczące światła, skupiła się ponownie na warstwach czasu. Kamień w bransoletce na ramieniu był rozgrzany, lecz mimo to wertowała minuty i sekundy w poszukiwaniu chwili wystrzału. Prawie miała ją przed oczami – błyski radiowozów przygasły, syreny umilkły, zrobiło się cicho jak w noc, kiedy wyruszała.

Lecz gdy namierzyła ten moment, ogarnęło ją to samo złe przeczucie co tamtego wieczoru sprzed kilku tygodni. Gorący kamień palił jej skórę, jakby chciał ją ostrzec. Tak jak wtedy.

Coś jest nie tak.

Nabrała głęboko powietrza, starając się zapanować nad strachem i prześlizgnąć do sekund poprzedzających napaść na Dakariego, lecz tym razem umiejętności ją zawiodły. Czas jej się wymknął i terażniejszość – jasna i głośna – powróciła znienacka. Esta ze stłumionym okrzykiem, który miał coś ze szlochu, pochyliła się, żeby utrzymać równowagę. Serce jej waliło i mimo ciepłej nocy, mimo gorącego dotyku kamienia, poczuła ziąb na skórze.

– Nie – szepnęła, jakby dźwięk własnego głosu mógł jej pomóc w przewyciężeniu strachu. Lecz był to głos drżący i niepewny.

To, że drugi raz czuła się tak samo, nie mogło być przypadkiem, ale nie wiedziała, czy ma to związek z tą konkretną chwilą, z kamieniem czy może jeszcze z czymś innym. Wiedziała tylko, że od niej zależy życie Dakariego. Dla niego musiała spróbować jeszcze raz. Zanim jednak zdążyła to zrobić, ktoś chwycił ją za ramię i pociągnął do tyłu, zakrywając jej usta, żeby stłumić okrzyk zaskoczenia.

– Cśśś – zabrzmiał przy uchu znajomy głos. – Zaraz cię puszcze, ale musisz być cicho.

Obróciła głowę i ujrzała Dakariego, ale zdołała tylko poruszać niemo ustami.

– Jak ty się... – wyjąkała wreszcie i znów zabrakło jej słów. Mimo ogromnej ulgi, jaką poczuła, widząc go całego, nie mogła zrozumieć, co się dzieje.

Dakari rozdarł koszulę, odsłaniając wgniecioną kamizelkę kuloodporną.

– Jestem zawsze przygotowany. – Z grymasem bólu rozmasował sobie klatkę piersiową. – Chociaż po tych kulach będę miał siniaki – dodał.

Esta spostrzegła krew na jego spodniach.

– Dakari, twoja noga.

– Wiem, ale musiałem na ciebie poczekać. Teraz lepiej stąd spadajmy. – W oddali słychać już było odbijający się od ścian budynków ryk następnej syreny. – Chodź. Ty prowadzisz. Może zrobisz coś z czasem, tak jak potrafisz, żebyśmy byli szybciej?

Złapała rzucone przez niego kluczyki.

– Dobra – zgodziła się. Ogromne uczucie ulgi prawie zatykało jej dech w piersi. On żyje, pomyślała, spowalniając sekundy. Miasto ucichło. – Myślałam, że cię zabili – powiedziała, pomagając Dakariemu wsiąść do samochodu.

– Nie tak łatwo mnie zabić. – Jeszcze raz poklepał się po kamizelce kuloodpornej i krzywiąc boleśnie twarz, usadowił się z tyłu z wyprostowaną ranną nogą.

Esta usiadła za kierownicą i spojrzała w lusterko wsteczne.

– Co to byli za ludzie?

Po jego twarzy przemknął cień.

– Kto ich tam wie? – odparł, ale kiedy to mówił, nie patrzył jej w oczy. – Jak długo cię nie było? – spytał, oglądając swoją nogę, podczas gdy Esta włączyła silnik i ruszyła przez nieruchome miasto, zastygłe jak na żywym obrazie.

– Kilka tygodni – powiedziała i nagle dotarło do niej z całą mocą, że wszyscy tamci ludzie już nie żyją. Cokolwiek się wydarzyło na moście, od tamtego czasu minęło ponad sto lat. Jianyu, Viola i reszta ekipy ze Stregi, wszyscy oni dawno obrócili się w proch. Już nigdy nie będzie jej dane się z nimi pożegnać.

– Udało się? – spytał Dakari, przyglądając się uważnie jej odbiciu w lusterku.

Pokiwała twierdząco głową i zalała ją fala tak potężnej ulgi, że sama się zdziwiła. Czyżby myślała, że się nie uda?

– Profesor będzie zadowolony.

– Może – odparła.

– Jak to? – Dakari nastroszył brwi.

– Chyba nie da się zniszczyć Krawędzi – wyjaśniła, przypominając sobie wszystko, co jej powiedział Harte. – A nawet gdyby się dało... nie powinniśmy.

– Chyba nie mówisz poważnie – obruszył się.

– Sama już nie wiem. Muszę porozmawiać z profesorem Lachlanem. On będzie wiedział, co robić.

Przez długą chwilę jechali w milczeniu.

– Masz rację, Es – odezwał się w końcu Dakari. – Wróciłaś z trudnej misji. Może musisz ochłonać. Jedźmy do bazy, tam porozmawiamy. – Nie powiedział już nic więcej, ale przez całą drogę zerkał niespokojnie przez ramię.

Budynek przy Orchard Street wyglądał dokładnie tak samo jak przed paroma tygodniami, ale dlaczego miałyby się zmienić? Z punktu widzenia współczesnych nie było Esty raptem kilka minut. Popatrzyła na ciemne cegły innym wzrokiem. Była to stara kamienica; na mrocznej ulicy, rozświetlonej głównie blaskiem księżyca, wyglądała zapewne podobnie jak przed stu laty. Esta wyobraziła sobie, że idzie do położonej cztery przecznice dalej Elizabeth Street i wchodzi tylnymi drzwiami do Stregi. Przez chwilę wyobrażała sobie nawet, że ludzie, których tam poznała, wcale nie są martwi.

Dakari otworzył drzwi frontowe i wszedł pierwszy do pustego holu. Ku jej wielkiej uldze wewnątrz wyglądało tak jak dawniej, zanim popełniła błąd w rezydencji Schwaba. Uznała to za dobry znak – znak, że może udało jej się naprawić to, co popsuka.

Ale nie czuła się tu jak w domu.

W budynku, który powinien kipieć życiem, panowała nienaturalna cisza. Brakowało krzyków dzieci, zapachów gotowania z pięciu różnych mieszkań. Odkąd pamiętała, nigdy ich tu nie było.

Otworzyły się drzwi z numerem 1A, czyli prawdziwe wejście. W środku czekał na nich Logan.

– Już wstałeś z łóżka? – zdziwiła się Esta, widząc go zdrowego. – Dobrze się czujesz?

Zmarszczył brwi.

– Dlaczego miałbym się czuć źle?

– Zostałeś postrzelony – odparła skonfundowana.

Logan zerknął w stronę Dakariego.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Esta poczuła ścisnięcie w dołku.

– Zostałeś ranny na misji u Schwaba. Kiedy stąd wychodziłam, byłeś nieprzytomny... Nie pamiętasz blondyna, który cię postrzelił? Jacka?

– Jakiego znowu blondyna? – zdziwił się Logan, patrząc na nią takim wzrokiem, jakby postradała zmysły. – Pamiętam tylko, że próbowałam uratować jakąś służącą i prawie cię wyrzucili, ale nie przypominam sobie żadnego blondyna. A już na pewno nikt do mnie nie strzelał.

– Tak czy owak, cieszę się, że jesteś zdrow.

Rzucił jej kolejne zdziwione spojrzenie.

– Profesor jest na górze. Czeka na ciebie.

Dakari wszedł z nią do windy i wcisnął guzik na ostatnie piętro.

– Naprawdę był tam blondyn – powiedziała Esta, bo chciała, żeby jej uwierzył. – Logan prawie zginął. Wrócił ranny. Coś się tu zmieniło.

– Czy ja się zmieniłem?

Podniosła wzrok.

– Nie, raczej nie. Nadal tu jesteś.

– A gdzie miałbym być? – zdziwił się.

– Nigdzie – odparła. – Co z Mari?

– Pewnie siedzi w pracowni. A czemu pytasz?

Esta nie miała czasu na wyjaśnienia. Winda zatrzymała się na ostatnim piętrze i Dakari już odsuwał kratę.

Coś jednak musiałam zrobić dobrze, przemknęło jej przez myśl. Lecz trudno jej było cieszyć się zwycięstwem, gdy pomyślała o wszystkich błędach, jakie popełniła. O Harcie Darriganie stojącym na barierce mostu i wołającym do niej, żeby uciekała.



Biblioteka profesora wyglądała z grubsza tak samo, ale panował w niej większy porządek, a krzesła i stoły były inaczej ustawione. Profesor siedział w głębi z wielką lupą nad otwartą książką. Nie podniósł wzroku, choć musiał słyszeć windę. Doczytał do końca jakiś fragment, po czym zanotował coś w zeszycie.

Kiedy wreszcie spojrzął znad biurka, miał zmrużone oczy.

– Udało się?

Esta uniosła pelerynę.

– Jest tutaj.

– Świetnie. – Profesor wyciągnął rękę. – Daj mi ją.

Zawahała się. Wydał jej się inny niż wcześniej. Bardziej oschły i wymagający.

Zawsze był wymagający, przypomniała sobie. A mimo to nie mogła się pozbyć wrażenia, że coś jest nie tak. Przeszło jej przez myśl, żeby wyjąć Księgę z wewnętrznej kieszeni peleryny, tak by nie musiała wręczać mu obydwu tych rzeczy. Z jakiegoś powodu miała opory przed oddaniem w cudze ręce tej jedynej pamiątki po Harcie.

– Esto? – rzekł profesor Lachlan z wyrazem determinacji na twarzy. – Daj mi Księgę.

Dakari stanął za nią.

– No dalej, Es. Oddaj Księgę profesorowi – odezwał się cicho, ale była w tym głosie nuta chłodnej stanowczości, z jaką nigdy się do niej nie zwracał.

Speszona ich zachowaniem Esta bez dalszych dyskusji oddała pelerynę.

Profesor potrzebował chwili, aby znaleźć ukrytą kieszeń. Nie zawracał sobie jednak głowy szukaniem otworu, tylko sięgnął po nożyk. Esta musiała patrzeć, jak rozpruwa tkaninę i wyciąga z niej Księgę.

Okazała się mniejsza, niż można było sądzić po ciężarze peleryny.

– To ona? – spytała, patrząc na skromnych rozmiarów pociemniały tom.

Ale wiedziała, że to ona. Na okładce widniał symbol, który kojarzyła z obrazu w mieszkaniu Dolpha i z książki, którą jej pokazał. Nie miała wątpliwości, że ten niepozorny tomik to właśnie Ars Arcana, której tyłu pożądało i dla której tyłu zginęło.

Oczy profesora Lachlana promieniały. Ignorując jej rozczarowanie, przesunął palcami po symbolu na okładce.

– Nareszcie. Po tylu latach.

– Esta mówiła, że jej zdaniem nie powinniśmy niszczyć Krawędzi – odezwał się Dakari.

– To nie tak. Poza tym zamierzałam sama to powiedzieć. – Esta spojrzała na kamienną twarz Dakariego. Niepokój, który jej towarzyszył, odkąd przestąpiła próg tego budynku, teraz jeszcze się wzmógł.

– A co dokładnie zamierzałaś mi powiedzieć? – spytał profesor Lachlan.

– Chodzi o zniszczenie Krawędzi. Wydaje mi się, że nie możemy tego zrobić, nawet mając Księgę – oznajmiła, kołysząc się lekko na nogach. Marzyła o tym, żeby runąć na zabytkową kanapę i wszystko mu opowiedzieć, ale czuła, że nie byłaby w stanie całkiem się odprężyć.

– Dlaczego tak uważasz?

– Powiedział mi to Harte... to znaczy mag, kiedy oddawał mi Księgę. Twierdził, że zniszczenie Krawędzi mogłoby zniszczyć magię.

Profesor nie wydawał się zadowolony.

– A ty w to uwierzyłaś?

– Nie wiem – odparła szczerze. – Ale myślę, że powinniśmy postępować ostrożnie. Upewnić się, że wiemy, co robimy.

– To nie twoje zmartwienie.

– Wiem. Po prostu... Uznałam, że powinien pan wiedzieć.

Ciszę biblioteki mąciło jedynie tykanie wskazówki odmierzającej sekundy.

– Zawrócił ci w głowie.

– Nie, to nie tak – odparła Esta, lecz nie była pewna, czy to prawda.

– Przeszłaś na jego stronę – stwierdził profesor Lachlan chłodnym i lekko zde gustowanym głosem.

– Skąd. Przecież zdobyłam Księgę. Wykonałam zadanie.

Znów na długą chwilę zapadła przytłaczająca cisza.

– Oczywiście – zgodził się z nią, ale nie sprawiał wrażenia zadowolonego. – Na pewno jesteś po prostu zmęczona – dodał. – Wyczerpana. Domyślam się, że nie było łatwo. Chyba będzie najlepiej, jak pójdziesz do siebie odpocząć.

– Może – przyznała. – To był długi dzień. – Zaśmiała się cichutko. – Długi miesiąc.

– Porozmawiamy jutro – rzekł profesor Lachlan, lecz widać było, że jego uwagę zaprzęta teraz Księga, którą trzyma w rękach.

Esta zawróciła do windy. W połowie drogi spostrzegła kątem oka srebrny błysk w gablotce, której sobie nie przypominała. Wpatrywała się w nią przez chwilę, nie wiedząc, na co patrzy, aż w końcu do niej dotarło.

– To noże Violi – zwróciła się do profesora Lachlana. Widok skrzyżowanych wąskich sztyletów przyprawił ją o skurcz żołądka. Na obu ostrzach widniała charakterystyczna litera V. – Skąd pan je ma?

– Słucham? – odparł profesor.

Podeszła do gablotki, żeby im się przyjrzeć.

– Jakim cudem się tu znalazły?

– Mam je od bardzo dawna – rzekł. – Nie pamiętasz ich? – Skinął głową na Dakariego. – Może odprowadzisz Estę do pokoju?

– Nic mi nie jest – zapewniła, lecz Dakari już przy niej stał.

– Przykro mi, Es – rzekł z wyrazem smutku w łagodnych ciemnych oczach.

– Słucham? – Esta nie wiedziała, o co mu chodzi. Zanim się zorientowała, co się dzieje, Dakari przygarnął ją do siebie i poczuła ukłucie w biceps. – Dakari?

Spojrzała jeszcze na strzykawkę tkwiącą w jej ramieniu, ale język już się jej plątał, a chwilę później pociemniało jej przed oczami.

## STARY PRZYJACIEL

**K**iedy Esta się ocknęła, głowa pękała jej z bólu. Otwierając powoli oczy, zobaczyła, że leży na podłodze w pokoju bez okien. Wciąż miała na sobie gorset z długą spódnicą, jej ubranie z przeszłości, toteż w pierwszej chwili pomyślała, że to był tylko zły sen. Że nadal znajduje się w swoim wąskim pokoju nad Stregą. Dopiero wycie odległej syreny uświadomiło jej, że nie jest już u Dolpha i reszty. Była w domu, a ból w ramieniu i mgła otępienia przypomniały jej o ukłuciu igłą. Nie takiego powitania oczekiwała. Jej świat stanął na głowie.

Nie była pewna, co to za pokój ani czy w ogóle znajduje się nadal w kamienicy profesora Lachlana. Wstała i choć kręciło jej się w głowie, zaczęła przesuwając się po omacku wzdłuż ścian w poszukiwaniu drzwi. Obeszła tak trzy kąty, zanim trafiła na dwie wąskie szczeliny, ale w miejscu, w którym należało spodziewać się klamki lub zamka, znalazła tylko gładką metalową płytkę.

Szukała długo, ale nie odkryła takiego miejsca, gdzie dałoby się wetknąć wytrych albo podważyć zawias. Była to cela zaprojektowana z myślą o złodzieju.

Cela zaprojektowana z myślą o niej.

Wreszcie po kilkudziesięciu minutach, a może kilku godzinach – całkiem straciła rachubę czasu – zza ściany dobiegły ją czyjeś głosy. Odsunęła się od drzwi, próbując się skoncentrować i spowolnić upływ sekund. Ale czas jej się wymykał – nie mogła znaleźć w nim żadnych szczelin. Czuła się tak, jak wcześniej w piwnicy Słomianego

Targu – nie mogła użyć daru i znów była zdana na cudzą łaskę i niełaskę.

W ścianie pojawił się jasny otwór i Esta zamruwała, osłaniając oczy od światła z korytarza.

– Chodź, Es.

– Dakari? To ty? – Chciała, żeby to był on, i zarazem nie wiedziała, czy może mu dalej ufać.

Chwilę później postawił ją na wciąż chwiejnych nogach i wyprowadził z celi.

– Co się dzieje? – zapytała. Nie doczekawszy się odpowiedzi, próbowała mu się wyrwać. – Dokąd idziemy?

Trzymał ją mocno i milczał, trochę ją prowadząc, a trochę wlokąc w stronę windy.

– Dlaczego tak się zachowujesz, Dakari? To ja. Przecież mnie znasz.

– Gdyby miała jego nóż, może zdołałaby mu przemówić do sumienia. Niestety, zaginął w przeszłości, a jej przyszłość rysowała się w coraz ciemniejszych barwach. – Proszę – spróbowała znowu.

Nie patrząc na nią, Dakari wepchnął ją delikatnie do windy. Nie puszczał jej ani na chwilę, gdy kabina pięła się z łoskotem w górę.

– Po prostu odpowiedz mu na pytania i rób, co ci każe. Wszystko jeszcze może być po staremu.

Lecz Esta bardzo w to wątpiła. Zbyt wiele się zmieniło.

Kiedy winda się zatrzymała, Dakari wprowadził ją do biblioteki.

Na dworze było ciemno, ale nie wiedziała, jak długo leżała nieprzytomna ani ile czasu spędziła w celi bez okien. W pomieszczeniu nie paliło się żadne światło poza małą stołową lampką, przy której profesor z wyrazem skupienia i powagi studiował Księgę. Obok na stole leżało w równym rzędzie pięć artefaktów.

Słyszając, że nadchodzą, podniósł wzrok.

– Czujesz się lepiej?

– Odurzyliscie mnie czymś i zamknęliście w celi bez drzwi – odparła, wiedząc, że mu się naraża. – Czym sobie na to zasłużyłam? Przecież wróciłam z Księgą.

– Bredziłaś też o tym, że Krawędź jest niezniszczalna.

– Chciałam pana tylko ostrzec.

– A skąd wzięłaś te informacje?

– Od Harte'a – przyznała, zdając sobie sprawę, że to nie poprawi jej sytuacji.

– Oczywiście, że od niego. Bo nabrałaś do niego zaufania, prawda? Właśnie tego się obawiałem. I dlatego dałem ci dodatkowy powód, żebyś wróciła.

– Dodatkowy powód?

Profesor Lachlan nawet nie mrugnął okiem.

– Jesteś impulsywna i zarazem przewidywalna. Wiedziałem, że jeśli uwierzysz, że Dakariemu grozi niebezpieczeństwo, wrócisz do nas bez względu na to, jak bardzo się zżyjesz z ludźmi z przeszłości.

Zrobiło jej się słabo nie od tego, co jej wstrzyknięto, ale od wspomnienia tamtej chwili, gdy Dakari wstrząsnął się gwałtownie, trafiony kulą. Miał kamizelkę, ale tamte naboje nie były ślepe. Rozdarły mu nogę.

– Przecież mógł zginąć!

– Jego życie ani przez chwilę nie było zagrożone – odparł lekceważąco profesor.

Esta spojrzała na Dakariego, ale twarz jej starego przyjaciela miała wyraz nieprzeniknionej obojętności. Jeżeli ta wiadomość zaskoczyła go lub dotknęła, nie dał tego po sobie poznać.

– Zaryzykował pan życie Dakariego, bo mi pan nie ufał? – nie ustępowała.

– Nikomu bym nie zaufał w tak ważnej sprawie, a zwłaszcza tobie, znając twoją impulsywność. Tak, miałem obawy, że dasz się przekabacić Dolphowi Saundersowi albo nawet Darriganowi. Bałem się, że spojrzysz w te jego ładne szare oczka, wysłuchasz rzewnej historii o dzieciństwie bez ojca i matki i postanowisz dać mu szansę. Wolałem się zabezpieczyć. Dałem ci powód, żebyś wróciła. – Wpatrywał się w nią, dysząc przez szeroko rozdęte nozdrza.

Estę nagle coś tknęło.

– Skąd pan wiedział, że miał szare oczy? – spytała z dreszczem niepokoju.

– Co? – Twarz profesora Lachlana zmarszczył grymas irytacji.

– Harte Darrigan. Skąd pan wiedział, jakiego koloru miał oczy? Nie mógł pan tego zobaczyć na starych zdjęciach.

Na chwilę zrzędlą mu mina, jakby zdał sobie sprawę z potknięcia, zaraz jednak na jego ustach zakwitł delikatny uśmiech.

– Zawsze byłaś zbyt spostrzegawcza.

– Zawsze pan powtarzał, że dlatego jestem dobrą złodziejką.

– Bo to prawda. Niestety, z tego samego powodu mam z tobą problem. – Profesor Lachlan zwrócił się do Dakariego: – Gdybyś zechciał ją unieruchomić, dalej poradzę sobie sam.

Wiedziała, że ją to czeka, lecz i tak nie mogła uwierzyć. Dakari posadził ją na krzesło i skrępował jej ręce i nogi sznurem.

– Powiedz mu prawdę, Es. Jeśli nadal jesteś po naszej stronie, wszystko będzie dobrze.

– Dakari? – zaczęła błagalnym tonem, ale nic to nie dało.

Jej przyjaciel szedł już do windy.



– Tak naprawdę w ogóle nie miałaś wracać. To wszystko nie byłoby konieczne, gdybyś zrobiła to, co powinnaś była zrobić. Gdybyś wtedy na moście oddała mi Księgę...

Esta odwróciła się z powrotem do profesora Lachlana.

– Jak miałam panu oddać Księgę? To było sto lat temu.

Profesor Lachlan przez chwilę milczał, ale w wyrazie jego twarzy było coś takiego, co sprawiło, że Estę przeszły ciarki.

– Może jednak wcale nie jesteś taka spostrzegawcza. Nie poznajesz mnie, prawda? – Zmarszczył brwi. – Naprawdę aż tak się zmieniłem?

– Wygląda pan tak samo jak ostatnim razem, kiedy się widzieliśmy – odparła skonfundowana.

– Kilka tygodni i całe życie. Zabawne, jak niewielka bywa różnica między jednym a drugim. Nie myliłem się co do ciebie. Ani wtedy, ani później.

Esta dopiero teraz dostrzegła to, co powinna dostrzec już dawno.

– Nie... – Zmienił się przez lata, ale za starczymi plamami i zmarszczkami, za kępką rzednących białych włosów dojrzała chłopaka, którym był kiedyś. – Nibs? – wyszeptała.

– Nigdy nie lubiłem tego imienia – odrzekł.

– Nie wierzę. Pan nie może nim być. To niemożliwe.

– Nieprawdopodobne, ale możliwe. Czym jest sto lat, gdy ma się takich uzdrowicieli jak Dakari? – Profesor Lachlan patrzył na nią surowo. – Czym jest sto lat, gdy człowiek czeka na ziszczenie się jego planów? Jestem cierpliwy, Esto. Na tyle mnie znasz.

– Zabiłeś Dolpha. On ci zaufał, a ty go zabiłeś. – Pokręciła głową.

– Nie rozumiem. Dolph chciał zniszczyć Krawędź. Chciał pokonać Zakon. Byliście po jednej stronie. Nie miałaś powodu go zabijać.

Profesor Lachlan – Nibs – wykrzywił drwiąco usta.

– Dolph uroił sobie, że zniszczy Krawędź i uwolni wszystkich Maginów. Ale do czego by to doprowadziło? Do wojny z Osobnymi, w której nie mielibyśmy szans na zwycięstwo. Bylibyśmy za słabi... zwłaszcza z Księgą w jego rękach.

– Lepiej w jego niż w twoich.

– Jemu się wydawało, że potrzebujemy Księgi do odzyskania wolności, jak gdyby Księga Tajemnic, najstarszy i najcenniejszy zabytek magii, była jakimś zwykłym zbiorem zaklęć do odczyniania złych czarów. – Profesor Lachlan prychnął. – Nigdy nie był mistrzem łaciny. Opacznie zrozumiał wiadomość od Leeny. Wiem, co mówię, bo sama mi wyjaśniła jej sens, kiedy mi ją przekazywała... Ale nie chciało mi się wyprowadzać go z błędu. Dla mnie liczyło się to, że Dolph robi wszystko, aby zdobyć Księgę, choć od początku wiedziałem, że to nie Księga uwolni nas, ale my ją. I właśnie to zamierzam teraz uczynić.

– Ale Krawędź...

Profesor Lachlan zbył ją machnięciem ręki.

– Nigdy mi nie zależało na jej zniszczeniu. W niczym mi nie przeszkadza. Jeśli o mnie chodzi, może sobie stać w nieskończoność. To jedynie drobna niewygodą w porównaniu z tym, co zawiera Ars Arcana – rzekł, stukając palcem w Księgę. – To nie tylko zapis najważniejszych odkryć z dziejów magii. To również przedmiot przesycony magią, jej źródło. Ten, kto zdoła nad nią zapanować, zyska władzę nad światem.

Esta przypomniała sobie, co Harte powiedział jej na moście – że nikt do końca nie rozumie prawdziwej natury Ars Arcana. Mylił się. Nibs wiedział. Zawsze to wiedział i posłużył się nimi wszystkimi.

– I uważasz, że ta władza powinna należeć do ciebie? – spytała wyzywająco, usiłując wymyślić sposób na wydostanie się

z potrzasku, w którym się znalazła.

– A dlaczego nie? Zakon nie potrafił wykorzystać mocy zawartej na tych kartach. Wiedzieli, że Księga jest potężna, i dlatego trzymali ją pod kluczem. Nigdy jednak nie ośmielili się jej użyć. Posłuchali przestrogi ostatniego człowieka, który miał dość odwagi, by spróbować rozszyfrować jej sekrety, a który omal nie przyplącił tego obłądem.

– To był członek Zakonu? – spytała Esta. Czuła, że narkotyk, który jej wstrzyknęli, z wolna przestaje działać.

Nie wiedziała, ile czasu minie, zanim całkiem otrzeźwieje, ale przyszło jej do głowy, że może uda się jej dotrzeć do tej chwili. Postanowiła grać na zwłokę, przeciągać rozmowę. Jeszcze trochę i spróbuje uciec.

– Jeden z pierwszych założycieli – odparł profesor Lachlan. – Mało kto zdaje sobie sprawę, że Isaac Newton zaczął jako alchemik. Zanim usiadł pod drzewem, szukał kamienia filozoficznego – sposobu na wyizolowanie kwintesencji. Miałem dużo czasu na czytanie o Ars Arcana, o sekretach Newtona. Udało mu się stworzyć pięć artefaktów poprzez nasycenie przedmiotów z pięciu mistycznych dynastii energią Maginów, których dary miały związek z poszczególnymi elementami. Nie zdołał ich jednak połączyć i zapanować nad Księgą. Historycy twierdzą, że w tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym trzecim roku przeżył załamanie nerwowe, ale to nieprawda. Jego choroba miała związek z próbą zapanowania nad mocą Księgi. Po wyzdrowieniu porzucił alchemię, a Księgę powierzył na przechowanie Zakonowi.

– Zawsze mi powtarzałeś, że magia elementarna nie jest prawdziwą magią – przypomniała Esta, wciąż lekko otumaniona. – A może to też było kłamstwo?

– Nie. Magia elementarna nie jest prawdziwą magią. Polega na rozbijaniu fragmentów stworzenia, dzieleniu ich i osłabianiu w celu zapanowania nad nimi. Prawdziwa magia to panowanie nad całością stworzenia, nad przestrzeniami między elementami, bo te przestrzenie składają się na tkankę rzeczywistości. Magini nie potrzebują elementów, ale potrafią ich używać. Potrafimy. Zawsze potrafiliśmy. Dzięki odpowiednim rytuałom elementy mogą być przydatne, można nimi wzmocnić naturalne moce. To dlatego Zakon jest tym, czym jest. To dlatego ty jesteś tym, kim jesteś – dodał, podnosząc bransoletkę i przyglądając się jej w świetle lampki.

– Zakon nie ma prawdziwej magii – upierała się Esta. Czuła się coraz lepiej, ale potrzebowała więcej czasu, żeby obmyślić plan ucieczki. Drażyla więc temat, swoim niedowierzaniem prowokując Nibsa do dalszych wywodów. – To nie są Magini. Cała ich moc jest ukradziona.

Odłożył bransoletkę na stół i podniósł oczy na Estę.

– Być może, ale nie zawsze tak było. Zakon Ortus Aurea na początku był przykrywką. Jak wiele tak zwanych towarzystw tajemnych służył temu, by najbogatsi, najbardziej wpływowi Magini mogli się ukryć tam, gdzie nikt się ich nie spodziewał. Zakon to jedna z najstarszych takich organizacji i dlatego zdołał zachować swoje wpływy, nawet kiedy Odczarowanie zabiło magię.

Jego słowa przeczyły wszystkiemu, czego się uczyła, wszystkiemu, w co wierzyła.

– Chcesz mi powiedzieć, że członkowie Zakonu byli kiedyś Maginami?

– Oczywiście. Magia istnieje od zawsze, a były takie czasy, że nikogo nie dziwiła, ale potem o niej zapomniano. Odczarowanie mocno się do tego przyczyniło. Kiedy atmosfera na kontynencie zrobiła się groźna, Magini, przynajmniej ci, którzy mogli, zaczęli

emigrować. Przybywali do Nowego Świata, bo myśleli, że będą tu mogli zacząć od nowa i że magia przyjmie się na tej nowej ziemi. Ale oczywiście tak się nie stało. Po kilku pokoleniach rozłąki z ojczyznami ich moc słabła. Dlatego korzystając z sekretów zawartych na tych kartach, stworzyli Krawędź mającą chronić ich magię. Sęk w tym, że nie umieli nad nią zapanować. To, co miało ich wzmocnić, stało się pułapką, a ich magia dalej słabła. Kilka pokoleń później pozostała im już tylko moc wykradana za pomocą eksperymentów. Krawędź stała się bronią, choć w zamyśle jej twórców wcale nie miała nią być. Kiedy w tysiąc osiemset osiemdziesiątym ósmym roku moja rodzina przybyła na Manhattan, Zakon nie pamiętał już, skąd się wziął. Jego członkowie bali się mocy napływającej do ich kraju i dlatego próbowali ją eliminować. Ich celem stali się najślabsi, najbiedniejsi. Ci, którzy nie mieli głosu i nie byli w stanie się bronić. Mój ojciec zginął, bo wystąpił przeciwko nim. Dopadli też moją matkę, braci i siostry. Ja uszedłem z życiem, bo akurat byłem w pracy. Jako jedenastolatek pracowałem w fabryce, żeby moja rodzina miała co jeść. Członkowie Zakonu nie wiedzieli, czym jest strach, ale teraz się dowiedzą. Newton rozumiał, że jeśli komuś uda się dokończyć jego dzieło i zapanować nad mocą Księgi, stanie się potężny jak bóg, będzie ostatnim magiem w historii świata. Teraz, kiedy mam Księgę i kamienie, mogę uwolnić moc Ars Arcana. Czekałem na ten moment całe życie, a nawet dłużej.

– Więc zrób to – prowokowała go. – Zamiast siedzieć i monologować jak czarny charakter z komiksu. Skoro masz już wszystko, czego potrzebujesz, to na co czekasz?

Jego wąskie usta powoli wygięły się w uśmiech.

– Czekałem na ciebie, Esto.

– Ja ci nie pomogę.

– Och, mylisz się.

Gdy podniósł się z fotela i okrążył stół, zdała sobie sprawę, że porusza się bez kuli. Zamiast niej trzymał w dłoni laskę ze srebrną gałką w kształcie Meduzy.

– To laska Dolpha – wycedziła ze złością przez zaciśnięte zęby.

– Istotnie. Można powiedzieć, że ją odziedziczyłem.

– Chyba ukradłeś.

– Jak zwał, tak zwał. Liczy się to, że jestem bliski zwycięstwa. Dolph Saunders nie zdobył Księgi. A dzięki tobie Harte Darrigan cieszył się nią krótko.

Poczuła w gardle wzbierającą falę wstrętu.

– Za nic w świecie ci nie pomogę.

Profesor Lachlan spokojnie przekrzywił głowę.

– Naprawdę myślisz, że masz wybór?

# NIEMOŻLIWY WYBÓR

**E**sta szarpała więzy, chcąc je poluzować. Niczego tak nie pragnęła, jak zniszczyć człowieka, który przed nią stał. Lecz sznury były zbyt mocne. Prawie nie drgnęły.

Profesor Lachlan się wyprostował.

– Tylko się niepotrzebnie zmęczysz, a jeszcze z tobą nie skończyłem.

– Za to ty dla mnie jesteś skończony – rzuciła.

Roześmiał się i podszedł do stołu, na którym leżały artefakty. Zabrał je stamtąd i wrócił do niej.

– Temperament masz po matce, bez dwóch zdań – orzekł.

Estę zamurowało. Kiedy po chwili odzyskała mowę, jej głos zabrzmiał matowo.

– Znałeś moją matkę?

Profesor Lachlan przyglądał się jej przez chwilę, badał ją pochmurnym wzrokiem.

– W tej sukni nawet ją trochę przypominasz. Może nie jakoś bardzo, ale dostrzegam podobieństwo. Takie same oczy. Jaśniejsze włosy. – Umieścił na jej głowie diadem ze Smoczym Okiem, tak że przylegał ściśle do czoła. – Na pewno jesteś tak samo impulsywna. I uparta.

– Powiedziałaś, że znalazłeś mnie w parku. – Jej własny głos zdawał się dobiegać z bardzo daleka, jakby znajdowała się w tunelu.

– Kłamałem – odparł, zapinając jej naszyjnik z Gwiazdą Dżina.

– Albo kłamiesz teraz.

– Tak myślisz? – Wsunął na środkowy palec jej lewej dłoni pierścień z przejrzystym agatem zwanym Łzą z Delf.

Czuła ciepło tych kamieni, ale nie wołały jej tak jak Klucz Isztar. Bransoletka wciąż znajdowała się w ręku profesora. Jeśli tylko ją jej założy, może zdoła uciec.

– To nie może być prawda – odparła. W przeciwnym razie całe jej wyobrażenie o sobie również byłoby kłamstwem.

– Dziwię się, że jeszcze się wszystkiego nie domyśliłaś. Może i jesteś impulsywna i trochę zbyt emocjonalna, ale nigdy nie sprawiałaś na mnie wrażenia głupiej. – Zaśmiał się od niechcienia. – Ale widzę, że naprawdę nic nie rozumiesz.

Przyglądał się jej przez chwilę, po czym przemówił znowu:

– Właściwie... teraz gdy na ciebie patrzę, stwierdzam, że jednak jesteś wykapanym ojcem. Aż dziw, że nikt tego nie zauważył. No ale nie można wymagać od nich zbyt wiele. Przecież wszyscy byli przekonani, że dziecko Dolpha i Leeny urodziło się martwe.

– Dolpha? – szepnęła.

– I Leeny... która nie do końca była jego żoną. – Profesor Lachlan klepnął ją niezbyt serdecznie w policzek, ale nawet tego nie poczuła.

Nie.

Dolph Saunders nie mógł być jej ojcem. Tyle razy siedziała z nim przy stole, rozmawiała, dyskutowała. Jak mogłaby o tym nie wiedzieć? Kiedy przyniósł jej knysz od Schimmela i powiedział, co zamierza, chyba by się zorientowała? Albo kiedy przynieśli jego ciało, blade i nieruchome, i opłakiwała go razem z innymi, chyba coś by ją tknęło?

– To niemożliwe – wykrztusiła przez ściśnięte gardło. – Dolph Saunders zginął ponad sto lat temu.



Profesor Lachlan spojrział na nią z politowaniem.

– Przecież potrafisz podróżować w czasie. – Uniósł Klucz Ishtar. – Odpowiednio wyposażona, ma się rozumieć.

– Pamiętałabym...

– Byłaś zbyt mała, by cokolwiek pamiętać. Miałaś nie więcej niż trzy lata, kiedy wszystko zaczęło się psuć. Po tym, jak Darrigan zabrał Księgę i zniszczył pół Khafre Hall, policyjne patrole i wpływy Zakonu zmieniły życie mieszkańców Bowery w piekło. Zresztą widziałas to niedawno na własne oczy.

– Nie – szepnęła, jakby ta jedna sylaba mogła zmienić prawdę, której spoglądała teraz w oczy. – Byłam tam. Dolph nie miał dziecka.

– Nie wiedział, że ma. Leena mu nie powiedziała, bo ją zawiódł. Tak bardzo zależało mu na zwiększeniu swojej władzy, że zaczął się babrać w magii rytualnej. Dowiedziała się po fakcie, kiedy już skorzystał z jej mocy, żeby uczynić ze swoich tatuaży niebezpieczną broń. Szok, jakiego wtedy doznała, wywołał u niej przedwczesny poród, a kiedy cię urodziła, powiedziała wszystkim, że umarłaś.

– Jak to możliwe?

– W tamtych czasach to było dość łatwe. Ojcowie tak bardzo się nie angażowali w te sprawy. Chyba że tak naprawdę chciałaś zapytać, dlaczego to zrobiła. – Wzruszył ramionami. – Bo od początku było jasne, że jesteś wyjątkowa, że masz rzadką moc, i Leena bała się, że Dolph może chcieć wykorzystać również ciebie.

– Nigdy się nie dowiedział? – spytała przerażona.

– Nawet cię nie zobaczył. Leena desperacko cię chroniła, a desperaci są zdolni do różnych rzeczy. No i stanowią łatwy cel.

– Zaufała ci – zrozumiała nagle Esta. Jak inaczej by się dowiedział?

Profesor Lachlan pokiwał twierdząco głową.

– Potrzebowała sojusznika i uwierzyła we mnie. Nie sądzę, prawdę mówiąc, aby zamierzała cię ukrywać w nieskończoność, ale kłamstwa mają to do siebie, że czasem zaczynają żyć własnym życiem. Oboje wiedzieliśmy, że twój dar jest inny. Może dawniej istnieli Magini, którzy potrafili to co ty, ale w czasie Odczarowania wybito ich co do jednego. Nawet w tysiąc dziewięćset drugim roku byłaś ewenementem. Nieprawdopodobną anomalią z nieprawdopodobnego związku. Pozbycie się Leeny było proste. Dolph uwierzył mi, że nic jej się nie stanie w domu Morgana. On również miał zginąć tamtego wieczoru, uparty sukinsyn. Ale koniec końców z nim też łatwo mi poszło.

– Zabiłeś ich oboje – wyszeptała, wciąż przetrawiając jego słowa. Dobrze, że siedziała na krześle, bo wcale nie była pewna, czy ustałaby teraz o własnych siłach. – Wszystko, co mi opowiadałeś, było kłamstwem.

– A zarazem byłem twoim wybawicielem. Życie jest pełne sprzeczności, nieprawdaż? – Nachylił się ku niej, a z jego twarzy zniknął wszelki ślad rozbawienia. – Pod koniec roku sytuacja tylko się pogorszyła. Zbliżało się konklawe i Zakon coraz bardziej gorączkowo poszukiwał swoich artefaktów. Wiedziałem, że jeśli cię znajdą, już cię nie wypuszczą z rąk. Nie mogłem ryzykować, że cię stracę, dlatego podjąłem jedyną sensowną decyzję. Użyłem Klucza Isztar, żeby cię ukryć.

Podniósł bransoletkę i obejrzał kamień. Gładkiej powierzchni nie szpeciło żadne pęknięcie. Esta nawet z daleka czuła jego wołanie.

– Trochę z nim eksperymentowałem i doszedłem do wniosku, że można go użyć do skoncentrowania lub wzmocnienia magicznej mocy, choć nie wiedziałem, co dokładnie się wydarzy w twoim przypadku. Byłaś zbyt mała, żeby mieć kontrolę nad swoją energią, ale wiedziałem, że jeśli cię mocno nastraszę, użyjesz swojego daru.

Więc zamknąłem cię w szafie, a kiedy przestałaś płakać, otworzyłem drzwi i okazało się, że cię tam nie ma. Właśnie na to liczyłem. Że znajdziesz się poza zasięgiem Zakonu. Potem oczywiście mnie zatrzymali. Przesłuchanie nie należało do łatwych. Trudno powiedzieć, żeby to był spacer – rzekł, wskazując na swoją nogę.

– Kiedy wróciłem, staruszka, która pod moją nieobecność opiekowała się mieszkaniem, powiedziała, że cię nie było. Myślałem, że wrócisz chwilę po wyjściu ludzi Zakonu. – Zmarszczył brwi. – Klucz Ishtar okazał się potężniejszy, niż sądziłem. Kazałaś mi na siebie długo czekać. Ponad dziewięćdziesiąt lat. Ale ostatecznie potwierdziło się, że miałem rację – mój plan zadziałał. Czekałem, a czekając, planowałem, aż w końcu się pojawiłaś. Zgodnie z moimi przewidywaniami.

– Ukradłeś mnie. Ukradłeś mi życie.

– Stworzyłem cię. Dałem ci życie, którego nie mogłaś mieć wtedy. A teraz mi się odwdzięczysz. – Wsunął bransoletkę na jej ramię.

Poczuła gorąco kamienia, wołanie jego magii, ale ponieważ w jej żyłach wciąż krążył narkotyk, nie mogła się na nią otworzyć.

– Wiesz, czym jest czas, Esto? – Profesor Lachlan uśmiechnął się, gdy nie odpowiedziała. – To substancja, która łączy, nieuchwytna właściwość, która wykracza poza wszystko inne. Kwintesencja istnienia. Eter. Nieprzypadkowo cię wybrałem, nieprzypadkowo uratowałem.

– Eter? – powtórzyła Esta, przypominając sobie słowa Harte'a na moście.

Profesor wziął sztylet, ukradziony przez nią z rezydencji Schwaba owego nieszczęsnego wieczoru, od którego zaczęły się wszystkie jej kłopoty, i obejrzał czubek ostrza.

– Wiem, że to dość prymitywne, ale w takich sytuacjach przydaje się kapka krwi.

Esta siedziała w całkowitym bezruchu, kiedy profesor zbliżył się do niej z ostrzem. Przesunął nim powoli w poprzek jej klatki piersiowej, tuż pod obojczykiem. Nawet nie poczuła bólu. Cały jej świat runął – zdradziła przyjaciół w przeszłości, a teraz ją zdradzili ludzie, których traktowała jak rodzinę. Wszystko, co wiedziała o sobie, okazało się kłamstwem. Była sama jak palec i nie miała dokąd uciec.

Czym jest odrobina krwi, odrobina bólu w obliczu tego wszystkiego?

Kiedy profesor Lachlan skończył i rana zaczęła piec, wetknął jej nóż za suknię, ostrzem w kierunku pępka, tak że Serce Faraona przywarło do skóry Esty.

– Eter łączy elementy – wyjaśnił – a ja użyję twojego daru, żeby połączyć kamienie. Kiedy tego dokonam, będę mógł zapanować nad mocą Księgi.

– A co ze mną? – spytała drżącym głosem, którego się wstydziła. – Co się ze mną stanie?

– Zapewne to samo, co stało się z wszystkimi Maginami, których moc wykorzystano do stworzenia kamieni. – Posłał jej nieprzeniknione spojrzenie. – Jesteś tylko naczyniem.

Esta znów spróbowała uwolnić się z więzów, ale z ostrzem tuż przy ciele prawie nie mogła się ruszyć, nie robiąc sobie krzywdy.

– Spokojnie. Jeszcze tylko parę minut. – Profesor Lachlan uśmiechnął się łagodnie i nie był to zimny uśmiech Nibsy'ego Lorcana, lecz uśmiech, który Esta знаła od najmłodszych lat i którego w dzieciństwie zawsze była spragniona.

Ta zdrada raniła ją głębiej i boleśniej niż sztylet.

Uniosła jednak brodę. Nie pokaże mu, jak bardzo się boi. Da mu odczuć jedynie swoją nienawiść.

Profesor Lachlan wrócił do stołu i wyjął Księgę. Nie zwracając uwagi na Estę, odszukał zaznaczoną stronę i zaczął czytać na głos.

W pierwszej chwili brzmiało to jak łacina, lecz zaraz ton jego głosu się zmienił, jakby coś w niego wstąpiło, i Esta przestała rozumieć poszczególne wyrazy. Recytował coraz dziwniejsze słowa, coraz mniej przypominające ludzką mowę, a oprawione w metal kamienie przy jej skórze zaczęły się nagrzewać. Trwało to jeszcze dłuższą chwilę, aż czas przestał się liczyć, aż kamienie parzyły, jakby miały wypalić skórę do kości, aż po bibliotece zaczął hulać dziwny wiatr, najpierw tylko szeleszcząc papierami, a potem podrywając je do góry. Aż światło zamigotało. Aż nagle w uszach Esty rozległ się przeraźliwy ryk.

Potem zrobiło się ciemno.

Powietrze znieruchomiało.

Lecz Esta wciąż była przytomna.

## EWENTUALNOŚCI

**W** pobliżu zamigotał płomień, rozświetlając głębokie zmarszczki na twarzy zbliżającego się do niej profesora Lachlana.

– Nadal żyjesz – powiedział cicho, jakby do siebie, a nie do Esty. – Nie udało się.

– Nie powiem, żeby było mi przykro z tego powodu.

Pochylił się nad nią.

– Będzie ci przykro.

Korzystając z interkomu, kazał Loganowi sprawdzić bezpieczniki w piwnicy. Potem zaczął zdejmować z niej artefakty, jeden po drugim, zaczynając od bransoletki. Chwilę później światło wróciło.

– Może przekreśliłeś któreś słowo? – zadrwiła Esta.

– Nie. Wypowiedziałem wszystko bezbłędnie – odrzekł, zdejmując ostatni artefakt. – Bałem się, że może tak być. Że minęło zbyt wiele czasu.

– Czy to znaczy, że cały twój wspaniały plan szlag trafił? – Nie robiła sobie wielkich nadziei. Przynajmniej dopóki siedziała przywiązana do krzesła.

– Oczywiście, że nie. Rytuał się nie powiódł, bo na świecie zostało zbyt mało magii, ale dawniej było jej więcej. Dlatego zabierzesz Księgę z powrotem do chłopaka, którym kiedyś byłem, do świata, w którym magia miała swoją moc, a ja mogłem jej użyć.

– Dlaczego miałabym to zrobić?

Przyglądał się jej przez chwilę.

– Ponieważ w przeciwnym razie prawdopodobnie znikniesz. Skoro Klucza Isztar nie ma w przeszłości, nie będę mógł ci go dać w dzieciństwie.

Esta intensywnie myślała.

– W takim razie już dawno powinnam zniknąć – stwierdziła. – To, że wróciłam z Kluczem Isztar tutaj, do tych czasów, powinno zmienić moje życie. Dzień, w którym dałeś mi kamień, dawno już minął. Nie mógłbyś mi dać kamienia w dzieciństwie, nie dorastałabym w dzisiejszych czasach i nie rozmawialibyśmy teraz.

– Chyba że to się już dokonało. Nie sądzę, żeby ta chwila się zmieniła, dopóki nie podejmiesz świadomej decyzji o zmianie przeszłości. – Uśmiechnął się, wyraźnie zadowolony z siebie. – Wziąłem pod uwagę wszystkie związki, przewidziałem każdą ewentualność. Mam do tego szczególny talent.

A więc na tym polegał dar Nibsy'ego. Nic dziwnego, że utrzymywał go w tajemnicy.

Esta zadarła podbródek.

– A może będę wołała zniknąć, niż pozwolić, żebyś zwyciężył? Na to też jesteś przygotowany?

– Żebyś wiedziała, że jestem. – Profesor Lachlan podszedł do swojego biurka i nacisnął przycisk. Chwilę później rozległ się szum wjeżdżającej na górę windy.

Wyjął z szuflady pistolet i wycelował go prosto w Estę. Na końcu lufy znajdował się tłumik.

– Nie pomogę ci uwolnić mocy tej Księgi – oznajmiła, z satysfakcją odnotowując, że głos już jej nie drży, mimo że sama się trzęsie. – Wolę śmierć.

Profesor Lachlan się uśmiechnął.

– Nie wątpię. A kogo jeszcze byłabyś gotowa poświęcić?

W tej samej chwili otworzyły się drzwi windy.

– Wzywał mnie pan, profesorze? – spytał Dakari, wchodząc do biblioteki.

– Nie! – krzyknęła Esta, szarpiąc sznur, którym ją związano. – Dakari, uciekaj...

Za późno. Pistolet wystrzelił z głuchym odgłosem, a chwilę później Dakari upadł z hukiem na podłogę.

– Nie! – zawołała Esta ze łzami w oczach, zmagając się ze sznurem i z tym, co się właśnie wydarzyło.

Profesor Lachlan podszedł, chwycił ją za podbródek i uniósł jej głowę.

– Wygląda na to, że jednak masz wybór. Możesz zniknąć. Wybrać nieistnienie. Może to się stanie natychmiast, a może będziesz miała czas, by patrzeć na śmierć wszystkich pozostałych osób, które coś dla ciebie znaczą. Logan. Mari. Jej rodzina, którą tak lubisz. Sprowadzę ich tutaj, na twoich oczach będą mnie błagać o litość, a potem ich zabiję. Ale najpierw niech się dowiedzą, kto wydał na nich wyrok śmierci. Albo zrobisz, co każę, i zabierzesz Księgę do przeszłości, do młodszego mnie.

– Nie – szepnęła, kręcąc głową.

– Lubisz chyba ratować ludzi, nieprawdaż? Zastanów się: możesz napisać tę przyszłość od nowa, dać Dakariemu nowe życie w świecie bez Zakonu. Życie, które nie skończy się tak smutno na podłodze mojej biblioteki. Kto wie, może nawet uda ci się przekonać tamtego młodego mnie, żebym oszczędził ludzi Dolpha.

Esta nie zdołała powstrzymać łez, które ciekły jej teraz po twarzy. Odwróciła się od profesora, nie mogąc znieść jego bliskości. Na przeciwległej ścianie połyskiwały w półmroku noże Violi.

Jianyu.

Viola.



Pewnie nie uratuje już Dolpha, ale wciąż może uratować tych dwoje. Wciąż może wrócić do przeszłości i raz jeszcze spróbować ją zmienić.

– Dobrze – powiedziała ze wzrokiem utkwionym w sztyletach na ścianie, tak by profesor nie dojrzał w nim nienawiści. – Tak zrobię. Ale nie dam łatwo za wygraną.

Profesor Lachlan – Nibs – ktokolwiek to był – uśmiechnął się.

– Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej – odrzekł. – Ale nie łudź się, że to będzie równa walka. Przeanalizowałem wszystkie twoje możliwości i jestem dobrze przygotowany na każdą z nich. Możesz stawać na głowie, ale przyszłość i tak będzie moja.

Profesor Lachlan nie kłamał, że jest przygotowany. Naprawdę uwzględnił każdą ewentualność.

Logan trzymał ją za ramię, tak by nie mogła przenieść się w przeszłość bez niego. Pistolet, jak usłyszała, był tylko na wszelki wypadek. W razie gdyby przyszedł jej do głowy jakiś głupi pomysł. Nie wierzyła w to. Gdy już się znajdą w przeszłości, Logan będzie mógł ją z łatwością zabić.

Podali jej narkotyk, akurat w takiej dawce, aby po dojściu do oddalonego o sześć przecznic parku mogła użyć Klucza Isztar i przenieść Logana do roku 1902. Wcześniej nie miała szans na ucieczkę – przez cały czas trzymano ją pod lufą.

Wyznaczono jej dokładną datę: tydzień po awanturze na moście. Logan dostał precyzyjne instrukcje, czego szukać, gdy się tam znajdą. W razie gdyby Esta próbowała przenieść go w jakieś inne czasy, miał ją zabić. Albo zmusić przemocą do współpracy.

Na miejscu miało pójść jak z płatka. Trudno było sobie wyobrazić, jak Esta mogłaby uciec albo zapobiec dostarczeniu Księgi oraz kamieni do Stregi, tak jak tego chciał profesor Lachlan. A kiedy już trafią w ręce Nibs, nikt go nie powstrzyma.

Na domiar złego Esta właściwie nie znała tego Logana. Nie miała z nim wspólnych wspomnień i trudno było jej przewidzieć, jak się zachowa; mogła tylko liczyć na to, że natura człowieka jest czymś stałym i niezmiennym bez względu na koleje jego życia. Może i działał jej nieraz na nerwy, ale nie był złym człowiekiem. Nie skrzywdziłby nikogo rozmyślnie. Pozostało mieć nadzieję, że to się nie zmieniło.

Wcale jednak nie była tego taka pewna.

Siedziała ze spuszczoną głową, przygarbiona, jakby ciężar świata – jego przeszłości, teraźniejszości i przyszłości – spoczywał na jej barkach. Niech sobie wmawiają, że wygrali, pomyślała. Niech im się wydaje, że przyparli ją do muru. To nic, że dotąd nie wpadła na pomysł, jak ich przechytrzyć.

Profesor spojrzął na zegarek i widząc, że narkotyk powinien właśnie przestać działać, skinął sztywno głową.

Logan dźgnął Estę lufą w plecy, dając do zrozumienia, że już pora. Dziewczyna wciąż jednak czuła się otępiała i znalezienie właściwej chwili, dokładnego czasu, do którego miała ich przenieść, okazało się trudniejsze niż zwykle. Przekopywała się przez warstwy lat, aż poczuła znajome przyciąganie. Dziwne, pomyślała. Jakby wracała do domu.

Zignorowała jednak ten przypływ ckliwych uczuć. Aby przenieść siebie i Logana w odpowiednie miejsce, musiała być w pełni skoncentrowana. W oddali Wieża Wolności – ten środkowy palec, który miasto pokazywało reszcie świata – zaczęła się zacierać. Dookoła zrobiło się ciemniej i znów doznała tego dziwnego wrażenia, jakby miała się jednocześnie rozpaść i zapaść w siebie. W miejscu parku zaczęło się materializować niegdysiejsze miasto, a kiedy prawie już tam byli, na chwilę przed tym, zanim

teraźniejszość ustąpiła przeszłości, Logan zaczął krzyczeć i ciągnąć torbę, w której znajdowały się pozostałe artefakty oraz Księga.

Esta momentalnie zrozumiała, że to jej pierwsza i zapewne ostatnia szansa. Szarpnęła gwałtownie ręką, a Logan, zbyt zajęty torbą, puścił jej ramię i po chwili oboje wylądowali na twardym i mokrym nowojorskim bruku.

Trzęsła się cała od wysiłku. Bransoletka na jej ramieniu była ciepła, miasto dziwnie ciche jak na środek dnia. Z oddali doleciał dźwięk dzwonów i ciężka chemiczna woń płonących budynków.

Podróż w czasie zawsze przyprawiała Logana o chwilowe zawroty głowy i tym razem było podobnie. Ledwie zdążył odsunąć od siebie torbę z Księgą, zza rogu wyłoniła się grupka ciemno ubranych chłopców. Gang z Five Points.

Na widok dwojga ludzi leżących na chodniku oczy im się zaświeciły i przyspieszyli kroku.

Esta zdążyła jednak w porę spowolnić bieg czasu i podnieść upuszczoną przez Logana torbę. Otrzepała się z ulicznego brudu i wśród nieruchomej ciszy zaczęła iść. Miała ważne zadanie, musiała uratować komuś życie. Cofnąć się. Wrócić na most. Logan sobie poradzi.

## *Marzec 1902 roku – most Brookliński*

**M**ag stanął na skraju swojego świata i ostatni raz spojrzął w stronę miasta. Na moście zapanował chaos, ale on patrzył tylko w jeden punkt – na Estę.

Uciekaj, dopingował ją w myślach. Musi zabrać Księgę daleko stąd, żeby nikomu nie zagrażała. Sama też powinna zniknąć z oczu Nibsowi, Jackowi, wszystkim, którzy mogliby ją wykorzystać. Włącznie z nim samym. Gdyby Zakon dowiedział się, kim ona jest, co potrafi...

Uciekaj.

Lecz Esta miała tę samą upartą minę co zawsze, kiedy próbował ją do czegoś nakłonić. Nie uciekała, mimo że czasu było coraz mniej. Przewidział ten jej upór, wiedział, że ostatecznie zdecyduje za nią. Tylko jeden krok. Jeden krok i będzie po wszystkim.

Zamknął oczy, ostatni raz poczuł wiatr na twarzy, nachylając się w jego objęcia...

A potem zaczął spadać, rozrywany przez powietrze napierające z taką mocą, że aż chciało mu się wymiotować, a głowa pękała od nadzwyczajnego ciśnienia. Leciał i leciał, aż uderzył o ziemię i coś – ktoś – przycisnął go do niej.

Usłyszał cichy dziewczęcy jęk, a potem ciężar, który go przygniatał, sturlał się na bok.

– Jianyu? – Głos Esty dobiegł jakby we śnie. – Co ty tu robisz?

Potrzebował chwili, żeby odzyskać mowę, zrozumieć, co widzi, ale to naprawdę była Esta. Nie żaden sen. Most był pusty i cichy, a Esta leżała wyciągnięta na plecach Jianyu i zupełnie osłupiała.

A on, Harte, żył.

– Jianyu mi pomagał – wyjaśnił, podnosząc się. Wciąż nie mógł wyjść z szoku, że ją widzi. Z cudownego szoku, że nie zginął, choć jeszcze przed momentem był przekonany, że Jianyu pozwoli mu spaść.

– Pomagał? – Esta zeszła z Jianyu, który leżał nieprzytomny na ziemi. – W czym?

– Pomagał mi upozorować moją śmierć. – Przełknął nerwowo ślinę, widząc, że tymi słowami tylko ją rozgniewał, zamiast uspokoić.

Wpatrywała się w niego wielkimi oczami z wyrazem absolutnej konsternacji. Był to chyba pierwszy raz, kiedy w jego obecności zabrakło jej słów.

– Trzęsiesz się – zauważył, dotykając drżącą dłońią jej policzka. Skórę miała bladą, włosy potargane.

– Nic mi nie jest – odparła, ale go nie odtrąciła. Lecz po chwili jej twarz nagle się zmarszczyła. – Ty idioto – rzuciła, policzkując Harte'a. – Powiedziałeś mi, że skoczysz. – Głos miała rozgorączkowany, oczy nabrzmiące łzami. – Myślałam, że nie żyjesz – zakwiliła łamiącym się głosem, z drżącą brodą.

– Żyję – odparł cicho, zadowolony, że jego pewny ton maskuje wewnętrzne poruszenie. Wcale nie miał pewności, że Jianyu go uratuje, choć tak się umówili. Nachylając się w objęcia wiatru, mimo woli powierzał całe swoje życie w cudze ręce.

Znów go spoliczkowała i tym razem uniósł ręce, żeby się bronić, ale od tego gwałtownego ruchu zakręciło mu się w głowie i upadł.

– Esta, przestań!

– Znów mnie okłamałeś!

– Musiałem – odparł, siadając. Złapał ją łagodnie za ręce, żeby nie mogła znów go uderzyć. – Chciałem, żebyś uciekła z Księgą, żeby nie dostali jej w swoje ręce Nibs ani Jack. Tylko w ten sposób mogłem cię nakłonić do powrotu do przyszłości.

Ale oblicze Esty wcale nie złagodniało. W jej złotych oczach nadal płonął ogień.

– Powiedziałeś mi, że Zakon nigdy nie przestanie cię ścigać.

– Bo to prawda.

Jianyu wydał z siebie jęk, ale się jeszcze nie ocknął.

– W takim razie dlaczego?

Widząc, że trochę się uspokoiła, Harte puścił jej dłonie.

– Chciałem wrócić do miasta, powstrzymać Nibsa i Zakon... żebyś wróciła do innej przyszłości.

Esta zastygła.

– Po tym wszystkim mam ci tak po prostu uwierzyć? – spytała z nieufną miną.

– Mówi prawdę – potwierdził Jianyu. Stękając, podniósł tułów z ziemi. – Dogadaliśmy się po tym, jak znaleziono Dolpha. – Rozejrzał się i dopiero teraz dotarło do niego, że most opustoszał. – Co się stało? Gdzie są wszyscy? – spytał zdziwiony.

– Rozeszli się kilka godzin temu – wyjaśniła Esta.

– Godzin?

– Dla ciebie to było kilka chwil – odparła. – Myślałam, że chwytam tylko Harte'a. Nie wiedziałam, że ty też tam byłeś, kiedy się przedarłam.

Na twarzy Jianyu malowało się zakłopotanie.

– Przedarłaś?

– Przez czas. Nie mogłam się przenieść tam, gdzie chciałam. Więc tak jakby... wypchnęłam was z chwili, w której się znajdowaliście, do późniejszej. – Potarła ramię i skrzywiła się z bólu. – Długo by opowiadać.

Jianyu spoglądał na nią zdezorientowany, ale i wyraźnie zaciekawiony.

– Z chęcią posłucham.

– Później – wtrącił Harte. – Musieliśmy sprawić, żeby Zakon, Nibs i wszyscy myśleli, że nie żyję – próbował się tłumaczyć przed Estą. – Niech mnie, ty też miałaś w to uwierzyć. Miałaś zostać w swoich czasach, w których jesteś bezpieczna.

– Nigdzie już nie jestem bezpieczna – odparła cicho. Potem spojrzała na Jianyu. – Viola też wie? Była w to wtajemniczona?

– Pomyślałam, że im mniej osób będzie wiedziało, tym lepiej. Żeby Nibs nie zaczął czegoś podejrzewać.

– Nibs – powtórzyła Esta łamiącym się głosem.

Opowiedziała im o Nibsie i profesorze Lachlanie, o śmierci Dakariego i zdradzie Logana.

– Jak się uwolniłaś? – chciał wiedzieć Harte.

– Improwizowałam. – Jej wargi uniosły się w lekkim uśmiechu. – I teraz mam to. – Wyciągnęła Księgę z torby przewieszanej w poprzek ciała, lecz jej oczy nadal wpatrywały się w ciemne wnętrze, a twarz pobladła. – Nie...

– Co? – spytał Harte, zastanawiając się, co mogło wywołać u niej takie emocje po tym wszystkim, co przeszli.

Wydobyła ze środka osmalony kawałek metalu o znajomym wyglądzie.

– Czy to...

– Nie ma ich – szepnęła, wysypując zawartość torby na ziemię. Ukradzione przez Harte'a artefakty, spalone prawie doszczętnie. –

Już mi się coś takiego przydarzyło. Kiedy przybyłam tutaj po raz pierwszy. Pokazałam ci, pamiętasz?

– Twoja bransoletka. – Harte przypomniał sobie dziwne obrazy, które przemknęły mu przed oczami, gdy Esta pocałowała go na scenie. – Co się z nimi stało?

– Nie wiem. Ale tak się zastanawiam... Kiedy się przedarłam przez czas, żeby cię wypchnąć z tamtej chwili, poczułam to samo pieczenie co za pierwszym razem, kiedy tu przybyłam. Może te kamienie nie mogą współistnieć ze sobą w jednym czasie.

Harte na chwilę się zamyślił.

– Nibs nie wysłałby ich do przeszłości z tym całym Loganem, gdyby wiedział, że tak się stanie. On też do nich nie dotrze. Zbyt dobrze je ukryłem. Jesteśmy bezpieczni. To koniec.

– Nie sądzę. – Esta podniosła na niego wzrok. Jej twarz przybrała nieodgadniony wyraz. – Kiedyś je zdobędzie. Już raz mu się udało. Musimy dotrzeć do tych kamieni przed nim.

– Nie wyglądają, jakby się do czegoś nadawały – stwierdził Jianyu, wskazując gestem szerniałe resztki.

– Nie te – odparła Esta. – Tamte drugie. – Spojrzała w oczy Harte'a. – Kamienie, które nadal znajdują się w tych czasach.

– Są poza miastem, a on jest w środku. Nie przedostanie się przez Krawędź.

– Ale one nie będą poza miastem wiecznie. Prędzej czy później wrócą tutaj. Wiem, bo już raz ukradłam każdy z nich. – Chwyciła go za ramię. – A co gorsza, teraz jest tu Logan. Zostawiłam go leżącego na chodniku jakiś tydzień temu. On znajdzie Nibs'a i powie mu, co się wydarzy w przyszłości. Nie możemy pozwolić, żeby posiadał tę wiedzę i kamienie. Musimy pierwsi je zdobyć.

Harte zmarszczył brwi.



– Żeby przedostać się poza Krawędź, trzeba by ją zniszczyć. Inaczej się nie da.

Oczy Esty były szeroko otwarte, jej twarz – nieprzenikniona. Wiedział jednak, że myśli, obraca w głowie różne pomysły. Aż wreszcie coś zaskoczyło.

– A może się da – rzekła z dziwnym spokojem.

– Esta, już ci tłumaczyłem...

– Wiem. Mówiłeś, że Krawędź przypomina obwód i że przejście przez nią z Księżą doprowadziłoby do zwarcia. Ale istnieją sposoby na przedostanie się przez obwód. Istnieją sposoby na bezpieczny kontakt z prądem. Popatrz na ptaki na liniach wysokiego napięcia. Grunt, żeby nie być uziemionym.

Harte pokręcił głową w geście niezrozumienia.

– Uziemionym?

– Może to złe słowo. Ale martwisz się, że moc Księgi spowoduje zwarcie w Krawędzi, prawda? Musimy sprawić, żeby Księża nie zaburzyła tego układu. Profesor Lachlan – Nibs – opowiedział mi o czymś, co może nam pomóc. Eter i czas to jedno i to samo. A gdybyśmy użyli mojego daru, żeby uchronić eter w Krawędzi przed energią Księgi? Unikniemy wtedy przeciążenia obwodu i może nie dojdzie do katastrofy.

– To się może udać – przyznał Jianyu w zamyśleniu. – Ja robię podobną rzecz ze światłem, gdy chcę zniknąć. Załamuję jego promienie. Gdyby Esta pokierowała eterem tak, by ominął Księżę...

– Nie rozumiesz, Esto. To nie zadziała.

– Dlaczego nie? Skoro to jest obwód, wystarczy tylko...

Harte uciszył ją, kładąc jej dłoń na ramieniu.

– To nie zadziała, bo całej tej mocy już dawno nie ma w Księdze.

– Przełknął ciężko ślinę, wreszcie pogodzony z tym, co wiedział,

odkąd w Misterium nawiedziły go setki głosów. – Ta moc jest teraz we mnie.

Esta rozdziawiła usta.

– W tobie?

Skinął głową, nie mogąc wydobyć głosu. Bo nie wiedział, jak długo przeżyje z tą energią, jak długo jeszcze zdoła ją kontrolować.

– A więc to przede mną ukrywałeś? – spytał ponuro Jianyu.

Harte poruszył się niespokojnie. Miał wyrzuty sumienia, bo Jianyu wiele zaryzykował, żeby mu pomóc.

– Powiedziałem ci tyle, ile mogłem.

– Trzeba było powiedzieć wszystko – odrzekł Jianyu z domieszką złości, jakiej Harte nigdy wcześniej u niego nie słyszał; nawet tamtego wieczoru, kiedy Jianyu wytropił go w porcie.

Esta pokręciła głową.

– Teraz to nieważne. Musimy odzyskać kamienie.

Przyjrzał się jej uważniej, tym rozczochranym włosom i zniszczonemu ubraniu. Jeżeli zgodzi się na jej szalony plan, pewnie skończy się to śmiercią dla nich obojga. Z drugiej strony, nosząc w sobie Księgę, która z każdym dniem siała w nim coraz większe spustoszenie, i tak był już martwy. Gdyby plan Esty jakimś cudem się powiódł, może uratowałyby jego i siebie. A jeśli nie, to przynajmniej spędzi jeszcze trochę czasu w tym zwariowanym świecie, i to razem z nią.

– Musisz znaleźć Violę i wszystko jej opowiedzieć – zwróciła się do Jianyu. – Mamy jeszcze tydzień do dnia, w którym zostawiłam Logana. Jeżeli postaramy się, żeby nie znalazł Nibsą, zyskamy dodatkowy czas. Kiedy Nibs się dowie, że wróciłam, nie cofnie się przed niczym, żeby zdobyć Księgę. – Z błyskiem determinacji w oczach zwróciła się ponownie do Harte'a. – On nie wie, że tak naprawdę się nie zabiłeś. I nie wie o kamieniach. To nam daje

przewagę, ale mimo wszystko będziemy potrzebowali dużo szczęścia.

– Będziemy potrzebowali dużo więcej niż tylko szczęścia – wymamrotał Harte, wciąż lekko oszołomiony wszystkim, co się wydarzyło, i nowym planem Esty.

– Znajdę Violę i zrobimy, co w naszej mocy, żeby twój przyjaciel i Nibs nieprędko się spotkali – obiecał Jianyu. – Żebyście mieli jak najwięcej czasu.

– A potem co? – spytał Harte, wciąż nie ośmielając się mieć nadziei.

– Potem połączymy kamienie i zapanujemy nad mocą Księgi – odparła Esta.

Harte zmarszczył brwi.

– Nie wiem, czy ta moc powinna się znajdować w rękach jednej osoby.

– Ja też nie wiem, ale nie zamierzam patrzeć, jak Nibs albo Zakon o tym decydują. A ty?

– Ja na pewno nie – wtrącił Jianyu i podał Harte'owi dłoń, by pomóc mu wstać. Chwilę później wręczył mu paczuszkę, którą wyjął z płaszcza. – Idź z Estą. Ja się tu wszystkim zajmę.

Harte się zawahał.

– Jestem ci winien podziękowanie. Za to, że mi zaufałeś, choć na to nie zasługiwałem. Za pomoc. Że nie pozwoliłeś mi spaść.

– Zrobiłem to dla Dolpha – rzekł Jianyu. – Obym nie wyszedł na głupca. Nie zapomnij o swojej obietnicy. – I pożegnawszy się skinieniem głowy, zniknął.

Harte i Esta zostali na moście sami.

Harte przez chwilę wpatrywał się w miejsce, w którym stał Jianyu. Potem odwinął paczkę i włożył znaną w niej koszulę.

– To jak, pomożesz mi? – spytała Esta, gdy zapinał guziki. – Pokażesz mi, jak za pomocą Księgi przedostać się przez Krawędź?

Harte zdał sobie sprawę, że ranek dawno minął. Słońce właśnie zaszło i panorama Nowego Jorku płonęła odblaskiem zorzy na budynkach. Wyglądało to tak, jakby miasto stało w ogniu, niebezpieczne i olśniewające.

Wetknął koszulę w spodnie i obciągnął rękawy.

– Nie powinnaś była wracać – powiedział.

– Nie miałam zbyt dużego wyboru – odparła ze smutkiem w złocistych oczach.

– To, czego ode mnie chcesz, twój plan, może dla nas oznaczać śmierć.

– Jeżeli nic nie zrobimy, pewnie zginą wszyscy. Nibs nie może zdobyć tych kamieni. Zakon też nie.

– A jeśli tylko pogorszymy sytuację? – Głosy w jego głowie narastały, szepcząc obietnice i groźby.

Wiedzą, kim ona jest. Będą próbowali ją dopaść.

Potaął kark, jakby mógł w ten sposób uciszyć to, co w nim zamieszkało.

– Mimo wszystko musimy spróbować.

Raz jeszcze popatrzył na drugi koniec mostu, na świat, z którego zdążył już zrezygnować. „Ale Esta wróciła” – szeptały głosy. A więc może, a nuż...

Wiedział, że Esta nie zrezygnuje, nie zejdzie z obranej drogi. A część jego duszy wcale nie chciała jej zawracać.

Wyciągnął rękę.

– Jesteś gotowa?

Spojrzała do góry, na jego otwartą dłoń, i pokręciła głową, po czym sama wstała.

– Chciałbyś.

Potem jednak wsunęła mu rękę pod ramię i ruszyli razem ku zimnej energii Krawędzi.

# PODZIĘKOWANIA

To obszerna książka i wiele osób przyczyniło się do jej powstania. W pierwszej kolejności dziękuję Michaelowi Strotherowi, który uwierzył w mój pomysł na tę powieść i pomógł mi uczynić ją znacznie lepszą. Bardzo dziękuję Sarze McCabe, która przygarnęła tego molocha i służyła mi wnikliwą radą i wsparciem (nawet gdy książka ogromnie się rozrosła). Cały zespół Simon Pulse wspierał mnie i nie żałował mi dodatkowego czasu na ulepszenie fabuły. Craig Howell i Cliff Nielsen zrobili cudowną okładkę. Wciąż nie mogę wyjść z zachwyty nad piękną mapą autorstwa Drew Willis. Mam też ogromny dług wdzięczności wobec uważnych oczu redaktorki Peniny Lopez i korektorki Valerie Shea, a także wobec Clare McGlade za czytanie na głos.

Dziękuję wszystkim czytelnikom wersji roboczych: Kristen Lippert-Martin pomogła mi rozwiązać zasadniczy problem z fabułą, ratując w ten sposób całą książkę. Dzięki szczerym uwagom Hope Cook dostrzegłam niezamierzone błędy, a Olivia Hinebaugh podtrzymywała mnie na duchu w chwilach, kiedy wydawało mi się, że całe to przedsięwzięcie nie ma sensu. Również Kathryn Rose i Helene Dunbar udzieliły mi cennych rad, które pomogły mi udoskonalić fabułę, za co jestem im bardzo wdzięczna.

Flavia Brunetti, Guillaume Amphoux i Christina Ketchum doradzali mi w sprawie niektórych wyrazów obcojęzycznych. Wszelkie błędy biorę oczywiście na siebie. Wspaniała ekipa Lower East Side History Project oprowadziła mnie po dzielnicach Nowego

Jorku, w których toczy się akcja książki, pomagając mi znaleźć miejsca zamieszkania moich bohaterów. Dowiedziałam się od nich również, gdzie można zjeść najlepsze chińskie pierożki.

Nie wiem, co bym zrobiła bez mojej kapitalnej agentki Kathleen Rushall.

Podziękowania należą się chyba także Chrisowi Cornellowi, który nie wie, że niniejsza książka powstała przy jego muzyce. Nie mam pojęcia, dlaczego *Higher Truth* pasowała mi nastrojem do Nowego Jorku z 1902 roku, ale tak było.

Dziękuję mojej rodzinie, która żyła z tą książką tak długo jak ja. A ponieważ niełatwo było ją napisać, chwilami niełatwo było z nią żyć. Dziękuję J., który umożliwia mi wypadki do miasta na kwerendę i nigdy nie wątpi w ich sens, oraz H. i X.: bez ich wsparcia nie mogłabym ani nie chciałabym robić tego, co robię.

I wreszcie ostatnia rzecz. Jak tyle innych osób w tym kraju, jestem potomkinią imigrantów. Kilka lat temu przeglądałam listy pasażerów z Ellis Island i odkryłam, że żadna z moich prababek nie figurowała na nich jako osoba piśmienna. Choć z moimi dyplomami ukończenia wymyślnych studiów i brakiem zainteresowania prowadzeniem domu pewnie wydałabym im się dziwną istotą, to mimo wszystko mam nadzieję, że byłyby ze mnie dumne. W końcu to dzięki ich poświęceniu i determinacji jestem tu, gdzie jestem, zarabiając na życie słowami, których one, przybywając do tego kraju, nie umiały czytać. Tym kobietom – i wszystkim ich poprzedniczkom i poprzednikom, bez względu na ich niedostatki – również dziękuję.

# **TOM DRUGI W PRZYGOTOWANIU**





## Musisz zdobyć tę Księgę!

Nowy Jork, Manhattan. Obdarzeni nadprzyrodzoną mocą Magini, uwięzieni na wyspie lodowatą energią Krawędzi, ukrywają swoją prawdziwą tożsamość. Próba przekroczenia tej niewidzialnej bariery grozi im utratą magicznych zdolności, a nawet śmiercią.

Estę od dziecka szkolono w sztuce wykradania artefaktów z rąk Zakonu – złowrogiej organizacji, która stworzyła Krawędź. Dziewczyna potrafi się cofać do przeszłości i zdobywać magiczne przedmioty. Teraz czeka ją arcyważna misja: musi się przenieść do roku 1902, w czasy rządzących Nowym Jorkiem zuchwałych gangów, i wykraść prastarą Księgę z najpilniej strzeżonymi tajemnicami Zakonu. Esta ocali swą przyszłość, jeśli zdradzi tych, którzy pozostali w przeszłości...



WYDAWNICTWO  
DOLNOŚLĄSKIE

[www.publicat.pl](http://www.publicat.pl)

ISBN 978-83-271-5861-1

EAN 9788327158611

U.WD.FAN031.1.01.01